

**ANDRE NORTON**  
**MERCEDES LACKEY**

# **ELFIA KREW**

**KSIĘGA DRUGA KRONIK PÓLELFÓW**

**(TŁUMACZ: BOŻENA JÓŹWIAK)**

**SCAN-DAL**

## ROZDZIAŁ 1

Sheyrena czuła się coraz bardziej znużona paplaniną pełną zachwyków, której słuchała już od godziny. Zazwyczaj nie drażniły jej ludzkie głosy, brzmiące w uszach elfów chropawo i hałaśliwie, ale dzisiaj było inaczej.

- O pani, nigdy jeszcze nie stworzono tak pięknej sukni, daję słowo! - Bezimienna niewolnica z dworu jej matki kręciła z podziwem głową nad lśniącymi fałdami sukni Sheyreny.

Zapewne mówiła to szczerze, zgodnie ze swoim gustem. Był to bowiem ciężki jedwab damasceński w kolorze pawiego błękitu, przetykany perłowo opalizującymi nitkami. Kolor ten przewyższał swą intensywnością wszystko, co udało się stworzyć w przyrodzie.

“A jednocześnie trudno sobie wyobrazić kolor bardziej dla mnie fatalny” - pomyślała. Rzecz jasna, zupełnie ją przyćmi. Będzie wyglądała jak duch w kostiumie skradzionym żywej istocie.

- Naprawdę! - rozplywała się druga. - Zawrócisz w głowie każdemu lordowi, który cię ujrzy, o pani!

“Tylko wówczas, jeśli podobają mu się panienki przypominające nieboszczyka wystrojonego na swój pogrzeb” - odparowała w myśli. Nawet tona starannego makijażu nie nada jej kolorytu, który pasowałby do tej sukni. Była odpowiednia dla ludzkiej konkubiny o żywej urodzie, a nie dla elfiej panny, na dodatek bladej nawet w rozumieniu własnej rasy. To właśnie było typowe dla jej ojca - wybrać coś, co pozwoli popisać się nie nią, lecz mocą, jego mocą, dzięki której wyczarował coś takiego.

Sheyrena an Treves zamknęła uszy na paplaninę swych ludzkich niewolnic i snuła marzenia o znalezieniu się gdziekolwiek, byle nie tu. Pozbawione okien, jasnoniebieskie marmurowe ściany jej garderoby zawsze wydawały jej się zbyt ciasne; teraz, kiedy tłoczyło się tu nie tylko sześć jej własnych niewolnic, lecz jeszcze dodatkowe cztery ze świty matki, miała wrażenie, że nie starczy dla wszystkich powietrza. Zbyt gorąco i za dużo perfum; mgliście marzyła o ucieczce od tego wszystkiego.

“Gdybyż tylko mogła znaleźć się na dworze! Siedzieć na łące, którą odkrył Lorryn, obserwować motyle lub galopować wzdłuż murów z piaskowca otaczających posiadłość” - myślała tęsknie. Na dłuższą chwilę pograżyła się w marzeniach o ucieczce, bujając myślami z dala od tego pokoju i wszystkiego, co mieścił, widząc się w wyobraźni, jak pędzi na rączym wałachu Lorryna w szaleńczym wyścigu, podczas gdy wiatr chłodzi jej twarz, a Lorryn

wyprzedza ją tylko o parę kroków...

“Lorrynie, przybądź i wybaw mnie od tego wszystkiego! Ach, to tylko głupie mrzonki, nie jesteś w stanie nawet siebie wyzwolić z okowów obyczaju”.

Dwie z jej własnych pokojówek - wyrzucone z haremu jej ojca, rudowłose bliźniaczki, których imion nigdy nie potrafiła dobrze zapamiętać - powiedziały coś bezpośrednio do niej i czekały na odpowiedź. Pokiwała lekko głową i otrząsnęła się ze swych myśli.

- Pani, już pora włożyć haleczkę - powtórzyła cicho dziewczyna z prawej strony, nie zmieniając wyrazu twarzy. Sheyrena wstała i pozwoliła im przynieść halkę. Wszystkie niewolnice już się przyzwyczyły do tego, że często pogrąża się w myślach. Być może denerwowało je to, lecz były zbyt dobrze wyszkolone, by to okazać. Żaden niewolnik na dworze lorda Vlayna Tylara Trevesa nie pozwoliłby sobie na taką niesubordynację, jak okazanie zniecierpliwienia wobec któregoś ze swych elfich panów. Na twarzach pokojówek Sheyreny malował się zawsze jednakowy wyraz bezmyślnego zadowolenia, jaki odnaleźć można na twarzy z oficjalnego portretu. Tego życzył sobie jej ojciec, lecz Sheyrenę zawsze to peszyło - nigdy nie wiedziała, o czym one myślą.

“Gdybym wiedziała jakie myśli przebiegają im przez głowy, miałabym przynajmniej pojęcie, co o nich sądzić - mówiła sobie w duchu. - Choć, zapewne nie byłoby to nic o mnie pochlebnego. Obawiam się, że niewiele mam cech, które mogą się podobać”.

Posłuszna ich wskazówkom, obróciła się teraz ku czterem niewolnicom niosącym halkę tak ostrożnie, jakby to była święta relikwia, i uniosła ręce. Jedwab ześliznął się delikatnie po ciele omotując przez chwilę głowę, gdy trzy pokojówki przeciągały miękko falujące zwoje materiału koloru morskiej zieleni przez jej ramiona. Obciągnęły go starannie, a spódnica opadła wokół jej bosych stóp. Rękawy i stanik z głębokim dekoltem były skrojone tak, by ciasno przylegać do ciała, natomiast spódnica, mocno rozkloszowana na biodrach, spływała długim, ciągnącym się trenem, zgodnie z najnowszą modą.

“Tak więc wyglądam jak zielona figa ciśnięta na grzbiet fali - pomyślała zgryźliwie. - Bardzo atrakcyjny widok. Jak one mogą powstrzymać się od śmiechu? - To oczywiście był również wybór lorda Tylara, który musiał udowodnić, iż jego córce nieobce są najnowsze trendy w modzie. Mniejsza o to, że wygląda w tym śmiesznie. Choć z drugiej strony, czy ona naprawdę ma ochotę wyglądać atrakcyjnie?”

“Nie. Wcale nie - uświadomiła sobie. - Nie chcę męża, nie chcę żadnych zmian; nawet jeśli moje obecne życie jest żalosne, to nie pragnę stać się własnością jakiegoś lorda podobnego do mego ojca. A ponieważ ojciec sam wybrał dla mnie to wszystko, nie będzie mógł mieć do mnie pretensji, że wyglądam idiotycznie”. Stwierdzenie to dawało ulgę. Jeśli

Sheyrena nie odniesie dziś wieczorem sukcesu, ojciec na pewno będzie szukał winowajcy, więc musi się postarać, żeby nie dać mu żadnego pretekstu do obciążenia winą właśnie jej. Lord Tylar bardzo dobitnie wyjaśnił żonie i córce, że to szczególne przyjęcie ma ogromne znaczenie dla domu Treves. W momencie otrzymania zaproszenia na jego twarzy odmalował się wyraz takiego szczęścia, jak wtedy gdy dowiedział się, że cena ziarna na pożywienie dla niewolników wzrosła trzykrotnie z powodu rdzy zbożowej, która na szczęście nie dotknęła jego pól. Rodowód Tylara był wprawdzie dobry, lecz nie znakomity, a swoje bogactwo zawdzięczał wyłącznie sukcesom handlowym. Jego dziad był zwykłym rentierem i tylko roztropne zarządzanie wyniosło dom Trevesów aż tak wysoko. Tylar z pochodzenia nie należał do Wysokich Lordów Rady - został niedawno do niej mianowany i w normalnych warunkach nigdy nie otrzymałby zaproszenia na dwór rodu Hemalth, a już z pewnością nie na wydawane przez niego przyjęcie.

- Proszę się obrócić, o pani.

Zaproszenia nie wysłano przez teleson, lecz przez posłańca, i to w dodatku elfa, a nie ludzkiego niewolnika, co świadczyło, że status Tylara znacznie wzrósł od czasu katastrofalnego konfliktu ze Zgubą Elfów. Wypisane na cienkim arkuszu z czystego złota, mogło powstać tylko dzięki magii, było więc ono aluzyjnym i subtelnym pokazem mocy i zdolności jego twórcy.

*V'kass Ardeyn el-Lord Fortren Lord Hernalth.*

*W imieniu własnym i swego opiekuna V'sheyl Edresa Lorda Fortren ma zaszczyt zaprosić dom Treves na przyjęcie wydane z okazji objęcia ziem i pozycji władcy domu Hemalth. Doproszą się też łaskawie o przedstawienie na tej uroczystości córki domu Treves.*

Nie było potrzeby wspominać daty ani godziny przyjęcia; nawet najuboższy i najmniej znaczący rentier z posiadłości lorda Tylara znał termin tego przyjęcia, tak samo jak wiedział, dlaczego spadkobierca domu Fortren odziedziczył dom Hemalth - mimo zaciętego sprzeciwu brata lorda Dyrana.

- Proszę unieść odrobinę ręce, o pani.

Dziwne, że nadano mu imię Treves, pomyślała. Podczas posiedzenia Rady doszło do ostrej wymiany zdań między lordem Trevesem a lordem Edresem, po której Treves oddalił się w gniewie. Miała nadzieję, iż taki nieprzyjemny zbieg okoliczności sprawi, że lord Ardeyn spojrzy na nią mniej łaskawym okiem. Nie było bowiem wątpliwości, że prośba o jej przedstawienie oznacza, iż lord Ardeyn nie tylko pragnie uczcić objęcie dziedzictwa, lecz

również szuka odpowiedniej żony.

- Proszę się nieco obrócić, o pani. Minął już niemal rok od czasu, gdy lord Dyran oraz jego syn i dziedzic ponieśli śmierć, a kwestia dziedzictwa stała się przedmiotem sporu. Ostatecznie Rada - a w jej składzie również lord Tylar - zadecydowała, że majątek i tytuł może odziedziczyć tylko najstarszy żyjący syn, chyba że żaden z synów nie żył. Po znalezieniu dwóch ciał przypuszczano, że następca Dyrana, Valyn, zginął wraz z ojcem, a ponieważ nie było dowodów świadczących o czymś przeciwnym, żyjący bliźniak Valyna, zdrowy na ciele i umyśle, został spadkobiercą domu swego dziadka.

W ten sposób młody Ardeyn stał się podwójnym dziedzicem i podwójnie pożądanym kandydatem do małżeństwa. Nie miał tu znaczenia fakt, że dostojny Edres był jeszcze w pełni sił i w ciągu najbliższych kilku stuleci na pewno nie zamierzał uczynić swego wnuka podwójnym władcą; Ardeyn już w tej chwili miał wszystkie znaczniejsze posiadłości Dyrana w swoim władaniu. Dzięki temu zrównał się znaczeniem i pozycją społeczną ze swym dziadkiem. Najwyraźniej dostrzegł poparcie Tylara dla swych roszczeń i teraz zamierzał je nagrodzić, chociaż prawdopodobieństwo, by nagrodą miał być ślub z Sheyreną było znikome. Pozycja lorda Ardeyna była zbyt wysoka, a Tylar, choć ceniony, nadal był parweniuszem.

- Proszę opuścić rękę, dostojna pani.

Zapewne każda nie zaręczona panna z odpowiednio wysokiej sfery otrzymała zaproszenie, by zaprezentować się z jak najlepszej strony Ardeynowi, a raczej jego dziadkowi. Sheyrena nie miała złudzeń co do tego, kto będzie wybierał narzeczoną dla Ardeyna. Tylko szczęśliwcy nie posiadający rodziców ani opiekunów mogli sami dokonywać wyboru małżonka. Jeśli młody władca będzie miał szczęście, to dziadek być może spyta go o zdanie. Prawdopodobnie jednak wpływ Edresa na Ardeyna jest tak wielki, że ten potulnie zgodziłby się nawet na małżeństwo z mieszańcem, gdyby takie było życzenie dziadka.

“Dokładnie tak samo jak ja zgodziłabym się na ślub z mieszańcem, jeśli tego życzyłby sobie mój ojciec. Nie miałoby tu żadnego znaczenia, co ja czuję, gdyż z moich uczuć nic nie wynika” - rozmyślała zrezygnowana, gdy służące sznurowały stanik halki tak ciasno, jakby chciały z niego zrobić drugą, jedwabną skórę. Nie wpłynęło to jednak na uwypuklenie jej nieco skromnych wdzięków, skutek był raczej odwrotny.

W zaproszeniu nie wspomniano o innych pannach, które miały być zaprezentowane na przyjęciu; nie było takiej potrzeby. W każdej kobiecej komnacie w kraju mówiono o tym, że lord Ardeyn szuka żony i korzystnego związku - niekoniecznie w tej kolejności. Na dzisiejszym przyjęciu znajdą się dziesiątki niezamężnych i nie zaręczonych elfich kobiet - od dziewczynek bawiących się jeszcze lalkami do wdów posiadających własną moc magiczną i

majątek. Istniał jednak tylko jeden lord Ardeyn, było więc oczywiste, że wielu innych nieżonatych elfich władców oraz ich rodziców pojawi się również na tym bankiecie w poszukiwaniu przyszłej żony. Rzadko zdarzała się dostatecznie ważna okazja, by wszystkie domy mogły odłożyć na bok swe niezliczone konflikty i przez jedną krótką noc udawać życzliwość. Rezultatem tego przyjęcia będą nowe sojusze, część starych konfliktów zostanie rozwiązana ...natomiast nowe mogą wybuchnąć.

- ...tren, dostojna pani, proszę unieść stopę.

Służące poprosiły ją gestem, żeby zrobiła pełny obrót; jedwabne fałdy spódnicy zawirowały wokół niej i opadły z cichym szelestem. Niewolnice uniosły teraz wierzchnią suknię, a kiedy przeciągały ją przez głowę, Sheyrena znów stała spokojnie, czując się jak ogromna lalka, którą ubierają. Ciężki jedwab szaty spłynął wzdłuż ciała, dokładając swój ciężar do niewidocznego brzemienia jej nieszczęść.

“A więc mam być oprowadzana jak jedna z nagrodzonych klaczy ojca, aby wszyscy wolni panowie mogli obejrzeć sobie mój chód i zęby. Podobnie jak Lorryn jest pokazywany ojcom wszystkich pańien z naszej sfery. Wola ojca jest najwyższym prawem”. Była zbyt dobrze wyćwiczona, by okazać swój wstręt, lecz zgryzota tkwiła wewnątrz niej niby bryła lodu, niwecząc radość i ściskając gardło aż do bólu. Przymknęła na moment płonące oczy, starając się odzyskać spokój i panowanie nad sobą, podczas gdy zaaferowane służące zajmowały się sznurówkami u boku sukni.

Było jej trudno, niezwykle trudno utrzymać ten dobrze wyuczony spokój, szczególnie w obliczu ciężkiej próby, która się zbliżała. Nigdy nie czuła się swobodnie w towarzystwie obcych. Podczas tych kilku spotkań, kiedy była wzywana przez ojca, który chciał ją zaprezentować - prawdopodobnie z myślą o ewentualnym małżeństwie - miała ochotę zanurkować pod dywan i tam się ukryć. Teraz czekało ją zasznurowanie w tym narzędziu tortur, udającym suknię, i spędzenie całego wieczoru na pokazywaniu się dziesiątkom, a nawet setkom nieznajomych; wszystko to sprawiło, że poczuła się fizycznie chora.

- ...a ta sznurówka musi być ciaśniej ściągnięta; proszę, o pani, staraj się nie oddychać tak głęboko...

Matka od tygodni usiłowała ją przekonać, że przyjęcie to, będzie dla niej wyjątkową okazją. Daje ono szansę, prawdopodobnie jedną jedyną, by zawrzeć małżeństwo, które zadowoli zarówno ojca, jak i ją. Była to rzadka możliwość, by poznać jakiegoś lorda szukającego żony, zanim jeden z nich zostanie jej narzucony. Może uda jej się tam znaleźć jakiegoś młodego elfiego władcę, który się jej spodoba; kogoś, kto pozwoli jej na kontynuowanie wycieczek, zamiast więzienia jej w ścianach kobiecych komnat, co wielu

elfich panów uważało za właściwe.

Matka używała tego i wielu innych przekonujących, jej zdaniem, argumentów. Twierdziła, że doskonale rozumie przepełniające Sheyrenę uczucie niepewności, jej buntownicze myśli oraz niechęć do zawierania jakiegokolwiek małżeństwa. A co matka może o tym wiedzieć? Viridina an Treves nigdy w życiu nie pozwoliła sobie na żadną niewłaściwą myśl. Zawsze była doskonałą, posłuszną damą, zgodliwą i miłą, pragnącą stać się dokładnie taką, jak życzyli sobie tego jej ojciec i jej mąż. Jak ktoś taki mógłby zrozumieć niespokojne myśli przebiegające ostatnio przez głowę córki?

- Proszę przytrzymać tu ręką, o pani.

W tej chwili Sheyrena oddałaby wszystko co ma, żeby złapać jakąś chorobę, tak jak to robią ludzie, chcąc mieć wymówkę do pozostania w domu. Lecz mimo zewnętrznej delikatności, elfie kobiety były równie odporne na takie dolegliwości, jak mężczyźni ich gatunku.

Było już za późno na udawanie, że cierpi na straszne bóle głowy, podobnie jak Lorryn. Dla wszystkich byłoby oczywiste, że taki nagły atak jest zwykłym wybiegiem.

Obróciła się do pokojówek, unosząc i opuszczając ręce, podczas gdy one męczyły się z bocznymi sznurówkami. Następnie na spodnie, przylegające do ciała rękawy naciągały długie, ciągnące się po podłodze rękawy wierzchniej szaty i przymocowywały je do ramion sukni złotymi sznureczkami.

“Ciekawe, czy wyglądam równie sztywno, jak się czuję?” - zainteresowała się.

Rozdzierały ją w tej chwili dwa sprzeczne uczucia. Z jednej strony upokarzał ją fakt, że ojciec zaprojektował dla niej strój najgorszy z możliwych i będzie się w nim prezentowała strasznie przed tłumem obcych, lecz z drugiej strony taki okropny wygląd mógł sprawić, że nikt się nią nie zainteresuje.

“Lepiej wyglądać jak chory patyk niż skończyć jako...”

Skończyć jako - kto? Narzeczona kogoś podobnego do jej ojca?

“Matka powiedziała, że nie jest to znowu taka zła perspektywa” - przemknęła jej przez głowę przepełniona urazą myśl. - No tak, ale matki moje szczęście nie obchodzi ani w połowie tak jak szczęście Lorryna. Ciekawe, czy gdyby on był dziś wieczorem na moim miejscu, też by się tak spieszyła, żeby przehandlować go za narzeczoną?”

- Gdybyś mogła, o pani, przez chwilę się nie poruszać...

Lecz ona to nie Viridina. Matka pogodziła się ze swą ograniczoną rolą w życiu. Sheyrena miała okazję w ciągu zeszłego roku rzucić okiem na szerszy świat i nie chciała z niego zrezygnować.

Pod wieloma względami łatwiej być nie zauważaną córką lorda Tylara niż jego żoną. Życie Viridiny krępowano tyle przepisów i obyczajów, że niemal bała się oddychać, by któregoś nie złamać. Fakt, że większość z nich wywodziła się z czasów bardziej niebezpiecznych, kiedy życie kobiet było nieustannie zagrożone, nic nie znaczył dla jej pana i władcy - obyczaj to obyczaj i musi być przestrzegany co do joty. Sheyrena do niedawna niewiele, albo zgoła wcale nie liczyła się w domu; ważny był tylko jej starszy brat Lorryn, spadkobierca i mężczyzna. W warstwie społecznej, do której należał Tylar, było więcej niezamężnych kobiet niż wolnych mężczyzn; ojciec był zbyt dumny, by wydać ją za jakieś paniątko stojące niżej od nich, a wyżej nie ośmielał się spoglądać. Później był zajęty, podobnie jak inni panowie z Rady, pogłoskami, a w końcu rzeczywistym pojawieniem się Zguby Elfów.

- Proszę zrobić krok w prawo, o pani.

Następnie rozpoczęła się druga wojna czarodziejów, pochłaniając całkowicie jego uwagę. Tak więc Sheyrena pozostawała niezauważona, przynajmniej dopóty, dopóki odpowiednio się zachowywała, okazywała posłuszeństwo i szkolila się jak trzeba.

Doszła do wniosku, że tak naprawdę najbardziej lubi przebywać w swoim własnym towarzystwie lub swego brata. Nie czyniła żadnych wysiłków, by znaleźć przyjaciół, gdyż nie dostrzegała nic ciekawego w sprawach, którymi zajmowali się jej rówieśnicy. Uczestnicząc w kilku zabawach, szybko stwierdziła, że należy do tych osób, które zaszywają się w kącie i pozostają tam przez cały czas, skępowane i samotne, marząc o tym, by mogły już pójść do domu.

- ...a ta fałda powinna układać się inaczej...

Nie znosiła tracić panowania nad sobą pod wpływem alkoholu, nie potrafiła pojąć, co tak fascynującego jest w plotkach, nie była na tyle ładna, by przyciągnąć męską uwagę - chcianą czy niechcianą. Gry, które innym wydawały się zajmujące, w niej budziły tylko zdziwienie, że coś tak naiwnego może kogoś interesować. Ogólnie rzecz biorąc, wołała wymknąć się do ogrodu, by tam czytać i snuć swoje dziwne rozmyślenia.

Te osobliwe myśli pojawiły się już tego dnia, kiedy po raz pierwszy uczyła się rzeźbienia kwiatów, i odtąd coraz częściej nawiedzały ją w ciągu minionego roku.

- Sądzę, że tu zszyjemy, o pani!

Zaczęło się to od jej oburzenia na te, zdawałoby się, błahe lekcje, które ojciec nakazał jej rozpocząć. "Lorryn uczy się rozbijać swą mocą skały, a ja tylko rzeźbienia kwiatów" - myślała z urazą.

Nie była w stanie się sprawdzić, czy jej magia jest równie silna jak Lorryna, gdyż



żadna elfia panienka nie była uczona niczego innego prócz takich bezużytecznych umiejętności jak rzeźbienie kwiatów, czy tkanie wody. Słyszała kiedyś pogłoski o - doprawdy nielicznych - elfich kobietach, które władały mocą jak mężczyźni, ale nigdy żadnej nie poznała i nie przypuszczała, żeby któraś zechciała podzielić się z nią swoim sekretem. Przed rozpoczęciem nauki nawet nie przyszłoby jej do głowy, że posiada w swych dłoniach moc, o której nie mieli pojęcia lordowie elfów.

Dopiero podczas tych lekcji zdała sobie sprawę z czegoś dziwnego - podniecającego i trochę przerażającego.

Otóż nawiedziła ją nagle myśl, że te same zdolności, których używa do kształtowania kwiatów, mogą być wykorzystane w inny sposób, na przykład... - do zatrzymania serca. Bezużyteczne lekcje? Jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała mocy, to może się okazać, że ta nauka nie była aż tak bezużyteczna.

- Co to jest? Nitka? Należy ją obciąć.

Nie wspominała matce o swych przemyśleniach, zdając sobie sprawę, że Viridina byłaby przerażona. A poza tym nie wiedziała tak naprawdę, czy jej pomysł się sprawdzi, dopóki kilka dni później nie znalazła w ogrodzie ptaka, który w locie uderzył w szybę i złamał kark. Wiele się nie namyślając, położyła kres jego cierpieniom, zatrzymując mu serce.

Przerażona, pobiegła z powrotem do swego pokoju, uciekając przed tym, co zrobiła. Lecz skutki jej czynu pozostały - podobnie jak moc i pamięć tego, czego dokonała.

Od tej pory nie potrafiła już patrzeć na świat tak jak przedtem. Potajemnie przeprowadzała eksperymenty ze swą mocą, wypróbując ją na wróblach i gołębiach, które gromadnie ściągają do ogrodu. Na początku dokonywała tylko niewielkich zmian w ich ubarwieniu czy długości skrzydeł. Z czasem stała się bardziej śmiała - w tej chwili jej ogród pełen był egzotycznych stworzeń o piórach szkarłatno-niebieskich czy złoto-zielonych, o ciągnących się po ziemi ogonach i jaskrawych grzebieniach, a wszystkie one jadły jej z ręki. Coś jej mówiło, że dokonywanie tych drobnych zmian za pomocą własnej mocy może być równie ważne - i równie niebezpieczne - jak ten rodzaj magii, którą władał Lorryn.

A jednak, mimo wszystko, obawiała się wyciągnąć dłoń po tę efemeryczną moc, która ją przyzywała. Żadna elfia kobieta nie ośmieliłaby się tego zrobić - zapewne w tym tkwiła przyczyna jej wahania. Być może ta przyzywająca ją moc była niczym więcej, jak iluzją siły. Choć co prawda potrafi zmieniać wróble w barwne ptaki, lecz jaki z tego pożytek? Co tym udowadnia?

- Czy mogłabyś, o pani, usunąć nogę z rękawa?

A jeśli ta moc jest rzeczywista? Jeśli odkryła coś, o czym nikt inny nie wie?

Te skrywane myśli ciążyły jej na duszy i sprawiały, że nie potrafiła już niczego przyjmować bezkrytycznie. Najtrudniejszy do zniesienia był sposób, w jaki ojciec traktował matkę i ją.

Ta właśnie suknia była przykładem, jak mało go one obchodziły i jak niewiele miał do nich zaufania w ważnych sprawach. Z tego, co Sheyrena wiedziała, ojciec tylko raz pojawił się w buduarze Viridiny w miłym nastroju, gdy chciał, by odgrywała idealną żonę przed jego wpływowymi przyjaciółmi. Natomiast w zaciszu domowym żadnej z nich nie udało się go kiedykolwiek naprawdę zadowolić. Bardziej odpowiadało mu towarzystwo ludzkich niewolnic w haremie i nieustannie porównywał Viridinę do swych najnowszych faworyt, zawsze na jej niekorzyść.

“Co prawda nie zazdroszczę im - pomyślała, patrząc kątem oka na jedną z rudowłosych. - Ojciec ma bardzo zmienne upodobania i żadnej konkubinie nie udaje się długo być faworytą”.

Kiedy traciły już jego łaski, Tylar znajdował złośliwą przyjemność w posyłaniu ich na służbę do żony lub córki w kobiecych komnatach. Sheyrena nie była w stanie odgadnąć, czy robi to, by dokuczyć matce zachowującej nadal piękny wygląd byłej kochanki, czy też by dręczyć byłą faworytę obecnością prawowitej żony, której nie można się pozbyć. Prawdopodobnie kierowały nim oba motywy.

Viridina przyjmowała to spokojnie i bez słowa komentarza; zresztą, wszystko, co przynosił jej los, przyjmowała z tą samą pogodną rezygnacją. Nie była też zazdrosna o haremowe piękności; praktycznie nie było żadnej różnicy między życiem w haremie a tym w kobiecych komnatach, poza jedną, że Viridiny nie można było usunąć. Nałożnice nie miały ani więcej, ani mniej swobody niż ich przysła pani. Z czasem Sheyrena zrozumiała, że jedyna różnica między haremem a buduarem polega na tym, iż buduar jest haremem jednoosobowym. Jedynie w sprawach dotyczących Lorryna i jego szczęścia, Viridina przejawiała jakieś oznaki zainteresowania - ukradkową, obsesyjną troskę, jakby nieustannie się bała, że coś mu się przydarzy. Czuwała nad nim z taką uwagą i niepokojem, jak gdyby był kaleką, a nie okazem zdrowia. A może te ataki *kryszain* oznaczają, że nie jest on tak zdrowy, jak przypuszczała Sheyrena? Czyżby utrzymywano przed nią w tajemnicy, że z Lorrynem jest coś nie w porządku? Lecz jeśli tak, to dlaczego sam Lorryn nic jej nie powiedział? Nigdy nie miał przed nią żadnych sekretów!

Wprawdzie Viridina zaakceptowała swój los elfiej damy, lecz Sheyrenie wydawał się on nie do zniesienia. Doszła do wniosku, że lepiej być ignorowana jako córka, niż poniżana jako żona kogoś podobnego do ojca.

Otaczały ją w tej chwili wszystkie niewolnice, robiąc drobne poprawki przy sukni i sznurowaniach, a ona miała wrażenie, że jest w całym tym zamieszaniu zaledwie manekinem, dodatkiem do szaty, która była w centrum zainteresowania. Nagle przemknęła jej przez głowę, absurdalna myśl, że może suknia ma swoje własne życie i przeznaczenie, a ona jest tylko środkiem transportu, potrzebnym, by dostarczyć ją na miejsce, gdzie będzie podziwiana!

Tak, w pewnym sensie to była prawda. Suknia reprezentowała lorda Tylara, jego moc, bogactwo, jego pozycję. Ona nie była niczym więcej niż środkiem do wyeksponowania tych wszystkich cech, po prostu poręcznym nosicielem transparentu. W końcu to transparent jest ważny, a nie dłoń, która go trzyma. Do tego celu mogło służyć cokolwiek.

“Nawet gdybym była niespełna rozumu, jak matka Ardeyna, to i tak omotałby mnie w tę suknię i posłał na przyjęcie. A jeśli byłabym równie mądra jak któryś z Wysokich Lordów, znalazłby sposób, by nakazać mi milczenie, tak żeby przesłanie o jego potędze nie umknęło uwagi potencjalnych zalotników”.

Ona i matka nie były dla lorda Tylara niczym więcej, jak tylko przedmiotami - myśl ta wprawdzie nie była nowa, lecz nigdy dotąd nie uderzyła jej z taką jasnością. Były dobytkiem, pionkami, a ich znaczenie polegało na tym, w jaki sposób można było się nimi posłużyć, by osiągnąć największe korzyści.

Kokon jego władzy więził ją podobnie jak kokon tej sukni, i nic nigdy tego nie zmieni. Wiedziała o tym, a jednak uparty głosik ukryty w niej gdzieś głęboko ciągle pytał: “Dlaczego nie?”

“Dlatego, że tak zostało ustalone” - odpowiedziała mu. “Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Nic nie zmieni tego stanu rzeczy. A już z pewnością nie jedna niewiele znacząca kobieta, gdyż kobiety po prostu się nie liczą”.

Lecz cichy głosik nie akceptował tej odpowiedzi. Podczas gdy niewolnice usadzały ją ponownie, by móc ułożyć jej włosy, oponował: “Nie? A co z czarodziejami półkrwi? A co ze Zgubą Elfów? Ona jest też tylko kobietą”.

Sheyrena nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi. Wiedziała, iż Wysocy Lordowie byli przekonani, że już dawno temu pozbyli się wszystkich mieszańców i że zrobili wszystko, by uniemożliwić narodziny nowych. Półelfy, łączące w sobie zarówno ludzką, jak i elfią magię, władały jedyną prawdziwą mocą, która zagrażała władzy elfich panów nad światem, podbitym i objętym w panowanie już tak dawno. Jednak mimo wszelkich środków ostrożności nadal rodziły się dzieci mieszanej krwi, a co gorsza udawało im się uciec i ocalić życie, po czym rozwijały swoją moc i uczyły się jej używać. Jednym z tych dzieci była

dziewczynka, która na skutek pechowego zbiegu okoliczności lub świadomego pokierowania pasowała do opisu “zbawicielki” z ludzkich legend, zwanej Zgubą Elfów. Udało jej się znaleźć sprzymierzeńców, o których istnieniu Wysocy Lordowie nawet nie śnili.

Smoki.

Na myśl o smokach Sheyrena westchnęła nieostrożnie i natychmiast poczuła, jak pierś jej ścisła pancierz ciasno zasznurowanej sukni. Wprawdzie nie widziała dotąd żadnego smoka, ale słyszała o nich wiele. Och, jak pragnęła chociaż rzucić okiem na któregoś z nich! Wijące się, pełne wdzięku, skrzące się podczas lotu w słońcu barwami drogich kamieni, przewijały się czasem przez jej senne marzenia, zostawiając ją o świcie z policzkami mokrymi od łez tęsknoty i straty.

- Obróć, o pani, głowę w ten sposób.

To właśnie smoki przechyliły szalę bitwy na stronę czarodziejów, umożliwiając im powstrzymanie armii aż trzech Wielkich Lordów. Rozpętała się wtedy okropna rzeź, która pochłonęła życie wielu elfów, a wśród nich potężnego, choć na wpół szalonego lorda Dyrana. Sheyrena słyszała, jak szeptano, że zabił go jego własny syn. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale z drugiej strony, kto zaledwie rok temu uwierzyłby w istnienie smoków?

W końcu Wysocy Lordowie byli zmuszeni wyrazić zgodę na rozejm Czarodzieje wycofali się poza granice ziem, do których elfowie rościli sobie prawo, a elfowie z kolei przysięgli pozostawić ich w spokoju.

“Mój ojciec utrzymuje, że myśmy ich wypędzili, i tylko dlatego pozwoliliśmy im odejść, że nie warto było ich ścigać - pozwoliła sobie w myślach na szczyptę złośliwości. - Ostatnio, kiedy ojciec zabawiał gości, gadał o tym godzinami, zresztą tak samo jak pozostali. Sądząc ze sposobu, w jaki ojciec to przedstawiał, można by pomyśleć, że to myśmy ich zwyciężyli!”

A jej wewnętrzny głosik, nie pytany, znów się odezwał, szepcząc podstępnie: “Być może oni nie mają aż takiej pełni władzy, jak to lubią sobie przypisywać. Może nie są ani w części tak potężni, jak tobie się wydaje. Może ty nie jesteś tak mało znacząca, jak to próbują ci wmówić”.

“Wszystko to bardzo pięknie - odparła mu ponuro - ale co dokładnie miałabym zrobić, żeby udowodnić swoją niezależność?”

Wtedy głos wreszcie umilkł, nie znajdując na to odpowiedzi. Był to w końcu tylko jej wewnętrzny bunt.

A jednak coś w tym było. Lorryn mawiał o drugiej wojnie czarodziejów, że można ją

uznać “w najlepszym wypadku za remis, a w najgorszym - za klęskę” i nie miał tu na myśli strony półelfów. Może moc Wysokich Lordów osłabła? Czy to oznacza, że pośród szarpaniny elfich panów, walczących o utrzymanie stanu posiadania, znajdzie się miejsce dla kobiety, by mogła sama urządzić swoje życie?

- Proszę przechylić głowę, o pani.

Ale jak? To było istotne pytanie. Jak uciec przed tym ponurym życiem, które zaplanowano dla niej już w momencie narodzin? Plany te istniały niezależnie od niej i były realizowane bez względu na to, czy się na nie zgadzała, czy nie.

“A ojciec potrafi mnie zmusić, jeśli zechce”. To był pewnik. Mógł zastosować wobec niej wiele dotkliwych kar, jeśli będzie się buntowała. Mógł zamknąć ją o chlebie i wodzie w jednym pokoiku.

“Może mi nawet nałożyć niewolniczą obrozę i magią wymusić posłuszeństwo”. Słyszała pogłoski, że to zdarzyło się parokrotnie w przypadku pańien, które trafiły na wyjątkowo nieprzyjemnych przyszłych mężów. Bardzo łatwo było ukryć to urządzenie w wyszukanej biżuterii; stale wykonywano takie rzeczy dla ulubionych niewolników. Na samą myśl o tym poczuła, że gardło jej się zaciska i brakuje oddechu. Szybko się opanowała, zanim niewolnice zdążyły coś zauważyć.

Nie, nie było dla niej żadnej ucieczki - pozostawała jej tylko ta odrobina wolności, którą miała teraz, jako córka, niejako żona. Och, gdybyż był jakiś sposób!

“Co prawda nie mam konkretnego pomysłu, co bym wtedy robiła - przyznała sama przed sobą. Chodziło po prostu o to, że już od dłuższego czasu miała uczucie, że się dusi - zamknięta w kobiecych komnatach, nie miała praktycznie żadnego zajęcia, prócz słuchania plotek niewolnic. “Chcę coś zrobić ze swoim życiem, nawet jeśli jeszcze nie wiem co. Wiem jedno, nie chcę stać się kolejną bezwolną lalką, jak moja matka. Nie mogłabym tego znieść”.

Jednak kiedy obserwowała w lustrze niewolnice splatające i układające jej włosy, uderzyło ją, jak bardzo w rzeczywistości przypomina matkę. I wtedy nawiedziła ją niepokojąca myśl. Czy lady Viridina zawsze była doskonałą elfią damą? Czy też zmuszano ją do udawania takiej, dopóki resztki jej oporu nie stopniały i fikcja stała się rzeczywistością, a fasada faktem?

“Czy mnie może się przydarzyć to samo?”

Była to bardzo nieprzyjemna myśl, więc Sheyrena pośpiesznie ją porzuciła. Nigdy nie natrafiła na najmniejsze nawet oznaki tego, by lady Viridina była inna, niż się wydawała. Sheyrena całkowicie się od niej różniła. Matka nigdy nie będzie w stanie jej zrozumieć.

“Gdybym urodziła się chłopcem...” Był to inny, ulubiony tor jej rozmyślań. Gdyby

przyszła na świat jako malutki braciszek Lorryna, a nie siostrzyczka. Co prawda i tak byli sobie niemal tak bliscy jak bracia, gdyż wbrew obyczajowi Lorryn spędzał mnóstwo czasu w kobiecych komnatach, zamiast - odizolowany od nich - znajdować się pod pieczę liczących nauczycieli. Działo się tak z powodu odczuwanej przez matkę obsesyjnej potrzeby czuwania nad synem. Viridina zachęcała ich do przebywania razem i nawet zmniejszała wtedy swą fanatyczną czujność. Kiedy dorastali, Lorryn uczestniczył w wielu lekcjach Sheyreny. Ona z kolei, ubrana w jego stare rzeczy, niezliczone razy towarzyszyła mu we włóczęgach, na co nikt pozornie nie zwracał uwagi. Nawet teraz przemyślał ją jeszcze w przebraniu niewolnika na wspólne przejażdżki i polowania, kiedy ojca nie było w posiadłości. Nieobecność lorda Tylara powodowała znaczne rozluźnienie dyscypliny - nie pilnowano ich tak bacznie, a wiek i pozycja Lorryna powstrzymywały różne osoby od zadawania kłopotliwych pytań.

Uwielbiała te przejażdżki, choć nieuniknione zakończenie polowania przyprawiało ją o mdłości, i jeśli tylko mogła, unikała zabijania. To właśnie Lorryn opowiedział jej większość tego, co wiedziała na temat prawdziwego wyniku tak zwanej "drugiej wojny czarodziejów".

- Proszę zamknąć oczy, o pani.

Sheyrena spełniła tę prośbę i dalej podążała tokiem swych rozważań. Przypuszczała, że Lorryn znaczną część swojej wiedzy czerpał z rozmów z innymi el-lordami, młodymi dziedzicami i młodszymi synami elfich władców, z którymi spotykał się towarzysko. Ich ojcowie z pewnością nie pochwaliliby faktu, że takie informacje docierają do jej uszu. Nie były one zbyt pochlebne - Lorryn i jego rówieśnicy nie mieli specjalnie wysokiego mniemania o inteligencji i zdolnościach swej starszyny.

Miała wrażenie, iż Lorryn w głębi duszy podziwiał nieżyjącego Valyna, dziedzica lorda Dyrana, który połączył siły z czarodziejami i stał się zdrajcą własnej rasy. Lorryn przysięgał, że tamten zrobił to, by uratować swego półelfiego kuzyna Mera, chociaż Sheyrena nie miała pojęcia, skąd mógłby o tym wiedzieć. Jej bratu najwyraźniej nie dawała spokoju ta część opowieści, natomiast jeśli chodzi o nią, mogłaby bez końca słuchać o smokach.

"Och, te smoki..."

Niewolnice zajmowały się teraz jej twarzą, próbując za pomocą kosmetyków nakładanych małymi pędzelkami nadać jej choć trochę podobieństwa do żywej osoby. Nie było to łatwe zadanie; jej włosy miały najjaśniejszy z możliwych odcieni białego złota, twarz w stanie naturalnym była zupełnie pozbawiona koloru, a zieleń oczu była tak jasna, że wydawały się popielate. Z góry było wiadomo, że wszystko, cokolwiek zrobią za pomocą kosmetyków, będzie wyglądać sztucznie. W najlepszym razie będzie podobna do laleczki z porcelany, w najgorszym - do klauna.

W tej chwili wolałaby chyba to drugie.

To Lorryn opowiedział jej o Zgubie Elfów, która wezwała na pomoc smoki. Część wiadomości przekazywanych jej przez brata pokrywała się z tym, co udało się jej podsłuchać, gdy ojciec rozmawiał z gośćmi, ale o tym nie słyszała. Ojciec nigdy nawet nie przyznał, że ktoś taki istnieje. I nic dziwnego. Zguba Elfów była i kobietą i półelfem, a więc reprezentowała wszystko, czego lord Tylar nienawidził i czego się obawiał.

“Ja natomiast, gdybym mogła decydować o tym, kim chciałabym być, oprócz chłopca, wybrałabym Zgubę Elfów. To byłby dopiero wstrząs dla lady Viridiny!” O tym właśnie marzyła Sheyrena w ciemnościach głębokiej nocy - że jest Zgubą Elfów. Silna swą własną mocą, naginająca świat do swej woli i swojej magii, przemierzająca niebo na grzbiecie smoka - to by dopiero było życie!

“Gdybym była Zgubą Elfów - rozmyślała - żaden ojciec by mnie nie powstrzymał, i nie byłoby takiej rzeczy, której nie mogłabym zrobić, gdybym zechciała. Mogłabym pojechać, gdzie zechcę, zobaczyć, co zechcę i stać się tym, kim mi się spodoba!”

Znów pogrążyła się w marzeniach, podczas gdy niewolnice zajmowały się jej twarzą, a małe pędzelki dotykały policzków, ust i powiek muśnięciem tysiąca motyli. Wyobrażała sobie, jak wznosi się na grzbiecie ogromnego, purpurowego smoka prosto w bezchmurne niebo, tak wysoko ponad lasy, że drzewa zlewały się w puszysty dywan zieleni i nie było widać najmniejszego śladu budynków. W marzeniach smok niósł ją w kierunku gór, których nigdy nie widziała, ku wyrastającym im na spotkanie niebotycznym iglicom migoczącym turniami z kryształu, ametystu i...

Dyskretne kasznięcie wyrwało ją z tych fantazji. Z żalem otworzyła oczy i zaczęła przyglądać się w lustrze efektowi pracy niewolnic.

Wyglądało to przerażająco, a jednocześnie Sheyrena zdawała sobie sprawę, że nie były w stanie osiągnąć lepszego rezultatu. Oczy wydawały się jeszcze bardziej wyblakłe w zestawieniu z ciężkim, pawio-niebieskim kolorem, który nałożyły jej na powieki; czerwone kółka na policzkach wyglądały faktycznie jak u klauna, a różowe, wydęte usta wydawały się należeć do innej twarzy.

Nie zdobyła się na tyle obłudy, by pochwalić ich dzieło, lecz nie wyraziła również dezaprobaty. Jeśli lordowi Tylarowi się to nie spodoba, to niech sam im powie. Kiedy nie odezwała się ani słowem, niewolnice powróciły do ostatecznego układania jej włosów;

W stanie naturalnym stanowiły one jej jedyną ozdobę, lecz pokojówki spiętrzały je właśnie w konstrukcję pasującą do sukni, w efekcie wyglądały jak peruka z bielonego końskiego włosia. Większość z nich została spięta na czubku głowy w postaci sztywnych

loków, splotów i warkoczyków, a pozostałe zwieszały się sztucznie wokół jej twarzy, jak drucziane spirale. Teraz niewolnice przystąpiły do upinania w nich wszystkich wysadzanych klejnotami ozdób, których zażyczył sobie ojciec; oczywiście ciężkie złoto i szmaragdy.

“Gdybym sama się ubierała, wybrałabym jasnoróżowy jedwab z kwiatami i wstążkami, ozdobiony perłami i białym złotem. Na pewno nie wzięłabym niczego z obecnego stroju. Wtapiałabym się w tło, ale przynajmniej nie wyglądałabym jak klaun”.

Kiedy służące skończyły swoje dzieło, nikt nie byłby w stanie jej rozpoznać. I bardzo dobrze. Wolała nie zostać rozpoznana, wyglądając tak, jak w tej chwili.

Nie byłoby to wszystko tak okropne, gdyby mógł być z nią Lorryn. On potrafiłby ją rozśmieszyć, pomógł nawet w tych warunkach zachować poczucie humoru i trzymałby wszystkich, których nie lubiła, w bezpiecznej odległości. Lecz Lorryn ulegał od czasu do czasu atakom okropnego bólu głowy - jedynej choroby, na którą cierpiały elfy - i właśnie dzisiejszego ranka dopadła go ta dolegliwość.

“Może to i lepiej. Wolałabym, żeby nawet Lorryn nie widział mnie tak wystrojoną”.

Lorryn leżał na łóżku, jednym okiem zerkając na drzwi, a drugim do zdobytej z trudem książki o istotach zwanych Żelaznymi Ludźmi. Jednocześnie nastawiał uszu na ewentualny odgłos kroków. Bardzo starannie wybrał taką pozycję, w której leżał, tak żeby móc upuścić książkę na podłogę i przesłonić ręką oczy, gdyby ktoś zbliżał się do drzwi jego sypialni. Na szczęście po lordzie Tylarze można się było raczej spodziewać, że przybędzie do komnat syna z całym rozmachem, z fanfarami i świtą, niż że będzie go próbował zaskoczyć znienacka.

Nie znosił symulowania ataku *kryszain*, straszliwego bólu głowy połączonego z uczuciem dezorientacji, nie mającego odpowiednika w jakiegokolwiek ludzkiej chorobie, za przyczynę którego uważano nadużycie magii. Ponieważ udawał, iż uległ temu atakowi, nie mógł opuścić swego pokoju nawet po wyjeździe Tylara na przyjęcie. W rzeczywistości on sam nigdy nie cierpiał z powodu tej dolegliwości, chociaż niektórym elfom się to zdarzało. Uważano, że świadczy ona bądź to o ogromnej ambicji, bądź o niezwykle wczesnym pojawieniu się mocy magicznej u dziecka. Viridina już dawno temu zadecydowała, że Lorryn ma symulować ataki *kryszain*, gdyż były one paraliżujące, łatwe do udawania i niemożliwe do zakwestionowania. Ponadto, co było do przewidzenia, lord Tylar był przewrotnie dumny z tej słabości swojego syna, gdyż świadczyła ona, że Lorryn posiada wielką moc magiczną.

Dzisiaj Lorrynowi szczególnie zależało na nieudawaniu kolejnego ataku. Chciał iść na to przyjęcie, nie żeby specjalnie marzył o udziale w czymś, co w najlepszym razie okaże się



nudziarstwem, lecz dlatego, że nie chciał zostawiać biednej małej Reny samej. Tylar na pewno nie będzie zwracał sobie głowy tym jak ona się czuje i bawi, zajęty zjednywaniem sobie pozostałych popleczników lorda Ardeyna. Lorryn doskonale wiedział, co się dzieje na takich przyjęciach - są zbyt wielkie, żeby ktoś był w stanie odpowiednio nad wszystkim czuwać, i zdarzają się czasami różne rzeczy, kiedy uczestnicy sobie nieco wypiją. Rena może zostać wyśmiana albo ponizona, stać się celem niewybrednych żartów lub być zmuszona do odpierania niechcianych zalotów pijanych starych rozpustników albo młodych, napalonych idiotów. Przodkowie wiedzą, że on również ma na sumieniu niejedne pijackie, niechciane awanse, których się dopuszczał, kiedy był młodszy i nie poznał jeszcze swoich ograniczeń. Oczywiście nie stanie się jej żadna prawdziwa krzywda; będzie tam dostatecznie dużo trzeźwych służących lorda Ardeyna, żeby pilnować mężczyzn próbujących wyprowadzić w ustronne miejsce niechętne czy niedoświadczone elfie panienki. Zanim do czegokolwiek naprawdę dojdzie, wkroczą, by odizolować myśliwego od jego zdobyczy i podstawić mu ludzką niewolnicę, z którą pozwolą mu udać się do ogrodu lub w inne upatrzone miejsce. W ten sposób cnota i domniemana niewinność elfiej panienki pozostanie nienaruszona. Nikt nie przejmuje się tym, co o całej sytuacji sądzą niewolnice. Biedne stworzenia.

Nie, na pewno nikt nie dopuści, by Renie stała się jakaś fizyczna krzywda, lecz może się czuć zraniona lub przerażona, a bardzo by tego nie chciał. Jest taka delikatna, nieodporna na ciosy.

“Nic by się jej nie stało, nawet w trudniejszej sytuacji, gdyby po prostu była odrobinę dzielniejsza. O Przodkowie! Chciałbym, żeby umiała czasem się trochę postawić. Chwilami mam wrażenie, że zacznie wreszcie sama decydować o sobie, ale potem ugina się i robi wszystko, co jej każą. Nie potrzebowałyby mnie, gdyby po prostu nauczyła się sama walczyć o swoje!”

Była to niesprawiedliwa myśl i od razu poczuł się zawstydzony. Właściwie to kiedy Rena miała nauczyć się upominać o swoje? Była to absolutnie ostatnia rzecz, której lord Tylar życzyłby sobie dla niej. Należycie uległa, dobrze wychowana i dobrze wykształcona córka, potulnie zgadzająca się na wszystko, czego ojciec od niej zażądał - to było to, czego lord Tylar pragnął.

Najprawdopodobniej uda mu się to osiągnąć. Lady Viridina ryzykowała już swoim życiem dla syna i niewiele jej pozostawało czasu i energii, by martwić się o córkę.

Lekkie stukanie do drzwi - dwa uderzenia, pauza, trzy uderzenia - sprawiło, że rzucił książkę i zerwał się z łóżka właśnie w momencie, gdy Viridina uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka. Była już ubrana i uczesana na przyjęcie; w srebrnym jedwabiu i diamentach robiła

wrażenie kryształowego posągu wyrzeźbionego ręką mistrza.

- Muszę już iść - powiedziała cichym, nagłym głosem. - Przyszłam tylko, by ci powiedzieć, że podsłuchałam Tylara, kiedy rozmawiał przez teleson i że twoje domysły były słuszne.

- A więc Wysocy Lordowie zastawili pułapkę na wszystkich mieszkańcach wśród młodzieży, która zjawi się na przyjęciu. - Poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach na myśl o tym, jak bliskie było niebezpieczeństwo, którego uniknął. - Dało mi to do myślenia, kiedy Tylar zaczął wydawać te wszystkie zarządzenia dotyczące Reny. Przecież mógł sprawić za pomocą delikatnej iluzji, żeby wyglądała tak, jak sobie życzył, chyba że miał jakiś powód, dla którego nie odważył się tego zrobić.

Jego matka skinęła poważnie głową.

- Będzie tam aż gęsto od rozpraszających iluzję zaklęć, rzucanych przez najpotężniejszych członków Rady, i każdy gość będzie musiał poddać się tej próbie. Chodzą ostatnio pogłoski, że to Valyn był półelfem, a nie jego niewolnik. Mero.

- Zupełnie, jak by nie mogli uwierzyć, że pełnej krwi elf mógł się zbuntować przeciw takiemu szalonemu sadyście jak Dyran. - Usta Lorryna wykrzywiła pogarda.

Lecz Viridina potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, to nie o to chodzi. Po prostu ci przestraszeni starcy udają, że to nie było powstanie, tylko że do głosu doszło wrodzone zło i niestałość półelfów. Skoro ustalono, że był jeden mieszaniec wśród młodych panów i el-lordów, to może ich być więcej. Boją się teraz i ich postępowanie wynika ze strachu.

Lorryn chrząknął.

- Mogą być przestraszeni, ale mają rację - przypomniał jej z łagodną ironią. - W końcu jest między nimi przynajmniej jeden półelf.

Viridina szybko przebyła dzielącą ich przestrzeń i położyła mu palec na ustach, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

- Ściany mają uszy - szepnęła ostrzegawczo.

- Nie tutaj - odparł z przekonaniem, którego nie mogła podzielać; nie mogła, gdyż była tylko elfem. On był półelfem i łączył w sobie moc magiczną zarówno matki, jak i prawdziwego ojca, który nauczył go, jak używać tej ostatniej, zanim Viridina uwolniła go i wysłała, żeby przyłączył się do wyjętych spod prawa ludzi, którzy uciekli przed swym niewolniczym losem. Nie było w tym domu żadnego umysłu, którego nie mógłby odczytać, gdyby zechciał, i stąd właśnie wiedział, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Muszę już iść - powiedziała, obdarzając go lekkim uśmiechem. - Chciałam ci tylko

powiedzieć, że miałaś rację i że od tej pory musimy poruszać się jeszcze ostrożniej. Nadal nie rozumiem, jak się domyśliłaś.

Nic na to nie odrzekł, tylko schylił się i pocałował ją w rękę; ona z kolei obróciła dłoń i pogłaskała go po policzku.

Lorryn wyprostował się i zaczął spacerować po pokoju.

- Kiedy Tylar poprosił mnie, żebym za pomocą swojej magii pomógł mu stworzyć ozdoby dla Reny, po raz pierwszy zacząłem podejrzewać jakąś pułapkę. Po co zadawać sobie tyle trudu z wytwarzaniem prawdziwych, solidnych przedmiotów, skoro proste złudzenie byłoby równie efektowne i o wiele łatwiejsze do użytkowania?

Lekko skinęła głową, a przy tym ruchu załśniły wplecione w jej włosy kryształy.

To chodzenie wcale go nie uspokajało, ale przynajmniej mógł jakoś rozładować przepełniającą go energię.

- Potem dowiedziałem się od ciebie, iż Tylar polecił ci pożyczyć Renie kilka twoich służących, żeby ją upiękaczyły za pomocą szminek i pudru, i wtedy podejrzenie przerodziło się w pewność. Od tego momentu wiedziałem.

- Rozumiem! - wykrzyknęła. - Złudzenie nałożone na jej rysy byłoby bardziej skuteczne i upiększające niż wszystko, cokolwiek te niezdarne biedactwa mogą zrobić za pomocą kosmetyków. Jaki jesteś bystry, że to zrozumiałaś!

- Nie bystry, po prostu umiem obserwować. Tak więc przeszedłem samego siebie, żeby stworzyć niesamowicie wymyślną biżuterię dla Reny, kunsztowne oprawy z ciężkiego złota i szmaragdy; nie tylko naszyjnik i pierścienie, lecz również wyrafinowany pasek sięgający podłogi, bransolety i ozdoby do włosów.

Stworzona przez niego biżuteria przetrwa przez trzy, może nawet cztery tygodnie, a spowodowane tą pracą wyczerpanie w pełni uzasadniało kolejny atak *kryszain*. Lord Tylar, usprawiedliwiając nieobecność syna, będzie miał okazję pochwalić się jego dokonaniem w dziedzinie magii, a ponieważ pułapka była rzekomo tajemnicą, nikt nie domyśli się prawdziwego powodu, dla którego Lorryn nie pojawił się na przyjęciu. Tylko Rena ucierpi z tego powodu, ale tylko trochę.

Oczywiście, nie był z tego zadowolony, lecz miał teraz poważniejsze powody do zmartwienia niż samopoczucie Reny. Zaczynał podejrzewać, że jego tajemnica jest zagrożona.

- On jest z ciebie absurdalnie dumny - powiedziała Viridina, wykrzywiając pogardliwie wargi, co zburzyło jej maskę łagodności. Potem westchnęła. - Twój prawdziwy ojciec byłby z ciebie znacznie bardziej dumny i miałby do tego faktyczny powód.

Wzdrygnął się; lady Viridina niezbyt często wspominała jego prawdziwego ojca. Był nim ludzki niewolnik, zaufany człowiek, który przybył wraz z nią z posiadłości jej ojca. Zdecydowała się zająć z nim w ciążę, gdyż Tylar traktował ją coraz bardziej grubiańsko, nie mogąc doczekać się dziedzica. Mężczyzna ten był jej całkowicie oddany. Lorryn nie miał pojęcia, co matka czuła do niego i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie, ponieważ nie miał ochoty odczytywać jej myśli. Viridina nie rozmawiała z synem o tych sprawach, a on nie chciał naruszać jej prywatności. Wiedział tylko tyle, że jakiś czas przedtem, nim została żoną Tylara, uszkodziła niewolniczą obrożę Gartha, uwalniając jego czarodziejską moc odczytywania myśli, oraz że Garth wykorzystywał tę moc, by jej służyć i chronić ją.

Przyznała się synowi, że nigdy nie liczyła, iż uda mu się przeżyć wiek niemowlęcy. Wszystko, co kiedykolwiek słyszała o pół-elfach, przekonało ją, że będzie słaby i chorowity, i zapewne umrze, zanim osiągnie drugi rok życia.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś... - zaczął.

- Nigdy - odrzekła stanowczo. - Nigdy w życiu. Jej moc magiczna była co najmniej równa mocy Tylara, a może nawet silniejsza. Kiedy Lorryn przyszedł na świat, miał już narzucone złudzenie wyglądu elfa czystej krwi i podtrzymywała tę iluzję dzień i noc, czuwając, dopóki nie rozwinął na tyle swej mocy, by sam ją utrzymywać.

Tylar nie posiadał się z radości z powodu silnego, zdrowego syna, którym go obdarzyła, a jeśli nawet przerażała ją energia Lorryna, to była zbyt ostrożna, by to okazać. Jak na ironię, w następnym roku wydała na świat Sheyrenę, prawdziwą córkę Tylara, która była tak delikatna, jak Lorryn był krzepki. Dwoje dzieci zupełnie wystarczało Tylarowi, który otwarcie preferował miłosne towarzystwo swych konkubin, zostawił więc Viridinę samą.

- Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za to, co... - szepnął.

- Jesteś moim dzieckiem - przerwała mu gwałtownie.

W oczach jej pojawił się błysk tej płomiennej siły woli, która przez cały czas podtrzymywała ją w walce. - Jesteś moim dzieckiem, tylko moim, nie jego. Nie masz za co się odwdzięczać.

Wymowa jej słów sprawiła, że zamarł w miejscu.

On sam był odmiennego zdania, chociaż matka w żadnym razie nie była w stanie przewidzieć, co miało nastąpić później. Wszystko ułożyłoby się doskonale, gdyby wydarzenia potoczyły się swym normalnym torem. Viridina bez trudu utrzymywała złudzenie jego wyglądu, potem on z kolei z łatwością je podtrzymywał. Nie byłoby nigdy powodu do zmartwienia, że ich tajemnica zostanie odkryta.

Gdyby nie Zguba Elfów.

- Muszę iść. - Matka gwałtownie się odwróciła i wysliznęła za drzwi, zanim miał czas odpowiedzieć.

Podjął na nowo swój marsz. "Gdyby nie Zguba Elfów. Jedna mała dziewczynka. Jak wielkich spustoszeń dokonało to jedno dziecko..."

Pod wieloma względami dziewczynka ta bardzo się przysłużyła domowi Trevesów. Gdyby nie ona, nie byłoby drugiej wojny czarodziejów, a szeregi wysoko i bezpiecznie postawionych osobistości pozostałyby dokładnie takie same, jak przez minione pół wieku. Tymczasem druga wojna czarodziejów miała jednak miejsce, a szeregi te zostały zdiesiątkowane z powodu błędnej polityki i źle poprowadzonych bitew. Lord Tylar czekał, gotów do skoku, i wreszcie go wykonał.

Jednakże przez tę dziewczynę każdy z elfich panów był teraz boleśnie i przerażająco świadomy faktu, że czasy półelfów nie minęły, że mieszkańcy nadal się rodzą, po czym są przemycani i ukrywani w dzikich okolicach. Tajemnica została odkryta i teraz, kiedy czarodzieje byli już daleko, elfi władcy starali się opanować swój strach, szukając tych półelfów, których mogli ukarać za sam fakt ich istnienia.

Teoretycznie rzecz biorąc, nie mógł ich potępiać. Trudno, żeby któryś z nich odczuwał coś innego niż strach w stosunku do istot, które mogły się posłużyć nie tylko elfią magią, lecz również czarodziejskimi zdolnościami ludzkich niewolników, zdolnościami, których rozwój hamowały tylko obroże kontrolne, zakładane na szyję każdego niewolnika, gdy tylko dorósł na tyle, by można go było szkolić.

Niestety, jego sytuacja nie była teoretyczna, i w tym tkwił problem. A wszystko to z powodu jednej płomiennowłosej dziewczyny.

Nie potrafił jej nawet nienawidzić. W końcu ona zapewne miała równie niewielki wpływ na sytuację, w której się znalazła, jak i on na swój los.

Mimo wszystko szkoda, że nie mogła pojawić się w innym czasie. A przynajmniej dopiero wtedy, kiedy on znajdzie jakiś sposób, by pozbyć się lorda Tylara i sam zajmie bezpieczną pozycję lorda Treves.

Mrożąca krew w żyłach myśli, lecz nieunikniona. Już zbyt długo był zmuszony przyglądać się upokarzaniu matki i siostry. Tylar nigdy nie okazał mu najmniejszego przejawu uczucia; syn był dla niego tylko jeszcze jednym cennym przedmiotem, niczym więcej. Natomiast okrucieństwo Tylara w stosunku do własności, do której przestał już przywiązywać wagę, stale się nasilało, a taką własnością była lady Viridina. Ostatnio Lorryn uświadomił sobie, że nie tylko on i Rena mogą posłużyć do zawarcia korzystnego małżeńskiego przymierza. Był jeszcze sam lord Tylar.

Dopóki lady Viridina żyła, było to niemożliwe, lecz...

Elfie damy są znane ze swej kruchości, więc kiedy Rena zostanie wydana za mąż i wyprowadzi się z domu, a mnie umieszczą u jednego z dzierżawców, żebym nabył praktyki w zarządzaniu posiadłością, nie będzie tu już żadnych kłopotliwych świadków.

Oprócz ludzkich niewolników, lecz ich łatwo można uciszyć,

Jeżeli przyszło to na myśl Lorrynowi, to z całą pewnością Tylar też na to wpadł. Lorryn widział nieraz, jak obserwuje swą żonę z błyskiem w oku, który chłopcu nieszczęśliwie się podobał. Tak więc nic nie mówiąc matce, zaczął planować, jak odwrócić sytuację i postawić Tylara w pozycji osoby do usunięcia.

Wszystkie te plany zostały oczywiście zniweczone przez pojawienie się Zguby Elfów.

Rzucił się na łóżko, nie myśląc już wcale o ciężko zdobytej książce. Och, gdyby tylko mogła się pojawić w innym czasie!

Cóż, nie miała wyboru, tak jak i on. Teraz jego plany się zmieniły. Musiał się zająć własnym przetrwaniem. Miał zamiar poradzić sobie jakoś z tym trudnym okresem, dopóki strach starszyny nieco nie zmaleje i przestaną szukać mieszaińców w swoich własnych szeregach.

Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy pomyślał o konsekwencjach, jakie go czekają, jeśli zostanie odkryty. "Muszę zaplanować najbardziej podstawowe sprawy, jak się stąd wydostać i dokąd uciekać - postanowił. - Biorąc pod uwagę, jak często musiałem ostatnio udawać chorobę, żeby uniknąć wykrycia, lepiej będzie natychmiast zacząć planować ucieczkę, dopóki mam jeszcze tyle swobody, by w ogóle coś planować".

## ROZDZIAŁ 2

Niewolnice pomogły swojej pani podnieść się na nogi i poprowadziły ją w kierunku sięgającego od podłogi do sufitu lustra, żeby mogła w pełni ocenić ich dzieło. Rena wpatrzyła się w swoje odbicie i poczuła, że przerażenie ściska jej żołądek. Efekt sukni, włosów, biżuterii i kosmetyków był dokładnie tak okropny, jak sobie wyobrażała.

“Nie” - zdecydowała po chwili zastanowienia. - Nie jest tak zły, jak sobie wyobrażałam. Jest gorszy”.

Obie części sukni były wykonane z jedwabiu, spodnia z cieńszego i jaśniejszego niż wierzchnia. Były pomyślane tak, by stworzyć falującą linię, jakby ona sama była falą na morzu, i układać się na jej ciele delikatnie i zmysłowo, pobudzając wyobraźnię w kierunku tego, co znajduje się pod suknią.

W rzeczywistości wisiały na jej szczupłym ciele, opadając prosto z ramion i nie kusily ukrytymi wdziękami, ponieważ, szczerze mówiąc, nie było tam nic kuszącego. Obie części sukni pyszniły się długimi trenami, które miała z gracją ciągnąć za sobą, a które stają się przekleństwem w zatłoczonej sali. Kopnęła je lekko, z goryczą. “Wszystko pięknie, jeśli podobnie jak moja matka ma się odpowiedni prestiż i prezencję, albo jest się prawdziwą pięknoscią jak Katarina an Vittes. Wtedy wszyscy zauważają nie tylko osobę, lecz również to, czy ciągnie za sobą sześć łokci materiału i uważają, żeby na niego nie stąpnąć. Ja natomiast będę miała szczęście, jeśli ktoś mnie na wpół nie rozbierze, nadepnawszy na tren, gdy będę szła”.

Turkusowy jedwab spodniej szaty był jednobarwny, ozdobiony tylko na brzegach i przy mankietach lamówkami z gładkiego złota. Natomiast wierzchnia suknia z pawiozielonego jedwabiu pokryta była wzorem przypominającym motyw księżycowych ptaków, symbol domu Treves. Haft ten wykonany był opalizującymi, szmaragdowymi niemi. Wyglądało to na jej szczupłej figurze jeszcze gorzej niż gładki jedwab, ponieważ wzory były duże i poza trenem żaden ptak nie był widoczny w całości. Zamiarem projektanta było pokazanie, iż jest ona dumą swojego domu, tymczasem miało się wrażenie, że ubrano ją w suknię uszytą z niepotrzebnych resztek draperii.

“W najlepszym wypadku wszyscy będą się zastanawiać, czy nasz symbol jest bez głowy, bez ogona czy bez skrzydeł” - pomyślała.

Ciemny kolor sukni sprawiał, że jej jasna skóra wydawała się jeszcze bielsza niż zazwyczaj. Wyglądała jak nieboszczyk, a kosmetyki sprawiły, że robiła wrażenie

nieboszczyka umalowanego na pogrzeb.

“Czarujące. Absolutnie czarujące. Dopóki nie będę próbowała się uśmiechnąć, nie będę przynajmniej przypominała klauna” - pocieszała się w duchu.

A włosy! Nie, wołała nie myśleć o swoich włosach. To była katastrofa; sztuczna budowla wznosząca się ponad jej głowę, pomnik próżności, najgorszy koszmar architekta. Ponadto dla niej było to gorsze do noszenia niż do patrzenia, gdyż szmaragdy i złote ozdoby tworzyły tak wielki ciężar, że na pewno dostanie straszliwego bólu głowy, zanim skończy się bankiet. Na szyi ciążyła jej niezwyklej wielkości kolia ze szmaragdów, jak na jej gust za bardzo podobna do obroży nałożnicy; wielkie bransolety otaczały jej nadgarstki pod rękawami wierzchniej szaty, pierścienie obciążały dłonie, a pasek, który ciasno spięty w talii zwisał aż do podłogi, sprawiał, że czuła się jak przykuta łańcuchem do jednego miejsca.

“Mam nadzieję, że nikt nie poprosi mnie do tańca. Nie mogę się w tym wszystkim ruszać” - stwierdziła.

Każdy ze szmaragdów miał rozmiar co najmniej jej kciuka, a osadzone były w złotych płytkach wielkości dłoni. Biżuteria ta byłaby odpowiednia dla wyjątkowo próżnego wojownika lub nałożnicy - bardzo silnej! - o żywej urodzie; do niej, w każdym razie była wyjątkowo źle dopasowana.

Westchnęła i odwróciła się od lustra. To i tak nie miało znaczenia. Ona się nie liczyła, jej rola polegała na prezentowaniu. Najlepszą rzeczą, którą mogła dziś wieczorem zrobić, to usiąść w miejscu, gdzie lord Ardeyn - lub inny potencjalny zalotnik - będzie mógł podziwiać jej biżuterię, suknię bogactwo i moc, które prawdopodobnie odziedziczą urodzone przez nią dzieci. W końcu Lorryn odziedziczył tę moc, czyż nie?

Pokojówki czekały na jakieś jej słowo, czy to pochwały, czy nagany, skinęła więc w ich kierunku opadającą dłonią.

- Mój ojciec będzie z was zapewne bardzo zadowolony - odezwała się, nie mogąc się zmusić, by wypowiedzieć pochwałę w swoim własnym imieniu. - Myre, zostań, proszę; reszta może odejść.

Służące dygnęły głęboko z ulgą widoczną na każdej twarzy i błyskawicznie opuściły pokój, zostawiając tylko ulubioną niewolnicę Reny, Myre. Dziewczyna ta należała do nielicznej grupki niewolnic, które nie były w przeszłości konkubinami Tylara i już to wystarczało, żeby Rena nabrała do niej sympatii. Myre jednak miała jeszcze inne zalety.

W zasadzie nie było w niej nic, co by ją wyróżniało - ani ładna, ani brzydka, ani wysoka, ani przesadnie niska, o włosach i oczach przeciętnego, brązowego koloru. Jednak ten nie rzucający się w oczy wygląd zewnętrzny stanowił - czego Rena była już świadoma - po



prostu kamuflaż. Myre była jedyną z jej niewolnic, która wiedziała co nieco o tym, co dzieje się poza murami posiadłości, chociaż odpowiadała tajemniczo i wykrętnie na pytania dotyczące źródeł tych informacji. Najważniejsze było jednak to, że chciała podzielić się tą wiedzą ze swoją panią. Na początku przedstawiała te wieści jako zmyślone opowieści czy bajeczki, lecz już dawno porzuciła te pozory.

Kiedy reszta pokojówek odeszła, Rena rozproszyła złudzenie zadowolenia, którym się otoczyła, po czym zachichotała na widok grymasu obrzydzenia na twarzy Myre.

- Wiem, wiem - powiedziała. - Okropne, prawda?

- Kojarzy mi się to z dziewicą składaną w ofierze przez wyznawców jednej z dawnych religii - odparła Myre ze złośliwym uśmiechem na ustach. - Biedną, wątłą istotą tak przytłoczoną ciężarem darów dla bogów, że tonęła wepchnięta do świętej studni, brr!

- Ważną nie dla siebie samej, lecz dla darów, które dźwigała. Tak, mnie też coś podobnego przyszło na myśl. - Rena znów ostrożnie usiadła. - Czy da się coś zrobić, żeby to wszystko lepiej zrównoważyć? Mam wrażenie, że lada moment się wywrócę.

- Zobaczmy! - Myre podeszła do niej ochoczo. - Myślę, że uda mi się "zgubić" część tych strasznych ozdób do włosów. Nie sądzę, żeby lordowi Tylarowi chciało się je liczyć. Nigdy ci nie zazdrościłam, o pani, lecz dziś czuję się naprawdę szczęśliwa, że nie jestem na twoim miejscu. Straszne musi być noszenie tej rzeźby z włosów na głowie, a o ciężarze wpiętych w nie klejnotów aż strach pomyśleć. - Przechyliła w zadumie głowę. - Hmm. Jestem pewna, że uda mi się pozbyć połowy z nich, nie psując ogólnego obrzydliwego efektu.

- Och, bardzo cię proszę - Rena błagała ją zażenowana. - To wytwory magii Lorryna, więc za dzień lub dwa znikną bezpowrotnie. Przy okazji możesz opowiadać mi nowiny, jeśli jakiegś masz.

- Kilka. - Niewolnica ostrożnie wyciągnęła jedną z ozdób, upuściła ją i kopnięciem wrzuciła za toaletkę. - Słyszałam, że czarodzieje znaleźli sobie nową cytadelę i rozlokowują się w niej. To znaczy, znaleźli miejsce, gdzie mogą zbudować fortecę, a teraz rozsyłają wieści, żeby uciekający półelfowie mogli ich tam znaleźć. W zasadzie to smoki budują dla nich cytadelę, a przynajmniej tak się mówi. Sądzę, że to prawda.

- Naprawdę? - Remy nie obchodzili czarodzieje, tylko fakt, iż smoki były nadal z nimi i pomagały im. - Ale jak smoki mogą coś budować? Przecież takimi pazurami trudno robić cokolwiek!

Myre zaśmiała się i kopnęła kolejną ozdobę, tak by nie było jej widać.

- Sądziłam, że wyjaśniłam ci to, o pani, kiedy opowiadałam o wojnie! Smoki też posiadają moc magiczną, i to nie tylko do wzywania błyskawic, mają zdolność kształtowania

skął w takie formy, jak im się spodoba. Przychodzi im to równie łatwo, jak niewolnikowi modelowanie gliny w kształt garnka.

Rena ujrzała w lustrze, jak jej jasnozielone oczy rozszerzają się.

- Nie, tego mi nie mówiłaś. Nic nie wspominałaś, że mają czarodziejską moc. To znaczy, latanie i wzywanie błyskawic też jest oczywiście wspaniałe, ale własna magia!... To znaczy, że są one podobne do wielkich dursanów z Evelonu!

Myre wzruszyła ramionami, jakby dla niej nie miało to wielkiego znaczenia.

- Moim zdaniem posiadanie takiej magii jest logiczne, a nawet konieczne w przypadku tak wielkich istot. Pomyśl, gdybyś ty musiała mieszkać w jaskini, nie chciałabyś znaleźć jakiegoś sposobu, by uczynić ją bardziej przytulną?

Pozbyła się następnej pary ozdób, po czym udało jej się jakoś zmniejszyć ciężar kolii. Rena kiwnęła głową.

- Masz rację. Tylko, że każda nowa rzecz, którą mi o nich opowiadasz, jest wspanialsza od poprzedniej. Och, nie wiem, co bym dała za to, żeby jakiegoś zobaczyć, choćby z oddali!

Niewolnica zaśmiała się sucho.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to pewnie twoje życzenie się spełni, bo chyba nie są skłonne dłużej się ukrywać. Któregoś dnia może się okazać, że latają nad posiadłością! Lecz ty, pani, faktycznie jesteś nimi zauroczona, prawda?

Rena tylko skinęła głową. Gdyby Lorryn był tu obecny, to z pewnością wypytywałby dziewczynę o coś innego. Mianowicie o Zgubę Elfów - był równie obsesyjnie zainteresowany czarodziejką- półelfem, jak Rena smokami. Nie miało najmniejszego znaczenia, że zakazane było nawet wspomnianie tego imienia przy niewolnikach, i gdyby rozmowy zostały podsłuchane, to Myre znalazłaby się w poważnych kłopotach!

Co prawda trudno uwierzyć, żeby Myre wystawiła się kiedykolwiek na niebezpieczeństwo, była na to zbyt sprytna. Zawsze upewniała się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę. Jednak Lorryn nieraz podejmował ryzyko, na które ona nigdy by się nie odważyła.

Zresztą Rena i tak wolała słuchać o smokach, które były tematem dostatecznie bezpiecznym, nawet gdyby ktoś podsłuchiwał.

- A swoją drogą, co to jest dursan? - zainteresowała się Myre, wyjmując jednocześnie grzebień i starannie układając na nowo włosy Reny, tak by ukryć fakt zniknięcia części ozdób. - I co to jest Evelon?

- Evelon to miejsce, z którego tu przybyliśmy - odparła dziewczyna z roztargnieniem,

gdyż w myślach tworzyła obraz smoka rzeźbiącego wierzchołek góry na swoje podobieństwo.

- Ja go oczywiście nie mogę pamiętać i lord Tylar również nie, gdyż my urodziliśmy się już tutaj, lecz wszyscy naprawdę starzy Wysocy Lordowie z Rady pamiętają, na przykład wuj lorda Ardeyna. Jest to podobno niebezpieczne miejsce, tak niebezpieczne, że musieliśmy je opuścić lub zginąć.

- Niebezpieczne? - indagowała Myre, której oczy zwęziły się. - W jakim sensie?

Rena wzruszyła ramionami.

- Lorryn twierdzi, że to wszystko była nasza wina. Każdy z domów był zwaśniony z co najmniej tuzinem innych, a nie walczone, tak jak teraz, przy pomocy gladiatorów lub armii niewolników, ponieważ tam nie było niewolników, nie było w ogóle ludzi. Domy szkoliły na zabójców własne dzieci, toczyły pojedynki na magię lub też stwarzały straszliwe potwory, które miały się zwrócić przeciw innym domom. Niestety, połowa z nich uciekała i stawała się niebezpieczna dla wszystkich. Niektóre z domów umieszczały w swoim godle potwora, którego stworzyły. Dursan jest czymś w rodzaju smoka, tylko bez skrzydeł; wygląda jak wielka jaszczurka, zjada wszystko, co się pojawi w jego polu widzenia i ziele ogniem. Tworzono też smoki, tylko że wszystkie smoki uciekły. Jak mówią historyczne opowieści, dursany wykształciły w sobie moc magiczną, zdolność rzucania uroku, a przez to stały się jeszcze bardziej niebezpieczne.

- Coś podobnego! - Myre nadal poprawiała włosy Reny, a na jej twarzy malował się wyraz wewnętrznego skupienia. - A więc to była główna przyczyna, dla której wy wszyscy opuściliście Evelon?

- Myślę, że tak. Opuściliśmy go, bo po prostu nam się udało. - Rena raczej nie miała do swego dziadka pretensji o tę decyzję, jeśli Evelon był tak straszny, jak to opowiadała lady Viridina. - Lorryn uważa, że te domy, które się tu przeniosły, były prawdopodobnie najsłabsze i miały najmniej do stracenia, dlatego próbowały gdzie indziej. Twierdzi, że właśnie dlatego jest tu tak wielu lordów o niewielkiej mocy magicznej.

- Od czasu do czasu zdarza się, że twój brat powie coś sensownego, o pani - zażartowała Myre. - Tak więc słabi uciekli i zostawili wolne pole dla silnych, a ci z kolei zapewne zniszczą siebie wzajemnie i wszystko dookoła, próbując pokonać jeden drugiego. Doprawdy, ja też nie chciałabym mieszkać w Evelonie.

- Teraz mówisz jak Lorryn - zauważyła Rena z cichym śmiechem. - Właśnie coś takiego mógłby powiedzieć.

- Jak już przyznałam, czasem mówi coś z sensem. - Myre odłożyła grzebień i obejrzała swoje dzieło. - Można więc przyjąć, że to z tego powodu żaden z Wysokich Lordów

nie wchodzi w otwarty konflikt z innym, lecz wszystkie problemy załatwiają za pomocą intryg albo bitew pomiędzy armiami niewolników lub gladiatorów?

Rena skinęła głową.

Tak. I jest to nie tyle kwestia prawa, co wzajemnego porozumienia. W dawnych czasach, kiedy dopiero budowaliśmy nasze dwory. Wysocy Lordowie łączyli razem swoją moc, i dzięki temu wszystko robiono bardzo szybko. Jednak obecnie... - teraz ona zrobiła wymowny grymas - prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, zanim ktoś taki jak lord Syndar użyje swej mocy, lordowi Kylanowi. Mam nadzieję, że smoki lepiej niż oni współpracują ze sobą.

Słyszałam coś o tym - oświadczyła Myre. - Mówiono mi, że pożyczają sobie wzajemnie mocy i że nigdy nie dochodzi między nimi nawet do najmniejszej sprzeczki. Tylko zdrada najgorszego rodzaju może sprawić, że staną się wrogami. Podobno tam, gdzie żyją smoki, pokój trwa przez tysiące lat. Uważa się, iż dlatego udzieliły pomocy półelfom. Czarodzieje próbowali żyć spokojnie w ukryciu, a tymczasem elfi władcy zaatakowali ich, starając się ich zniszczyć. Z pewnością smokom zrobiło się żal półelfów i poczuli antypatię do elfów, którzy chcieli ich skrzywdzić.

- Szkoda, że my tacy nie jesteśmy - westchnęła Rena, przyglądając się swemu odbiciu.

“Gdybyśmy byli do nich podobni, to nie podawano by mnie jak na tacy jakimś śliniącemu się, staremu ramolowi - pomyślała ponuro. - Gdybyśmy tacy byli, mogłabym robić to, na co miałabym ochotę, a ojciec zostawiłby mnie w spokoju”.

Robić, ale co?

- Co robią smoki, kiedy nie pomagają czarodziejom? - zastanowiła się głośno.

- O, wspaniale spędzają czas - natychmiast odpowiedziała jej Myre. - Szybują w powietrzu, bawią się w różne gry, badają nieznanne tereny, tworzą piękne rzeźby za pomocą magii, opowiadają sobie ciekawe historie i robią jeszcze mnóstwo innych cudownych rzeczy. Musiałabym cały dzień ci opowiadać.

Rena przełknęła ślinę, gdyż wizja takiej swobody ścisnęła ją za gardło. “Gdybym tylko mogła jakoś uciec - marzyła - uciec do krainy, z której pochodzą smoki! Gdybym mogła znaleźć się w miejscu, gdzie już nigdy nie musiałabym być posłuszna rozkazom ojca, gdzie nie byłoby żadnych nakazów. Nakazy i wola ojca ciążyły jej tak namacalnie jak te okropne klejnoty, które dla niej stworzył. Jak można szybować z takim ciężarem na sercu?”

Lecz marzenia o ucieczce były równie bezsensowne jak marzenia o smoku, który przyleci i ją stąd zabierze - jedno i drugie były tak samo nierealne. Jak mogłaby uciec? Nigdy w życiu nie była nawet poza granicami posiadłości! Nie miała zielonego pojęcia, jak sobie

samej radzić, a to właśnie musiałyby robić, żeby jej nie znaleźli i nie przywieźli z powrotem, gdyby tylko postawiła stopę poza terenem ojca.

Ucieczka nie wchodzi w grę.

Co gorsza, przeciągnęła już te przygotowania na przyjęcie najdłużej jak mogła. Jeszcze chwila, a ojciec zjawi się tu, by zobaczyć, co spowodowało taką zwłokę i z pewnością nie będzie zachwycony, zastawszy ją całkowicie wystrojoną i gapiącą się w lustro.

Wstała ponownie, wprawdzie bez entuzjazmu, ale z godnością.

- Nie czekaj na mnie, Myre. Powiedz którejś z pozostałych dziewczyn, żeby oczekiwała w moich komnatach, aż wrócę do domu.

To przynajmniej oszczędzi Myre długiego, nudnego wieczoru spędzonego samotnie w tych pobrzmiwających echem pokojach.

- Której? - szybko spytała Myre.

- Nie wiem i mało mnie to obchodzi. Wybierz taką, której nie lubisz. Powiedz, że to mój rozkaz.

Żadna niewolnica nie poważyłaby się okazać otwartego nieposłuszeństwa córce domu, więc jeśli był ktoś sprawiający Myre kłopoty, to był to doskonały sposób, żeby mogła nacieszyć się drobną zemstą. Wszystkie szafy i szuflady zamknie magicznie nieobecność Reny, tak że wybrana pokojówka nie będzie mogła nic robić poza siedzeniem i czekaniem w tej nieskończonej spokojnej i nieskończonej nudnej garderobie, aż Rena wróci.

Myre uśmiechnęła się chytrze i skłoniła swej pani. Nawet jeśli w tym ukłonie była szczypta ironii, to Rena nie zamierzała jej karcić. Nie czekając na odpowiedź, obróciła się i skinęła ręką w kierunku drzwi, które na ten sygnał otworzyły się, po czym przekroczywszy próg, znalazła się w korytarzu z różowego marmuru.

Korytarz ten, podobnie jak jej pokoje, został stworzony przez poprzedniego właściciela tej posiadłości, jednego z Wysokich Lordów, o mocy przewyższającej tę, którą dysponował lord Tylar. Każda komnata wyposażona była w drzwi otwierające się tylko na sygnał tych, w których żyłach płynęła elfia krew lub w zasłony siłowe, które przepuszczały jedynie upoważnionych. Cały dwór zbudowano bez żadnych okien czy chociażby świetlików. Rozjaśniało go nie posiadające określonego źródła światło, które gasło w poszczególnych pomieszczeniach, jeśli jakiś elf sobie tego zażyczył. Niewolnicy żyli tu i umierali, nigdy nie widząc słońca, od momentu, gdy zostali zabrani ze swych zagród na przeszkolenie.

Pod wieloma względami dom pozostał nie zmieniony od chwili śmierci pierwotnego właściciela, gdyż lord Tylar nie miał dostatecznej mocy magicznej, by to uczynić. Zdaniem Reny wyszło to posiadłości na dobre. Zdarzyło jej się bywać w innych domach, gdzie nigdy

nie było wiadomo, co się znajdzie za drzwiami - czasami był to korytarz, czasami sala balowa, a czasem przepaść. Nie prawdziwa przepaść, rzecz jasna, lecz samo złudzenie przepaści wystarczało, by przerazić ją w najwyższym stopniu - o co właśnie chodziło w tych tak zwanych "zartach".

Tu natomiast był zupełnie zwyczajny, marmurowy korytarz z rzędem alabastrowych urn po obu bokach, prowadzący do zwyczajnych schodów z różowego marmuru, które łagodnym łukiem prowadziły na niższe piętro. Jej własna eskorta ludzkich strażników przyłączyła się do niej, kiedy minęła ich tuż przed dotarciem do półpiętra i towarzyszyła jej bezszelestnie. Miała nadzieję, że lord Tylar i lady Viridina będą czekać na nią u podnóża schodów, zjawiwszy się tam dopiero w tej chwili po swoich przygotowaniach. Liczyła na to, że ojciec w swej próżności będzie dłużej się stroił.

Stała u szczytu ostatniego ciągu schodów i wzięła głęboki, uspokajający oddech. "Głowa wysoko. Idź powoli. Pamiętaj o tym głupim trenie i postaraj się zapomnieć o tej głupiej eskorcie. Zatrzymuj się na chwilę po każdym stopniu..."

Ostrożnie pokonywała każdy stopień krętych schodów i zatrzymała się w połowie zejścia, by posłuchać głosów dochodzących z dołu. Lord Tylar rozprawiał o czymś, ale jego głos miał napuszone, a nie zirytowane brzmienie, co oznaczało, że nie spóźniła się.

Dzięki bogom za drobne łaski.

Resztę schodów pokonała tym samym powolnym krokiem, wiedząc, że jeśli zacznie się spieszyć, będzie wyglądać niedystyngowanie, a wówczas lord Tylar rozgniewa się na nią. Zanim wieczór dobiegnie końca i tak będzie miał w związku z nią dosyć powodów do zdenerwowania, lepiej nie dostarczać mu dodatkowych.

Wyczekiwał jej; serce niemal jej zamarło, gdy ujrzała, jak obraca się w stronę schodów natychmiast, kiedy znalazła się w polu widzenia i krytycznym wzrokiem przygląda się każdemu jej ruchowi. Coś ścisnęło jej żołądek i stwierdziła, że trudno jest jej wykonać kilka głębokich, uspokajających oddechów.

"Na pewno nie spodoba mu się suknia, ani włosy, ani makijaż... Z pewnością uzna też, że okropnie się poruszam..." - Była to reakcja automatyczna; zawsze miała takie odczucia, gdy musiała przed nim stanąć. Jak mogło być inaczej? Jedyne uczucie, jakie kiedykolwiek w niej wzbudzał, był lęk.

Ojciec był przystojnym mężczyzną, lecz zgodnie z elfimi standardami jego powierzchowność, i postawa były chłodne i nonszalanckie. Niezwykle wysoki, przewyższał Viridinę i córkę o półtorej głowy. Jasnozłote włosy cesał tak samo jak jego dziad - obcięte niemodnie krótko i bez zwyczajowego diademu lub opaski, które dyktowała obecna moda,

zupełnie, jakby chciał przywołać wspomnienie tego potężnego mężczyzny. Jego pociągła, pięknie wyrzeźbiona twarz nie odzwierciedlała kompletnie żadnych uczuć, lecz Rena знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że lekkie zwięzienie błyszczących, zielonych oczu świadczyło o wypatrywaniu jakichś uchybień, które mógłby skrytykować.

Zarówno on, jak i lady Viridina ubrani byli w tych samych kolorach - srebrno-białym i złotym. Jego strój robił wrażenie zbroi, chociaż tak naprawdę nią nie był; jej suknia natomiast była bardziej wyszukaną wersją tej, którą miała na sobie Sheyrena. Jednak na Viridynie szata z perłowo-białego jedwabiu z mieniącymi się ptakami księżycowymi wyglądała pięknie. U obydwójga jedynym wnoszącym trochę dodatkowego koloru elementem była biżuteria - szmaragdy i beryle, przy czym klejnoty matki były kopią ozdób Reny, lecz Viridina nosiła je tak, jakby w ogóle nie czuła ich ciężaru. Lord Tylar miał na sobie mniej biżuterii i prostszą - pas, pojedynczy pierścień, naramiennik i naszyjnik.

Rena zatrzymała się na ostatnim stopniu i czekała, drżąc wewnątrz, aż ojciec przemówi.

Miała wrażenie, że ta chwila ciszy rozciąga się w wieczność, gdy rozpaczliwie walczyła, by jej drzenie nie uzewnętrzniło się.

- Dobrze - odezwał się w końcu z niechętną aprobatą. - Nieźle się prezentujesz.

Ukryła ulgę, podobnie jak przedtem drzenie i przebyła kilka kroków dzielących ją od niego.

- Dziękuję, dostojny ojcie - szepnęła.

Nie miała zamiaru szeptać, lecz nie potrafiła jakoś wydobyć z siebie głośniejszego dźwięku.

- Chyba nie będziemy stać tu przez cały wieczór! - obrócił się, zanim jeszcze skończył zdanie i już kroczył wzdłuż kolejnego korytarza z różowego marmuru, kierując się ku swojemu gabinetowi i portalowi transportującemu, który się tam znajdował.

Sam Tylar nigdy nie byłby w stanie zgromadzić dostatecznej mocy magicznej, by zbudować bezpośrednie przejście do Sali Rady, lecz to otrzymał wraz z dworem. Portal Treves przeniesie ich do Sali Rady, a tam użyją portalu Hemalth, by dostać się do posiadłości gospodarza przyjęcia. Zezwoleniem na skorzystanie z tego przejścia była magiczna pieczęć odcisnięta na zaproszeniu. Tylko ci, którzy mieli dostęp do podobnych portali, mogli w tak bezpośredni i szybki sposób udać się na przyjęcie. Pozostałych czekała długa, nużąca podróż przez kraj. Miarą pozycji i siły domu Hemalth był fakt, iż tak wielu elfich panów modliło się o możliwość odbycia tej podróży.

Pierścień na palcu wskazującym prawej ręki Reny nie był jednym z wytworów

Lorryna, lecz prostym sygnetem z ptakiem księżycowym wrytym w berylu (nie w szmaragdzie). Był to jej klucz do portalu, który pozwoli jej wrócić do domu. Bez niego musiałaby czekać w sali Rady, aż ktoś zjawi się, by ją zabrać. Szmaragdy były cenione dla swej piękności i poszukiwane przez tych ludzkich niewolników, którym pozwolono nosić biżuterię, lecz dla elfów prawdziwie bezcennymi klejnotami były beryle, gdyż tylko one miały w sobie moc magiczną i mogły być używane do przechowywania zaklęć. Kobiety wkładają szmaragdy - bezużyteczne, piękne szmaragdy. Natomiast mężczyźni noszą beryle jako zewnętrzną oznakę swojej mocy.

Rena postępowwała za ojcem, starając się nie nadebrać na tren sukni matki, a eskorta szła za nią.

Drzwi otworzyły się same, kiedy lord Tylar się do nich zbliżył, i niewielki orszak wkroczył do znajdującej się za nimi komnaty. Ojciec nazywał ją "gabinetem", ale niewiele było tu rzeczy, które faktycznie nadawałyby jej ten charakter. W zasadzie nie było tu nic poza biurkiem z białego marmuru i kilkoma krzesłami - żadnych książek, żadnych papierów, gdyż Tylar pozostawiał swym nadzorcom i podwładnym wszelkie nudne sprawy dotyczące interesów, prowadzenia księgowości i temu podobne. Różowy marmur posadzki w korytarzu ustąpił tu miejsca miękkim, grubym dywanom koloru wrzosowo-popielatego, natomiast ściany wykonane były z jakiegoś tajemniczego materiału o barwie jasnoszarych chmur deszczowych. Do pokoju tego prowadziło dwoje drzwi, nieco ciemniejszych niż ściany. Jednymi drzwiami właśnie weszli, a drugie, znajdujące się dokładnie po przeciwnej stronie komnaty, były portalem transportującym.

Lord Tylar zatrzymał się tuż przed nim, położył dłoń na klamce i obejrzał się jeszcze ze srogą miną na córkę. Rena mimowolnie skurczyła się w sobie.

- Głowa uniesiona! - przypomniał jej ostro. - I uśmiechaj się.

Nie patrząc, czy posłuchała jego rozkazów, otworzył drzwi i przeszedł przez nie. Nie zawahał się ani przez moment, w końcu zdążył się już przyzwyczać do portali.

Za drzwiami była ciemność i wyglądało tak jakby połknęła ojca w momencie, kiedy przestąpił próg. Rena jeszcze nigdy w życiu nie używała ani tego, ani innych takich przejść, lecz Lorryn, mający już w tym względzie doświadczenie, powiedział jej, że nie ma się czego bać. Mimo wszystko coś w głębi niej lękało się tej pozbawionej światła pustki i cofnęłaby się, gdyby nie straż za jej plecami...

"...której zadaniem jest zapewne dopilnować, żeby nie odwróciła się i nie umknęła do swego pokoju".

Lady Viridina, najwyraźniej nieświadoma obaw córki, nie zawahała się nawet przez



chwilę; po prostu szła za przykładem męża - zatrzymała się, z gracją uniosła tren i przestąpiła próg, dając krok w nicość.

Rena zastygła w miejscu.

Jeden ze strażników ostentacyjnie chrząknął. Wzdrygnęła się i obróciła, żeby na niego spojrzeć, zdając sobie sprawę, że jej oczy zapewne są równie przerażone jak u królika.

- Czy mogłabyś, o pani, pójść w ślady lady Viridiny? - odezwał się strażnik głosem szorstkim od wieloletniego wykrzykiwania rozkazów.

Spojrzawszy na jego uprzejmy, lecz nieubłagany wyraz twarzy, nabrała przekonania, że polecono mu podnieść ją i przenieść przez próg, jeśli będzie próbowała się wycofać.

Przynajmniej tego poniżenia mogła sobie oszczędzić. Schyliła się podobnie jak matka, aczkolwiek bez jej wdzięku, uniosła tren rękoma wilgotnymi od potu i przycisnęła jedwab do drobnych piersi. Potem przekroczyła próg, mocno zaciskając oczy, żeby nie widzieć, w co wchodzi.

Myre z ogromną przyjemnością przekazała rozkazy Reny Tanhyi Leis, wyjątkowo wrednej blondynie, której już od dawna miała ochotę spletać jakiegoś figla.

Figle były w końcu uświęconą czasem, smoczą tradycją, a tego akurat zwyczaju Myre nie zamierzała zarzucać.

Tanhya została wydalona z haremu za rozmyślny sabotaż i próbowała teraz wszystkim zatruć życie, wdając się w intrygi i podstępny, które miały przywrócić jej wygody "należnego jej" miejsca. Rzecz jasna, nie uda jej się to - jej uroda była zbyt przeciętna, jak na gust lorda Tylara. Zapewne i tak by ją wkrótce usunięto, lecz nic nie było w stanie jej o tym przekonać. Wręcz przeciwnie, była pewna, że miejsce głównej konkubiny, zajmowane obecnie przez szczupłą, wyniosłą brunetkę, prawnie należy się jej. Myre nie miała pojęcia, skąd się u niej wzięło to urojenie. W każdym razie wieczór spędzony na ciągnącym się bez końca oczekiwaniu w garderobie lady Sheyreny da jej mnóstwo czasu na rozważanie swoich pretensji. Może nawet Tanhya uknuje jakiś plan przewycięzenia przeszkód na swej drodze, plan który, dostarczy Myre jeszcze lepszej rozrywki niż poprzednia próba wyeliminowania Keri Eisa, zakończona wypędzeniem Tanhyi.

Myre zachichotała, obserwując byłą nałożnicę wracającą do ubieralni i całą swą postawą wyrażającą wściekłość - doprawdy, nawet dwunóg nie może być taki tępy. Powinna była wiedzieć, że ten głupi pomocnik kucharza da się złapać i że w takiej sytuacji będzie mówił. Obojętnie jak dobra jesteś w łóżku, to nie powstrzyma twojego kochanka od wyznania wszystkiego, co wie, kiedy grunt pali mu się pod nogami. W końcu przyczyną zesłania

Tanhyi tutaj było nie byle co, tylko próba zeszpecenia Keri, tak żeby nie nadawała się już na konkubinę.

Jeszcze jeden taki incydent, a Tanhya znajdzie się zapewne w zagrodzie hodowlanej. Żaden elfi władca nie brał na tyle poważnie kłótni pomiędzy kobietami w haremie, by skazywać winowajczynię na najgorszą karę. Lecz również żaden nie dopuściłby, żeby ktoś taki jak Tanhya sprawiał mu kłopoty. A w tej chwili brak Keri byłby dla lorda Tylara wielką niedogodnością.

Wszystko to było dla Myre tym bardziej frapujące, że to jej interwencja spowodowała wzlot Keri wśród haremowych piękności. Keri była zaledwie atrakcyjna, zanim Myre nie wśliznęła się pewnej nocy do harem i nie dokonała kilku drobnych poprawek w jej twarzy. Dla kogoś, kto umiał rzeźbić kamień, nie było problemem przestawienie się na rzeźbienie ciała, tym bardziej, jeśli opanowało się sztukę zmieniania kształtu i posiadało odpowiednią moc. Następnego ranka lord Tylar stwierdził, że jest właścicielem prawdziwej piękności i wyniósł Keri z nicości na stanowisko głównej konkubiny, co zburzyło ustalony porządek w haremie. Prawdopodobnie to właśnie zdarzenie sprawiło, iż w głowie Tanhyi zaległa się myśl, że ona równie łatwo jak Keri może wywindować się na to uprzywilejowane stanowisko.

Ciekawe, że elfim władcom nigdy nie przyszło na myśl, iż ta sama moc, którą ich kobiety wykorzystują do rzeźbienia kwiatów, może posłużyć im do tworzenia piękności z ludzkich niewolnic.

Minęło już sporo czasu od chwili, kiedy Myre po raz pierwszy wkradła się do tego domu w sposób, do jakiego zdolne są tylko smoki - zmieniając swój normalny kształt w postać ludzkiej niewolnicy. W owym czasie kierowała nią tylko chęć nauczenia się czegoś nowego i sprawienia jak największych kłopotów elfom. Nie wybrała tego właśnie domu z jakiegoś szczególnego powodu, tyle że nadzorcy lorda Tylara nie śledzili zbyt pilnie kroków zwykłych ludzkich niewolnic.

Starsze smoki dostałyby szału, gdyby się o tym dowiedziały. W ogóle nie powinno jej tu być, a już na pewno nie w postaci człowieka.

Jej zadaniem było przebywanie w zmienionym kształcie wśród stada alikomów, i starsze smoki z jej leża były przekonane, że to właśnie robi. Dostałyby apopleksji, gdyby wiedziały, gdzie naprawdę jest.

Od czasu drugiej wojny czarodziejów młode smoki z rodu - te które nie opuściły leża, by pomagać mieszańcom - musiały ściśle przestrzegać nakazu trzymania się z daleka od elfów! Starszyzna uważała, że dostatecznym złem jest fakt, iż elfy wiedzą o ich istnieniu. Byłoby gorzej, o wiele gorzej, gdyby dowiedziały się o ich umiejętności zmiany kształtu albo

o tym, z jaką łatwością smoki nawiedzają ich domostwa. Tylko najstarsze i najmądrzejsze smoki mogły poruszać się wśród elfów w zmienionym kształcie, te które miały doświadczenie w unikaniu niebezpieczeństwa. I to wyłącznie w celu zbierania informacji, bez mieszania się w sprawy ludzkich niewolników czy elfów.

“Też coś! Tak jakby od jednorogów można się było czegoś ciekawego nauczyć. One zupełnie przypominają Tanhyję - śliczne na zewnątrz, zwariowane wewnątrz i tak samo bez rozumu. A mówiąc o Tanhyi...

Ma ona niewielkie grono zwolenników, i jednym z nich jest nasza nadzorczyń. Jeśli nie chcę skończyć, wykonując jakieś bezsensowne prace, dopóki nie nadejdzie pora na spoczynek, to lepiej zejść Maryan z drogi, zanim dowie się, kto przyniósł Tanhyi złe wieści”.

Myre przekonała się już nieraz, że najlepszym i najciekawszym miejscem, gdzie można było się zaszyć, chcąc zejść komuś z oczu, jest dach. Wprawdzie niewolnice nie miały tam po co chodzić, lecz kiedy człowiek się tam znalazł, już nie czuł się niewolnicą.

Wspięła się na dwa ciągi schodów i drabinę, po czym przez klapę wydostała się na dach. W chwilę później przybył tam jeszcze jeden ozdobny gargulec w kształcie księżycowego ptaka. Z tego dogodnego punktu Myre miała niczym nie przesłonięty widok na tyły domu, a więc miejsce, gdzie naprawdę coś się działo. Widziała stąd ogród kuchenny, stajnie, część kwater niewolników. Teraz, kiedy wszyscy władcy prócz Lorryna wyjechali, jedyną działalność będzie można zaobserwować wśród niewolników.

Bacznie przyglądała się niewolnikom gorliwie zajmującym się swoimi obowiązkami. Ponieważ była jedną z nich, łatwo wysunęła wnioski, jak ród może wykorzystać wrodzone zdolności ludzi. Jej również byłoby przyjemnie mieć przy sobie kogoś, kto nacierałby jej skórę oliwą i dbał o nią, przygotowywał gorącą wodę na kąpiel, żeby nie musiała zadowalać się przypadkowymi gorącymi źródłami.

Mógłby też dla niej polować, obdzierać zdobycz ze skóry i dzielić na odpowiednie kaski oraz sprzątać i oczyszczać ze szkodników jej leże.

“Te staruchy są zwariowane albo tchórzliwe, a może jedno i drugie - pomyślała z oburzeniem. - To, że elfowie wiedzą o naszym istnieniu, nie oznacza, iż mają jakieś pojęcie o naszych umiejętnościach! Nie potrafią nas wykryć, kiedy przebywamy wśród nich w zmienionym kształcie, a nasza magia nie jest złudzeniem, które można rozproszyć. Dopóki nie odkryją, że przerzucamy masę na zewnątrz, nie będą mieli pojęcia, czego szukać.

- Jej myśli biegły starym, utartym torem niezadowolenia i buntu.

- Przy właściwej manipulacji ród może łatwo osłabiać obie strony konfliktu, zarówno mieszańców, jak i elfów, dopóki nie będą tak wyczerpani walką, że uda nam się przejąć

kontrolę nad jednymi i drugimi. Wtedy my będziemy dyktować warunki pokojowe, a ludzie z wdzięczności będą nam służyć lepiej niż niewolnicy!”

Była to cudowna myśl, kryjąca w sobie tysiączne możliwości, blokowane, niestety obecnie przez upór starszyny, która nie potrafi dostrzec innej drogi postępowania prócz ostrożności.

Myre nie była bynajmniej odosobniona w swoim zniecierpliwieniu; miała własną grupkę popleczników wśród młodszych smoków, które irytowały ograniczenia nałożone na nie przez starszych. Chcieli mieć prawo do dowolnej zmiany kształtu; ponadto jeszcze co najmniej dwojgu z nich spodobał się pomysł posiadania dwunogich służących. Wszyscy oni ustalili, że starsi są zbyt konserwatywni i już najwyższy czas, żeby ktoś ich zastąpił na stanowiskach przywódców leża i rodu.

Niestety, istniał tu pewien problem.

A mianowicie, im smok się stawał starszy, tym bardziej zwiększała się jego moc. Smoki w zasadzie nigdy nie przestawały rosnąć, a z wiekiem przybywało im siły fizycznej, zdolności magicznych i siły woli. Żaden smok czy nawet grupa smoków w wieku Myre nie mogła nawet marzyć o pokonaniu kogoś ze starszyny.

Grupa smoków zapewne nie. Gdyby ktoś z ogródka spojrział w tej chwili w górę, zobaczyłby, że jeden z gargulców rozdziawia dziób w coś na kształt uśmiechu. Ale to wcale nie oznacza, że chodzi o smoki!

Starszyna tak samo bała się elfów, jak czarodziejów, i to nie bez powodu. Wprawdzie byli mniejsi i fizycznie słabsi, niemniej jednak dysponowali naprawdę potężnymi zdolnościami magicznymi, nawet według smoczyczych norm. W starciu jeden na jednego, smok by zwyciężył, lecz elfowie i półelfowie nigdy nie walczyliby ze smokiem w pojedynkę.

“Miałam okazję przekonać się co potrafią, i jedni i drudzy - pomyślała. - Gdyby udało mi się przeciągnąć jednego z mieszkańców na swoją stronę i omotać go na tyle, by pomógł mi pozbyć się starszych smoków, mogłabym wprowadzić do Rady swoich przyjaciół. W całym rodzie panuje wielkie niezadowolenie, nie tylko w mojej grupie. Nikt nie rozumie, dlaczego mamy zdwajać wysiłki, by pozostać w ukryciu, skoro nasze istnienie nie jest już żadną tajemnicą. W zasadzie nie potrzebuję robić zbyt wiele. Wystarczy osłabić trochę starszynę, omamić ich umysły, czy coś w tym rodzaju, po czym spokojnie i bez trudu przejąć ich stanowiska. Zanim się zorientują, co się dzieje, będzie zbyt późno, by mnie powstrzymać”.

Jedynie smoki, które mogłyby jej się przeciwstawić opuściły już ród.

To ostatnie stwierdzenie nie było jednak radosne. Wręcz przeciwnie, wywołało gorzkie odczucie gdzieś w zakamarkach jej umysłu. To właśnie postępowanie tych smoków

było głównym powodem ograniczeń, które ona musiała teraz znosić. Na ich czele stanęła jej własna matka; matka, która powinna wspierać Myre, zamiast trząść się nieustannie nad jej niesfornym bratem, Kemanem.

Gdyby matka nie przyniosła do domu tego przeklętego półelfiego szczenięcia albo gdyby ktoś miał po prostu tyle przyzwoitości, by się go pozbyć, zamiast pozwalać Kemanowi na trzymanie go jako zwierzątka domowego, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Szczenię rosło i skupiało na sobie całą troskę i starania, które matka Myre, Alara, powinna od początku poświęcać jej. Niezależnie od tego, co Keman zrobił, Alara rozpieszczała go jeszcze bardziej, natomiast wszystkie działania Myre okazywały się zawsze niedobre. Nawet kiedy szczenię przekroczyło w końcu niezwykle szerokie granice, jakie nakreśliła pobłażliwość Alary, i zaatakowało najlepszego przyjaciela Myre, to i tak nie zabito go, lecz zaledwie wypędzono na pustynię, gdzie musiało samo sobie radzić. I cóż zrobił wtedy Keman? Oczywiście podążył za nim.

A co zrobiła matka? Zamiast zostawić bachora samemu sobie, udała się jego śladem. Potem, kiedy uciekł, rzucając tym wyzwanie całemu leżu, powstrzymała innych od dogonienia go i należytego ukarania, tak jak mu się od dawna należało.

Myre zawrzała gniewem na wspomnienie tego, jak Alara rozpuszczała Kemana, a ją ignorowała. Żołądek palił ją z wściekłości; zacisnęła pazury na kamiennej krawędzi dachu tak mocno, że zaczęła się kruszyć. Keman, zawsze Keman!

Potem bachor wrócił i Myre pokazała mu, gdzie jego miejsce, pokonując go w pojedynku. I czy wtedy Alara pojęła wreszcie, które z jej potomstwa jest lepsze? Skądże! Zamiast tego ona i połowa starszyny poszybowała za kochanym Kemankiem i broniąc go oraz jego pieszczochów, ujawniła istnienie smoków przed tymi istotami, których od wieków starali się unikać!

W tej sytuacji każdy rozsądny smok miał ochotę drzeć wszystko na strzępy!

Gniew sprawił, że zaczynała tracić kontrolę nad swoim kształtem, więc z pewnym trudem uspokoiła się. W końcu, nie była przecież samotna. Lori była dla niej dwakroć lepszą matką niż Alara. Lori uważała, że wszystko, co Myre mówi i robi, jest słuszne, i popierała ją też w jej staraniach o zostanie nową szamanką leża.

“Matka nie raczyła poświęcić nawet odrobiny czasu na szkolenie mnie. Wszystko było dla drogiego Kemana i jego zwierzaka”.

Lecz przynajmniej teraz, kiedy cały porządek został wywrócony do góry nogami, ambitny smok miał znacznie większe szansę, by zyskać władzę w leżu. Trzeba było tylko sprytnie postępować.

“A jak już leże znajdzie się pod moimi szponami i Keman będzie miał bardzo dużo szczęścia, to może zostawię go w spokoju z jego zwierzakami. Na razie”.

Jeśli będzie miała swego własnego półelfa, to zdobycie leża będzie tylko kwestią czasu. Potem, kiedy reszta rodu zobaczy, jak świetnie sobie radzi, pozostałe leża również uznają ją za przywódcę.

“Wtedy wszyscy będą moi - elfowie, mieszańcy... Keman i jego pieszczochy. Nawet matka i Ojciec Smok nie będą w stanie mnie powstrzymać”.

Pojawiła się w tym domu kierowana odruchem buntu. Kiedy jednak zorientowała się, jak naprawdę wygląda sytuacja w domu Treves, wszystkie elementy jej wspaniałego planu złożyły się w jedną całość. Dlatego właśnie tu pozostała i starała się zjednać sobie Sheyrenę. Myre wiedziała o czymś, o czym biedna, żalosna Sheyrena nie miała zielonego pojęcia.

Brat Reny, Lorryn, był półelfem. Nie zetknął się dotąd z innymi czarodziejami - prawdę mówiąc, dopóki nie pojawiła się Zguba Elfów...

“Zguba Elfów, też coś! Można się było spodziewać po tej nieznośnej Shanie, że wynajdzie sobie takie imię. Lashana nie było dla niej dość dobre, o nie! Ona musiała mieć imię jak jakaś istota z legendy”.

...nie miał nawet pojęcia, że istnieją w ogóle inni mieszańcy. Teraz zaś na pewno nie uda mu się dostać się do nowej cytadeli, nawet gdyby utrzymywał z nimi jakiś kontakt - za bardzo musiał się wysilać, aby uchronić się przed wykryciem.

A jego szansę coraz bardziej malały. Myre dowiedziała się, że Wysocy Lordowie z Rady podjęli decyzję, żeby wszyscy elfowie płci męskiej w określonym wieku zostali sprawdzeni za pomocą zaklęć rozpraszających złudzenie. Myre dopilnowała, żeby rozeszła się pewna plotka i teraz wszystkich elfich panów opanowała obsesja.

To było naprawdę dobre posunięcie - rozpuszczenie pogłoski, że sojusznik Shany, Valyn, był w rzeczywistości półelfem. Jeżeli Dyran, który w powszechnym mniemaniu najbardziej ze wszystkich nienawidził mieszańców, mógł mieć mieszanej krwi dziedzica, to mogą oni ukrywać się wszędzie.

Lorryn wiedział jednak, że coś się szykuje - poważnie ograniczył wizyty u swych przyjaciół i zupełnie przestał bywać na oficjalnych zebraniach. Myre zaświtała myśl, iż dzisiejsze przyjęcie miało być jedną z okazji, gdzie młodzież zostanie poddana magicznemu testowi. Lorryn też mógł się o tym dowiedzieć albo się domyślić i stąd ten atak *kryszain*, który dopadł go w ostatniej chwili.

Myre już się uspokoiła i z satysfakcją rozmyślała o tym, jak wrota pułapki zamykają się wokół Lorryna. Nie może ukrywać się w nieskończoność. Prędzej czy później Wysocy

Lordowie wysła kogoś specjalnie, żeby go sprawdził tu, na miejscu, i to będzie jego koniec. A ja będę się trzymać w pobliżu, żeby odegrać rolę zbawicielki.

Karmiła umysł Reny opowieściami o smokach i czarodziejach, odmalowując idylliczne obrazy życia w leżu i w nowej cytadeli. Te opowieści z pewnością docierały potem do Lorryna. Kiedy pułapka się zatrzaśnie, ona znajdzie się przy nim w mgnieniu oka, ujawniając... - co?

“Fakt, że jestem smokiem, zachowam chyba na razie dla siebie, przynajmniej do czasu, aż bezpiecznie wyprowadzę go na pustkowie. Chyba że będę musiała dokonać zmiany kształtu, by go stąd wydostać. Na razie Rena w pełni mi ufa. Gdybym oferując się uratować Lorryna, powiedziała jej, iż jestem agentką czarodziejów, zapewne by mi uwierzyła”.

Lorryn, w końcu, też nie miałby powodu, by jej nie ufać. Myre mogła porwać go stąd i przenieść na pustynię, a potem zacząć nad nim pracować, kiedy osłabi go głód i pragnienie. Można by nim łatwo manipulować.

“Powiem mu, że pewna część smoków jest przeciwna pomaganiu półelfom i że ja usiłuję pozbawić je mocy. To nawet prawda. Jak tylko zechce mi pomagać, będę mogła usunąć starszyznę. Wtedy albo znajdę sposób, aby mieć go pod kontrolą, albo pozbędę się go”.

Słońce powoli zachodziło, zmierzch zaczynał przesłaniać chmurkami płonący horyzont, a Myre siedziała nieporuszona, planując swój ostateczny triumf.

Po przejściu pierwszego portalu Rena trzęsła się cała, natomiast przebywszy drugi, czuła się niemal ogłuszona. Podążała śladami ojca, lecz w głowie jej wirowało i była tak otepiała, że nie bardzo rozumiała, co się wokół niej dzieje. Komnata, do której przeniósł ich drugi portal, była mniej więcej wielkości gabinetu ojca; w gruncie rzeczy mógł to być gabinet lorda Ardeyna. Zostali z niego natychmiast wyprowadzeni do słabo oświetlonego korytarza, tak że nie mogła mu się przyjrzeć. Podczas przechodzenia przez drzwi odczuła jednak leciutkie mrowienie magii tuż przy skórze, tak jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie. Uznała, że jest to bez znaczenia i już więcej o tym nie myślała.

Z początku z trudem orientowała się w tym, co ją otacza, gdyż korytarz, którym prowadził ją ojciec, był bardzo ciemny. Wydawało jej się to dziwne, lecz może było tak po prostu dla efektu. Dopiero kiedy dotknęła stopą czegoś miękkiego, czegoś, co się pod nią ugięło, spojrzała przestraszona w górę i przekonała się, że ten korytarz utworzony był przez pnie i splecione gałęzie gigantycznych drzew. Dywan pod jej stopami okazał się gęstym mchem, a komnata, do której właśnie wchodzili, ogromną polaną, leśnym rajem, sceną jakby

zywcem przeniesioną z czasów przed pierwszą wojną czarodziejów.

Ponad ich głowami rozciągało się sklepienie, dające doskonale złudzenie wieczornego nieba, z księżycem w pełni i mrugającymi gwiazdami. Rena poznała, że to iluzja, tylko po tym, że gwiazdy były rozrzucone na niebie w sposób przypadkowy, a nie ułożone w konstelacje, które znała ze swych włóczęg z Lorrynem. Tam, gdzie powinny znajdować się ściany sali balowej, były tylko drzewa, których konary podtrzymywały kule ze szkła, zamykające w swym wnętrzu magicznie stworzone, wielobarwne światełka. Sprężystą podłogę upiększały płaskie, białe kwiaty rozrzucone na powierzchni mchu, które otwierały swe okrągłe płatki do fałszywego księżyca i wydzierały upajającą woń perfum, kiedy ktoś na nie nadepnął.

Lord Tylar i lady Viridina zniknęli już w tłumie. Rena miała na tyle przytomności umysłu, by odstąpić na bok i skorzystać ze schronienia, które dawały drzewa, zanim zaczęła się gapić na wszystko, co ją otaczało. Nigdy w życiu nie widziała złudzenia lub magii twórczej zastosowanych na taką skalę jak tutaj! Lord Ardeyn naprawdę nie starał się na niczym oszczędzać; stworzenie takiej scenerii wymagało zaangażowania talentów przynajmniej tuzina magów o mocy podobnej tej, jaką posiadał Lorryn!

Nagły świergot nad głową sprawił, że podskoczyła spłoszona; uniosła głowę i napotkała spojrzenie jasnych, błyszczących oczu ptaka o upierzeniu tak fantastycznym, jakiego nigdy nie udało jej się stworzyć w swoim ogrodzie. Ponownie do niej ćwierknął i nie zdążyła jeszcze go przywołać, kiedy sfrunął na jej ramię i przeszedł stamtąd na dłoń, którą automatycznie wyciągnęła. Uśmiechnęła się i zaczęła go głaskać. Ptaszek miał długi, ciągnący się ogon, wysoki grzebień i jasnoróżowe pióra, miękkie jak puch ostu. Podsuwał łepiek pod jej pieśczoły, przymykając z zadowoleniem oczy i melodyjnie świergocząc.

Chwilę później młoda łania wysunęła się z cienia i podeszła do niej, domagając się swojej porcji pieśczoły. Kiedy Rena rozejrzała się uważniej wokół siebie, stwierdziła, że więcej oswojonych zwierząt spaceruje pomiędzy gośćmi. Przeważnie nie zwracano jednak na nie uwagi, co zmartwiło ją, gdyż najwyraźniej pragnęły być zauważone i pieśczołone.

“Na pewno rzucono na nie zaklęcie, żeby trzymały się z dala od stołów oraz nie pobrudziły gościom strojów” - nasunęła jej się praktyczna myśl, która zakłóciła nieco sielankowy obraz. I rzeczywiście, jak tylko o tym pomyślała, ptaszek odleciał, usiadł na oddalonej od niej gałązce, gdzie złożył dyskretną daninę i dopiero wtedy wrócił na jej rękę.

Był to taki sam bankiet jak owe urządzone dawnymi czasy, kiedy władza elfich lordów nie była niczym zagrożona i nie rozpoczęli jeszcze między sobą waśni. Czyżby lord Ardeyn próbował w ten sposób coś zasugerować?



Prawdopodobnie nie; zapewne próbuje wyrzeć wrażenie na Wysokich Lordach, którzy pamiętają, jak to kiedyś bywało.

- Czy pragnęłabyś skosztować wina, o pani?

Tym razem zapanowała nad sobą i nie podskoczyła na dźwięk głosu dochodzącego zza jej pleców. Łania natychmiast pierzchnęła, a ptaszek odleciał na pobliski konar. Odwróciwszy się, Rena stanęła twarzą w twarz z istotą, która w niczym nie przypominała ludzkiego niewolnika, którego spodziewała się ujrzeć.

Służący podsuwający jej właśnie tacę z pięknie szlifowanymi, kryształowymi kielichami, miał głowę bociana, pokryte piórami ramiona i dłonie oraz dwa wyraźne szpony zamiast stóp. Lecz pióra miały metaliczny błękitno-czerwony kolor, na głowie pysznił się grzebień, jakiego Rena nie widziała u żadnego bociana, a ciało pod tuniką w barwach domu Hemalth było najwyraźniej ludzkie.

- Tak - odpowiedziała człowiekowi-ptakowi, który przekrzywiwszy głowę na bok, wpatrywał się w nią jednym jasnym okiem. - Chyba tak, dziękuję.

Człowiek-ptak z gracją podsunął jej tacę, po czym majestatycznie, jak bocian brodzący w wodzie, oddalił się w kierunku innych gości. Rena zamrugała oczami i obserwowała go, jak idzie. Po chwili uświadomiła sobie, że bardzo zaschło jej w ustach, więc pociągnęła łyk wina. Jego smak w niczym nie przypominał znanych dotychczas napojów. Nie zaskoczyło jej to jednak - elfie uroczystości i zabawy obfitowały w takie niespodzianki. Wino było lekko słodkie i wonne, jak kwiaty na mchu; szczypało w język i pozostawiało w ustach orzeźwiający smak.

Wkrótce oczy jej przywykły do panującego tu oświetlenia i kiedy zaczęła odróżniać służbę od gości, stwierdziła, że w zasadzie żaden ze służących nie jest w pełni człowiekiem. Za pomocą iluzji zostali oni przekształceni w półptaki, półssaki, a zauważyła nawet półinsekta o ogromnych oczach, z inkrustowanymi czułkami i delikatnie falującymi, motylimi skrzydłami. Najwyraźniej lord Ardeyn z rozmysłem podjął próbę przywołania dni chwały z okresu podboju, kiedy to ludzkich niewolników dopuszczano przed oblicze panów wyłącznie w przebraniu lub narzuconym złudzeniu, które miały ukryć ich wygląd.

Dopóki trzymała w ręku kieliszek z winem, żadne z oswojonych zwierząt nie zbliżyło się do niej. Dopiero, kiedy oddała pusty puchar przechodzącemu śludze, spośród drzew wyszedł lis i zaczął ocierać się o jej nogi jak kot. Schyliła się, żeby go pogłaskać, a on wyginał grzbiet pod pieszczotą jej ręki.

Czułaby się naprawdę szczęśliwa, gdyby mogła zostać tu, na skraju lasu i bawić się ze zwierzętami.

“Lecz jeśli ojciec zastanie mnie tutaj, zamiast wśród gości, to będzie wściekły” - pomyślała.

Z ponurą miną wzięła następny kielich wina i wypła go duszkiem, nie delektując się jego smakiem, gdyż liczyła na to, że wraz z tym musującym napojem przybędzie jej nieco odwagi. Potem z ogromną niechęcią ruszyła na środek polany, z trudem przeciskając się wśród spacerujących gości w tęczowo barwnych strojach. Miała wrażenie, że nikt jej nie zauważa, równie dobrze mogła być jednym ze służących.

Niezliczone wielobarwne światła rzucały blask na niewielki zespół muzyczny oraz grupkę osób, których dyskretna elegancja zdradzała ich rangę towarzyską. Tylko najwyżej postawieni mogli pozwolić sobie na to, by na takim przyjęciu wyglądać z pozoru skromnie.

Wśród nich znajdował się również Tylar, który robił, co mógł, by wyglądać godnie, lecz po nieznacznym ściągnięciu jego brwi Rena poznała, że jest czymś zirytowany. Może tym, że się zbyt wyszukanie ubrał? Cokolwiek to było, zmarszczka na czole nie wygładziła się wraz z pojawieniem się Sheyreny, która stanęła niepewnie na linii jego wzroku. Tak więc albo ona nie miała z tym nic wspólnego, albo też była przyczyną irytacji, choć jej pojawienie się nie rozwiązywało jeszcze sprawy.

Jeśli to była jej wina, to tak czy inaczej dowie się o tym po powrocie do domu, chyba że w tym czasie zrobi coś jeszcze gorszego.

Nagle ojciec skinął na nią, więc zaczęła się do niego przeciskać, w dalszym ciągu nie przyciągając niczyjej uwagi.

Kiedy tylko znalazła się dostatecznie blisko, Tylar chwycił ją za rękę i pociągnął ku sobie między innymi gośćmi. Zatrzymawszy się blisko niego stwierdziła, że stoi przed dwoma mężczyznami - starym i młodym. Wiedziała, że ten drugi musi być bardzo stary, ponieważ były już widoczne oznaki jego wieku. Żaden elfi lord nie pozwalał im się ukazywać, dopóki nie był bliski swego końca. Wbrew temu, co wmawiano ludziom, elfowie nie byli nieśmiertelni, chociaż istotom żyjącym krótko, mogli się takimi wydawać. Obydwaj mężczyźni pochłonięci byli rozmową z trzema damami, w tym z niezwykle ożywioną Katariną an Vittes, która uśmiechała się z zachwytem do młodszego z nich.

- Lordzie Ardeyn, Lordzie Edres, czy mogę przedstawić moją córkę, Sheyrenę? - Tylar postarał się wykorzystać pierwszą przerwę w rozmowie.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się, patrząc jej w oczy, młodszy natomiast pochylił się nad jej dłonią, nie patrząc na nią wcale. Uwaga Ardeyna była skupiona wyłącznie na Katarinie, i to do tego stopnia, że nie dostrzegał nikogo więcej. Zdaniem Reny trudno było go o to winić. Dlaczego ktoś miałby zwracać uwagę na nią, skoro w tym samym pomieszczeniu

była Katariną?

- Miło mi - powiedział lord Ardeyn z roztargnieniem i powrócił do swej rozmowy z Katariną, która nie potrzebowała kosmetyków czy biżuterii, by podkreślać swą urodę.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałem, moja droga - rzekł lord Edres, ujmując jej dłoń z tą samą skwapliwością, z jaką Ardeyn ją puścił. Uśmiechnął się do niej, co pogłębiło zmarszczki wokół jego oczu. - Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić na naszym małym przyjęciu.

Potem naprawdę ucałował jej rękę, przyprowadzając Renę o gorący rumieniec i zmieszanie, a kiedy puścił jej dłoń, zwrócił się do jej ojca.

- Masz wyjątkowo czarujące dziecko, Tylarze - stwierdził, przenosząc swój uśmiech z córki na ojca. - Słodka, skromna, świeża i niezepsuta. Jestem przekonany, że zrobi dobrą partię.

Była to najwyraźniej odprawa, a Tylar nie był na tyle niepojętny, by tego nie zrozumieć.

- Mam również taką nadzieję, panie - odparł i ścisnąwszy Renę za ramię, wyprowadził ją z kółka przyjaciół Ardeyna.

Skurczyła się wewnętrznie, czekając na jego krytykę, lecz ku jej wielkiej uldze Tylar nie żądał jej głowy za to, że nie podbiła serca honorowego gościa.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem - powiedział spokojnie, ciągnąc ją ze sobą do jakiegoś nowego miejsca przeznaczenia. Szczęśliwie dla niej, ojciec był na tyle ważny, by goście zauważali jej ciągnący się tren i nie deptali na niego. - Wygląda na to, że spodobałaś się lordowi Edresowi. Być może przypominasz mu jego córkę.

“Wspaniale! Przypominam mu upośledzoną córkę, która nawet nie potrafi się samodzielnie ubrać”.

- Szczerze mówiąc, nie miałem specjalnej nadziei, by Ardeyn zwrócił na ciebie uwagę. Zdaje się, że tamta dziewczyna przybyła jako jedna z pierwszych i nie odstąpił od jej boku przez cały wieczór. - Wydał z siebie dźwięk, który u innych mężczyzn mógłby być wzięty za lekkie westchnienie żalu. - Cóż, nie mogę zganić jego gustu. Trudno cię uznać za jakąkolwiek konkurencję dla tej piękności.

Nie było zbyt przyjemnie usłyszeć coś takiego od własnego ojca, nawet jeśli wcześniej sama to pomyślała. Poczwała, że znów się rumieni, lecz tym razem ze wstydu.

- Nie szkodzi. Jest tu mnóstwo innych młodych lordów, a do tej pory nie widziałem żadnego, który nie byłby dobrą partią. - Zatrzymał się i szorstko popchnął ją w kierunku kolejnej grupki, tym razem tancerzy. - Dalej, podejdź tam, rozmawiaj z nimi, postaraj się,

żebyś była widoczna. Wiesz co masz robić, a przynajmniej powinnaś już w tym wieku wiedzieć.

I z tymi miłymi słowy zostawił ją, stojącą z niemądrą miną, przy tańczących, a sam oddalił się w kierunku kolejnego skupiska mężczyzn roztaczających wokół siebie tę nieokreśloną aurę ważności.

Tym razem ktoś jednak nadepnął jej na tren. Miała ogromne szczęście, że akurat stała w miejscu.

- A niech to lichy! Gdzie się nie ruszę, wszędzie zrobię coś głupiego! - odezwał się ochryple jakiś młodzieniec, a Rena natychmiast nabrała przekonania, że wypił zbyt dużo.

Udało mu się zejść z trenu, nie zaplątując w nim stóp, po czym obrócił się do niej. Mogła mu się teraz lepiej przyjrzeć.

Nie był zbyt przystojny, a jego oczy miały zamglony wyraz, który była skłonna kojarzyć z nadmiarem alkoholu.

Innymi słowy, jest on taką kopią lorda Ardeyna, jak ja Katariny. Słaba, rozmyta kopia, do tego raczej nieciekawa.

- Bardzo przepraszam, wybaczy mi pani? Jest mi ogromnie przykro... i tak dalej. Jestem niezdarnym zwierzakiem, stale mi to mówią. - Zaśmiał się cicho wysokim chichotem i wtedy zdała sobie sprawę, że to nie wino go ogłupia. Był taki z natury.

Poprawka. Kopii lorda Ardeyna zapomnieli nalać oleju do głowy.

- Nie sądzę, żebyś miała ochotę zatańczyć z takim niezdara? - zapytał z nadzieją, chichocząc tym razem z podziwu nad własnym dowcipem. - Sądzę, że gdybyś uniosła tę ciągnącą się rzecz, to nie zaplątałbym się w nią ponownie i moglibyśmy przyjemnie zrobić ze dwa kólecza na parkiecie, co? - Wpatrzył się w nią z nadzieją i dodał: - Mówią, że jestem głupim osłem, ale przyznają, iż bardzo dobrze tańczę.

W innej sytuacji pewnie odpowiedziałyby na to niezręczne zaproszenie równie niezręczną odmową. Było jej go jednak żal - znalazł się tu pewnie przyciągnięty przez swojego ojca, tak samo jak ona, i to w tym samym celu. Oczekiwano od niego, by nawiązywał znajomości z pannami rokującymi możliwość zawarcia korzystnego przymierza domów poprzez małżeństwo.

“Dla niego to musi być jeszcze gorsze! Moim zadaniem jest tylko stać tutaj skromnie i liczyć na to, że ktoś zwróci na mnie uwagę. A do niego należy zrobienie pierwszego kroku”.

Uśmiechnęła się więc do niego uprzejmie i widziała jak rozjaśniają mu się oczy, kiedy skinęła głową.

“Musiał się już wielokrotnie spotkać dziś z odmową, skoro tak się cieszy na taniec ze

mną. Trudno mnie raczej nazwać piękną” - pomyślała.

Jak się okazało, nazywał się Vkeln Gildor er-lord Kyndreth; był więc potomkiem jednego z najstarszych i najpotężniejszych domów. Stanowił też zapewne wielkie rozczarowanie dla swego ojca, jednego z Wysokich Lordów. Wszystko, co jej opowiedział o swoim panu ojcu, wskazywało na to, że patriarcha rodu wielokrotnie usilnie próbował udowodnić, iż biedny Gildor nie jest jego potomkiem. Tak mu współczuła, że zatańczyła z nim jeszcze kilka razy i pozwoliła nawet przynieść sobie wino i parę przekąsek.

Nie był bardzo dobrym tancerzem, ale też nie najgorszym. Jej nauczyciel tańca nazwałby go znośnym. Poza tym znał wyłącznie stare tańce, w związku z czym większość czasu spędzili, przyglądając się z boku, jak tańczą inni. Podczas tych przerw próbował prowadzić z nią błyskotliwą rozmowę, lecz niestety, okazał się tak tępy i niemądry, jak się jej na początku wydawał. Mimo wszystko dotrzymywał jej towarzystwa. Podobały mu się oswojone zwierzątka, chociaż w kółko opowiadał o tym, jak podniecające byłoby polowanie na nie, zamiast głaskania. Najważniejsze jednak było to, że tak długo, jak była w towarzystwie mężczyzny, spełniała polecenia Tylara, a ten z pewnością nie miałby żadnych zastrzeżeń do Gildora.

W końcu jej towarzysz dostrzegł jednak starszego mężczyznę, kierującego się najwyraźniej w ich stronę, i odezwał się z nutą lęku w głosie:

- O, do licha! Tam jest mój pan ojciec i zdaje się, że mnie szuka. Było mi niezmiernie...

Nawet nie kończąc, zaczął przeciskać się niezdarnie przez tłum w kierunku ojca, jak pies wezwany gwizdem do boku swego pana.

Rena westchnęła i lawirując wśród grupki gapiów skierowała się ku krawędzi fantastycznego lasu. Najwyraźniej jej niedostatki urody lub zbyt niski status potrafił dostrzec nawet taki głuptas jak Gildor. Nie zaproponował jej nawet przedstawienia swemu ojcu, a więc zapewne uznał, że nie była tego warta.

Co tam! Zająców i wiewiórek nie obchodziło to, że wygląda jak woskowa lala w idiotycznym kostiumie, a dopóki stała tutaj, w cieniu rzucanym przez zwisające gałęzie, nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś nadeptnie na jej tren.

W innej sytuacji mogłaby się nawet dobrze bawić, gdyż zwierzęta były wyjątkowo miłe. Spodziewany ból głowy nie pojawił się, co zawdzięczała albo zręczności Myre przy pozbywaniu się ozdób, albo nieco przesadnej ilości wina, które wypila.

Właściwie teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że czuje się nieco chwiejnie i twarz ją pali. Może jednak za dużo było tego wina?

“Nie jestem przyzwyczajona, żeby tyle pić, a Gildor bez przerwy wmuszał we mnie różne trunki - uświadomiła sobie. - Muszę przyznać, że raczej desperacko. Może poinstruowano go, by dama przebywająca w jego towarzystwie miała zawsze w ręku kieliszek wina, kiedy nie tańczy. W gruncie rzeczy to bardzo dobry pomysł; dostatecznie wstawiona partnerka mogłaby nie zauważyć, że jest takim głuptasem. Kiedy jest się pijanym, wszystko wydaje się zabawne”.

Już zupełnie poważnie pomyślała o tym, by poprosić któregoś z usługujących o przyniesienie jej czegoś, na czym mogłaby usiąść. Właśnie miała to zrobić, gdy zauważyła ojca, który szedł długimi krokami przez tłum i najwyraźniej rozglądał się za nią.

On także ją dostrzegł w momencie, gdy zwierzęta rozbiegły się, szukając kryjówek - prawdopodobnie wyczuły ogarniający ją lęk. Skierował się prosto do niej, roztaczając wokół siebie atmosferę napięcia, a tłum młodzieży rozstępował się przed nim z szacunkiem.

Ponownie złapał ją pod rękę, lecz tym razem poczuła wdzięczność za to oparcie i wcale się nie opierała, kiedy pociągnął ją za sobą w kierunku wyjścia z leśnej sali balowej.

- Czy wychodzimy, ojcze? - spytała z nadzieją w głosie. Tylar nie zwrócił uwagi na ton jej głosu.

- Nie będę dziś wieczór załatwiał więcej spraw - odrzekł krótko. - A wino leje się tu zbyt szerokim strumieniem, jak na mój gust. Pora już, żebyśmy wszyscy wrócili do domu.

“Czyżby zauważył, że jestem wstawiona?” - pomyślała, a nagły przyływ paniki przyprawił ją o dreszcz.

- Część przyjaciół Ardeyna jest dość rozwydrzona. - Jest On w wielkiej komitywie z przyjaciółmi lady Triany, a nie chciałbym, byś była w pobliżu, kiedy zaczną się jakieś awantury - ciągnął. - Słyszałem o nim niezłe historyjki, zresztą, mniejsza o to. Już wkrótce się to skończy. Związek z domem Vittes jest niemal ustalony. Spodziewam się, że może nawet jutro go ogłoszą.

“Czemu mnie to nie dziwi?”

Zastanawiała się, czy powinna to jakoś skomentować, ale ojciec najwyraźniej nie oczekiwał tego.

- Nie jest to najlepsza partia, ty byłabyś lepszą, jeśli brać pod uwagę dziedziczną moc, lecz jest zadowalająca. Staruszek najwyraźniej skłonny jest rozpieszczać chłopaka, pozwalając mu dokonać własnego wyboru.

Ton jego wypowiedzi wyraźnie sugerował to, czego nie wypowiedział słowami: “Ja osobiście nigdy nie pozwoliłbym na rozpuszczanie swojego syna w taki sposób”.

- Tak, panie - przytaknęła automatycznie, lecz zdawał się tego nie zauważać.

- Podczas gdy cię szukałem, Viridina poszła już przodem.

W końcu, kiedy przebili się już przez resztę ciżby i weszli w opustoszały korytarz, zdecydował się na nią spojrzeć.

- Czy zrobiłaś tak, jak ci kazałem? Byłaś miła dla któregoś z tych młodych ludzi?

Odczuwała teraz bezmierną wdzięczność dla Gildora głuptasa, i to nie tylko za dotrzymanie jej towarzystwa; dzięki niemu mogła odpowiedzieć ojcu zgodnie z prawdą:

- Tak, panie. Poproszono mnie nawet kilkakrotnie do tańca.

- Dobrze. - Lord Tylar nie uśmiechnął się wprawdzie, lecz w jego skinieniu głową była pewna szorstka pochwała.

Było to ostatnie słowo, które do niej wypowiedział. Potem po prostu włożył ją za sobą, zupełnie jak bagaż, przez pierwszy portal, w poprzek Sali Rady i przez drugi. Kiedy znaleźli się ponownie w różowych wnętrzach marmurowego holu jego własnego dworu, zostawił ją, zabierając ze sobą jej eskortę. Musiała więc sama odbyć wyczerpującą drogę z powrotem do swych pokoi, gdzie poddała się ponurej obsłudze czekającej tam blond niewolnicy. Nie wiadomo, czy to z powodu wina, czy ze względu na zmęczenie, nie zwróciła prawie uwagi na gburowate zachowanie dziewczyny; zresztą nie bardzo docierało ono do jej zmęczonego umysłu.

Złożywszy głowę na puchowej poduszce w swym własnym łóżku, zapadła natychmiast w sen.

### ROZDZIAŁ 3

Rena sama się obudziła, co było doprawdy niezwykle - zazwyczaj poranek zwiastowało pojawienie się trzech niewolnic, które budziły ją wcześniej, zgodnie z regulaminem wprowadzonym przez ojca. Był on zdania, że dziewczyna nie powinna wylegiwać się zbyt długo po nastaniu świtu, gdyż to zachęca do próżniactwa. Nie miała pojęcia, jak doszedł do tego przekonania; jakim cudem ona i matka mogłyby być jeszcze bardziej beczynne niż obecnie?

Lecz beczynność to nie to samo co próżniactwo czy lenistwo. Fakt, iż były zmuszone siedzieć z założonymi rękami, nie oznaczał, że folgowały swoim zachciankom.

Prawdopodobnie dla ojca była to jeszcze jedna okazja, by narzucić im swoją wolę. Wczesne wstawanie nie miało kompletnie żadnego znaczenia, gdyż jeśli zdarzyło jej się do późna czytać wieczorem w łóżku, to zawsze gdy tylko służące skończyły ją ubierać, mogła zdrzemnąć się w ogrodzie.

Dzisiejszy dzień był jednak wyjątkowy. Albo obudziła się znacznie wcześniej niż zazwyczaj, albo, co było bardziej prawdopodobne, ojciec wydał polecenie, by pozwolono jej pospać do woli i odzyskać siły po wczorajszym wyjątkowo długim wieczorze i przeżytych na przyjęciu emocjach. Wreszcie doczekała się, że okazał jej takie same względy jak swoim najlepszym klaczom.

Dotknęła rzeźbionego kwiatka w zagłówku łóżka, dzięki czemu nad jej głową pojawiło się natychmiast magiczne przytłumione światelko, dostateczne, by mogła przy nim czytać. Nie była w stanie określić, która jest godzina, gdyż nie mogła stąd dostrzec ani zegara wodnego w salonie, ani słońca nad dworem, miała jednak wrażenie, że jest godzina albo dwie po wschodzie słońca.

Odczuwała leciutki ból głowy, lecz poza tym nic jej nie dolegało, mimo sporej dawki wina, którą wczoraj wypila. Była to przyjemna niespodzianka. "Lorryn nieraz uskarżał się na fatalne samopoczucie po przyjęciach. Albo to wino nie było takie mocne, jak mi się wydawało, albo wypila znacznie mniej, niż myślałam".

Prawdopodobnie to pierwsze. Lord Ardeyn zapraszając grono sybarytów, którzy objali się razem z V'dann Trianą lady (a może należy mówić "lordem") Falcion, mógł dyskretnie zamienić mocne wino preferowane przez elfich panów na jakiś mniej upajający napój, przynajmniej podczas wcześniejszej części wieczoru. Nawet do Reny uszu dotarło wiele historyjek na temat Triany. Ta mająca nie najlepszą opinię dama domagała się po



porażce lorda Dyrana prawa do usunięcia ze swego nazwiska tytułu er-lorda. Przyznano jej to prawo, a ona ogłosiła się głową domu Falcion. Mówiono, że Triana pozwala sobie na wszelkie możliwe ekscesy - w porównaniu z jej towarzystwem, przyjaciele Lorryna byli dziećmi bawiącymi się w "Mam chusteczkę haftowaną". Większość młodzieży z jej kręgu miała rodziców stojących zaledwie o stopień wyżej od zwykłych rentierów, żyjących z łaski potężniejszych panów. Pozostali byli rzadko zdarzającymi się, trzecimi lub czwartymi dziećmi, bezużytecznymi dla swych rodziców, gdyż żaden elfi władca nigdy nie dzielił swych posiadłości i żaden też nie zgodziłby się na małżeństwo swego dziecka z kimś pozbawionym ziemi, chyba że nie miałby innego wyboru. Mogli pozwolić sobie na rozwiązłość, gdyż nikogo nie obchodziło, co robią, i nikt nigdy nie przydzielał im żadnych obowiązków. Większość spędzała czas na nie kończących się zabawach lub na podróżach z miasta do miasta, gdzie zatrzymywali się w miejskich domach przyjaciół i ich rodziców. Zazwyczaj wydzielano im takie kwoty, by mieli zajęcie wydając je, lecz zbyt małe, by popaść w prawdziwe kłopoty.

"Wielka szkoda, że tak się dzieje. Z pewnością niejeden z nich jest mądrzejszy od biednego Gildora i byłby znacznie lepszym dziedzicem posiadłości ojca niż on - rozmyślała Rena. - Jeśli już o to chodzi, przychodzi mi na myśl kilka dziewcząt, które też byłyby lepsze".

Skrzywiła się na myśl o Gildorze. Znając ojca, zdawała sobie sprawę, że zainteresowanie tego młodzieńca było dla niej ratunkiem tylko na krótką metę. Postąpiła wprawdzie zgodnie z rozkazami Tylara, a przynajmniej z jego zasadą, ale to tylko najzwyczajniejszy przypadek sprawił, że nawet takie zero jak Gildor poświęciło jej nieco uwagi. Dla pozostałych er-lordów mogła być równie dobrze jednym z oswojonych zwierząt. Szansę na to, by z wczorajszego przyjęcia wynikło coś, co mogłoby zaspokoić wymagania ojca, były doprawdy bardzo niewielkie.

"Jeśli będę miała szczęście, to ojciec będzie miał tyle spraw na głowie, że pozostawi mnie znów w spokoju. Jeżeli nikt nie prześle żadnych zapytań o mnie, to będzie o to winił mnie i matkę. Zapewne zapomni nawet o tym, że Katarina całkowicie podbiła serce lorda Ardeyna i zarzuci nam, że jakoś go nie oczarowałyśmy. A wtedy - cóż, będę musiała przez rok poświęcić się lekcjom tańca, lekcjom muzyki, chodzenia, rozmawiania, ubierania..."

Przynajmniej będzie to jakieś zajęcie.

Z drugiej strony, takie lekcje zabiorą jej cenny wolny czas. Nie będzie już przejażdżek konnych z Lorrynem, chyba że uda mu się w magiczny sposób wykraść ją nauczycielom. Nie będzie już godzin spędzonych w bibliotece, buszowania w książkach zgromadzonych nie tylko przez Trevesów, lecz również przez dom Kaullis, który zajmował tę posiadłość przed

nimi. Mało zostanie też czasu na ogród i ptaki.

Mimo wszystko, w pewnym sensie byłyby to wolność, ponieważ nie będzie miała czasu na żadną z tych przyjemności, gdy przestanie być Sheyreną van Treves, a stanie się lady Sheyreną, żoną... żoną kogokolwiek. Tylar uzna w końcu, że pobrała już dosyć lekcji, szczególnie, jeśli nauczyciele stwierdzą jej biegłość w ich dziedzinach, i znów zostawi ją w spokoju.

“Trudno, żebym nie była biegła. Pobrałam do tej pory więcej lekcji zachowania się - jak być doskonałą damą - niż trzy inne dziewczęta razem. Gdyby lekcje mogły dodać mi uroku, to Katarina nie miałaby ze mną najmniejszych szans”.

Skoro lekcje są potrzebne, by zdobyć dla siebie jeszcze odrobinę tej wolności, którą cieszy się obecnie, w takim razie zniesie je, jako warte nagrody.

“Za wolność zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę, a im więcej tej wolności, tym wyższy koszt - pomyślała z westchnieniem. - Ciekawe, ile kosztowałyby mnie prawdziwa wolność? Zapewne więcej, niż byłabym gotowa zapłacić. Mimo wszystko, miło byłoby mieć świadomość, że jest dostępna”.

Sięgnęła pod poduszkę i wyjęła książkę, którą tam schowała. Miała to być opowieść o romansie i zdradzie - czy one zawsze muszą iść w parze? - z czasów, gdy wszystkie elfy mieszkały w Evelonie.

Był to dla niej najbardziej interesujący temat, oczywiście, gdy nie mogła czytać o smokach. Skoro miało jej pozostać niewiele wolnego czasu na czytanie, to musi go jak najlepiej wykorzystać.

Skąpany w słońcu sokół wzbił się wysoko ponad doliną, wypatrując na leżących poniżej łąkach nieostrożnych królików. Lashana myślami nawiązała luźny kontakt z jego umysłem, rozkoszując się wrażeniem lotu bez wysiłku. Ostatnimi czasy dosyć się napracowała, a to nie był jeszcze koniec. Wraz z władzą, a przynajmniej pozorami władzy, pojawiła się ogromna ilość obowiązków.

Była to piękna dolina i o wiele lepsze miejsce niż to, gdzie mieściła się pierwotna cytadela, nawet jeśli nie wszyscy byli skłonni to przyznać. Trudno się wyzbyć starych nawyków, więc zapewne zbudują tu swoją nową fortecę z wszelkimi zabezpieczeniami, jakie miała stara, chociaż wcale nie muszą tego robić. Elfi władcy znajdują się daleko stąd, a ani ona, ani inni zwiadowcy nie widzieli śladów czyjegokolwiek zamieszkiwania na odległość kilkudniowej podróży we wszystkie strony.

Smoki uważały, że miejsce to ma wiele zalet. Umiarkowany klimat, gęsty, niezwykle

stary las o drzewach liściastych i iglastych oraz obfitość zwierzyny. Jedynym problemem będzie tu zdobywanie żywności innej niż mięso - czarodzieje byli tak przyzwyczajeni do kradzieży z magazynów elfów tego, co było im potrzebne, że niewielu z nich orientowało się w zasobach puszczy. Sądziła, że zaledwie kilku może wiedzieć, które rosące dziko w lesie rośliny są jadalne. Mogliby oczyścić kilka akrów ziemi i posadzić tam warzywa, lecz stanowiłoby to widomy znak, że tu mieszkają, więc nie sądziła, by starszyzna w ogóle brała pod uwagę taką możliwość.

Nie mówiąc już o tym, że sadzenie, dalsza uprawa i zbieranie są ciężką, fizyczną pracą, i jedynie nieliczni spośród nich zdecydowałiby się na takową.

Teraz nie pora jednak o tym rozmyślać. Wszelkie takie decyzje to kwestia przyszłości, a ona przynajmniej raz nie będzie myślała o przyszłości. Będzie po prostu obserwować teren oczami sokoła i napawać się pięknem rzeki, błękitem nieba, majestatycznymi drzewami rwącymi się w górę...

- Cóż, Zgubo Elfów, jak ci się podoba rola bohatera?

Shana uwolniła umysł sokoła, odwróciła się od ptaka i ze srogą miną spojrzała na smoka Kalamadeę, który przybrał obecnie postać starego czarodzieja-półelfa o porytej zmarszczkami twarzy. W tej postaci miał jasnozielone oczy i spiczaste uszy, odziedziczone po domniemanym elfim ojcu, oraz grube rysy, opaloną skórę i siwe włosy, które zawdzięczałby ludzkiej matce.

- Ojczy Smoku, wolałabym, żebyś nie nazywał mnie tym imieniem - powiedziała rozgniewana. - Nie lubię go.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Kalamadea, siadając obok niej na skalnej półce, która wieńczyła zbocze wzgórza. - Pasuje do ciebie; albo ty pasujesz do niego.

- Które? Bohater czy Zguba Elfów? Żadne z tych imion mi się nie podoba - odparła, zwracając spojrzenie z powrotem ku niebu w poszukiwaniu sokoła. - Nie lubię być nazywana Zgubą Elfów, bo nie chcę, aby patrzono na mnie jak na jakieś uosobienie przeznaczenia czy na symbol. Jestem sobą, prostą, zwykłą Lashaną i nic nie poradzę na to, że niektórym wydaje się, iż pasuję do tej zwariowanej legendy, którą zresztą wy, smoki, wymyśliłyście. Jest przecież mnóstwo innych osób, które tak samo nadają się do niej, w każdym razie można ich doń dopasować! Dlaczego Zgubą Elfów nie nazwać Cienia? Albo Zeda czy nawet Denelora?

- Lecz to ty jesteś tą jedyną osobą, która faktycznie stanęła na czele powstania przeciwko elfim panom dla dobra zaledwie kilku ludzkich niewolników - odparował kpiarsko Kalamadea, pociągając swawolnie za pasmo jej długich włosów. - I jedyną, która skłoniła smoki, by jej pomagały!

- Och, przestań - jęknęła, porzucając próby obserwacji. - Gdybym ja czegoś nie zrobiła, to ty i tak znalazłbyś sposób, by się wmieszać, i to ty poprowadziłbyś pozostałych na pomoc czarodziejom. Doskonale wiesz, że tak byś postąpił!

- Doprawdy? - Kalamadea nie znalazł innej odpowiedzi. - Lecz ja nie jestem bohaterem, Shano.

- Ja też nie - odrzekła z uporem. Potem z ciężkim westchnieniem dodała: - Żaden też ze mnie przywódca, niestety. Szkoda, że nie byłam w tym szkolona, mam na myśli kierowanie ludźmi. Okropne jest to, że muszę pokładać zaufanie w Parth Agonie po tym, jak próbował mnie wykorzystać, lecz on przynajmniej wie, jak skłonić innych, by robili to, czego on chce. Wszyscy przywykli do myślenia o nim jako o głównym czarodzieju, więc przeważnie po prostu wykonywali jego polecenia, nie zastanawiając się nad nimi. W moim przypadku tak nie jest. O, twierdzą, że jestem ich przywódcą, lecz nie potrafię ich przekonać do swoich racji nawet, gdy są jasne jak słońce. Weź chociażby przykład cytadeli - udało mi się znaleźć najlepsze miejsce na świecie, ogromny kompleks jaskiń nad rzeką, w zasobnej dolinie, a oni nadal muszą się sprzeczać, czy tu budować nową twierdzę! A ten Caellach Gwain bynajmniej nie ułatwia mi życia.

- Idzie ci lepiej, niż sądzisz - zaczął Kalamadea i przerwał w pół zdania. Shana podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzała smoka w swej naturalnej, imponującej postaci, a na jego grzbiecie półelfiego jeźdźca. Szybowali równolegle do zbocza, na którego szczycie siedziała Shana, wykorzystując ciepły prąd wznoszący, pozwalający im się prześlizgiwać tuż ponad wierzchołkami drzew. - O, twój przybrany brat i twój młody przyjaciel. Muszą mieć wiadomość od reszty czarodziejów - powiedział Kalamadea.

Dobrze odgadł tożsamość nowo przybyłych, gdyż smok był jasnoniebieski i niewielki według smoczyczych standardów, a jeździec nie większy od Shany. Szybko wznosili się w górę zbocza, by z grzmiotem skrzydeł i podmuchem, który unosił w powietrze kępki trawy, wylądować obok Shany i Kalamadei.

Drobny, ciemnowłosy jeździec z pośpiechem sturlał się z grzbietu błękitnego smoka - jak Shana wiedziała z własnego doświadczenia, taka jazda nie była bynajmniej przyjemnością - i podszedł do nich, a smok tymczasem przybrał postać czarodzieja, żeby zajmować mniej miejsca. Shana odwróciła wzrok, gdy Keman zmieniał kształt na niskiego, muskularnego, brązowowłosego półelfa; specyficzne falowanie towarzyszące temu przekształcaniu zawsze przyprawiało ją o mdłości, jeśli zbyt dokładnie się temu przyglądała.

- Mam dobrą i złą wiadomość - oznajmił Mero, znalazłszy się dostatecznie blisko nich, by być słyszany. Z tej odległości wyraźnie już były widoczne szmaragdowe oczy i

odrobinę tylko spiczaste uszy, świadczące o jego mieszanym pochodzeniu. - Dobra wieść to ta, że nawet Caellach zaakceptował w końcu jaskinie jako najlepsze miejsce na nową cytadelę; Keman znalazł za nimi źródło i przeprowadził wodę na górę przez podłogę. Mając stały rezerwuar świeżej wody w samym środku naszej twierdzy, nie ma sensu szukać domu gdzie indziej.

- A zła wiadomość? - spytała Shana, która dostrzegłszy lekkie drganie ust Cienia, gdy odrzucał z oczu długie włosy, domyśliła się już, że będzie to raczej coś żartobliwego niż naprawdę złego.

- Zła to ta, że jedynym miejscem, do którego mógł ją doprowadzić, jest zespół jaskiń wybranych przez ciebie na swoje leże. - Drżenie ust Mero przeszło w szeroki uśmiech, który ukazał komplet wspaniałych, białych zębów. - Przykro mi, wszystko jest teraz pod wodą. Bardzo zimną wodą, mogę dodać.

Shana jęknęła, lecz tylko na pół serio. Jaskinie, które ona i pozostała trójka znaleźli, były dostatecznie rozległe, by każdy - smoki, czarodzieje, dawni ludzcy niewolnicy - mógł sobie wybrać jakie zechce mieszkanie, a i tak zaledwie jedna dziesiąta będzie zamieszkana. Wprawdzie miejsce to znajdowało się bliżej elfów, niż Shana by sobie życzyła, lecz jednak dość daleko od granic wszelkich ziem znajdujących się pod ich kontrolą.

Jednakże gdyby nie smoki, jaskinie te nie stanowiłyby najlepszego wyboru. Wprawdzie półelfowie byli czarodziejami, lecz nie mogli dostarczyć wody tam, gdzie jej nie było, ani kształtować skał w inny sposób niż narzędziami, za pomocą własnych rąk. Ich magia obejmowała atak i obronę, zdolność tworzenia złudzeń oraz przenoszenia osób i przedmiotów, a w wyjątkowych wypadkach umiejętność stworzenia czegoś nowego. Nie mając do pomocy smoków, musieliby budować wszystko sami, a nie przebudowane jaskinie byłyby wilgotnym i ryzykownym mieszkaniem. Wszyscy też byli zgodni, z przyczyn oczywistych, że nowa cytadela musi mieć wewnętrzne źródło wody.

“Nie są przyzwyczajeni do używania rąk i narzędzi po stuleciach zamieszkiwania w komfortowych warunkach cytadeli zbudowanej przez pierwszych czarodziejów” - rozmyślała Shana, i to nie po raz pierwszy. Czarodzieje wiedli życie w beczynności i względnym luksusie, dopóki nie pojawiła się ona i nie zburzyła im tego świata. Wszystko, czego potrzebowali, kradli za pomocą magii od elfów. Cytadela była już zbudowana, i to całkowicie - nie musieli się nawet martwić o remonty, bo kiedy jakiś pokój przestawał nadawać się do zamieszkania, jego właściciel po prostu się przeprowadzał. Z czasów wojny czarodziejów pozostały dziesiątki, a nawet setki nie zamieszkanymi pokojami. Nudne obowiązki domowe, takie jak gotowanie czy sprzątanie, wykonywali za nich uczniowie - dzieci mieszanej krwi,

porywane przez agentów czarodziejów, zanim zostały odkryte i zamordowane przez swych ojców lub panów. Czarodziejem nie zostawało się za darmo. Za okres nauki trzeba było zapłacić, wykonując pracę służącego u uznanego czarodzieja, do momentu, aż pozostali stwierdzili, że dostatecznie wykształcił swą moc magiczną. Uczniów nigdy nie brakowało; Denelor, mistrz Shany, przez dziesiątki lat nie kiwnął nawet palcem, by posprzątać swoje mieszkanie.

Nie zawsze jednak tak było; kiedy czarodzieje po raz pierwszy zebrali się razem, dzielili się tylko na doświadczonych i niedoświadczonych - nie było uczniów, którzy usługiwaliby swoim mistrzom. Wszyscy pracowali ramię w ramię, najpierw przy tworzeniu cytadeli, a potem przy organizowaniu powstania, które miało przynieść wolność im oraz ludzkim niewolnikom.

“Tym z pewnością będę musiała się zająć” - pomyślała. Nie mogła oprzeć się uczuciu ponurej satysfakcji. Mimo całej sympatii do Denelora, nie sprawiało jej specjalnej przyjemności granie roli jego służącej, a wielu innych czarodziejów również bezwstydnie czerpało korzyści ze swej pozycji. Teraz znów będą pracować wszyscy razem, czy im się to spodoba, czy nie. Tych kilkoro ludzi, którzy obecnie z nimi przebywali, to były głównie dzieci, a nawet czarodziej o najbardziej kamiennym sercu nie kazałby dziecku wykonywać takiej pracy. Tylko elfi władcy byli na tyle okrutni, by zmuszać maleństwa nie mające jeszcze dziesięciu lat do tak samo ciężkiej, fizycznej pracy jak dorosłego.

Jeszcze raz pomyślała o smokach. Naprawdę, gdyby nie one, to jaskinie w najlepszym razie nadawałyby się na tymczasowe schronienie.

Smoki mało że potrafiły magicznie kształtować skały, to jeszcze bardzo lubiły to zajęcie. Keman zgłosił się na ochotnika do poszukiwania wody, jak tylko jeden z czarodziejów zaczął wyrzekać na jej brak. Pozostałe smoki miały modelować i przekształcać wybrane miejsca zgodnie z indywidualnymi życzeniami mieszkańców oraz do swego własnego użytku. Czarodzieje z kolei mogli skupić swe wysiłki na znajdowaniu zapasów żywności, urządzaniu swoich mieszkań, a przede wszystkim na opracowaniu sposobu zdobywania tych rzeczy, które dotychczas kradli elfom. W przeciągu kilku miesięcy powinni mieć nową kwaterę, lepszą niż stara cytadela, a już z pewnością lepiej przystosowaną do obrony.

- Lubię to miejsce - odezwał się z prostotą Keman, opadając na ziemię obok pozostałej trójki.

Shana podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem ponad falistymi wzgórzami pokrytymi łąkami i lasem, po czym przytaknęła ruchem głowy. Do tej pory ani ona, ani inni zwiadowcy

nie znaleźli żadnych oznak, by ktoś tu przed nimi mieszkał. Jeśli były tu jakieś potwory czające się na obrzeżach posiadłości elfów, to musiało ich być niewiele i dobrze ukrytych. Elfowie zakładali zapewne, iż czarodzieje zdążyli już sobie znaleźć miejsce pod budowę nowego schronienia, lecz nie mieli pojęcia, gdzie ono dokładnie jest i przy odrobinie szczęścia tak już zostanie. Czyż istnienia starej Cytadeli nie udało się utrzymać w tajemnicy przez setki lat? A przecież była ona otoczona przez posiadłości elfów. Z pewnością to miejsce uda się uchronić przed odkryciem, przynajmniej na razie.

- Mnie też się ono podoba - niespodziewanie odezwał się Mero. - Żeby tylko można pozbyć się jakoś połowy tych twardogłowych, których musieliśmy ciągnąć ze sobą. Odrobina mniej narzekania i odrobina więcej pracy, a wszystko byłoby zrobione o wiele szybciej.

Shana zrobiła kwaśną minę.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała. - Jeśli jeszcze któryś z tych siwobrodych przyjdzie i zacznie pojękiwać na temat dawnych dobrych czasów, to spakuję się i sobie pójdę. Ja doskonale dam sobie radę w lasach, chciałabym widzieć, jak im uda się mnie znaleźć!

“Niech sobie radzą przez jakiś czas bez swojego przywódcy, a przekonają się, dokąd ich to zaprowadzi. Zobaczymy, czy któryś z nich potrafi zapewnić wszystkim pożywienie i inne niezbędne rzeczy, skoro nawet nie wiedzą, jak się poluje!”

- Nie kuś mnie, bo się do ciebie przyłączę! - stwierdził Mero. - Wprawdzie nie jestem przyzwyczajony do włączenia się po dzikich pustkowiach, ale wolę obozować na dworze w śniegu i deszczu, niż wysłuchiwać ich ustawicznych utyskiwań na najmniejszą niedogodność. Przecież niewiele brakowało, żeby w tej chwili byli już martwi, zamiast budować nową siedzibę, a to byłoby bez porównania bardziej niedogodne niż konieczność obywatelstwa bez części rzeczy. - Potrząsnął głową. - Nigdy ich chyba nie zrozumiem. Spójrz na wszystko, czego dokonałaś: przerwałaś oblężenie, umożliwiłaś im walkę z elfami aż do rozejmu, pomogłaś zawrzeć umowę, która zabroniła elfim władcom podążać za nami; potem cała nasza czwórka miesiącami przeczesywała różne tereny, żeby znaleźć to miejsce, więc o co im chodzi; czy nie powinni być zadowoleni?

Shana wzruszyła ramionami, ona też tego nie pojmowała. Była przyzwyczajona do życia w znacznie bardziej prymitywnych warunkach niż te tutaj; ściśle mówiąc, przez pierwsze czternaście lat swego życia nie miała nawet w ustach gotowanej strawy, gdyż smoki, które się nią opiekowały, jedzą wszystko na surowo i ona robiła to samo. Lecz Mero, kuzynmieszaniec biednego Valyna, przyzwyczajony był do wygodnego życia specjalnego sługi elfiego pana, a umiał wręcz doskonale przystosować się do niewygód i prymitywnego trybu

życia. Dlaczego ci narzekający czarodzieje nie mogą zrobić tego samego? Na Ogień, jeśli tak im brakuje tego wszystkiego, to czemu po prostu nie użyją swojej magii, żeby odtworzyć to, co zostawili za sobą?

“Ponieważ wtedy musieliby współpracować - połączyć swoją moc i skoncentrować ją, używając tej sztuczki z klejnotami, której ona się nauczyła. I to właśnie jest przyczyna! Nigdy nie będą ze sobą współdziałać, dopóki każdy jest tak zazdrosny o swoją moc. Poza tym nigdy nie przyznają, że mogłam się nauczyć czegoś pożytecznego”.

Obojgu im odpowiedział Kalamadea.

- Myślę, że oni okazują niezadowolenie, ponieważ nie jesteśmy już w bezpośrednim niebezpieczeństwie - rzekł w zamyśleniu, skrobiąc się palcem po brodzie. - Odkąd minęło zagrożenie, ci twardogłowi starcy zapomnieli, że to Shana była ich główną pomocą w walce z elfami, za to doskonale pamiętają, że to ona sprowadziła elfów w pobliże ich kryjówek, a tym samym pozbawiła ich całego komfortu, który tam mieli. Wydaje im się logiczne, by uważać raczej Shanę a nie elfich władców za sprawcę ich obecnej ciężkiej sytuacji.

Mero prychnął.

- Tym bardziej musisz zabrać mnie ze sobą, Shano, jeśli zdecydujesz się opuścić tych malkontentów. Kiedy ciebie zabraknie, mogą uznać, że teraz mnie należy winić.

Shana zaśmiała się i klepnęła przyjaciela po ramieniu.

- Dobrze, umowa stoi - rzuciła lekko. - Jeśli skoczę, zabieram cię z sobą.

Keman wzniósł oczy ku niebu.

- Gdy będziesz miała zamiar uciec, nie zapomnij nas uprzedzić! - wykrzyknął. - My smoki jesteśmy tu tylko ze względu na ciebie, mały dwunogu, więc kiedy znikniesz, ani myślimy tu zostawać. Sądysz, że mamy ochotę wysłuchiwać ich pretensji, gdy ciebie zabraknie i wszystko skrupi się na nas?

- Nie przypuszczam. Nikt by tego nie chciał - przyznała.

- Na dłuższą metę jest to nie do zniesienia.

Caellach Gwain zbadał jaskinię, która miała stać się jego domem na resztę życia, i zawrzał oburzeniem. Smok, który przygotował ją dla niego, faktycznie wygładził ściany i podłogę, wywiercił szyb wentylacyjny sięgający na powierzchnię, a jaskinia nie ociekała już wilgocią tak jak uprzednio. Obiecano mu też, że później zjawi się inny smok, który przekształci niewielką niszę w wannę i pewne niezbędne urządzenie, a drugą w komin i komin. Smoki przysięgały, że nie będzie żadnego problemu ze stworzeniem prawdziwych urządzeń sanitarnych i porządnego źródła ciepła.



Co z tego, skoro i tak była to nadal tylko jaskinia z odrobiną jego dobytku, złożoną żałośnie na kupkę w jednym kącie, i nic nie było w stanie zmienić jej w cokolwiek innego. To nie to, co jego wygodne mieszkanie w starej Cytadeli, składające się z czterech prawdziwych pokoi z prawdziwymi ścianami, podłogą i sufitem z ciepłego drewna. Nie było tu żadnych mebli i nie będzie, dopóki ktoś nie nauczy się, jak je robić. Nie ma łóżka, ani stołów, ani krzeseł; nie ma też dywaników, poduszek, kołder...

“Nie ma mi kto sprzątać i gotować, a wszystko jest postawione na głowie - bachory, które powinny być jeszcze uczniami, zabawiają się w naszych dowódców, a ci którzy powinni stać na czele, muszą słuchać ich rozkazów. - Caellach wykrzywił się ze złością.

- A gdyby nie te szczeniaki, siedziałbym sobie teraz w ulubionym fotelu z filiżanką herbaty, a może grzanego wina z przyprawami”. Jego usta aż zwilgotniały z pożądania.

Nie zapomniał, że to przez tę Shanę zostali zmuszeni do ucieczki z Cytadeli i nie miał zamiaru pozwolić komukolwiek o tym zapomnieć. Gdyby nie użyła nierozważnie starego zaklęcia transportującego, żeby przenieść siebie i trójkę swych głupich przyjaciół prosto do Cytadeli, kiedy tylko uznała, iż rzekomo są w niebezpieczeństwie, elfi władcy nigdy by się nie dowiedzieli o istnieniu twierdzy i zamieszkujących ją czarodziejów. Wszystko byłoby po staremu, tak jak być powinno.

Wygodnie i bezpiecznie.

Ilekcóż próbował dochodzić swoich praw i przywrócić uczniów do przydzielonej im pracy, słyszał, że czasy się zmieniły i musi sam zadbać o siebie. On jednak nie widział powodu, dla którego miałyby się coś zmienić, szczególnie teraz. Czy nie było obowiązkiem młodych troszczyć się o dobro starszyny? Przecież zawsze tak było. Starsi odpłacali im za to mądrością oraz doświadczeniem, i to było jedynie słuszne.

Najwyraźniej jednak nie były to zasady, na których opierał się nowy porządek.

- Każdy, kto jest sprawny fizycznie, będzie musiał sam dbać o siebie - powiedziano mu szorstko. - My rozpoczniemy prace, lecz kiedy kwatery zostaną z grubsza przygotowane, sami będziecie musieli je urządzić i sami zaspokajać swoje potrzeby.

Cóż za bezczelność! - aż się w nim zagotowało. - To na pewno rozkazy tej Shany! Nigdy go nie lubiła, bo nieraz ustawił ją na właściwym miejscu. Chętnie by się założył, że jej własny mistrz, Denelor, też nie potrafił sobie poradzić bez pomocy swych uczniów!

A właściwie, to co ich zdaniem miałby zrobić, żeby przekształcić tę norę w coś nadającego się do zamieszkania? Nie mógł, jak za dawnych czasów, ukraść elfom tego, czego potrzebował, to była część tej fatalnej umowy, którą zawarła Shana. Zresztą i tak w chwili, kiedy by to zrobił, oni by już wiedzieli, gdzie teraz się znajdują. To by było głupie, nawet

według tych bachorów. Czyżby sądzili, że pójdzie ścinać drzewa i robić samodzielnie łóżko, szafę i krzesła? A może ma też sam utkać sobie koce? Czy oni wszyscy powariowali?

“Oczywiście, że tak - sam sobie udzielił odpowiedzi, zaciskając zęby. - Nie zrobiliby tego wszystkiego, gdyby nie byli szaleni. Przede wszystkim nie wszczynaliby walki z elfami, tylko pozbawili tę Shanę przytomności i zostawili, żeby tamci ją znaleźli. W końcu nie mieli powodu, by podejrzewać, że jest więcej niż jeden mieszaniec. Shana powinna była z radością poświęcić się, by uratować nas wszystkich. To był jej obowiązek! A nie wciąganie nas w wojnę, której ani nie planowaliśmy, ani nie chcieliśmy. I nie wywracanie do góry nogami stylu życia, do którego byliśmy przyzwyczajeni, tylko dlatego, że uważa się za kogoś lepszego od starszych!”

Poczuł, że krew uderza mu do głowy, więc zmusił się do ochłonięcia.

“To nie będzie trwało wiecznie - obiecał sobie. - A może nawet nie potrwa długo. Inni starsi czarodzieje słuchali tego, co miałem do powiedzenia, kiedy ostatnio próbowałem przywołać ich do rozsądku. Zapewne wielu z nich wpatrując się teraz w te dziury w skale, myśli sobie, że miałem rację. Shana sprowadziła na nas te wszystkie nieszczęścia; nie ma żadnego powodu, byśmy musieli posłuszenie wykonywać polecenia, kiedy ona i te smoki zaczynają niszczyć odwieczny porządek”.

Starsi i mądrzejsi czarodzieje mieli za to po swej stronie wszelkie racje, by rozpocząć przywracanie normalnych warunków. Nie byli już w stanie oblężenia, ani nie przedzierali się przez dzikie pustkowia. Nadszedł czas ponownego ustawienia spraw we właściwy sposób.

Jeżeli Parth Agon nie podejmie się tego zadania, to Caellach Gwain jest właściwym człowiekiem, który dopilnuje, by sprawy wróciły do normalności.

Lecz w tym czasie...

Przyjrzał się z niechęcią twardemu kamieniowi posadzki. Słyszał, że ludzkie dzieci miały być wysłane nad rzekę w dolinie, by nacięły trzciny na posłania - przy założeniu, oczywiście, że ich mądry dowódca nie przydzielił ich do innych koniecznych zadań. Zakładając, że zrobiły już kilka kursów, na brzegu powinno się piętrzyć sporo wiązek, czekających na kogoś, kto je zabierze. Diabelnie zimno będzie spać na tej podłodze, jeśli się czegoś na niej nie położy.

Krzyknął do jednego z uczniów, żeby zaczął nosić trzcinę, po czym przypomniał sobie, że nie ma już uczniów i powstrzymał się z burknięciem.

“Cóż, w końcu nie może mi zabronić zrobienia tego w jedyny logiczny sposób - stwierdził skwapliwie. Przekleństwo, jeśli przeniosę tutaj te wszystkie wiązki rękami!”

Nie potrzebował kryształowej kuli, by umiejscowić naciętą trzcinę, to było potrzebne

tylko zwykłym uczniom. On jako mistrz był ponad to. Po prostu skoncentrował się i przywołał swoją moc.

W centrum jaskini pojawiła się jarząca mgiełka w kształcie kuli, a po chwili w jej wnętrzu uformowały się charakterystyczne kształty wiązek trzciny.

Czując, jak uchodzi z niego cząstka mocy, zastanowił się przez chwilę, ile powinien wziąć.

“Tyle, ile uda mi się przenieść - zdecydował. - Niech się przekonają, kto tu jest prawdziwym czarodziejem!”

Jeszcze raz uchwycił myślowo swój cel i po chwili tuzin wiązek upadło z głuchym odgłosem na kamienną posadzkę, wnosząc ze sobą zapach świeżego powietrza i rzecznej wody.

Niezmiernie z siebie zadowolony, przyjrzał się swej zdobyczy. W zasadzie potrzebował trzech wiązek tej wielkości na odpowiednie dla siebie posłanie, ale...

“Ale nic im się nie stanie, jeśli natną więcej, nie są nawet uczniami. A ja przynajmniej raz będę miał wygodę, na jaką zasługuję”.

W końcu wszystko to mu się słusznie należy.

- Mamy więc teraz wodę. - Denelor zmęczony, z uśmiechem na okrągłej, dobrodusznej twarzy wskazał Shanie napełniający się wodą źródlaną zbiornik.

Stary czarodziej był szczuplejszy niż dawniej; miesiące wędrówki przez puszcze pozbawiły go zbędnych kilogramów, które na sobie dźwigał, i opaliły skórę na ciepły brąz, przy którym jego rzednące włosy wydawały się jeszcze bielsze.

- Sądzę, że uda nam się w końcu odtworzyć niektóre ze starych zakłęć i w ciągu kilku lat będziemy mieć w całej Cytadeli prawdziwą bieżącą wodę, zimną i ciepłą. Kiedy byłem uczniem, zdarzało się, że musiałem pracować jako hydraulik, tak więc jestem niejako zaznajomiony z tą dziedziną. - Wyraz determinacji wyparł uśmiech z jego twarzy. - Z pewnością możemy na nowo odkryć to, czego nauczyli się pierwsi czarodzieje.

Shana odwzajemniła jego uśmiech; jej stary mistrz Denelor zdumiewająco dobrze przystosował się do nowego życia. Spodziewała się raczej, że przyłączy się do obozu starych utyskiwaczy, a tymczasem okazał się jednym z pierwszych, którzy starali się wypracowywać rozwiązania różnych problemów w miarę, jak narastały.

- W tym czasie - ciągnął Denelor - mogę doprowadzić wodę do części kuchennej i znajdującej się obok niej części łazienkowej. Jutro smoki będą rzeźbić wanny i zlewy z odpływami do kąpieli, do prania i zmywania oraz kanalizację odprowadzającą brudną wodę,

na zewnątrz, tak by nie skaziła czystej. Dziś już instalują kominy i kominki. Na razie możemy grzać wodę, wrzucając rozgrzany kamień do napełnionej wanny. Nie będziemy jednak w stanie udusić mięsa czy ugotować zupy, dopóki nie wymyślimy, jak zdobyć duże garnki.

- Żywność nie będzie stanowiła problemu - zapewniła go.

- Lasy są tu pełne zwierzyny, a zapewne i jadalnych roślin. Nie trzeba będzie naprawdę polować, wystarczy przynosić zwierzynę za pomocą magii, tak jak to robiliśmy, kradnąc zaopatrzenie, a wiesz, że pojawi się już martwa.

Denelor zachichotał; najwyraźniej wciąż pamiętał, jak to Shana, kiedy zjawiała się u nich po raz pierwszy, przypadkowo sprowadziła magicznym sposobem tuszę ogromnego łosia. Przewyższał on co najmniej dziesięciokrotnie ciężar, z którym według niego, jej mistrza, mogłaby sobie poradzić. Shana oczywiście lepiej znała swe możliwości, lecz on nie dowierzał jej, dopóki ich nie udowodniła.

- Przynajmniej nie będzie to baranina - rzekł uspokojony.

- Jest to ta strona życia w starej Cytadeli, za którą na pewno nie będę tęsknił. Posiadanie stada owiec było bardzo praktyczne, lecz codzienna baranina może się w końcu znudzić.

Obrócił się, by wrócić na wyższy poziom, który po zalaniu przez wodę, stał się pierwszym poziomem mieszkalnym. Pozostała dwójka podążyła za nim, wywołując swymi krokami echo we wznoszącym się ukośnie tunelu.

- Czy ktoś tutaj w ogóle ma pojęcie, jak robić różne rzeczy? - spytał Mero. - No wiecie, garnki i inne rzeczy, wytwarzać własnymi rękami? Będziecie potrzebowali mnóstwa przedmiotów, od ram do łóżek po ubrania, a nie będzie ich już można zabierać elfom. Czy potraficie czarami stworzyć rzeczy trwałe? Niektórzy z elfich panów to potrafią.

Denelor wzruszył ramionami i przyjrzał się ponuro swej znoszonej tunice.

- Nie wiem - przyznał. - Muszę wam jednak zdradzić, że mam pewien pomysł, który wydaje mi się bardzo, bardzo kuszący. Nie wolno nam okradać elfów, lecz czy jest jakiś powód, żebyśmy nie mogli okradać siebie samych?

Shana zmarszczyła brwi.

- Chyba nie bardzo cię rozumiem - odrzekła niepewnie. Dotarli właśnie do miejsca, gdzie tunel przestał się wznosić i ukazały się w nim kolejne wejścia do jaskiń.

- Mam na myśli to, że po naszej ucieczce elfowie nie złupili chyba Cytadeli. Nie mamy nawet pewności, czy w ogóle ją odnaleźli, gdyż w rzeczywistości szukali nas, a nie naszej kryjówki.

Shana przytaknęła ruchem głowy.

- Mogli jednak ze złości zniszczyć wszystko w zasięgu wzroku, jeśli jej nie znaleźli - ostrzegła. - To do nich podobne.

- Tak, lecz nie wierzę, żeby ją znaleźli, i jestem pewien, że nie mieli czasu na coś więcej niż powierzchowne zniszczenia - nalegał Denelor. - Zdaję sobie sprawę, że zapewne umieścili jakiś rodzaj magicznej straży wokół tamtego lasu i regularnie patrolują teren, jednak naprawdę nie sądzę, żeby otoczyli go magiczną zasłoną. Jeśli nawet, to ty na pewno potrafisz się przez nią przebić.

Shana zarumieniła się.

- Nie byłabym taka pewna - zaprzeczyła. - Rozumiem jednak, do czego zmierzasz, i przyznam uczciwie, że nie widzę przyczyn przemawiających przeciw systematycznemu wynoszeniu stamtąd rzeczy. Wprawdzie dzieli nas od tamtego miejsca duża odległość, lecz myślę, że jeżeli kilku młodych czarodziejów połączy swe siły i użyje przy tym klejnotów, to uda się nam tego dokonać. To by bardzo ułatwiło nasze życie.

- Szczególnie jeśli zaczniemy od sprowadzania mebli i reszty dobytku malkontentów - wtrącił kwaśno Mero, wpychając ręce do kieszeni i wykrzywiając twarz w grymasie. - Może wtedy uciszą się chociaż na jakiś czas.

Denelor westchnął; Shana zdawała sobie sprawę, że wysłuchuje on co najmniej tyle samo skarg co ona.

- Muszę przyznać, że mnie też nasunęła się ta myśl. Dzięki temu, będzie może trochę mniej opowieści o tym, jak to Shana pozbawiła ich należnych praw. Czy mogłabyś zebrać razem swoje małe kółko przyjaciół, Shano, tych, którzy wiedzą, jak pracować z kamieniami? Tu chyba masz rację, tylko oni mają dostatecznie daleki zasięg oddziaływania, by skutecznie przeszukać to miejsce i przenieść tu rzeczy.

Uśmiechnęła się.

- Oni są też jedynymi, którzy buszowali po całej Cytadeli, badając wszystkie nie używane przejścia. Muszę ci przyznać rację nawet jeśli elfowie dostali się do środka i zniszczyli co nieco, to na pewno nie dotarli do starszych jej części, gdzie też są umeblowane pokoje i sporo różnych rzeczy. Stary Caellach nie dostanie może swojego łóżka, ale jakies mu w każdym razie znajdziemy, jak również inne przybory, które uzna za konieczne.

- Prosiłbym, żeby na początek były to rzeczy kuchenne - upomniał się Denelor. - Urządzenia, których wszyscy potrzebujemy, które przyniosą korzyść całej społeczności. Potem powiem innym, że mogą przynieść do ciebie swoje listy przedmiotów i uprzejmie cię poprosić, abyś im je sprowadziła, o ile nie będziesz zbyt zmęczona.

Dostrzegła łobuzerski błysk w jego oku, kiedy to mówił.

- A jeśli nie poproszą uprzejmie, to możemy dojść do wniosku, że jesteśmy zbyt zmęczeni, hm. Och, Denelorze, miałabym powody do zmartwienia, gdybyś nie był po mojej stronie.

Czarodziej wzruszył ramionami, lecz jego uśmiech był raczej wymuszony.

- My smoki też mamy pewną propozycję - odezwał się nieśmiało Keman. - W tych wzgórzach znajdują się minerały, szlachetne kamienie i złoto. Możemy je wydobyć, a potem przybrać postać elfów i udać się do ich miast, by wymienić te kosztowności na rzeczy, których wszyscy potrzebujemy. Najważniejsze będą ubrania i narzędzia; może jeszcze żywność oraz nasiona na nasze uprawy.

Słyszając te słowa, Denelor rozpromienił się.

- To byłoby wspaniałe! - wykrzyknął, a jego głos zabrzmiał lekkim echem wśród kamiennych ścian przyszej kuchni. - To rozwiązuje problem, skąd wziąć dalsze zapasy żywności. Wstyd mi to przyznać Shano, lecz nie sądzę, by wielu spośród nas potrafiło odróżnić jadalne leśne rośliny od niejadalnych, a żywienie się wyłącznie mięsem nie wyszłoby nam na zdrowie.

- Obawiałam się, że to powiesz - przyznała z rezygnacją. Przerwała na chwilę, by uporządkować myśli. - W najbliższym czasie najlepsze, co mogę zrobić, to zebrać swoje kółko przyjaciół i zacząć przenosić tu rzeczy ze starej Cytadeli. Jeśli elfowie nie splądrowali jej, to zostało tam mnóstwo zmagazynowanej żywności, której nie byliśmy w stanie zabrać ze sobą podczas ewakuacji. Powinna być mąka, bulwy, różne warzywa.

- Nie zapomnij o kołdrach - przypomniał jej Denelor. - Jeśli je szybko sprowadzisz, to z pewnością zyskasz wielu przyjaciół. Jest raczej zimno, kiedy śpi się na kamieniu.

- A co z owcami? - spytała przebiegle. - Owce to wełna na przyszłe koce oraz baranina na przyszłe posiłki. Jak wiesz, mogę je tu sprowadzić żywe, a dwójka ludzkich dzieci potrafi się doskonale opiekować stadem owiec. Poza tym same się rozmnażają.

Bezwiednie skrzywił się, a ona zachichotała.

- Och - westchnął. - Niestety, w końcu musisz to zrobić. Lecz...

- Nie martw się, mistrzu Denelorze; w tej sytuacji będą zbyt cenne, by je teraz wyrzynać. Nieprędko będziesz zmuszony do jedzenia baraniny.

- Dzięki losowi i za to - wymamrotał, kiedy Shana z podążającym za nią Kemanem odeszła bocznym korytarzem, by poszukać Zeda, pierwszego z jej kółka młodych czarodziejów. - Teraz trzeba zebrać wszystkie siły, żebyśmy nie znaleźli się w sytuacji, gdzie nawet stary baran będzie prawdziwą ucztą.

Zespół młodych czarodziejów, pracując wspólnie, jeszcze tego dnia odnalazł i

przeniósł ze starego miejsca sporo przedmiotów. Zgodnie z prośbą Denelora pierwszą rzeczą, sprowadzoną za pomocą magii z Cytadeli był wielki kocioł kuchenny, a na końcu przeniesiono stertę koców. Te ostatnie zostały skwapliwie porwane przez starych utyskiwaczy z Caellachem Gwainem na czele. Shana zauważyła, że żaden z nich nie wypowiedział nawet najskromniejszego słowa podziękowania, lecz zachowała w tej kwestii milczenie, między innymi dlatego, że była zbyt zmęczona, by robić z igły widły.

Następnego dnia Shana i jej przyjaciele, wzmocnieni dobrym śniadaniem składającym się z owsianki ugotowanej w przeniesionym wczoraj kotle, od rana rozpoczęli pracę. Ci, którzy byli najlepsi w wyczuwaniu przedmiotów na odległość, sprawdzali znane sobie pokoje, starając się zbadać, co w nich jest i czy może to być użyteczne.

Na początek ograniczyli swoje próby do obiektów niezbyt ciężkich i takich, które nie uległyby specjalnemu zniszczeniu w przypadku, gdyby ich magiczne poczynania nie były zbyt zręczne. Tak zdecydowała Shana. Argumentowała, że zanim poznają swoje możliwości, lepiej przynosić mniej rzeczy, niż przesilić się, próbując unieść zbyt wiele na raz. Dlatego najpierw zajęli się kuchnią i magazynami, systematycznie zabierając stamtąd wszystko, co nie zostało potłuczone lub zniszczone przez szkodniki.

Wyglądało na to, że elfowie nie znaleźli jednak starej Cytadeli, chociaż z pewnością doszłoby do tego, gdyby czarodzieje pozostali w niej, zamiast uciekać. Było to odkrycie napawające otuchą. Oznaczało, że wszystko znajdowało się tam nadal nienaruszone, i że w końcu każdy z mieszkańców nowej siedziby odzyska cały swój dobytek.

Wprawdzie Shana nadal nie potrafiła zrozumieć przejawianej przez czarodziejów troski o swoją własność, lecz Keman i pozostałe smoki najwyraźniej ją pojmowały. Nie były jednak w stanie wytłumaczyć jej tego i po kilku próbach zrezygnowały.

- Ujmijmy to w ten sposób - powiedział jej na koniec Kalamadea, który wykazał się zdumiewającą cierpliwością. - Im czarodziej jest starszy, tym większe jest jego desperackie pragnienie, by mieć przy sobie wszystkie te rzeczy, do których się przyzwyczaił, więc jeśli mu się to umożliwi, będzie o wiele mniej kłopotliwy. Jest on w tym podobny do starego smoka zwiniętego w kłębek ze swoimi skarbami. Nie próbuj zrozumieć, dlaczego tak jest, po prostu zaakceptuj ten fakt i staraj się go wykorzystać.

Skinęła głową z niechętnym wzruszeniem ramion. Będzie to niewielka cena za spokój, nawet jeśli w tej cenie mieści się spory wysiłek jej samej i jej przyjaciół; trud, za który zapewne nie usłyszą nawet słowa podziękowania. Kusilo ją jednak bardzo, by umieścić malkontentów na samym końcu listy.

Niestety, gdyby sobie na to pozwoliła, to oskarżyliby ją o faworyzowanie innych, a

podczas oczekiwania narzekaliby jeszcze bardziej i sprawiali jeszcze więcej kłopotów.

- Mimo wszystko, najpierw magazyny - odpowiedziała smokowi zapalczywie. - Rzeczy, które przydadzą się nam wszystkim, bardziej niż osobiste przedmioty! Denelor też tak uważa.

Kalamadea po prostu wzruszył ramionami.

- To twoja magia oraz twoich przyjaciół - odparł i wycofał się z małej, pustej jaskini, którą wybrała sobie na mieszkanie.

Jaskinie Kalamadei i Kemana były tuż obok. Shana podejrzewała, że to Kalamadea wygładził jej ściany i sufit, zbudował urządzenia sanitarne oraz kominek. Pomieszczenie to wydawało jej się teraz dziwnie znajome - bardzo podobne do tego, które on sam zajmował w starej Cytadeli.

W tej chwili znajdowała się tam tylko sterta trzciny z dwoma kocami, służąca jej za łóżko, i skromna kupka jej osobistych rzeczy.

“Przyjemnie byłoby mieć łóżko...” - pomyślała. Musiała przyznać, że starzy czarodzieje mieli jednak trochę racji, tęskniąc za niektórymi wygodami swego poprzedniego życia.

Przydałoby się też nowe ubranie. Wszystko, co miała, służyło jej już niemal dwa sezony w trudnych warunkach i nie bardzo nadawało się w tej chwili do noszenia. Nieraz już myślała o zszyciu sobie następnej tuniki z kawałków skóry zrzuczonej przez smoki; taka tunika w jednakowy sposób służyłaby przeciw kolcom jak i ulewom. Dotąd jednak nie miała na to czasu. Może teraz uda jej się go znaleźć.

Najpierw jednak to, co najważniejsze. Jeszcze wiele magazynów czekało na opróżnienie, a podczas tej pracy młodzi czarodzieje doskonalili swoje umiejętności, transportując na odległość różnorodne przedmioty za pomocą siły magicznej, o jakiej przedtem nawet im się nie śniło. Nie mieliby na to najmniejszych szans, gdyby nie to, że Shana jeszcze za uczniowskich czasów przeprowadziła doświadczenie ze swoim małym zbiorem klejnotów, sprawdzając, czy może wykorzystać któryś z nich do zwiększenia swej mocy magicznej i zasięgu jej oddziaływania. Okazało się, że może, więc zaczęła uczyć swoich rówieśników, jak wykorzystywać kamienie do czarów. Nastąpiło to w momencie, kiedy pewien elfi władca postanowił uśmiercić w swej posiadłości wszystkie ludzkie dzieci dysponujące zdolnościami magicznymi. Shana uparła się, by zorganizować wyprawę, która pospieszy im na ratunek, i w ten sposób doszło do jej spotkania z Valynem i jego półelfim kuzynem, Merem, uciekającymi właśnie przed ojcem Valyna. I to przypadkowe spotkanie okazało się zalążkiem wydarzeń, które doprowadziły do zniszczenia starego sposobu życia w



ukryciu, któremu hołdowali czarodzieje z Cytadeli.

W ciągu dwóch tygodni Denelor miał już działającą kuchnię, łazienkę i pralnię, w których zatrudniono ludzkie dzieci oraz część starszych czarodziejów - nie należących do grupy utyskiwaczy - którzy nie byli na tyle sprawni, by wykonywać ciężkie prace. Shana wraz z przyjaciółmi zaczęła już opróżniać dawne mieszkania prywatne czarodziejów.

Przejrzeli najpierw kwatery swoje i Denelora, nie bacząc na to, czy ktoś nazwie to faworyzowaniem ich. Starali się jednak z tym kryć, więc transportowali rzeczy bezpośrednio do swoich pokoi, zamiast składać je w centralnej izbie, którą wszyscy zaczęli nazywać Wielkim Holem. Po dokonaniu tego z większym już spokojem zajęli się dobytkiem malkontentów, poczynając od Caellacha Gwaina.

A on, zgodnie z przewidywaniami, nawet im nie podziękował. W gruncie rzeczy nawet rozzłościł się na nich za dostarczenie jego własności do Wielkiego Holu, co zmusiło go do przetransportowania własnymi siłami wszystkiego do swoich pokoi.

Zdenerwował Shanę do tego stopnia, że z powodu wściekłości, dostała w końcu bólu głowy. Zmusiło to całą grupę do zaprzestania pracy - ona miała w końcu największą moc i bez jej udziału pozostali mogli przenieść na raz niewiele więcej niż poduszkę. To przyprawiło ją o jeszcze większy gniew, aż w końcu Zed, jako najstarszy, ogłosił przerwę, żeby mogli uspokoić podrażnione nerwy oraz coś zjeść i wypić.

Miska zupy i filiżanka herbaty z wierzby nie wystarczyły, żeby ułagodzić Shanę, lecz w końcu udało jej się pozbyć bólu głowy, nawet jeśli irytacja pozostała.

- Bardzo mi przykro - przeprosiła, wracając do swego kółka i zajmując miejsce na poduszce pomiędzy pozostałymi, dokładnie na środku dużej sali.

Jej głos odbił się słabym echem, gdyż sklepienie było bardzo wysoko i zostawiono je w takim stanie, jak je wyrzeźbiła natura.

- Nie powinnam była dać się ponieść nerwom z jego powodu.

Zed prychnął pogardliwie, lecz nie odezwał się. Cień poklepał ją po dłoni i wzruszył ramionami. Pozostali bądź to skrzywili się, bądź uśmiechnęli, zależnie od swego charakteru. W zasadzie nie było tu nic do powiedzenia - Caellach był nieznośnie grubiański, lecz ktoś dysponujący taką mocą jak Shana powinien lepiej panować nad swymi emocjami. Zarówno ona, jak i oni zdawali sobie z tego sprawę. A co by się stało, gdyby Caellach zdenerwował ją, powiedzmy, podczas tworzenia obrony przeciw atakującym? Nie byłaby to najlepsza pora na bóle głowy!

- Cóż, przenieśliśmy już rzeczy tego starego zrzędy i nie musimy mieć z nim więcej do czynienia - odezwała się w końcu Daene, jedna ze starszych dziewcząt. Mrugnęła do

Shany i zmarszczyła swój zadarty nosek. - Mamy go z głowy na co najmniej trzy, cztery dni. Będzie się krzątał zaaferowany wokół swych mebli i innych rzeczy, jak stara kura wokół gniazda, kiedy wrzucą jej nową porcję słomy. Mogę się założyć, że przez najbliższe dni go nie zobaczymy!

Wszyscy zachichotali i nawet Shana musiała się uśmiechnąć na trafność tego porównania, gdyż Caellach faktycznie gdał jak stara zirytowana i irytująca kura.

- Masz rację! Cieszymy się więc spokojem, dopóki trwa - odparła. - Weźmy się teraz do pracy dla kogoś, kto może w końcu nam podziękować. Parth Agon, jak sądzicie? Czy ktoś z was pamięta, jak wyglądają jego pokoje, żebyśmy mogli do nich sięgnąć?

- Ja... - zaczął Zed.

- Shano! - okrzyk od strony wejścia odbił się echem w całej sali.

Po chwili ukazał się jego autor i niemal bez tchu rzucił się w ich stronę.

- Shano! - wydyszał z trudem mały ludzki chłopiec. - Shano, Denelor i ten wielki smok chcą, żebyś do nich przysłała! Nad rzekę! Tam jest obcy!

Z początku nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Potem...

“Obcy? Tutaj? O nie!”

Tutaj, na tym pustkowiu, gdzie nie powinno być nikogo oprócz czarodziejów i kilkorga ludzi, którzy uciekli wraz z nimi? Kto to mógł być? A co ważniejsze - jak ich odnalazł?

“Kalamadeo - porozumiała się myślami z Ojcem Smokiem - czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo? Czy mam zabrać broń?”

“Nie sądzę, żeby to było potrzebne - odpowiedział jej w ten sam sposób. - Lecz chciałbym, żebyś go zobaczyła i porozmawiała z nim. Masz więcej doświadczenia, jeśli chodzi o ludzi pełnej krwi”.

Człowiek? Ale jak się tu dostał? Czy był zbiegłym niewolnikiem? Zanim inni zdążyli zareagować, była już na nogach i wybiegała z jaskini.

Wielki Hol był pierwszym prawdziwym pokojem w nowej Cytadeli. Od niego, poprzez ciąg jaskiń pozostawionych mniej więcej w naturalnym stanie, prowadził długi i kręty szlak na powierzchnię. W tym krańcu jedynym ustępstwem na rzecz mieszkańców były rozmieszczone tu i ówdzie magiczne światła oraz wyrównana ścieżka. Część ta przypominała Shanie wapienne i alabastrowe jaskinie, w których mieszkała ze swą przybraną matką i pozostałymi smokami. Były tu setki fascynujących formacji minerałów, które obiecywała sobie zbadać dokładniej któregoś dnia. Lecz nie teraz, kiedy miała taki nawal pracy do wykonania.

Nie teraz, kiedy obcy pojawiają się nagle jak spod ziemi!

Wypadła prosto w potok słonecznego światła zalewający wejście do jaskini i rzuciła się w dół ścieżki prowadzącej nad rzekę, ścieżki, którą wycięli bardzo starannie, tak by osłonięta przez drzewa i krzaki, była niewidoczna z powietrza. Niestety, przez te środki ostrożności nie mogła w tej chwili dostrzec, co się dzieje nad rzeką.

“Wolałabym wiedzieć, czego się spodziewać - mówiła do siebie zaniepokojona. - Chciałabym wiedzieć, jak udało mu się podejść do nas tak blisko, zanim ktokolwiek go zauważył. Chciałabym... - to nie jest kwestia życzeń. Po prostu ruszaj tam, już!” Popędziła tak szybko jak mogła, łomocząc stopami po zakurzonej ścieżce, z trudem łapiąc oddech, mimo że biegła w dół zbocza.

Pokonała ostatni zakręt, który zasłaniał widok na rzekę, i na końcu tunelu utworzonego przez drzewa ujrzała refleksy świetlne odbijające się od wody. Stało tam kilka postaci, czarnych na tle słonecznego blasku, a coś niskiego, długiego i czarnego znajdowało się na wodzie albo tuż przy brzegu.

Kiedy podbiegła bliżej, przedmiot ten okazał się wydrążonym, zaostrzonym na obu końcach pniem, z miejscem do siedzenia. Nie widziała nigdy dotąd canoe, lecz rozpoznała je na podstawie opisów, które czytała w starych kronikach.

“Łódź? Ależ oczywiście! Nie szukaliśmy nikogo na rzece”. Ze złości mogłaby się wychłostać za to, że nie podjęli chociażby takiego środka ostrożności, jak postawienie jednego posterunku przy rzece. Teraz już za późno.

Przy czólnie przywiązany do palika wbitego na brzegu rzeki stały tylko trzy osoby. Denelor, Kalamadea w postaci czarodzieja i obcy. Wszyscy najwyraźniej czekali na nią, a Denelor i Kalamadea nie wykazywali żadnych oznak napięcia.

Kiedy to sobie uświadomiła, zwolniła kroku, gdyż nie chciała dotrzeć do nich zupełnie bez tchu, a poza tym mogła teraz dokładniej przyjrzeć się nieznanemu, zanim zacznie z nim rozmawiać.

Pierwszym zaskoczeniem było stwierdzenie, że człowiek ten nie miał na szyi niewolniczej obroży ani żadnego śladu, by ją kiedykolwiek nosił. Poza tym wyglądał jak robotnik polowy, albo handlarz wędrujący z karawaną. Oczy miał zwykłego, brązowego koloru, a czarne włosy ściągnięte do tyłu i splecione w warkocz, zapewne by pokazać, że nie ma ani trochę spiczastych uszu. Był średniego wzrostu, żyłasty i muskularny, ubrany w podartą tunikę i spodnie z materiału tak starego i wyblakłego, że trudno było określić jego pierwotny kolor. Przez plecy miał przewieszony łuk, ze skórzanej pochwy przy pasku wystawał długi nóż, a nogi chroniło mu coś w rodzaju wysokich butów z niewyprawionej

skóry. Najwyraźniej już od kilku dni się nie golił, lecz mimo wyglądu obdartusa, pierwszym wrażeniem Shany była myśl, że nie jest niebezpieczny.

Przynajmniej nie w tej chwili. Lecz czego mógł tu szukać? Czyżby był szpiegiem?

- O, Shana - odezwał się wesoło Denelor, kiwając na nią, żeby podeszła bliżej. Po czym odwrócił się z powrotem do nieznanego. - Collenie, to jest Lashana.

Ten skinął głową, a jego oczy zwięzły się.

- Mało do patrzenia, ty być - odezwał się do niej w języku elfów, chociaż z bardzo silnym obcym akcentem. - W życiu ja nie pomyślał, że takie małe coś może spowodować tyle kłopotów. Ale wiele o tobie gadali.

- Zatem przyjmuję, że słyszałeś już o mnie - odparła sucho, ukrywając przed nim swoje poruszenie. Nadal nie miała najmniejszego pojęcia, co robił na rzece i komu, jeśli w ogóle, służył.

Przytaknął ruchem głowy, a jego wąskie usta wygięły się w niechętnym uśmiechu.

- Nigdy ja nie pomyślał, jak widział dym na brzegu, że będę się witać z dzikimi buntownikami, co narobili tyle kłopotów.

- Collen jest zwiadowcą grupy handlarzy, Shano - wyjaśnił od niechcienia Denelor, a ona przerażona zrobiła mimowolny krok do tyłu. - Ale nie grupy niewolniczej - dodał pośpiesznie czarodziej, gdy uśmieszek Collena przerodził się w śmiech. - Nie masz oczu? Nie nosi obroży i nie ma na sobie klejnotów.

Shana zaczerwieniła się ze złości na siebie samą. Tunikę miał szeroko rozpiętą i widziała przecież na własne oczy, że nie ma na sobie absolutnie niczego, co zamiast obroży mogłoby go wiązać z jakimś elfim władcą. Jego pas zrobiony był ze sznura, pochwa noża skórzana, sam nóż miał prostą rękojeść bez osadzonych w niej beryli przechowujących zaklęcie. Zresztą, gdyby był niewolnikiem, to któreś z nich z pewnością wyczułoby charakterystyczną pustkę, oznaczającą, że rzucono na niego zaklęcie, całkowicie blokujące ludzkie zdolności magiczne. Wszyscy oni znali doskonale "kształt" tej szczególnej pustki.

- O tak - zgodził się Collen. - Żadnych obroży, żadnych smyczy. My być tak samo niebezpieczne mnóstwo dzikusów jak wy, widzi mi się, i kocie oczy wiedzieć, że my być tutaj.

Oczy jej się rozszerzyły. To było coś, czego się zupełnie nie spodziewała.

- Masz na myśli, że jesteście dzicy? - wykrzyknęła głosem pełnym niewiary.

Słyszała, oczywiście, że tak zwani dzicy ludzie istnieją, lecz po doświadczeniu na własnej skórze skuteczności i bezwzględności elfich rządów, nie sądziła, by byli zdolni do czegoś więcej niż nędznej, zwierzęcej egzystencji. A i ta była możliwa tylko dzięki temu, że

elfi lordowie chcieli od czasu do czasu zapolować na coś, co chodzi na dwóch, a nie na czterech nogach.

Z drugiej strony, zganiła się, gdy Collen uśmiechnął się szerzej na widok jej reakcji, czarodzieje przez setki lat ukrywali swe istnienie przed elfami. Wiemy już, że poza granicami posiadłości elfich władców żyją dzicy ludzie. Dlaczego więc nie miałyby być dzikich ludzi-kupców, którzy by z nimi handlowali?

- O, tak - powtórzył Collen. - To nie takie złe życie, bracie. Ale mówimy na siebie "banici", ładniej się słyszy. - Wzruszył ramionami. - Niektórzy z nas "dali nogę", niektórzy urodzili się wolni. Nie mamy ziemi, stałego domu; tyle wiemy, że musimy się ruszać to tu, to tam, ale za to nie mieć pana.

- Collen chciałby z nami porozmawiać na temat handlu. Uważam, że powinniśmy zaprosić tych ludzi, by przybyli do nas i rozmawiali, Shano - spokojny głos Kalamadei przebił się przez jej oszołomienie. - Myślę, że każda ze stron może mieć tu coś do zaoferowania drugiej.

"A ponieważ on już wie, że się tu znajdujemy, nie ma sensu ukrywanie istnienia Cytadeli - dodał smok, głęboko w jej umyśle. - Im więcej im pokażemy, tym większe wyrzemy na nich wrażenie, dzięki czemu zmniejszy się prawdopodobieństwo, że nas zdradzą".

- Oczywiście, Kalamadeo - odpowiedziała jednym zdaniem na jego głośnie i myślowe stwierdzenie, po czym zwróciła się do Collena: - Jak daleko stąd znajduje się reszta twojej grupy?

- Blisko. Oni być przed zachodem słońca - odparł. - Niech no wywieszę flagę, w mig tu ściagną.

Nie czekając na jej zgodę, wyciągnął z czółna wyblakłą czerwoną szmatę i przywiązał ją do gałęzi, gdzie była widoczna dla każdego poruszającego się po rzece.

- Tam ma być - stwierdził z zadowoleniem. - Teraz tylko czekać, bracie.

Miała ogromną ochotę dotknąć jego myśli i przekonać się, czy mówi prawdę. "Czy mogę sobie na to pozwolić? A jeśli to zrobię, to czy on się domyśli i jak to przyjmie?"

- Świetnie - rzekł swobodnie Denel. - Pójdę tylko na górę i powiem pozostałym, żeby przygotowali posiłek dla naszych nowych... sprzymierzeńców? - Przy tym ostatnim słowie uniósł brwi.

Collen wzruszył ramionami.

- Nie móc mówić za innych - odparł lakonicznie. - Może być. Na pewno, jeśli wy mieć rzeczy na handel, my będziemy się za nie wymieniać.

To najwyraźniej wystarczyło Denelorowi, który pomaszerował ścieżką na górę krokiem znacznie szybszym, niż byłby w stanie iść jeszcze rok temu. Collen założył ręce i oparł się plecami o pień wierzby, obserwując zarówno Shanę, jak i Kalamadeę.

- Mieszkańce - odezwał się w końcu. - Ja słyszeć o kłopotach, których narobiliście zeszłego lata, ale żadnego mieszkańca jeszcze nie widzieć.

- Ja mogę to samo powiedzieć o banitach - odparowała łagodnie Shana. "Czy mogę go sprawdzić? Czy powinnam go zapytać o pozwolenie?"

Uśmiechnął się, jakby uznał jej odpowiedź za zabawną. Kalamadea po prostu przyglądał mu się badawczo, z równym spokojem, z jakim odbierał niemal wszystko, od porywczych młodych smoków, do magicznych zdolności elfów.

- Dlaczego rzeką? - odezwał się w końcu.

- Człek nie zostawić śladów na wodzie - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Aha. Ale przecież tu nie ma elfów, ani ich niewolników.

Collen kiwnął głową.

- Tak. Ale my handlować z tymi w obrożach. Człek nie zostawia śladów, oni żadnym sposobem nie mogą za nim iść, bracie. Jak nie mogą nas śledzić, to nic na nas nie mają. Jak nic na nas nie mają, muszą uczciwie handlować.

Shana również kiwnęła głową, gdyż wywód Collena był bardzo sensowny. Ponadto słysząc, że nie ufa on niewolnikom, z którymi handluje, była nieco bardziej skłonna zaufać mu. Jego wypowiedź świadczyła o silnym instynkcie samozachowawczym i wystrzeganiu się sytuacji, w której ludzie kontrolowani przez elfów mogliby mieć nad nim jakąkolwiek przewagę.

- Zatem dlaczego miałbyś nam zaufać? - Spytała. - W końcu nie znasz nas, może jesteśmy przebranymi elfami?

Słyszając to, roześmiał się na cały głos, odrzucając głowę do tyłu i przymykając oczy.

- O tak, tak, moglibyście - zarechotał. - Gdyby nie ta przyczyna, że ja być zwiadowca.

- No i co z tego? - Shana zadała to pytanie, bo najwyraźniej na nie czekał.

"A to, że mam ludzkie zdolności magiczne, mały mieszkańcu - odezwał się w głębi jej umysłu, uśmiechając się, gdy się wzdrygnęła. - Tym sposobem powiedziałem Niki i reszcie, żeby tu przybyli, bracie. A wiem, że jesteś mieszaniec, bo słyszałem, jak gadałaś z tym starym, tam. Więc znasz ludzką magię i nie masz na sobie zaklęcia maskującego".

Zamrugła oczyma, podobnie zresztą jak Kalamadea, zupełnie zbity z tropu głosem, który rozbrzmiewał również w jego umyśle. Był to nadzwyczaj silny i spokojny "głos" i faktycznie Collen musiał nad nim doskonale panować, skoro udało mu się wezwać

nieobecnego "Niki", a żadne z nich go nie "podszło".

- Więc ty chcesz patrzeć do mojej głowy? - spytał wesoło.

- Dalej! Nie mam nic do ukrycia.

Shana, zaproszona w ten sposób, nie wahała się ani chwili, tylko sięgnęła swoimi myślami, by dotknąć jego umysłu, zanim cofnie pozwolenie.

Okazało się, że sięgnęła nie tyle do jego myśli, co do pamięci - być może dlatego, że obydwójce tego chcieli i nie napotkała oporu z jego strony. Były to jedne z jego najświeższych wspomnień, tak silne i tak naładowane emocjami, że poczuła się schwyтана w nie, jakby przeżywała tę chwilę wraz z nim, patrząc jego oczami.

Napięcie było prawie nie do zniesienia. Collen kuczał w swej kryjówce, czując ciężkie łomotanie serca i ucisk w piersiach; miał wrażenie, że nie może złapać oddechu. Ukryty za krzakami, obserwował ścieżkę, czekając na niewolnika, który kontaktował go z kupcami. Towary, którymi handlowała jego grupka, głównie futra, przyprawy, kilka dziwnych kamieni szlachetnych, ukryte były pod stosem gałęzi w pobliżu. Reszta oddziału przyczaiła się dalej, przy brzegu rzeki; tylko on zdecydował się narażać na ryzyko natychmiastowego schwytania.

To ryzyko zawsze istniało, przy każdym spotkaniu z kupcami. Jeśli planowałiby go zdradzić, to nie pomogą mu nawet jego ludzkie zdolności magiczne, gdyż nie mógł "dosłyszeć" ich myśli poprzez pustkę narzucaną ich umysłom za pomocą zaklęć ukrytych w specjalnych niewolniczych obrożach. W minionych latach już niejeden handlarz został złapany przez inne grupy niewolników. Te futra, które on i jego klan sprzedawali, były szczególnie poszukiwane przez kupców, liczył więc na to, że nie zechcą ryzykować utraty ich źródła, ale nigdy nic nie wiadomo. Szczególnie teraz, kiedy Zguba Elfów i jej czarodzieje wyrócili wszystko do góry nogami i dali kociookim, co im się należało. Być może tym razem schwytanie dzikich ludzi okaże się dla nich tak zyskowne, że utrata dostaw futer nie będzie miała znaczenia.

Szczególnie, że jeden z tych dzikusów jest również czarodziejem.

Kiedy dobiegł go odgłos ostrożnych, zbliżających się do niego kroków, poczuł, jak żołądek ściska mu się w twardy supeł. Przybył jego kontakt i już za chwilę wszystko się wyjaśni.

Podniósł się powoli i zrobił krok do przodu, opuszczając w ten sposób swoją kryjówkę wśród zwisających gałęzi.

Gwałtownie wyrwała swój umysł z jego pamięci i powróciła do rzeczywistego świata. Collen popatrzył jej w oczy ze zrozumieniem, kiedy potrząsała głową, próbując pozbyć się resztek tego strasznego napięcia.

- Śmierć dla was, mieszkańców z kocimi oczami, być tym samym co dla nas, z ludzką magią - rzekł. - Widziałas, jak to być z nami. Więc wyładowaliście tutaj i nie ma sensu, byśmy z wami zadzierali. Skoro narobiliście takiego bałaganu kociookim, to ja i Niki nie mamy z wami żadnych szans - ciągnął z błyskiem humoru w oczach. - Lecz my być handlarze, bracie. Tak sobie kombinuję, że możemy zrobić jakiś interes, he?

- Ilu spośród was umie się posługiwać ludzką magią? - spytał powoli Kalamadea.

- Nie widzę powodu, żeby wam kłamać - stwierdził otwarcie Collen. - Tylko ja i Niki. Tam być po cztery głowy w reszcie łodzi i nikogo oprócz nas z ludzką magią. Pięć łodzi, bracie.

“Dwudziestu, dwudziestu dwóch. Dobrze dobrana grupa pod względem liczebności; dostatecznie duża, by się bronić, lecz nie za duża, by się ukryć” - pomyślała Shana i uśmiechnęła się.

- Cóż, mam nadzieję, że nie są zbyt daleko - zwróciła się do niego. - Niewiele brakuje, żeby ciekawość doprowadziła mnie do szaleństwa!

Zamiast odpowiedzi Collen wyciągnął rękę w stronę rzeki i właśnie w tym momencie pierwsze z czółen ukazało się w polu widzenia.

Pozostałe pięć czółen było znacznie większe od małej łódki Collena; każde z nich mogło spokojnie pomieścić sześciu ludzi i sporo bagażu. Osoba siedząca na dziobie pierwszego dostrzegła gałgan powieszony przez Collena i spokojnym gestem skinęła na resztę, żeby wpłynęli do kryjówki utworzonej przez zwisające tam gałęzie wierzb. W pierwszej łodzi siedziało pięć osób, w tym Niki, która okazała się być kobietą, a sądząc po podobieństwie, mogła być siostrą Collena. Każde z pozostałych czółen miało na pokładzie cztery osoby, przy czym w trzech siedziało po jednym, a w ostatnim dwoje dzieci. To również zdumiało Shanę - jakoś nie przyszło jej przedtem do głowy, że wyjęci spod prawa handlarze mogą zabierać ze sobą na wyprawy dzieci.

Z drugiej strony, pozostawienie ich gdziekolwiek byłoby zapewne równie niebezpieczne.

Łodzie były drewniane, wyciosane z jednego pnia, a sądząc po wielkości czółen, drzewa, z których powstały, musiały być ogromne. Nowo przybyli wyglądali na takich samych obszarpańców jak Collen, lecz choć ich ubrania były tak sfatygowane, to zarówno one, jak i oni sami byli nieskazitelnie czyści.

Shana i Kalamadea czekali bez żadnych oznak zniecierpliwienia, podczas gdy tamci cumowali łodzie do brzegu i maskowali je z wielką pieczołowitością, używając gałęzi i sieci. Pracowali niemal w zupełnym milczeniu, zapewne była to kwestia nawyku. Jak już Shana



sama zauważyła, głos niósł się po wodzie niezmiernie daleko, a dla tych ludzi ukrywanie siebie i swoich poczynań było rzeczą samą przez się zrozumiałą.

Kiedy skończyli i otrzepali dłonie z kurzu, Kalamadea gestem dał im znak, by podążyli za nim, co też uczynili, nie rzucając za siebie ani jednego spojrzenia.

“Wiedzą, że musieliśmy uciekać przed elfami, a więc w razie wykrycia nam również grozi niebezpieczeństwo. Zastanawiam się tylko, czy nie obawiają się krzywdy z naszej strony - ale chyba nie. Wątpię, żeby mieli coś przydatnego dla nas w tej chwili, więc z jakiego powodu mielibyśmy ich atakować?” - rozumowała Shana.

Było też mało prawdopodobne, by banici zaatakowali czarodziejów, gdyż ci ostatni mieli zdecydowaną przewagę liczebną, a tamci zapewne zdawali sobie z tego sprawę.

Collen zwolnił kroku, by iść z tyłu obok niej.

- To cóż, my trochę pohandlować, jak mówiłem. Sprzedajemy futra i takie różności tym z obrożami. Mam nadzieję, że macie coś ciut lepszego niż futra?

Shana zastanowiła się nad jego słowami.

- Może - odrzekła ostrożnie. - Jest coś, co mogłoby się przydać właśnie tobie i twoim ludziom. Mamy pewien rodzaj grotów do strzał, które są tak śmiertelne dla elfów, jak elfie pociski dla ciebie czy dla mnie.

Oczy Collena rozszerzyły się, po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek zaskoczenie.

- Nie jest to kłamstwo?

- Nie - potwierdziła. - Jedno zadraśnięcie i leżą, dobre trafienie i są martwi. Jak sądzę, obydwójce wiemy, że normalnie bardzo trudno jest uśmiercić elfiego lorda.

Nie miała zamiaru zdradzać mu, skąd właściwie czarodzieje biorą swoje groty do strzał, które tak naprawdę były robione z czubków smoczych pazurów. Jeśli zapyta o smoki, to niech Kalamadea sam decyduje, ile tamci mogą zobaczyć i usłyszeć. Nic się jednak nie stanie, jeśli sprzedadzą mu część swojej specjalnej broni. Nie była ona zbyt skuteczna w stosunku do półelfów, którzy typem budowy i długością życia byli zbliżeni bardziej do ludzi niż do elfów. Zbrodnią byłoby mu jej nie udostępnić, skoro może znaleźć się w sytuacji, kiedy będzie jej potrzebował.

A im więcej martwych elfich lordów, tym lepiej. Takie w każdym razie było odczucie Shany. W całym swoim życiu poznała zaledwie jednego elfa, który był coś wart, a ze wszystkiego, co widziała, wypływał wniosek aż nazbyt oczywisty, że Valyn był jakąś anomalią wśród swego gatunku, elfim lordem z sumieniem i sercem.

- Będę diabelnie rad, jeśli to mieć, o pani - wydyszał żarliwie Collen. - I to być fakt.

Shana zadowolona skinęła głową. W tej chwili dotarli do otworu prowadzącego do

kompleksu jaskiń. Wejście to było doprawdy imponujące - wysokie na trzy piętra i otoczone potężnymi drzewami. Ani czarodzieje, ani smoki nie zrobili nic, aby je zmienić, a z miejsca, gdzie stali, niewidoczne były magiczne światła i wygładzone ścieżki. Kalamadea wyczarował przyczepione do ręki światelko i nadal prowadził cały pochód; Shana przywołała swoje własne światło i stanowała straż tylną.

Grunt był tu trochę nierówny, więc przybysze od czasu do czasu potykali się. Ich kroki odbijały się echem w przepastnej ciemności, a dwoje dzieci szeptało coś niespokojnie do rodziców, kiedy schodzili w chłód i mrok. Shana uśmiechnęła się do siebie - wkrótce czekała ich spora niespodzianka.

Wiodąca w dół ścieżka zakreśliła gwałtownie, prowadząc teraz niemal w przeciwnym kierunku, i tu właśnie pojawiły się magiczne światła, niewidoczne z zewnątrz.

Smoki bardzo pieczołowicie poumieszczały swoje magiczne lampiony, oświetlając nie tylko ścieżkę, lecz również najciekawsze formacje skalne. Po raz pierwszy Shana usłyszała głosy innych osób poza Collenem, gdyż najpierw dzieci, a potem dorośli zaczęli wskazywać na poszczególne twory skalne i mówić coś do siebie tonem, w którym brzmiał zachwyt i zdumienie.

Lecz najlepsze miało dopiero nastąpić; jaskinia zwężyla się, po czym rozszerzyła ponownie, przechodząc w Wielki Hol. Magiczne światelka znajdowały się tu niemal wszędzie, w szklanych kulach jarzyły się na ścianach, i nawet z sufitu zwieszało się spore ich grono. Ludzie mrugali oczami, wynurzywszy się z ciemnego przejścia do przestronnej sali i rozglądali wokół z wyrazem zaskoczenia i podziwu na twarzach.

Denelor dokonał tego, co obiecał. Zorganizował stoły i ławy, światła i mnóstwo jedzenia, a także sporą liczbę czarodziejów, w tym Partha Agona, którzy mieli spożyć z przybyszami posiłek. Oczy zarówno dzieci, jak i dorosłych rozszerzyły się na widok wszystkich tych osób, tylko na Collenie wydawało się to nie robić żadnego wrażenia. Opuścił Shanę, by podejść do czoła swojej grupy, gdzie w kilku zręcznych słowach wyraził swą wdzięczność Denelorowi, po czym zaprowadził wszystkich swoich ludzi do czekających na nich miejsc. Wyraźnie było widać, iż niezależnie od tego, co wcześniej sam twierdził, był nie tylko zwiadowcą swej grupy, był także jej przywódcą.

Zgadzało się to z tym, co Shana stwierdziła, zaglądając do jego pamięci.

Ze zwykłym dla siebie taktem Denelor zadbał o to, by przy stole nieznanym zasiedli nie tylko on, Parth Agon, Shana i Kalamadea, lecz również kilkoro ludzkich dzieci, które Shana uratowała i przyprowadziła do Cytadeli. Widok innych ludzi pełnej krwi najwyraźniej uspokoił i odprężył towarzyszy Collena.

Wyglądało na to, że nie przymierają oni głodem; jedli wprawdzie z apetytem, lecz nie połykali łąpczywie całych kęsów ani nie opychali się bez umiaru. Wyjątek stanowił deser, lecz tu czarodzieje wcale nie pozostawali w tyle. Już w połowie posiłku dzieci handlarzy i dzieci z Cytadeli zaczęły nieśmiało przyglądać się sobie wzajemnie i dały się zauważyć pierwsze próby nawiązania kontaktu z obu stron. Shana nie miała jednak okazji zbyt długo przyglądać się dzieciom, gdyż Collen, ledwie zaspokoił apetyt, odchrząknął znacząco i skupił uwagę wszystkich dorosłych z Cytadeli na swoim stole.

- Jakem powiedział tym trzem przy rzece, my być wyjęci spod prawa, handlarze - zaczął, biorąc na siebie zadanie powtórzenia tego, czego część pozostałych mogła jeszcze nie słyszeć. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że wszyscy oni posiadali tę samą co Shana zdolność rozmawiania myślami. - Niektórzy u nas urodzili się wolni, niektórzy dali nogę. Handlujemy z tymi w obrożach, którzy pracować dla kociookich.

Parth Agon był jedyną, poza dziećmi, osobą przy tym stole, dla której była to nieznana informacja. Rozwahał więc ją teraz przez chwilę, po czym skinął głową.

- Jak długo uniemożliwicie im śledzenie was, co nie powinno być trudne, skoro podróżujecie wodą, tak długo powinniście być całkiem bezpieczni. Rozumiem więc, że sprzedajecie wszelkie osobliwe rzeczy, na które uda wam się trafić, a oni z kolei zawożą te towary do swoich panów?

- Coś w tym rodzaju - zgodził się Collen. - Mamy z nimi nagraną umowę, bracie. My chcąc ryzykować, a oni nie. Przynosimy im rzeczy, jakie kocioocy mało kiedy widują. Głównie futra, ale czasem bywa coś naprawdę dziwnego. Potem oni gadać kociookim, że to oni poszli i przynieśli taką rzecz, a o nas ani mru, mru. My od nich bierzemy to, czego nie możemy zrobić, nie możemy wyhodować, bracie. I jeszcze jedno, my nie być jedyni urodzeni na wolności w tej okolicy.

- Nie? - Parth Agon uniósł brwi, lecz Shanie wydawało się to rzeczą oczywistą. Trudno być kupcem, jeśli nie miałyby się z kim handlować.

- Z tych innych jest tu klan, rodzina, wszyscy rolnicy; trochę pasterzy, trochę myśliwych, traperów, i my handlować z nimi wszystkimi. Siedzieć tu, bo tu być dobra ziemia. Oni nie mieć nic, co chcąc kocioocy, i nie być żadnym niebezpieczeństwem; nie odróżniają jednego końca dzidy od drugiego, więc nie walczyć. Te kociookie spiczastouche, oni myślą, my handlarze są złe, bo u nas są zbiegi, więc musimy pilnować, żeby nie wiedzieli, gdzie my są. Ale tamci nie, tamci żadna groźba, i kociookich nie obchodzi, że oni tu być. Więc pomyślcie, zrobimy taki sam układ z wami, jak mamy z nimi. Wy możecie znaleźć coś na sprzedaż, my to zabrać w dół rzeki i dostać za to coś, co wy nie umieć zrobić lub hodować.

Powiedzcie nam, co wam trzeba. My coś dostaniemy, wy coś dostaniecie.

- Całkiem stosowna oferta i rzetelnie postawiona - odezwał się w końcu Parth Agon. - Denelorze?

- Och, ja od początku ją popieram - szybko odparł Denelor. - Magazyny nie pozostaną pełne w nieskończoność.

Nie wspomniał tu ani słowem o kompletnym braku umiejętności rolniczych i rzemieślniczych wśród czarodziejów. Nie musiał - Parth Agon wiedział o tym tak samo dobrze jak on. W końcu czarodzieje i tak będą musieli nauczyć się pracować własnymi rękoma, lecz im więcej będą mieli na to czasu, tym lepsza będzie ich sytuacja.

“Mając więcej czasu, będziemy mogli dojść do większej wprawy. Raczej nie chciałabym jeść zupy ugotowanej po raz pierwszy przez czarodziejów” - stwierdziła w duchu Shana.

- Bardzo słuszny argument. - Parth Agon zwrócił się teraz do niej, zanim skonsultował się z Kalamadeą. - Shano?

- Mógłbyś, jeśli zechcesz, porozumieć się z nim myślami - odpowiedziała natychmiast. - Collen włada ludzką magią, a wiesz, że przy myślowym porozumiewaniu nie jest w stanie cię okłamać. Ale nie sądzę, żeby to było konieczne. On ma bardzo wiele do zyskania, jeżeli będzie wobec nas postępował uczciwie i mnóstwo do stracenia w przeciwnej sytuacji.

- Pozostaje jeszcze pytanie, co mamy w tej chwili takiego na sprzedaż, co nie naprowadziłoby elfów na nasz ślad? - zastanowił się głośno Parth Agon.

Myśl Shany pobiegła do metali i klejnotów, które według Kemana znajdowały się w tych górach. Czy w tak krótkim czasie smoki będą w stanie wydobyć ich tyle, by opłacało się to handlarzom i czy warto odrywać ich od ważnej pracy, jaką jest formowanie Cytadeli? Wydobywanie złota zajmowało im bardzo dużo czasu, a drogich kamieni jeszcze więcej - tyle pamiętała z lat spędzonych pośród nich. Ile więc cennego czasu smoków mogli zmarnować?

Keman chrząknął nieśmiało i oczy wszystkich zwróciły się na niego.

- Wiecie... - powiedział, przekrzywiając lekko głowę - można rzec, że nasze kłopoty rozpoczęły się z powodu tego kawałka skóry, który elfowie nazywają “smoczą skórą”, tego, z czego Shana miała tunikę, kiedy ją wzięto do niewoli. Elfowie pragną tego materiału, rozesłali na wszystkie strony wyprawy poszukujące źródła tego surowca, a my mamy tego więcej, i to właśnie tutaj.

- Smocza skóra? - spytał niezmiernie zdumiony Collen.

- Możecie mi pokazać, na co mówicie “smocza skóra”?

- Chwileczkę... - Keman ześliznął się ze swego siedzenia i wybiegł, wracając za moment z pasem własnej, zrzuconej skóry o szerokości ludzkiej dłoni i długości ręki.

Jako, że pokrywała przedtem Kemana, była w kolorze połyskującego błękitu, na którego tle migotały tężowe łuski. Collen powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk zdumienia i mimowolnie wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, lecz pohamował się w ostatniej chwili.

- Ależ proszę - zachęcił go Keman, wręczając mu skórę.

- Jest bardzo mocna.

Collen ostrożnie wziął od niego pas skóry, przeciągnął dłonią po gładkich łuskach oraz zbadał jej wytrzymałość i miękkość.

- Skąd ją wzięliście? - dopytywał się z oczami przepełnionymi ciekawością.

Najwyraźniej, mimo że słyszał o drugiej wojnie czarodziejów, to nie słyszał o istnieniu prawdziwych smoków. Czyżby elfowie uznali, że były one iluzją? Czy też ustalili, że były to sztuczne twory, skonstruowane przez najsilniejszych czarodziejów?

Jeśli by faktycznie tak się stało, to Shana miałaby mniejsze wyrzuty sumienia z powodu sytuacji, do której doprowadziła. Ciągle dręczyła ją myśl, że smoki zostały zmuszone do ujawnienia tak długo utrzymywanego sekretu, by pomóc jej i jej przyjaciółom. Równie mocno jak smoki pragnęła, aby elfowie nie dowiedzieli się o ich istnieniu i miała ku temu ważny powód. Zdawała sobie sprawę, że elfi lordowie nie mogli tolerować tak potężnej rasy i pozwolić jej na istnienie w tym samym świecie co oni, a poza tym, jak to zauważył Keman, pożąдали ich skór. Dla ich zdobycia zupełnie spokojnie zabiliby każdego napotkanego smoka.

“On nie może się o was dowiedzieć, Kemanie - odezwała się w jego umyśle. - Wymyśl coś szybko”.

- To z jaszczurki, a za pomocą magii nadajemy im piękniejszy wygląd - spokojnie skłamał Keman. - Możemy tego zrobić mnóstwo, a w tej chwili mamy trochę już gotowych. Są bardzo użyteczne. - Spojrzał na Kalamadeę, który potakująco skinął głową. - To nie tylko piękny, ale i bardzo mocny materiał.

- Jeśli tak być, to interes macie ubity! - wykrzyknął Collen, zaciskając skwapliwie ręce na skórze, kiedy Keman nie wykazał żadnej chęci, by ją odebrać. - Myśmóć dostać dla was prawie wszystko, co wy potrzebować, za taki towar wymienny.

- A co z naszym osiedleniem się tutaj? - spytał Denelor. - Czy mogą się pojawić jakieś kłopoty? Nie widzieliśmy w tej dolinie żadnych śladów zamieszkania i zamierzamy być tak ostrożni, jak wy bylibyście na naszym miejscu. Czy możemy być pewni, że elfowie nas nie znajdą?

Collen wzruszył ramionami, jakby ta sprawa była mu zupełnie obojętna. Może i była.

- Ja myślę, że macie dla siebie przyzwoity dom. My na pewno nie będziemy się z wami o to kłócić i nie wiem o nikim, kto miałby tu jakieś prawa. Dobrze jest wiedzieć, że ta część rzeki jest wolna od szpiegów kociookich, no nie?

- Więc możemy uznać, że jest to z waszej strony coś w rodzaju powitania? - stwierdził łagodnie Parth Agon.

- O, tak! - zaśmiał się tamten, jakby Parth opowiedział mu jakiś dowcip. - O tak! To faktycznie powitanie!

## ROZDZIAŁ 4

Sheyrena nie mogła uwierzyć swemu szczęściu, kiedy nazajutrz po bankiecie nie zdarzyło się nic specjalnego. Spędziła ten dzień w stanie lękliwego otępienia, spodziewając się - w najlepszym razie! - wezwania przed oblicze ojca, który dokładnie ją wypyta, z kim tańczyła, z kim rozmawiała i o czym mówili. Jeszcze większym strachem napawała ją myśl, że lord Tylar jakimś sobie znanym sposobem dowie się o jej braku "podbojów" i wezwie ją, żeby się z tego wytłumaczyła.

Tymczasem nie było żadnego wezwania ani nawet krótkiego liściku. Została jak zwykle zignorowana. Jedynym odstępstwem od rutyny był fakt, że pozwolono jej pospać do późna; poza tym dzień przebiegał jak zwykle, tak samo jak inne dni. Spacerowała po ogrodzie i zajmowała się swoimi ptaszkami, odbyła lekcje muzyki i ceremoniału oraz złożyła matce codzienną wizytę w jej buduarze. Dopiero tu atmosfera wskazywała na to, że nie był to zupełnie zwyczajny dzień. Lady Viridina rozmawiała z nią wyłącznie o sukniach, w które były ubrane inne elfie damy, rozważając, jak i z jakich materiałów zostały wykonane oraz, czy poszczególne fasony wyglądałyby dobrze na niej i na Renie. W innych buduarach, gdzie zbiorą się elfie damy, dadzą się słyszeć również inne komentarze - jak beznadziejnie leżały suknie na pewnych osobach (oczywiście nieobecnych w dyskutującej grupce), i to zarówno ze względu na ich krój, jak i mierne wdzięki ich właścicielek. Lady Viridina była jednakże przeciwniczką plotek, więc żaden taki temat nie wypływał podczas rozmów w jej buduarze. Nie zastanawiano się tu również nad interesującą kwestią, którymi panienkami zdają się zainteresowani poszczególni młodzi lordowie. To według lady Viridiny było obmawianie, a sprawy te nie powinny nikogo obchodzić poza stronami, których dotyczą.

W rzeczywistości sytuacja w buduarze wyglądała tak, że lady Viridina omawiała poszczególne suknie, a jej niewolnice-garderobiane mruczały sobie pod nosem odpowiednie komentarze. Rena tylko się przysłuchiwała, i to niezbyt uważnie. Normalnie takie dyskusje były jej ulubionym zajęciem, drugim w kolejności po przejażdżkach z Lorrynem, lecz nie dzisiaj, kiedy wolałaby, żeby jej nie przypominano, jak cudownie wyglądały inne damy. Nie dziś, kiedy tak cierpiała, porównując siebie do nich. Sądziła, aż do wczorajszego wieczoru, że nie ma w niej już żadnej dumy, którą ktoś mógłby zdeptać, lecz okazało się, że to nieprawda. Zabolą ją, kiedy patrząc w lustro, zobaczyła takie pośmiewisko. Nadal ją to dręczyło.

"Och, jak bym chciała zniszczyć tę straszną suknię - pomyślała z zawziętością. - Nie chcę już jej więcej widzieć na oczy!"

Viridina najwyraźniej nie zwróciła uwagi na jej milczenie, i bardzo dobrze! Kiedy omawiała szczegóły przybrań i trenów, Renę uderzyło, że matka jest dziwnie rozkojarzona, tak jakby coś niezmiernie absorbowało jej umysł i starała się ukryć ten fakt pod płaszczykiem beztroskiej pogawędki.

Pewnie martwi się o Lorryna. Raczej nie przypuszczam, żeby miało to coś wspólnego ze mną.

Mniej więcej w połowie dnia Viridina ostatecznie odprawiła córkę i Rena mogła wrócić do ogrodu i swoich książek. Tam, z dwoma ptaszkami siedzącymi jej na ramionach, zaczęła ostrożnie opracowywać zakłęcie, którego skuteczność podziwiała na wczorajszym przyjęciu. To, które sprawiało, że ptaki odlatywały ze swym kłopotliwym ładunkiem, po czym wracały. Było to najbardziej pożyteczne zakłęcie, na jakie natknęła się w swym życiu, a w jej ogrodzie zdecydowanie będzie przydatne.

Na początek rzuciła je tylko na jednego ptaka, bojąc się, że coś może się nie udać, lecz kiedy okazało się, że działa doskonale, czym prędzej zastosowała je do wszystkich latających stworzeń w swoim ogrodzie. Teraz mogła je pieścić i bawić się z nimi ile dusza zapragnie, bez obawy o przykre niespodzianki!

Jeden z najładniejszych, wyjątkowo łagodny ptaszek z jasno-czerwonymi skrzydłami i zakrzywionym dziobkiem, uwielbiał siadać jej na ramieniu i godzinami przytulać łepkę i ciało do jej szyi. Kiedy była zacytana, niechętnie mu na to pozwalała, gdyż miała wtedy tendencję do zapomnienia, gdzie się znajduje. W rezultacie Wezyrowi zazwyczaj zdarzała się katastrofa, zanim zdążyła go z siebie spędzić, a ona musiała biec i zmieniać suknię, żeby matka lub ojciec tego nie zobaczyli. Bywały dni, kiedy przebierała się po trzy razy! To popołudnie dostarczyło im więc niczym nie zmaconej radości - Rena siedziała spokojnie z książką, a Wezyr przysiadł na jej ramieniu i bez ograniczeń napawał się pieścizotami. Był on doskonałym środkiem uspokajającym i zakończyła dzień w spokojnym i wesołym nastroju.

Następnego dnia przebudziła się jednak tak samo zalękniona jak poprzednio, gdyż jej sny wypełnione były lordem Tylarem i karami, które dla niej szykował za to, że nie złapała męża.

Na szczęście okazało się, iż jej obawy były przedwczesne - cały dzień minął i nie zaszło nic niezwykłego.

Dwa kolejne dni przebiegły tak samo, a co ważniejsze, nie nadeszły żadne wyrazy dezaprobaty ze strony lorda Tylara. Rena zaczęła się powoli odprężyć, a jednocześnie próbowała dociec, co zajmuje jej ojca. Zgadywała, że być może kontakty polityczne, które nawiązał na bankiecie, okazały się tak absorbujące, że zapomniał o swych pierwotnych



zamiarach korzystnego wydania jej za mąż. To rzeczywiście byłoby typowe dla jego mentalności. Wszelkie sprawy dotyczące jej i jej przyszłości (albo jej braku) zawsze będą zajmowały zaledwie drugie miejsce po osobistych aspiracjach lorda Tylara. Musiała przyznać, że w tej chwili jej to odpowiadało. Im więcej myśli o sobie, tym mniej będzie myślał o niej.

Jedyną chmurą nad jej szczęściem był fakt, że Lorryn wciąż jeszcze nie wyleczył się ze swej choroby i nie przychodził jej odwiedzić. Zazwyczaj znajdował pretekst, by zatrzymać się przy jej ogrodzie przynajmniej raz na dzień, a kiedy planował zabrać ją na potajemną wycieczkę, to nawet częściej. Od niewolnic dowiedziała się, że nie opuszczał swych pokoi od czasu zachorowania przed bankietem. Nic nie wskazywało na to, by choroba była cięższa niż jej powiedziano; po prostu wyczerpał się bardziej, niż początkowo myślano.

Rena naprawdę straszliwie by się denerwowała, gdyby cokolwiek wskazywało, że z Lorrynem jest niedobrze. W tej sytuacji po prostu za nim tęskniła, nie tylko dlatego, że szczerze go kochała i podziwiała, lecz również dla rozmów, które z nim prowadziła. Po niewolnicach trudno było się spodziewać dowcipnych odpowiedzi, a ponadto Lorryn był jedyną osobą poza Myre, która nie traktowała jej, jakby nie przekroczyła poziomu umysłowego dziecka. Nawet własna matka odzywała się do niej tak, jakby zawsze była w takim stanie oszołomienia i roztargnienia, jak w ciągu ostatnich kilku dni.

Mimo wszystko nie powinien być tak długo chory, przedtem te ataki nie trwały dłużej niż dzień. Spacerując po ogrodzie, rozmyślała o nim z niepokojem i spoglądała w kierunku jego pokoi. Co on mógł sobie zrobić? Czy to dlatego matka była tak zdenerwowana i pokrywała zmartwienie udawaną wesołością?

Kładąc się do łóżka wieczorem trzeciego dnia, sama była zaniepokojona, gdyż na posyłane kilkakrotnie wiadomości otrzymywała niezmienną odpowiedź, że czuje się lekko niezdrowy, lecz w końcu wszystko będzie dobrze. W końcu? Jak długo będzie czekała, aż nastąpi to "w końcu"? Denerwując się tak o niego, zapomniała o części zmartwień dotyczących jej samej.

Niestety, poranek czwartego dnia zburzył doszczętnie jej spokój, przynosząc wiadomość od lorda Tylara.

Elegancko napisana notatka pojawiła się wraz ze śniadaniem, zwinięta i wsunięta pod talerz - lord Tylar nigdy nie dostarczał wiadomości osobiście, jeśli mógł tego uniknąć. Wzięła ją do ręki i rozwinęła, spodziewając się najgorszego.

*Przybądź do buduaru lady Viridiny w godzinie skowronka, aby omówić sprawę dużej wagi.* Tylko tyle, lecz było to wystarczająco dużo, by roztrząsać jej złudzenie spokoju.

Wpatrywała się przez chwilę w karteczkę trzymaną lekko tylko trzęsącą się ręką, po czym odłożyła ją ostrożnie, czując, że apetyt zupełnie ją opuścił. Omówić? O nie, to na pewno nie chodzi o dyskusje, skoro notatka była ręcznie napisana przez ojca, a na papierze odcisnięto jego osobistą pieczęć. Nie, lord Tylar miał dla niej rozkazy, a matka, tak uległa jego woli jak każda z niewolnic, miała jej te rozkazy przekazać. Sądząc po tym, że lady Viridina miała być pośrednikiem, musiało to być coś nieprzyjemnego. Zawsze zlecał żonie zajęcie się tymi domowymi sprawami, które mogły nieść ze sobą problemy. Był zdania, że jej rolą jest zapewnienie mu spokoju w domu, nawet jeśli to jego zarządzenia miały ten spokój zburzyć.

Poczuła, jak żołądek wywraca jej się i ściska, gdy próbowała odgadnąć, co może oznaczać “sprawa dużej wagi”. Czy w końcu zauważył, że nie ma żadnych konkurentów dobijających się o nią? Albo otrzymał od swych służących raporty, z których wynikało, że więcej czasu spędziła z oswojonymi zwierzętami niż z mężczyznami? Wcale nie wykluczała możliwości, że kazał ją szpiegować lub wypytywał znajomych o jej poczynania.

W jej sercu rozrastał się bezrozumny strach - diabelski owoc niewiedzy i złych przeczuć. Może poleci jej wziąć udział w kolejnej serii lekcji, których celem będzie przekształcenie jej w istotę bardziej ponętą, niż jest teraz, albo...

W tym momencie przypomniał jej się koszmar senny, który miała pierwszej nocy, co sprawiło, że jej “bezsensowne” przerażenie wydało jej się aż nadto uzasadnione.

Było coś gorszego, znacznie gorszego, co mógł jej zrobić. Ten koszmar dotyczył możliwości, której nawet nie rozważała, o której nawet nie pamiętała, dopóki złe sny jej nie ożywiły.

W sytuacji, kiedy był z niej niezadowolony i nie widział możliwości, by dobrowolnie się poprawiła, mógł skorzystać z jeszcze jednego sposobu. Był to środek drastyczny, lecz ojciec był dostatecznie bezlitosny, żeby się do niego uciec, o ile znajdzie kogoś o potężnej mocy magicznej, kto zechce mu wyświadczyć przysługę. Przedtem odrzuciła tę możliwość, gdyż nie potrafiła wyobrazić sobie, by tracił na nią tak wiele swych zasobów. Lecz jeśli był dostatecznie wściekły, to perspektywa udaremnienia jego planów przez źle się zachowującą, nieodpowiednią córkę, mogła przeważać nad argumentami ekonomicznymi.

Może poddać ją Przemianie.

Przemiana była czymś, o czym mówiono wyłącznie szeptem w kobiecych komnatach. Jeśli ojciec był bardzo niezadowolony ze swej córki lub, co też się czasem zdarzało, mąż ze swej żony, a udało mu się uzyskać zgodę jej ojca na Przemianę, to istniało na to lekarstwo. W przeszłości wielcy magowie elfów tworzyli bestie takie jak jednorożki, przekształcając w tym

celu zwykle zwierzęta biegające po lasach. Ona przecież także zmieniała pospolite wróble i gołębie w zachwycających towarzyszy zabaw. Przemienienie panny tak, by miała więcej urody i wdzięku, było zaledwie odrobinę bardziej wyrafinowanym zadaniem niż stworzenie jednoroga.

Szczególnie, jeśli ktoś nie za bardzo się przejmuje, czy ją uszkodzi, czy nie, pod warunkiem, że nie będzie to widoczne. Dziewczyna nie musi w końcu galopować przez pola bitewne, a jeśli nawet będzie potem nieco delikatna lub chorowita, to nie ma to żadnego znaczenia, o ile będzie w stanie urodzić jednego następcę. Kiedy dostarczy już dziedzica, można znaleźć sobie inną żonę, albo w ogóle się bez niej obyć.

Jak szeptano, dziewczyna była gdzieś zabierana, a kiedy wracała, nie była już zwyczajnie atrakcyjna - była piękną, żyjącym dziełem sztuki. Była niezdolna do niezgrabnego poruszania się, fałszywego śpiewania czy popełniania gaf towarzyskich. Pełna wdzięku i dobroci, nigdy nie dawała ponieść się nerwom, nie płakała i nie uskarżała się. Zarówno w zaciszu domowym, jak i publicznie, przed sobą równymi i niewolnikami, pojawiała się z twarzą zawsze uśmiechniętą, pełną spokoju i zadowolenia. Z ochotą i bezzwłocznie spełniała każde życzenie ojca lub męża. Stawała się więc pod każdym względem idealną żoną i idealną damą.

Problem polegał na tym, że Przemiana dokonywała się nie tylko w ciele, lecz i w umyśle, i podobno dziewczyna traciła istotną część swej osobowości. Nie miała już potem żadnych ambicji, żadnych zainteresowań wykraczających poza własny buduar i żadnych twórczych zdolności. Jeśliby jej polecono coś zagrać lub wyhaftować już narysowany wzór, to wykonałaby jedno i drugie z mechaniczną doskonałością. Lecz nie potrafiła sama zaprojektować haftu lub skomponować własnego utworu, nawet jeśli przed Przemianą była wspaniałą artystką lub muzykiem.

To jeszcze nie wszystko. Ich przyjemności ograniczały się do najprostszycich spraw i przestawało je interesować wszystko, co stanowiło intelektualne wyzwanie. Przeważnie przestawały cokolwiek czytać i pisać, przekazywały domowe rachunki służbie, a sprawy wymagające odrobiny inwencji pozostawiały w rękach niewolników. Opuszczały swe buduary tylko na wyraźne życzenie męża. Ich życie skupiało się na trzech sprawach: własnym wyglądzie, zadowalaniu męża i wychowaniu dzieci. Niemal obsesyjnie zaczynały je interesować klejnoty i stroje - potrafiły się przebierać cztery, pięć razy dziennie, chętnie rzuciłyby się z urwiska, gdyby to miało uszczęśliwić ich pana, a marzyły wyłącznie o tym, by urodzić jak najwięcej dzieci, i to jak najszybciej.

Jednym słowem, dawały sobą kierować jak ludzkie konkubiny i były równie uległe.

Nie był to przypadek, że chociaż Przemiany dokonywano na ciele dziewczyny, to oddziaływała ona również na jej umysł. Po co ograniczać się do zmieniania ciała, skoro za pomocą magii można wymazać niezadowolenie, nieodpowiednie ambicje i niewłaściwe zainteresowania tak dokładnie, jakby nigdy nie istniały. Można całkowicie przekształcić żonę lub córkę, tak by odpowiadała czymś potrzebom.

Jakież to poręczne dla ich mężczyzn.

W swoim nocnym koszmarze cierpiała ból samej Przemiany oraz przerażenie spowodowane drenowaniem jej mózgu, więc usilnie starała się zapomnieć zarówno sam sen, jak i wrażenie jego niesamowitej rzeczywistości. Teraz pamięć o nim powróciła ze zdwojoną wyrazistością, jakby to nie był sen, lecz przeczucie czarnej przyszłości.

Poczuła, jak serce jej się ściska, a dłonie lodowacieją.

Musi zwalczyć ten strach! Nie, lord Tylar z pewnością nie podda jej Przemianie! Była ona bardzo trudna i niezwykle kosztowna, zarówno jeśli chodzi o samo wynagrodzenie, jak i ze względu na żądania, które mag miał prawo zgłaszać później w stosunku do klienta. Tylko elfowie obdarzeni największą mocą magiczną ośmielali się ingerować w ten sposób w życie innych, a oni mieli już i władzę i prestiż. Lord Tylar z pewnością nie miał do zaoferowania nic, co mogłoby skusić Wysokich Lordów do pomagania mu w takim przedsięwzięciu!

Niestety, jej ciało wcale nie chciało zareagować na to desperackie rozumowanie. Ciało i serce były sparaliżowane, głęboko, śmiertelnie sparaliżowane przerażeniem. Coś ją ściskało za gardło tak mocno, że nie mogła nawet przełykać, usta miała wyschnięte i czuła, że zamiast twarzy ma sztywną, drewnianą maskę.

Oddech jej stał się szybki i przerywany jak u królika podczas kończącego się pościgu, a kiedy sięgała ponownie po kartkę, serce waliło jej jak młotem. Raz jeszcze przeczytała notatkę, szukając jakiejś wskazówki, lecz nic nie udało jej się wywnioskować. Lecz... nic nie wskazywało również, że lord Taylor zamierza poddać ją Przemianie, a z pewnością coś by mu się wymknęło, gdyby taki był jego zamiar. Czy nie kazałby jej odprawić swoich niewolnic albo nie nalegałby, żeby nie rozmawiała z Lorrynem? Zresztą najważniejsze, po co miałby ją posyłać do matki, czy żeby jej o tym powiedziała? Wystarczyłoby przysłać dwóch krzepkich strażników, którzy zabraliby ją bez żadnego ostrzeżenia. Pozwalając jej dowiedzieć się z góry, że coś dla niej planuje, ryzykował wywołanie przez nią sceny, kiedy dowie się, co to jest.

“Być może - tłumaczyła sobie zdesperowana - chodziło o coś znacznie prostszego, o zwykłe zbesztanie jej za to, że swoim postępowaniem nie dorównuje poziomowi oczekiwaniemu przez ojca i że nie wprowadza w życie poleceń, które jej wydał”.

Stopniowo jej oddech uspokajał się. To wydawało się bardziej sensowne i logiczne. Lord Tylar zawsze wybierał najłatwiejsze dla siebie wyjście i łajanie pozostawiał lady Viridinie. Ucisk w gardle nieco zelżał, kiedy zmuszała się do spokoju.

Tak, to musi być to! Lady Viridina wygłosi jej wykład na temat obowiązków i karygodnego ich zaniedbywania. Potem może nastąpić kolejna seria lekcji, które przewidywała. Będzie to nieprzyjemne i pożre jej mnóstwo czasu, lecz to jeszcze nie katastrofa - po prostu coś, co trzeba ścierpieć, dopóki lord Tylar ponownie o niej nie zapomni. A to prędzej czy później nastąpi, szczególnie jeśli będzie schodziła mu z oczu, a w najbliższej perspektywie nie będzie żadnych możliwości małżeństwa. Nie stanowiła dla niego zbyt wielkiego ciężaru i na swój spokojny sposób była nawet dekoracyjna. Zajmowała Lorryna i chroniła go w jakimś sensie przed popadnięciem w kłopoty. Można jej było nawet zaufać, że dopilnuje służby w przypadku, gdyby ojcu potrzebna była obecność żony przy boku.

Niewątpliwie ta wiadomość oznacza tylko tyle. Gdyby miało to być coś tak kosztownego, jak poddanie jej Przemianie, to osobiście wydałby jej rozkazy i dopilnował, by została wyekspediowana bez zbędnego zamieszania. Czyż nie pragnąłby wtedy nadzorować każdego najmniejszego szczegółu, od poinformowania jej, co ją czeka, do przekonania się na własne oczy o ostatecznym rezultacie? Z pewnością zjawiłby się tutaj, żeby się upewnić, że jego pieniądze nie zostały zmarnowane.

Wyszukiwała wszelkie racjonalne argumenty, lecz serce nie pozwalało się tak łatwo uspokoić. Trudno jej było zmniejszyć to przerażenie chociażby do takiego poziomu, by dało się z nim wytrzymać. Musiała użyć całej siły woli, by wstać od nie zjedzonego śniadania i udawać, że jest spokojna i opanowana. Wydając rozkazy dotyczące sukni, musiała wyjątkowo starannie kontrolować głos, który przytłumiony strachem, z trudem wznosił się ponad szept. Pozwoliła niewolnicom zająć się wszystkim, gdyż obawiała się, że ręce będą jej się trzęsły tak, że nie zdoła wykonać najprostszyc czynności. Otumaniona strachem i przygnębieniem, o wyznaczonej godzinie udała się do komnat matki. Na szczęście miało to być bezpośrednio po śniadaniu, do którego nie mogła się zmusić, tak że przynajmniej nie będzie musiała czekać, by dowiedzieć się, co jej przeznaczono.

Przeszła korytarzami w stanie takiego napięcia, że każdy najmniejszy szczegół rzucał się jej wyraźnie w oczy. Do komnat matki nie wchodziło się przez tradycyjne drzwi, lecz przez magiczną zasłonę w formie cienkiej warstwy energii, takiej jak ta chroniąca harem przed intruzami. Czekająca już tam na nią niewolnica, która powstrzymała ją od udania się do bawialni i poprowadziła ją do dalszej części komnat lady Viridiny. Matka przyjęła ją w swoim gabinecie, który jednakże w niczym nie przypominał pokoju o tej samej nazwie,

używanego przez lorda Tylara. Był to niewielki, raczej pusty pokój, w którym znajdowało się tylko biurko i dwa krzesła, niezwykle proste w formie. Podłoga, ściany i sufit były w jednolitym, kremowym kolorze, a biurko i krzesła o ton ciemniejsze. W momencie, gdy Rena weszła, Viridina właśnie coś czytała i tylko gestem wskazała jej puste krzesło, które ta zajęła posłusznie, również bez słowa. Siedziała na nim sztywno, z rękami na kolanach, a ciało miała tak napięte, że przy każdym uderzeniu serca wydawało się wibrować.

W końcu lady Viridina odłożyła czytany papier i spojrzała na córkę, przy czym jej oczy i twarz nie miały żadnego wyrazu.

- Lord Tylar pragnie, żebym ci przekazała, że jest z ciebie bardzo zadowolony - oznajmiła. Była to tak nieprawdopodobna wiadomość, że Rena tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymała się od otwarcia ust ze zdumienia.

On jest ze mnie zadowolony? Ze mnie? Jak? Dlaczego? Co ja zrobiłam? Co on sądzi, że ja zrobiłam?

- Zdaje się, że spędziłaś sporo czasu na bankiecie z V'keln Gildorem er-lordem Kyndreth - dokończyła matka i czekała na odpowiedź.

Rena milcząco skinęła głową. Czy to było wszystko? Po prostu to, że była uprzejma dla gadającego bez sensu idioty? Przystojnego idioty, to trzeba przyznać; ponadto nie ma czegoś takiego jak źle widziany elf, może oprócz mnie.

- Dom Kyndreth to dom starożytny i potężny - ciągnęła Viridina. - Nie aż tak potężny jak Hemalth, lecz za to starszy. Wiele pochlebnych rzeczy można powiedzieć o tym rodzie, a lord Lyon ma duże znaczenie w Radzie. Wszyscy gorąco pragną zaskarbić sobie jego łaski.

Rena ponownie kiwnęła głową, nie mogąc zrozumieć, do czego matka zmierza. Czy ojciec Gildora był wdzięczny, że w ogóle spędziła nieco czasu z jego synem - wdzięczny na tyle, żeby pochwalić ją przed lordem Tylarem? A może aż tak wdzięczny, że wesprze Tylara w Radzie?

- Cóż, zdaje się, że pod wieloma względami zrobiłaś na lordzie Gildorze duże wrażenie - powiedziała Viridina, nawet nie unosząc brwi. - A bardzo trudno jest go zainteresować na tyle, by pamiętał o jakimkolwiek doświadczeniu dłużej niż kilka godzin. Tak przynajmniej twierdzi twój ojciec.

W głosie matki nie było najłżejszego śladu ironii, a nic w wyrazie jej twarzy nie wskazywało na rozbawienie. Rena nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Nie spodziewała się ani otwartości, ani ironii ze strony matki lub ojca.

Lady Viridina przyglądała się jej badawczo, jakby szukała jakiegoś śladu wskazującego, iż Rena uważa jej komentarz za zabawny.

- W każdym razie wywarłaś wrażenie na tym er-lordzie, a w rezultacie również na jego ojcu, co jest o wiele bardziej istotne.

Urwała i znów czekała na odpowiedź.

- Tak, o pani - udało się wykrztusić Renie. - Oczywiście, znacznie ważniejsze jest, by wywrzeć wrażenie na lordzie Lyonie. Biedny Gildor, nawet jego własny ojciec musi mieć kłopot w postępowaniu z nim. Robi wrażenie... - szukała odpowiedniego słowa do scharakteryzowania go, słowa, które wyrażałoby treść odrobinę pochlebniejszą od niemilej prawdy, że młodzieniec jest po prostu głupcem - sympatycznego młodego lorda, który naprawdę gorąco pragnie zadowolić swojego pana ojca. Rzecz jasna, jest to jedynie słuszne podejście. Jednak powiedziałabym, że nie odznacza się on zbyt wielką ambicją.

“Czy dowcipem. Czy inteligencją”.

Matka skinęła głową i wreszcie leciutko się uśmiechnęła.

- Świetnie. W takim razie rozumiesz sytuację. V'denn Lyon lord Kyndreth oświadczył się wczoraj wieczorem o twoją rękę, w imieniu swego syna. Naturalnie lord Tylar przyjął oświadczenia w twoim imieniu. Jest bardzo zadowolony; co więcej, lord Lyon jest przekonany, że ta zgoda czyni go dłużnikiem twego ojca. Słowa te odczuła jak smagnięcia bicia po twarzy i ciele. “Oświadczenia? Gildora, o moją rękę? Przyjęte?” Początkowy wstrząs zmienił się w przerażenie i Rena siedziała sparaliżowana, niezdolna do mówienia, do najmniejszego ruchu, a nawet do myślenia, kiedy dotarł do niej sens stów wypowiedzianych przez matkę. Została sprzedana, w jednej chwili, bez żadnego ostrzeżenia... oddana temu... temu...

“Gildorowi! Idiocie, który nie potrafi nawet zapamiętać, co robił kilka godzin wcześniej! Kretynowi całkowicie podporządkowanemu swojemu ojcu! Tumanowi, który... który ma niewiele więcej rozumu niż dziecko w żłobku, którego jedyne zainteresowanie stanowią polowania i który nie potrafił sklecić w głowie ani jednej sensownej myśli! Głupcowi, który postępuje okrutnie, nie zdając sobie nawet sprawy, że kogoś krzywdzi”.

Była tak ogłuszona, że nawet się nie trzęsła, a matka najwyraźniej przyjęła Jej milczenie jako oznakę zgody i uśmiechnęła się, bardziej z ulgą niż z zadowoleniem.

- Cieszę się widząc, że jesteś należycie wdzięczna swojemu panu ojcu i lordowi Gildorowi. Twój zdrowy rozsądek przynosi ci zaszczyt i jest świadectwem właściwego wychowania.

Podniosła się i wręczyła Renie zwinięty arkusz papieru zalakowany oficjalną pieczęcią lorda Tylara.

- Oczywiście należy dopełnić wszelkich formalności, a w przypadku osoby o takim

rodowodzie jak lord Gildor jest to jeszcze bardziej istotne niż zazwyczaj. Z naszej strony musimy wykonać wszystko właściwie, z należytą troską. Udaj się do swoich pokoi i każ niewolnicom ubrać cię na oficjalny obiad - zdecydowała. Rena automatycznie wstała. - Drogą przez portale udasz się bezpośrednio do lorda Lyona i samego lorda Gildora, zanosząc pismo wyrażające przyjęcie oświadczyn, tak jak to jest w zwyczaju. Za godzinę zjawi się u ciebie eskorta, która cię odprowadzi.

To była najwyraźniej odprawa, więc Rena wyszła z gabinetu, nie widząc nic z tego, co ją otaczało, i korytarzem udała się do własnych komnat, nadal omotana kokonem otępienia i odrętwienia.

Następnych kilka godzin stanowiło zamazaną plamę w jej zamglonym wstrząsem umyśle. Uczepiła się myśli, że jest to tylko kolejny koszmar sen, że lada moment obudzi się w swoim własnym łóżku. Coś takiego nie mogło się zdarzyć! To brzmiało jak jakaś parodia romantycznej powieści, w której Wysoki Lord zakochuje się w córce jednego ze swych służących i prosi o jej rękę. Dlaczego, och, dlaczego lord Gildor musiał wybrać akurat jej tren, żeby na niego nadepnąć? Dlaczego nie mógł wpaść na czyjąś inną niechcianą córkę?

Musiała zapewne wydać niewolnicom jakieś rozkazy, a im nie zabrakło rozsądku, gdyż kiedy oprzytomniała, stała przed portalem w towarzystwie swojej eskorty ubrana, uczesana i obwieszona klejnotami. Ktoś najwyraźniej dopilnował, żeby przyniesiono suknię, w której najlepiej wyglądała, pewnie jedna z niewolnic ulitowała się nad nią. Tym razem nie pomalowano jej kosmetykami, włosy, splecione w proste warkocze, owinięto sznurami pereł i zwinięto na karku w skomplikowany węzeł, a suknia, w którą była ubrana, uszyta była z ciężkiego, różowego jedwabiu, z małym dekoltem i długimi rękawami ciągnącymi się po posadzce. W talii była ściśnięta paskiem z pereł, a takie same perły zdobiły jej szyję. Wtapiała się wprawdzie w tło ścian swojej komnaty, lecz przynajmniej nie przypominała klauna.

Jak przez mgłę majaczył jej obraz Myre wydającej rozkazy, które były spełniane, podczas gdy ona stała, siadała, obracała się w stanie umysłowej pustki. Zupełnie nie pamiętała momentu opuszczania swoich komnat, a oto była już tu, na progu portalu z zapieczętowaną tubą w ręce - bogato zdobioną, inkrustowaną kością słoniową, złotą tubą. Nie wiedziała skąd się ona wzięła w jej ręce, widocznie ktoś jej musiał podać w chwili, gdy nie była tego nawet świadoma. A kiedy uniosła dłoń, by w oszołomieniu dotknąć skroni, zauważyła nowy pierścień na palcu, z białego złota z berylem, na którym wygrawerowano skrzydlatego jelenia.

“Pieczęć lorda Lyona?”

Na pewno. Jak inaczej mogłaby skorzystać z portalu, by przedostać się bezpośrednio



stąd do posiadłości lorda Lyona? Musiał go przynieść posłaniec lorda.

Nie miała już czasu na dalsze zbieranie myśli; jej eskorta ruszyła, zabierając ją z sobą i po chwili znalazła się po drugiej stronie portalu.

Tym razem nie było pośredniego przystanku w Sali Rady, zapewne pierścień z pieczęcią miał służyć właśnie temu, by dotarła bezpośrednio do miejsca przeznaczenia. Wynurzyła się z portalu w sali recepcyjnej.

Pokój ten nie przypominał żadnego z tych, które dotychczas widziała, chociaż nie był stworzony za pomocą magii. Była to komnata z umeblowaniem pokrytym skórą i znajdującymi się dosłownie wszędzie trofeami myśliwskimi. Ślepe oczy martwych zwierząt wpatrywały się w nią z głów zawieszonych na wyłożonych ciemnym drewnem ścianach. Całe zwierzęta i wypchane ptaki stanowiły uchwyty do lamp, podpory stołów lub po prostu przerażające eksponaty. Skóry wraz z głowami pokrywały posadzkę, a cała jedna ściana zajęta była przez dwa upozowane ogiery jednoroga zwarte w walce - jeden czarny jak heban, drugi biały jak śnieg. Obydwa miały szalone pomarańczowe oczy, błyszczące złościwością. Całości obrazu dopełniała krew, a przynajmniej coś przypominającego krew, na ich skręconych spiralnie, pojedynczych rogach.

Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

Wszystko, na cokolwiek można było polować, w jakiejś formie się tu znajdowało i było przekształcone w takie czy inne trofeum. Rogi jednorogów tworzyły stojak dla włócznie, inkrustacje z kości słoniowej i rogu pokrywały każdy cal tych mebli, które nie zostały wyłożone skórami - licowanymi lub z pozostawionym futrem. Ze wszystkich kątów wyszczerzały się na nią jakieś zęby. Wypchane węże owijały się wokół kołczanów zawieszonych obok łuków. Wieszała do noży i mieczy wykonano z rogów jelenich.

Zewsząd wpatrywały się w nią szklane oczy i miała wrażenie, że ich spojrzenie wyraża wściekłość, oszołomienie i oskarżenie. Miejsce to zdawało się nawiedzone przez milczący gniew.

Nagle bez słowa pojawił się ludzki sługa, skłonił przed nią głęboko i gestem pokazał, żeby udała się za nim. Tak też zrobiła, niezmiernie zadowolona, że może opuścić ten pokój pełen oskarżających ją oczu.

Czy tą metodą lord Lyon chciał wyrzucić wrażenie na gościach? Czy też naprawdę czerpał przyjemność z tego, że ofiary jego wypraw łowieckich były wystawione w miejscu, gdzie miał okazję często je oglądać?

Czy ona miała stać się jeszcze jednym takim trofeum?

Służący prowadził ją korytarzem również wyłożonym ciemnym drewnem,

oświetlonym kulami magicznego światła umieszczonymi w kinkietach z jelenich rogów, pokrytym dywanem z krwiste czerwonego pluszu. Zrezygnowała z ustalenia, ile jeleni i łosi było potrzeba na te kinkiety; lord Lyon był jednym z najstarszych Wysokich Lordów, więc miał za sobą niezliczone lata polowań. Biorąc pod uwagę, jak długo żył, można było przypuszczać, że prezentuje tu zaledwie część swoich trofeów.

Cóż za okropna myśl!

Ciekawe, co próbował przekazać poprzez ten pokój śmierci? W końcu była to pierwsza rzecz, którą musiał urzeć każdy gość przybywający przez portal. Czy chciał im zasugerować, jakim bezwzględny może być wrogiem? A może pragnął zaszokować ich swymi osiągnięciami fizycznymi lub zdolnościami psychicznymi potrzebnymi, by podejść i zabić tyle stworzeń?

Korytarz robił wrażenie ciągnącego się w nieskończoność; światła rozjaśniały się, kiedy do nich podchodziła, i ściemniały, gdy je mijała, tak że nie potrafiła stwierdzić, gdzie jest jego prawdziwy kres. O stopniu jej oszołomienia może świadczyć fakt, że gdzieś po drodze zgubiła swoją eskortę i nawet tego nie zauważyła, dopóki ludzki sługa nie zatrzymał się przy jakichś drzwiach, czekając, by do niego dołączyła. Nie były, to rzecz jasna, zwykłe drzwi; kiedy się do nich zbliżyła, stwierdziła, że są one wyłożone geometryczną mozaiką z tysięcy małych kosteczek, samych kręgów, dopasowanych z niezwykłą precyzją, tak by pokryć całą powierzchnię. Utworzony przez nie wzór miał zapewne coś oznaczać, lecz Rena nie miała pojęcia co.

Służący cicho otworzył te drzwi i ukłonem zaprosił ją do ich przekroczenia. Z wahaniem zrobiła krok w półmrok za nimi.

Raz jeszcze znalazła się na brzegu leśnej polany oświetlonej księżycem w pełni. Tym razem nie było jednak oswojonych zwierząt i aż nazbyt wyraźnie było widać, że księżyc i gwiazdy są magicznymi światłami. Większość z tego, co teraz widziała, była złudzeniem, i to nie tak doskonałym jak to na bankiecie. Szczerze mówiąc, jeśli wziąć pod uwagę moc i prestiż lorda Lyona, iluzja ta nie była bynajmniej wszystkim, co mógłby on stworzyć, gdyby mu na tym zależało. Niewidoczny muzyk grał cicho na cymbałach, a gałęzie drzew poruszała bryza, która nie zburzyła nawet jednego włoska z uczesania Reny.

Drzwi zamknęły się za nią.

Na środku polany znajdował się stół nakryty dla trzech osób. Magiczne światło zamknięte w kandelabrze z jelenich rogów wyznaczało środek stołu, lecz najwyraźniej siedzący przy nim biesiadnicy nie zostali jeszcze obsłużeni. Znajdowały się tam już dwie osoby; przyćmione światło nie pozwoliło jej ich rozpoznać, lecz zakładała, że są to Gildor i

jego ojciec.

Zrobiła kilka kroków do przodu, a wtedy światło na stole rozjaśniło się. Siedzące tam osoby obróciły się w jej kierunku, co pozwoliło jej stwierdzić, iż jedna z nich jest kobietą.

Ludzką kobietą, dzielącą z nimi stół podczas posiłku, który miał być jej prywatnym obiadem z okazji zaręczyn z przyszłym panem małżonkiem.

Stała jak skamieniała w miejscu, niezdolna iść dalej ani obrócić się i wyjść.

Światło było obecnie dostatecznie jasne, by ujawnić wszystkie upokarzające szczegóły. Kobieta była bardzo piękna, doskonale i kosztownie ubrana w satynę koloru krwi oraz obwieszona na szyi i na rękach rubinami i złotem, a sądząc z pozy jej i Gildora, musiała być jego ulubioną konkubina.

Konkubina? Na jej zaręczynowym obiedzie?

Przez chwilę zastanawiała się szaleńczo, czy matce podano złą godzinę w zaproszeniu lub czy ona sama coś źle zrozumiała.

Lecz nie, to było niemożliwe. Przecież eskorta na nią czekała, pismo było przygotowane, pierścień, który umożliwił jej dostanie się tutaj, był wykonany na jej rękę. Nie było żadnej pomyłki.

Nagle poczuła, że trzymający ją do tej pory paraliżujący strach znika, a umysł wyzwala się z otępiającego niezdecydowania. Ujrzała wszystko ze zdwojoną jasnością, a jej myśli zaczęły galopować, jakby od dziesiątków lat zabawiała się knuciem intryg. Dopiero teraz, po raz pierwszy w ciągu tego okropnego dnia, została postawiona w sytuacji, która pozwalała jej wykonać własny ruch, zamiast bezwolnie poddawać się poczynaniom innych.

To co się stało, to nie był bynajmniej przypadek ani sytuacja zaaranżowana przez Gildora. On nie mógł tak po prostu zaprosić sobie nałożnicy, gdyż ojciec nigdy nie pozwoliłby mu na coś takiego, a służba natychmiast doniosłaby o takiej gafie, na długo przed przybyciem Reny. Lord Lyon zaplanował wszystko do tej pory tak starannie, że ta obraza dla jej godności i dumy też musiała być częścią jego planu, może nawet uknutego pospołu z lordem Tylarem. Nie było to zaplanowane jako afront sam w sobie - lord Lyon nie zadawałby sobie tyle trudu, by obrazić takie zero jak ona, a jeśli pragnął znieważać lorda Tylara, to zrobiłby to bezpośrednio, a nie poprzez nią. To on dysponował większą mocą z nich dwóch, a obrażenie domu za pośrednictwem kobiety byłoby gafą towarzyską z jego strony.

“To jest rodzaj testu. A ojciec też musiał przyłożyć do tego ręki. Tylko on mógł pomyśleć o ludzkiej konkubinie jako o narzędziu i broni”.

Została postawiona w sytuacji specjalnie zaplanowanej tak, by dać dokładną odpowiedź, w jakim stopniu będzie uległa i posłuszna życzeniom swego przyszłego pana. Dla

wszystkich było oczywiste, że Gildor nie jest w stanie podjąć jakiejkolwiek rozsądnej decyzji, a więc obdarzenie go żoną, która miałaby rozum i własną wolę, byłoby prowokowaniem katastrofy. Samowolna żona bez żadnego trudu mogłaby wykazać, jakim jest on naprawdę głupcem, a co gorsza, mogłaby się nauczyć nim manipulować.

“Jeśli narobię zamieszania, jeśli przyjmę to jako obrazę i wyjdę, jaki będzie z tego pożytek?”

Zapewne taki, że Gildor sobie z nią nie poradzi. Niezwykle kusilo ją, żeby to właśnie zrobić. Lecz jeśli tak postąpi...

Taka reakcja na pewno stanie się argumentem dla lorda Tylara, żeby poddać ją Przemianie. Miała w końcu swoje rozkazy - nie oczekiwano od niej prezentowania urażonej dumy. Jeśli ośmieli się myśleć samodzielnie, stanie się niebezpieczna zarówno dla ambicji ojca, jak i dla Gildora. Mając zapewnioną pomoc i wsparcie lorda Lyona, ojciec będzie mógł pozwolić sobie na jej Przemianę, tak żeby nie sprawiała już nigdy kłopotów swemu narzeczonemu. Lord Lyon najwyraźniej desperacko szukał żony, która nie będzie sprzeciwiała się Gildorowi, a jednocześnie nie spróbuje przywłaszczyć sobie poprzez Gildora jego własnej mocy. Więc jeśli uda mu się znaleźć pannę, której ojciec zaaprobuje wysłanie jej na Przemianę, to czy nie chwyci takiej okazji obiema rękami? Taka narzeczona niezdolna będzie manipulować Gildorem ani użyć go przeciw własnemu ojcu, a jednocześnie go uszczęśliwi. Jednym słowem będzie to żona idealna, przynajmniej z punktu widzenia lorda Lyona.

Z drugiej strony miała w tym momencie okazję udowodnić, że jest tak zgodliwa i potulna, jak ojciec i Lyon oczekiwali. Wystarczy po prostu tam podejść, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego, że ma spożywać obiad zaręczynowy z ulubioną nałożnicą swojego narzeczonego, a od razu zostanie uznana za równie dobrą jak żona po Przemianie. Zachowując się, jakby nie dostrzegła obrazy, jakby to było przyjemne, małe przyjęcie, udowodni, że jest “bezpieczna” - będzie w przyszłości posłuszna swojemu panu małżonkowi i nie wprawi go publicznie w zakłopotanie. Mogłaby być dostatecznie sprytna, by manipulować Gildorem, lecz lord Lyon zakładał prawdopodobnie, że jeśli była miła dla jego syna, nie wiedząc kim on jest, to niewątpliwie jest zbyt głupia, by być tak przebiegła.

Mimo wszystko, stojąc tam poczuła, jak ogarnia ją płomień upokorzenia. Nawet lady Viridina nie była nigdy zmuszona ścierpieć sytuacji takiej jak ta!

“Jeśli pójdę... jeśli wymaszeruję stąd i wrócę prosto do domu...?”

To i tak zostanie zmuszona do poślubienia Gildora. Tyle że wtedy nie pozostanie w niej już żadna cząsteczka, którą będzie to obchodziło.

Przez jedną krótką chwilę wydało jej się to bardziej ponętne od obecnej sytuacji. Niemal natychmiast przywołała się w myślach do porządku. Przecież to były tylko zaręczyny. Tysiące rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć między chwilą obecną, a samym ślubem. Gildor może umrzeć; spędzając większość czasu na polowaniach, w dużym stopniu zwiększał swoje szansę na przekonanie się, że nie jest aż tak dobrym myśliwym, jak sądzi. Mógł też umrzeć jej ojciec; wtedy Lorryn zostałaby głową domu, a on w żadnym wypadku nie zmuszałby jej do poślubienia tego głupca. Ona sama może umrzeć. Ona i Lorryn mogą znaleźć jakiś sposób, żeby zmusić lorda Tylara do zerwania zaręczyn. Może uda się jej sprawić, żeby Gildor rozczarował się co do niej. Lord Lyon może uczynić jakieś katastrofalne posunięcie, które znacznie zmniejszy jego siłę, a tym samym Gildor stanie się mało pożądanym mężem tam, gdzie w grę wchodzi ambicje jej ojca.

W najgorszym wypadku zostanie poślubiona kretynowi, a jeśli małżeństwo okaże się bezdzielne, to może w przyszłości Lorrynowi uda się jakoś uwolnić ją od niego. Albo Gildor umrze.

A w tym czasie lord Tylar będzie traktował ją z pewną ponurą łaskawością i może zyska dzięki temu trochę więcej swobody.

Było to trudne, niezwykle trudne, lecz zmusiła swe stopy do posuwania się naprzód, po jednym małym kroczku. Udało jej się też z wysiłkiem ułożyć usta w głupawy, fałszywy uśmiech. Kiedy podeszła do stolika, Gildor podniósł się, lecz konkubina nie ruszyła się z miejsca. Nie uszło to uwagi Reny i policzki zaczęły ją palić od tej kolejnej zniewagi.

- Sheyreno! - odezwał się Gildor z dziecinnym entuzjazmem. - Witam! Proszę, przyłącz się do nas!

W tej chwili puste krzesło odsunęło się samo, więc zajęła swoje miejsce, czując okropną sztywność swych ruchów. Konkubina - czarnowłosa piękność, niezwykle hojnie obdarzona w biuście przez naturę - uśmiechnęła się do niej złośliwie i nawet nie skłoniła głowy w zdawkowym ukłonie. Ona wiedziała, kto tu jest ważniejszy. Ona była faworytą, Sheyrena zaledwie obowiązkiem.

- To jest Jaene, zarządczyni mojego dworu; Jaene, to jest Sheyrena. - Uśmiechnął się głupawo do nich obydwóch; niewątpliwie nie zaświtało mu nawet w głowie, że sytuacja nie jest normalna. - Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnicie. Będziecie się od tej pory bardzo często widywać.

Jaene uśmiechnęła się takim samym okrutnym uśmieszkiem, jaki Rena widywała na twarzy ojca, kiedy przeznaczał kolejną ze swych odrzuconych nałożnic do służby u lady Viridiny.

- O, z pewnością - wymruczała. - Z pewnością. "Pewnie. Zarządczyni dworu. Tak jakby dwór er-lorda mógł składać się z czegoś więcej niż harem, osobiści służący i łowczy! Ciekawe, czy ojciec kazał mu opowiadać te bzdury? Zapewne.

Jeśli będę udawać, że w to wierzę, to udowodnię, że jestem tak samo głupia jak on".

Sheyrena nie mogła się zmusić, by cokolwiek wykrztusić w odpowiedzi. Tak samo nie potrafiła się przemóc i wręczyć Gildorowi zapieczętowanej ozdobnej tuby. W końcu z rumieńcem na twarzy położyła ją po prostu na stole pomiędzy nim a sobą, unikając przez cały czas wzroku Jaene.

Niewidzialny służący zabrał ją stamtąd, zanim zdążyła mrugnąć okiem.

Gildor oparł się wygodnie w swoim krześle; wyraz błogiego zadowolenia malujący się na jego twarzy dodawał mu urody, o ile ktoś nie wpatrzył się zbyt uważnie w bezmyślne oczy.

- Musimy to częściej robić - odezwał się, nie kierując tych słów do żadnej z nich w szczególności. - Po prostu jedna mała, szczęśliwa rodzina!

Uśmiech Jaene poszerzył się nieco.

- Czego tylko sobie zażyczysz, mój panie - odparła z udawaną uległością, całkowicie ignorując Renę.

Sheyrena była bliska udławienia się.

Na szczęście w tym momencie pojawił się przed nią talerz, dzięki czemu nie musiała patrzeć na nic innego. I bardzo dobrze, już samo wpatrywanie się w talerz sprawiało jej dostateczną trudność.

Podczas całego tego bolesnego posiłku nie wypowiedziała więcej niż dwa słowa i nie przełknęła więcej niż kęs jedzenia, gdyż potem gardło zacisnęło się jej w proteście. Jaene nie przestawała się jadownicie uśmiechać, jedząc powoli i czyniąc z każdego kęsa pokaz zmysłowości. Gildor pochłaniał ogromne ilości jedzenia, całkowicie nieświadom napięcia przy stole. Niewidzialni służący przychodzili i odchodzili z niezliczonymi daniami, które były zapewne przepyszne - w każdym razie pachniały zachęcająco i wyglądały wspaniale. Jednak dla Reny mogło to być równie dobrze siano; usiłowała spróbować jednego czy drugiego, lecz poddała się, kiedy jej przełyk nie chciał otworzyć się na tyle, by mogła przełknąć. Od tej chwili po prostu siedziała i popychała widelcem jedzenie na talerzu, dopóki służba go nie zabrała.

Nie żałowała sobie za to wina i wypijała je gorączkowo, a służący stale napełniał jej kieliszki, do każdego dania nalewał inne wino. Możliwe, że wypła trochę za dużo, bo kręciło jej się w głowie, lecz nie straciła kontroli nad językiem. Wino było jej potrzebne jako środek

znieczulający, żeby nie docierał do niej ból tych chwil.

Nic nie mówiąc, z oczyma utkwionymi w talerzu, starała się to po prostu przetrwać.

Niewidoczny cymbalista grał nadal, wspomagany teraz przez harfistę. Drzewa kołysały się w podmuchach nieistniejącej bryzy. Niewidoczna obsługa zabierała jej przed nosa pełne talerze, by zastąpić je innymi, również pełnymi. Jaene, która nie przestawała się uśmiechać, z każdą chwilą bardziej przypominała kota, szczególnie gdy zmieniła pozycję, pólżąc w leniwej, kuszącej pozie. Pozwoliła rozchylić się dekolтови swojej sukni, a Gildor wpatrywał się teraz w to rozcięcie z wytężoną uwagą, dorównującą tej, którą poświęcał jedzeniu. Zanim ten trudny do zniesienia posiłek zbliżył się do połowy. Rena miała wrażenie, że równie dobrze mogłoby jej tu nie być.

Tylko wino dawało jej siłę, by mogła tu siedzieć i znosić to wszystko; wino oraz przekonanie, że niezależnie od tego, jak postąpi, to i tak będzie musiała poślubić Gildora, jeśli jej ojciec będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia. Musiała więc wybrać taką drogę, która pozwoli jej zachować pełną świadomość, a jedyną możliwością osiągnięcia tego było przekonanie go, że jest posłuszna. Ojciec życzył sobie tego małżeństwa; ona mogła zdobyć małą część tego, czego pragnęła, tylko za cenę milczenia.

Rzecz jasna, jej ojciec był jedyną osobą, poza lordem Lyonem, której zdanie liczyło się w tej sprawie.

Po kolejnych łykach wina, które zwiększyły jeszcze jej zawrót głowy, podano w końcu deser. Niewidzialny służący zabrał ostatni talerz, a na jego miejscu pojawił się mały, biały jednoróg z cukru, romantycznie wyrzeźbiony, na którego pojedynczym koniuszku zawieszono pierścień. Klejnot ten wykonany był z ciężkiego białego złota, ozdobiony wygrawerowanym skrzydlatym jeleniem i ptakiem księżycowym. Od razu domyśliła się, co ma oznaczać - pierścień zaręczynowy, rzecz jasna. Jeśli go przyjmie i włoży na palec, przypieczętuje tym swój los.

Zawahała się przez chwilę, mając wrażenie, że opóźnia nieuchronną przyszłość. Dopóki ta rzecz nie znalazła się na jej palcu, mogła udawać, że jest wolna.

“Lecz nie jestem. Nigdy nie byłam. I nigdy nie będę”.

Zdjęła pierścień z rogu i w odrętwieniu, czując zawroty głowy, niezdarnie wcisnęła go na palec.

Potem wzięła widelec, którym powoli i starannie rozkruszyła jednoroga na małe okruchy cukru.

Sądziła, że jej męka dobiegła już końca, lecz ani Gildor ani Jaene nie robili wrażenia osób zamierzających kończyć ucztę. Szczerze mówiąc, Gildor nie robił też wrażenia, że w

ogóle zauważył przyjęcie jego pierścienia przez Renę. Zmuszona więc była tam siedzieć, krusząc deser na coraz mniejsze kawałeczki, podczas gdy Gildor całkowicie ją ignorował, wpatrując się w biust konkubiny. Nie wolno jej było wyjść, dopóki Gildor nie wręczy jej pisemnego i podpisanego kontraktu zaręczynowego, żeby mogła go dostarczyć swemu ojcu. Wyglądało, niestety, na to, że nie jest w stanie tego zrobić tak długo, jak długo Jaene tam siedzi i trzepocze rzęsami.

W końcu, kiedy jednoróg zamienił się w proszek, a wypite wino rozpało w niej gniew, stwierdziła, że dość tego dobrego. Niech Gildor się tłumaczy, dlaczego nie obdarzył jej kontraktem. Ona postąpiła wbrew sobie, przestrzegając wszystkich formalności, zrobiła znacznie więcej niż wymagały wiążące ją rygory.

Wstała gwałtownie, a odsunięte przez nią niecierpliwie krzesło wywróciło się do tyłu. Gildor i Jaene obrócili się nagle i patrzyli na nią, jakby dopiero teraz zauważyli jej obecność.

- Jest bardzo późno - odezwała się niskim głosem, gdyż wypite wino utrudniało jej mówienie. - Proszę o wybaczenie, mój panie, lecz nieczęsto przebywam poza posiadłością mego ojca i nie jestem przyzwyczajona do tak późnej godziny. Muszę już iść.

Ledwie skończyła wymawiać te słowa, gdy cały pokój uległ zmianie.

Polana, niebo, Jaene - wszystko zniknęło; pozostał tylko stół na środku pokoju wyłożonego ciemnym drewnem, o podłodze z czarnego marmuru. Stół był nakryty nie na trzy, lecz na dwie osoby, nakrycie i krzesło Jaene zniknęły wraz z nią. Po jednej stronie stało dwóch służących. Gildor zmieszany mrugał oczami. Z mroku wynurzył się wysoki i potężny elfi lord.

- Pan ojciec? - wyjąkał Gildor. - Gdzie poszła Jaene? Gdzie się podziała polana?

Lord Lyon zignorował pytania syna i obrócił się do Reny, by przyjrzeć się jej z lekkim rozbawieniem.

- Wybacz to drobne oszustwo, dziecko. Gildor nalegał, by ta niewolnica była obecna, lecz ja, rzecz jasna, nie pozwoliłbym narazić cię na taką obrazę. Byłoby to grubiaństwo nie do przyjęcia.

“Och, oczywiście. Przynajmniej dopóki mogłeś stworzyć złudzenie wystarczająco dobre, by zwieść biednego Gildora. Sądziłam, że jesteś lepszym magiem, niż wskazuje ta głupia inscenizacja”.

Skinęła jednak potulnie głową i splotła ręce przed sobą. Obawiała się odezwać, żeby nie zdradziły jej własne słowa, lecz skutki wina szybko się wypalały wraz z wściekłością na taki podwójny podstęp. Została wykorzystana. Musiała to znieść, lecz nie musiało jej się to podobać.



Lord Lyon zwrócił się z kolei do syna.

- Niech to będzie dla ciebie nauzką, Gildorze. Żadnemu niewolnikowi nie wolno jeść ze swoim panem, nigdy - rzekł surowo. - Żadnemu niewolnikowi nie wolno też pozwalać na taką swobodę, na jaką ty pozwalałbyś tej Jaene i na jaką pozwalałeś jej w przeszłości, gdyż powoduje to, że stają się krnąbrni i nieposłuszni. Kiedy jedliście, kazałem ją odesłać. Jak tylko nauczysz się trzymać swoje kobiety w karbach, pozwolę ci ją sprowadzić z powrotem.

“Kiedy nauczysz się trzymać w cuglach swoje psy, dostaniesz je z powrotem - pomyślała zjadliwie. - I przepros panią, której piesek nasiusił właśnie na suknię”.

Kątem oka dostrzegła, że Gildor zrobił się purpurowy i pochylił głowę.

- Tak, ojciec - mruknął pokornie. Nie przeprosił jednak Reny; zresztą wcale się tego po nim nie spodziewała.

- Przykro mi, jeśli twoje uczucia zostały zranione, moje dziecko - zwrócił się do niej łagodnie lord Lyon. - Lecz wykazałaś właściwą dziewczęcą skromność i wyrozumiałość, która przynosi ci zaszczyt. Proszę.

Wyciągnął do niej tubę ze zwojem, równie ozdobną jak ta, którą ona przyniosła, lecz z motywem zarówno księżycowych ptaków, jak i skrzydlatych jeleni. Przyjęła ją automatycznie, a chociaż była chłodna, wydawało jej się, że pali jej dłoń, kiedy zacisnęła wokół niej palce.

- Proszę, przekaz kontrakt swemu szlachetnemu ojcu wraz z moimi podziękowaniami - powiedział lord Lyon, podczas gdy Gildor stał niemy. Następnie uniósł jej dłoń i ucałował, musnąwszy jej wierzch. - Powiedz mu w moim imieniu, że ma dokładnie taką córkę, jakiej obaj pragnęliśmy, i że jestem niezmiernie zadowolony, mogąc powitać cię w naszej rodzinie.

To był sygnał, że może uciekać, mruknęła więc coś odpowiedniego i natychmiast skorzystała z tej szansy.

Jej eskorta czekała za drzwiami i odprowadziła ją do portalu z nieprzyzwoitym pośpiechem, który jednak był jej bardzo na rękę, gdyż chciała wydostać się stąd najszybciej, jak to możliwe. Miała ochotę cisnąć obrzydliwą tubę jak najdalej od siebie; na szczęście dowódca eskorty zabrał ją z jej bezwładnej dłoni, zanim jeszcze wkroczyła do portalu, po czym niezbyt delikatnym pchnięciem skierował ją do niego.

Po drugiej stronie portalu zaroilo się wokół niej od służących, co było objawem specjalnej troski, którą nigdy do tej pory jej nie zaszczycono. Zapewne lord Lyon zdążył już przesłać ojcu wiadomość, że była grzeczną i posłuszną małą dziewczynką, wykonującą dokładnie to, co jej nakazano. Służba pospiesznie zabrała ją do jej komnat, gdzie dwoili i troili się wokół niej, jakby była niezwykle cennym obiektem.

Nie protestowała; wyczerpana napięciem i koniecznością trzymania w korbach własnych emocji, była zbyt zmęczona, by myśleć.

“Już po wszystkim”. W tej chwili to było najważniejsze.

Służące wykąpały ją w wodzie z perfumowaną oliwą; nic nie musiała robić sama. Potem ubrały ją w jedwabną koszulę nocną, której nigdy dotąd nie widziała; koszulę tak wykwintną, że mogła służyć jako suknia. Uczesały jej włosy, nacierając każde pasmo miękką ściereczką zwilżoną perfumami. Natarły dłonie i nogi perfumowanym kremem. Kiedy skończyły, przyniosły jej trochę smakołyków do zjedzenia, co ją bardzo ucieszyło, bo miała w żołądku nie więcej niż dwa kęsy wobec całego wypitego wina. Potem podano jej jakiś nieznaną napój - spieniony, gorący i słodki - dla odprężenia nerwów. A przez cały czas, kiedy się tak krzątały wokół niej i na koniec położyły do łóżka, w głowie kołatała jej tylko jedna myśl: “już po wszystkim”.

Zasnęła natychmiast, zanim zdążono zgasić światła, a służące dalej uwijały się, zaprowadzając w pokoju porządek.

Po przebudzeniu nazajutrz, w samotności w swoim pokoju, znów poczuła napływającą falę zimnego strachu. Wcale nie było po wszystkim. Jej los został nieodwołalnie złączony z Gildorem, a ostatnia noc była początkiem przygotowań ofiary. To stąd to rozpieszczanie. I będzie ono trwało dalej, gdyż będą starali się zrobić z niej istotę na tyle urodziwą, na ile to możliwe bez dokonywania Przemiany. Jeśli więc mowa o swobodzie, to będzie jej miała mniej, a nie więcej.

Została więc wmanewrowana dokładnie w taką sytuację, której się najbardziej obawiała.

A był to dopiero początek - po zaślubinach będzie jeszcze gorzej. Niestety, sama się oszukiwała, myśląc, że będzie miała więcej wolności jako żona er-lorda.

Życie pod dachem ojca było trudne, lecz pod dachem lorda Lyona będzie stokroć gorsze. Zabraknie tam Lorryna, który mógłby porywać ją od czasu do czasu na swoje eskapady. Lord Lyon każe ją bez przerwy obserwować, by upewnić się, że rzeczywiście jest takim posłusznym głuptasem, jak sądzi. Każda czytana przez nią książka zostanie sprawdzona, a każdy przejaw jej siły dokładnie zmierzony i zważony. Będzie śledzona o każdej porze dnia i nocy. Nie będzie mogła mieć żadnych tajemnic, gdyż dla lorda Lyona każdy sekret oznacza tajemny spisek przeciw niemu. W tamtym domu był tylko jeden władca, który nie dopuści, by ktoś mu zagroził.

Jeśli chce tam przetrwać, to nie ma wyjścia, musi się całkowicie podporządkować. Musi stać się kopią swojej matki: łagodną, posłuszną i martwą w środku.

Tylko jedna osoba mogła jej jeszcze pomóc. Lorryn! On jest taki mądry, na pewno coś wymyśli! Jakby w odpowiedzi na tę myśl usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Trzy uderzenia, przerwa, potem dwa i jeszcze jedno. Zeskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi, żeby wpuścić brata. Przez jedną radosną chwilę była przekonana, że słyszał już, co zaszło i przybył, by jej doradzić, jak ma się wyplątać z sytuacji, w której się znalazła. Jednak kiedy wśliznął się do środka pospiesznie zamykając za sobą drzwi, dostrzegła, że jego twarz jest równie blada i przerażona, jak jej własna.

- Reno, musisz mi pomóc! - szepnął chrapliwie, rwącym się głosem. Rozszerzone, okolone sinymi obwódkami oczy kontrastowały z białą twarzą. - Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić.

Wstrząsnęło nią to bardziej niż wrzucenie do lodowatej wody. Lorryn bezradny? Nie mający do kogo się zwrócić?

“W jaki sposób ja mogłabym coś dla niego zrobić?” - pomyślała, i potrząsnęła głową.

- Lorrynie, co na litość boską mogę zrobić, żeby ci pomóc? Co ci się stało?

W głowie zaczęły jej się roić wszelkie możliwe katastrofy. Czy zachował się nietaktownie wobec kogoś, kto ma potężnego ojca? Skusił się na hazard o wysokie stawki i przegrał? A może wdał się w kłótnię z innym er-lordem - o Przodkowie, pokłócił się, walczyli i walka zakończyła się śmiercią? Wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, które jej się nasunęły:

- Czy wplątałeś się w kłopoty z...

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Nie jesteś w stanie tego odgadnąć - odparł, po czym złapał ją za ręce i pociągnął na kanapę naprzeciw łóżka, żeby usiadła. - Uwierz mi, jest to coś, czego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Jestem w straszliwym niebezpieczeństwie. Jestem...

Przelknął głośno ślinę i przeciągnął dłonią po czole.

- Podczas tego bankietu u lorda Ardeyna coś miało się wydarzyć. Wysocy Lordowie z Rady sprawdzali każdego przybyłego na przyjęcie, czy nie jest półelfem ukrywającym się pod złudzeniem elfa.

Kiwnęła głową, gdyż przypomniała sobie mrowienie towarzyszące rzucaniu zaklęcia, które poczuła po przybyciu na bankiet oraz swoje zdziwienie, że ojciec kazał ją upiększać kosmetykami, zamiast uzyskać ten efekt dzięki iluzji.

- Tak więc nie poszedłem na przyjęcie, a wczoraj wieczorem przybyło tu trzech członków Rady z rozkazem sprawdzenia mnie - ciągnął, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- Nie rozumiem - powiedziała Rena, zdezorientowana.

- Co w tym takiego strasznego?

Nie potrafiła przestać myśleć o swojej własnej, fatalnej sytuacji; przecież fakt, że Lorryn miał być poddany takiemu czy innemu testowi, nie mógł być gorszy niż pułapka, w którą ona wpadła.

- Nie mogę dopuścić do tego, żeby mnie sprawdzili! - wyrzucił z siebie chrapliwie, ściskając coraz mocniej jej dłonie, dopóki nie krzyknęła z bólu. - Reno, oni nie mogą mnie sprawdzić! Jeśli to zrobią, to odkryją, że jestem półelfem!

Wytrzeszczyła na niego oczy, nie widząc żadnego sensu w jego słowach.

- Jak możesz być półelfem? - spytała bezmyślnie. - Matka...

- Lady Viridina jest moją matką - odparł jej bez wyrazu - lecz lord Tylar nie jest moim ojcem. Mój ojciec był ludzkim niewolnikiem, zarządcą jej dworu. Utrzymywała złudzenie mojego elfiego wyglądu, dopóki nie podrosłem na tyle, by podtrzymywać je samemu. Jestem półelfem, czarodziejem, i kiedy Rada to odkryje...

Był to dla niej kolejny szok, lecz tym razem fakt, że może jednak będzie mogła jakoś mu pomóc, dodał jej myślom jasności i szybkości.

- Oni cię zabiją - wyszeptała. - O, Przodkowie! Lorrynie, jak... musimy coś zrobić! Czy matka nie może ci pomóc?

Ponownie zamknął jej dłonie w miazdzącym uścisku, lecz tym razem niemal tego nie zauważyła. Rozpacz zmieniła jego twarz w maskę bólu.

- Tym razem matka nie może mnie uratować. Ojciec zamknął ją w buduarze na czas przeprowadzania testu. Jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. Mogłabyś mnie ukryć wśród swoich służących, czy coś w tym rodzaju? Albo...

- Mam lepszy pomysł - odparła szybko, układając w myślach i natychmiast odrzucając kilkanaście planów.

“Nie może się tu ukryć, musi uciekać. A jeśli ucieknie... Będzie musiał zabrać ją ze sobą!” - Starła się błyskawicznie obmyślić rozwiązanie.

- Przynajmniej sędzę, że mam. Jedna z moich służących, Myre, stale przynosi najrozmaitsze wieści o smokach i czarodziejach. Wieści wiarygodne, gdyż porównywałam je z tym, co tobie udało się odkryć.

- Co to ma do rzeczy... - zaczął, po czym zamrugał oczami. - Ach, oczywiście! Jeśli ma jakieś źródło informacji, to musi znać drogę do tego źródła! - W jego oczach pojawił się przeblask nadziei. - Myślisz, że jest agentką czarodziejów?

Rena wzruszyła ramionami; nigdy dotąd nie przyszło jej to na myśl, lecz oczywiście było to prawdopodobne.

- Zapewne tak. Jest niesamowicie bezczelna w przeciwieństwie do większości niewolników, z którymi miałam do czynienia. Nie jest jedną z odrzuconych nałożnic ojca, zresztą zuchwalstwo tamtych jest innego rodzaju. Czarodzieje z pewnością mają szpiegów wśród niewolników, prawda? Bo jak inaczej wiedzieliby, co się u nas dzieje? I skąd mogliby wiedzieć, którzy niewolnicy są mieszkańcami? A Myre mówiła mi, że czarodzieje zawsze ratują dzieci półkrwi z zagród dla niewolników. Przecież właśnie tak uratowali Zgubę Elfów.

Skinął głową, a jego twarz przybrała wyraz ponurego napięcia.

- O mnie nie mogli się dowiedzieć, bo nie byłem niewolnikiem... chyba, że ta twoja Myre została tu wysłana, gdyż domyślali się, że ty albo ja możemy mieć w żyłach ludzką krew.

- To brzmi sensownie - zgodziła się. - Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie historie o smokach i czarodziejach, które mi opowiadała oraz wszystkie wieści na temat ich poczynań, które znosiła. Mówiła, że budują teraz nową Cytadelę, a smoki im pomagają. - Teraz ona z kolei ścisnęła jego dłonie. - Musimy uciekać, Lorrynie, obydwójcie! Musimy uciekać do smoków!

- Obydwójcie? - spytał z cieniem wątpliwości w głosie. - Ale ty nie jesteś...

- Jeśli ty znikniesz, to jak sądzisz, co stanie się ze mną? - odparowała gwałtownie, zanim mógł zaprotestować. - Ojciec nigdy nie uwierzy, że nic o tym nie wiedziałam.

- Nie użyłby przymusu w stosunku do swojej własnej... - zaczął Lorryn.

- Owszem, użyłby! - Jej głos przepełniony był furją, która go zaskoczyła. - Nie zawahałby się ani przez chwilę, szczególnie w obecności trzech członków Rady obserwujących bacznie jego poczynania. - Tłumiona latami uraza z powodu uprzywilejowanego traktowania Lorryna znalazła sobie teraz ujście i Rena rzucała mu w twarz jedną gorzką prawdę po drugiej. - Był zdecydowany wydać mnie za mąż za pierwszego śliniącego się starucha albo konkursowego kretyna, który się oświadczy. Był gotów użyć przymusu, żebym poszła na ten bankiet. Myślał też o poddaniu mnie Przemianie, jeśli bym nie zadowolili wczoraj wieczorem lorda Lyona. Ty nigdy nie widziałeś, jak odsyła do matki konkubiny, które mu się znudziły i oczekuje, że ona przyjmie to z uśmiechem i weźmie je do służby u siebie. Ty nigdy nie słyszałeś, jak nas obie obraża, spodziewając się, że będziemy kiwać głowami i przytakiwać mu, iż jesteśmy bezużytecznymi, bezwartościowymi, pustogłowymi idiotkami. Ty nigdy nie musiałeś uczestniczyć w obiedzie, podczas którego ojciec opowiadał swoim przyjaciółom, że nie jestem zbyt interesująca, lecz jeśli któryś z nich chciałby mnie przejąć z jego rąk, to będzie wdzięczny. I ty nie musiałeś siedzieć w milczeniu, gdyż jeśli ośmieliłbyś się wyglądać bezczelnie, to wysmagałby cię, używając magii, kiedy

tylko wszyscy wyjdą. Magiczne bicie - dodała gorzko - nie zostawia bądź co bądź żadnych śladów, żadnych szram, które mogłyby zszpeciść potencjalną pannę młodą.

Lorryn był wstrząśnięty i oszołomiony.

- Nie wiedziałem... - zaczął szeptem.

- To nie miało znaczenia - udzieliła mu smutnego przebaczenia. - I tak nic byś nie mógł na to poradzić, co najwyżej sam wpadłbyś w kłopoty. Nauczyłam się bardzo szybko, że muszę być potulna, cicha, posłuszna i niewidoczna. Stałam się taka, jak chciał, stałam się czymś, o czym nie musiał więcej myśleć. Wtedy zostawił mnie w spokoju.

- Ale...

- To nie ma znaczenia - powtórzyła. - Ważne jest tylko to, że muszę uciekać wraz z tobą, gdyż jeśli mnie zostawisz, on na pewno użyje przymusu, żeby wyciągnąć ze mnie to, co wiem. Więc zabierz mnie z sobą! Nadal mam te chłopięce rzeczy, które mi dałeś. Możemy zawołać Myre i wypytać ją, co wie.

Powoli skinął głową.

- Jeśli ona jest w stanie nam pomóc, jeśli wie jak znaleźć czarodziejów...

- Na pewno, bo skąd by przynosiła te wszystkie wieści? Zadzwońię po nią.

- Nie ściągaj tu innych - krzyknął alarmująco, kiedy wyciągnęła rękę do dzwonka. - Ściągając tu całą gromadę służących, nie zdołasz utrzymać tego w tajemnicy!

Pokręciła zirytowana głową. On chyba nie miał zielonego pojęcia o tym, w jaki sposób są obsługiwane kobiece komnaty. Często pani nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek poza osobistą pokojówką kręcił się w jej pobliżu.

- Nie denerwuj się, ten dzwonek jest połączony bezpośrednio z pokojem Myre, która musi być gotowa na każde moje wezwanie. To jest cena, którą płaci za swą prywatność i status mojej osobistej pokojówki.

Uświadomiła sobie, że umiejscowienie w czasie tego kryzysu graniczyło z cudem. Jeszcze dzień i Myre przestałaby już być jej osobistą służącą. Lord Lyon z pewnością przyśle swoje własne niewolnice, żeby być pewnym jej dalszego posłuszeństwa i potulności. Napój, który jej wczoraj u niego podano, sprawił, że spała jak kamień. Jego niewolnice z pewnością serwowałyby jej więcej takich trunków, by miał pewność, że nie będzie zbyt dociekliwie zastanawiać się nad swoimi zaręczynami.

W następnym tygodniu z kolei byłaby tak zajęta przygotowaniem do ślubu, że Lorrynowi nie udałoby się do niej zbliżyć całymi dniami, natomiast wieczorem przy wszystkich wejściach do jej pokoi stanęłyby strażę. W sytuacji, gdzie narzeczona mogłaby sprawić jakieś kłopoty, niczego nie pozostawiano przypadkowi.

Jeszcze później, nawet by jej tu nie było - rozpoczęłaby serię wizyt u swoich żeńskich krewnych, a potem u krewnych lorda Lyona. Wydawano by przyjęcia z okazji zaręczyn, a każda ze spotkanych kobiet wygłaszałaby jej długie przemówienia na temat obowiązków żony wobec męża. Ta podróż zakończyłaby się nie tutaj, lecz w posiadłości lorda Lyona, gdzie w końcu odbyłaby się ceremonia ślubna.

Naprawdę, trudno byłoby wybrać lepszą porę na to, co się stało.

Teraz miała możliwość ucieczki, której tak pragnęła, o której tak marzyła, o którą nawet się modliła, chociaż elfy nie miały bóstw, do których mogłyby się zwracać i uważały, że takie zabobony były produktem niższych umysłów. Może jednak ludzie mieli rację - ktoś przecież wysłuchał jej modłów!

Myre pojawiła się w chwilę po pociągnięciu przez Renę dzwonka, wprawdzie nieco nie w humorze, lecz nie w negliżu. Rena nigdy przedtem sobie tego nie uświadamiała, lecz Myre zawsze wyglądała tak samo, niezależnie od tego, o jak dziwnej godzinie została wezwana. Czyżby nigdy nie spała? Albo była kimś innym, niż się wydawała?

Czy na przykład czarodzieje śpią?

Oczy Myre lekko się rozszerzyły, kiedy ujrzała siedzącego na sofie Lorryna, lecz potaknęła ruchem głowy, widząc nakazujący milczenie gest Reny.

- Nikt nie podsłuchuje, nawet za pomocą sił magicznych - odezwał się Lorryn ze znużeniem. - Wiercie mi, wiedziałbym o tym.

Myre spojrzała na niego i uśmiechnęła się leniwie.

- I cóż, czarodzieju - powiedziała miękko. - Słyszałam o trzech członkach Rady, którzy mają przybyć dziś wieczorem, lecz sądziłam, że to z powodu zaręczyn Sheyreny.

- Sheyreny czego? - spytał Lorryn zbity z tropu.

- Mniejsza o to, teraz to nieistotne - odparła gwałtownie Rena i zwróciła się do Myre: - Bardzo cię proszę! Ty mnóstwo wiesz o wolnych czarodziejach, a my musimy stąd uciekać! Potrzebujemy twojej pomocy!

Uśmiech Myre poszerzył się, jakby to, co usłyszała, nie było dla niej zaskoczeniem.

- Doprawdy, wydaje mi się, że to mało powiedziane.

Usiadła na krawędzi łóżka, jakby to ona była tu panią.

Zresztą, w tej chwili naprawdę nią była. Jej postawa najwyraźniej potwierdzała wszelkie przypuszczenia Reny na jej temat. Żaden niewolnik nie zapomniałby się do tego stopnia, by zachowywać się tak jak obecnie Myre.

- No więc sądzę, że mogę pomóc - odezwała się Myre, odchylając się do tyłu oparta na łokciach i przyglądając się obydwójgu z rozbawieniem. - Podstawową rzeczą, która będzie

nam potrzebna, jest jakaś broń. A potem... - uśmiechnęła się sama do siebie. - Czy jesteś dobrym pływakiem?



## ROZDZIAŁ 5

Odkrycie gromadki dzikich ludzi w okolicy Cytadeli stanowiło dla półelfów wstrząsające przeżycie. A przecież od kiedy zaczęli przeczesywać puszcę w poszukiwaniu nowej siedziby, Shana liczyła się z tym, że prędzej czy później natkną się na ludzi, którzy nigdy nie byli ujarzmieni przez elfów. Ten świat był po prostu zbyt wielki, a elfowie zbyt nieliczni, by mogli podbić lub zniszczyć wszystkie żyjące na nim istoty ludzkie.

Czym innym są jednak przypuszczenia, a czym innym stwierdzone fakty. Dokonane odkrycie niezmiernie ich przestraszyło. Z informacji uzyskanych od Collena i jego klanu wynikało, że w nieznanych jej okolicach żyło znacznie więcej ludzi, niż kiedykolwiek przypuszczała, a poznana grupka była zaledwie jedną z wielu istniejących po to, by handlować z dzikusami.

Rodzina Collena nie potrafiła czarodziejom nic powiedzieć o łąkach rozciągających się na południe od Cytadeli i o tym, kto je może obecnie zamieszkiwać. On ze swymi ludźmi trzymali się rzeki, rzadko ją przekraczając. Wiedział tylko, że za rzeką żyje wiele grup koczowniczych pasterzy, wędrujących po tych równinach i że od czasu do czasu wysyłają one swych przedstawicieli nad rzekę, by kupili coś u jego ludzi.

Shana uznała ten niedobór informacji za dobry powód do opuszczenia Cytadeli i udania się na wyprawę zwiadowczą, a Mero, Keman i Kalamadea natychmiast zaoferowali swój udział. Odzyskiwanie osobistego dobytku odbywało się w tempie, które Shana uważała za rozsądne, lecz które nie zadowalało Caellacha Gwaina i jego przyjaciół. Wdzieranie się do sali podczas pracy młodych czarodziejów i domaganie się natychmiastowego sprowadzenia konkretnych przedmiotów uważali oni za rzecz normalną. Co więcej, zarówno uprzejme jak i szorstkie ponaglenia, nie mogły ich skłonić do używania kamieni dla zwiększenia własnej mocy ani do nauczania się tak jak w przypadku młodych, pracy w kole, co pozwalało zwielokrotnić czarodziejskie możliwości. Uważali, iż mają znacznie ważniejsze rzeczy do zrobienia - "przenoszenie rzeczy jest akurat odpowiednim zajęciem dla uczniów", jak oświadczył jeden z nich Shanie.

Nie udało jej się do tej pory dowiedzieć, jakie to były "ważniejsze rzeczy". Tłumacząc wątpliwości na ich korzyść, można było przypuszczać, że rozpracowują sposoby obrony Cytadeli lub zamaskowania faktu, że praktykowana jest w niej magia. Choć właściwie ani Shana, ani nikt, z kim rozmawiała, nie widział żadnych wskazujących na to dowodów. Prawdopodobnie te "ważniejsze rzeczy" mogły oznaczać po prostu urządzenie osobistych

kwater według własnego gustu i próby zmuszania smoków do dokonywania zmian, których harmonogram jeszcze nie przewidywał - co było dla wszystkich niezbyt korzystne.

Sam Caellach uraczył Shanę wykładem na temat obowiązków ucznia wobec swojego mistrza oraz tego, że uczeń, który własnoręcznie obrócił w gruzy życie swych nauczycieli, powinien być niezwykle wdzięczny, że nadal pozwalają mu przebywać obok siebie. W tym momencie Shana zdecydowała, że czekają na nią o wiele ważniejsze zadania niż przenoszenie rzeczy, a mianowicie sprawdzenie, czy na południu mieszkają jeszcze jacyś dzicy ludzie. W końcu uzasadnione było przypuszczenie, że łąki mogą wyżywić wiele grup pasterzy oraz, że któraś z tych grup koczowniczych mogła zachować znajomość ludzkiej magii z czasów przed przybyciem elfów. Elfowie nie władali całym światem, nawet jeśli tak im się wydawało, i to, co o nim wiedzieli, było zapewne zaledwie ułamkiem możliwej do zdobycia wiedzy.

Shana miała jeszcze inny powód, dla którego postanowiła przedsięwziąć tę wyprawę, choć zachowała go dla siebie. Rodzina Collena była nastawiona do nich przyjacielsko, lecz realnie rzecz biorąc nie można było zakładać, że następna grupa ludzi, która natknie się na Cytadelę, nie będzie nastawiona wrogo. Ze starych kronik wynikało, że ludzie toczyli wojny z innymi ludźmi na długo przed przybyciem tu elfów. Pełnej krwi ludzie mogą uznać, że mieszanej krwi czarodzieje są takim samym albo jeszcze gorszym złem niż elfowie.

Jej nieobecność posłuży młodym czarodziejom jako doskonała wymówka do tego, by nie spełniać co bardziej nierozsądnych żądań Caellacha, jeśli nie będą mieli na to ochoty. Skoro ona, obdarzona największą mocą, będzie nieobecna, to pozostali zostaną, rzecz oczywista, ograniczeni co do rodzajów przenoszonych rzeczy. Caellach wykorzystał do tej pory znacznie więcej niż należą mu część ich czasu i wysiłku. Jeżeli zapowiedzą mu, że przeniesienie kolejnej bzdurnej rzeczy, którą wbił sobie do głowy, spowoduje, że on i reszta czarodziejów będą musieli zadowolić się na kolację owsianką zamiast świeżego mięsiwa, i jeśli go zapewnią, że każdy się dowie, jaka jest tego przyczyna, to najprawdopodobniej da im spokój i pójdzie sobie.

A jeśli starym malkontentom nie spodoba się taka odpowiedź, to i tak nie będą w stanie jej podważyć, bo żaden z nich nie zadał sobie trudu, żeby poznać, jakie ograniczenia mają nowe metody magii. Co lepsze, nie mogli wygrać tej sytuacji nawet dzięki zainteresowaniu się tymi nowymi metodami, bo jeśli się ich nauczą, to będą mogli sami odzyskiwać swoje mienie. Denelor obiecał, że w ten właśnie sposób będzie sobie radził z sytuacją i nawet Parth Agon, którego kompletnie wykończyły żądania "utyskiwaczy", obiecał, że go poprze. Główny czarodziej w ostatnim okresie bardzo się zmienił, i to na lepsze. Szczerze mówiąc, Shana wcale się tego nie spodziewała; sądziła, że raczej upodobni

się do Caellacha niż do Denelora. Fakt, że znalazł się w końcu po jej stronie, zamiast się jej przeciwstawić, poprawił nieco jej samopoczucie.

- Powiem im, że skoro udowodnili, iż są już gotowi do nauki nowych metod wykorzystywania magii, to muszą, rzecz jasna, pilnie je ćwiczyć - powiedział Parth, zachowując powagę. - Ponieważ jestem głównym i najstarszym czarodziejem, spoczywa na mnie obowiązek, by wyznaczyć takie zadanie młodszym. A jak mogą lepiej poćwiczyć niż sprowadzając swój własny dobytek?

Reszta kółka powitała to rozwiązanie westchnieniem ulgi i wszyscy, nawet stary Denelor, poczuli rozbawienie na myśl o Caellachu Gwainie proszącym jednego z nich, by nauczył go posługiwać się kamieniami.

Najbardziej potrzebne zapasy zostały już sprowadzone do Cytadeli w ilości wystarczającej, by przetrwać zimę. W najbliższych tygodniach spodziewali się powrotu Collena z zakupionymi dla nich towarami, które również miały zasilić zawartość magazynów. Podjęto też próby wyszukania w lesie jadalnych roślin. Wpadli na pomysł podążania śladami dzików i znoszenia próbek wszystkiego, co one jadły. Shana, w roli nominalnego przywódcy, nie była im specjalnie potrzebna podczas tych wszystkich działań, uznała więc, że jeśli uda się na poszukiwania sojuszników lub ewentualnych wrogów, to nikt nie powie, że wymiguje się od swych obowiązków.

Opuszczając nową Cytadelę miała niejasne poczucie, że wydostaje się na wolność. Przez cały miniony okres była aż nazbyt świadoma przygniatającego ciężaru odpowiedzialności, spoczywającego na jej barkach, odpowiedzialności, której nigdy nie pragnęła i którą z wielką radością pozostawiła za sobą w jaskiniach.

Obecnie ich czwórka znajdowała się już daleko od Cytadeli - minęli już punkt, gdzie lasy przechodziły w prerię i podążali trawiastą równiną, na której całymi kilometrami nie widać było żadnego drzewa. Keman i Kalamadea pozostali w swojej własnej postaci. Wprawdzie jazda na smoczym grzbiecie była bardzo uciążliwa, ale jednak łatwiejsza niż piesze przemierzanie długich kilometrów w palącym słońcu, a poza tym z powietrza można było dostrzec o wiele więcej. Teren, nad którym lecieli, był idealny do takich obserwacji, gdyż nie było tam nic, pod czym można by się było ukryć, a bystrym oczom smoków nie umknął żaden szczegół. Było tu mnóstwo zwierzyny - stada dzikich koni i innych pasących się zwierząt, a nawet jednorogów. Smoki nie miały najmniejszego problemu ze zdobywaniem pożywienia i zdecydowały, że powiedzą również innym ze swojego leża o zasobności tej okolicy.

Jednakże ich poszukiwania nie ujawniły niczego więcej, poza tą obfitością zwierzyny.

Od kiedy opuścili wzgórza, nie natknęli się ani na pasterzy, ani na żadne ślady ich obecności.

Koło południa cała czwórka rozłożyła się na odpoczynek przy maleńkiej, zasilanej strumyczkiem sadzawce. Shana i Mero nie mieli ochoty lecieć w największym skwarze dnia; o tej porze promienie słoneczne paliły z ogromną siłą, a nie było sposobu, by utrzymać na głowie nakrycie podczas lotu. Smoki uwielbiały ciepło i z radością dostarczyły dwóm półelfom cienia, rozłożywszy skrzydła, w które wchłaniały promienie słoneczne.

Sadzawka nawadniała niewielki wierzbowy zagajnik, gdzie, sądząc po ilości odcisniętych w mule tropów, znajdowało schronienie mnóstwo zwierząt. Z jeziora wypływał wąski strumyczek, którego kręty szlak w kierunku odległej rzeki znaczyły gęściejsze skupiska krzewów. W sięgającej do pasa trawie roiło się od brzęczących owadów, które małe ptaszki z zapalem połykały, przelatując z łądygi na łądygę. Shana przez chwilę obserwowała jednego z nich, jak balansując na uginającym się pod jego niewielkim ciężarem źdźble, wyśpiewuje swoje prawo do tego terytorium przeciw innym samcom.

Nad łąką zerwał się gorący wietrzyk, który pochylając łądygi traw, przyniósł Shanie zapach usychających roślin oraz wilgotnej ziemi znad sadzawki.

- Wiesz, od kiedy znalazłam tę wstrętną, starą kronikę o inwazji elfów, stale zastanawiam się nad jedną rzeczą... - powiedziała Shana do Kalamadei. - Wiesz, tę księgę grubą niemal jak twoja noga, Kalamadeo. Jestem pewna, że ją widziałeś; czytanie jej było najlepszym lekarstwem na bezsenność, jakie udało mi się znaleźć.

- Hmm. Tę napisaną przez Laranja Nieznośnego? - spytał Ojciec Smok leniwie, z przymkniętymi oczyma, wchłaniając słońce i ciepło.

Podczas tej wycieczki przybrał on wielkość zbliżoną do Kemana, lecz jego prawdziwa postać była bez porównania większa i mogłaby dostarczyć cienia dla małej armii. Smoki rosną przez cały czas, gdy przybywa im lat, a Ojciec Smok był najstarszym smokiem, jakiego Shana kiedykolwiek widziała, czy o którym słyszała. Brał przecież udział w pierwszej wojnie czarodziejów, przybrawszy postać półelfa, a już wtedy nie był młody. Shana znalazła jego osobiste pamiętniki w starej Cytadeli, gdzie czarodzieje zabrali ją po uratowaniu z elfiej licytacji niewolników i gdzie pomogli jej odkryć prawdę o swoim pochodzeniu. Te pamiętniki były jednym z powodów, dla których znajdowała się teraz właśnie tutaj.

- ...Kim byli grelowi jeźdźcy i jak u licha udało im się umknąć podbicia przez elfów, którzy bez trudu usunęli niemal wszystkich innych?

- Widziałeś przecież grele - odezwał się Kalamadea po dłuższej pauzie. - W każdym razie widziałeś pustynne grele, na których jeżdżą kupcy.

Shana skinęła głową; karawana handlarzy, którzy pojмали ją, kiedy została wypędzona

ze smoczego leża, dosiadała właśnie greli. Używali ich też jako zwierząt jucznych.

- No więc, różnią się one od prawdziwych mniej więcej tak, jak jednorogi od kóz. Elfowie pozwolili sobie na pewną dowolność w ich kreowaniu. Oryginalne grele są tak samo brzydkie, lecz nie tak wysokie i nie mogą się tak długo obywać bez wody. Używano ich jako wierzchowców przy pilnowaniu stad. Ich jeźdźcy byli początkowo hodowcami bydła, żyjącymi koczowniczo, lecz kiedy elfowie rozpoczęli swoje podboje, całkowicie wycofali się z cywilizowanych okolic. Obecnie nawet nie chcą handlować z innymi ludźmi z terenów graniczących z posiadłościami elfów. Oni po prostu odeszli tak daleko, jak tylko mogli.

- To brzmi sensownie - odezwała się Shana po przemyśleniu tego, co usłyszała. - Na ich miejscu zrobiłabym to samo. Elfowie potrafią tworzyć tak doskonałe złudzenia, że nigdy nie mogliby być pewni, czy kupiec, z którym dobijają targu, jest człowiekiem, czy szpiegującym ich elfem. Najlepszym sposobem, by wyeliminować szpiegów z zewnątrz, jest zerwanie wszelkich kontaktów z otoczeniem.

Kalamadea uśmiechnął się do niej leniwie, pokazując wszystkie zęby.

- Potrafisz myśleć - rzekł do niej z aprobatą. - Cóż jeszcze mogę ci powiedzieć? Ludzie ci używali greli do celów pasterskich i jako zwierząt jucznych. Okazało się jednak, że są one bezużyteczne, jeśli chodzi o walkę, wyhodowali więc sobie specjalny rodzaj bydła do działań wojennych. Nazywają je bykami bojowymi; mają mniej więcej dwukrotną wielkość konia i długie, groźne rogi. Grelowi jeźdźcy nauczyli je używania tych rogów podczas walki i nawet jednoróg nie jest w stanie zabić bojowego byka.

- Ale samo to nie mogło być przyczyną, dla której elfom nie udało się ich podbić - nalegała Shana.

Kalamadea lekko kiwnął głową.

- Prawdziwa przyczyna była pewnie o wiele prostsza, lecz Laranz nie zechciałby tego przyznać. Oni byli przecież koczownikami, a to znaczy, że nie mieli miast, które elfowie mogliby atakować. Przypuszczam, że grelowi jeźdźcy po prostu odjechali, kiedy znudziła im się walka z elfami. Powszechnie uważa się, że powędrowali na południe. I to już wszystko, co o nich wiem.

Shana urwała sobie źdźbło trawy do żucia i usadowiła się wygodniej w cieniu rzucanym przez Kalamadeę, opierając się o łuskowaty bok smoka. Przy dotknięciu jego skóra wydawała się chłodna, prawdopodobnie dlatego, że pochłaniając energię słoneczną magazynował on głęboko wewnątrz ciała. Smoki potrafią to robić - uzupełniają w ten sposób energię uzyskiwaną z pożywienia, dzięki czemu nie pustoszą doszczętnie okolice ze zwierzyny.

Intrygowali ją grelowi jeźdźcy. W kronice znajdowały się wzmianki, że mieli oni jakiś rodzaj ochrony przed magią elfów, lecz nie były podane żadne konkretne szczegóły. Biorąc pod uwagę pompatyczność jej autora, wydawało się prawdopodobne, że po prostu nie znał on szczegółów, ale nie był w stanie się do tego przyznać. Mimo wszystko, obojętnie co myślał o tym Kalamadea, Shana sądziła, że ktoś pretendujący do miana “poszukiwacza prawdy” (tak jak ten kronikarz) nie wspominałby tajemniczej ochrony, gdyby nie miał ku temu podstaw.

- Chyba nie sądzisz, że napotkamy tych grelowych jeźdźców, co? - zapytał powoli Mero, jakby starając się nadążyć za myślami Shany.

W odpowiedzi Shana uniosła brwi.

- A jak sądzisz, dlaczego wybrałam ten kierunek? Collen zna rzekę i ludzi, którzy żyją w jej pobliżu, a nie wie o istnieniu grelowych jeźdźców, tak więc pozostaje południe. - Machnęła łodygą w kierunku falującej równiny. - Myślę, że mogą tu mieszkać wyłącznie ludy koczownicze. Trudno się tu ukryć, więc gdyby jakaś grupa próbowała się osiedlić, to elfowie wykryliby ją i zniszczyli. Bardzo bym chciała znaleźć grelowych jeźdźców. Kalamadeo, nie chcę się z tobą kłócić, ale możesz nie mieć racji co do przyczyn, dla których elfom nie udało się ich podbić. Naprawdę wierzę, że oni wiedzą o czymś, o czym my nie mamy pojęcia.

Mero nagle się wyprostował, wpatrując się w coś na południowym horyzoncie, coś, czego Shana nie mogła dostrzec, gdyż ciało Kalamadei zasłaniało jej widok.

- Nie wiem, Shano, czy jesteśmy bliscy znalezienia grelowych jeźdźców - powiedział powoli młody czarodziej - lecz niewątpliwie coś zmierza w naszym kierunku.

Poderwała się na nogi i obesła Kalamadeę, tak żeby móc dostrzec to, na co patrzy Mero.

Ujrzała chmurę, ogromną chmurę żółtego pyłu, wznoszącą się aż do pustego błękitu nieba. Wprawdzie na tych równinach było całkiem sucho, ale nic nie byłoby w stanie wzbudzić takich kłębow kurzu, oprócz ogromnego stada tysięcy zwierząt.

Przysłoniła oczy dłonią, próbując coś dostrzec lub za pomocą innych zmysłów zdobyć jakieś informacje. Czy znajdował się tam ktoś obdarzony magią? A może ludzie ze zdolnościami psychicznymi, które posiadają tylko ludzcy czarodzieje? Powinna móc wychwycić przynajmniej jakąś zbłąkaną myśl pochodzącą od istot wzbijających cały ten pył.

Tymczasem stanęła w obliczu dziwnej próżni, kryjącej się za tą chmurą. Już to, samo w sobie, było dziwne. Nie mogła wykryć nawet pojedynczej myśli, a przecież w przeszłości nie miała najmniejszych kłopotów z odczytaniem, co kryje się w mózgach stworzeń tak małych, jak gryzonie zamieszkujące pod ziemią.

- Czy ty także niczego nie wyczuwasz? - spytała cicho Mera, który w odpowiedzi

skinął głową.

- Żaden z nas także nie może niczego wyczuć - odezwał się Kalamadea w imieniu swoim i Kemana.

- Istnieją zwierzęta, które potrafią otoczyć się pustką nieprzekraczalną dla siły magicznej - przypomniał jej. - Są również takie, których myśli nie da się wykryć. Pamiętasz tego skaczącego stwora w puszczy? Tego, który o mało nie zjadł Valyna i mnie?

Skinęła głową.

- Lecz one zostały wykreowane, celowo czy też przypadkowo, przy użyciu magii. Jeśli tam znajduje się całe stado stworzeń tego rodzaju, to musimy o tym wiedzieć. - Uniosła brwi. - Sądzę, że musimy tam iść, by się im przyjrzeć.

Powierzchnia prerii nie była całkowicie płaska. Shana była z tego bardzo zadowolona, gdyż wcale nie miała ochoty zbliżyć się do tych obcych stworzeń bardziej niż w tej chwili. Wzgórek, za którym się ukryli w oczekiwaniu na ich przybycie, był akurat na tyle wysoki, by mogli mieć zza niego dobry widok.

Leżeli na brzuchach za skąpą osłoną z rzadkich krzewów rosnących na szczycie pagórka - wszyscy obecnie w postaci półelfów, gdyż trudno ukryć kogoś wielkości smoka. Czekali z rosnącą niecierpliwością w tym dogodnym punkcie obserwacyjnym, podczas gdy muchy brzęczały im nad uszami, a mrówki penetrowały ciało pod ubraniem.

Być może przedmiotem ich obserwacji mieli być rzeczywiście grelowi jeźdźcy, lecz jeśli tak, to całkowicie porzucili grele na rzecz bydła. W polu widzenia nie było żadnego grela, natomiast mnóstwo włochatego bydła: byków, krów, cieląt i osłów. Były ich tam tysiące.

Na czele tej grupy oraz po bokach stada galopowali mężczyźni i kobiety o skórze barwy najciemniejszego brązu, jaki Shana kiedykolwiek widziała, brązu zaledwie o ton jaśniejszego od czerni. Wszyscy oni mieli na sobie zbroje - ciasne pancerze z łuskowatego metalu, pokrywające ich torsy, metalowe obręcze chroniące szyję oraz ochraniacze na ramionach i przedramionach. Wielu z nich miało na głowach kapelusze z szerokim rondem dla ochrony przed słońcem. U tych z gołymi głowami widać było zaledwie ciemny puszek zamiast włosów, a mężczyźni nie mieli ani śladu brody czy wąsów.

Jeźdźcy dosiadali byków o ogromnych, paskudnie spiczastych rogach, rozstawionych na taką szerokość, jak wyciągnięte na boki ręce Shany. Czubek każdego rogu był pokryty metalem i prawdopodobnie ostry jak igła. Bydło było w najróżniejszych kolorach, od brązowawoczarnego, jak skóra jeźdźców, do białorudych łat, a część nawet czysto biała pod

warstwą żółtego kurzu.

Jeźdźcy otaczali ogromne stado krów i cieląt, niezmiernie włośchatych i wcale nie wyglądających łagodnie. Pomiędzy stadem a jeźdźcami jechały wozy - szerokie platformy podtrzymujące kwadratowe, wojłokowe namioty o spiczastych dachach, ciągnięte przez zaprzęgi czterech lub sześciu wołów,

Stado, jeźdźcy i wozy zapełniały całą równinę w zasięgu wzroku Shany.

- Niezależnie od tego, co mówią twoje kroniki, Shano, ci ludzie nie są barbarzyńcami - szepnął do niej Mero. - Spójrz na sposób wykonania tych metalowych elementów i na przybory na wozach.

Musiała się zgodzić z tą oceną. Ornamenty na zbroi były jednymi z najpiękniejszych, jakie dotąd widziała, a kształt namiotów niezwykle wypracowany. Zarówno namioty, jak i zbroję zdobiły subtelne, abstrakcyjne dekoracje, których wzór i wykonanie nie zdradzały śladu prymitywizmu.

- Zobacz, jak świetnie zorganizowane są straże - odparła. - Wcale nie są rozstawione przypadkowo, każdy ma swoje miejsce i zadanie. Zgadzam się z tobą, ten pisarz nie wiedział, o czym mówi. Ci ludzie są naprawdę cywilizowani.

- Ci ludzie są za nami - odezwał się Kalamadea lekko napiętym tonem.

Obróciła się, by stwierdzić, że patrzy prosto na czubek włóczni trzymanej przez jednego z sześciu wojowników, którzy podkradli się do nich od tyłu, gdy oni wpatrywali się w gromadę poniżej. Wyglądało na to, że są bardzo sprawni i w pełnej gotowości bojowej.

A jej nie udawało się dotknąć umysłu żadnego z nich. Kiedy próbowała, natykała się na tą dziwną pustkę, z którą miała do czynienia wcześniej.

Za oszczepnikami stały cierpliwie byki, przyglądając się grupce Shany i swoim panom. Miała jednak przeczucie, że nie będą stały tak spokojnie, jeżeli jej oddziałek zaatakuje.

Z drugiej strony, nie mieli wielkiego wyboru. Jeśli teraz nie podejmą próby ucieczki, to zapewne nie będą mieli kolejnej szansy, zakładając nawet, że nie zostaną na miejscu położeni trupem.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Mero rozpoczął atak, ciskając magiczną strzałą w najbliższego wojownika. Przecięła ona powietrze między nimi, błękitno-biała jak piorun i równie jak on groźna.

Uderzyła w zbroję tamtego i... odbiła się w trawę, zostawiając ślad jak po przypaleniu. Zdziwiałoby było, że wojownik nie wykonał żadnego ruchu, żeby odparować ten atak, a co więcej, wydawało się, że nie zrobił on na nim najmniejszego wrażenia. Wcale się nie



poruszył, nie zrobił nawet mimowolnego kroku do tyłu. Najwyraźniej doskonale zdawał sobie sprawę, że magiczny atak jest dla niego niegroźny.

Bach!! Mero zniweczył wszelkie szansę na rozmowy pokojowe, a było oczywiste, że tych ludzi nie da się odstraszyć pokazem siły.

“Muszę szybko coś zrobić” - pomyślała gorączkowo Shana! W czasie gdy Mero cisnął drugą magiczną strzałę, zaatakowała bólem i ślepotą umysł człowieka trzymającego wymierzoną w nią włócznię. Było to połączenie magii rzucanej przez elfich władców i psychicznego ataku stosowanego przez ludzkich czarodziejów. To musiało podzielać i powalić jej napastnika. Nawet jeśli miał on osłonę przeciw elfiej magii, to nie mógł przecież być odporny na kombinację elfich i ludzkich czarów.

Tymczasem nawet nie mrugnął okiem. Atak trafił w tę dziwną próżnię, otaczającą jego umysł, i został bez wysiłku pochłonięty.

Shana zatopiła wzrok w brązowych oczach wpatrującego się w nią przeciwnika i wzięła głęboki oddech.

- Chyba mamy kłopoty - odezwał się cicho Kalamadea, podnosząc się powoli na nogi zgodnie z poleceniem wydanym mu ruchem włóczni przez najbliższego wojownika.

Shana nie zadała sobie trudu, by podziękować mu za to odkrycie.

- Sądzę, że powinniśmy się poddać - dodał Kalamadea, gdy coraz więcej jeźdźców na włochatych wierzchowcach zbliżało się do nich, trzymając w pogotowiu włocznie. - Naprawdę jestem przekonany, że powinniśmy się poddać.

- Świetnie - warknęła Shana, nie spuszczać wzroku z wycelowanej w jej gardło dzidy. - Może mi tylko wyjaśnisz, jak mamy to zrobić? To są obcy; oni nie znają naszego języka, a my ich. Jeden zły ruch i...

Nie musiała kończyć zdania.

Myre prowadziła dwoje swoich podopiecznych piwnicami posiadłości przez miejsca, których istnienia Rena nawet się nie domyślała, rzadko przyjemne, a w większości niezwykle brudne. Pokojówka w zasadzie wcale nie chciała zabrać Reny ze sobą, nawet kiedy ta przytoczyła argumenty, których użyła przedtem w stosunku do Lorryna. W końcu musiała się jednak zgodzić, gdyż Lorryn oświadczył jej po prostu, że bez Reny nie idzie. Stosunek Myre do nich zmienił się z nacechowanego lekką wyższością na raczej bezczelny. Rena nie miała jednak zamiaru przeciwstawiać się temu - bądź co bądź byli faktycznie na jej łasce, wcale nie musiała im pomagać.

Wcześniej Myre zaprowadziła ich do magazynów, które przetrząsnęli w poszukiwaniu

potrzebnych zapasów i broni. Bliska już była pora, kiedy dwór się zazwyczaj budził, lecz Lorryn rzucił na mieszkańców domu zakłęcie, by spali mocniej i dłużej niż zazwyczaj. Nie ośmielili się jednak wyjść na zewnątrz, gdyż zakłęcia tego nie dało się rozciągnąć na stajnie, zagrody niewolników i dalsze tereny. W związku z tym wszelka przydatna broń i narzędzia - nie mówiąc już o koniach, które znajdowały się poza obrębem budynku, mogły równie dobrze znajdować się na księżycu, taki sam mieli z nich pożytek.

Uciekali przez piwnice, niosąc bezkształtne pakunki zawinięte w koce, z uchwytami zaimprovizowanymi z własnych pasków. Rena niosła żywność wykradzioną z kuchni, noże, zapalniczkę i metalowy bidon na wodę, który znalazła w piwnicy. Lorryn obciążony był łukiem i strzałami, nożami i mieczem, własnym ubraniem, posłaniami oraz rzeczami, które znalazła dla nich Myre: liną, siekierką, dużą nieprzemakalną płachtą i ciężkimi płaszczami, zbyt wielkimi, żeby mogła nieść je Rena.

Z piwnic prowadziły na zewnątrz wyjścia używane podczas dostaw towarów w beczkach i skrzyniach, których dzięki temu nie trzeba było nosić przez kuchnię. Myre wypróbowała wszystkie po kolei, aż znalazła takie, które nie były zamknięte na klucz. Przedarli się na górę przez stos jakichś bulw, które zsypano tu przez specjalną pokrywę powyżej. Były one brudne i twarde jak skała, więc Rena nie bardzo mogła sobie wyobrazić, co z nimi robią, by stały się jadalne.

Wyskoczyli z tego zsypu prosto w mglistą szarówkę przedświt, przemknęli przez podwórze pod względną osłonę ogródka warzywnego, a stamtąd podążyli za Myre ku granicy posiadłości, przecinając padok i opłotowane przydomowe pola. Każde pole otoczone było żywopłotami i rowami nawadniającymi, stanowiącymi idealną osłonę dla uciekinierów.

Dziwne było tylko to, że biegli w kierunku dokładnie przeciwnym do bramy i drogi. Rena nie widziała w tym żadnego sensu. Cała posiadłość była otoczona murem, a jedyne wejście znajdowało się naprzeciw dworu. Bała się jednak odezwać, bo Myre mogła wpaść na pomysł "przypadkowego" zgubienia jej, co w tym półmroku przyszyłoby jej bez trudu. I co by wtedy zrobiła? Raczej trudno by jej było wyjaśnić, co tu robi w ubraniu niewolnika, z pakunkiem na plecach i włosami obciętymi na wysokości podbródka. Nawet jeśli udałoby jej się przedostać niepostrzeżenie do swoich pokoi, to i tak pozostawała kwestia włosów. Ktoś mógł skojarzyć to sobie ze zniknięciem Lorryna, co wpędziłoby ją w natychmiastowe kłopoty.

Wreszcie dotarli do muru, wykonanego z gładkiego kamienia i szerokiego u podstawy na kilka metrów, żeby zniechęcić wszystkich do przekopywania się pod nim. Wznosił się nad nimi jak wieża, a jego szczyt chroniony był przez ostre kawałki szkła wciśnięte w zaprawę.

Nie było sposobu, żeby się na niego wspiąć ani go okrążyć.

Myre nie zdradzała jednak żadnych oznak zaniepokojenia. Pewnie poprowadziła ich wzdłuż ogrodzenia, podczas gdy na niebie przedświt ustępował miejsca perłowobłękitnemu blaskowi wczesnego poranka. Rena czuła się coraz bardziej zdenerwowana. Lada moment nadzorcy zaczną wyprowadzać niewolników do pracy na polach i wtedy ich spostrzegą. Co ta Myre wyrabia?

Lecz Myre najwyraźniej doskonale wiedziała, co ma robić. Doprowadziła ich w końcu do miejsca, o którym Rena nie miała najmniejszego pojęcia, miejsca, gdzie głęboki rów nawadniający przechodził pod murem. Tunel ten był ciemny jak bezgwiezdna noc i wydawał się bardzo długi. Prawdopodobnie prowadził nie tylko pod ogrodzeniem, ale i pod ziemią, co miało zniechęcić do ewentualnych prób ucieczki tą drogą. Woda sięgała na wysokość około piętnastu centymetrów od sklepienia.

- Teraz rozumiem, czemu pytałaś, czy umiemy pływać - powiedziała Rena wpatrując się w tunel. Woda wyglądała na bardzo zimną. - Czy nie będzie krat lub czegoś w tym rodzaju u wylotu? Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ojciec nie zabezpieczył tego.

- Zostaw to mnie - odparła niewolnica, po czym obejrzała się przez ramię na Renę z szyderczym wyrazem twarzy. - Ostatnia okazja, by się wycofać.

Rena bez słowa potrząsnęła przecząco głową. Kiedy już się na to zdecydowała, nie miała zamiaru zawracać, obojętnie jak trudne okaże się to przedsięwzięcie.

Myre prychnęła.

- Tylko nie mów, że nie dałam ci szansy.

Z tymi słowy, gibka jak wydra, zanurzyła się w wodzie i zniknęła.

W chwilę później dotarł do nich jej szept odbijający się echem w na pół zalany tunelu:

- To idziecie, czy nie?

Lorryn zszedł do wody, zdejmując jednocześnie z pleców swój pakunek, który rzucił na wodę i ciągnął po powierzchni za jeden z rzemieni. Rena uświadomiła sobie, że jego łuk będzie przez jakiś czas bezużyteczny, przynajmniej dopóki nie wyschnie.

Cóż to szkodzi. I tak niewiele wskórają łukiem przeciw magii ojca.

Woda sięgała Lorrynowi do podbródka, co oznaczało, że Renę przykryje z głową. Niewesoło. Lorryn pozwolił prądowi nieść się do tunelu i wkrótce zniknął w mroku.

Rena wahała się tylko przez chwilę; robiło się coraz jaśniej i wkrótce na pewno ktoś się tu pojawi. Poszła za przykładem

Lorryna i zdjęła pakunek, przyczepiając jeden z rzemieni do swego paska. Potem

trzymając się kurczowo ściany tunelu zanurzyła się w wodzie.

Była jeszcze zimniejsza niż się wydawała i wkrótce przemoczyła doszczętnie jej ubranie. Rena faktycznie nie sięgała stopami do dna, lecz udało jej się przezwyciężyć przyływ paniki. Nie mogła jednak zmusić się, by popłynąć środkiem akweduktu. Przekładając zatem na zmianę ręce przy ceglanej ścianie podążyła w mrok tunelu, szczękając zębami.

Wkrótce odkryła, że dalej sklepienie opadało znacznie bliżej powierzchni wody, niż wydawało się z zewnątrz, więc trzymając się bocznej ściany, nie miałyby miejsca na wystawienie głowy nad powierzchnię i oddychanie. Więc chociaż trzęsa się ze strachu, puściła swój ostatni punkt oparcia i pozwoliła nieść się leniwemu prądowi, mając tylko nadzieję, że uda jej się utrzymać na powierzchni.

Obejrzała się przez ramię. Światło na końcu tunelu z wolna się oddalało, chociaż, gdy spojrzała naprzód, nie pojawił się żaden blask tam, gdzie powinien znajdować się drugi wylot. Była tak zziębnięta, że nie czuła rąk ani nóg, a nasiąknięty wodą pakunek działał jak kotwica, ściągając ją w dół. Spróbowała płynąć naprzód, starając się za bardzo nie rozbryzgiwać wody, gdyż obawiała się, że jej plusk może się odbijać echem w tunelu i tym samym zaalarmować nadzorcę. Utrzymywanie głowy nad powierzchnią okazało się bardzo trudnym zadaniem przy ciągnącym ją na dno pakunku, zaczęła więc energiczniej młócić rękami wodę, spazmatycznie łapiąc oddech, gdy zimna ciecz chlupotała jej koło brody i policzków.

Wreszcie z ciemności wyciągnęła się jakaś dłoń i złapała ją za ramię. Rena powstrzymała się od jęku, uświadomiwszy sobie, że musi to być Myre albo Lorryn. Był to jej brat trzymający się kurczowo metalowej kraty blokującej tunel.

- W tej kracie jest przejście - powiedział Lorryn, szczękając zębami i wypluwając wodę. - Tuż pod powierzchnią. Zazwyczaj jest zamknięte, ale Myre udało się je otworzyć. Chodź za mną.

Obecnie z końca tunelu docierała już dostateczna ilość światła, by Rena mogła coś mgliście dojrzeć. Lorryn poklepał ją po ramieniu dla dodania odwagi i zanurkował pod wodę. Poczuela objijające się o nią nogi, a po chwili jego głowa wynurzyła się po drugiej stronie kraty.

Rena uwiesiła się na tej przeszkodzie, a wolną ręką i czubkiem buta macała ostrożnie pod wodą, dopóki nie natrafiła na pustą przestrzeń, gdzie musiało znajdować się przejście. Do tej pory brat zdążył już zniknąć jej z oczu. Odetchnęła głęboko kilka razy i wytłumaczyła sobie, że skoro Lorryn, który był o wiele gorszym pływakiem, potrafił sobie dać radę, to dla niej będzie to bardzo łatwe. Potem mocno zacisnąwszy oczy, zanurzyła głowę pod wodę,

namacała krawędź otworu i głową naprzód przeciągnęła się przez niego.

Przeżyła chwilę paniki, kiedy uwiązał jej pakunek. Pociągnął ją z powrotem pod wodę, zanim zdążyła porządnie nabrać powietrza. Strach zmroził ją bardziej niż woda; bezsensownie walczyła z rzemieniem, młóćąc wokół siebie ramionami, wciągana raz po raz pod powierzchnię, zaczerpując więcej wody niż powietrza za każdym razem, gdy udało jej się wydostać na powierzchnię w poszukiwaniu oddechu.

Nie mogła nawet zawołać o pomoc, gdyż cały czas krztusiła się wodą.

W końcu ta szamotanina zupełnie przypadkowo uwolniła pakunek i Rena wyskoczyła na powierzchnię jak korek, podczas gdy on opadł na dno, zawisając na jej pasku. Dysząc, przyłgnęła do kraty i dopiero, gdy doszła do siebie, popłynęła za bratem.

Na szczęście wylot tunelu był niezbyt daleko; dostrzegła przed sobą przymglone półkole blasku, a w jego centrum dwie ciemne plamy, które musiały być głowami Myre i Lorryna. W tej chwili naprawdę płynęła, zamiast pozwolić unosić się prądowi, więc mimo hamującej jej ruchy, przemoczonej paczki, szybko dołączyła do ich boku.

Lorryn, który usłyszał, że nadpływa, wyciągnął rękę, żeby ją złapać. Kiedy spojrzała kawałek dalej, przekonała się, że akwedukt kończy się bezpośrednio w rzece. Brzeg był tu zarośnięty, a zielska zwisały nad wodą, tworząc rodzaj zasłony między nimi a otwartym nurtem.

Słońce już weszło, lecz dzień był pochmurny i wyglądało, jakby miało padać. Ciężkie, czarne chmury sunęły ponuro przez niewielki skrawek nieba, widoczny z tunelu, i Renie wydawało się, że słyszy dochodzący z pewnej odległości pomruk burzy.

- Gdybyście wybierali dzień na ucieczkę, trudno byłoby wybrać lepszy - odezwała się Myre, a jej szept odbił się echem w tunelu. - Musimy tu poczekać. Kiedy zacznie lać, nawet patrole będą wolały zostać pod dachem, póki nie przestanie. Poza tym porządny deszcz zmyje ślady i zapach, gdyby próbowali wytropić nas za pomocą psów.

Rena już była przemoczona i zmarznięta, perspektywa podróży w siekącym deszczu nie wydała jej się zbyt pociągająca.

“W końcu uciekamy, by ocalić życie - zbeształa się natychmiast. - Bądź rozsądna! Cóż znaczy te trochę wody, jeśli to ma powstrzymać ojca od podążenia naszym śladem?”

Istniał tylko jeden problem. Jeśli deszcz zatrzyma wszystkich pod dachem, to ktoś może prędzej zauważyć ich nieobecność.

“Ja zapewne mogę liczyć na to, że ojciec także tego ranka pozwoli mi pospać dłużej, szczególnie po moim zaręczynowym obiedzie, ale co z Lorrynem? Jak szybko śludzy przyjdą go obudzić? I czy faktycznie ktoś się zaniepokoi, jeśli nie zastaną go w łóżku? Może

pomyślą, że był na jakimś spotkaniu i jeszcze nie wrócił do domu?”

Nagle podskoczyła, gdyż piorun uderzył całkiem niedaleko. Nieraz wyobrażała sobie, co by zrobiła, żeby odnaleźć smoki, ale taka sytuacja nigdy nie przysła jej na myśl. Dziewczyna snująca swe marzenia w ogrodzie w otoczeniu ptaków wydawała się jej teraz całkiem inną osobą.

Nad ich głowami niebo rozjarzyło się łukiem błyskawicy, dobiegł ich grzmot wywołując mimowolny pisk Reny, po czym niebiosa otworzyły się.

- Teraz - gwałtownie ponagliła ich Myre, przedzierając się przez zielska prosto w lejący deszcz.

Lorryn ruszył za nią, a Rena chwytając się szorstkich łądyg podążyła za nimi. Myre zdążyła już wspiąć się do połowy wysokości brzegu. Lorryn zatrzymał się tylko na moment, by podać siostrze rękę i pomóc wydostać się z rzeki, po czym pobiegł dalej.

Rena gramoliła się za nim, zatrzymując się tylko po to, by przytroczyć z powrotem swój pakunek. Ześlizgiwała się i padała na rozmoczonej glinie brzegu tyle razy, że straciła już rachubę.

Dłonie piekły ją i paliły, przecięte ostrymi liśćmi i poparzone pokrzywą; były to jedyne części ciała, w których czuła ciepło.

Bolało ją w boku i nie mogła złapać oddechu, zanim dotarła na szczyt stromego brzegu, gdzie zanurkowała za Lorrynem w wątpliwe schronienie ze splątanych mokrych krzaków. Myre starała się przebić wzrokiem deszcz, najwyraźniej czegoś szukając. Rena była teraz bardzo zadowolona, że zakładając stare, niewolnicze ubranie, obcięła również włosy; przynajmniej nie musiała walczyć z masą skłębionych, mokrych splotów.

- Potrzebujemy czegoś szybszego niż nasze nogi - wymamrotała niewolnica. - Może uda nam się ukraść konie?

- A co myślisz o łodzi? - odparł Lorryn. - Kawalek dalej na rzece jest zazwyczaj zacumowanych kilka małych łódek. Ojciec trzyma je tam do wędkowania i przejażdżek po rzece.

Myre w końcu obróciła się, by na niego spojrzeć. Jej ociekające wodą włosy rzadkimi kosmykami zwisały nad jednym okiem.

- Ciekawe tylko, na ile dekoracyjne są te łodzie - zauważyła sceptycznie. - Nie chcemy przecież płynąć czymś, co na pierwszy rzut oka będzie kojarzyło się z elfim lordem. Zresztą, ja i tak nie mam najmniejszego pojęcia o łodziach.

- Ja na nich pływałem - zapewnił ją Lorryn. - Poza tym nieważne, jak bardzo są one ozdobne. Wiem, jak używać magii, pamiętasz? Mogę sprawić, żeby wyglądała jak...

Urwał, a Myre uśmiechnęła się ironicznie.

- Właśnie. A w efekcie twoja magia będzie krzyczała do każdego, kto potrafi ją wyczuć: “tu jestem”.

Skrzywił się, zawstydzony.

- Cóż, nie są aż tak bardzo ozdobne - mruknął.

Rena pamiętała te łodzie. Kiedyś, dawno temu, Lorryn zabrał ją taką na długie, leniwe popołudnie na wodzie. Podobnie jak inne chwile spędzone poza kobiecymi komnatami, wyprawa ta głęboko wbiła jej się w pamięć. Przymknęła oczy, by przywołać to wspomnienie.

- Po drugiej stronie przystani są chyba cięższe łodzie, używane przez niewolników - odezwała się w końcu. - Jeśli ich tam nie będzie, to cóż, wybierzmy najgorszą z elfich łódek, a ja postaram się, żeby wyglądała prościej. Za pomocą swojej magii, która jest na tyle słaba, że nie powinni jej wyczuć, mogę sprawić, żeby farba wyblakła. Z kolei siekiera pomoże nam się pozbyć drewnianych płaskorzeźb; one i tak są tylko przybite do zwykłej łodzi.

Myre obróciła się i spojrzała na nią ze zdumieniem; najwyraźniej spodziewała się, że Rena będzie dla nich wyłącznie ciężarem, który muszą wlec ze sobą.

- Możemy spróbować - odparła krótko. - Zresztą, nie jesteśmy zbyt daleko od smoków, a one ucieszą się na wasz widok i udzielą wam schronienia. Kiedy już wydostaniemy się poza ziemie lorda Tylara, nietrudno będzie do nich dotrzeć.

Znowu wpatrzyła się w zasłonę z deszczu.

- Chodźcie! - Gestem nakazała im, by podążyli za nią i ponownie wybiegła w ulewę.

Przystań znajdowała się tam, gdzie się spodziewali, i znaleźli w niej łodzie, również te używane przez niewolników do łapania świeżych ryb na stoły swoich panów. Lorryn i Rena odwiązali sztywne, nasiąkłe wodą liny, którymi dziób i rufa jednej z łodzi były przycumowane do nabrzeża. Myre stanęła na środku łodzi i odpychała ją długim drągiem w myśl poleceń Lorryna. Wewnątrz znaleźli wiosła, lecz przy takiej burzy nie były im potrzebne. Lorryn zasiadł za sterem, a prąd niemal natychmiast pochwycił lekką łódź i poniósł ją na środek rzeki ze stale wzrastającą prędkością. Zadaniem Myre i Reny było wyczerpywanie wody z dna łodzi.

“Ciekawe, jak długo to potrwa, zanim znajdziemy się poza ziemiami ojca” - zastanawiała się Rena, czerpiąc wodę brezentowym wiaderkiem i wylewając ją za burtę. Musiały bardzo energicznie pracować, by nie podniosła się do niebezpiecznego poziomu, gdyż nie tylko lał się na nich deszcz, lecz również łódź przeciekała na wszystkich spojeniach. - “Ile czasu upłynie, zanim członkowie Rady zostaną powiadomieni, że Lorryn zniknął? I co wtedy zrobią? Czy wrócą do Rady i złożą o tym raport, czy...” - Nie potrafiła wymyślić

żadnej możliwości. W tej chwili w ogóle nie potrafiła rozsądnie myśleć.

- Tam są!

Ten okrzyk dobiegł od strony brzegu. Zaskoczona Rena spojrzała w górę przez zaslonę ociekających deszczem włosów.

Ujrzała jeźdźców, samych elfów w pełnym uzbrojeniu. Jeden z nich wskazywał dokładnie na nich. Rena poczuła mrowienie i dreszcz przelatujący jej po skórze. Lorryn zaklął.

- Wiedzą, że to my - powiedział krótko. - Używają właśnie magii, żeby nas zidentyfikować.

Czy ta magia była dostatecznie silna, by schwytać uciekinierów albo nawet zabić ich tu, na miejscu?

Myre rozejrzała się szaleńczo wokół, jakby w poszukiwaniu broni lub sposobu ucieczki.

- Czy możesz zmusić tę łajbę, żeby płynęła szybciej? - wrzasnęła, przekrzykując deszcz i burzę.

“Ależ oczywiście, że może! Ma dostateczną moc”.

- Zrób to - ponagliła go Rena. - Oni i tak już wiedzą, że to my, i gdzie jesteśmy! Pośpiesz się!

Lorryn niecierpliwie odrzucił włosy, przesłaniające mu oczy, i puścił rumpel. Uniósł obie ręce nad głowę, co sprawiło, że jeźdźcy na brzegu zadreptali w miejscu i zaczęli się wycofywać, najwyraźniej spodziewając się ataku.

“To muszą być słudzy ojca, bo inaczej już by na nas ruszyli”.

- Trzymajcie się! - wrzasnął Lorryn, a Rena posłuchała natychmiast, wiedząc z doświadczenia, że brat nigdy nie rzuca ostrzeżeń bez potrzeby.

Niestety, Myre nie zareagowała od razu, nadal bezskutecznie rozglądając się za jakąś bronią.

Z trzaskiem i błyskiem światła łódź nagle przechyliła się do przodu, rzucając Renę na dno. Gdyby nie trzymała się obiema rękoma boku łodzi, zostałaby wyrzucona za burtę.

Tak jak Myre.

Rena puściła się jedną ręką i próbowała złapać dziewczynę za ubranie, gdy ta przeturlała się obok niej, lecz za późno. Jeszcze przez moment widziała twarz Myre unoszącą się ponad powierzchnią wody, po czym niemal natychmiast przesłoniła ją kurtyna deszczu, gdyż łódź przyspieszyła i poruszała się teraz dwa razy szybciej niż biegnący koń.

- Zatrzymaj! - wrzasnęła Rena do brata. - Straciliśmy Myre!



Potrząsnął z ubolewaniem głową. Nadal trzymał ręce ponad głową, a twarz miał ściągniętą skupieniem.

- Nie mogę! - odrzyknął. - Kiedy raz to zapoczątkuję, musi trwać, dopóki samo się nie wyczerpie.

Rena spojrzała wstecz - nie było już śladu po Myre, a jeźdźcy wyglądali jak kropeczki na brzegu rzeki. Po chwili oni także zniknęli w szarych płachtach wody lejącej się z nieba. Łódź nadal nabierała szybkości.

Od tej pory musieli polegać tylko na sobie i serce ścisnęło jej się ze strachu.

Łódź zaczęła zwalniać dopiero wówczas, kiedy znaleźli się poza zasięgiem burzy, na terenach nie należących do żadnego elfiego władcy. Zanim to nastąpiło, twarz Lorryna była szara z wyczerpania, a Renę rozboleły ręce od kurczowego trzymania się burt. Na rzece unosiły się różne przedmioty, więc Lorryn kilkakrotnie musiał zmieniać kurs, żeby uniknąć z nimi zderzenia. Niewiele brakowało, żeby te nagłe zwroty wyrzuciły Renę z łodzi, podobnie jak Myre.

Kiedy wreszcie zakłęcie przestało działać, Lorryn przyhamował pęd łodzi, złapał za ster i dobił do południowego brzegu. Obydwoje wyrzucili swoje pakunki w nadbrzeżne zarośla, po czym wygramolili się niezdarnie poprzez burtę na niski brzeg. Lorryn odepchnął łódź za pomocą gałęzi, pozwalając nurtowi rzeki porwać ją dalej; wpatrywali się w nią potem, dopóki nie zniknęła.

- Przy odrobinie szczęścia nie odgadną, gdzie wyszliśmy na brzeg, nawet jeśli ją znajdą - powiedział Lorryn, zarzucając swój ładunek na ramiona. - Mam nadzieję, że zyskamy dzięki temu trochę czasu.

Rena podniosła swój bagaż, marząc, żeby zawierał coś ciepłego i suchego do włożenia na siebie. Była tak przemarznięta, że nawet przestała się trząść; zimno przeniknęło ją całą aż do kości. Nie mogłaby teraz dygotać nawet, gdyby chciała, gdyż strach i chłód wtrąciły ją w rodzaj odrętwienia.

- To gdzie teraz pójdziemy? - spytała nieśmiało, starając się, by jej głos nie brzmiał oskarżycielko. - Straciliśmy Myre.

Lorryn westchnął i wpatrzył się w puszcę.

- Cóż, ona mówiła, że smoki są niedaleko. Czy nie wspominała, że są na południe stąd?

Rena nie przypominała sobie niczego takiego, lecz nie miało to dla niej znaczenia. Jeden kierunek był tak samo dobry jak inny, jak długo oddalali się od tych, którzy na nich

polowali. Wykonała gest bezradnego zakłopotania.

- Czy mógłbyś... czy wiesz może, że nikogo nie ma tu w pobliżu? Kogoś, kto mógłby nas śledzić?

Tak się bała, tak bardzo się bała. Wrogowie na ich tropie, nieznani wrogowie, a ich przewodniczka stracona, bez najmniejszej nadziei, że ją jeszcze odnajdą. Co mieli robić?

- Masz na myśli elfów? Nie sądzę, żeby było bezpiecznie używać elfiej magii, jest jednak taka ludzka sztuczka z nasłuchiowaniem myśli, mogę tego spróbować. - Zamknął oczy, a jego twarz przybrała ten "zasłuchany" wyraz. - Nie wyczuwam niczego poza umysłami zwierząt. Na razie powinniśmy być bezpieczni. Może uda nam się znaleźć jakąś osłonę, rozniecić ogień i wysuszyć się.

"Sucho i ciepło. Jak tu marzyć, że może powieść im się ta ucieczka, skoro w tej chwili perspektywa wysuszenia się i ogrzania wydawała jej się rajem?"

- Lepiej ty prowadź - powiedziała mu. - Ty polowałeś, więc lepiej wiesz, za czym się rozglądać. Poza tym ty masz broń.

Słyszając to, sprawdził swój łuk i stwierdził, że jest bezużyteczny, więc wyciągnął zamiast niego nóż. Wyglądało na to, że ma ochotę coś powiedzieć, potem zmarszczył brwi, jakby lepiej to przemyślał, i ruszył w zarośla.

"Nikogo nie ma w zasięgu umysłu Lorryna. Na razie jesteśmy bezpieczni - tłumaczyła swojemu walącemu sercu, próbując podbudować topniejącą odwagę. - Uda nam się uciec. Musi się udać!"

Podążyła za bratem, myśląc, jakby to było miło, gdyby nie musiała wraz z pakunkiem nieść ogromnej ilości wody i marząc, żeby to wszystko było tylko snem. Kiedy strach zaczął słabnąć, bardziej dokuczliwe stały się inne niedomogi. Żołądek bolał ją z głodu, a ramiona paliły w miejscach, gdzie wrzynały się w nie rzemienie bagażu. W tej chwili małżeństwo z Gildorem nie wydawało się taką najgorszą rzeczą.

Wydostali się wprawdzie poza zasięg burzy, lecz dzień nadal był pochmurny, a z każdego drzewa ściekała woda na wydeptaną przez jelenie ścieżkę, którą odnalazł Lorryn. Sądziła, że nie może być już bardziej zmarznięta i nieszczęśliwa, lecz za każdym razem, kiedy kolejna gałąź zrzucała jej na plecy swój ładunek lodowatych kropel stwierdzała, że dopiero zaczyna poznawać, co to znaczy być nieszczęśliwym. Buty, które miała na nogach, niezbyt na nią pasowały, mimo wszystkich skarpet, które założyła, i na pięcie zaczął jej się robić pęcherz. Palców u rąk prawie nie czuła.

Utkwiła oczy we własnych stopach i ścieżce tuż przed sobą, starając się nie myśleć o bolących nogach i zaczynającym się bólu głowy.

Była bardzo mokra i taka zmarznięta. Gdyby mogła użyć odrobiny magii.

A właściwie, dlaczego nie?

“Moje czary są tak niewielkie... Mogłabym przynajmniej troszkę się ogrzać i troszkę wysuszyć. Na pewno nikt tego nie zauważy”.

Zawęziła pole swej koncentracji i zaczęła oddziaływać magią na ubranie, od skóry na zewnątrz i od stóp w górę, wyprowadzając wodę z materiału - włókno po włóknie. Było to w sumie bardzo podobne do rzeźbienia kwiatów, po prostu wyciskanie wilgoci z niepożądanych miejsc, powoli i cierpliwie. Kiedy woda wydostawała się na powierzchni ubrania, pozwalała jej się skroplic i spaść.

Dodatkową zaletą skupienia się na tym zajęciu było to, że przestała zwracać uwagę na bolące nogi i ramiona.

Rezultat odczuła niebawem. Najpierw stopy, potem dalsza część nóg, tułów i w końcu ręce, były suche i ciepłe! Teraz zabrała się do swojego pakunku, wyciskając z niego wodę o rodzaj przegrody, którą stworzyła sobie na plecach. Robił się coraz lżejszy i lżejszy, aż w końcu jego ciężar zmniejszył się na tyle, że niosła go bez trudności.

- Reno? Czy używasz magii? - spytał Lorryn, przerywając jej skupienie.

Zawahała się przez moment.

- Tylko troszeczkę - odparła potulnie. - Było mi tak zimno i mokro. Chyba nie zrobiłam nic złego, co? - Jej oczy rozszerzyło przerażenie. - Nie wyczuli tego, powiedz?

- Wszystko w porządku - szybko zapewnił ją Lorryn, odsuwając wolną ręką ciężką gałąź. - Nie byłem tylko pewien, czy to ty działasz magią, bo wrażenie było bardzo słabe. Po prostu wyczułem to i obawiałem się, że to mogą być oni. Lecz urwało się, kiedy cię zapytałem.

- Przerwałeś moją koncentrację, a więc to mnie musiałeś wyczuć - odpowiedziała z ulgą. - Całe szczęście. Byłam taka przemoczona i zmarznięta i nie sądziłam, że stanie się coś złego, jeśli usunę wodę ze swoich rzeczy. Powinieneś zrobić to samo.

- Nie potrafię - odrzekł jej cicho.

Nie była pewna, czy dobrze go usłyszała.

- Jak to, nie potrafisz? - spytała zdumiona. - Przecież... przecież sprawiłeś, że łódź niemal leciała w powietrzu. Widziałam też, jak robisz wiele innych rzeczy. Jak możesz nie...

- Chłopców nie uczą, jak dokonywać drobnych czarów, to znaczy tego, co oni nazywają drobnymi czarami - przerwał jej ponuro. - Coś ci jednak powiem, kiedy jesteś przemoczona do suchej nitki, te czary nie wydają się drobne. Nie wiem, co bym oddał za parę suchych skarpet.

Zaśmiała się i sama była zdziwiona, słysząc swój śmiech.

- Dobrze, w takim razie ty daj mi coś do jedzenia i znajdź miejsce na odpoczynek, a ja dopilnuję, żebyś dostał suche skarpety i osuszę też resztę rzeczy.

Obrócił się, żeby na nią spojrzeć; zdumienie walczyło na jego twarzy z rozbawieniem.

- W takim razie chcę ci powiedzieć, że jesteś najlepszym towarzyszem ucieczki, jakiego można sobie wymarzyć. Lepszym nawet od wojownika w pełnym uzbrojeniu, który w tej sytuacji byłby równie bezradny jak ja, a zapewne w gorszym humorze.

Nie przyznał się jednak do swych wcześniejszych myśli. Rena wiedziała, że choć był zbyt taktowny, by powiedzieć to głośno, to podobnie jak Myre uważał, że będzie ona bardziej przeszkodą niż pomocą, kamieniem uwieszonym im u szyi i hamującym ich ucieczkę.

Teraz nie miało to już znaczenia, choć wcześniej by ją to zraniło. Teraz Lorryn poznał ją lepiej.

Tak samo zresztą jak i ona siebie. Uświadomiwszy to sobie, poczuła się pokrzepiona na duchu.

Lorryn znalazł dla nich schronienie pod częścią ogromnego zwałonego drzewa. Rena za pomocą drobnych zaklęć osuszyła jego ubranie i pakunek, a potem łuk i jego cięciwę. W ten sam sposób osuszyła też masę przemoczonych liści, które spiętrzyła tak, że utworzyły ciepłą osłonę przed wilgotnym powietrzem i ziemią, a wreszcie utrzymywały z dala owady. Lorryn natomiast skoncentrował się na przeszukiwaniu drzew, żeby stwierdzić, czy nie czają się na nich jacyś łowcy - elfowie lub zwierzęta.

Widząc efekty swych kolejnych zaklęć. Rena z każdą chwilą czuła się lepiej. Nie była wcale tak bezużyteczna, jak to jej zawsze wmawiał ojciec. Potrafiła sama wymyślić rozwiązania niektórych z ich problemów! Może nie była w stanie zmusić łodzi do pędzenia w dół rzeki na złamanie karku, lecz umiała uchronić Lorryna przed przeziębieniem, a może i poważniejszą chorobą, która by ich unieruchomiła. Elfy nie chorują, przynajmniej niezbyt często, lecz ludzie tak, a więc i Lorryn był na to narażony.

Trzymała kawałek chleba w dłoni i skubała go powoli. Był to chleb niewolników, ciężki i ciemny, a nie białe pieczywo jedzone przez ich panów. Myre powiedziała, że wyjdzie im to na dobre. Twierdziła, że ten chleb lepiej nadaje się na prowiant polowy, gdyż jest bardziej pożywny i lepiej wypełni im żołądki. Może i miała rację, z pewnością niewiele go było potrzeba, żeby zaspokoić głód Reny, a resztę ułamanego dla niej kawałka kończyła raczej z poczucia obowiązku niż z rzeczywistej potrzeby.

Myśl o byłej niewolnicy sprawiła, że skrzywiła się z poczuciem winy. "O Przodkowie! Biedna Myre. Mam nadzieję, że jej nie złapali, a jeśli tak, to miała dosyć

rozsądku, by twierdzić, że ją zmusiliśmy do pójścia z nami”. Myre, taka sprytna i zaradna, z pewnością znajdzie jakiś sposób, by się wytłumaczyć. Przecież dotąd zawsze udawało jej się wywinąć z każdej opresji.

A ludzie ojca, mając do ścigania dwoje odstępców, z pewnością nie będą zawracać sobie głowy zwykłą niewolnicą.

Lorryn otworzył oczy.

- Nie wyczuwam tam niczego, oprócz paryjednorogów - powiedział w końcu. - Są młode, więc nie powinny sprawić nam kłopotu tak długo, jak długo będziemy trzymać się od nich pod wiatr.

- Jednorogi? - Rena poczuła, że jej odwaga znów się kurczy, mimo wcześniejszego przyływu pewności siebie.

Alikorny nie raz jawiły się jej w sennych koszmarach, a wygląd wypchanej pary w sali recepcyjnej lorda Lyona potwierdzał prawdziwość historii, które opowiadano jej o ich dzikości.

- Ale przecież mówią o nich, że potrafią wyczuć najlżejszy cień zapachu?

- W tej chwili są pod wiatr w stosunku do nas - zapewnił ją i ziewnął szeroko. - A ja...

Ziewnął ponownie i Rena ze zmartwieniem dostrzegła, jak bardzo jest wyczerpany i napięty. Prawdopodobnie ostatnio wcale nie spał więcej od niej.

Zapewne już od wielu dni.

- Lorrynie, czy w tej chwili jesteśmy tu bezpieczni? - zapytała, a na jego ostrożne skinienie głową ciągnęła dalej: - W takim razie powinienes odpocząć. Najpierw wykonałeś całą tę magiczną pracę, a potem maszerowaliśmy kilometrami.

Wyglądało, jakby zamierzał zaprotestować, ale trzecie ziewnięcie go zmogło.

- Nie będę się sprzeczał. Jest tu ciepło i sucho, a trudno znaleźć lepsze schronienie niż to, co mamy w tej chwili.

- Więc odpocznij - nalegała. - Ja będę pilnować, czy nic nam nie grozi. Obudzę cię, gdyby cokolwiek się działo.

- Wiesz co, oprę się tylko i odprężę przez chwilę - powiedział, kładąc za sobą bagaż.

- Nie będę spał, tylko minutkę odpocznę.

Zamknął oczy i tak jak Rena się spodziewała, spał po chwili jak kamień.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Jak mógł sądzić, że uda mu się iść dalej bez odpoczynku?

Mniejsza o to. Teraz sobie odpoczywa.

Rozejrzała się po ich prymitywnym schronieniu i zrobiła w myślach przegląd

dostępnych materiałów. Lorryn będzie spał pewnie do wieczora, więc może dobrze byłoby ulepszyć nieco ich kryjówkę za pomocą patyków i liści. Robiła już różne rzeczy z kwiatami, dlaczego by nie z liśćmi?

Tytułem próby wzięła jeden listek i pracując za pomocą zakłęb, przekształciła go na bardziej płaski i jednocześnie większy, nie niszcząc przy tym jego odporności na wodę. Wzięła kolejny, zrobiła to samo i próbowała połączyć oba razem.

Ku jej radości, udało się!

“Mogę zrobić z tych liści cały baldachim, a potem poprzyczepiać na wierzchu niezmięzione gałązki, tak że będzie to wyglądało jak miejsce zarośnięte winoroślą, stwierdziła entuzjastycznie. - Za dzień lub dwa i tak to wszystko uschnie, lecz nas już tu wtedy nie będzie!”

Zebrała więcej liści i zaczęła robić z nich swój zielony materiał, dopasowując liść do liścia tak, by stworzyć nieprzemakalną izolację. Przy tej pracy udawało jej się zawęzić pole koncentracji w stopniu, jakiego nigdy nie mogła osiągnąć podczas zwykłego rzeźbienia kwiatów. Prawdę mówiąc, miała tak dużą część umysłu skupioną na wykonywanym właśnie zadaniu, że nie zwracała uwagi na nic innego.

Przynajmniej do chwili, gdy trzasnęła gałązka i Rena, podniósłszy głowę, spojrzała prosto w szalone, pomarańczowe oczy białego jednorożca. Ten prychnął na jej widok, a był tak blisko, że wyraźnie mogła wyczuć jego gorący oddech. Zamarła w miejscu, przestając oddychać.

Gdy się jej przyglądał, ona nie mogła oderwać wzroku od długiego, spiralnego rogu wyrastającego mu ze środka czoła. Opalizujący stożek z masy perłowej miał u nasady grubość jej szczupłego nadgarstka i stopniowo zwężał się do paskudnie ostrego czubka. Ogromne oczy w kolorze przydymionego pomarańcza miały rozszerzone źrenice. Głowa w zasadzie przypominała kształtem głowę zgrabnego, pełnego wdzięku konia, lecz oczy zajmowały większość miejsca tam, gdzie powinien być już mózg. Bardzo długa, giętka szyja schodziła do muskularnego kłębu, a przednie kończyny zakończone były ni to rozszczepionym kopytem, ni to pazurami. Zad był równie potężny jak kłęb, lecz przy tylnych nogach były wyraźne kopyta. Długa, falista grzywa, maleńka bródka i ogon w kształcie pędzelka dopełniały obrazu zwierzęcia. Poza jednym drobnym szczegółem...

Szczegółem, który jednorożec zaprezentował jej w całej okazałości, kiedy uniósł wargę, starając się wywęszyć jej zapach. Jego delikatny pysk zdobiły długie na cal kły, które dawały świadectwo prawdziwej naturze tego stworzenia.

To był zabójca, tak jak one wszystkie. Dlatego właśnie elfowie zrezygnowali z

używania ich jako zwierząt jucznych lub rumaków bitewnych.

Lada chwila ją zaatakują, chyba że uda się jej coś wymyślić, by temu zapobiec.

Słyszając trzeszczenie krzaków, jednoróg uniósł łeb, lecz bez oznak przestachu. Wkrótce przekonała się czemu - mianowicie dołączył do niego... do niej jej ogier. Teraz Renie zagrażało więcej niż podwójne niebezpieczeństwo. Taka para nie tolerowała na swym terytorium niczego, co mogłoby stanowić potencjalne zagrożenie.

Nie była w stanie się poruszyć, by obudzić Lorryna. Nie ośmieliła się też przesunąć, żeby samej wziąć broń. Nie dysponowała silną magią...

“... a może pomniejszą...?”

To była jedyna “broń” w jej żalonym arsenale, ta umiejętność postępowania z ptakami i innymi zwierzętami. Na próbę sięgnęła do umysłu jednego z alikornów swoją siłą magiczną, stosując najdelikatniejszy dotyk.

“Jestem twoim przyjacielem. Nigdy was nie skrzywdzę. Mam dobre rzeczy do jedzenia i wiem, gdzie trzeba cię podrapać”.

Klacz zastrzygła uszami, a jej towarzysz uniósł nieco łeb, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

“Jestem twoim przyjacielem. Ty chcesz być moją przyjaciółką”.

Po skórze samicy przebiegło drżenie i Rena z nadzieją i obawą obserwowała, jak odprężenie rozluźnia nieco wszystkie jej mięśnie.

“Zostańcie moimi przyjaciółmi; oboje”.

Jej zaklęcia wsączyły się do ich umysłów delikatnie jak szept, zmieniając w nich tylko drobny szczegół - ten instynkt zabójcy, pasję zniszczenia wszystkiego, co mogło okazać się niebezpieczne. Ich mózgi nie były mniejsze niż gołębia czy wróbla, było więc nad czym pracować. Na pół przymknęła oczy, obserwując ich, gdy jej magia wplatała się w ich istotę, uspokajając zbyt napięte nerwy, łagodząc napływ natychmiastowych, gorących emocji.

Ogier zrobił ostrożny krok w jej kierunku. Rena sięgnęła ostrożnie do pakunku za sobą i wyjęła kawałek chleba, przełamując go na połowę. Jednorogi niemal nie zareagowały na jej ruchy, zastrzygły tylko lekko uszami.

“Mam dobre rzeczy do jedzenia”. Wyciągnęła do nich zapraszająco obie ręce, w każdej trzymając po kawałku chleba. Nigdy dotąd nie spotkała konia, który oparłby się takiemu poczęstunkowi.

Nozdrza ogiera rozszerzyły się, kiedy złapał w nie woń chleba i odepchnął na bok klacz, wysuwając się do przodu. Utkwił wzrok najpierw w niej, a potem w chlebie trzymanym przez nią na wyciągniętej dłoni.

“Zrobię dla was więcej dobrych rzeczy do jedzenia”. Starając się dotrzeć do ich

umysłów, by je obłaskawić, nie mogła jednocześnie rzucać innych zaklęć, lecz jeśli to pierwsze zadanie się powiedzie, będzie mogła zamienić trawę i liście w odpowiedni dla nich poczęstunek.

“Chodźcie do mnie, chodźcie i pomóżcie mi, a ja dam wam słodkie rzeczy do jedzenia. Będzie wam ciepło i sucho, znam też wszystkie miejsca, gdzie należy was drapać. Nie będą was już nigdy gryzły owady”. Dokładnie rzecz biorąc, nie przesyłała swych myśli do ich umysłów, ani nie mogła wyczuć ich myśli tak, jak to robił Lorryn, lecz jej zaklęcia niosły obietnice, które im składała i w jakiś sposób pozwalały im je zrozumieć. To, wraz z niewielkimi łagodzącymi zmianami, które wypracowała, było wszystkim, czego potrzebowała.

Ogier podjął wreszcie decyzję, a w zasadzie to Rena pomogła mu ją podjąć. Ruszył szybko naprzód, z klaczą idącą krok w krok za nim, i podszedł spokojnie do krawędzi szałas. Zgiął długą szyję i dotykając aksamitnym pyskiem wnętrza jej dłoni, wziął kawałek chleba, przy czym jego ostre kły musnęły tylko jej skórę. Po chwili klacz zrobiła to samo.

Kiedy zjadły chleb, stały jeszcze przez chwilę, wpatrując się w nią intensywnie. Nadal jeszcze mogła je stracić. Wprawdzie już jej nie zaatakują, ale może je stracić, gdy przestanie oddziaływać na nie magią. Może się zdarzyć, że po prostu sobie odejdą, a ona nie będzie w stanie nic na to poradzić. Jej moc magiczna nie była przymuszająca - albo będą chciały jej służyć, albo nie.

Wycofała się z ich umysłów. Zrobiła wszystko, co mogła. Jeśli mają zamiar uciec, to zrobią to teraz.

Sapnąwszy, ogier podkulił długie nogi i ułożył się u jej stóp. Klacz zrobiła to samo, umieszczając łeb na kolanach Reny. Podniosła na dziewczynę oczy, które były teraz bardziej brązowe niż pomarańczowe i czekała na obiecane drapanie.

Rena wyciągnęła rękę i zaczęła na próbę drapać skórę wokół nasady rogu, przypuszczając, że jest to miejsce, do którego nie mogą same dosięgnąć. Sierść jednoroga była tak miękka, jak wyglądała, bardziej jedwabista w dotyku od końskiej i dłuższa. Nie minęła chwila, a ogier też wyciągnął łeb po swoją porcję pieszczot.

Wreszcie, kiedy obydwie miały już dosyć drapania wokół rogu, pod brodą i za uszami, Rena zajęła się liśćmi, które dzięki jej zaklęciom stawały się słodsze i bardziej miękkie. Jednorogi łapczywie pożerały te nowe smakołyki, dopóki najbliższe otoczenie szałas nie zostało ogołocone z liści, a ich brzuchy całkowicie napełnione.

Potem już obydwie ułożyły łby na kolanach Reny i spały po obu jej stronach, jakby były parą ogromnych, rogatych psów.



Taki właśnie widok ujrzał zdumiony Lorryn, kiedy się obudził.

- Jesteś pewna, że zechcą nas nieść? - spytał niedowierzająco.

Nie trafiała jakoś do niego myśl, że ma im zaufać. Gdyby nie sparaliżowało go zdumienie, to próbowałby je zabić natychmiast, kiedy otworzył oczy. Tylko zapewnienia Reny, że je “odmieniła” sprawiły, że im zaufał, choć z pewną rezerwą. W końcu elfi lordowie od wieków próbowali “odmienić” Jednorogi, tak żeby mogły stać się użyteczne, więc jak Renie mogło się udać to, co im się nie udało?

“No, ale oni nie prosili o pomoc kobiet, prawda? Jasne, że nie. Kobieca magia jest słaba i bezużyteczna. Tak bezużyteczna, że aż uchroniła go od śmierci na zapalenie płuc”. Rena była dziś źródłem nieustających niespodzianek.

W tej chwili Jednorogi naprawdę zachowywały się jak oswojone. Pieścił je i drapał w myśl wskazówek siostry, a one reagowały równie miło jak wszystkie konie, z którymi miał do czynienia. Po raz pierwszy w życiu miał okazję dotknąć żywego rogu - okazało się, że jest ciepły pod jego dłonią.

Rena wzruszyła ramionami, odpowiadając na jego pytanie.

- Na tyle pewna, na ile w ogóle można być czegokolwiek pewnym. Nie oczekuj jednak, że będą się zachowywać jak wytresowane konie. Nie ścierpła wędzidła ani uzdy i same wybiorą kierunek podróży, ale za to z łatwością uniosą nasz ciężar na grzbiecie. Zrobiłam próbę z moim pakunkiem i wcale nie zwróciły na to uwagi.

Poklepała klacz po grzbiecie - zwierzę nawet nie drgnęło. W słowach i zachowaniu Reny pojawiła się pewność, której jeszcze wczoraj nie było.

Dało to Lorrynowi do myślenia. W ciągu minionego dnia jego siostra rozkwitła w takim stopniu, że ledwo ją poznawał. Nie tak dawno marzył, żeby wykazała się chociaż odrobiną charakteru i przestała być dla niego takim ciężarem. Cóż, może był to dowód na słuszność starej przestrogi, żeby być ostrożnym ze swymi życzeniami. Potrzeba było aż tego, żeby odnalazła samą siebie.

Ale uwierzyć, że jest w stanie oswoić jednoroga? Czy ewentualne korzyści warte będą podjęcia takiego ryzyka?

- Cóż, one są znacznie szybsze od nas i nie zostawią odcisków butów - myślał głośno.

- Chociażby dlatego warto zaryzykować, nawet jeśli będziemy musieli podążyć w kierunku, który one wybiorą. Poza tym, nigdy w życiu nie słyszałem o alikornach wdzierających się na zamieszkałe tereny, więc przynajmniej nie grozi nam, że skierują się ku posiadłości jakiegoś elfiego władcy. Jeśli jesteś pewna, że nie zwrócą się przeciwko nam, to znaczy...

Nic nie mógł na to poradzić; te pomarańczowe oczy wydawały się łagodne, ale czy

takie pozostaną? Ich rogi były długości jego ręki, ostre jak dzida, a słyszał, że nawet źrebięta wiedziały, jak się nimi posługiwać. Jeśli dodać do tego kły i szpony...

- Jestem pewna - odpowiedziała Rena stanowczo. - Raz oswoiłam nawet dzierzbę, a ona miała znacznie mniej rozumu i była bardziej złośliwa od nich. Umieję to robić, Lorrynie, jest to jedyna rzecz, której jestem całkowicie pewna.

Trzeba przyznać, że wyczyniała cuda z ptakami zapełniającymi jej ogród.

- No dobrze.

Podszedł do ogiera, większego z tej dwójki, i ostrożnie położył dłoń na jego kłębie. Zwierzę nawet nie podniosło oczu znad sterty trawy, którą Rena dla nich ściągnęła i zamieniła w smakołyk. Wolną ręką podniósł pakunek, by ocenić jego ciężar. Czy jednoróg rzeczywiście zniesie ciężar jego i bagażu?

- Najpierw załaduj na niego pakunek - poradziła Rena. - Tuż powyżej kłębu. Potem powoli na niego wsiądź. Staraj się nie wykonywać żadnych ruchów, które mogłyby go wystraszyć.

Nie zapowiadało się to zbyt łatwo, szczególnie bez siodła. Starał się postępować zgodnie z jej instrukcjami, podczas gdy ona umieszczała własny bagaż na grzbiecie kłaczki. Pakunki uformowali na kształt wałków z płaskim miejscem pośrodku i dobytkiem równo rozmieszczonym po obu jego stronach. To on wpadł na pomysł, by nadać im kształt jak najbardziej zbliżony do juków. Utrzymanie się na oklep na grzbiecie tych wierzchowców będzie dostatecznie trudne; dokonanie tego z pakunkami przytroczonymi do pleców byłoby chyba niemożliwe.

Ogier spojrzał w górę, wygiął szyję tak, że mógł się przyjrzeć bagażowi, po czym powrócił do jedzenia.

Lorryn położył obie dłonie na jego gorącym grzbiecie, tuż za pakunkiem. Pocieszył się, że będzie to przypominało jedno z ćwiczeń, które często wykonywał, tyle że w nieco zwolnionym tempie. Obawiał się tylko, czy jego ręce to wytrzymają, bo zapowiadało się, że będzie musiał naprawdę wysilić mięśnie.

Wywindował się w górę za pomocą samych rąk, bardzo powoli, po czym starając się pochylić jak najniżej nad grzbietem zwierzęcia, przełożył jednocześnie nogę nad jego zadem. Przeżył chwilę strachu, gdy jednoróg lekko podskoczył i wzdrygnął się, jakby poczuł jego ciężar. Po chwili jednak zwierzę znów stanęło spokojnie i mógł usadowić się na swoim miejscu, szczęśliwy, że uczył się jeździć na oklep.

Rena też już siedziała na swoim wierzchowcu. Wyglądała przy tym niezwykle czarująco, szczególnie w obecnych okolicznościach. Robiła wrażenie bardziej ożywionej niż

kiedykolwiek: policzki jej pokrywał delikatny, różowy rumieniec, zielone oczy błyszczały, a nawet byle jak obcięte włosy wyglądały o wiele lepiej w nieporządnym puklach wijących się wokół twarzy, niż kiedy były splecione i ozdobione klejnotami oraz wstążkami. Wielka szkoda, że wszyscy jego tak zwani “przyjaciele” nie mogli jej teraz zobaczyć - nigdy więcej nie nazwaliby jej nieciekawą. Rena była zdecydowanie w swoim żywiole. Wolność najwyraźniej jej służyła.

- Będziemy musieli poczekać, aż skończą jeść - poinformowała go. - Potem skierują się tam gdzie podążały, kiedy je przywabiliśmy. - Przechyliła głowę na bok. - Czy masz w tej chwili narzucone złudzenie? - spytała, całkowicie go zaskakując zmianą tematu.

Ze zdumieniem stwierdził, że faktycznie ma - najwyraźniej stało się to jego drugą naturą.

- Nie pamiętam już chwili, kiedy go na sobie nie miałem. Nie rozstawałem się z nim nawet podczas snu.

- Czy mogłabym zobaczyć, jak wyglądasz bez niego?

Zastanowił się nad jej prośbą i wzruszył ramionami.

- Czemu nie.

Skupił się, by rozproszyć otaczające go złudzenie i dostrzegł po twarzy siostry, że nie była zbyt zadowolona z ujrzanego efektu.

Nie mógł opanować uśmiechu na widok reakcji, której się poniekąd spodziewał.

- Przepraszam, siostrzyczko. Żadnych kłów, potężnych mięśni, żadnych rogów. Najlepszym i najłatwiejszym do utrzymania złudzeniem są uwypuklenia lub drobne zmiany tego, co dała natura.

Przechyliła głowę na jedną stronę jak ptaszek i zmierzyła go uważnie wzrokiem pod różnymi kątami, zanim odpowiedziała.

- Włosy masz o wiele bardziej żółte niż ktokolwiek, kogo widziałam, poza ludźmi - odezwała się w końcu. - Uszy bardziej zaokrąglone i mniejsze. I jesteś nieco bardziej muskularny. Lecz nadal jesteś Lorrynem. Nadal poznałabym cię wszędzie.

Skłonił się żartobliwie.

- Racja, trafiłaś w sedno. Podejrzewam, że matka poddała mnie działaniu niewielkiej magii, kiedy byłem dzieckiem, żeby ułatwić mi potem noszenie iluzji, na przykład rozjaśniła mi włosy i dopilnowała, żebym nie wyrósł na solidnie umięśnionego gladiatora. Ale...

W tym właśnie momencie ogier skończył ostatnią garść trawy i bez żadnego ostrzeżenia przeszedł z bezruchu w szybki marsz, kierując się na południe, a klacz ruszyła za nim. Potem gwałtownym zwrotem skoczył na ścieżkę wydeptaną przez jelenie, co zmusiło

Lorryna do walki o odzyskanie równowagi.

Przyłgnał do śliskiego grzbietu, marząc o tym, by zwierzę pozwoliło sobie założyć chociażby jakiś pas wokół brzucha, dzięki czemu miałyby się czego uchwycić. Byłoby to nie do pogardzenia, jeśli jednoróg miał zamiar nadal ruszać z miejsca bez żadnego ostrzeżenia!

- Idą w kierunku, w którym chcieliśmy się udać! - krzyknęła za jego plecami Rena, niezwykle zadowolona.

Ona nie została całkowicie zaskoczona.

- Ale poruszają się o wiele szybciej, niż się spodziewałem! - wykrzyknął, gdy ogier przeszedł z szybkiego kroku na jeszcze szybszy. Wprawdzie nie był to kłus, ale prędkość była doń zbliżona.

Na szczęście niezależnie od tego, jak by nazwać ten krok, jednorozec poruszał się bardziej płynnie niż konie, których dotąd dosiadał, a sądząc po tym, jak nastawił uszy, unióśł głowę i ogon, mógł biec tak przez cały dzień. Jeśli tak, to nic poza magią nie mogłoby lepiej im się przysłużyć, by uciec przed niebezpieczeństwem. Poza magią albo smokami.

- To jest niesamowite - zawołał pełen podziwu. - Nic dziwnego, że jednorogi tak trudno wytropić i upolować! Nikt nigdy nie opowiadał, że poruszają się w ten sposób! Nawet jeśli jakiś pies złapałby ich ślad, to nie zdążyłby ich już dogonić, choć trop wydawałby się świeży. Nigdy w życiu nie jechałem na takim stworzeniu!

- Są wspaniałe, nieprawdaż? - zgodziła się Rena. W jej głosie zabrzmiał smutek. - Chciałabym, żeby mogły zostać z nami, ale sądzę, że zmiany, których dokonałam, nie są tak dogłębne, by przetrwały, jeśli zasmakują polowania. Mam wrażenie, że kiedy raz spróbują krwi, nic ich nie zatrzyma. Ich naturalny instynkt jest bardzo silny, a instynkty w ogóle są najtrudniejsze do wykorzenia.

- W takim razie musimy się postarać, żeby nie miały okazji posmakować krwi - powiedział stanowczo.

Ta ostatnia uwaga sprawiła jednak, że zaczęły mu się w głowie kłębić różne myśli. Miał to w swojej naturze, że niezależnie od powagi sytuacji jakaś oderwana część jego umysłu musiała wszystko dogłębnie analizować. Jego przodkowie hodowali jednorogi jako zwierzęta bojowe; istniała możliwość, że jeśli udałoby się wymazać tę część ich natury oraz wyeliminować zamiłowanie do mięsa, to nabrałyby łagodniejszego charakteru.

“Przynajmniej na tyle łagodnego, aby dziewczęta takie jak Rena potrafiły je oswoić”.

Z pewnością byłoby wspaniałe posiadać takie wierzchowce, piękne i chyste.

“I nie poddające się okiełznaniu” - przypomniał sam sobie incydent, gdy jego ogier wykonał nagły skok nad przeszkodą leżącą w poprzek ścieżki i szarpnięciem pozbawił go

równowagi, tak że musiał nieźle się wysilić, by ją ponownie odzyskać. “Może jednak lepiej się bez nich obejść?” Chwilę później, kiedy uchylił się przed nisko zwisającą gałęzią, zdał sobie sprawę, że jedynym powodem, dzięki któremu nie zostali przypadkiem strąceni z grzbietu, była budowa ich wierzchowców. Ich szyje były tak długie, że łby znajdowały się niemal na jednym poziomie z głowami jeźdźców, a rogi sięgały nawet wyżej. W związku z tym ogier musiał się schylać przed tymi samymi przeszkodami co jeździec, ostrzegając go tym samym, zanim ten zdążył się na coś nadziać. Jednocześnie było oczywiste, że jeśli jednorogi zmęczą się niesieniem jeźdźców, to bez najmniejszego trudu się ich pozbędą. Możliwe, że tylko przekupstwo Reny trzymało je przy nich.

“Kolejny powód, żeby dać sobie spokój z ich udomawianiem”.

Wyruszyli późnym popołudniem. Zanim zapadnie noc, ta wędrówka na grzbietach jednorogów doprowadzi ich bez porównania dalej, niż sięgały ich najśmielsze oczekiwania, kiedy mieli w perspektywie pieszą wyprawę. A na dodatek zmierzali na południe, ku terenom, na których nigdy nie postawił stopy żaden elfi władca; terenom, gdzie najprawdopodobniej udali się czarodzieje i smoki. To przekonanie czerpali z bardziej wiarygodnego źródła niż plotki Myre - taka była umowa między elfimi lordami a czarodziejami.

Dzięki Renie, po upływie zaledwie kilku godzin Lorryn patrzył znacznie bardziej optymistycznie niż rano na ich sytuację. Nie musiał się już martwić, gdzie znajdą pożywienie, gdyż siostra udowodniła, że potrafi zmieniać liście drzew w przysmaki dla jednorogów, więc zapewne równie dobrze może je zmienić w pożywny pokarm dla nich samych. Może niezbyt smakowity i nie nadający się na przyjęcie, ale z pewnością nie miał zamiaru uskarżać się na kucharkę. On może polować, lecz biorąc wszystko pod uwagę, lepiej z tym poczekać, dopóki jednorogi nie pójdą swoją drogą. Dobrą stroną ich sytuacji było to, że potrafił wyczuwać myśli stworzeń, co oznaczało, że powinien być w stanie wyczuć niebezpieczne zwierzęta lub pościg, zanim zbytnio się do nich zbliżą.

Nawet jeśli nie znajdą czarodziejów natychmiast, to potrafią sobie jakoś poradzić!

“Przynajmniej na razie - uprzytomnił sobie, zanim popadł w nieuzasadniony optymizm. - Sprzyja nam to, że panuje lato. Lepiej jednak znajdziemy czarodziejów, nim nastanie zima. Nie mamy prawdziwego schronienia, a trudno będzie wyczarować je w tym pustkowiu, tak by ktoś tego nie spostrzegł i nie poszedł naszym tropem. Nie mam pojęcia, czy Rena potrafi zmienić również zeszlą trawę i sosnowe szpilki w coś jadalnego, a poza tym nie mamy żadnych ciepłych ubrań oprócz płaszczy”.

Zastanawiając się tak nad przyszłymi kłopotami, podświadomie coś zauważył. Mianowicie to, że obecność jednorogów wywierała taki sam wpływ na leśne życie jak

obecność ludzkich czy elfich myśliwych - gdzie przechodziły, tam zapadała cisza. Najwyraźniej ich reputacja dzikich drapieżników nie była wyszana z palca. Z bardzo, bardzo daleka dobiegał śpiew ptaków i chwilami głosy innych zwierząt, lecz tutaj, na jeleniej ścieżce, którą wędrowali, panowała martwa cisza zakłócona tylko głuchym dudnieniem kopyt po nagiej ziemi i wilgotnych liściach.

- Udało nam się tego dokonać, prawda? - odezwała się z niedowierzaniem Rena.

Ogier zastrzygł uszami na dźwięk jej głosu, ale nie zwolnił kroku. Gdziekolwiek biegł, zamierzał dotrzeć tam szybko. Lorryn miał tylko nadzieję, że obydwójce z siostrą będą mieli dość sił, by wytrzymać to tempo.

- Naprawdę nam się udało - odparł miękko. - Uciekliśmy oboje, a ja nie byłbym w stanie dokonać tego bez ciebie. Bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną.

Swego czasu nie był z tego zbyt zadowolony. Zmienił zdanie dopiero, kiedy wysuszyła mu rzeczy. Musiał, niestety przyznać przed sobą, że spojrzał na jej obecność inaczej dopiero wówczas, gdy okazała się mu przydatna.

Skąd jednak mógł wiedzieć, że nie będzie dla niego wyłącznie brzemieniem, kimś, kogo trzeba na każdym kroku ochraniać?

Rena zachichotała.

- Wiesz, niewiele brakowało wczoraj wieczorem, żebym to ja wpadła do twojego pokoju, błagając o pomoc - odezwała się niespodziewanie.

Obrócił lekko głowę tak, żeby móc spojrzeć na nią, nie tracąc jednocześnie z oczu zagrażających mu gałęzi.

- Dlaczego? - spytał. - Ja... ja wiedziałem, że coś się kryje za tym bankietem, który zgromadził chyba wszystkich, lecz nie sądziłem, by miało to coś wspólnego z tobą!

- Nie powiedzieli ci? - Z jej oczu wycierało zdumienie. - Jak mogli ci tego nie powiedzieć? Ojciec pozwolił mi nawet spać do późna!

Skrzywił się.

- Lord Tylar nigdy mi się nie zwierzał, natomiast zawsze zabraniał służbie mówienia mi o czymkolwiek, czemu mógłbym się sprzeciwić. Domyślam się więc, że nie pochwalałbym tego?

- Nie wiem - odparła z wahaniem. - Wczoraj wieczorem zostałam zaręczona z Gildorem.

Słyszając to, omal nie spadł ze swojego wierzchowca.

- Z Gildorem? - wybelkotał. - Z Gildorem, tym bezmózgim cudem? Z Gildorem, który nie potrafi znaleźć swojego tyłka za pomocą obu rąk i mapy? Gildorem, niewiarygodnie

nudnym tępakiem? - Czyżby był jeszcze jakiś inny Gildor, o którym nie słyszał?

- To, co mówisz, z pewnością doskonale charakteryzuje Gildora, którego poznałam - zgodziła się i mrugnęła do niego. - Teraz chyba rozumiesz, czemu tak nalegałam, żeby ci towarzyszyć i dlaczego powiedziałam, że ojciec użyje przymusu, by wydobyć ze mnie wiadomość, dokąd się udałeś! Wolałabym stawić czoła dzikim jednorogom, niż wylądować w kobiecych komnatach Gildora!

Potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy to jest lepsze od poślubienia Gildora - odparował, zastanawiając się jednocześnie, czy narastający w nim gniew z powodu jej oszustwa jest słuszny. W końcu to nie jemu rozkazano poślubić Gildora.

- Proszę, nie wściekaj się na mnie - błagała, kurcząc się pod jego oskarżycielskim spojrzeniem. - To nie było kłamstwo. Gdyby wpadł na pomysł, że wiedziałam coś o tym, z pewnością użyłby wobec mnie przymusu, ale...

- Ale biorąc pod uwagę jego niezwykle "wysokie" mniemanie o kobietach, zapewne nie przeszłoby mu nawet przez myśl, iż byłabyś zdolna do tak sprytnego oszukiwania go. - Raz jeszcze zastanowił się nad tym, biorąc pod uwagę zarówno ogólnie znany strach lorda Tylara przed mieszkańcami, jak i równie dobrze znaną pogardę dla kobiet, i doszedł do wniosku, że dobrze zrobiła, nie podejmując ryzyka. - Wiesz, chyba jednak twoje założenie było słuszne - przyznał, na co twarz jej się rozjaśniła. - On nie zachowuje się rozumnie, gdy w grę wchodzi mieszańcy. Zapewne użyłby przymusu w stosunku do każdej osoby w obrębie posiadłości. Dzięki niech będą Przodkom, że matka jest dostatecznie silna, by mu się oprzeć i dostatecznie inteligentna, by wymyślić coś, co ją oczyści z winy. Jeśli matce uda się sprawić wrażenie, że oszalała z bólu na wieść, iż jestem półelfem, to Tylar nie odważy się jej uśmiercić i obrazić tym samym jej rodu.

Twarcz Reny pokryła się śmiertelną bladością.

- Co się z nią stanie? - szepnęła wstrząśnięta, gdyż najwyraźniej nie przyszła jej do tej pory na myśl rola lady Viridiny w tym wszystkim.

Lorryn pragnął, by jego głos brzmiał bardziej uspokajająco, lecz nie było to łatwe do osiągnięcia na grzbiecie pędzącego jednoroga, spróbował więc chociaż się uśmiechnąć.

- Wszystko jest w porządku, planowaliśmy to już od dłuższego czasu. Matka ma zamiar stworzyć sobie fałszywe i bardzo zamglone wspomnienie na użytek oj... na użytek lorda Tylara... o akuszerce, która podłożyła mnie na miejsce martwo urodzonego dziecka. Nie wiem, czy wiesz, że on zostawił ją samą w posiadłości na czas porodu? Matka pozwoli mu to usłyszeć podczas przymuszającego transu, któremu ją podda. Usłyszy, że akuszerka użyła

swej czarodziejskiej mocy, żeby o tym wszystkim zapomniała. Potem, kiedy Tylar ją obudzi i opowie jej o tym, matka “wpadnie w obłąd z rozpaczy”.

Była to historyjka szyta grubymi nićmi, lecz mąż nigdy nie podejrzewał lady Vindiny nawet o niewłaściwe myśli. Ponadto w obecności trzech członków Rady będzie zmuszony wziąć jej słowa za dobrą monetę.

- Lordowie z Rady będą nalegać, rzecz jasna, by została umieszczona w ochronnej izolacji, lecz to nie będzie takie najgorsze.

Na pewno będzie lepsze niż śmierć. I zapewne lepsze niż ciągły kontakt z irracjonalnymi kaprysami męża i jego okrutnymi sztuczkami.

Mimo to Reną wstrząsnęły dreszcze.

- To oznacza, że będzie zamknięta w swym buduarze, a niewolnicy będą ją śledzić dzień i noc - odparła. - Ja bym zwariowała. Przypuszczam jednak, że to lepsze niż...

“Lepsze niż ewentualna alternatywa”.

- Rada jej uwierzy - zapewnił ją, tym razem całkowicie o tym przekonany. - Odkąd pojawiła się Zguba Elfów, wszędzie widzą mieszkańców, zarówno pod swoimi łózkami, jak i w sprawach, które wypadają nie po ich myśli. Jestem przekonany, że wykorzystają ten nonsens z podmianą przy urodzeniu do wykazania, w jaki sposób Dyran skończył z półelfemjako swoim dziedzicem, nie mając nawet o tym pojęcia.

Rena rozjaśniła się nieco.

- Och, zapomniałam o tym. Faktycznie, oni będą chcieli w to uwierzyć, a kiedy tak się stanie, to i ojciec będzie musiał to zaakceptować.

- Bardzo możliwe - zgodził się. - A matka jest dostatecznie mądra, żeby to wszystko przeprowadzić. - Prychnął. - Całe szczęście, że nie mają umiejętności odczytywania myśli, tak jak czarodzieje.

- Trzeba w takim razie mieć nadzieję, że nie znajdą jakichś półelfów na swe usługi - trzeźwo stwierdziła Rena. - Wiesz, wierzę, że matce nic się nie stanie.

- A ty przynajmniej nie będziesz musiała poślubić Gildora- idioty - dodał szybko Lorryn i otrzymał w odpowiedzi nikły uśmiech.

- Tak. - W tej chwili spadł na nią deszcz kropli z gałęzi, pod którą przejeżdżała. Kiedy się osuszyła, jej twarz nabrała koloru, a na ustach pojawił się prawdziwy uśmiech. - I zanim spytasz, chcę cię zapewnić, że jedzenie liści w rozbrzmiewającej wyciem dziczy jest znacznie, znacznie lepsze od tego!



## ROZDZIAŁ 6

Kalamadea i Keman wrosli w ziemię jak para zupełnie zwyczajnych półelfów, a nie niezwykłych, posiadających zdolność zmieniania kształtu smoków. Co im się stało?

“Zrób coś! - Shana z wściekłością odezwała się w myślach do Kalamadei. - Zmień kształt! Walcz z nimi!” Przecież już dawno powinien wzbić się w niebo!

Kalamadea jednak nie zrobił nic, tylko wpatrywał się w nią.

“Lashana, ci ludzie nie obawiają się magii i każdy z nich ma w ręku bardzo ostrą dzidę, która - pozwól sobie powiedzieć - na pewno przebije smoczą skórę. Uważam, że zmienianie kształtu w tej chwili byłoby bardzo głupim pomysłem, gdyż oni nie zawahają się przed użyciem swych włóczni. Czy potrafisz wymyślić coś bardziej konstruktywnego?”

Wysilała się jak mogła, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Nawet smoki potrzebują burzy, by przywołać z nieba pioruny, a pogoda nie zamierzała wyświadczyć im takiej przysługi. Być może smoki mogłyby wykorzystać swą zdolność kształtowania skał do zmiękczenia gruntu pod stopami napastników, lecz każdy zwinny wojownik zdąży uskoczyć, zanim wpadnie w taką pułapkę. A jeśli chodzi o wzbicie się w niebo - cóż, nawet smok potrzebuje czasu, by zmienić kształt. Ci wojownicy z pewnością nie będą tylko beczynnienie się przyglądać.

Wyglądało na to, że poddanie się jest jedynym wyjściem. W końcu ci ludzie nie zemścili się za magiczny atak dwójki czarodziejów.

Shana podniosła się powoli z podniesionymi rękami, licząc na to, że ten gest poddania się jest powszechnie znany. Mero i dwa smoki poszły za jej przykładem.

Była to z pewnością słuszna decyzja, gdyż wojownicy odprężyli się nieco, choć nie opuścili włóczni ani tarcz. Wszyscy stali przez chwilę, wpatrując się w siebie wzajemnie.

Z bliska okazało się, że powierzchowność otaczających ich ludzi jest uderzająca. Ciemna skóra nie była efektem używania kosmetyków czy barwników, lecz ich naturalną cechą. Wyjątkowo piękne zbroje były starannie wykonane przez znakomitych rzemieślników. Każdy z nich miał pancerz, luźne spodnie z lekkiego, ufarbowanego na jasny kolor materiału oraz wysokie, filcowe buty. Shana zastanawiała się, jak ona i jej przyjaciele wyglądają w oczach tamtych.

Wreszcie jeden z wojowników odezwał się bezpośrednio do Shany, mówiąc coś bardzo powoli w trudnym, melodyjnym języku. Sądząc po intonacji, było to pytanie. Shana zerknęła na Kalamadeę, który wzruszył ramionami.

- Nie jest to żaden ze znanych mi języków - powiedział cicho.

Shana obróciła się więc do człowieka, który do niej przemówił, i wykonała ostrożnie przeproszający gest.

- Przykro mi. Obawiam się, że nie mówimy waszym językiem.

Wojownik mruknął coś, tonem przekazując swój zawód, i po krótkiej naradzie z towarzyszami pokazał końcem dzidy wozy znajdujące się poniżej. To było zupełnie jasne. Chciał, żeby zeszli do wozów, nie robiąc im żadnych więcej trudności.

“Myślę, że lepiej zrobić to, czego on chce, Shano - rzekł niepewnie Mero. - Może potem będziemy mieli okazję się wytłumaczyć”.

Shana skinęła głową, gdyż po prostu nie było innego wyboru, po czym obróciła się i podążyła w dół w kierunku, który jej wskazano. Swoje rzeczy zostawiła na ziemi, w miejscu, gdzie je upuściła. Za chwilę pozostali ruszyli za nią. Zerknęła do tyłu i ujrzała, że dwaj wojownicy pozbierali porzucone bagaże i położyli je na grzbiety byków, zanim ich dosiedli.

Wszyscy wojownicy ruszyli za więźniami na swoich bykach.

Shana doszła do wniosku, że nie warto ryzykować przy tych dziwnych wierzchowcach, próbując ucieczki. Byki to wprawdzie nie konie, ale miała już okazję przekonać się, jakie to zwinne zwierzęta i wiedziała, że na krótkim dystansie człowiek nie jest w stanie ich prześcignąć.

Schodząc z pagórka czuli na sobie zaciekawione spojrzenia mijanych osób, lecz nikt się nie zatrzymał, by spytać o cokolwiek wojowników, którzy ich prowadzili.

Okazało się, że ciemnoskórzy ludzie mają bardzo prosty sposób eskortowania więźniów. Zostali podprowadzeni do jednego z wozów, który natychmiast się zatrzymał. Z jego wnętrza wyciągnięto zestaw żelaznych obręczy z łańcuchami i wszyscy zostali przyczepieni za szyje do tyłu wozu. To było wszystko, ale okazało się bardzo skuteczne. Obroże były zbyt solidne, by można je było złamać, ich zamknięcia zbyt skomplikowane, by Shana lub Mero byli w stanie je otworzyć, a na dodatek stwierdzili ku swemu zdumieniu, że elfia magia zupełnie na nie nie działa. Szczęśliwie nadal mogli porozumiewać się myślami, lecz poradzenie sobie z obręczami przekraczało ich możliwości.

Woły poruszały się wprawdzie powolnym, lecz jednostajnym krokiem; po prostu w ogóle się nie zatrzymywały. Okazało się, że jest to całkiem skuteczna metoda, by uniemożliwić im sprawianie kłopotów. Mogli bez trudu dotrzymać kroku wołom, ale tylko pod warunkiem, że nie próbowali robić nic innego. Shana i Mero byli zupełnie nie przyzwyczajeni do takiej wędrówki, gdyż nawet wyruszając na zwiady, robili częste postoje. Tak więc zanim dzień dobiegł końca i nomadowie zatrzymali się, by rozbić obóz, jeńcy byli

już kompletnie wyczerpani i prawie nie czuli nóg.

W innych okolicznościach Shana z pewnością z podziwem obserwowałaby sprawność przygotowań koczowników. Wozy zostały ustawione w kilka okręgów, a ich koła zablokowane. Woły wyprężono i odprowadzono do stada. W miejscach przeznaczonych na ogniska wycięto darń i oczyszczono je do gołej ziemi. Wszystko to zostało wykonane niemal bez wysiłku, jak codzienna krzątania. Kiedy tylko obóz został założony, ludzie rozeszli się do swych normalnych obowiązków: noszenia wody, rozpalania ognia, gotowania i wielu innych.

W zaistniałej sytuacji Shanę niewiele obchodziły czynności ciemnoskórych, zbyt była zajęta rozkoszowaniem się tym, że siedzi wreszcie na trawie i może rozetrzeć bolące stopy i łydki. "Mam nadzieję, że ktoś o nas pamięta i przyniesie nam jedzenie i wodę" - pomyślała ponuro. Prawdę mówiąc, ona i Mero mogli sprowadzić jedno i drugie za pomocą magii, a przynajmniej miała nadzieję, że nadal mogą. Byłaby to paskudna sytuacja, gdyby okazało się, że żadna ze znanych przez nich magii już nie działa. Nie uważała jednak tego za rozsądne, aby udostępnić tym ludziom poznanie wszystkich ich możliwości, w każdym razie jeszcze nie teraz.

Do zachodu słońca brakowało mniej więcej godziny i wkrótce stało się jasne, że nikt się do nich nawet nie zbliży bez pozwolenia kogoś z władzy. Ludzie zerkali na nich ukradkiem, ale nikt nie tracił czasu, żeby się specjalnie gapić ani nie przerywał wykonywanej właśnie czynności. Shana zaczęła się zastanawiać, czy mają tu być pozostawieni przez całą noc, przyczepieni łańcuchami jak psy do tylnej części wozu. Wkrótce okazało się jednak, że jej obawy były niepotrzebne. Wojownicy, którzy ich pojмали, nadal się nimi zajmowali. Sześciu spośród nich ukazało się właśnie w prześwicie między dwoma wozami i ruszyło zdecydowanie w ich kierunku. Cała czwórka na wszelki wypadek podniosła się na nogi, a wojownicy równie na wszelki wypadek otoczyli ich ciasnym pierścieniem.

"Więc jednak przypuszczają, że możemy być niebezpieczni. Chciałabym tylko wiedzieć, czy to dla nas dobrze czy źle".

Jeden z tych ludzi - Shana sądziła, że może to być dowódca oddziału, który ich pojmał - odczepił wszystkie cztery łańcuchy i pomaszerował z więźniami, jakby byli jego pieskami, które wyprowadza na spacer. Pozostałych pięciu wojowników postępowało za nimi, trzymając w pogotowiu dzidy, które zapewniały im posłuszeństwo więźniów. Ten z łańcuchami nie próbował jednak ciągnąć ich zbyt szybko za sobą, czy dręczyć w jakikolwiek inny sposób. Wszystko odbywało się niezwykle sprawnie i bez okrucieństwa.

Obóz wypełniały dźwięki i krzątania normalne dla każdego większego skupiska

ludzkiego, chociaż język, którym rozmawiano, brzmiał dla Shany jak najzwyklejszy bełkot. Dzieci ubrane w krótkie tuniki z tego samego co spodnie wojowników, jasno zabarwionego materiału, wrzeszczały piskliwymi głosami i bawiły się w niezrozumiałe dla niej gry, polegające głównie na krzyku i bieganiu. Kobiety w luźnych, wygodnych sukniach lub owiniętych wokół bioder spódnicach i mężczyźni w szerokich spodniach przechodzili obok z różnymi ładunkami, zerkając na jeńców szeroko otwartymi z ciekawości, brązowymi oczami. Kobiety piastowały niemowlęta, mieszały coś w kociołkach zawieszonych nad ogniem lub wykładały na dwór pościele i ubrania do przewietrzenia. Młodzieńcy objali się bezczynnie, popychając się wzajemnie i śmiejąc, a dziewczęta udawały, że nie zwracają na nich uwagi i chichotały, zasłaniając twarze dłońmi. W samym obozie nie było zwierząt; nic nie wskazywało na to, by ci ludzie mieli jeszcze inne stworzenia oprócz bydła. Shanie wydało się to bardzo dziwne, spodziewała się, że będą mieli chociaż psy.

Im bardziej zbliżali się do środka obozowiska, tym większe, bardziej wyszukane i bogaciej zdobione stawały się namioty na wozach. Wreszcie dotarli do centrum - czterech wozów najwspanialszych ze wszystkich mijanych. Były tak ogromne, że potrzeba było chyba zaprzęgu dziesięciu lub dwunastu wołów, żeby je tu przyciągnąć. Przypuszczalnie należały do przywódców tej grupy.

Shana zauważyła, że te cztery namioty zostały ustawione według stron świata; ich zaprowadzono do tego, który wyznaczał wschód. Z boku wozu znajdowały się bardzo pomysłowe, składane schodki, które pozwalały wejść do namiotu. Mężczyzna trzymający końce ich łańcuchów wspinał się po stopniach, prowadząc ich za sobą. Pozostała piątka wojowników czekała obok wozu. Platforma wozu była szersza od podstawy namiotu, tak że tworzyła wokół niego rodzaj werandy na tyle szerokiej, że zmieściła się cała ich czwórka wraz z wojownikiem trzymającym łańcuchy, który stał na odległość ramienia. Zatrzymał się przed wejściem i coś krzyknął. W odpowiedzi ktoś od wewnątrz podniósł klapę namiotu i wszyscy wmaszerowali do środka.

Namiot wydawał się bardzo ciemny po ostrym słońcu na zewnątrz, i minął jakiś czas, zanim oczy Shany przystosowały się do panującego tu półmroku. Kiedy to nastąpiło, stwierdziła, że przyprowadzono ich przed oblicze starszego mężczyzny, którego krótko przycięte włosy przyprószone były siwizną, a liczne blizny świadczyły o tym, że walka nie była mu obca. Miał raczej kwadratową, surową twarz i był muskularny jak gladiator, chociaż podobnie jak gladiatorzy, którzy zrezygnowali z kariery, zaczynał się zaokrąglać w okolicach brzucha. Wodza zdobił żelazny naszyjnik, metalowe ochraniacze na dłoniach i pasek wykonany z płaskich, okrągłych płytek żelaznych z ręcznie połączonych. Wszystkie te ozdoby

były wyszukanie wygrawerowane w abstrakcyjne wzory. Kłujący w oczy szkarłat jego spodni klócił się raczej z pomarańczem i zielenią poduszek, na których spoczywał. Po każdej jego stronie stał wojownik o twarzy nieruchomej jak posąg, a dwóch innych stało przy wejściu.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę przyglądał się badawczo całej czwórce, co dało Shanie okazję do równie długiego studiowania ich otoczenia. Rozglądała się całkiem otwarcie, tak jakby znalazła się tu z własnego wyboru. Wnętrze namiotu zawieszono było aplikowanymi draperiami, podłoga pokryta wspaniałymi, ręcznie tkanymi dywanami. Na jednych i drugich powtarzał się ten sam abstrakcyjny motyw, który Shana widziała w całym obozie. Z góry zwieszały się lampy, jednak nie były jeszcze zapalone. Zaczęła się zastanawiać, skąd ci ludzie biorą metal, materiał i wełnę do wykonania wszystkich tych rzeczy, gdyż nigdzie nie dostrzegła ani śladu owiec, a koczownicy nie zajmują się raczej eksploatacją kopalń. Z pewnością zdobywali poprzez handel - może z Collenem? Wprawdzie nie wspominał on o czarnoskórych pasterzach, lecz po co miałby to robić? Nie miał powodu ujawniać jej wszystkich swych tajemnic, szczególnie jeśli zamierzał sprzedawać tym ludziom towary czarodziejów. Gdyby jej przypuszczenie było słuszne, to może ci ludzie zmierzali właśnie na spotkanie z nim? Miał on przecież wracać w dół rzeki, kiedy zakończy swe transakcje z niewolnikami.

Miała taką nadzieję. Może jemu uda się przekonać tych wojowników, żeby puścili ich czwórkę wolno, a jeśli nie, to chociaż uzgodnić okup.

Wódz i wojownik, który ich schwytał, rozmawiali przez dłuższy czas, używając wielu gestów i sygnałów migowych. Potem wódz pogrążył się na chwilę w milczeniu, które nagle przerwał, warknąwszy komendę. W odpowiedzi rozchyliły się znajdujące się za nim zasłony i wszedł jeszcze jeden wojownik, prowadząc ze sobą dwóch więźniów - w obrozach i na łańcuchach.

Kiedy Shana ich ujrzała, oczy niemal wyskoczyły jej z orbit ze zdumienia, a reakcja pozostałych była podobna.

“Elfowie? Trzymają elfów jako więźniów?”

Na to wyglądało, gdyż trudno pomylić elfów z kimkolwiek innym. Szczupłe ciała, porcelanowa biel skóry, złoto-białe włosy, długie, spiczaste uszy i te zielone oczy... ci więźniowie nie mogli być nikim innym niż elfami. Obydwaj mieli na sobie odzież swoich zwycięzców i nie było widać na nich żadnych oznak złego traktowania, chociaż Shana nie mogła się zdecydować, czy to dobry znak czy nie.

Lecz co tu robili elfowie, a co ważniejsze, jak tym ludziom udało się ich schwytać?

“Może tak samo jak nas? Lecz czy to możliwe, by tych dwóch wyruszyło w te okolice

bez oddziału gwardii ludzkich wojowników?”

Jeden z więźniów całkowicie ich zignorował, lecz oczy drugiego szeroko się otworzyły, kiedy ich ujrzał.

- O, Przodkowie! - wykrzyknął. - Powiedzcie, że nie jesteście tymi, których, wydaje mi się, że widzę! - Potrząsnął drwiąco głową. - Mniejsza o to. Nie możecie być nikim innym niż mieszańcami. Pomyśleć, że przyszło mi...

W tym momencie przerwał mu wódz, warknąwszy ostro jakieś polecenie. Umilkł natychmiast, skłonił się poważnie z wszelkimi oznakami pokory, po czym zwrócił się do Shany.

- Zdaje się, że mam być waszym tłumaczem, czarodzieje - odezwał się ze złośliwym grymasem. - Macie diabelne szczęście; my nie mieliśmy nikogo, kto by nam tłumaczył, więc musieliśmy dowiadywać się wszystkiego w bardziej nieprzyjemny sposób. - Na jego twarzy odbijał się wyraz ironicznego rozbawienia z obrzydzeniem. - Muszę przyznać, choć bardzo niechętnie przyznaję to czarodziejowi, że wy jesteście chociaż na wpół cywilizowani. Minęło już tyle czasu, odkąd widziałem ostatnio cywilizowaną istotę, że gotów jestem zaprzyjaźnić się nawet z niewolnikiem. No, ale do rzeczy. Skłońcie się ładnie przed Jamalem. To wódz tych barbarzyńców, bardzo ważna osoba. A tak przy okazji, oni nazywają siebie Żelaznymi Ludźmi.

Shana i pozostali skłonili się na tyle uprzejmie, na ile pozwalały im obroże i łańcuchy. Widok ten najwyraźniej rozbawił ich tłumacza, natomiast milczący elf nie zwrócił na to żadnej uwagi.

- Możecie nazywać mnie po prostu Kelyan. Moje tytuły, jakie by one nie były, są guzik warte w domu, a tu się w ogóle nie liczą. Mój smętny towarzysz ma na imię Haldor.

Trącił tamtego łokciem; Haldor spojrzał na nich przelotnie i chrząknął.

- Shana, Keman, Mero i Kalamadea - przedstawiła Shana swoją grupę, wskazując na każdego po kolei i obserwując Jamala kątem oka. Przysłuchiwał się temu, a była pewna, że niewiele umyka jego badawczemu spojrzeniu.

- Jamal chce wiedzieć, skąd przybyliście - ciągnął Kelyan. - To jego pierwsze pytanie.

Shana myślała szybko, jak uniknąć mimowolnego doprowadzenia tych ludzi gdzieś w pobliże cytadeli.

- Z północy - odparła krótko, machając ręką w tym kierunku. - Rzeka.

Był to spory kawałek terenu. Odpowiedź więc była na tyle mglista, że nie mogła stanowić użytecznej wskazówki. Z drugiej strony na tyle konkretna, że gdyby okazało się, iż ci ludzie handlują z Collenem, to powinna obudzić jakieś skojarzenie.

Kelyan przetłumaczył, a Jamal przez chwilę rozważał odpowiedź, po czym zadał następne pytanie.

- On chce się dowiedzieć, po co tu przybyliście. - Uśmiechnął się drwiąco. - Zakłada, rzecz jasna, że jesteście szpiegami. On jest wodzem wojennym, podejrzliwość jest częścią jego obowiązków.

Najlepiej trzymać się prawdy.

- Szukamy ludzi, z którymi moglibyśmy handlować - Shana starała się robić wrażenie bystrej i nieszkodliwej. - Nie jesteśmy wojownikami, jeśli nie wierzysz, to obejrzyj nasze ręce, nie ma na nich żadnych blizn ani odcisków od miecza. Zajmujemy się handlem, w ten sposób zdobywamy to, czego potrzebujemy, i stale szukamy nowych ludzi, z którymi można handlować.

“Nie żałujesz sobie, co?” - spytał ją w myślach Kalamadea. Kelyan prychnął z niedowierzaniem, ale przetłumaczył. Jamal wydał pomruk podobnego niedowierzania, po czym powiedział coś długo i skomplikowanie. Kelyan mało się nie zadławił; Haldor wyglądał na niezwykle oburzonego.

- On chce wiedzieć, dlaczego wy, jasnoskóre demony, porzuciliście wojnę na rzecz handlu! Nie do wiary! On bierze was, mieszańców, za pełnej krwi elfów.

Zanim Shana zdążyła się odezwać, Kelyan obrócił się z powrotem do Jamala, wyrzucając słowa z wielką szybkością, najwyraźniej pragnąc równie gorąco jak ona przekonać wodza, że nie są elfami. Ten jednakże nie miał zamiaru dać się przekonać. Nie przestawał pokazywać oczu i uszu Shany i obojętne, co Kelyan mówił, po prostu mu nie wierzył. W końcu potrząsnął głową i wyterkotał serię rozkazów.

- Będziecie uwięzieni razem z nami - powiedział Kelyan z rezygnacją, a Haldor przybrał wyraz jeszcze większego obrzydzenia niż przedtem. - On chce, żeby zobaczył was kapłan Żelaznych Ludzi, a zanim to nastąpi, macie pójść z nami. No i dobrze, przynajmniej będę miał z kim porozmawiać.

Zanim zdążył skończyć, z zewnątrz weszło dwóch wojowników i podniosło ich łańcuchy, żeby wszystkich wyprowadzić. Najpierw zostali zabrani Kelyan i Haldor, a drugi wojownik poprowadził Shanę i jej grupę.

Wspaniały zachód słońca zabarwił zachodnią część nieba kolorami równie żywymi jak ubiory otaczających ich ludzi. Wojownicy zaprowadzili ich do pozbawionego jakichkolwiek ozdób wozu-namiotu znajdującego się tuż za centralnym kołem. Przy wejściu upuścili nagle łańcuchy na ziemię i odeszli, zostawiając całą szóstkę samą.

Haldor obrócił się do wszystkich plecami i wspinał się do namiotu, natomiast Kelyan

nadal wykazywał, że chce z nimi rozmawiać.

- Podnieście łańcuchy - polecił - i wchodźcie do środka. Mamy jedzenie i wodę, a słudzy wodza przyniosą później jeszcze więcej. Niech wam nawet nie przyjdzie do głowy użyć tego jako broni i próbować z tym uciekać - ostrzegł, gdy Shana zważyła łańcuch w rękę.

- Ci ludzie zaprawiają się w walce na łańcuchy od chwili, gdy przestają raczkować. Złapią cię, zanim zdążysz oddalić się o dwa kręgi. Zostawiając cię tutaj, chcieli ci uzmysłwić, że sama odpowiadasz za siebie i że masz swobodę poruszania się w obrębie obozu, lecz jeśli spróbujesz ucieczki, to wierz mi, będziesz tego żałować.

- Brzmi to tak, jakbyś doświadczył tego na własnej skórze - zaryzykował uwagę Mero, gdy Kelyan wspinał się po wąskich schodkach na wóz.

Tamten poczekał z odpowiedzią, dopóki nie znaleźli się wewnątrz namiotu, gdzie Haldor rzucił się na posłanie, pokazując im swoje plecy.

- Powiedzmy, że widziałem, do czego są zdolni. Wnętrze było umeblowane prosto, lecz zdumiewająco wygodnie. Materace, poduszki, stosy koców i dodatkowa pościel w koszach ułożone były pod ścianą okrągłego namiotu. Ze środka zwieszała się lampa, rzecz jasna żelazna, a pod nią w płaskim pojemniku z piaskiem stał kosz z żarem.

Kelyan wziął sobie poduszkę i usiadł na niej, zachęcając ich gestem do pójścia za jego przykładem. Mero jako pierwszy przyjął zaproszenie i usiadł obok elfiego lorda z wyzywającą miną.

- Jesteś bardzo przyjaźnie do nas nastawiony - odezwał się do niego z gryzącą ironią. - Zmusza nas to do zastanowienia się, co się za tym kryje. Normalnie twoja i moja rasa zbyt nie kochają. Ciekaw jestem, jak to się stało, że tu skończyliście.

Kelyan wzruszył ramionami.

- Cóż to ma za znaczenie, czy jesteście czarodziejami czy elfami? Nie ma też znaczenia, kim ja jestem. Ani wy ani ja nie znajdujemy się u siebie. Wszyscy jesteśmy więźniami, więc jeśli macie chociaż połowę mocy, którą wam się przypisuje, to możecie przynajmniej w części uwolnić nas od ciężaru zabawiania tych barbarzyńców.

Haldor chrząknął, lecz pozostał odwrócony plecami.

- Zabawiania? - spytał zdumiony Keman. - W jaki sposób? Nie jesteśmy muzykami, czy czymś w tym rodzaju...

- Pójdziecie z nami później, to zobaczycie - wyjaśnił Kelyan i zwrócił się znów do Mera. - Powiem ci prawdę, bo nie widzę, co bym mógł zyskać, kłamiąc. Obaj jesteśmy bezużytecznymi drugimi synami dworskich pieczeniary. Szczytem naszych możliwości jest tworzenie pięknych złudzeń. Wybraliśmy się na wyprawę w poszukiwaniu czegoś, na czym



moglibyśmy zbić fortunę, i oto co znaleźliśmy. - Wskazał na swoją obrożę i łańcuch.

- Wiążą nas tu już od dziesiątków lat. Nikt nie wie, gdzie jesteście, a nawet gdyby wiedzieli, nic by ich to nie obchodziło.

- Mów za siebie - burknął Haldor, po raz pierwszy otwierając usta.

- Ty możesz sobie żyć, śniąc na jawie o nadciągającej ci na ratunek armii, lecz ja mam lepsze rzeczy do roboty - warknął Kelyan i dalej mówił do Mera: - W tej chwili jestem po prostu szczęśliwy, widząc kogoś z cywilizowanych stron, kogoś, kto może będzie mógł opowiedzieć mi, co się działo w domu podczas mojej nieobecności. - Tu spojrzął przez ramię na Haldora. - Kogoś, kto potrafi rozmawiać w moim języku i ma ochotę to robić. - Jego twarz przybrała teraz łatwy do rozpoznania wyraz tęsknoty.

- Pragnę wieści. Umieram z pragnienia wieści o domu.

- Nie spodobają ci się - ostrzegła go Shana.

Kelyan skrzywił się.

- Może i nie, choć nigdy nie wiadomo. Tyle czasu minęło, odkąd wyjechałem. Jeśli okaże się na przykład, że ten wredny brutal, lord Dyran, został nadziany na róg alikorna albo coś w tym rodzaju, to będę bardzo zadowolony. Przynajmniej w połowie to on jest odpowiedzialny za to, że tu trafiłem.

Na dźwięk imienia Dyra Shana i Mero wzdrygnęli się, co nie uszło uwagi Kelyana, który niespodziewanie ożywił się.

- Znacie go! A więc jednak coś się przytrafiło temu łajdakowi? Co za radość! Mam nadzieję, że to było coś paskudnego.

- Rzeczywiście - powiedziała wymijająco Shana. - To wszystko jest raczej skomplikowane. Opowiadanie tego zajmie sporo czasu.

- Pozwólcie więc, że tylko podelektuję się tą myślą, a wcześniej udzielę wam jeszcze kilku pożytecznych informacji. - Kelyan uśmiechnął się ponownie uśmiechem dziecka obdarowanego słodyczami. - Wiecie co, jak na moich rzekomo najgorszych wrogów, to nawet całkiem polubiłem waszą czwórkę. A teraz do rzeczy. Ci ludzie są tymi, których najstarsze kroniki nazywają grełowymi jeźdźcami, chociaż już od ponad stu lat nie widzieli żadnego greła.

- Aha. - Kalamadea kiwnął głową, zadowolony. - Przypuszczałem, że to mogą być oni. Z pewnością odpowiadają temu, co o nich napisano.

- Na początek naprawdę ważna informacja. Oni posiadają coś, nie mam pojęcia co to może być, co uodparnia ich na działanie magii, więc nie zwracajcie sobie głowy wypróbowywaniem jej na nich. - Widząc skrzywienie Shany kiwnął głową. - Najwyraźniej

sami już to odkryliście?

- I to w niezbyt przyjemny sposób - przytaknęła, rozcierając ręce. - Nie zaatakowali nas w odwecie, więc można powiedzieć, że i tak mieliśmy szczęście.

Zaśmiał się.

- Och, oni żywią głęboką pogardę dla naszej magii. Opowiadali sobie o niej legendy, lecz spotkanie z nami przekonało ich, że historie o potężnych magach są mocno przesadzone. Iluzje nie są w stanie ich zwieść, chyba że jest to złudzenie czegoś, co spodziewali się ujrzeć i nie poświęcają temu zbyt wiele uwagi. - Zastanowił się przez chwilę. - Na przykład, jeśliby któryś tu zajrzał, to mógłbym do upadłego rzucać na siebie iluzję siedzącego tu Jamala. Natomiast, jeśli udałoby mi się zakraść do namiotu Jamala i usiąść na jego urzędowym stołku, to uwierzyliby, że to Jamal, o ile nie przyjrzeliby mi się zbyt dokładnie.

- W związku z tym stworzenie iluzji, że jesteśmy niewidzialni lub że jesteśmy wołami, nie pomoże nam w ucieczce i nie ma nawet co próbować - dokończył za niego Keman.

Przytaknął ruchem głowy.

- Broń magiczna, magiczne strzały i temu podobne, zupełnie na nich nie działają. Obecnie wszyscy oni są niezwykle nerwowi, gdyż znaleźli się na nieznanym terytorium. Normalnie mieszkają setki kilometrów stąd na południe, lecz przez ostatnie pięć lat panowała tam susza i nie ma gdzie wypasać bydła. Musicie zrozumieć, że oni żyją ze swoich stad, niemal wszystko, co jedzą i czego używają, pochodzi od bydła. Nie rozumieją, co spowodowało suszę, więc wymyślili, że duchy przodków rozzłościły się na nich; żadne moje tłumaczenia do nich nie trafiają.

- Mogę więc przypuszczać, że znasz przyczynę suszy? - zaryzykował stwierdzenie Kalamadea.

- Domyślam się - odparł Kelyan z pewnym ożywieniem. - Jeszcze przed moim urodzeniem ten głupiec Dyran zaczął kombinować z pogodą i przekonał innych, żeby też spróbowali. W efekcie nie ma już czegoś takiego jak normalna pogoda. To właśnie doprowadziło do ruiny moją rodzinę. Nasza śliczna, mała posiadłość była tak często zalewana powodzią, że zmieniała się w bagnisko i teraz nie ma tam nic, prócz mokradła i lasu deszczowego.

- Jeśli ktoś z twojej rodziny opowiedział się po niewłaściwej stronie w stosunku do Dyrana, to zapewne nie był to wcale przypadek - wtrącił Mero.

Błysk gniewu w oczach elfa starczył tu za odpowiedź, po czym Kelyan dodał:

- Skoro więc w jednej okolicy spadł taki nadmiar deszczu, to woda musiała zostać zabrana z innego miejsca.

Kalamadea kiwnął głową, lecz nie odezwał się.

- Bardzo ważny jest ten zespół czterech namiotów w środku obozu - wyjaśniał dalej Kelyan. - Ten wysunięty na wschód należy do Jamala, wodza wojennego. Ten od strony zachodniej do arcykapłana Żelaznych Ludzi. Natomiast pod żadnym pozorem nie wchodźcie do północnego i południowego, chyba że zabierze was tam kapłan. Są one poświęcone duchom i będą was bili do półśmierci, jeśli je sprofanujecie. Potem zmuszą was do przejścia przez rytualne oczyszczenie, podczas którego będziecie żałować, że jednak wcześniej was nie zabili.

Mówiąc to, miał tak ponurą minę, że Shana zaczęła się zastanawiać, czy o tym także nie przekonał się na własnej skórze.

W tej chwili w wejściu do namiotu pojawiła się kobieta z płaskim koszykiem pięknie utkany z trawy. Kelyan natychmiast się podniósł i odebrał go od niej, po czym postawił koło nich.

- Zjesz? - zawołał przez ramię do Haldora, siadając. Haldor potrząsnął przecząco głową. Kelyan wzruszył ramionami.

- Twoja strata.

Wskazał im dłonią koszyk zawierający stosik płaskich, białych krążków, paski czegoś, co wyglądało na przyrumienione mięso, cebule, zestaw okrągłych filiżanek, skórzany bukłak i miseczkę z czymś białym.

- To płaskie to jest chleb, no, powiedzmy coś w tym rodzaju, te paski to wołowina, całkiem smaczna, choć trochę twarda. W miseczce jest masło, a w bukłaku świeże mleko. Rano dostaniecie chleb i ser, a do popicia też mleko. - Sięgnął po kromkę chleba, zręcznie zawinął w nią pasek mięsa i cebulę, po czym nalał sobie filiżankę mleka. - Tam na południu robili go z jęczmienia, ale już dawno się skończył. Nie mam pojęcia, jak tu sobie poradzą. Przed suszą jedzenie było o wiele lepsze i bardziej urozmaicone, bo handlowali tam z rolnikami. - Uniósł brwi, patrząc na Shanę, która przerzucała gorący kawałek mięsa z jednej ręki do drugiej. - Przypuszczam, że w tych bzdurach o chęci handlowania z nimi nie ma odrobiny prawdy?

- Cóż - odparła, wkładając wreszcie mięso do chleba i dmuchając na palce, by je ochłodzić - tak się składa, że jest. My, to znaczy czarodzieje, mieliśmy kolejne starcie z elfimi władcami, które tym razem zakończyło się nieco korzystniej dla nas. Zawarty z nimi rozejm ustanowił, że możemy, nie napastowani, udać się w te tutaj okolice i osiedlić się. Mamy pewne towary, które możemy wymienić, a łatwiej jest uzyskiwać rzeczy poprzez handel, niż używać magii, żeby je stworzyć.

“Co prawda niewielu z nas potrafi naprawdę coś stworzyć - dodała w duchu - lecz niech sobie myślą, że umiemy, tak jak wielcy lordowie elfów”.

- Hmm.

Nie powiedział już nic więcej, tylko jadł szybko i zręcznie, po czym popił posiłek mlekiem. Shana poszła za jego przykładem, stwierdzając przy tym, że pożywienie wcale nie było złe, chociaż szybko mogłoby się znudzić.

Kalamadei i Mero posiłek zajął znacznie więcej czasu, co wykorzystała, by wraz z Kemanem zdać elfom relację z wydarzeń, które miały miejsce podczas pobytu Kelyana i Haldora w niewoli.

- Zawsze przypuszczałem, że nie uda im się pozbyć was wszystkich, mieszaińców - skomentował, kiedy przeszli do opowieści o drugiej wojnie czarodziejów. - Zbyt duże było prawdopodobieństwo, że konkubina lub nawet niewolnica pracująca w polu będzie akurat płodna, kiedy jej pan będzie miał na nią ochotę. Zakładałem też, że ewentualny rezultat takiego wypadku będzie zostawiany na skraju lasu lub coś w tym rodzaju. Stale przecież słyszało się plotki o mieszaińcach żyjących w lesie dziko jak wilki. Nie mogę więc powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło.

Był w stosunku do nich tak szczery, że Shana postanowiła odplacić mu tym samym.

- Muszę przyznać, że twój stosunek do nas zdumiewa mnie. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie zachowujesz się jak lord Dyran.

- Bo nie jestem podobny do przekłętego-lorda-Dyrana - odparł gwałtownie. - Niewielu spośród nas, pariasów społeczeństwa elfów, przypomina w czymkolwiek Wysokich Lordów! Czy masz w ogóle pojęcie, co to znaczy być elfem, a przy tym nie mieć prawie wcale mocy magicznej?

Shana milcząco potrząsnęła głową.

- Ja mam - wtrącił cicho Mero. Shana i Kelyan obrócili się, by na niego spojrzeć. - Jakby nie było, większość swego życia spędziłem na dworze Dyrana. Shano, dla elfów podstawą jest to, jak wielką władasz magią. Jeśli masz dużą moc magiczną, możesz mieć wszystko. Jeśli nie... cóż, widziałem niewolników traktowanych znacznie lepiej niż niektórzy spośród rentierów Dyrana.

Kelyan przytaknął z ponurą miną i nawet Haldor przestał ich ignorować i zaczął słuchać.

- Niewolnicy mają przynajmniej ustalone obowiązki - ciągnął Mero. - Nikt się po nich nie spodziewa, że dokonają cudów z niczego, i nie są karani lub ośmieszani, kiedy im się to nie uda. Na niewolników nie zwraca się uwagi, co jest o wiele lepsze niż nieustanna

obserwacja, szczególnie jeśli obserwatorem jest ktoś taki jak Dyran. Byłem raz świadkiem, jak wyznaczył swemu nadzorcy zadanie niemożliwe do wykonania, zmusił go, by pracował do krańcowego wyczerpania, a potem oskarżył go o nieróbstwo i za karę rozkazał mu wydać córkę za mąż za wstrętną kreaturę. Następnego z kolei doprowadził niemal do szaleństwa, po czym kazał odebrać mu żonę i oddać innemu. A przecież niewolnicy mają stosunkowo krótkie życie w porównaniu z elfami. Nieszczęsny rentier może spodziewać się całych stuleci takiego traktowania.

Wyjaśnieniom Mera towarzyszyło przez cały czas potakujące kiwanie głowy Kelyana, który teraz się odezwał:

- Święta racja, mieszańcu... - Przerwał i zwrócił pytająco głowę. - Przepraszam, zapomniałem twojego imienia. Mówiłeś tak cicho...

- Mero - rzucił czarodziej i uśmiechnął się. - Nazywają mnie Cieniem, bo mam wielką wprawę w pozostawaniu niezauważonym.

- Zatem Mero. Tak, masz rację. Znalazłoby się wielu niewolników Dyrana, którzy patrzyliby na mnie z litością w oczach. - Westchnął. - Nie trzeba dodawać, że jest wielu, a przynajmniej było, kiedy po raz ostatni przemierzałem cywilizowane okolice, wielu młodych elfów, którzy byliby zachwyceni, mogąc znaleźć jakiś sposób ograniczenia władzy Wysokich Lordów. A część z nich w głębi serca sympatyzuje z czarodziejami, choć może sami nie zdają sobie z tego sprawy. Prawdę mówiąc, teraz, kiedy z własnego doświadczenia wiem, co to znaczy być niewolnikiem, odkryłem, że lubię nawet ludzi. - Wykrzywił się w kolejnym ze swych ironicznych uśmieszków. - Ale przynajmniej Dyrana spotkał paskudny koniec. Wiedząc o tym, będę spał dzisiaj wyjątkowo spokojnie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w wejściu do namiotu pojawił się jeden z wojowników, dając im przyzywający znak. Kelyan wykrzywił się, wstał i trącił Haldora końcem stopy.

- Dalej, staruszkule - powiedział z rezygnacją. - Czas na nasze występy. Panowie nas oczekują.

Haldor w odpowiedzi mruknął coś pod nosem, podnosząc się, po czym zebrał swój łańcuch i podążył za Kelyanem.

- Chcesz także zobaczyć? - zwróciła się półgłosem Shana do Mera. - Naprawdę muszę się przekonać, co też oni robią. Szczególnie, jeśli po nas będą oczekiwali wykonywania tego samego.

Potrząsnął przecząco głową.

- Ja z tobą pójdę - zaofiarował się Keman.

- Ja zostanę z Merem - rzekł Kalamadea. - Wy dwoje idźcie zobaczyć, a my spróbujemy wymyślić jakiś plan.

Shana nie czekała na dalszą zachętę; uniosła swój łańcuch i pośpieszyła za dwoma elfami z Kemanem deptającym jej po piętach.

Zgodnie z tym, co powiedział jej Kelyan, nikt nie próbował im przeszkodzić w pójściu za elfami, gdyż było oczywiste, że nie będą uciekać. Elfowie nie udawali się daleko, tylko do trzeciego kręgu wozów. Ich celem okazał się namiot, prawdziwy namiot, a nie wóz z namiotem. Podobny był on do tych, których używają kupcy wędrujący z karawanami, tylko o wiele, wiele większy. Pomyślała sobie, że potrzeba było chyba kilkunastu ludzi, żeby go postawić. Kiedy się do niego zbliżyli, dostrzegli kolorowe światełka tańczące na jego ścianach i usłyszeli muzykę, płynącą w spokojną noc. Elfowie weszli do środka, a Shana i Keman za nimi.

Po przekroczeniu progu zatrzymali się tuż przy wejściu, przy podwiązanej klapie namiotu. Wnętrze przypominało namiot Jamala: malowane draperie ozdabiały ściany, na podłodze leżały dywany, a do siedzenia przygotowano wielkie stosy poduszek. Na przeciwległym końcu namiotu znajdowali się muzycy, a w innym miejscu ktoś wydawał jedzenie i napoje. Obsługujący roznosili je zarówno mężczyznom, jak i kobietom, rozproszonym po namiocie. Wielu z nich wyglądało na wojowników, a większość była stosunkowo młoda. Niektórzy siedzieli lub półożeli, jedli, rozmawiali i grali w gry hazardowe. Inni tańczyli w takt muzyki. Większość jednak przesuwała się powoli w kierunku zajętego przez muzyków końca namiotu, gdzie elfowie przygotowywali się właśnie do występu.

- Jak sądzisz, co oni będą robić? - zastanawiała się głośno Shana.

- Nie mam pojęcia - odparł Keman. - Ale powinniśmy spróbować dostać się trochę bliżej.

Ostrożnie przeciskali się przez tłum, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Udało im się dotrzeć do kąta, z którego mieli dobry widok, a jednocześnie nikomu nie przeszkadzali.

Muzycy dokończyli graną właśnie melodię i czekali aż elfowie się usadowią. Zespół składał się z sześciu muzyków: dwóch perkusistów, dwóch z instrumentami strunowymi, jednego z rogiem i jednego z czymś, czego Shana nie potrafiła rozpoznać. Kelyan przyjął wygodną pozycję i skinął na głównego muzyka, tego z rogiem, który w odpowiedzi zaczął nowy utwór. Sam zagrał pierwszą frazę, a pozostali dołączali się po kilku taktach.

Już po chwili Shana rozumiała, dlaczego jeźdźcom tak zależy na utrzymaniu elfów w charakterze niewolników.

Przed ich oczami Kelyan tworzył skomplikowaną iluzję fantastycznych ptaków oraz istot o ciałach wiotkich młodych kobiet i mężczyzn, lecz ze skrzydłami motyli. Kazał im tańczyć wokół siebie nawzajem do taktów muzyki ku wyraźnej uciechu otaczających go ludzi. Nie było to najlepsze złudzenie - ptaki i zwiewne istoty wydawały się niemal przejrzyste, nie mogły nikogo oszukać. Jednak jako dzieło sztuki i jako rozrywka były wspaniałe.

Z całą pewnością było to coś, czego jeźdźcy nie byli w stanie sami sobie stworzyć.

Iluzja rozproszyła się wraz z końcem utworu. Kiedy muzycy rozpoczęli następną melodię, przyszła kolej na Haldora, który wyprostował się z miną pełną rezygnacji. Jego iluzja, podobnie jak Kelyana, była słaba i przejrzysta, lecz stworzone przez niego ogniste koniki - pędzące, stające dęba i galopujące w powietrzu - przykuwały wzrok.

Kiedy Haldor kończył swój występ, Shana trąciła łokciem Kemana i ruchem głowy wskazała mu mniej zatłoczoną część namiotu. Skinął głową na znak zgody i zaczęli się przeciskać bliżej otwartego wejścia.

- Zanim zapytasz: moja magia wcale nie działa na tę obrożę i nie jestem pewien, czy mogę zmienić kształt - powiedział cicho Keman. - Kalamadea i ja próbowaliśmy; myślę, że coś może być w tych obręczach.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zniechęcenia.

- Cóż, jeśli elfowie mogli zastosować obroże, to ci ludzie mogli uczynić to samo. A niech to licha! Jedno tylko jest pocieszające, że nie znają naszego języka. O wiele łatwiej jest rozmawiać, niż porozumiewać się myślami.

- Będziemy musieli przekonać tego Jamala, że nie jesteśmy pełnej krwi elfami i nie potrafimy tworzyć złudzeń - ciągnął Keman nagłaco. - W przeciwnym wypadku zmuszą nas do siedzenia tam i tworzenia do końca życia motylków i kwiatków.

- Chyba, że natrafi na nich Collen i zaproponuje jakąś wymianę czy okup czy... no cóż, jest to w tej chwili mało prawdopodobne. - Przygryzła wargę. - Posiedźmy tu chwilę i poobserwujmy ludzi. Może uda nam się dowiedzieć czegoś więcej na ich temat, czegoś pożytecznego.

Niestety, niewiele się dowiedzieli; byli jedynie świadkami, jak jeźdźcy wykorzystali elfów do całkowitego wyczerpania, i przekonali się, że moc magiczna Haldora i Kelyana zużyła się znacznie szybciej, niżby to się stało w przypadku Shany i Mera w takich samych warunkach.

Nawet kiedy elfowie opadli z sił, jeźdźcy nie zamierzali dać im spokoju na resztę wieczoru. Zamiast tego zaczęli wpychać w nich jedzenie i picie, pozwolili chwilę odpocząć, po czym zagonili ich z powrotem do pracy.

Nie wróżyło to najlepiej całej ich czwórce, gdyby ludzie odkryli ich faktyczne możliwości. Jamal nigdy nie pozwoliłby im odejść.

Ciekawostką, którą zauważyli, było to, że chociaż wojownicy nie mieli na sobie zbroi, to zachowali żelazne obręcze na szyi i ramionach, a niektórzy również opaski na czołach. Kobiety nosiły naprawdę piękne ozdoby z ażurowymi ornamentami. Wszyscy zebrani tu ludzie preferowali ubrania z jasnych, powiewnych materiałów. W ubiorach, które były bardziej wyszukaną wersją tego, co nosili w czasie dnia, dominowały oranże, czerwienie i złote żółcie.

- Kto to? - szepnął nagle Keman, gdy przy wejściu do namiotu zrobiło się jakieś zamieszanie.

Starła się przebić wzrokiem panujący tu półmrok i w końcu rozpoznała znajomą twarz wśród tłumu kłębiącego się w wejściu.

- To Jamal - odszepnęła mu, patrząc, jak wodzowi i jego świcie oferowane są poduszki zwalniane przez szybko gramolących się na nogi ludzi. - Ale kim jest ten drugi?

Starszy mężczyzna o posturze kowala i krótkich włosach białych jak runo owcy wszedł ze swą własną świtą mniej więcej w tym samym czasie. Podczas gdy w towarzyszących Jamalowi ludziach na pierwszy rzut oka można było rozpoznać wojowników, chociaż nie mieli ze sobą broni, to orszak otaczający tego drugiego składał się z kolei z osób w jego typie. Wszyscy mieli na sobie dziwne nakrycia głowy ze zrolowanego materiału oraz nieskazitelnie czyste skórzane fartuszki. Od grupy Jamala odróżniało ich wyraźnie jeszcze to, że nosili na szyjach żelazne naszyjniki, z których zwieszał się stylizowany płomień wykonany z takiej samej metalowej koronki jak u kobiet.

- Pojęcia nie mam - odparł Keman - lecz wygląda na to, że jest równie ważny jak Jamal.

Faktycznie, on i jego świta zostali powitani z podobnymi oznakami szacunku i tyle samo ludzi pospieszyło, żeby mu usłużyć lub z nim porozmawiać. Shana nie dostrzegła żadnej otwartej wrogości między obydwoma grupami, lecz wyczuwała pewne podskórne napięcie, gdy obaj mężczyźni spoglądali na siebie.

Gdyby miała zaryzykować jakieś domysły na ten temat, to powiedziałaaby, że Żelazni Ludzie uznają dwóch wodzów, niejednego, i że ten starszy mężczyzna jest właśnie drugim z nich. Można też było przypuszczać, że żaden z nich nie jest zadowolony z konieczności dzielenia się władzą. Tak, to było interesujące i może okazać się użyteczne. Jeśli istniała tu jakaś rywalizacja, to kto wie, czy nie uda się jej jakoś wykorzystać.

Przede wszystkim muszą się dokładnie dowiedzieć, jaką funkcję pełni ten starszy



mężczyzna. Wtedy będzie można pomyśleć, czy jest jakiś sposób, by użyć jednego przeciw drugiemu.

Przeniosła swą uwagę z powrotem na Jamala, przyglądając mu się bliżej. Był młodszy od drugiego, więc mógł być bardziej elastyczny i myśleć bardziej przyszłościowo. Może lepiej zwrócić się do niego, niż do starszego mężczyzny.

- On na nas patrzy - szepnął Keman ostrzegawczo. - Ten starzec, on patrzy na nas.

Szybko przeniosła na niego wzrok. Faktycznie, przyglądał im się z wielką uwagą. Właśnie kiedy na niego spojrzała, obrócił lekko głowę, mówiąc coś do jednego z otaczających go ludzi, jednak ani przez moment nie spuszczał z nich badawczego spojrzenia.

- Żeby tak wiedzieć, o czym mówi - mruknął do niej Keman.

Przytaknęła. Twarz tego człowieka odzwierciedlała wielką inteligencję, a coś w zdecydowanym układzie ust i podbródka mówiło jej, że niebezpiecznie byłoby wejść mu w drogę. Nie żałowałby czasu, by znaleźć rozwiązanie problemu, jaki dla niego mogliby stanowić, i gdyby znalazł do niego klucz, starannie i metodycznie by go zastosował. Nie potrafiła ocenić, kim byli dla niego ona i Keman. W tej chwili goręcej niż kiedykolwiek przeklinała zdolność tych ludzi do zamykania przed nią swoich myśli.

- Ja z kolei chciałabym wiedzieć, o czym on myśli - odparła żarliwie.

- Skąd się tu wzięły te nowe zielonookie demony? - spytał dyskretnie Diric, arcykapłan Żelaznych Ludzi, jednego ze swoich pomocników. Starał się, żeby jego twarz nie odzwierciedliła ani cienia niezadowolenia, które jednak jasno wyraził tonem głosu. - A co ważniejsze, dlaczego nie zostałem powiadomiony o ich pojmaniu?

- Panie, jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to mówiono mi, że zostali złapani, gdy szpiegowali dziś po południu nasze wozy - odparł akolita, starając się mówić cichym i miłym tonem, tak jakby rozmawiali o czymś zupełnie nieważnym. - Co do drugiego, panie, to nie potrafię powiedzieć. Usłyszałem o nich dopiero dziś wieczorem.

Diric uniósł brwi w odpowiedzi zarówno na same słowa, jak i na ostrożny ton głosu, po czym pociągnął łyk piwa, delektując się jego smakiem. Tylko on i Jamal otrzymali piwo, gdyż niewiele go już pozostało, a nie było jęczmienia, by uwarzyć nowe. Ich klan, Klan Kowali, musi jakoś znaleźć rolników, z którymi mógłby handlować. Żelaznym Ludziom kończyły się zapasy ziarna i wszelkich produktów mącznych; już za miesiąc zabraknie nawet mąki na chleb.

Co więcej, będą też musieli znaleźć dostawców rudy żelaznej, a jeszcze lepiej wytopionego żelaza. Ostatni rolnicy, z którymi mieli okazję handlować, pozostali w wiosce o

pół roku podróży za nimi, a ostatni górniczy o niemal rok. Zbyt długo już nie rozstawiali swoich kuźni - byki bojowe będą wkrótce potrzebowały nowych okuć na rogi, a kobiety zaczęły się uskarżać, że brakuje im ozdób.

Niestety, zadaniem wodza wojennego najwyraźniej nie było odszukanie rolników czy górników, z którymi będzie można handlować. Znacznie bardziej zależało mu na znalezieniu kogoś, z kim mógłby walczyć.

Dobrze się złożyło, że obecne otoczenie nie sprzyjało planom Jamala. Ludzie nie mogli toczyć wojny przy takim stanie zapasów, a jedynymi stworzeniami, na które się natknęli na tych nie kończących się łąkach, były alikorny i te nowe zielonookie demony.

“O których nikt nie raczył mnie poinformować, dopóki nie ujrzałem ich na własne oczy w namiocie spotkań.” - Rozmyślając o wodzu wojennym poczuł gorycz, a w ustach kwas, którego nawet piwo nie mogło splukać. Jamal był ambitny, wiedział o tym od początku. Wódz nie czynił zresztą żadnych wysiłków, żeby to ukryć, a w gruncie rzeczy większość wodzów wojennych była ambitna. Diric przeżył ich trzech i uważał, że ambicja jest dobrą cechą u przywódcy, którego rola polega na atakowaniu i obronie. Lecz Jamal był przy tym popularny, a to już zaczynało denerwować Dirica. Fakt, że udało mu się namówić ludzi do ukrycia obecności tych zielonookich demonów, był bardzo niepokojący.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na Jamala, który swobodnie spoczywał na poduszkach, obserwując z ojcowskim uśmiechem rozgrywające się przed nim sceny, podczas gdy młodzi ludzie tańczyli i figlowali ze sobą. Diricowi donoszono, że Jamal ma znacznie większe ambicje niż którykolwiek z wodzów wojennych za jego pamięci. Plotki te wspominały o marzeniu Jamala, by powrócić do ojczyzny, uginając się pod ciężarem łupów i zjednoczyć wszystkie klany Żelaznych Ludzi pod swoim wyłącznym przywództwem. Dotąd nikt nigdy tego nie dokonał. Jedyną grupą cieszącą się autorytetem wśród wszystkich klanów Żelaznych Ludzi byli kapłani, i to oni rozstrzygali spory oraz dokonywali wszelkich niezbędnych ustaleń, kiedy więcej klanów zebrało się w jednym miejscu. Nigdy przedtem żadne dwa klany nie zgodziły się na wspólnego wodza, a co tu dopiero mówić o wszystkich klanach razem. Gdyby chodziło o kogoś innego, Diric zbyłby te ambitne plany prychnięciem, jako pustą mrzonkę. Problem polegał na tym, że Jamal był wodzem na tyle charyzmatycznym, że rzeczywiście mogło mu się to powieść. Gdyby wrócił z wozami uginającymi się od zdobyczy, to jego szansę na sukces znacznie by wzrosły..

“A wtedy na co byliby mu potrzebni kapłani? - zadał sobie pytanie Diric, wiedząc z góry, jaka jest na nie odpowiedź. Na nic, rzecz jasna. A jeśli Jamal patrzył z zawiścią na władzę sprawowaną przez innych wodzów wojennych, to o ile bardziej musiał zazdrościć

władzy kapłanom?”

Diric w gruncie rzeczy aż do dzisiejszego wieczoru nie zdawał sobie sprawy, jak mocną pozycję wypracował sobie Jamal. Zdarzało się oczywiście czasami, że nie dotarła do niego jakaś informacja, dopóki nie było to wygodne dla jego rywala, lecz nigdy nie miało to miejsca w przypadku tak ważnej sprawy, jak pojmanie tych zielonookich demonów.

Pierwsze dwa demony zostały schwytane jeszcze w czasach praprzodka Dirica i były cenną własnością Klanu Kowali. Zanim to nastąpiło, te przerażające, spiczastouchy stworzy o białej skórze uważane były wyłącznie za legendę, za rodzaj istot, którymi straszy się nieposłuszne dzieci. Diric znał te legendy lepiej niż ktokolwiek inny; w końcu to była jego praca - pamiętać o nich i nieustannie przypominać członkom klanu, tak żeby Żelazni Ludzie nigdy ich nie zapomnieli. Legendy mówiły o wielkiej wojnie z tymi demonami, które przedostały się tu przez wrota łączące ich świat z naszym. Demony zapragnęły zdobyć ten świat - jakże by nie? - więc zabijały i nękały przodków oraz ich sojuszników, Kukurydzianych Ludzi, dopóki Żelazni Ludzie nie zdecydowali się uciec ze swymi stadami na południe, zostawiając sprzymierzeńców, by powstrzymali nieprzyjaciela. Jednak grele, używane jako wierzchowce i zwierzęta juczne, nie zniosły trudów wędrówki oraz cieplejszego i bardziej wilgotnego klimatu południa. Jedynie bydło przeżyło tę ucieczkę. W swoim czasie przodkowie poznali bliźniaczy sekret magicznego metalu i ściany myślowej, a demony, które za nimi podążyły, zostały pokonane i zabite.

Legendy mówiły też o pogardzie ludzi i ich Boga, Pierwszego Kowala, dla tych tchórzliwych demonów, które posługiwały się bronią pozwalającą im zabijać bez żadnego ryzyka dla siebie. Nikt jednak, poza kapłanami, nie wierzył w te legendy, dopóki nie pojawiło się tych dwóch.

Wódz wojenny z tamtego okresu przypisywał sobie wielką chwałę z powodu pojmania straszliwych demonów i uczynienia z nich niewolników dla rozrywki ludzi, lecz Diric, który bardzo dobrze poznał Haldora i Kelyana, wiedział, że stanowili oni niewielkie, jeśli w ogóle, zagrożenie dla dobrze uzbrojonego wojownika. Przecież to były dzieciaki, młodzieńcy, którzy wypuścili się na wyprawę w nieznaną i byli równie nieprzygotowani na spotkanie z Żelaznymi Ludźmi, jak ludzie na spotkanie z nimi. Oficjalna wersja tej utarczki głosiła, że magia żelaza i dyscyplina ściany myślowej ochroniły wojennego wodza Alaja i pozwoliły mu ich pokonać. Diric miał raczej odmienny pogląd na to spotkanie.

“Ci dwaj, Haldor i Kelyan, nie byli i nie są tak przerażający, jak ich legendami przodkowie. Ich moc magiczna jest zerem w porównaniu z tą, którą się im przypisywało”.

Istniały tu dwa możliwe wyjaśnienia: albo legendy znacznie przesadziły w opisie tej

mocy, albo ci dwaj byli po prostu słabsi. Diric skłaniał się ku temu drugiemu rozwiązaniu. Ogólnie rzecz biorąc, legendy, które dokładnie przestudiował, zawierały niewiele pomyłek - na przykład wcale nie zostało w nich wyolbrzymione niebezpieczeństwo, jakie stanowiły jednorogi i ich samobójcze okrucieństwo. Dlaczego więc zielonookie demony miałyby stanowić mniejsze niebezpieczeństwo, niż to odmalowywały legendy?

Natomiast większości ludzi bardziej prawdopodobne wydawało się pierwsze wyjaśnienie. Przyzwyczaili się do tego, że zupełnie niegroźni Haldor i Kelyan przechadzają się po obozie i tworzą swoje śliczne iluzje, gdziekolwiek stanie namiot spotkań. Aż do tej chwili Diric specjalnie się tym nie przejmował, zakładał po prostu, że Żelazni Ludzie nigdy więcej nie spotkają swych starych wrogów. Teraz nie był już tego taki pewny i zaczął się obawiać, iż ten spokój ducha może być niebezpieczeństwem samym w sobie.

Przyglądał się teraz dwóm nowym demonom, które z kolei śmiało patrzyły na niego, nie próbując wcale tego ukrywać. Tu znajdowali się mężczyzna i kobieta, a powiedziano mu, że w wozie więźniów jest jeszcze dwóch mężczyzn.

Ciekawe, że jeden jest kobietą, a jeszcze ciekawsze, że chyba nie są tej samej rasy, co pierwsze dwa. Przede wszystkim te mają ciemniejszą skórę; Haldor i Kelyan byli biali jak brzuch śniętej ryby, choćby nie wiem jak długo przebywali na słońcu. Nie są też tak delikatnie zbudowani, a ich włosy mają jakąś barwę, zamiast przypominać motek lnianej przędzy. Lśniące czerwienią włosy kobiety z pewnością stanowią przedmiot zazdrości wielu niezamężnych kobiet zebranych w namiocie. Włosy mężczyzny mają właściwy, czarny kolor, chociaż zwisają smętnie prostymi pasmami, zamiast się należycie skręcać w ciasne loki.

Podobno Kukurydziani Ludzie byli równie bezbarwni jak kukurydza, którą hodowali. Czy te nowe demony mogą być tylko półdemonami? Może demony współżyły z Kukurydzianymi Ludźmi i z tego narodziły się te istoty?

- Bardzo dziwne są włosy tej kobiety - mruknął do swego ucznia, Haji. - Nigdy nie widziałem włosów w takim kolorze.

- Oni twierdzą, że wcale nie są demonami, lecz stworzeniami innego rodzaju - odparł cicho Haji. - Nasze demony potwierdzają, że to prawda. Dokładnie rzecz biorąc, Kelyan bardzo obszernie to wyjaśniał, a Haldor poczuł się wręcz obrażony zaliczeniem ich do tej samej rasy. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zareagowali na coś tak gwałtownie.

Diric uniósł brwi. Nie potrafił dostrzec żadnych ewentualnych korzyści, które Kelyanowi mogłoby przynieść upieranie się, że te istoty są kimś innym niż oni sami.

Interesujące.

- Czy oni mają być na stałe trzymanymi razem z tamtymi? - zapytał, starając się, by jego

głos nie dotarł dalej niż do uszu Haji.

- Tak mi mówiono - odparł akolita. - Wydaje się to logiczne. Dwoje z nich z trudem nadaża za wozem. Nie ma sensu doprowadzać ich do śmierci z wyczerpania, skoro stanowią tak cenny łup, lecz nie ma również powodu, by oddzielać ich od pozostałych dwóch. Kelyan i Haldor ani razu nie próbowali uciekać, a Jamal uważa, że przyłączenie do nich jeszcze czterech demonów nie zwiększy prawdopodobieństwa ucieczki.

Nie miał najmniejszej ochoty tego przyznawać, lecz wódz miał zapewne rację. Skoro magiczny metal i ściana myślowa powstrzymały demony do tej pory, to zapewne i w dalszym ciągu będą równie skuteczne.

- Zamierzam sam z nimi porozmawiać - oświadczył uczniowi. - Jutro, podczas marszu. Dopilnuj tego.

Haja skinął lekko głową.

- Nie powinno być z tym kłopotu - odparł.

Diric nieznacznie się uśmiechnął.

- Dopilnuj też, żeby Jamal się o tym nie dowiedział - dodał. - Przynajmniej dopóki nie będzie po fakcie.

Oczy Haji odrobinę się poszerzyły, podobnie jak uśmiech. Akolita już od wielu księżyców próbował ostrzec Dirica, że wódz wojenny jest zbyt sprytny i zbyt ambitny, lecz kapłan pozornie zbywał te przestrogi. Tymczasem w rzeczywistości Diric poświęcił im nieco myśli, lecz nie był do końca przekonany, iż Jamal stanowi istotne zagrożenie.

- Tak - powiedział cicho kapłan, gdy Haja kiwnął niedostrzegalnie głową w kierunku Jamala. - Sądzę, że nasz wódz wojenny może hołubić myśli, których nie pochwaliby Pierwszy Kowal. Nadchodzi chyba pora, kiedy trzeba będzie podjąć pewne działania. Zastanowię się nad tą kwestią.

Haja przytaknął.

- W tym czasie - zakończył Diric, sadowiąc się z powrotem na poduszkach i starając się wyglądać na odprężonego, czego bynajmniej nie odczuwał - ty sam mógłbyś wyruszyć na zwiady i rozejrzeć się, czy nie ma jeszcze jakichś demonów tam, skąd te wyskoczyły lub jakichś oznak obecności naszych dawnych sprzymierzeńców, Kukurydzianych Ludzi. To będzie, rzecz jasna, sprawa ściśle dotycząca religii. Lepiej, żeby wódz wojenny nie słyszał o przedsięwzięciach, które zgodnie z prawem nie powinny go dotyczyć.

- Takich, jak wypytywanie demonów? - spytał z uśmiechem Haja. - Lub poszukiwania Kukurydzianych Ludzi? W końcu demony są kwestią słusznie interesującą kapłanów, a Kukurydziani Ludzie tylko legendą, co także jest sprawą kapłanów.

- Właśnie tak - potwierdził Diric. - Dokładnie.

Myre zatoczyła koło nad zalesionymi wzgórzami, lecąc tak wysoko, że nikt z ziemi nie mógłby rozpoznać jej prawdziwego kształtu i krążąc tak, przez cały czas się wściekała. Żadnego śladu, nawet najmniejszego śladu Lorryna i Reny i tylko do siebie mogła mieć pretensje, że się jej wymknęli.

Kiedy łódź skoczyła tak niespodziewanie do przodu i wyrzuciła ją za burtę, była na tyle ogłuszona wstrząsem i zderzeniem z wodą, że nawet nie próbowała się ratować, aż tamci znaleźli się dobrze poza zasięgiem jej wzroku. Dopiero wtedy wrzaski i strzały stojących na brzegu elfów ocuciły ją na tyle, że niesiona prądem, uświadomiła sobie grożące jej niebezpieczeństwo.

Zareagowała natychmiast; nabrawszy powietrza, zanurkowała pod wodę, by uniknąć trafiających wokół niej strzał, po czym przybrała kształt ogromnego suma. Będąc już bezpieczna w postaci zwierzęcia, które mogło oddychać w wodzie, ruszyła w pościg, pchana potężnymi uderzeniami swego ogona.

Niestety, łódź była znacznie szybsza od każdej ryby. Myre płynęła za nią ponad dzień, nie będąc w stanie jej złapać, a kiedy w końcu jej dopadła, na godzinę przed grupą pościgową elfów, łódź dryfowała swobodnie, pusta. Myre nie dostrzegła żadnych znaków, wskazujących, gdzie dobiła do brzegu; jeśli nawet jakieś były, to zmył je deszcz.

Przez chwilę próbowała się domyślić, gdzie uciekinierzy wysiedli, po czym wzbila się w powietrze. To również nie okazało się szczególnie sprytnym pociągnięciem.

Była dotąd przyzwyczajona do jałowych, pokrytych krzakami wzgórz wokół leża, a tu pagórki były porośnięte tak gęsto drzewami, że nie dało się dojrzeć, co się pod nimi znajduje. Nawet smok w swej naturalnej postaci mógłby czaić się pod nimi bez obawy, że zostanie dostrzeżony z góry.

Mimo to nadal krążyła w tej okolicy, licząc na łut szczęścia - czy to zdrażliwy dym z ogniska, czy ślad stopy odcisnięty w mule na brzegu strumyka. Jednak każdy znaleziony trop okazywał się być pozostawiony bądź to przez samotnego myśliwego, bądź przez ekipy wysłane na poszukiwanie Lorryna i jego siostry, w związku z czym jej nastrój stale zmieniał się od euforii do przygnębienia. Częściowo udało jej się rozładować swój gniew dzięki polowaniu, alikorny były tu niezwykle liczne, a skręcenie im karku sprawiało jej niemal taką samą przyjemność, jak złapanie w zęby szyi tego głupca Lorryna.

Zdesperowana, zwiększyła zasięg swych lotów, choć była przekonana, że te dwie słabe, rozpyszczone istoty nie byłyby w stanie wydostać się poza najbliższe sąsiedztwo rzeki.

Nie zobaczyła jednak niczego, niczego poza grupą obdartych istot ludzkich, płynących rzeką w prymitywnych łodziach. Z pewnością nie byli to czarodzieje, a Myre wątpiła, by Rena i Lorryn podjęli próbę nawiązania z nimi kontaktu.

Zakładając, że tamci dopuściliby w ogóle do takiego kontaktu. Jeśli są to dzicy ludzie, bez obroży, to z pewnością obawiają się elfów. Nawet dziecko nie potrafi się tak cicho poruszać, by podejść niezauważone dzikusów przyzwyczajonych do życia w tych zapomnianych lasach. Było znacznie bardziej prawdopodobne, że ludzie umknęliby przed dwojgiem uciekinierów, zanim Lorryn i jego siostra zauważyliby ich obecność.

Mimo wszystko, może powinna bliżej im się przyjrzeć. Ponownie zatoczyła koło i stwierdziła, że ta sama grupka ludzi dobija do brzegu rzeki. Nie wykazywali oni jednak żadnych oznak podniecenia, nie chodziło więc o to, że napotkali uciekinierów.

Zazgrzytała zębami w bezsilnym gniewie. Zgubiła ich, musiała to w końcu przyznać. A wraz z nimi straciła szansę na posiadanie własnego czarodzieja. A tak była pewna, że całkowicie panuje nad wydarzeniami w czasie ucieczki! Nie przyszło jej nawet na myśl, iż Lorryn może zrobić coś nieprzewidzianego, a teraz, dzięki własnej beztrosce, straciła ich.

Przypadkiem spojrzała ponownie w dół i rzuciło jej się w oczy, że grupka ludzi w sposób nagły i nie wyjaśniony podwoiła się.

Co to ma znaczyć?

Jej gniew ulotnił się i wyostrzyła wzrok, skupiając go na scenie poniżej. Nie, ludzie się nie rozmnożyli. Dołączyła do nich inna grupa, znacznie lepiej odziana.

Jej ruchy skrzydłami uległy na chwilę zakłóceniu, gdy wpadły jej w oko postaci bardzo przypominające Shanę. Spiczaste uszy, ale ciemna cera i włosy w kolorach odmiennych od jasnego blondu. To nie byli ludzie, to byli czarodzieje! Znalazła ukrywających się czarodziejów.

A tam, gdzie byli czarodzieje, tam też musiały być smoki-zdrajcy.

Szybko wzbijała się spiralą w niebo, aż dotarła ponad warstwę chmur, gdzie powietrze było rozrzedzone i trudno było nim oddychać, a na czubkach jej skrzydeł tworzyły się kryształki lodu.

I co teraz? Wiedziała, gdzie są czarodzieje, z pewnością może to jakoś wykorzystać.

Potrzebowała informacji. Lecz musiała je zdobyć, nie narażając się jednocześnie na schwytnie przez Kemana czy innych.

Krótko mówiąc, potrzebny jej był plan.

Tylko tym razem lepiej nie oceniać zbyt nisko niczego ani nikogo. Tym razem jej plan musi być doskonały. A żeby stworzyć doskonały plan, musi zdobyć informacje.

Może bez trudu je zebrać, jeśli będzie się trzymać z dala od braci smoków. Chcąc szpiegować czarodziejów, może przybrać setki postaci, od ludzkiego dziecka do formacji skalnej. Dopóki nie zobaczy jej żaden smok, nie grozi jej wykrycie.

Cóż, pierwszym kształtem, który przybierze, powinno być coś niejadalnego i obdarzonego dobrym nosem. Łatwo będzie tropić woń tych wszystkich istot mieszkających razem, lecz jednocześnie nie chciała podczas swych poszukiwań stać się celem dla strzał myśliwych.

Podjąwszy decyzję, zwinęła skrzydła i lotem nurkowym opadła do zacisznej dolinki, niewidocznej od strony rzecznej przystani.

Jednorogi dotarły na szczyt kolejnego wzgórza; miały one niesamowitą wytrzymałość i nawet z Reną i Lorrynem na grzbiecie były w stanie osiągnąć szybkość dwukrotnie większą niż jakikolwiek koń, którego Rena dosiadała. Poruszały się niezwykle szybko, a tempo takie były w stanie utrzymywać przez cały dzień, jeśli zaszła taka potrzeba. Zatrzymywały się dwa lub trzy razy dziennie, by się najeść i napić, a i wtedy nie trwało to dłużej niż czas potrzebny na zwykłą przekąskę.

Oczywiście jadły nie tylko trawę, lecz również wszystko co w niej żyło. Były bardzo zręczne, potrafiły złapać mysz czy nornicę równie szybko, jak każdy domowy kot.

W nocy miały zwyczaj znikać na kilka godzin, wracając ze śladami krwi wokół pysków. Najważniejsze, że jednak wracały oraz że nie brały pod uwagę Reny i Lorryna jako ewentualnej zdobyczy.

Rena czuła do nich odrazę, Lorryn był zafascynowany. Powiedział jej, że prawdopodobnie przyczyną, dla której alikorny są w stanie utrzymywać tak szybkie tempo, jest właśnie fakt, iż jedzą mięso.

- Mięso ma większą wartość odżywczą od trawy. Gdyby nie jadły mięsa, to przypuszczam, że wcale nie mogłyby biec dłużej ani szybciej od naszych koni.

Rena doszła do wniosku, że nie ma już ochoty być właścicielką oswojonego jednoroga.

Jednocześnie jej wytrzymałość była znacznie mniejsza niż Lorryna i alikornów. Zwierzęta wyruszały w drogę o wschodzie słońca, co oznaczało wstawanie przed świtem, żeby zdążyć coś zjeść, i nie zatrzymywały się na spoczynek, dopóki słońce nie zaszło. Życie, które Rena dotąd wiodła, raczej nie przygotowało jej do przechodzenia takiego testu na przetrwanie. Zapadała w sen, wyczerpana i obolała, a kiedy się budziła, wcale nie czuła się wypoczęta. Od dawna straciła już wszelkie zainteresowanie mijaną okolicą i tym, co się



wokół niej dzieje, aczkolwiek kilkakrotnie ledwo uszli z życiem przed groźnymi zwierzętami i potencjalnie wrogimi myśliwymi. Jedyne, na co ją obecnie było stać, to przyczepienie się kurczowo do grzbietu jednoroga i używanie swych niewielkich czarów, żeby był jej posłuszny. Wszystkie jej pragnienia skupiały się wokół tego, żeby znaleźć czarodziejów i w końcu porządnie wypocząć.

Wypocząć! Och, gdyby tylko mogła! Cały jej świat sprowadził się do potrzeby odpoczynku. Bolał ją każdy miesiąc, a oczy piekły ze zmęczenia. Tuż za oczami czuła tępy ból głowy, i gdyby lord Gildor pojawił się w tej chwili, oferując jej łóżko i ciepły posiłek w zamian za małżeństwo, to zapewne przyjęłaby jego propozycję natychmiast.

No, może nie. Ale z pewnością życzliwie rozważyłaby tę myśl.

- Ciekawe - mruknął Lorryn, którego wierzchowiec pierwszy dotarł na szczyt wzgórza.

- Co jest ciekawe? - spytała Rena tępo.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogło tu być coś ciekawego. Wędrowali przedtem przełęczą górską, która kilka dni temu wyprowadziła ich pomiędzy zarośnięte lasami wzgórza. Wzgórza te rozdzielała szeroka rzeka i alikorny przez kilka dni posuwały się wzdłuż jej biegu. Rena miała nadzieję, że są już blisko celu, który wyznaczyły sobie ich niewielkie mózdzki, gdyż nie widziała żadnego przejścia przez rzekę, tak szeroką, że z łatwością mogłaby pochłonąć dwór lorda Tylara wraz z ogrodami. Tymczasem wczoraj zwierzęta bez najmniejszego ostrzeżenia rzuciły się w nurt i przepłynęły całą rzekę w poprzek, ona zaś jedną ręką trzymała kurczowo grzywę wierzchowca, a drugą pakunek ze swym dobytkiem, przerażona, że jedno lub drugie może jej się wymknąć z uchwytu.

Podczas tej przeprawy kilkakrotnie napiła się wody, więc piersi bolały ją do tej pory. Jednak ani słowem nie poskarżyła się Lorrynowi w obawie, że zdecyduje się porzucić jednorogi i kontynuować wędrowkę pieszo. Brat był zachwycony szybkim tempem, w jakim się poruszali, i nie chciała, żeby pomyślał, że ona go opóźnia. Pełne aprobaty zdumienie, z jakim przyjmował wszystko, co do tej pory zrobiła, było tak cudowne, że nie mogłaby znieść, gdyby go zabrakło. Był to jedyny jasny promyk podczas tej wyczerpującej podróży.

- Myślę, że wiem już, dokąd dążą nasze jednorogi - stwierdził, wpatrując się pilnie w teren przed nimi. - Tam poniżej ciągną się ogromne łąki i wszędzie widać na nich tropy, które, jak sądzę, należą do alikornów. Kiedy dotarliśmy do szczytu, byłem pewien, że widzę je tam w trawie i wszystkie zmierzały na południe. Przypuszczam, że nasze wierzchowce są wędrowcami.

- Co takiego? - spytała, a zdumienie wyrwało ją na chwilę z apatii. - Jak ptaki?

- Dokładnie tak - odparł. - Chyba wiem, co się dzieje w ich maleńkich mózdkach. Próbowałem wyczuć ich myśli, ale aż do tej chwili nie składały mi się w żadną sensowną całość. Wiesz, że one są częściowo drapieżnikami...

- Tak - odparła, powstrzymując drżenie.

- Uważam, że są drapieżnikami w czasie zimy, kiedy nie bardzo mają się gdzie paść, drapieżnikami i roślinożercami podczas swej wędrówki, a przez całe lato wyłącznie się pasą. Kiedy są tylko roślinożercami, łączą się w ogromne stada, ale tylko wtedy. Dzięki temu mogą znaleźć sobie partnerów i chronić młode. - Lorryn najwyraźniej był bardzo dumny ze swych przemyśleń. - To by wyjaśniało, dlaczego nasi myśliwi bardzo rzadko widywali je latem, a już nigdy z młodymi, oraz dlaczego, gdy poluje się na nie zimą, występują zawsze pojedynczo. Zimą zachowują się jak mięsożercy, a latem jak zwierzęta roślinożerne, żeby wybrać partnera, urodzić i wychować młode.

- No dobrze - zgodziła się z nim, kiedy przypomniła sobie, że jednorogi zostały stworzone z innych zwierząt przez jakiegoś pradawnego Wysokiego Lorda - Wysocy Lordowie chcieli mieć zwierzę, które potrafi się wyżywić w każdych warunkach, więc twój wywód ma sens. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami?

Lorryn obrócił się, żeby na nią spojrzeć, podpierając się jedną ręką o zad ogiera.

- Niewiele, poza tym, że będziemy musieli je opuścić, zanim dotrą do dużego stada. Myślę, że stado by nas nie zniosło, a ty nie jesteś raczej w stanie obłaskawić tyłu bestii.

Rena przypomniła sobie krew na pysku swej klaczy i wstrząsnęła się.

- Nie, sędzę, że nie. Lecz co z czarodziejami?

- Cóż, myślałem o tym - odparł. - Ośmielę się twierdzić, że odkąd przekroczyliśmy rzekę, pozostaliśmy z dala od wszelkich włości, do których elfowie kiedykolwiek rościli sobie prawo. Jeśli nie uda nam się znaleźć żadnych śladów, mówiących o obecności czarodziejów, to możemy cofnąć się do rzeki i przez jakiś czas posuwać się wzdłuż jej biegu. Ja zacznę nasłuchiwać myśli, co powinno nam ułatwić znalezienie jakiejś wskazówki, gdzie mogą się oni znajdować. Obydwoje natomiast możemy wypatrywać smoków.

- Ja już wypatrywałam smoków - przyznała otwarcie - i żadnych nie widziałam.

- Ja z kolei nie wyczułem dotąd żadnych myśli, oprócz zwierzęcych, odkąd przebyliśmy rzekę. - Przyjrzał jej się badawczo ze swego miejsca na grzbiecie alikoma. - Uważam, że rozsądnie będzie, jeśli rzucę na nas obydwójce złudzenie pełnego człowieczeństwa. Tak na wszelki wypadek.

Ukradkiem napięła bolące mięśnie i zaczęła mu się przyglądać równie badawczo.

- Chyba masz rację - stwierdziła, zamyślona. - Za bardzo przypominasz elfa.

- Ponadto tu, gdzie się znajdujemy, możemy łatwo natknąć się na wolnych ludzi - przypomniał jej. - Przeczytałem sporo książek historycznych o czasach pierwszej wojny czarodziejów i wcześniejszych. Zgodnie z nimi można się tu spodziewać kilku różnych gatunków ludzkich - grelowych jeźdźców. Kukurydzianych Ludzi. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest chęć przestraszenia kogokolwiek. Szczerze mówiąc, zarówno jeźdźcy, jak i Kukurydziani Ludzie, mogą myśleć o elfach tylko jako o wrogach. Wolałbym, żeby nie zaczęli do nas strzelać bez zadawania pytań.

“Nie wiadomo, czy sama obecność alikornów nie zachęci ich do tego” - pomyślała. Nic jednak nie powiedziała, tylko milcząco przytaknęła ruchem głowy. Chwilę później poczuła to charakterystyczne mrowienie, które powiedziało jej, że Lorryn oddziałuje na nią swą magią.

“Ciekawa jestem, czy potrafiłabym zmienić swój wygląd, a przynajmniej uszy i oczy, w taki sam sposób, jak zmieniałam ptaki? - pomyślała. - W tej chwili lepiej nie próbować. Nie byłby to najlepszy pomysł, gdy muszę robić tyle rzeczy za pomocą swej magii”. Gdyby straciła kontrolę nad jednorogami... Lepiej nie dodawać kolejnej piłeczki do tych wszystkich, którymi już żongluje.

Spojrzała w prawo i stwierdziła z ulgą, że słońce zbliża się już do horyzontu. Wkrótce nadejdzie pora, by się zatrzymać.

- Musimy porozmawiać o tym, kiedy chcemy wypuścić alikorny - rzucił Lorryn. - Dziś wieczorem.

- Jak zrobię kolację - odparła.

Miała zrobić tę kolację w sensie dosłownym, z roślin, które uda im się łączyć. Ponadto trzeba będzie też przygotować jakieś łakocie dla jednorogów, żeby być pewnym, że wrócą do nich po swym polowaniu.

To właśnie było jedną z przyczyn, dla których czuła się tak zmęczona. Cały ciężar zdobywania żywności spoczywał na jej wątłych barkach, a nigdy dotąd nie używała tak często magii. Nawet nie przypuszczała, że może to być tak wyczerpujące.

- Szkoda, że alikorny nie mogą, tak jak psy, przynieść nam czegoś ze swych polowań - powiedział marząco Lorryn. Zapewne równie serdecznie jak ona miał dosyć ciasteczek z trawy i trawy duszonej.

Jednak...

Aż się zatrzęsała na wspomnienie pewnej nocy, kiedy jej klacz wróciła z polowania, mając na pysku nie tylko ślady krwi, lecz również nitkę, która mogła pochodzić z czyjejs odzieży. Przez pewien czas ich tropem podążał jakiś łowca i Rena marzyła o tym, by

obecność jednorogów zniechęciła go do tego. Czy to możliwe, że klacz wyczuła jej myśli i załatwiła rzecz po swojemu? Tego Rena nie wiedziała i zapewne nigdy się nie dowie, lecz myśliwy z całą pewnością zniknął po tej nocy.

- Ja wcale nie żałuję - odpowiedziała teraz bratu. - Wcale!

Caellach Gwain zmierzył swe audytorium wzrokiem pełnym satysfakcji. Jak na razie miał większość starszych i bardziej poważanych czarodziejów po swojej stronie. Również ci, którzy przedtem nie wypowiadali się głośno, teraz, kiedy Shana była daleko, bez obaw ujawnili swe prawdziwe poglądy.

Caellach miał nadzieję, że dziewczyna na zawsze zostanie tam, gdzie jest obecnie. Bez jej podbechtywania młodzi nie byli już tak pewni siebie i swojej mocy. Tylko młodzież należąca do jej "wewnętrznego kręgu" nadal zuchwale sprzeciwiała się autorytetom. Na szczęście byli oni tak zajęci ogoławaniem starej cytadeli, że nie mieli czasu, by siać niezgodę wśród innych.

- Powiem wam, co robię, żeby uzyskać pomoc, która mi się należy - Caellach zwrócił się do zebranych. - Zaczęłem od ludzi. Oni są tak przyzwyczajeni do przyjmowania rozkazów od każdego, kto ma chociaż pozory władzy, że nigdy mnie o nic nie pytają, po prostu robią, co im każe. - Lekko ściągnął brwi. - Prawda, to jeszcze dzieci, ale nawet dzieci potrafią podnieść to, co gdzieś zostawię, lub przynieść na przykład mój obiad.

- Czy nikt ich nigdy nie szuka? - odważył się spytać jeden ze słuchaczy.

- Możliwe, że tak, lecz nikt nie zagląda w tym celu do moich komnat. Sądzę, że ktoś kto miał opiekować się tymi bachorami, zapewne sobie pomyślał, że wymknęły się, by się pobawić. Nakazuję im mówić swym opiekunom, że czarodziej zlecił im ważne zadanie, i to najwyraźniej załatwia sprawę.

Szczerze wątpił, żeby w całym tym rozgardiaszu, panującym obecnie w cytadeli, ktokolwiek dostrzegł brak dzieci, które "pożyczał" sobie z zespołów roboczych. Roilo się tu od dzieci ludzi i czarodziejów, z których nie było żadnego pożytku przy pracach wymagających siły lub wytrzymałości. Pozostawało tylko to, co on nazywał "drobnymi obowiązkami domowymi", więc dlaczego nie miały by one należycie wykorzystywać czasu, służąc jednemu panu, zamiast na przykład nosić trzcinę czy robić podobnie bzdurne rzeczy?

To im mniej więcej powiedział, a oni kiwali rozważnie głowami.

- Wybierzcie sobie te przestraszone - doradził im. - Takie, które próbują schodzić wszystkim z oczu i chowają się po kątach, jeśli tylko im się uda. Tymi najłatwiej kierować, i mało prawdopodobne, żeby ktoś odczuł ich nieobecność. I pomyślcie, jeśli są tak nieśmiałe,

to wyświadczymy im przysługę, jeśli będziemy trzymać je z dala od tłumu! Te dzieci niewątpliwie potrzebują silnej ręki, kogoś, kto będzie im wydawał szczegółowe polecenia, tak żeby same nie musiały myśleć. - Uniósł ironicznie brwi na widok wątpliwości malujących się na jednej czy drugiej twarzy. - Tak czy inaczej dzieci nie powinny myśleć. Nie są powołane do myślenia. Powinny słuchać, uczyć się i wykonywać polecenia.

- Zapewne masz rację - odezwał się jeden z tych niezupelnie przekonanych - ale jednak...

- Och, nie bądź tak uczuciowy, to tylko ludzie - warknął inny, zanim ten pierwszy zdążył wystąpić z czymś konkretnym na poparcie swoich wątpliwości. - Przecież i tak nie będą do niczego przydatne w nowej cytadeli, chyba że w roli służących! Lepiej niech sobie od razu to uświadomią, dopóki jest czas, by ich nauczyć czegoś odpowiedniego.

Teraz więcej głów przytakiwało z aprobatą, a oponent umilkł. Caellach znów panował nad zebraniem.

- Nie jest to jedyny powód, dla którego zaprosiłem was tutaj - powiedział cichym, poufnym tonem. - Naprawdę musimy coś zmienić w obecnym stanie rzeczy.

- Stan rzeczy? - zapytał jeden z najstarszych czarodziejów głosem drżącym z oburzenia. - Parodia, a nie stan rzeczy! Bachory zachowują się, jakby były dorosłe, a starsi muszą sami przynosić swoje posiłki i zamiatać podłogi. - Jego zrazu niepewny głos stawał się coraz mocniejszy, pełen oburzenia. - Żadnego szacunku! Żadnych manier! Żadnych względów dla obyczaju! Oto, co tu jest nie w porządku! Życzliwie znosiłem te nonsensy, dopóki byliśmy o, tam - machnął ręką w kierunku wejścia do jaskiń. - W końcu należy się liczyć z pewnym rozprężeniem i zaniedbaniami, kiedy nie ma prawdziwego miejsca do zamieszkania, tak to ujmijmy. Lecz teraz, teraz mamy normalne mieszkania i wszystko powinno wrócić do normalnego stanu! Na niebiosa, skoro było to wystarczająco dobre dla naszych przodków, to powinno być dobre i dla nas!

Wśród zebranych zaczął narastać pomruk niezadowolenia a Caellach uradowany zacierał ręce. Coraz lepiej, narzekania nie wychodziły teraz od niego i wszyscy się z nimi zgadzali!

Podniósł jednak ostrzegawczo rękę, kiedy pomruk stawał się coraz głośniejszy.

- Zgadzam się, zgadzam się, lecz nie wolno nam działać zbyt pochopnie. My wprawdzie zdajemy sobie sprawę, co jest najlepsze dla cytadeli i czarodziejów, lecz te dumne bachory Lashany sądzą, że wiedzą lepiej, a mają za sobą smoki, które je poprą!

Na wzmiankę o smokach szum zaczął opadać, aż zapadła niepewna cisza. Caellach czym prędzej zaczął ich uspokajać.

- Nie jest rzeczą niemożliwą, by przywrócić wszystko na swoje miejsce - oświadczył stanowczo. - To po prostu musi zabrać trochę czasu. Powinniśmy być ostrożni i starannie układać swoje plany. Smoki w końcu się nami znudzą i znajdą sobie inną rozrywkę. Albo Lashana może nie wrócić i wyruszą na jej poszukiwanie. Mogą się zdarzyć setki rzeczy, które przechylą szalę na naszą stronę, a my musimy być gotowi do działania, stanowczego i szybkiego, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Znów nad nimi panował; widział, jak wychylają się do przodu, wsłuchując w każde jego słowo. Pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Rozejdźmy się teraz i przemyślmy te sprawy - powiedział. - W ciągu kilku dni zwołam następne spotkanie i chciałbym wtedy usłyszeć, jakie macie pomysły.

Spojrzał każdemu po kolei w oczy, otrzymując w odpowiedzi od wszystkich skinienia głową - w zamyśleniu, bądź zdecydowane.

Potem powoli zaczęli się rozchodzić, po jednym, po dwóch, niektórzy milczący, inni rozgadani. Caellach czekał, dopóki wszyscy nie wyszli, walcząc ze sobą, by uczucie triumfu nie odbiło się zbyt wyraźnie na jego twarzy.

Teraz była to tylko kwestia czasu. A kiedy ta zaraza Lashana wróci, jeśli wróci, stwierdzi, że sytuacja się zmieniła, i to wcale nie na jej korzyść.

Dwa dni później dotarli do wielkich równin; nie było tam śladu stad alikornów ani też czarodziejów. Lorryn zdecydował, że zatrzymają swe wierzchowce tak długo, jak długo to będzie możliwe. Jednorogi z kolei zrezygnowały nagle ze swego szybkiego tempa na rzecz normalnego kroku, jakim poruszają się konie. Nie polowały już w nocy, a Rena stwierdziła, że nie jadają nic bardziej grzesznego, prócz trawy i przysmaków, które dla nich przygotowywała. Bez trudu utrzymywała je teraz w łagodnym nastroju i to, wraz z wolniejszym tempem podróży, sprawiło, że zaczęła dochodzić do siebie po tym wyczerpującym maratonie.

Lorryn natomiast był w swoim żywiole. Chyba nie widziała go tak szczęśliwym. Włosy miał skołtunione, ubranie poprzecierane jak najmarniejszy niewolnik i niczym nie przypominał kulturalnego elfiego lorda, którym był przedtem, lecz jego oczy świeciły blaskiem, którego nigdy dotąd tam nie było.

- Jest mi obojętne, czy znajdziemy teraz czarodziejów, czy nie - powiedział do niej podczas trzeciego dnia jazdy przez wysoką do pasa trawę. - Mógłbym żyć w ten sposób do końca swych dni. Tylko pomyśl! Wolni jak sokoły na niebie, nikt nam nie mówi, gdzie mamy pójść i co mamy robić...

- Wszystko to pięknie na razie, ale co z zimą? - spytała nieco zgryźliwie, myśląc o niewygodnym spoczynku na zimnej ziemi. - Kiedy nadejdzie zima, zrobi się tu bardzo chłodno, a ja nie mam ochoty przytulać się przez całą noc do jednoroga, który przemieni się w drapieżnika.

Lorryn roześmiał się i potrząsnął głową.

- Jesteś zbyt praktyczna, Reno, a przynajmniej zbyt praktyczna na romantyczną przygodę.

- Potrafię być romantyczna - zaprotestowała urażona. - Po prostu lubię, żeby romantyczność szła w parze z wygodą!

- A cóż w tym będzie wtedy romantycznego? - odparował. - Czymże jest romans bez...

Nagle wyprostował się i zdławił ostanie słowa, gdyż właśnie wspięli się na krawędź wzniesienia i ujrzał, co znajduje się na następnym.

Chwilę później Rena zorientowała się, co go tak zaniepokoiło.

Na szczycie kolejnego pagórka znajdowało się około pół tuzina jeźdźców na jakichś dzikich bestiach. Ludzie - pomyślała, lecz byli to ludzie odmienni od tych, których dotychczas widziała. Skórę mieli tak ciemną, że niemal czarną, ubrani byli w luźne spodnie, na głowach mieli nakrycia z ufarbowanych na jasne kolory materiałów. Ich uzbrojenie stanowiły długie, zakończone metalowymi grotami dzidy.

- O Przodkowie! - wykrztusił Lorryn. - Grelowi jeźdźcy? Na pewno! Nie słyszałem o innej rasie z takim kolorem skóry!

- Wiesz, kim są ci ludzie? - szepnęła, a jednorogi stanęły jak wryte i wpatrując się w sześć byków, chrapały niespokojne.

- Czytałem o nich przy okazji studiowania historii czarodziejów i ludzkich kultur, które istniały na tych terenach - jego twarz wyrażała wyłącznie podniecenie. - Nauczyłem się nawet ich języka. W jednej z książek podano zaklęcie, które umożliwiło mi przyswojenie sobie dziewięciu różnych języków ludzkich. Nigdy jednak nie sądziłem, że będę miał okazję któregoś z nich użyć.

Przerwał i z powagą pomachał do znajdujących się powyżej nich jeźdźców, wołając coś do nich w osobliwie potoczystym języku.

- Powiedziałem im właśnie, że należymy do jednego z wymarłych szczepów, który dawniej był ich sojusznikiem - poinformował pospiesznie Renę. - Mam nadzieję, że to się sprawdzi; według historycznych opowieści, są oni, niestety, znani z...

Jedna z postaci wysunęła się na swym wierzchowcu nieco przed linię jeźdźców i coś odkrzyknęła. Twarz Lorryna rozjaśniła się.

- Udało się! - krzyknął. - Dają nam gwarancję bezpieczeństwa, jeśli pojedziemy, by spotkać się z nimi.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - Rena trzęsa się ze strachu, choć próbowała to ukryć.

- W gruncie rzeczy nie mamy wyboru - odparł. - Już nas zauważyli, a jeśli zawrócimy i zaczniemy uciekać, to natychmiast wyruszą w pościg. Z pewnością są świetnymi tropicielami, a my nie bardzo umiemy maskować swe ślady, więc prędzej czy później nas znajdą. Nie, lepiej, jeśli zaprezentujemy się jako osoby na tyle silne, by nie ośmielili się wrogo do nas odnosić. - Wychylił się ze swego wierzchowca i poklepał ją po dłoni. - Doskonale wiem, co czujesz; ja doprawdy bardzo się cieszę, że jadę na grzbiecie tego zwierzęcia, bo nie byłbym w stanie podejść do nich na własnych nogach. Musimy jednak zachowywać się tak, jakbyśmy tu byli u siebie i dorównywali im siłą. - Uśmiechnął się do niej. - No, dalej! Postaraj się wyglądać zuchwale. Pomyśl o Gildorze.

Zmusiło ją to do słabego uśmiechu, a brat raz jeszcze poklepał ją po ręce.

- Potrafisz oswajać alikorny, pamiętasz? Wyłącznie dzięki tobie mieliśmy co jeść i było nam ciepło. Jesteś mądra i odważna, i nie chciałbym mieć nikogo innego u swego boku podczas tej przeprawy. Jedźmy!

Kiedy podjeżdżali w górę zbocza w kierunku czekających jeźdźców, byki zaczęły przesuwać się w bok i cofać, przewracając oczami ze strachu. Jednorogi uniosły wyzywająco łby i szczerząc kły wpatrywały się wyzywająco w byki. Stały przy tym z gracją, jak specjalnie wytrenowane konie. Im bardziej Rena i Lorryn zbliżali się do ciemnoskórych ludzi, tym bardziej byki okazywały strach, aż w końcu wszyscy jeźdźcy musieli zsiąść i trzymać głowy zwierząt, aby powstrzymać je przed ucieczką.

W tym momencie Lorryn zatrzymał się i ponownie krzyknął coś do jeźdźcy, który wyglądał na przywódcę oddziału.

- Powiedziałem mu, że nie chcę bardziej przerazić jego wierzchowców - przetłumaczył Renie, a kiwał głową i odpowiadał. - On mi dziękuje i mówi, że Kukurydziani Ludzie - bo za takich nas uważają - są mądrzy. Mówi też, że alikorny znali tylko z legend, lecz widzieli ich dostatecznie dużo od czasu, gdy rozpoczęli poszukiwania pastwisk i słodkiej wody, by wiedzieć, że są one niebezpiecznymi stworzeniami. Chciałby wiedzieć, jak je oswoiliśmy. - Zaśmiał się miękko. - Zrobiliśmy na nim wrażenie, siostrzyczko!

Mężczyzna trzymał krótko cugle swego byka, który rzucał łbem i próbował się mu wyrwać. Faktycznie wyglądał na poruszonego. Lorryn krzyknął coś do niego, a ten przeniósł pełne podziwu spojrzenie z Lorryna na Renę.



- Uśmiechnij się i pomachaj mu, Reno - zachęcił ją Lorryn. - Powiedziałem mu, że to właśnie ty oswoiłaś jednorogi.

Uśmiechnęła się posłusznie, choć nieco nienaturalnie, i pomachała ręką.

- Czy jesteś w stanie utrzymać tu oba zwierzęta? - spytał, gdy mężczyzna wypowiedział jeszcze kilka zdań. - Zdaje się, że mamy wyjątkową szansę.

Nie była pewna, co brat ma na myśli, wiedziała jednak, że jeśli zsiądzie i będzie stała trzymając ręce na grzbietach obu zwierząt, to te nie poruszą się.

- Jestem w stanie - odparła. - Chciałabym jednak poznać ich mowę, skoro jesteś w posiadaniu zaklęcia języków.

- Później - obiecał i ześliznął się z grzbietu swojego jednoroga, by podejść bliżej do przywódcy ciemnoskórych ludzi.

Ona również zsiadła, zanim ogier zdążył zareagować na nieobecność jeźdźca, i uspokajała oba zwierzęta, dopóki Lorryn i tamten człowiek rozmawiali. Jej zdenerwowanie minęło, gdy zdała sobie sprawę, że ton i postawa mężczyzny nie są może przyjacielskie, jednakże pełne respektu. A ilekroć spojrzał lub wskazał w jej kierunku, ten respekt jeszcze się pogłębiał.

Po chwili wrócił do niej Lorryn.

- Później opowiem ci wszystko dokładnie. W każdym razie wytłumaczyłem mu, że jesteśmy ostatnimi z naszego szczepu i że szukamy naszych dawnych sprzymierzeńców, czyli ich, żeby ich powiadomić, jak wygląda sytuacja na ziemiach będących we władaniu elfów. Oswojone jednorogi zrobiły na nich ogromne wrażenie, więc zostaliśmy zaproszeni, by skorzystać z prawa, które daje nam nasz odwieczny sojusz i przyłączyć się do nich. Ci ludzie związani są z naczelnym kapłanem o imieniu Diric i pragną, żebyśmy przynajmniej z nim się spotkali. - Przerwał i spojrzał jej poważnie w oczy. - Reno, jeśli ma to być dla ciebie powodem do niepokoju, to pójdziemy swoją drogą. Jednak u tych ludzi znajdziemy schronienie i jedzenie, a sądząc po tym, co przeczytałem, będziemy przy nich bezpieczni. Decyduj.

Przenosiła wzrok z niego na dowódcę i z powrotem. To byli ludzie, w dodatku obcy, lecz przynajmniej były to istoty myślące.

Lepsze to niż jazda przez niekończące się morze traw na grzbietach zwierząt, które być może lada moment będą musieli zostawić.

W tej chwili wydawało się to najlepszym wyjściem.

- Co mam zrobić z alikornami? - spytała.

- Czy możesz je stąd odesłać? Byki ich nie zniosą. Zresztą Haja mnie o to prosił.

Skupiła się przez chwilę, po czym skinęła głową na znak zgody.

- Idź i powiedz mu, że udamy się z mmi, a potem daj mi trochę czasu.

Poczekala, aż odszedł i przyłączył się do mężczyzny, którego nazwał Haja, po czym po raz ostatni skierowała działanie swej magii na jednorogi. Skoncentrowała się na zwiększaniu ich pragnienia znalezienia innych członków swego gatunku, dopóki nie przewyższyło ono wszystkich innych pragnień, łącznie z chęcią zaatakowania byków. Potem zabrała ręce z ich grzbietów.

Zwierzęta stanęły dęba, przerażając byki i ich jeźdźców, a następnie obróciły się gwałtownie na tylnych nogach, kierując łby na zachód. Kiedy tylko ich przednie kończyny dotknęły ziemi, natychmiast ruszyły, i to nie szybkim truchtem, lecz biegiem, z rozwianymi grzywami i postawionymi ogonami, błyskając w słońcu pazuro-kopytami. Wyglądały wspaniale. Obserwowała z lekkim żalem, jak się oddalają. Pod pewnymi względami będzie jej ich brakowało - ale nie na tyle, by pragnęła ich powrotu.

Trzymając głowę uniesioną równie wysoko jak jednorogi, pomaszerowała w kierunku Lorryna i jego nowego sojusznika. Zbliżając się, w przyływie radości zdała sobie sprawę, że pomruki, dobiegające ze strony jeźdźców, są wyrazami podziwu.

Wyglądało na to, że jeśli tylko uda im się utrzymać maskujące ich rzeczywisty wygląd złudzenie, to może być to najlepsza rzecz, jaka się im zdarzyła od początku ucieczki!

## ROZDZIAŁ 7

Żelaźni Ludzie od wielu dni nie przenieśli swego obozu, co Shanie bardzo odpowiadało. Obawiała się bowiem, że jeśli wyruszą w drogę, to trasa ich wędrówki zaprowadzi ich małą grupkę jeszcze dalej od cytadeli, niż byli obecnie. Na szczęście w tym miejscu znajdowały się dobre pastwiska i woda, a dopóki był dostatek trawy, Żelaźni Ludzie nie mieli ochoty się stąd ruszać.

Było to korzystne dla grupki więźniów. Mieli teraz czas na układanie planów, jak się stąd wydostać. Shanę ogarniał coraz większy niepokój z powodu tak długiej nieobecności w cytadeli. Nie, żeby sądziła, że Denelor i pozostali nie potrafią zarządzać wszystkim sami, lecz...

Lecz... różne rzeczy się zdarzają, czasami...

Ich namiot o wołokowych ścianach zachowywał wewnątrz zdumiewający chłód podczas południowego upału. Boki lekko zrolowane tuż przy poziomie podłogi wpuszczały chłodny wietrzyk, a nagrzane powietrze unosiło się w górę i ulatywało otworem do odprowadzania dymu. Ponieważ nie zlecono im żadnych obowiązków, większość czasu wolnego od przesłuchań spędzali we względnym komforcie namiotu. Zresztą, dokąd mieliby tu chodzić? Ileż można się przyglądać pasącemu się bydłu? Kalamadea uznał za pewną rozrywkę przyglądanie się bojowym ćwiczeniom młodych wojowników, lecz te odbywały się w chłodzie poranka. Ponadto wszyscy próbowali wyjaśnić zagadkę, co blokuje ich magiczną moc, nie udało im się jednak dostrzec ani wyczuć, żeby ktokolwiek praktykował jakieś czary.

- Jesteś pewna, że możemy otwarcie rozmawiać przy tych dwóch kręcących się w pobliżu? - szepnął Mero, ruchem głowy wskazując dwóch elfów drzemiących po swojej stronie namiotu.

W ciągu dwóch dni od pojmania oddziału Shany, starzy więźniowie i nowo przybyli osiągnęli swego rodzaju układ pokojowy. Namiot został przedzielony na pół, co podkreślało odpowiednie ułożenie dywanów. Elfowie trzymali się swojej strony, czarodzieje swojej. Haldor nadal ich ignorował; Kelyan po wypyтaniu wszystkich razem i każdego z osobna o szczegóły dotyczące wojny czarodziejów i śmierci lorda Dyrana, zapadł w rodzaj apatycznego odrętwienia. On sam twierdził, że medytuje, lecz Shanie wydawało się, iż raczej gapi się bezmyślnie w przestrzeń jak Haldor.

Zmusiło ją to do zastanowienia, czy trzymam w takich warunkach przez kilka dziesięcioleci, zachowali oni nadal pełnię zmysłów. Nie było tu dla nich kompletnie nic do

roboty ani do przemyśleń, a skoro nuda była rzeczywistym problemem dla elfów żyjących we własnych posiadłościach i mających kontrolę nad swoim życiem, to o ile większą udręką musiała być dla tych dwóch. Przyglądając im się bacznie doszła do wniosku, że byli oni zaledwie cieniami prawdziwych elfów. Szczególnie Haldor wycofywał się w głąb siebie tak długo, aż nie pozostało nic, co świadczyłoby o jego osobowości. Robiło to naprawdę okropne wrażenie. Czyżby oni mieli zachowywać się tak samo, jeśli zbyt długo pozostaną w niewoli?

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie - odpowiedziała teraz szczerze na pytanie Mera. - Żaden z nich nie wykazuje najmniejszej chęci, by odzyskać wolność, a my z kolei wcale nie planujemy ucieczki. Próbujemy tylko znaleźć sposób, jak przekonać Żelaznych Ludzi, by pozwolili nam odejść z wszelkimi honorami, a to nie powinno nikogo wpędzić w kłopoty. Powiedzmy otwarcie, że nie robimy niczego, co naruszałoby warunki, na jakich się tu poruszamy.

Mero wzruszył ramionami.

- No dobrze, rozumiem, o co ci chodzi. Nawet jeśli któryś z nich zacznie opowiadać na nasz temat jakieś historie, to Żelazni Ludzie usłyszą jedynie...

- To, co już wiedzą - dokończyła Shana za niego. - Że pragniemy wrócić do swoich ludzi, że przybyliśmy tu, by szukać kogoś, z kim można handlować i że nie jesteśmy elfami.

- Cóż, w takim razie, jeżeli mamy się do kogoś z nich zwrócić, to najlepiej chyba do Jamala - stwierdził czarodziej. - On jest młody, stara się zmieniać ich obyczaje. Jeśli kogokolwiek uda się przekonać, że korzystniej dla nich jest nas wypuścić wbrew zwyczajowi trzymania jeńców, to właśnie jego. A poza tym, on jest bardzo popularny, na tyle popularny, by ludzie nie kwestionowali jego rozkazów, nawet jeśli wydadzą się im one dziwne albo niezwykle.

Jednak na te słowa Kalamadea zdecydowanie pokręcił głową.

- Jest też bardzo zachłanny i nie wypuści niczego, co raz wpadło w jego ręce. Jesteśmy teraz jego własnością, można tak powiedzieć, a on nie zrezygnuje ze zdobyczy w zamian za obietnicę przyszłego handlu. Poza tym, nie sądzę, żeby jego interesował pokój z kimkolwiek. Jestem przekonany, że jeśli dowie się o istnieniu cytadeli, to będzie raczej starał się ją zdobyć, niż z nią handlować. Nie zauważyłem do tej pory niczego, co zmieniłoby moje zdanie w tym względzie. - Zmarszczył brwi. - Nie podobają mi się też ci, których zgromadził wokół siebie. Wszyscy są wojownikami, a od kiedy to wojowników interesuje coś innego niż wojna? Nie, ja jestem za tym kapłanem, Dirikiem. To on właśnie jest tym, który myśli dogłębnie i dalekowzrocznie. Nie będzie zastanawiał się nad wojną bez rozważenia wszystkich strat, które są z nią nieodłącznie związane.

Teraz przyszła kolej na Kemana, który wzruszył ramionami i rozejrzał się zmieszany.

- Sam nie wiem - przyznał. - Poza tym nie wiem również, w jaki sposób będziemy mogli przekonać kogoś z nich, że nie jesteśmy elfami. - Spojrzał ponownie na Shanę. - Diric z tobą spędził najwięcej czasu, podobnie zresztą jak Jamal, szczególnie od kiedy pozwolili elfom, by nauczyli nas ich języka. Zadali ci więcej pytań niż nam wszystkim razem. A więc, co o nich myślisz?

Shana zagryzła w zamyśleniu wargi.

- Najpierw sądziłam, że powinniśmy skoncentrować się na Jamalu, głównie z powodu jego popularności, ale też dlatego, że obawiałam się podobieństwa kapłana do naszych starych malkontentów. Myślałam, że Diric będzie do nas bardzo uprzedzony, gdyż jesteśmy "zielonookimi demonami", i że raczej zakuje nas w dodatkowe łańcuchy, niż puści wolno. Lecz... nie wiem, czy to dlatego, że jestem kobietą, czy z jakiegoś innego powodu Jamal był wobec mnie niesłychanie arogancki, podczas gdy Diric nigdy nie przestał być uprzejmy. Jestem zdania, iż arcykapłan już teraz wierzy w to, że jesteśmy kimś innym niż elfowie. Ponadto wiem z całą pewnością, że jemu bardziej zależy na nawiązaniu stosunków handlowych, niż na wszczynaniu wojny, wielokrotnie pytał mnie, co dokładnie mamy do zaoferowania na wymianę. Bardzo konkretnie podał mi, czym jest zainteresowany, a więc przede wszystkim ziarnem i metalami, choć wzięłby również surową wełnę i len oraz pewne gotowe towary. Natomiast Jamal próbował mnie zastraszyć, żeby dowiedzieć się czegoś o naszych terenach, skąd dokładnie przybyliśmy i co nasi ludzie posiadają. Dla mnie również, Kalamadeo, brzmiało to jak pytania kogoś szukającego łupu i łatwego obiektu do podbicia. Tak więc biorąc to wszystko pod uwagę, ja osobiście jestem skłonna skoncentrować się na Diricu.

Kalamadea przeniósł wzrok z niej na Mera i z powrotem.

- Dwoje za Dirikiem, jeden za Jamalem i jeden niezdecydowany. - Zwrócił się do Mera. - Chcesz przedstawić jeszcze jakieś argumenty, by przekonać nas, czy my przekonaliśmy ciebie?

Mero podrapał się po nosie.

- W zasadzie aż tak bardzo nie zależy mi na zwróceniu się właśnie do Jamala - powiedział w końcu. - Jeśli wasza dwójka stanowczo głosuje na Dirica, to mogę się z tym zgodzić. - Zrobił żalospną minę. - W końcu, jeśli nawet wiem więcej od was o życiu w posiadłości elfiego lorda, to wy znacznie lepiej umiecie odczytywać czyjeś intencje z tego, co robi i mówi... lub nie mówi.

- Jestem całkowicie przekonana, że należy zwrócić się do Dirica - powtórzyła

stanowczo Shana, a Kalamadea przytakiwał jej energicznie.

- W takim razie zgadzamy się na Dirica - stwierdził Mero. - Przynajmniej nie jest taki przerażający jak Jamal. Stale mam wrażenie, że Jamal jest o włos od zrobienia czegoś zaskakującego i z całą pewnością nieprzyjemnego.

- To może być kolejną oznaką, że nie jest on człowiekiem pokoju - zauważył Kalamadea.

Shana nic już do tego nie dodała; uważała jednak, że Jamal nie ma poczucia bezpieczeństwa - zupełnie jakby zmieniał swój nastrój z szybkością światła. Była o tym przekonana, chociaż sama nigdy nie była tego świadkiem.

- Zmieńmy może teraz temat. Czy któremuś z was udało się odgadnąć dlaczego ani elfia, ani ludzka magia nie działa na tych ludzi? - spytała.

Kalamadea bezradnie rozłożył ręce.

- Ja się poddam - powiedział rozgoryczony. - Nigdy w życiu nie natknąłem się na coś takiego, a jestem starszy od najstarszego elfiego lorda na tym świecie! Potrafię rozmawiać myślami z tobą, Shano, i z Cieniem, lecz nie jestem w stanie dotknąć umysłu żadnego z Żelaznych Ludzi. Potrafię modelować skałę zgodnie ze swoją wolą, lecz obroża uparcie pozostaje odporna. Co więcej, nie mogę się przekształcić. Jeśli chodzi o odczytywanie myśli, to jest to na tyle podobne do ludzkiej magii, że uważam za prawdopodobne, iż mogli znaleźć sposób, by zablokować tę zdolność. Natomiast kompletnie nie pojmuję, jak im się to udało z typowo smoczymi zdolnościami formowania skał i zmieniania kształtu! To jest najbardziej irytujące!

Shana potakiwała z ponurą miną. Jej własne próby nie dały najmniejszego rezultatu, podobnie jak wysiłki Mera.

- Kelyan nie ma pojęcia, jak oni to robią, a ja ani razu nie przyłapałam nikogo na oddziaływaniu magią blokującą naszą. Ja również się poddam,

- Te obroże są bardzo stare - odezwał się cicho Keman.

Shana obróciła się do niego zdumiona.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nie mogą być specjalnie nowe - odparł, - gdyż są zrobione z żelaza, a podsłuchałem, jak ludzie uskarżali się, że od miesięcy nie mieli metalu ani opału do kuźni. Rzecz jednak w tym, że jeśli im się przyjrzyysz, to stwierdzisz, jak bardzo są zużyte. Ich wygląd wskazuje, że mogą mieć już setki lat. W gruncie rzeczy nie sądzę, żeby pierwotnie były przeznaczone dla ludzi czy elfów, raczej dla jakichś zwierząt, prawdopodobnie dla ogromnych psów. Może mają w sobie jakieś zaklęcie chroniące przed oddziaływaniem magii, lecz nie sądzę, by było

w nich coś więcej. W końcu nadal jesteśmy w stanie rozmawiać ze sobą myślami, nie potrafimy tylko odczytywać ich myśli. Nie próbowaliśmy niczego innego poza zmianą kształtu i modelowaniem materii.

Shana powoli kiwnęła głową.

- A więc naszą magię blokuje coś, co tkwi w tych ludziach, a obroże nie mają z tym nic wspólnego?

- Zgadza się, z małą poprawką, że nasze czary nie oddziałują na te obroże - odparł Keman. - W każdym razie to wszystko, co byłem w stanie wymyślić.

- To by jednocześnie wyjaśniało fakt, że elfowie nadal są w stanie tworzyć swoje złudzenia, mimo że noszą podobne obroże - rozmyślał głośno Kalamadea. - To jest logiczne. Ale dlaczego nie możemy zmieniać kształtu?

- Próbowaliście zmieniać się w postać tej samej wielkości co półelf? - spytał Mero, najwyraźniej pochłonięty jakąś myślą.

- Czy też w coś większego lub mniejszego?

- To jest już najmniejsza forma, w jaką możemy się zmienić - powiedział Kalamadea.

- Ja próbowałem przybrać postać wołu, a wczoraj wieczór starałem się wrócić do swej smoczej postaci.

- Która jest większa, znacznie większa. Podobnie zresztą jak wół. - Oczy Mera zwęziły się. - Być może przyczyną, dla której nie możesz się przekształcić, jest to, iż twoje ciało doskonale wie, że nie rozerwiesz obroży, zanim ona zdąży cię udusić w twojej większej postaci. To wcale nie magia ci przeszkadza; to instynkt powstrzymuje cię przed zadławieniem się na śmierć.

Kalamadea i Keman spojrzeli na siebie poruszeni. Po chwili Kalamadea przytaknął.

- Tak, to brzmi bardzo sensownie. Niezależnie od tego, jaki nowy kształt bym przybrał, to jeśli szyja byłaby choć odrobinę grubsza od tej, którą mam obecnie, taki byłby właśnie skutek. Będę musiał się nad tym zastanowić, może razem z Kemanem, i spróbować znaleźć taką postać, przy której nie będzie to problemem. - Zmarszczył brwi. - Kłopot w tym, że nigdy nie nauczyliśmy się przybierać formy, która nie istnieje w naturze. Nie jestem przekonany, czy uda nam się teraz dojść, jak to zrobić.

- Szkoda, że nie udało mi się wydusić więcej z Dirica - odezwała się Shana po długim milczeniu. - Cały czas mam uczucie, że byłabym w stanie rozwiązać tę zagadkę, gdybym tylko wiedziała, o co pytać. - Bawiła się przez chwilę kosmykiem włosów. - Mam wrażenie, że on stara się mnie wyczuć, nie potrafi się zdecydować, czy może nam zaufać. Coś się tu dzieje, między nim a Jamalem, w co nie jesteśmy wtajemniczeni, lecz co może okazać się dla

nas kłopotliwe. Sądę, iż oni są w trakcie subtelnej, sekretnej rozgrywki o władzę.

- Ha! - wykrzyknął Mero. - To faktycznie brzmi sensownie i zgadza się z tym, co widziałem i słyszałem.

- Pasuje też do tego, co ja wiem - dodał Kalamadea. - Nie nazwałbym może Jamala nieroztropnym, lecz z pewnością bardzo mu zależy, żeby mieć nad wszystkim bezpośrednią kontrolę. Jeśli będzie trzeba, to zdobędzie ją nawet siłą - obojętnie, czy będzie chodziło o władzę nad całym klanem, czy o dostęp do ziarna i metali, których obecnie tak brakuje Żelaznym Ludziom.

Keman chrząknął i pomasaował sobie skronie, jakby rozboleła go głowa.

- To jest nie w porządku! W ogóle nie znoszę mieć do czynienia z jakąkolwiek walką o władzę, a tu na dodatek zostaję wrzucony w sam środek zmagania, które zupełnie mnie nie dotyczą.

- A myślisz, że ja czuję się lepiej? - odparowała Shana. - Jeszcze przed narodzeniem znalazłam się w centrum walki o władzę, i tak jest do tej pory! Nikt mnie nigdy nie pytał, czy sobie tego życzę, czy nie!

- Ty masz wielkie *hamenleai*, Lashana - stwierdził Kalamadea z nieodgadzionym uśmiechem na twarzy. - Powiedziałem to już wtedy, gdy Alara przyniosła cię do naszego leża. Ponieważ jesteś zarzewiem wielkich zmian, nie możesz się spodziewać niczego innego, niż tego, że będziesz ogniskiem walk o władzę.

- Stokrotne dzięki - odparła ironicznie.

“Czasem chciałabym, żeby Ojciec Smok zajął swoje stanowisko głównego szamana i... ach, mniejsza o to - pomyślała. - Przybrana matka myśli tak samo jak on, tyle że nie wypowiada się tak pompatycznie”.

- Bardzo proszę - odparł z równym sarkazmem, lecz bardziej żartobliwym tonem. - Ja tylko zwracam twoją uwagę na fakty, Lashano; nie jestem za nie odpowiedzialny.

Prychnęła w odpowiedzi.

- Fakty, czy nie fakty, znajdujemy się tutaj, a ja chciałabym znaleźć sposób, abyśmy stąd mogli odejść. Tak więc, czy ktoś ma jakiś pomysł, jak zbliżyć się do Dirica?

Z zewnątrz namiotu dochodziły odgłosy jakiegoś zamieszania, lecz Shana nie zwracała na nie uwagi. Bardzo często coś się tam działo: kłótnie pomiędzy młodymi wojownikami, hałaśliwe zabawy gromady dzieci, czasem jakiejś krowie strzeliło do łba, by przebiec przez środek obozu. Na ogół takie hałasy milkły po niedługim czasie.

Tym razem jednak nie. W gruncie rzeczy gwar tłumu stale się nasilał przez jakiś czas.

- Co tam się dzieje na zewnątrz? - zastanowiła się głośno, wstając. Okręciła luźny



koniec łańcucha wokół nadgarstka i podeszła do wejścia, a za nią podążyla pozostała trójka i dwaj elfowie.

Wynurzyli się z namiotu w oślepiające światło i żar popołudnia; miała wrażenie, jakby słońce uderzyło ją w oczy. Osłoniła je dłonią i wpatrzyła się w stronę, skąd dobiegał hałas.

Mogła nawet zrozumieć, co krzyczą, gdyż po długim ich przymilaniu się, Haldor uległ wreszcie i poddał całą ich czwórkę działaniu czegoś, co elfowie nazywają "zaklęciem języków". Następnie podzielił się z nimi całą swoją i Kelyana znajomością języka Żelaznych Ludzi.

- Czy oni mówią coś o "Kukurydzianych Ludziach"? - zapytała Kalamadeę ze zdumieniem.

- Tak - odparł smok, marszcząc brwi. - Ale to niemożliwe. Był to szczep, który sprzymierzył się z grełowymi jeźdźcami w walce przeciw elfom. Na swoje nieszczęście byli rolnikami, a nie koczownikami. Nie chcieli opuścić swojej ziemi, a poza tym nie posiadli umiejętności walki - w kwestiach obrony polegali zawsze na swych sojusznikach. Kukurydziani Ludzie zostali wybici na długo przed pierwszą wojną czarodziejów, a ich dzieci zamieniono w niewolników. W tej chwili nie ma już Kukurydzianych Ludzi.

Powiedział to z takim przekonaniem, że nie mogła wątpić w jego słowa, a jednak taki właśnie był sens dochodzących zewsząd okrzyków. Jeśli więc nie ma Kukurydzianych Ludzi, to co...

Wrzawa zbliżała się do nich, najwyraźniej tłum podążał w tym kierunku.

Chwilę później skłębiona masa przelała się przez lukę między namiotami. W centrum kłębowiska znajdowała się grupka kapłanów eskortująca dwójkę złotowłosych, jasnoskórych ludzi, którzy na tle ciemnoskórych Żelaznych Ludzi wyglądali jak stokrotki na świeżo poruszonej ziemi. Wyraźnie było widać, że nieznajomi, choć otoczeni, nie są więźniami - kapłani traktowali ich z wszelkimi oznakami szacunku, należnymi cenionym gościom. Nie mieli też na sobie obroży i łańcuchów.

Przetoczył się obok nich cały tłum ludzi popychających się wzajemnie, przy czym nikt nie okazał ani cienia zainteresowania więźniami.

Oprócz jednego z nowo przybyłych.

Mężczyzna z tej pary spojrział w górę, przechwytyjąc spojrzenie najpierw Shany, potem Mera, i jego oczy rozszerzyły się zdumieniem. Otworzył usta, jakby zamierzał coś krzyknąć.

Lecz było już za późno, już ich minął, niesiony przez tłum zmierzający do namiotu Dirica.

Lorryn nie byłby bardziej zdumiony, gdyby ujrzał lorda Tylara figlującego sobie wśród tych nomadów. Tam było dwóch elfów z obrożami na szyjach i łańcuchami wokół nadgarstków, a obok nich... czwórka czarodziejów w podobnej sytuacji!

Jak mogło do tego dojść. I dlaczego?

“Nie mam teraz czasu się tym martwić” - skarcił się w duchu, rzucając nerwowo wzrokiem na tłum. Chlubił się tym, że potrafi odczytywać ludzkie uczucia, a nie podobało mu się to, co teraz wyczuwał. Wprawdzie on i Rena pod postacią “sojuszników” byli dla nich w tej chwili podniecającą nowością, lecz na podstawie subtelniejszych sygnałów doszedł do przekonania, iż Kukurydziani Ludzie jako tacy byli uważani za coś niższego niż klan Żelaznych. Wyraźnie wyczuwał atmosferę rozbawionej wyższości kapłanów w stosunku do nich, kiedy tylko minął wstrząs wywołany ich odkryciem. Lorryn przypuszczał, że zna tego przyczynę. Otóż Kukurydziani Ludzie byli rolnikami, a nie koczowniczymi pasterzami. Nie byli szczególnie dobrymi wojownikami, chociaż mężnie utrzymywali się na swoich pozycjach, by osłonić odwrót sojuszników na południe. W historiach, które czytał. Kukurydziani Ludzie w sprawach obrony polegali zawsze na Żelaznych Ludziach i płacili za nią ziarnem oraz towarami, które mogła wyprodukować tylko osiadła ludność.

W tej sytuacji tym ważniejsze było utrzymywanie iluzji pełnego człowieczeństwa, maskującej Renę i jego. Ponadto należało się spodziewać, że kiedy wszyscy przywykną do nowości, którą są dla nich w tej chwili jasnowłosi Kukurydziani Ludzie w środku ich obozu, on i Rena będą tu zaledwie ostrożnie tolerowani. Zresztą, cóż oni przynieśli ze sobą dla tych ludzi? Kompletnie nic. Ani ziarna, czy choćby nadziei na jego dostarczenie, ani zdolności wojennych. Tylko umiejętność osławiania alikornów, zwierząt, których byki i tak nie będą tolerowały. Nie było to specjalnie użyteczne, natomiast ujawnienie innych talentów wpackowałoby ich raczej w jeszcze większe kłopoty, zamiast pomóc im się z nich wydostać.

Kapłani, którzy “powitali” ich dwójkę, nalegali, by udać się prosto do ich głównego kapłana, na co Lorryn wyraził zgodę, chociaż wyczuwał, że za tą prośbą kryje się coś, o czym mu nie powiedzieli. Swoją drogą, denerwujące było uczucie, że nie może dotknąć ich myśli, choćby nie wiem jak się starał. Był tak przyzwyczajony do odczytywania ludzkich myśli, że miał teraz dziwne poczucie częściowej głuchoty lub ślepoty. Czy tak właśnie czuła się Rena? Lub zwykli ludzcy niewolnicy bez czarodziejskich zdolności? Jeśli tak, to było mu ich bardzo żal.

Zostali wprowadzeni do ogromnego wozu-namiotu, gdzie powietrze przesycone było aromatycznym dymem. Zasłona wejściowa opadła za nimi i przez moment wydawało się, że są tu zupełnie sami. Kiedy jednak oczy Lorryna przyzwyczyły się do ciemności, zauważył

jakieś poruszenie w najdalszym końcu namiotu.

- Zdaje mi się, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, pogromco jednorogów - odezwał się stamtąd cicho głęboki, rozbawiony głos.

Lorryn wzdrygnął się.

- Ja? - zaczął niewinnym tonem. - Jak mógłbym być kim innym niż tym, kogo widzisz?

Rena przylgnęła do jego ręki, zdezorientowana nieznanym językiem i najwyraźniej niespokojna. Wpatrywał się w cienie, starając się wyrobić sobie jakieś pojęcie o wyglądzie rozmówcy. To było nie w porządku, że ci ludzie są tak ciemni, trudno ich było dojrzeć w tym półmroku.

Po chwili ktoś podniósł się; od plamy mroku w formie krzesła oderwał się ludzki kształt i przesunął się do przodu.

- Ja jednak twierdzę, że nie jesteś tym, kim wydajesz się być - kontynuował głęboki głos - ponieważ pozornie jesteś jednym z Kukurydzianych Ludzi, lecz pod tym płaszczykiem dostrzegam coś jeszcze. Coś, co skłonny byłbym nazwać "zielonookim demonem", gdyby nie to, że niedawno przyprawiono do mnie cztery istoty niezwykle podobne do ciebie.

Wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o popielatych, krótko przyciętych włosach skręconych w drobne loczki wkroczył w smugę światła wpadającą do wnętrza przez otwór w szczycie namiotu i stał przed Lorrynem z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Kiedy skierował wyzywające spojrzenie na Lorryna, ten zmartwiał.

- A więc powiedz mi, kim właściwie jesteś, poskromicielu jednorogów - nalegał nieznajomy. - Powiedz mi, jak to się dzieje, że ty i czwórka moich więźniów macie podobny wygląd, podczas gdy ta, którą nazywasz swoją siostrą, wygląda dokładnie jak pozostała dwójka, którą mam w łańcuchach?

"On wie, kim jesteśmy! Potrafi przejrzeć naszą iluzję - myślał Lorryn w panice. - O Przodkowie, cóż mam teraz zrobić?"

Właściwie to nie miał specjalnego wyboru. Powiedzieć prawdę? Wydawało się to jedynym wyjściem.

- To bardzo długa historia - zaczął ostrożnie.

Po raz pierwszy mężczyzna, który musiał być arcykapłanem, pozwolił sobie na leniwy, ostrożny uśmiešek.

- Zawsze znajdzie się czas na wysłuchanie długiej opowieści - odparł.

Lorryn zaczął więc od samego początku, a kapłan często mu przerywał, by zadać jakieś konkretne pytanie. Zanim dotarł do końca swej opowieści, światło wpadające przez

otwór dymny dotarło do połowy wysokości ściany namiotu, a on kompletnie zachrypl.

- Nie przychodzi mi na myśl nic więcej, co mógłbym ci powiedzieć - zakończył. - Dwóch twoich więźniów jest elfami, to ci, których nazywasz zielonookimi demonami; pozostała czwórka to mieszańcy, podobnie jak ja. Moim zdaniem czarodzieje faktycznie byliby zainteresowani handlem z wami, dokładnie tak jak twierdzą. Zapewne potrzebni im są wszyscy sojusznicy, których uda im się zdobyć przeciw elfom.

- Interesujące. - Mężczyzna potarł podbródek i patrzył na Lorryna niewidzącym wzrokiem. - Jestem skłonny ci wierzyć. Muszę przemyśleć to wszystko, o czym mi opowiedziałeś; najwyraźniej sytuacja uległa wielkiej zmianie od czasów, kiedy moi ludzie uciekli na południe. - Jego wzrok ponownie skupił się, a spojrzenie, które rzucił Lorrynowi, sprawiło, że ten zadrżał wewnątrz; w całym swoim życiu nie spotkał nikogo o tak silnej osobowości. - Podtrzymujcie swoje złudzenie; jestem zapewne jedynym, któremu udało się je przejrzeć, gdyż świadomie nastawiłem się na niewiarę w nie, kiedy tylko doniesiono mi o waszym przybyciu. Dla pozostałych będziecie nadal Kukurydzianymi Ludźmi. Będą was tolerowali, chyba że powiem coś przeciwnego.

“Właśnie marzyłem, żeby to usłyszeć” - pomyślał Lorryn, tłumiąc dreszcz.

- Wódz wojenny na pewno uzna, że nie ma w was nic ciekawego - ciągnął najwyższy kapłan. - Z Kukurydzianych Ludzi nie było nigdy żadnego pożytku podczas działań wojennych, więc logicznie rzecz biorąc, odda was pod moją pieczę. Cieszcie się z tego. Gdyby on przeniknął waszą iluzję, to wasz los byłby znacznie gorszy niż przy mnie. A sądzę, że wasze złudzenie nie wytrzymałoby jego pragnienia, by posmakować odmienności tej twojej siostry.

Uniesione brwi kapłana nie pozostawiły Lorrynowi cienia wątpliwości, co te słowa miały oznaczać. Z trudem stłumił pomieszane uczucia strachu i gniewu, które wywołała ta myśl. Kapłan zachichotał na widok wyrazu jego twarzy.

- Nie miej żadnych obaw, że stanie się ona obiektem moich zachcianek, chłopcze; nie interesuje mnie nikt poza moją żoną i towarzyszką życia. Gdyby mnie nie wybrała, zostałyby kobietą-o-męskim-sercu i ćwiczyła z wojownikami; nie ścierpiałaby więc, żebym kierował spojrzenie na inną. - Zachichotał ponownie, jakby rozbawił go ten pomysł. - Zostańcie w pomieszczeniu, do którego was odeślę, a ja będę się zastanawiał nad problemem, który stanowicie, i rozmawiał z duchami naszych ojców oraz z Pierwszym Kowalem.

Ponieważ w rzeczywistości i tak nie mieli żadnego wyboru, Lorryn skinął głową na znak zgody. Kapłan podszedł do wyjścia i zawołał coś przyciszonym głosem. Na to wezwanie pojawił się inny, młodszy kapłan, który wyprowadził ich na zewnątrz, gdzie zachodzące

słońce niemal zniknęło już za horyzontem. Zaprowadził ich do niewielkiego namiotu-wagonu znajdującego się pośród wielu podobnych. Wszyscy znajdujący się tu ludzie byli ubrani tak samo jak ten kapłan i nosili takie same żelazne naszyjniki z filigranowym wisiosem w kształcie płomienia.

Sam namiot był urządzone bardzo prosto - zaledwie parę poduszek i kilka kolorowych kocy oraz wygasły koksownik pod otworem stanowiącym ujście dla dymu. Kiedy tylko zostali sami, Lorryn szybko wyjaśnił Renie wszystko, co zaszło. Podświadomie spodziewał się jej nerwowej reakcji na wiadomość, iż zostali zdemaskowani, lecz ona wysłuchała go do końca bez jakichkolwiek komentarzy.

- Mogło być gorzej - podsumowała. - Będąc kapłanem, mógłby dodać sobie sporo prestiżu, ujawniając prawdę o tym, kim jesteśmy. Nie zrobił jednak tego i nie sędzę, by zrobił w przyszłości. Najwyraźniej toczy się tu jakaś gra o władzę pomiędzy nim a wodzem wojennym. Myślę, że może trzymać nas w odwodzie, by użyć przeciw temu człowiekowi.

Lorryn zdeorientowany zamrugał oczami; skąd jej to przyszło do głowy? Nie znaczy to, że zarzucał cokolwiek jej logice - jej wywód miał sensu aż nadto. Lecz jakim cudem udało jej się tak błyskawicznie to dostrzec?

Rena może nie potrafiła przenikać cudzych myśli, ale z pewnością wyraz jego twarzy był dla niej równie łatwy do odczytania jak jeden z jej romansów.

- Na matce i na mnie odbijały się bezpośrednio wszelkie zmiany w polityce lorda Tylara - wyjaśniła ironicznie. - Nauczyliśmy się bardzo szybko odgadywać stan rzeczy nawet z drobnych wskazówek. Nie miałyśmy wyboru. Musiałyśmy mieć pewność, że jeśli powiemy coś pochlebnego o sprzymierzeńcu z zeszłego tygodnia, to jest on nadal sprzymierzeńcem, a nie aktualnym wrogiem.

- Aha - nie potrafił znaleźć sensownej odpowiedzi. Wejście kobiety z koszykiem jedzenia uratowało go od takiej konieczności. W koszyku znajdował się delikatny biały ser i paski suszonego mięsa, konsystencją przypominające skórę, oraz świeża woda. Rena skrzywiła się, obejrzawszy ten skromny posiłek.

- Bardzo szybko będę miała tego dosyć - stwierdziła, wyjmując pasek mięsa i skubiąc go ostrożnie zębami. - Lepiej będzie, jeśli codziennie przetworzę za pomocą magii garść czy dwie trawy.

- Nie będę się sprzeczał - zgodził się Lorryn, chociaż dla niego mięso i ser stanowiły wspaniałą odmianę po posiłkach z trawy. W ciągu ostatnich paru dni zaczynał już czuć się jak koza. Ziwnął szeroko, uświadamiając sobie dopiero w tej chwili, jak bardzo jest zmęczony. - A na razie, może byśmy odpoczęli, skoro dano nam taką szansę?

Rena powtórzyła jego ziewnięcie, nie mogąc się powstrzymać.

- Ja... ja przypuszczałam, że nie mogłabym zmrużyć oka w takich okolicznościach, lecz...

- Lecz równie dobrze możemy się zdrzemnąć. Nic nie wskazuje na to, by okoliczności się zmieniły, niezależnie od tego, czy będziemy spali, czy nie. To samo dotyczy posiłków; trzeba maksymalnie wykorzystać to, co nam dają.

Wziął kawałek mięsa i nieustępliwie zaczął się w niego wgryzać. Rena wyjęła mu go z ręki, zanim zdołał wyszarpnąć chociaż kęs. Nie zdążył nawet zaprotestować, kiedy oddała go z powrotem.

- Spróbuj teraz - poradziła.

Posłuchał i ku jego zdumieniu okazało się miękkie. Nadal smakowało jak nieprzyprawione, suszone mięso, ale mógł je zjeść, nie wystawiając sobie szczęki.

- Nie sądziłem, że potrafisz to robić też z innymi rzeczami, oprócz roślin - powiedział zdumiony.

- Ja też nie, dopóki przed chwilą nie spróbowałam.

Poczuł, że brwi unoszą mu się w górę. Każdego dnia siostra sprawiała mu coraz to nowe niespodzianki. Tym razem spróbowała oddziaływać swą magią na coś nieożywionego i też jej się udało. Co będzie w stanie zrobić na przykład za miesiąc?

Może dostatecznie dużo, by mogli uciec od tych ludzi? To było możliwe. Po tym wszystkim, co dotąd przeszli, nie był zbyt pochopny w przypisywaniu jakichkolwiek ograniczeń jej potencjalnym możliwościom.

Po krótkiej drzemce udało mu się zgromadzić wystarczającą ilość energii, by rzucić na Renę "zakłęcie języków", zanim ktokolwiek zdążył do nich zajrzeć. Dobrze się stało, gdyż następnego dnia, ledwie zdążyli zjeść śniadanie, przybył kolejny kapłan, by zabrać ich na drugą rundę intensywnych przesłuchań. Tym razem arcykapłan skupił się w równym stopniu na Renie co na Lorrynie, rozdzielając sprawiedliwie pytania pomiędzy nich oboje.

Nie okazało się to żadną ulgą, przynajmniej dla Lorryna. Nieustannie denerwował się, że Rena powie coś nie tak, - chociaż i tak nie wiedział, co należy mówić, a czego nie. Kapłan, który z pewnym opóźnieniem przedstawił im się jako "Diric", był najbardziej zainteresowany tym, co ona wie o czarodziejach.

Wreszcie, po wielu godzinach tych wypytywań, Diric odprawił ich, wypuszczając w przyjemny chłód wczesnego wieczoru.

- Nie rozmawiajcie z nikim innym, a już szczególnie z więźniami - ostrzegł ich surowo. - Bądźcie uprzejmi dla każdego z naszych ludzi, który się do was odezwie, lecz

odpowiadajcie tylko, że Diric nie udzielił wam pozwolenia na rozmowy. Pod tym warunkiem możecie chodzić sobie po obozie i obserwować, co zechcecie.

Nie obraził ich, zabraniając im ucieczki - to była rzecz oczywista. Równie oczywiste było, przynajmniej dla Lorryna, że każda próba użycia magii przeciw Żelaznym Ludziom będzie tak samo bezskuteczna, jak jego usiłowania, by odczytać ich myśli. Przecież gdyby magia mogła kogoś stąd uwolnić, to ani dwaj elfowie, ani czwórka czarodziejów nie byłiby nadal w niewoli.

Przez resztę wieczoru włączyli się po obozie, przyglądając się wszystkiemu. Nikt ich nie zatrzymywał ani nie rozkazywał, by poszli gdzie indziej, a ludzie bardzo chętnie z nimi rozmawiali i odpowiadali na pytania. Pomimo zagrażającego im niebezpieczeństwa Lorryn był tym wszystkim zafascynowany; nigdy nie spotkał kogoś żyjącego podobnie jak ci koczownicy.

Całe ich życie obracało się wokół bydła, które dostarczało im co najmniej połowy pożywienia. Ściany namiotów wykonane, jak początkowo sądził, z wełnianego wojłoku, okazały się być zrobione ze starannie pielęgnowanej, zimowej sierści, którą te zwierzęta zrzucały na wiosnę. Nazywali się wprawdzie Żelaznymi Ludźmi, lecz równie dobrze mogliby przybrać nazwę Skórzanych Ludzi. Lorryn po raz pierwszy spotkał się z tak wszechstronnym wykorzystaniem skóry. Często to, co brał za tkaninę, okazywało się miękką skórą, cienką i lejącą, tak pomysłowo ufarbowaną i ozdobioną, by przypominała materiał.

Mieli również tkaniny, lecz te zdobywali drogą handlową, jak Rena dowiedziała się od pewnej kobiety zajętej farbowaniem wyblakłej spódnicy w kociołku nad ogniskiem.

- Od wielu księżyców nie było żadnego handlu i żadnych nowych materiałów - powiedziała im ta kobieta, mieszając kijem zawartość kociołka. - Nie jesteśmy biedni, lecz musimy oszczędzać rzeczy wykonane z tkanin, jakbyśmy byli najbiedniejszym klanem na świecie! To bardzo smutne.

Szli dalej owiewani ciepłą wieczorną bryzą, przy czym jeszcze przez jakiś czas towarzyszył im ostry zapach barwnika.

Przy następnym ognisku, do którego dotarli, siedziało kilku wojowników, a wśród nich jedna kobieta, nosząca dokładnie taką samą odzież i broń jak mężczyźni i tak samo traktowana. Tu dowiedzieli się wreszcie, co oznacza określenie "kobieta-o-męskim-sercu", które Diric rzucił w trakcie ich przesłuchań. Ta przy ognisku była właśnie jedną z nich - kobiet, które składały ślubowanie, iż wyrzekają się małżeństwa i dzieci, żeby móc dołączyć do społeczności wojowników. Nie było ich zbyt wiele, a ponadto intensywne szkolenie nadawało szorstkości ich rysom, tak że trudno je było odróżnić od młodych mężczyzn.

Nazwa, którą je określano, odnosiła się nie do ich odwagi, lecz do faktu, że ich serca wybrały drogę zazwyczaj zarezerwowaną dla mężczyzn.

Ciekawe, czy istnieją też “mężczyźni-o-kobiecymsercu”? Kiedy o to zapytał, otrzymał bardzo rzeczową odpowiedź: “Oczywiście, lecz wątpię, żebyś potrafił ich odróżnić od dziewcząt”.

Dowiedział się również, że kowale byli w tej społeczności darzeni szacunkiem na równi z wojownikami. Niestety, już od dłuższego czasu nie mieli metalu do przekuwania, co bardzo denerwowało i niepokoiło wszystkich tych ludzi. W końcu ich bogiem był Pierwszy Kowal, który podarował ludziom ogień i wiedzę o obróbce metali. Fakt, że nie mogli czcić swego boga przez pracę w metalu, stanowił dla wszystkich w obozowisku zachwianie odwiecznego porządku.

Kobiety miały prawo na równi z mężczyznami zajmować się kowalstwem, lecz to, co można było wykuwać, zależało jednak od płci. Mężczyźni zajmowali się raczej zbrojami i bronią, zaś kobiety żelazną biżuterią, noszoną przez obie płcie. Biżuteria męska miała również zastosowanie praktyczne, gdyż stanowiła część zbroi. Wykonywano tu ozdobne ochroniacze na nadgarstki, kostki i szyję, opaski na głowę, pasy. Natomiast kobieca biżuteria, choć też wykonana z żelaza, była najbardziej zdumiewającą tego typu rzeczą, jaką Lorryn kiedykolwiek widział. Delikatne jak czarna koronka, filigranowe ozdoby wykuwane przez kobiety-kowali wzbudziłyby zazdrość każdego elfiego rzemieślnika. Ich wzory były tak piękne i wyszukane, że z pewnością łatwo byłoby zapoczątkować modę na tę biżuterię zarówno wśród elfich kobiet, jak i mężczyzn.

W tej chwili uwagę Lorryna i Reny przyciągnęły dźwięki odległej muzyki. Kierowani nimi, dotarli do namiotu, skąd dochodziły, i tam odkryli, jaki był główny powód, dla którego Żelazni Ludzie nie chcieli uwolnić swych elfich więźniów.

Kiedy minął początkowy szok u Lorryna oraz uczucie pewnej satysfakcji z powodu losu tych, którzy w innym czasie i miejscu byłiby jego wrogami, stwierdził, że pozostał w nim tylko jakiś dziwny rodzaj współczucia dla nich. Jeńcy byli zaledwie karykaturą elfów, którymi musieli być w chwili pojmania. Gdyby nawet jakimś cudem udało im się odzyskać wolność, żaden nie przetrwałby teraz w swoim własnym społeczeństwie. Trudno było odczuwać w stosunku do nich cokolwiek, oprócz litości.

Jednak kiedy Lorryn i Rena powrócili do własnego namiotu, który zapewniał im względne bezpieczeństwo, Lorryn zaczął się zastanawiać, jak długo będzie go jeszcze stać na luksus litowania się nad kimkolwiek, poza sobą.

Dla Kemana przybycie nowych istot, które nazywano Kukurydzianymi Ludźmi, było



zaledwie drugą co do ważności niespodzianką tego dnia. Pierwszą było coś, o czym nie powiedział nawet Kalamadei, ponieważ nie był pewien znaczenia tego, co dostrzegł, ani swoich dalszych zamiarów.

Jedno z jucznych zwierząt, wołów przyuczonych do dźwigania na swych grzbietach ogromnych ładunków, miało smoczy cień.

Dawno, dawno temu, w czasach kiedy ani on, ani Shana nie mieli jeszcze pojęcia o istnieniu elfów i ludzi, Shana pokazała mu, jak można wykryć smoka w zmienionej postaci po czymś w rodzaju towarzyszącego mu "cienia", śladu postaci ujawniającego jego prawdziwą istotę. Im większą część swej masy smok przerzucał na zewnątrz, tym silniejszy był ten "cień", chociaż z tego, co wiedział, tylko jego matka Alara, Shana i on sam potrafili go rozpoznać. Trzeba było wiedzieć, czego się wypatruje, oraz spojrzeć w odpowiednim momencie, żeby go dostrzec. Nie było to podobne do przenikania złudzenia, gdzie wystarczała sama niewiara.

Keman był zafascynowany różnorodnością bydła, które Żelazni Ludzie dostosowali w hodowli do swoich potrzeb, tak że spełniało rolę zwierząt mlecznych i na ubój, koni, osłów i greli. Spędzał więc czas na leniwym obserwowaniu stada i starał się wypatrzeć coś nowego. Tego ranka przyglądał się właśnie zwierzętom jucznym - krótkorogiemu, łagodnemu bydłu o szerokich grzbietach i mocnych nogach - kiedy nagle jedno z nich przyciągnęło jego uwagę, być może dlatego, że poruszało się nieco inaczej niż pozostałe.

Wówczas dostrzegł także inną różnicę - smoczy cień.

Z początku był przekonany, że się pomylił lub że przebywanie w niewoli wpłynęło jakoś na jego umysł, toteż przyglądał się temu zwierzęciu przez cały poranek, dopóki Shana nie zawołała go na naradę po swojej rozmowie z Dirikiem.

Jak tylko spotkanie się skończyło, powrócił do stada, wypatrując tegoż zwierzęcia. Było tam nadal i w dalszym ciągu miało smoczy cień.

Usiadł wygodnie i obserwował je aż do chwili, gdy słońce pełznąc po niebie zmierzało w kierunku horyzontu. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z panującego żaru i owadów, które obsiadały go, by napić się jego potu. Starał się znaleźć najkorzystniejsze miejsca do obserwacji, przenosząc się wraz ze stadem, dopóki nie upewnił się całkowicie, że to zwierzę nie zachowuje się tak jak pozostałe.

Chociaż, dokładniej rzecz biorąc, ono postępowało jak pozostałe, z tym, że jego ruchy były odrobinę nienaturalne. Obserwując je przez pewien czas stwierdził, iż wybrało sobie ono konkretnego wołu i naśladowało z ledwie dostrzegalnym opóźnieniem wszystko, co ten robił. Kiedy wół schylał łeb, by się paść, to samo robiła obserwowana krowa. Kiedy wół oglądał się

na coś, ona też. Kiedy wół pokłusował do rzeki, by się napić, krowa podążyła za nim. W końcu wół po południu położył się, by przeżuwać, a ona zrobiła to samo kilka kroków dalej. Krowa ani na chwilę nie odrywała wzroku od wołu, co było zachowaniem niespotykanym u stadnych zwierząt, a szczególnie u samic.

Wszystko to oznaczało, że nie padł ofiarą żadnych omamów - smoczy cień faktycznie był tam, gdzie go widział. To juczne zwierzę było smokiem w zmienionej postaci.

Ponieważ jednak ten smok nie ujawnił się przed nim, nie mógł być jednym z tych, które podzieliły los Shany i czarodziejów, gdyż znały one jego wygląd w postaci półelfa. A więc z jakiego mógł być leża? Było to istotne pytanie, gdyż zakładając, że pochodził z ich dawnego leża, to istniało spore prawdopodobieństwo, iż jest wrogiem i mógłby przyczynić kłopotów Shanie i jemu, gdyby się dowiedział o ich obecności tutaj. A jeśliby okazało się, że jest z innego leża, to trudno przewidzieć, jaki będzie jego stosunek do nich, więc też może stać się przyczyną problemów.

Wyglądało zatem na to, że podejście do niego i przywitanie go nie jest w tej chwili stosownym wyjściem, podobnie jak odezwanie się w jego myślach. Najlepiej chyba zachować milczenie i obserwować rozwój sytuacji.

Siedział więc nadal, przyglądając się zwierzęciu, aż słońce zaszło a mrok zabarwił niebo na ciemnoniebiesko, tak że musiał dostosować wzrok do zapadającej ciemności. Z traw wokół niego unosiły się chmary owadów, a stado szykowało się do snu.

Jego tajną bronią był Kalamadea, gdyż jeśli to był obcy, to obecność Kalamadei, najstarszego smoka ze wszystkich leży, o których słyszał, może go skłonić do ucieczki, gdyby doszło do konfliktu. Chyba, że był to ktoś z ich dawnego leża; to wtedy oddaliłby się zapewne bez żadnej utarczki. Niestety, istniała też najgorsza możliwość, że należy do tej nielicznej garstki, która byłaby szczęśliwa, widząc Kalamadeę równie bezradnego jak on i Shana i że natychmiast wykorzysta swoją przewagę w tej sytuacji.

Debatował tak sam ze sobą i nie doszedł do żadnej konkluzji, aż mrok przeszedł w prawdziwą noc, a wznoszący się księżyc pozłocił grzbiety zwierząt delikatnym świetlnym pyłem. Postanowił już wrócić do namiotu i pozostałych, lecz stwierdził, że coś przykuwa go do stada. Stał więc i gapił się na nie-krowę rozważając, jakie ma do wyboru rozwiązanie tej sytuacji.

“Ciekawe - pomyślał - ona, jeśli to jest “ona”, bo przecież płęć mogła zostać zmieniona wraz z postacią, jest w tej chwili równie bezbronna jak my. Jak to podkreślił Kalamadea, kiedy nas złapano, zmiana kształtu wymaga czasu, więc jeśli podniósłbym raban, nie mogłaby się stąd spokojnie wydostać”.

Nie-krowa obserwowała go równie bacznie jak on ją, gdy łagodny wieczorny wietrzyk rozwiewał mu włosy. Czy dostrzegła jego niezwykle zainteresowanie nią? Czy ona również potrafi dojrzeć smoczy cień?

“Jeśli tak, w takim razie wie. A jeśli wie, to jak tylko się oddalę, może stąd odejść aż poza obręb stada, tam gdzie nie dojrzą jej pasterze”.

To go przekonało; żadne posunięcie nie było w tej chwili możliwe, a nie było czasu, by sprowadzić Kalamadeę. Wkrótce jednak będzie musiał coś zrobić, lecz najpierw należy wymyślić co, i to szybko!

Smok-krowa poruszyła się niespokojnie; po jej ruchu poznał, że zdawała sobie sprawę, iż ją obserwuje. Tym samym zmusiła go do podjęcia jakiegoś działania.

Mógł tylko mieć nadzieję, że to, co za chwilę zrobi, będzie z korzyścią dla nich wszystkich.

Rhiadorana postanowiła przemieszczać się z tym właśnie klanem Żelaznych Ludzi głównie dlatego, że w okresie, który wybrała sobie na przejście swej próby dorosłości, mieli oni wędrować przez tereny należące do jej leża. Jej leże miało zwyczaj wysyłać młodych, po jednym, żeby spędzili przynajmniej jedną porę roku przekształceni w jakąś postać - ogólnie rzecz biorąc taką, w której mogliby szpiegować poczynania ludzi. Ludzi, a nie elfów; posiadłości elfów były zbyt odległe, zupełnie poza terytorium leża. Ponadto elfowie byli zbyt tępi i prości, by stanowić jakieś niebezpieczeństwo, czy choćby wyzwanie dla rodu. Kilka sezonów temu dochodziły pogłoski, że sytuacja wśród elfów drastycznie się zmieniła, ale i tak byli zbyt daleko, żeby się tym przejmować. Życie na równinach i w górach, zarówno na południu i na zachodzie było dostatecznie pasjonujące, więc nie miało sensu wyruszanie tak daleko tylko po to, by doznać przykrości.

Utrzymywanie zmienionego kształtu przez tak długi czas było naprawdę ciężką próbą, lecz w końcu to było sednem całego ćwiczenia. Okazało się, że dobrze wybrała sobie obiekty doświadczalne, gdyż ten klan, zmuszony przez przedłużającą się suszę do przekroczenia zasięgu swych normalnych wędrówek, dokonywał co rusz rzeczy całkowicie nowych dla związanych tradycją Żelaznych Ludzi. Jeśli Dora mogła to prawidłowo ocenić, szykowało się tu rewolucja, gdyż wódz wojenny miał zamiar podjąć próbę zostania jedynym przywódcą klanu. Dora przybrała postać jucznego zwierzęcia, oznakowanego właśnie jego piętnem, więc miała okazję słyszeć dotyczące go plotki, a nieraz nawet być świadkiem jego knozań. Wszystko, czego się w ten sposób dowiedziała, na pewno okaże się bardzo użyteczne dla leża. Ten Jama! miał ogromne ambicje i pragnął rządzić wszystkimi Żelaznymi Ludźmi. Jeśli sprawy dalej będą się toczyły w ten sposób, to może się okazać, że rzeczywiście uda mu się

osiągnąć swój cel, szczególnie jeżeli stary Diric nie doceni jego ambicji lub przebiegłości.

Ten klan był zresztą niezwykle, nawet jeśli nie brać pod uwagę Jamala. Był on jedynym, o jakim Dora kiedykolwiek słyszała, który pojmał elfich jeńców. Może się równie dobrze okazać, iż jest niezwykle jeszcze pod innymi względami, i to na tyle, by stać się zagrożeniem dla jej rodu.

Wszystko to były aż nadto wystarczające powody, zatrzymujące ją tutaj, mimo że minęło już wiele tygodni od momentu, kiedy mogła wrócić do domu. Ród potrzebował kogoś wśród tych ludzi, przynajmniej po to, by wiedzieć, kto zwycięży, Jamal czy Diric, w nieuchronnie zbliżającej się walce o władzę. Tak więc została tu i akurat udawała, że pasie się na skraju stada, gdy przyprowadzono nowych więźniów.

Wyglądali jak elfowie, lecz z pewnością nimi nie byli. Żaden elf nie miał opalonej skóry ani włosów w kolorze innym niż najjaśniejszy blond. Uszy też odbiegały wyglądem od zakończonych jak ostrze dzidy uszu elfich arystokratów. Wpatrywała się ze zdumieniem, jak przyczepiają ich łańcuchami do tylnej części wozu, i kiedy tak im się bliżej przyglądała, przeżyła kolejny wstrząs.

Dwoje z nich miało smocze cienie.

Nie miała wtedy pojęcia, co ma myśleć lub robić. Pod wpływem pierwszego impulsu chciała pospieszyć im na pomoc, lecz rozważa dyktowała ostrożność w postępowaniu. Mogli przecież wcale nie chcieć być ratowani. Może pojawili się tu celowo; mogła to być część jakiegoś ich planu i ratując ich, wszystko by zepsuła.

Istniała również możliwość, że oni też odbywają próbę dorosłości, i wtedy wtrącając się, okryłaby ich niesławą. Smok, który w trakcie swej próby dorosłości natrafił na jakieś trudności, miał obowiązek sam sobie z nimi poradzić. W końcu taki był sens tej próby. Cóż to za osiągnięcie, jeśli ktoś inny miałby pomagać? Wprawdzie nie spodziewała się, by ktoś z pozostałych podążył za nią do tego klanu Żelaznych Ludzi, lecz zawsze istniała taka możliwość.

Jeden z tych smoków przyglądał jej się przez cały dzień i zaczęła podejrzewać, że zorientował się, kim ona naprawdę jest. Ponieważ całe leże wiedziało, że ona tutaj odbywa swoją próbę, więc zapewne ją rozpozna. Co niekoniecznie byłoby złe...

Chyba że nie jest to dorosły smok, a to, co się dzieje, nie jest częścią jego sprytnego planu i zamierza wydostać się z kłopotów jej kosztem!

Zerkała na niego niepewnie, czując narastający głód, którego nie była w stanie zaspokoić żadna ilość trawy. Nawet w tej postaci musiała przynajmniej raz na dwa, trzy dni coś upolować i najeść się prawdziwego mięsa, a w tej chwili miała już dłuższą przerwę.

Zazwyczaj starała się dostać na skraj stada, znikwała w ciemności, zmieniała kształt i odlatywała. Wracała, zanim pasterz zdążył zauważyć jej nieobecność, i znów przez dwa, trzy dni mogła udawać krowę. Lecz w obecności tego obcego musiała być ostrożna. Jeśli spróbuje “odłączyć się od stada”, ten może krzyknąć do pasterza i zwrócić mu na nią uwagę, zanim uda jej się zniknąć. Dopóki on tu był, nie miała odwagi niczego przedsięwziąć.

Przeklinała go w myślach i marzyła o tym, by sprowadzić z nieba burzę, tak jak robią to szamani - pod osłoną porządnej ulewy mogłaby wysliznąć się bez najmniejszego problemu. Jeszcze lepsze byłyby pioruny uderzające w ziemię gdzieś niedaleko. Z pewnością wywołałyby popłoch wśród bydła, a ona odbiegłaby wraz z nim!

Niestety, nie była szamanką, a w górze nie było śladu burzowych chmur. Niebo było paskudnie czyste, z błyskającymi wesoło gwiazdami, a jedyną wonią, niesioną przez wietrzyk, był zapach trawy miazdzonej tysiącami przeżuwanymi pysków.

Zaburczało jej w brzuchu, kurczącym się z głodu i protestującym przeciwko trawie, którą w niego ładowała. Sytuacja stawała się rozpaczliwa!

“Jeśli dalej tu będzie sterczał - pomyślała z wściekłością - to będę musiała zamienić się w jednoroga i sama rozpędzić stado!” Mniejsza o to, że opuści swój posterunek i prawdopodobnie nie zakończy pomyślnie próby. Nie miało to w tej chwili wielkiego znaczenia, gdyż jeśli on ją wyda, to i tak próba nie zostanie uznana.

Chwileczkę! Smok idzie właśnie w jej kierunku! Zamierza bezpośrednio ją zagadnąć!

“Cóż, przyjaciółko - odezwał się w jej umyśle ostrożny głos. - Co mamy począć w tej sytuacji? Ja nie mogę stąd uciec, lecz ty również nie, dopóki cię obserwuję”.

Głos był męski i brzmiał znacznie dojrzej, niż się spodziewała. Lecz było coś jeszcze, był to głos, którego nie potrafiła rozpoznać!

Jak to możliwe?

Skąd mógłby się tu wziąć obcy smok? Sam pomyśl, że istnieje smok, którego ona nie zna - nie, to niemożliwe!

“Kim jesteś” - zadała to pytanie, zanim zdążyła się zastanowić, mając umysł wypełniony zdziwieniem.

“Kemanorel, pierwotnie z leża Lelanola'a - odpowiedział pospiesznie - a obecnie z leża Czarodzieja. A kim ty jesteś? Z jakiego leża pochodzisz?”

Przez chwilę nie była w stanie mu odpowiedzieć; nogi się pod nią ugięły, a szczeka opadła, gdy przyglądała się jego dziwnej ni to ludzkiej, ni to elfiej postaci. Leże Lelanola'a. Co to jest? Nigdy nie słyszała o żadnym innym leżu rodu, oprócz swego własnego! Na ogień i deszcz, cóż to niby jest, leże Czarodzieja?

Więcej niż jedno leże smoków? Czy to oznacza, że było więcej bram, przez które smoki przedostały się do tego świata? Czy to możliwe, żeby istniały inne leża, o których istnieniu nawet się nie śniło nikomu z jej rodu?

“Rhiadorana - odparła słabo po długiej chwili milczenia. - Z... z jedyne go leża, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Ono nawet nie ma nazwy. Sądzę, że musimy porozmawiać!”

Cisza, która po tych słowach nastąpiła, była wypełniona zdziwieniem przypominającym jej własne.

“Ja... ja też tak uważam - usłyszała powolną odpowiedź po chwili dręczącego oczekiwania. - I teraz chyba jest na to najlepsza pora”.

Shana nie spodziewała się tak późno w nocy kolejnego wezwania do głównego kapłana, więc kiedy przyszedł po nią jeden z jego podwładnych, jej pierwszą reakcją był strach. Zdażyła zauważyć kątem oka, że Kemana nie ma na jego posłaniu. Czyżby próbował uciec i został zatrzymany, albo, co gorsza, zraniony lub zabity? Jaki mógł być inny powód tego wezwania w środku nocy?

Kalamadea i Mero zerwali się w tej samej chwili, lecz zostali stanowczo odesłani na swoje miejsca przez kapłana, który był uzbrojony i mógł siłą wyegzekwować swoje polecenie. Na zewnątrz czekało zapewne z pół tuzina innych, których mógł zaalarmować jednym słowem. Obydwaj patrzyli więc bezsilnie, jak Shana wyczołguje się ze swego posłania i podnosi się powoli, a ich oczy odzwierciedlały tę samą obawę, która sprawiała, że jej żołądek zaciskał się w ciasny supeł.

Kapłan ponaglił ją, żeby za nim szła. Zerknęła jeszcze na pozostałych, wruszyła ramionami i odsunęła klapę namiotu, wychodząc w ciemność. Było późno, naprawdę późno. W całym obozie panowała kompletna cisza, poza odległymi odgłosami dochodzącymi od stada i brzęczeniem owadów w trawie. W nocnym powietrzu wyczuwało się tę dziwną ociężałość, która pojawiała się dopiero wówczas, kiedy noc minęła półmetek. Wilgoć, cisza i chłód. Shana zadrżała - nawet nie z zimna ani ze strachu, lecz dlatego, że została wyrwana z głębokiego snu. Czując niepokój i napięcie nerwów, ruszyła w stronę kapłana i spodziewanego pół tuzina strażników. Księżyc zniknął i wygaszono już większość ognisk; jedynym źródłem światła była trzymana przez kapłana latarnia. Ziewnęła i skrzyżowała ręce na piersi, próbując zachować resztki ciepła z łóżka. Jednocześnie studiowała bacznie twarz przewodnika, starając się coś z niej wyczytać.

Był poważny, ale nie wyglądał na rozzłoszczonego czy choćby specjalnie poruszonego. Może w takim razie nie miało to nic wspólnego z Kemanem?

Kapłan zaprowadził ją do namiotu Dirica, lecz po raz pierwszy nie wszedł na stopnie i nie podążył za nią do wnętrza. Gestem ponaglił ją tylko, by wspięła się sama i pilnował, czy wykona jego polecenie. Drewno zatrzeszczało pod jej powolnymi krokami. Potem złapała ciężki wołok klapy namiotu i odsunęła ją na bok, wślizgując się do przesyconego zapachem kadzidła, ciepłego wnętrza.

Diric siedział na poduszkach, ubrany w luźną szatę; znużony, jakby sam też został wyrwany z niespokojnego snu. Nad jego głową płonęła lampa. Nie był sam - obok wejścia w pozie oczekiwania stał jeszcze ktoś.

Osobą tą nie był, jak się z początku obawiała, Keman.

Nie był to również człowiek ani elf. Kształt jego uszu, blask szmaragdowych oczu, które na nią zwrócił, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że jest czarodziejem. Pozostawał tylko jeden problem.

Ona i Mero byli jedynymi czarodziejami w tym obozowisku, a Mero pozostał w namiocie.

- Shano! - zabrzmiał w ciemności cichy głos Dirica. - To jest Lorryn. Poprosiłem go, żeby zrzucił złudzenie, które go maskowało. Sądzę, iż wiesz, kim on jest, chociaż nie znasz go osobiście.

Po chwili osłupienia przyjrzała się jego rysom, nie zwracając uwagi na oczy i uszy i faktycznie go rozpoznała.

- Ty... ty jesteś jednym z tych barbarzyńców, którzy przybyli z kapłanami-zwiadowcami! - wyrzuciła z siebie.

Kiwnął głową, a na jego ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

- A przybrane przeze mnie złudzenie pełnego człowieczeństwa nie było dość dobre, by zwieść kapłana Dirica - odparł ponuro. - Szukałem cię, lecz nie sądziłem, że znajdę cię w takich okolicznościach!

- Konkretnie mnie, czy w ogóle czarodziejów? - spytała z roztargnieniem, podczas gdy Diric obserwował ich oboje z pewną dozą rozbawienia.

- W ogóle czarodziejów... - zaczął, po czym przyjrzał się jej dokładniej, a w jego oczach odzwierciedliło się zdumienie będące echem jej własnego. - Nie - powiedział, potrząsając głową w kompletnym niedowierzaniu. - Nie, ty nie możesz być... z pewnością istnieje więcej niż jedna kobieta o rudych włosach.

“A więc opisano mu, jak wyglądam” - pomyślała.

- Nie mogę? - odparowała, krzywiąc się lekko na myśl o swoim położeniu, zakłopotana, że jest on tego świadkiem. - Dlaczego nie? Dlatego, że Zguba Elfów nie

mogłaby być tak głupia i dać się pojmać podczas zwyczajnej wyprawy zwiadowczej? No cóż, może "Zguba Elfów" nie, lecz obawiam się, że Lashana jest wystarczająco niemądra, by popełnić niejedną bezsensowną błąd. Natomiast jestem znacznie mądrzejsza, jeśli chodzi o ich naprawianie.

Lorryn wpatrywał się w nią bez słowa, więc Diric ponownie przejął kontrolę zarówno nad rozmową, jak i nad sytuacją, z pewnością siebie osoby nawykłej do takiej roli.

- Teraz jestem w pełni przekonany - odezwał się. - Żadne z was, dzieci, nie jest dostatecznie stare lub przebiegłe, by symulować te reakcje, które przed chwilą widziałem, a wasze opowieści potwierdzają się wzajemnie. Nie jesteście zielonookimi demonami, lecz kimś całkowicie odmiennym. - Przechylił się i przysunął do siebie dwie poduszki. - Siadajcie. Większą część dzisiejszej nocy spędziłem bezsennie, rozmyślając nad problemem, który sobą przedstawia. Musimy porozmawiać.

Opadając ciężko na poduszkę, Shana ziewnęła szeroko, nie-mogąc się od tego powstrzymać. "Czy to nie mogło poczekać do rana?" - pomyślała lekko oburzona.

Nie mogłem z tym czekać do rana - odezwał się Diric, jakby odgadując jej myśli. - Po części dlatego, że rano oczy Jamala będą mnie bacznie obserwować, a uszy wyciągać się, by usłyszeć, co mówię. Dzięki temu, że wyrwałem was oboje ze snu, mogę przekonująco utrzymywać, iż Pierwszy Kowal zesłał mi w nocy wizję, która zmusiła mnie do natychmiastowego przesłuchania was.

Shana niechętnie przytaknęła. Lorryn czekał, aż usłyszy coś więcej.

- Nie mam już tutaj takiej władzy jak kiedyś - ciągnął Diric z otwartością, która ją poruszyła. - A z każdym mijającym dniem tej władzy ubywa. Gdyby decyzja zależała ode mnie, już o świcie odeszlibyście stąd wolno, wrócili do swoich ludzi, po czym przybyli ponownie jako nasi sojusznicy i partnerzy handlowi. Niestety, to Jamal tu rządzi, szczególnie w sprawach dotyczących więźniów, a jego wolą jest, byście pozostali tu na zawsze jako widomy znak jego siły i męstwa na stanowisku wojennego wodza. On jest przekonany, że wszystkie zielonookie demony są podobne do tych dwóch, których więzimy. Jest pewien, iż jego klan potrafi podbić ich wszystkich i odebrać im całe bogactwo.

Na te słowa Lorryn potrząsnął głową w gwałtownym przeczeniu.

- Panie, wybacz, lecz nie masz zupełnie pojęcia, czego potrafiam dokonać naprawdę potężni lordowie elfów! - wykrzyknął. - Proszę, uwierz mi, że jeśli wasi ludzie wystąpią przeciw nim bezpośrednio, to mogą zabić jedynie pewną liczbę ich ludzkich żołnierzy, ale nigdy nawet nie zbliżą się do żadnego z nich! Jeśliby nie mogli bezpośrednio użyć przeciw wam swojej magii, to i tak pozostaje jeszcze mnóstwo sposobów, by was pokonać. Mogą



sprawić, że pod stopami waszych wojowników otworzy się otchłań, która ich pochłonie, mogą...

Diric uniósł dłoń, sprzedając jego dalszą przemowę.

- Mówisz do człowieka, który jest już przekonany, młodzieńcze - powiedział miękko.  
- Zdaję sobie z tego sprawę, przynajmniej na tyle, na ile może mieć wyobrażenie ktoś, kto tego nie widział na własne oczy. To Jamala trzeba przekonać, i to właśnie Jamal nie da się przekonać, dopóki nie zobaczy rzezi swojego klanu.

- W takim razie, czego od nas oczekujesz? - spytała Shana, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, jak bardzo są bezradni.

- Nie sprowadziłeś przecież nas tu w środku nocy tylko po to, by nam oznajmić, że nie możesz nas puścić wolno oraz że zdajesz sobie sprawę z tego, iż Jamal zmierza do wojny, której wasi ludzie nie są w stanie wygrać.

Diric spojrział na nią z uznaniem.

- Faktycznie, tak jest - przyznał otwarcie. - Sprowadziłem was tu po to, by was włączyć do swojego spisku, jeśli zechcecie. Albo żebyście zawiązali swój własny. Naprawdę chcę was zobaczyć na wolności. Pragnę zawrzeć przymierze handlowe z waszymi ludźmi i uniknąć konfliktu z demonami. Wszystkie te sprawy wiążą się ze sobą, więc uważam, że naszą dyskusję powinniśmy rozpocząć od tego, w jaki sposób możemy zorganizować waszą ucieczkę.

Po raz kolejny Shana poczuła, że robi jej się słabo z nagłej ulgi. Skupiła uwagę na ostrym zapachu kadzidła, unoszącym się w powietrzu, potem na splocie materiału, który czuła pod ręką, wreszcie na swym własnym ciężarze spoczywającym na poduszce - a wszystko po to, by jakoś odzyskać równowagę.

- Oczywiście, musimy znaleźć taki sposób, żeby wina nie spadła na ciebie - stwierdził Lorryn, gdy Shana usiłowała otrząsnąć się z omdlenia.

Po jego słowach poczuła nagły przyptyw sił.

- Co ważniejsze, jeśli chcemy wykazać głupotę planów wojennych Jamala, musimy to zrobić tak, by wydawało się, że ucieczka nie sprawiła nam najmniejszego kłopotu - uzupełniła. - Powinniśmy się postarać, żeby wyglądało na to, iż możemy w każdej chwili stąd odejść, ale na razie nie mamy ochoty! Czyż nie tak?

Diric zamrugnął, jakby zaskoczyły go jej słowa, po czym skinął głową.

- Byłoby wspaniale, gdyby udało się tak zrobić - odrzekł poważnie. - Naprawdę wspaniale. To zachwiało by przekonaniem Jamala na temat niedościgłych zdolności naszego klanu. Podważywszy przekonanie tak fundamentalne dla jego władzy, będziemy mogli zacząć

ją osłabiać.

Lorryn ściągnął brwi.

- Czyli musimy założyć, że nie będziesz mógł zaoferować nam jawnej pomocy? - zaryzykował pytanie.

Diric przytaknął, co Shany szczególnie nie zdziwiło.

- Może w takim razie jakaś sekretna pomoc - zasugerowała. - Na przykład klucz do tych przeklętych obroży? One przeszkadzają nam w wykorzystaniu części naszych magicznych zdolności. Jeśli chcemy wyrzucić wrażenie, że nie mają na nas żadnego wpływu, to lepiej podaj nam sposób, w jaki możemy się ich pozbyć.

Diric zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym przyznał:

- Nie mam do nich klucza. Ale w końcu jestem kowalem. Myślę, że potrafię albo dorobić klucz, albo wydlubać zamki i zablokować je, tak że obroże będą wyglądały, jakby spełniały swą funkcję, a jednocześnie w dowolnym momencie będzie można je zdjąć. Czy to wystarczy?

- Tak będzie dobrze - stwierdziła Shana, zadowolona. - Będziemy też musieli w tajemnicy sprowadzić do nas Lorryna, żeby nauczył się, jak w pełni wykorzystywać swoje czarodziejskie zdolności. Mero i ja znamy różne sztuczki, do których z pewnością nie uda mu się dojść samodzielnie.

Ku jej zadowoleniu Lorryn obdarzył ją półukłonem.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odparł. - Najlepiej radzę sobie z magią elfów i czytaniem myśli. Jednak poznałem pewne osiągnięcia elfów, które z kolei dla was mogą okazać się nowością. Jakby nie było, jeszcze parę tygodni temu żyłem jako uznany syn i dziedzic lorda Tylara i przechodziłem normalne szkolenie elfiego syna.

Shana uniosła brwi ze zdumienia.

- A to historia! - wykrzyknęła. - Chciałabym ją usłyszeć.

- I usłyszysz, ale nie tej nocy - wtrącił się Diric. Teraz on ziewnął. - To, co powiedzieliście, uspokoiło część moich obaw i teraz ciało moje domaga się odpoczynku, którego przedtem nie zaznało.

Shana próbowała powstrzymać swoje ziewanie, lecz bezskutecznie. Kiedy jeszcze dołączył do nich Lorryn, stało się jasne, że żadne z nich nie ma w tej chwili na tyle jasnego umysłu, by snuć konkretne plany.

- Zorganizuję spotkanie twojej grupki, Shano, z Lorrynem i jego siostrą - obiecał Diric. - Myślę, że uda mi się to załatwić dzięki obdarzeniu rano Kukurydzianych Ludzi wielkim zaszczytem.

Spojrzał wyczekująco na Lorryna, który uśmiechnął się i zadał właściwe pytanie.

- Cóż to będzie za zaszczyt, dostojny kapłanie?

- Mam zamiar zaprosić was, byście stali się częścią mej rodziny i dzielili ze mną namiot. A wy oczywiście natychmiast się zgodzicie, świadomi wyjątkowości takiej propozycji i ochrony, jaką zapewni wam moje stanowisko.

- Oczywiście - potwierdził Lorryn z żartobliwym ukłonem. - A ponieważ jesteśmy zaledwie Kukurydzianymi Ludźmi, a nie wojownikami, i nie przedstawiamy dla Jamala żadnej wartości, uzna on, że desperacko próbujesz dorównać jego osiągnięciu, którym było pojmanie zielonookich demonów.

Diric uśmiechnął się szeroko, a jego białe zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy. Skinął na nich, by się podnieśli, i sam również powstał. Shana usłyszała przy tym, jak trzeszczą mu stawy, i zastanowiła się, nie po raz pierwszy zresztą, ile on może mieć lat.

- No cóż, przyznaję, że jesteście niemal równie przebiegli jak arcykapłan Żelaznych Ludzi, drodzy czarodzieje.

- A ja - odparł Lorryn z chichotem, któremu zawtórowała Shana, gdy oboje zbierali się do wyjścia - przyznaję, że jesteś niemal równie przebiegły jak mieszańcy, drogi kapłanie!

Myre leniwie zataczała koła nad obozowiskiem pełnym dziwnych, czarnoskórych ludzi i obserwowała wszystko, co działo się poniżej. Bez trudu wyostrzyła wzrok do tego stopnia, że orzeł wydawałby się przy niej krótkowidzem. Chociaż leciała na takiej wysokości, że dla patrzących z dołu stanowiła zaledwie kropkę na niebie, ona sama mogła policzyć pierścionki na palcach kobiet czy koraliki w dziecięcej grzechotce.

A kiedy zapadnie zmrok, dodatkowy wojownik będzie patrolował przejścia między namiotami. Nietrudno było podrobić żelazną biżuterię, o ile nie musiała być przedmiotem dokładnych oględzin w świetle dnia.

Sporo już się w ten sposób dowiedziała. Choć co prawda, nie aż tyle, co w handlowych miastach elfów.

Przedtem dzieliła swój czas pomiędzy cytadelę czarodziejów i właśnie te miasta. W cytadeli przebywała zazwyczaj w postaci formacji skalnej, znajdującej się w jaskini, którą Caellach Gwain wybrał na miejsce spotkań swej bandy spiskowców. Natomiast wśród elfów miała kilka przebrań, wszystkie bardzo pomysłowe. Najwięcej emocji dostarczyło jej szpiegowanie pod postacią niewolnika w posiadłości niedosłego męża Reny.

Została tam nawet dłużej, niż miałyby ochotę, ale to, czego się dowiedziała, stokrotnie wynagrodziło jej niebezpieczeństwo.

Prosto stamtąd udała się w swej normalnej, skrzydlatej postaci do nowej cytadeli

czarodziejów. Bez najmniejszego trudu wśliznęła się tam do kompleksu jaskiń i ukryła wśród skał w nie wykończonej ich części, gdzie mogła ich spokojnie podsłuchiwać. To również trwało dłużej, niż chciałaby, lecz zostało sownie wynagrodzone.

Dowiedziała się, że Kemana i Shany nie ma w tej chwili wśród czarodziejów, podsłuchiwała też, w jakim kierunku się udali. W taki właśnie sposób ich odnalazła - podążając ich tropem aż do końca.

Ponadto przekonała się na własne oczy, że czarodzieje spędzają zbyt wiele czasu, debatując nad tym, kto powinien rządzić, a zbyt mało nad przygotowywaniem środków do obrony.

Nic z tego, co odkryła, nie będzie przyjemną nowiną dla jej wielkiego brata, którego właśnie odnalazła, a na dodatek zamierzała przekazać mu te wieści w jak najgorszym dla niego momencie.

W tej chwili przyglądała się z uwagą namiotowi, w którym znajdował się ktoś, z kim pragnęła odbyć pogawędkę.

O, jest! Świetnie! Tak jak miała nadzieję, Jamal wyszedł w końcu ze swego namiotu. Poruszał się sztywnym krokiem, zdradzającym hamowany gniew. Zawsze, kiedy był zirytowany, wybierał się na polowanie, i zawsze sam.

Tak jak zaobserwowała to już przedtem, zatrzymał się tylko na chwilę, by zabrać łuk i strzały ze stojaka na broń, znajdującego się z boku wozu, i wymaszerował z obozowiska. Nikt nie był na tyle odważny, żeby go zatrzymać. Wszyscy wiedzieli, czego się po nim spodziewać, gdy był w takim stanie, i woleli, by wyładował swe humory raczej na dzikich zwierzętach.

Dotarłszy do łąk na skraju obozowiska, Jamal ruszył wielkimi krokami, typowymi dla tych ludzi w sytuacjach, kiedy nie jechali wierzchem na swych bykach. Potrafili w taki sposób przebywać równie ogromne odległości jak wilki, a tym razem Jamal najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru pobicie tego rekordu.

Doskonale. Zależało jej, by znalazł się daleko poza zasięgiem wzroku i słuchu osób w obozowisku, zanim ona przystąpi do następnego posunięcia.

Nadal zataczała koła, lecz tym razem ich centrum stanowił Jamal mała, czarna figurka, płynąca wśród traw jak delfin wśród fal.

Zaraz... zaraz...

Nagle zmienił kierunek, a kiedy zorientowała się, jaką wybrał drogę, aż zadrżała z podniecenia. "Sama nie mogłabym tego lepiej zaplanować" - pomyślała. Zmierzał do płytkiego, ślepego wąwozu, tak odległego od obozu, że równie dobrze mógłby się znajdować

na terenach elfów. Na jego tyłach płynął strumień, do którego przychodziły się paść dwurogi. Zapewne dlatego wybrał to miejsce.

Zawisła w powietrzu jak sokół szykujący się do rzucenia się na zdobycz. Tymczasem Jamal dotarł do wylotu wąwozu, zatrzymał się na moment i w końcu ruszył w głąb.

Tak!

Zanurkowała, ze skrzydłami przyciśniętymi ciasno do ciała ciemny kamień spadający prosto z nieba. Pęd powietrza uderzał ją w nozdrza i w oczy. Aby je osłonić, musiała opuścić drugie powieki.

W ostatnim dopuszczalnym momencie wyrównała lot i rozpostarła skrzydła, po czym machając nimi gwałtownie, zamiast upadku przeszła we wdzięczne lądowanie u wejścia do dolinki.

Jamal gwałtownie się obrócił i otworzył usta ze zdumienia, a łuk i strzały wypadły mu z bezwładnych palców, gdy gapił się na istotę, która nagle pojawiła się na jego drodze.

Jednak jego oszołomienie nie trwało długo; już po chwili oczy mu się zwężyły i ponownie podniósł broń, przygotowując się, by drogo sprzedać swe życie.

Myre roześmiała się.

- Odlóż swoje zabawki, przyjacielu! - huknęła na niego w jego własnym języku. - A nazywam cię przyjacielem nie bez powodu. Istnieje wśród twójgo ludu powiedzenie: "Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem", czyż nie?

Jamal przytaknął jej ostrożnie, najwyraźniej zbity z tropu zarówno tym, że potrafi przemawiać w jego języku, jak i treścią jej wypowiedzi.

- Cóż, w takim razie jestem twoim przyjacielem. Moi wrogowie są twoimi wrogami. Czy mam wymienić ich imiona?

W odpowiedzi na jego ponowne skiniecie głową uczyniła to i obserwowała zadowolenie, odbijające się w jego oczach przy każdej wymienionej osobie.

- Główny kapłan Diric. Dwoje Kukurydzianych Ludzi. I... - zrobiła znaczącą pauzę - tak zwane demony, Shana i Keman, którzy wcale nie są demonami, lecz kimś zupełnie innym.

- Tak jak ty? - spytał szybko Jamal, a Myre pomyślała z uznaniem o jego bystrym umyśle.

- Jedno z nich - odparła. - Które, powiem ci później. Teraz jednak musimy razem ustalić pewne sprawy. Obydwoje będziemy mieli swoją zemstę, a ty - ty obejmiesz przywództwo nad Żelaznymi Ludźmi, którego nie będziesz musiał z nikim dzielić.

Jamal uśmiechnął się i wyprostował, zupełnie już odprężony. Zasalutował jej, rozpoznając pokrewnego sobie ducha w odmiennym ciele. Oddała jego salut i uśmiechnęła

się do siebie. Wszystko przebiegało dokładnie tak, jak sobie zaplanowała.

Życie było naprawdę piękne.

## ROZDZIAŁ 8

Diric wystosował obiecane zaproszenie z samego rana, a Lorryn i jego siostra przybyli pospiesznie z całym swym dobytkiem, depcząc niemal po piętach jego posłańcowi. Prawdę mówiąc, nie bardzo mieli co pakować. Podróżowali rzeczywiście lekko obciążeni, nawet według standardów koczowników. Kiedy pojawili się i stanęli tak szybko przed nim, z nieśmiałościami uśmiechami, w butach mokrych od porannej rosy, zaczął się zastanawiać, co pomyśli sobie Shana, kiedy przekona się, iż siostra Lorryna nie jest bynajmniej czarodziejem.

Powitał ich osobiście, tak jak należało to zrobić w stosunku do osób, które przyjmował do swego domu, lecz decyzję co do miejsca ich ulokowania pozostawił Kali, swojej żonie. Nie miał zamiaru uzurpować sobie nawet cząstki jej władzy, a zgodnie z tradycją, we wszystkich sprawach dotyczących zarządzania namiotami i codziennym życiem słowo żony było decydujące.

- Jesteś pewien, że nie chcesz sam dopilnować ich ulokowania? - spytała, figlarnie unosząc brwi. - Wielu mężczyzn patrzy na to inaczej - skomentowała.

Diric prychnął.

- A to już wstyd i hańba. Co, czyżby musieli udowadniać swoją męskość, odmawiając kobietom jakiegokolwiek samodzielności? Czy to uwłacza ich dumie, jeśli ich kobiety będą decydowały, gdzie ma znajdować się garnek, a gdzie dywanik?

- Młodzi wojownicy chcą być panami we własnych namiotach - stwierdziła Kala, wychodząc z młodymi, podążającymi jej śladem. - Obawiam się, że już wkrótce poczują się takimi panami, że nie będą dopuszczać kobiet do swych szeregów.

Diric mógł na to tylko potrząsnąć głową, lecz jednocześnie uzmysłowił sobie, że jest to kolejny symptom tego, jak Jamal podkopuje odwieczne tradycje Klanu Kowali. Nawet Pierwszy Kowal miał u swego boku Pierwszą Żonę, która dała mu ogień do kuźni ze strzeżonego przez siebie paleniska i nauczyła go wszelkich sekretów kryjących się w płomieniach i węgla. To ona przecież zrobiła miechy kowalskie i obsługiwała je, gdy On wykuwał świat. Kiedy On tworzył niebo, słońce i księżyc, Ona zebrała iskierki z kuźni i umieściła je na nocnym niebie jako gwiazdy, natomiast z dymu znad paleniska zrobiła chmury. Gdy On wykuwał ziemię i morza, ona tworzyła delikatną koronkę roślin, by ją okryła. Kiedy On skupił się na zapelnianiu Ziemi żywymi istotami. Ona dodała im swoje ozdobne drobiazgi - pieśni i barwne pióra ptakom, rogi zwierzętom trawożernym, łuski, futra i włosy we wszystkich kolorach wody, ziemi i nieba.

Mężczyzna, który zapominał o tym wszystkim, nie tylko przeciwstawiał się Bożym prawom, lecz również pozbawiał się dobrowolnie dobrego doradcy i dobrego przyjaciela. Dlaczego brać na siebie więcej obowiązków, skoro jest osoba, z którą można je dzielić? “Hmm - pomyślał - oni nie przejmują jej obowiązków, tylko władzę. Kobieta nadal musi wykonać przypisaną jej pracę, znajdując się w o tyle gorszej sytuacji, że zleca ją głupiec.”

Cóż, była to jeszcze jedna kwestia, na temat której mieli z Jamalem całkowicie odmienne zdanie. Nic dziwnego, że wódz wojenny nie mógł znaleźć żadnej panny, chętnej do zamieszkania w jego namiocie jako żona, skoro wszyscy znali jego poglądy na temat “miejsca kobiety”. Kto wie, czy nie to stało się przyczyną, że całkowicie zaabsorbowała go walka.

Zbeształ się za to, że pozwala tak błądzić swym myślom. Kala tymczasem z uśmiechem wprowadziła gości. Ich wszystkie dzieci już dorosły i nieraz nie wiedziała, co robić z ciężącym jej nadmiarem czasu. Zawsze lubiła kogoś gościć, a teraz, kiedy zawędrowali tak daleko od innych klanów, nie było po temu okazji. Żona doskonale знаła jego myśli i zamiary, więc nie mógł powierzyć bezpieczeństwa tej dwójki jasnoskórych w bardziej pewne i sprawne ręce. Nie minie wiele czasu, gdy pozyska sobie ich zaufanie i będzie to zaufanie dobrze ulokowane. Kala potrafi odpowiedzieć na każde ich pytanie, a z pewnością mają ich niemało.

Z radością zajmie się też odpowiednim ubraniem tej dziewczyny i całe szczęście, że wygląda ona na zgodliwą i chętną do współpracy, bo Kali lepiej się nie sprzeciwić!

Diric musiał teraz przemyśleć kolejny element swego planu - jaką znaleźć wymówkę, by móc często widywać jeńców. Technicznie rzecz biorąc, podlegali oni władzy Jamala, który mógłby krzywo patrzeć, jeśli kapłan będzie ich zbyt często wzywał. Pierwszy Kowal nie zsyła objawień na tyle często, by Diric mógł je nieustannie wykorzystywać jako wytłumaczenie.

“Co prawda, tym razem nikt mnie nie wypytywał o to ich nocne wezwanie - pomyślał zadowolony - a więc ta wymówka jeszcze nadaje się do użytku. Jednak następnym razem musi postarać się o jakiś namacalny dowód objawienia.”

- Kapłanie Diricu!

Niemal podskoczył na to niespodziewane wezwanie od strony wejścia do namiotu, tym bardziej, iż głos ten nie był mu znajomy. Szybko jednak nakazał sobie spokój; być może zbyt się pośpieszył sądząc, że podstęp z objawieniem nie będzie mu tym razem potrzebny.

- Wejść - odezwał się niskim, spokojnym głosem, przybierając pełną powagi minę godną swego urzędu.

Strój młodego mężczyzny, który przekroczył próg namiotu, wskazywał, iż należy on



do grupy wojowników. Jego naszyjnik zdobyły dwie skrzyżowane włócznie, co oznaczało, że jest on jednym z ludzi Jamala, a nie na przykład pasterzem szukającym boskiej porady. Złożył pełen pokłon należny kapłanowi, aczkolwiek z nieznacznym opóźnieniem, dopiero kiedy Diric skierował na niego srogie spojrzenie.

“A więc mam przynajmniej jeszcze tyle władzy w obozie - stwierdził w duchu kapłan.”

- Kapłanie Diricu, przysłała mnie wódz wojenny - powiedział wojownik, kiedy wyprostował się po ukłonie.

Diric czekał na dalszy ciąg, lecz posłaniec najwyraźniej zmagął się sam ze sobą. Dziwne. Gdyby miało to być wezwanie od Jamala, to nie zachowywałby się chyba tak bojaźliwie? Jamal z pewnością wysłałby śmielszego człowieka.

- Wódz wojenny prosi cię o łaskę, o dar twojego czasu - odezwał się w końcu mężczyzna. Diric uniósł jedną brew.

- Dar mojego czasu? Mój czas jest zawsze do dyspozycji moich ludzi, wódz wojenny powinien o tym wiedzieć. Co to za sprawa, która wymaga aż mojej łaski?

Wojownik niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Chodzi o... o niewolników, o nowych więźniów, panie. Wódz pragnie, żebyś wziął na siebie wypytywanie nowych jeńców o ich pochodzenie i miejsce pobytu ich ludzi.

Tym razem obie brwi powędrowały do góry, a zdumienie Dirica nie było udawane.

- Ja? - odparł niedowierzająco. - Ja? Czy takie pytania nie należą całkowicie do wodza wojennego?

Posłaniec przejawiał coraz większe skrępowanie.

- To prawda, panie. Jednak prosi on, żebyś ty przejął te przesłuchania i powiadomił go o tym, czego uda ci się dowiedzieć.

Diric znów przybrał srogi wyraz twarzy.

- Jakż może on mieć powód do takiej prośby? Mój czas jest równie cenny jak jego i poświęcony dbaniu o dobro całego klanu, nie tylko wojowników! Szkoda go na wypytywanie demonów. Tym bardziej, że ma to służyć tylko prowadzeniu z nimi wojny. W przykazaniach Pierwszego Kowala nie ma ani słowa o tym, że musimy toczyć wojnę z demonami, czy to dla samej zasady, czy dla łupów.

Przemowa Dirica brzmiała tak, jakby kompletnie zmienił swoje plany - przedtem chciał on przecież mieć częstszy dostęp do więźniów. Liczył jednak na to, iż wojownik nie będzie o tym pamiętał, a pod wpływem napięcia chwili wymknie mu się coś użytecznego dla nich. A ponadto kapłan miał w pamięci opowieść o Pierwszym Kowalu i sprytnym

Piaskowym Lisie...

“Jeśli będę protestował jak lis, że “nie chcę tego tłustego, czerwonego mięsa, naprawdę nie znoszę tego tłustego, czerwonego mięsa, tylko głupcy jedzą takie tłuste, czerwone mięso”, to może to mięso nie będzie pilnowane.”

Nie zawiódł się.

- Oni... oni nie chcą dłużej z nim rozmawiać, kapłanie Diricu - wykształcił mężczyzna pod naciskiem jego pełnego dezaprobaty spojrzenia. - Ta kobieta zabroniła swoim mężczyznom odzywać się do niego. Jamal nie chce przesłuchiwać ich siłą, bo mogą powiedzieć mu cokolwiek, żeby mieć to już za sobą, a on nie będzie w stanie odróżnić prawdy od kłamstwa. - Przełknął ślinę, a na czoło wystąpiły mu krople potu. - Kobieta twierdzi, że od tej pory będzie rozmawiała tylko z tobą.

Diric ani odrobinę nie złagodził swego wzroku.

- Doprawdy? A dlaczego to kobieta-demon obstaje przy tym, by rozmawiać tylko ze mną? Wcale mi się to nie podoba, wszystko to razem wydaje się podejrzane. Może demony chcą mi wyrządzić jakąś krzywdę! Może obawiają się mocy Pierwszego Kowala i chcą się pozbyć najwyższego kapłana, żeby móc działać bez żadnych przeszkód!

“Wcale nie chcę tego tłustego, czerwonego mięsa!”

Cokolwiek Shana zrobiła, zakłopotало to i rozzłościło Jamala. Dokonała jednak tego w taki sposób, że jeśli wódz straci nerwy, to sprowadzi tym na siebie jeszcze większy wstyd. Och, ta dziewczyna jest naprawdę sprytna! Przyklasnęła jej w myślach, jakkolwiek na zewnątrz nie dał po sobie poznać przepełniającej go radości.

- Ona twierdzi - głos wojownika przeszedł teraz niemal w szept, gdyż hańba jego wodza spadała częściowo także na niego ona twierdzi, że wielokrotnie przedstawiła mu już dowody, iż ona i jej ludzie nie są demonami oraz że ona jest wodzem wojennym swoich ludzi. Według niej Jamal nie traktuje jej z szacunkiem należnym wodzowi ze strony innego wodza. Traktował ją z lekceważeniem, więc teraz ona odwzajemni mu się tym samym. Mówi też, że ty okazałeś jej szacunek należny jeńcowi wojennemu, więc od tej pory będzie rozmawiać wyłącznie z tobą. Złożyła to oświadczenie dziś rano, przy wielu świadkach.

“Ho, ho! Jak szybko się uczy ta sprytna dziewczuszka! Wykorzystała przeciw niemu obyczaj w taki sposób, że nie jest w stanie mu się przeciwstawić.” - Miał ogromną ochotę roześmiać się głośno, lecz udało mu się zachować ponury wygląd.

- Bardzo dobrze - odparł po chwili zwłoki, jakby rozważał prośbę. - Będę rozmawiał z więźniami w imieniu Jamala. Całkiem możliwe, że nie są oni demonami, a nawet jeśli są, będę ufał, że moc Pierwszego Kowala ochroni mnie przed ich wrogością. Być może

uprzejmość wydobędzie z nich to, czego nie udało się pogardzić.

Nie mógł się powstrzymać przed dodaniem tej ostatniej uwagi, pokusa była zbyt silna. Wojownik wciągnął tylko głowę między ramiona, jakby dzięki naśladowaniu żółwia mógł ukryć swój wstyd.

- Możesz przyprowadzić do mnie tę kobietę, kiedy zjem śniadanie - dodał Diric i gestem pokazał mu, że może odejść. Posłaniec z radością skorzystał z możliwości wycofania się.

Po ulokowaniu gości Kala wróciła, niosąc jego śniadanie.

- To czarujące dzieciaki, a dziewczyna dobrze wygląda w tej jasnokremowej dżabie - powiedziała, stawiając przed nim tacę.

- W tej, którą zrobiłam dla Besheby, i z której ona wyrosła, zanim zdążyłam skończyć haft.

Kiwnął głową, choć nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi. Większość ubrań niczym się w jego oczach nie różniła, poza tym, że były nowe lub stare, takiego lub innego koloru, lecz Kala nigdy nie chciała tego przyznać.

- Uważam, że odpowiednio ubrana, będzie się o wiele lepiej czuła - powiedział z aprobatą. - A teraz słuchaj; nastąpiła nagle zmiana sytuacji i chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz. Przed chwilą Jamal przysłał do mnie człowieka...

Opowiedział jej o posłańcu wodza i o wiadomości, którą mu przekazał. Kala siedziała zupełnie nieruchomo, chłonąc to, co mówił. Jej oczy rozbłysły zadowoleniem, kiedy usłyszała o przebiegłości Shany i z zapałem kiwała głową.

- Och, to było świetne posunięcie, mężu! - wykrzyknęła, starając się jednak, by jej głos nie wydostał się poza ściany namiotu. - Teraz możemy łatwiej przeprowadzić twój plan.

- Chciałbym, żebyś pozostała tu ze mną przez chwilę - powiedział tonem prośby. - To znaczy, jeśli masz tyle czasu. Znacznie lepiej radzisz sobie z zamkami ode mnie. Może uda ci się znaleźć taki sposób otwarcia zapieć obroży, żeby nadal wyglądały na zamknięte.

- Z przyjemnością - odparła z szerokim uśmiechem, który przypominał półksiężyc na nocnym niebie. - Chętnie poznam tę tak sprytną dziewczuszkę i może opowiem jej, co charakteryzuje kobietę-o-męskim-sercu, tak żeby mogła przypisać sobie również to miano. To zmusiłoby Jamala do uznania jej za jeńca wojennego, a nie niewolnika.

- Dobrze pomyślane - zachichotał. - Bardzo dobrze pomyślane! Nie przyszło mi to na myśl. To Jamala kompletnie zbije z tropu; wiesz, że jest zdenerwowany, nawet gdy przychodzi mu rozmawiać z naszą kobietą-o-męskim-sercu, więc to doprowadzi go do wściekłości!

Ponownie zachichotał, myśląc o rozdrażnieniu, w jakie wpadnie Jamal, jeżeli Shanie uda się wszystkich przekonać, że jest kobietą-o-męskim-sercu. Wtedy już oficjalnie stanie się ona jeńcem wojennym, a Jamalowi zarówno prawo, jak i obyczaj zabroni poddawania jej podwładnych przesłuchaniom. Nie będzie w stanie wy dostać z niej żadnych wiadomości i sama jej obecność będzie go niepokoiła. Och, Kala była naprawdę przebiegła!

- Przypomniałaś mi raz jeszcze, dlaczego poprosiłem o twoją rękę - powiedział do niej, biorąc jej pulchną dłoń w swoją i ściskając. - Chociaż nadal nie mogę pojąć, czemu przyjęłaś właśnie moje oświadczenia.

- To właśnie dlatego trzymam się twojego namiotu, głuptasie - drażniła się z nim, odwzajemniając pieszczotę. - Ty bardziej cenisz mądrość, która trwa, niż zgrabną, smukłą figurę, która przemija. O, słyszę, że nadchodzą!

Z żalem puścił jej rękę i przybrał godny kapłana wyraz twarzy. Zgodnie z jego przewidywaniami Shanie towarzyszył pełen kontyngent strażników Jamala. Cóż, to ulegnie zmianie; od tej pory będą ją przyprowadzać jego własni ludzie.

“Zaufani ludzie. Sądził, że wie, którzy kapłani są uszami i oczami Jamala, lecz musiał ograniczyć ryzyko do minimum.”

- Więc... - spojrzał srogo na Shanę - o ile dobrze zrozumiałem, chcesz podzielić się ze mną wiadomościami.

Skinęła głową i obrzuciła pogardliwym wzrokiem otaczających ją wojowników, tak żeby stało się jasne, że nie zamierza niczego mówić w obecności podwładnych Jamala.

- Ty wiesz, w jaki sposób okazać szacunek jeńcowi wojennemu i wodzowi, kapłanie Diricu. Daję ci moje słowo - tylko tobie i nikomu innemu - że nie będę sprawiać kłopotów ani uciekać - odparła krótko i stanowczo i zacisnęła usta.

Zastanawiał się, czy dobór słów, których użyła, był przypadkowy, czy rozmyślny, gdyż niedwuznacznie sugerowały one, iż Jamal jest ignorantem, jeśli chodzi o poprawne maniery. Dojrzał grymas na twarzach jednego czy dwóch z jej strażników i skrywane uśmiechy na innych. “Hmm, a może oni podzielają jej zdanie? Ciekawe. Zastanawiam się, ilu spośród własnych ludzi Jamal obraził swym despotycznym zachowaniem - pomyślał. Zerknął w bok na Kale, przypominając sobie ich rozmowę. - Zapewne wszystkie kobiety-o-męskim-sercu. Może powinienem zaproponować im poradę Pierwszego Kowala i przypomnieć, że Pierwsza Córka miała męskie serce i walczyła ramię w ramię ze swym bratem, zdobywając sobie wielką sławę.”

- Wiem - odpowiedział teraz Shanie poważnie. - I mam zamiar nadal, podobnie jak do tej pory, traktować cię z należytą uprzejmością. - Spojrzał na strażników. - Możecie odejść.

Jeniec wojenny dał mi swoje słowo.

Nie zwlekali ani chwili, co skłoniło go do dalszego zastanowienia. Czy spiechli się tak, by wrócić do Jamala z wiadomością, że pomyślnie zakończyli swoją misję, czy też zadanie to napawało ich takim niesmakiem, że jak najszybciej chcieli mieć je za sobą?

Kiedy tylko zniknęli z namiotu, Kala przycisnęła obie ręce do ust, zduszając chichot, a Shana odprężyła się, uśmiechając się do nich obojga.

- Widzieliście, jak zmykali? - wykrztusiła Kala ze śmiechem. - Ale wstyd! Nieprędko pokażą się Jamalowi. Jestem pewna, że postarają się o służbę na nocnych wartach albo w dalekim zwiadzie; w każdym razie poza zasięgiem wzroku Jamala!

- Tak sądzisz? - Diric poczuł niezmierną otuchę; Kala znacznie lepiej od niego potrafiła odczytywać subtelne sygnały ciała czy wyrazu twarzy. - A więc wszystko układa się jak najlepiej. Shano, to jest moja żona. Kala. Kalo, to jest nasz "demon".

- Bardzo mi miło cię poznać - powiedziała poważnie Shana i skłoniła się nisko. Kala machnęła na nią niecierpliwie.

- To niepotrzebne! - wykrzyknęła, chociaż Diric widział, że była zadowolona. - Nie jestem żadną damą demonów, żeby mi się kłaniać.

- Niemniej jednak - odparła Shana - trzeba okazać szacunek tam, gdzie się należy, a mówiąc o szacunku, co sądzicie o mojej grze? Kiedy wróciłam do namiotu, wspólnymi siłami wpadliśmy na ten pomysł, który, jak przypuszczaliśmy, da nam nieograniczony dostęp do ciebie.

Diric z aprobatą pokiwał głową.

- Było w tym pewne ryzyko, lecz nie większe niż to, które już przedtem podjęliśmy. Ponieważ wygłosiłaś swoją deklarację publicznie, Jamal nie mógł zrobić nic innego, niż to, co faktycznie zrobił, bez ściągnięcia na siebie większego wstydu lub otwartego wypowiedzenia wojny między nami dwoma. To ostatnie podzieliłoby klan, a nawet Jamal nie jest przygotowany na takie posunięcie.

Lecz mimo wszystko...

Shana przestępowała z nogi na nogę, dokładnie tak, jak przedtem robił to posłaniec.

- Zdaję sobie sprawę, że ryzyko było większe, niż mówisz - przyznała. - Liczyłam na to, że wasi ludzie nie mają tradycji torturowania więźniów, lecz wiedziałam, iż Jamal może się rozżłościć na tyle, że jego gniew mógł zwyciężyć rozsądek.

Była więc mądrzejsza, niż sądził, i ponad wiek dojrzała. Nic dziwnego; zgodnie z tym, co mówiła, była wszak więźniem prawdziwych zielonookich demonów i zapewne widziane wśród nich okrucieństwa dały jej tę ciężko zdobytą wiedzę.

- Chodź tu i siadaj - powiedział, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając jej słowom. - Kala jest kimś w rodzaju eksperta, jeśli chodzi o zamki, niech przyjrzy się waszym obrożom. - Kiedy Shana bez żadnych oznak sprzeciwu posłuchała go, siadając na jednej z pękatych poduszek, dodał: - Wygrzebaliśmy je ze skarbców Pierwszego Kowala, kiedy schwytaliśmy tych dwóch mężczyzn. Są bardzo stare i nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć podobnych. Jednak kapłanom wraz z wtajemniczeniem przekazywany był nakaz, żeby nie naruszać ich zapasu do innego celu niż trzymanie demonów; nie wolno ich też przetopić ani wykorzystywać do innych celów.

Shana przekrzywiła głowę, tak by Kala mogła obejrzeć zapięcie obroży. Żona kapłana wydawała przy tym ciche dźwięki, jak zawsze, kiedy się czemuś blisko przyglądała, a na koniec kilkakrotnie cmoknęła, co wyrażało u niej zadowolenie.

- Nie ma problemu - stwierdziła ze spokojnym triumfem. - Muszę przynieść swoje narzędzia.

Podniosła się i zniknęła w prywatnych pomieszczeniach, skąd wróciła w oka mgnieniu ze skórzaną saszetką pełną precyzyjnych narzędzi, których kobiety-kowale używają przy tworzeniu biżuterii.

- Ten zamek jest bardzo stary i delikatny - powiedziała, sadowiac się obok Shany, po czym otworzyła saszetkę i wyjęła zestaw do próbek. - Sądząc po jego wyglądzie, został wykonany przez kobietę. Nie jest może prosty, lecz sama robiłam bardziej skomplikowane.

- Czy jest bardzo stary, jak sądzisz? - spytała z zainteresowaniem Shana.

- Bardzo; bardziej, niż mogę ocenić. - Kala badała zamek narzędziem trzymanym pewnie w swych pulchnych, zręcznych palcach. - Podejrzewam, że w czasach, w których został skonstruowany, był najbardziej skomplikowanym zamkiem, jaki ktokolwiek z klanów widział. Coś takiego niełatwo ulega zużyciu, więc trudno ocenić jego wiek według stopnia zniszczenia. Skupiła się tak bardzo, aż w kąciku jej ust ukazał się koniuszek języka, a Diric musiał stłumić w sobie chęć do śmiechu. Zawsze to robiła, jego to zawsze bawiło, a to rozbawienie z kolei zawsze ją denerwowało. - To potwierdza podania przekazywane wśród kobiet, iż to właśnie one znalazły sposób, by uniemożliwić zielonookim demonom korzystanie ze swej mocy, kiedy zostaną pojmane.

- Doprawdy? - odezwała się Shana obojętnym tonem. Kala spojrzała jej w oczy i uśmiechnęła się szelmowsko.

- A więc wypróbowałaś niektóre ze swych pomniejszych czarów i zadziałały, co? Całe szczęście, że nie zastosowałaś potężniejszych, na przykład sprowadzania błyskawic. Byłaby to bolesna lekcja. - Kala uśmiechnęła się szeroko, widząc, jak Shana się wzdrygnęła. - To jest

żelazo, moja panno. Rozgrzewa się, kiedy noszący je stosuje magię. Mniejsze czary słabiej je nagrzewają, tak że można sądzić, iż to efekt działania słońca. Lecz potężniejsze, jak przywoływanie błyskawic z niebios - ooo! - bardzo byś cierpiała, o ile nie skończyłoby się to twoją śmiercią. - Uniosła brwi. - Mój mąż może potwierdzić, że cała ta wiedza o żelazie i ścianie myślowej spłynęła na pierwszych kapłanów podczas snu, wprost z serca Pierwszego Kowala i Jego żony. Lecz to kobiety, jak mówią opowieści, pierwsze pomyślały o zastosowaniu obroży dla więźniów.

- Och - tym razem Shana zmartwiła się i lekko zaniepokoiła. - A dzięki czemu wasi wojownicy są odporni na magię, której przeciwko nim używamy?

- Na to ja znam odpowiedź - odezwał się Diric. - Magia pochodząca z zewnątrz odbija się od żelaza, tak, że ten, kto ma je na sobie, nie ponosi żadnego uszczerbku. Jak więc widzisz, chronią nas nasze zbroje i biżuteria. Chyba że...

- Chyba że magia nie jest skierowana przeciwko wam, lecz przeciw temu, co was otacza - dodała ponuro Shana. - Uwierz mi, że potężni lordowie elfów szybko na to wpadną. Mają oni tę przewagę, że z powodzeniem toczyli wojnę z waszymi przodkami, tymi, którzy uciekli na południe wraz ze swym bydłem. Mam na myśli to, że osobiście walczyli. Ich wiedzie do ciebie nie tradycja, lecz pamięć.

- Co? - spytał Diric przekonany, że ją źle zrozumiał.

- Jeśli wasze legendy opowiadają, że demony żyją wiecznie, to niewiele mijają się z prawdą - powiedziała Shana tak poważnie, że nie mógł w to wątpić. - Wielu elfich władców, którzy walczyli z waszymi przodkami, żyje nadal i ma się dobrze. Nie chciałabym widzieć, co się stanie, kiedy wasi wojownicy ruszą >lo ataku na grzbietach byków, a przed nimi otworzy się w ziemi przepaść.

Ponieważ Diric w swoim czasie miał okazję widzieć tragiczne skutki popłochu wśród bydła na niepewnym terenie, potrafił łatwo sobie wyobrazić, co by się stało. Wzdrygnął się i z wdzięcznością powitał ciche kliknięcie, które oderwało jego myśli od tego obrazu. Okazało się, że Kali udało się otworzyć obrożę i uśmiechając się zdjęła ją teraz z szyi Shany.

- Zauważ, że ci ufam, mój mąż bowiem też ci zaufał - powiedziała, schylając się nad obrożę. - Znasz wszystkie nasze tajemnice i gdybyś była prawdziwym demonem, wszyscy teraz bylibyśmy na twojej łasce.

Shana zaśmiała się tylko i pomacała szyję.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że tak ciężka może być prosta żelazna obręcz.

- To nie kwestia ciężaru, tylko niewoli, której jest oznaką - wyjaśnił poważnie Diric. - Lecz nie znasz wszystkich sekretów, pozostał jeszcze jeden.

- Właśnie, w jaki sposób przeszkadzacie w odczytywaniu swoich myśli? - spytała. - I dlaczego. Przecież elfi lordowie nie potrafią do nich przeniknąć. Jedynie ludzie.

- Lecz ludzie mogą zostać zniewoleni przez demony - przypomniał jej. - Mogą im służyć nawet z własnej woli. Przekonaliśmy się o tym, kiedy walczyliśmy u boku Kukurydzianych ludzi i zostaliśmy zmuszeni do ucieczki. Wykształcenie w sobie zdolności do utrzymywania ściany myślowej jest stosunkowo łatwe, nawet dla kogoś, kto absolutnie nie potrafi odczytywać myśli. uczymy tego nasze dzieci jednocześnie z nauką mówienia, aż w końcu staje się to tak odruchowe jak oddychanie.

- Jak to robicie? - nalegała.

Roześmiał się.

- Po prostu myślę, bardzo intensywnie, na krawędzi umysłu, o jednej rzeczy. O ścianie, zwykłej, pustej ścianie. O tak...

Zademonstrował jej.

- A więc teraz jej nie ma. A teraz tworzę ją, powoli. Widzisz? To ukrywanie naszych myśli za ścianą myślową nazywamy "podwójnym umysłem".

Shana zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową, kiedy powtórzył to jeszcze dwa razy.

- Widzę, jak to robisz, ale żeby zrobić to samej...

- Jeśli zabierasz się do tego w późniejszym wieku, potrzebujesz więcej ćwiczeń - wyjaśnił. - Kapłani posiadający zdolność odczytywania myśli sprawdzają wszystkich co jakiś czas i tym słabszym poświęca się szczególną uwagę, żeby wzmocnili swoją wolę. Teraz wiesz już wszystko.

Shana westchnęła.

- Wiedziała, że musi być jakieś proste wyjaśnienie zarówno tej pustki myślowej, jak i kłopotów ze stosowaniem prawdziwej magii. Wiedziała też, że elfi władcy nie lubią mieć koło siebie żelaza ani stali, tylko nie miała pojęcia, dlaczego. Zawsze przypuszczała, że ma to związek z faktem, że chorują po zranieniu metalem.

- Może dlatego, że cząsteczki żelaza, zbyt małe, by je dojrzeć, zatrują w pewnym sensie ranę - zaryzykował przypuszczenie Diric. - Każde zaklęcie, które rzuca, obraca się przeciw ciału, w którym tkwią; zresztą, to nie ma znaczenia. Przejdźmy teraz do innej sprawy. Mianowicie, co masz mi do zaoferowania? Jamal będzie oczekiwał potoku informacji o waszym ludzie i terenach, co mam mu powiedzieć?

Uśmiechnęła się tak szeroko, że zaczął się zastanawiać, czy powiedział jakiś dowcip.

- Istnieje ryzyko, że ktoś będzie w stanie ocenić, czy mówię prawdę, czy kłamię, więc sformułowałam swoją deklarację bardzo ostrożnie. Moi ludzie byliby bardzo zadowoleni,



gdyby udało się ściągnąć kłopoty na elfów, a więc tak naprawdę obiecałam wodzowi, że powiem ci wszystko, co wiem o zielonookich demonach.

Teraz Diric pojął już, na czym polega dowcip i stłumił dłonią wybuch śmiechu.

- Och, wspaniale! I bądźmy niezwykle dokładni i drobiazgowi, tak żebyśmy mieli okazję do wielu spotkań.

- Opowiem ci o wszystkim, łącznie z zawartością ich magazynów - obiecała. - A więc, od czego zaczynamy?

- Od posiadłości demona, leżącej najbliżej naszej linii marszu, a jednocześnie najbardziej odległej od twoich ludzi - odparł natychmiast. - Jeśli musimy znaleźć mu jakiś cel, niech to będzie cel prawdziwy i kuszący.

- Diricu - odparła, wpatrując się w niego przez dłuższą chwilę. - Z każdą upływającą minutą coraz bardziej cię lubię.

- A ja ciebie, sprytna panienko - odpowiedział szczerze. - A ja ciebie.

Na Kemana przyszła kolej później tego popołudnia. Tak strasznie pragnął się wydostać z tej przeklętej obroży, że z trudem znosił oczekiwanie. Nie tylko dlatego, że pragnął wyruszyć na polowanie. W tej postaci było mu łatwiej wyżyć na dostępnym mu jedzeniu niż Dorze w postaci wołu, lecz mimo wszystko potrzebował świeżego, surowego mięsa. Głównym jednak powodem było pragnienie spotkania się dziś wieczorem z Dorą - twarzą w smoczą twarz.

To, czego się wczoraj oboje od siebie dowiedzieli, było wielkim szokiem dla nich obojga. Dora nie miała pojęcia, że na świecie istnieją jeszcze inne smoki spoza jej leża, a on z kolei nie sądził, że tak daleko na południu mogą być jeszcze jakieś smocze rody. Bez rozmowy z kimś ze starszyny z jej leża nie potrafił określić, czy odkryli oni swoją własną Bramę, czy też byli grupą później przybyłą z miejsca, które opuścił jego ród. A może w ogóle nie była smokiem w takim kształcie, jaki on znał. W końcu i smoki i elfy przybyły tu z innych światów. Mogły istnieć jeszcze inne istoty, które odnalazły prowadzącą tu drogę.

Czas spędzony w jej towarzystwie był o wiele za krótki i od wczorajszego zachodu słońca jego myśli skupione były - poza kilkoma drobnymi zdarzeniami - na spotkaniu, które obiecała mu na ten wieczór. Pragnął polecieć z Dorą w swej prawdziwej postaci, więc ubłagał Shanę, żeby pozwoliła mu być drugim w kolejce do usunięcia obroży. Nadal nie miał pojęcia, jak Dora wygląda naprawdę, gdyż nie mogła zmienić kształtu w miejscu, w którym wczoraj do niej podszedł - znajdowało się ono w polu widzenia zarówno stada, jak i pasterzy.

Keman był tym z ich czwórki, który przemierzył największe obszary ziem elfich

lordów. Działo się to wtedy, gdy wyruszył na poszukiwanie Shany porwanej przez handlarzy niewolników. Przy tym nie ograniczał się do podróżowania w elfiej postaci, dokonał również wielu wypadów powietrznych. Smoki cechuje zdolność drobiazgowego zapamiętywania widzianych terenów, będzie więc umiał wyrysować mapy, które wprawiają Jamala w zachwyt.

Z kolei informacje dodane potem przez Mera, Lorryna i Kalamadeę rozbudzą w nim szal chciwości. Każdy z nich wie co nieco o dobrach posiadanych przez różnych elfich panów, a czego nie wiedzą, to potrafią wymyślić. Powinno to być interesujące.

Byłoby jeszcze ciekawsze, gdyby Jamal posunął się aż do tego, by zaatakować elfy.

Wszystko po kolei! Teraz najważniejsze, to pozbyć się tej przeklętej obroży.

Diric już na niego czekał z rysikiem i zestawem wygładzonych glinianych tabliczek. Czekala również jego żona z kompletem narzędzi. Obydwoje uśmiechnęli się, kiedy wszedł do namiotu.

- Szkice map zrób na glinie - powiedział Diric bez żadnego wstępu. - W ten sposób możesz ścierać i zmieniać rysunek. Kiedy już będziesz pewien swojej mapy, dam ją jednemu z moich kapłanów, żeby wypalił ją na skórze.

Skinął głową i usiadł obok Kali. Po kilku dniach przebywania wśród tych ludzi zaczął przyzwyczajać się do ich pojmowania piękna i potrafił dostrzec, że musiała ona być za młodu wielką piękną, a i teraz była jeszcze całkiem atrakcyjna. Nadal poruszała się z wystudiowaną gracją, a kiedy się uśmiechała, cała jej twarz promieniała. Nie miało znaczenia to, że jej figura nieco się wypełniła z upływem lat, a siwizna wkradła się w czarne loczki. U żadnego człowieka czy nawet elfiego lorda nie widział piękniejszych oczu - w kolorze głębokiego brązu, ogromnych i szczerych jak u łani.

- Teraz, kiedy poznałam już mechanizm tych zamków, to otwarcie go nie zajmie dużo czasu - zapewniła Kemana, a po chwili zręcznej manipulacji zamek wydał ciche kliknięcie i obroża została jej w rękach,

Pocierał jeszcze szyję jedną ręką, a już w drugą złapał rysik, pełen wdzięczności, że matka nauczyła go czytać i pisać, tak jak to było przyjęte wśród elfów. Ci Żelazni Ludzie nadal nie mieli pojęcia, kim on jest i nie miał zamiaru zdradzać tego sekretu.

Im prędzej uda mu się wryć w tej glinie jakieś mapy, tym prędzej będzie mógł stąd pójść, wreszcie wolny, by udać się z Dorą na wspólny lot i polowanie.

Rysowanie zabrało mu jednak więcej czasu, niżby pragnął okazało się, że przeniesienie tego, co widział, na odpowiedniej długości rysy na tabliczce jest o wiele trudniejsze, niż przypuszczał. Zanim wypełnił czwartą tabliczkę mapami terenów pomiędzy miejscem, gdzie się znajdowali, a posiadłością lorda Tylara, na dworze zrobiło się zupełnie

ciemno.

- To jest bardzo niedokładne - ostrzegł, gdy Diric wręczał ostatnią tabliczkę jednemu ze swych podwładnych. - Jest tam wiele szczegółów, które musiałem opuścić ze względu na skalę, w której rysowaliśmy.

- W takim razie będziesz musiał jeszcze przyjść, żeby podać mi te szczegóły, prawda? - zauważył logicznie Diric. - Na pewno ty i Shana oraz pozostałych dwóch powinniście się tu znaleźć, żeby mi o nich opowiedzieć. Oznacza to jeszcze wiele, wiele spotkań.

- Och! - odparł, czując się bardzo głupio, że sam tego nie dostrzegł. - Oczywiście. Musimy mieć więcej spotkań, prawda?

- Tyle, ile będzie potrzeba - zakończyła Kala i wręczyła mu zniechęconą obrozę. - Proszę, włóż to na szyję i wciśnij jeden koniec w drugi. Usłyszysz kliknięcie, jakby zamek się zatrzasnął, lecz on nie może się teraz zablokować. - Pokazała mu maleńki bolec po wewnętrznej stronie obroży. - Popchniesz to, zamek odskoczy i będziesz mógł ją zdjąć.

- Dziękuję - powiedział gorąco i wsunął na siebie obrozę. Natychmiast ją wypróbował, zamykając, a kiedy otworzyła się ponownie, tak jak Kala powiedziała, na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech.

Uniosła brwi, obserwując jego ruchy, lecz nie skomentowała ich. Powiedziała tylko:

- Musicie mi obiecać, że zabierzecie je ze sobą, niepotrzebne mi zepsute obroże przemieszane z dobrymi. Jeśli wszystko, co mówicie, jest prawdą, a Jamal ziści swe marzenia o podbojach, możemy w przyszłości potrzebować dobrych obroży.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział, zwracając się do nich obojga, po czym wysliznął się przez klapę namiotu na platformę, prosto w podmuch chłodnego wiatru wiejącego zawsze po zachodzie słońca.

Błyskawicznie zbiegł po schodkach i zatrzymał się dopiero przy namiocie, gdyż chciał widzieć się z Shaną. Okazało się jednak, że poszła wraz z Merem do Lorryna.

- Za chwilę też do nich dołączę - dodał Kalamadea. - A ty co zamierzasz robić?

- Och, ja... ja chcę zapolować - odparł szczerze.

- W takim razie uważaj, żeby znaleźć się z dala od stada, zanim zmienisz kształt - ostrzegł go Ojciec Smok. - I zabierz obrozę ze sobą. Nie chcemy, żeby ktoś ją znalazł bez ciebie w środku. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Keman skwapliwie mu to obiecał i umknął, dopóki jeszcze mógł.

Dora czekała na niego tam, gdzie obiecała, na granicy obszaru zajmowanego przez pasące się stada. Na ten widok poczuł jednocześnie ulgę i radość. Mogła przecież z łatwością wykorzystać ten dzień na swoją ucieczkę i już nigdy by jej nie zobaczył.

“Coś się wydarzyło - powiadomił ją, kiedy tylko zbliżył się na tyle, że mógł ją rozpoznać wśród bydła. - Diric jest po naszej stronie, a jego żona majstruje przy naszych obrożach, abyśmy mogli je zdjąć.”

Zdumienie i radość wypełniły jej myśli.

“To oznacza, że możemy razem latać! A ty możesz stąd uciec!”

“Nie bez moich przyjaciół” - odparł natychmiast i chyba odrobinę ostrzej, niż zamierzał.

Schyliła głowę, zawstydzona.

“Przepraszam, Kemanie. Zapomniałam o nich. Trudno mi jest o nich pamiętać, skoro ich nie znam.”

Poczuł się podle, dosłyszawszy w jej myślach nutę wstydu.

“Przykro mi, że tak na ciebie warknąłem; to był bardzo ciężki dzień - tłumaczył się. - Poza tym nie polowałem, od kiedy ustaliliśmy schwytni. Do tej pory nieźle zgłodniałem, a mój charakter robi się paskudny w takiej sytuacji.”

“W takim razie chodźmy, szybko!” - ponagliła go, więc z radością zdjął obrożę, przybrał postać młodego byczka, po czym wzięwszy w pysk zniechęconą żelazną obręcz, przyłączył się do niej. Musieli wydostać się poza obszar zajęty przez stado; ona robiła to już przedtem, a on nie, więc starał się ją naśladować, idąc, kiedy ona się poruszała i zatrzymując wraz z nią.

Dora bardzo długo trwała w oczekiwaniu na skraju stada, a przynajmniej tak mu się zdawało. Metaliczny smak obroży trzymanej w pysku był wyjątkowo nieprzyjemny; na dodatek cały czas musiał mieć schylony łeb, udając, że się pasie, tak żeby ukryć ją przed niepowołanymi oczami. Była tak strasznie ciężka, że szczęki go rozbolewały. W końcu, kiedy chmury przesłoniły oblicze księżyca, Dora ruszyła się i wśliznęła w trawy jak ogromny cień. Podążył za nią, a jego masywne ciało instynktownie wiedziało, jak się bezszelestnie poruszać, gdy oddalali się od stada w coraz szybszym tempie.

Wkrótce już biegli, lecz byli zbyt daleko od stada, by jakiś pasterz mógł ich dojrzeć, a jeśli nawet by coś usłyszał, to byłby przekonany, że to dzikie zwierzęta. Bydło należące do stada wolało raczej trzymać się razem, a oddzielone od pozostałych stawało się niespokojne. Jedynie krowa, która niedługo ma się ocielić, mogłaby wędrować samotnie, ale ona raczej nie biegałaby galopem.

Wreszcie Dora zatrzymała się w małej dolince przeciętej wijącym się strumykiem. Boki falowały jej od wysiłku, a do jego nozdrzy dochodził ostry zapach jej potu. Gdyby był w tej chwili w smoczej postaci, nie potrafiłby się oprzeć tej woni - stałaby się jego obiadem, a

nie towarzyszką obiadu!

“Tutaj! Tu możemy bezpiecznie się zmienić” - powiedziała, więc upuścił ciężką obrozę, szczęśliwy, że udało mu się ją utrzymać przez cały ten czas. Miał zamiar przyglądać się, jak ona zmienia kształt, a potem zmienić się samemu. Straszny głód zniweczył jednak ten plan - ledwie wypuścił obrozę z pyska, natychmiast przybrał swój prawdziwy kształt, i to szybciej, niż dotąd mu się udawało.

Kiedy wzrok mu się przejaśnił i wyostrzył, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, była młoda, delikatnie zbudowana samica jego własnego gatunku, patrząca na niego z podziwem i zachwytem. Odwzajemnił jej się zaciekawionym spojrzeniem, podniecony faktem, że okazała się smokiem tego samego rodzaju, co on, choć nie z jego rodu.

Teraz, kiedy potrafił zmieniać kształt, nie myśląc nawet o tym, bez trudu przyszło mu też wyostrenie wzroku w ciemności. Księżyc dawał dostatecznie dużo światła, by widzieć kolory, zauważył więc, że Dora była wyjątkowo piękna. Jej dominującym kolorem był łagodny fiolet ze złotym pyłem na każdej łusce. Grzebienie na głowie, szyi i grzbiecie były jednakowej barwy - głębokiej purpury przysypanej złotem. Większość samic przewyższała rozmiarami samców, lecz Dora była dokładnie tej samej wielkości, co on, i gdyby nie to, że niżej od niego trzymała głowę na długiej, wdzięcznej szyi, patrzyłaby mu prosto w oczy.

Oczy też miała piękne, świecące złotym blaskiem, dopasowanym do jej grzebieni. Stała jak oniemiała, a on też czuł się oszołomiony. Był święcie przekonany, że nigdy jeszcze nie widział tak pięknej samicy, nigdy, w całym swoim życiu!

- O Bogowie! - wyksztusiła, wciąż patrząc na niego. - Nie powiedziałeś mi, że jesteś tak przystojny.

- Cóż, ty też nie powiedziałaś mi, jak jesteś piękna - odparł z taką dozą galanterii, na jaką go było stać, gdy nadal czuł się ogłuszony.

Zachichotała i nieśmiało podniosła głowę, patrząc na niego kącikiem oka, co robiło niewypowiedziane czarujące wrażenie.

- Musi być ci słabo z głodu, skoro opowiadasz takie rzeczy - odparła podniecona. - Chodź. Zapolujemy razem.

Odwróciła się i uniosła w powietrze z wdziękiem dorównującym jej piękności, więc cóż mu pozostało, prócz szybkiego zapięcia obroży wokół nadgarstka i pójscia w jej ślady?

Nie potrzebowali zbyt wiele czasu, by znaleźć zwierzynę. Wprawdzie tereny wokół obozowiska Żelaznych Ludzi były opustoszałe, lecz oznaczało to, że wędrujące tam normalnie zwierzęta przeniosły się ze swych pastwisk w miejsca dla nich obce. Nie zaznajomione jeszcze z nowym terenem, nie wiedziały, gdzie się chować, gdzie bezpiecznie

odpoczywać i żyły w nieustannym zagrożeniu ze strony zwierząt, które czuły się panami tego terytorium. Z upływem czasu zaaklimatyzują się tu, lecz na razie stanowiły łatwą zdobycz. Drapieżne zwierzęta bezlitośnie wykorzystywały ich bezbronność; podobnie uczynili Keman z Dora.

Każdemu z nich udało się upolować jakiegoś jelenia. Chcąc się popisać, Keman wzbil się w górę ze swoją zdobyczą, żeby spuścić ją obok Dory. Dzięki temu mogli ucztować razem.

Kiedy zaspokoił pierwszy głód, zaczął rzucać w jej kierunku ukośne spojrzenia, nie przerywając jedzenia. Kilkakrotnie przyłapał ją na tym samym. Za każdym razem, kiedy na nią spojrzał, jego żołądek reagował dziwnym “trzepoczącym” uczuciem, jak przy wpadnięciu w dziurę powietrzną podczas lotu, tylko przyjemniejszym. Natomiast kiedy ona spoglądała na niego, czuł się juk rażony błyskawicą.

Dora jadła wczorajszej nocy, więc szybko się nasyciła i przesunęła resztę swej zwierzyny w kierunku Kemana. Przyjął ten dar z wdzięcznością; dosłownie umierał z głodu i żadne “trzepoczące uczucia” nie były w stanie tego zmienić.

- A więc, co dokładnie się stało? - spytała, ścierając sobie delikatnie krew z pazurów. - Powiedziałeś, że zeszłej nocy Diric niespodziewanie przeszedł na waszą stronę.

Pomiędzy kolejnymi kęsami opowiedział jej o wszystkim, co zaszło, aż do chwili, kiedy pozostawił Dirica z mapami. Słuchała uważnie, kiwając niekiedy głową i od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Pytania te świadczyły o tym, iż wie o tych ludziach nawet więcej niż Kalamadea i że podczas ich szpiegowania zaobserwowała wiele istotnych szczegółów.

- Jamal jest niebezpieczny - powiedziała stanowczo, kiedy Keman dokończył jedzenie. - Problem polega na tym, że jest on również sprytny, inteligentny i ma charyzmę. Jest dowódcą im tyle inteligentnym, że łatwo może przekonać swoich ludzi, by zaatakowali tych waszych elfów. Jeśli okaże się jeszcze bystrzejszy, to znajdzie coś lub kogoś do zaatakowania, co da mu zwycięstwo i bogate łupy. Wtedy nie czekając, aż ktoś zdąży odpowiednio zareagować, zawróci swój klan i poprowadzi ich z powrotem do ojczyzny.

- A wtedy co? - spytał Keman nieco zbity z tropu. Co zyska dzięki temu, oprócz paru świecidełek? Nawet jeśli złupiłby dokładnie całą posiadłość lorda Tylara, ta zdobycz będzie niczym, jeśli podzielić ją między tylu ludzi.

- Lecz jeśli jej nie podzieli? - odparowała. - Jeśli rzuci to wszystko na jeden stos? Niewątpliwie będzie to wyglądało bardzo imponująco. Nie tylko w jego klanie, ale i wśród wszystkich innych, którym pokaże łupy, obudzi to żądę zdobycia dalszych.

- O-o-o! - Keman w końcu pojął, do czego ona zmierza. - A wtedy, kiedy każdy będzie pragnął zdobyć dla siebie jakieś łupy, Jamal obwoła się wodzem wszystkich klanów i wróci tu.

Kiwnęła głową.

- Nie wiem, czy ci wasi elfowie potrafią ich pokonać; jeśli są inteligentni, to zapewne tak. Wiem jednak na pewno, że taka horda ludzi szukających zdobyczy natknie się prędzej czy później na waszych przyjaciół, chyba że będą w stanie wycofać się w góry i na rok zamknąć wszystkie wejścia.

Zastanowił się nad tą ostatnią możliwością.

- To nawet byłoby realne. Reszta mojego leża mogłaby z pewnością skutecznie zniechęcić Żelaznych Ludzi do przechodzenia w pobliżu tych gór.

- Niestety, jest jeszcze inna kwestia - ciągnęła Dora. - Nawet jeśli Jamal dozna tylu porażek, że zdecyduje się na odwrót, nadal będzie wodzem klanów. Dotarłszy bezpiecznie z powrotem do ojczyzny, zacznie rozglądać się w poszukiwaniu czegoś innego do podbicia. A wtedy, prędzej czy później, znajdzie mój ród.

Keman wstrząsnął się. Przypomniał sobie, jak Kalamadea tłumaczył Shanie, całkiem spokojnie, że żelazna broń używana przez ciemnoskórych wojowników może zabijać również smoki, zanim będą w stanie zmienić kształt. Ponadto, mimo całej magii, którą dysponowały, nawet smoki znajdujące się w powietrzu mogła dosięgnąć strzała z silnego łuku.

- Musimy go powstrzymać!

- Najpierw musisz uciec - zauważyła i umilkła na chwilę. - Pomogę ci - dokończyła, i Keman miał wrażenie, że te słowa przypieczętowały ostatecznie jakąś decyzję.

- Naprawdę? - zakręciło mu się w głowie z radości. - Pójdiesz ze mną?

- Na razie nie mów jeszcze o mnie nikomu! - dodała pośpiesznie. - Proszę! Muszę najpierw to wszystko przemyśleć. Muszę zastanowić się, jak powiedzieć mojemu rodowi, że są jeszcze inne smoki. Muszę...

- Obiecuję - zobowiązał się, nie pozwalając jej mówić dalej. - Nikt się o tobie nie dowie, dopóki sama nie zechcesz. Dopóki... dopóki będę cię mógł widywać co noc - dokończył nieśmiało.

- Ty chciałbyś? Ty chcesz? - zająknęła się. - Oczywiście! Ale...

Tej nocy nie było już mowy o planach ucieczki.

Lorryn nie był do końca pewien, jak Shana zareaguje na jego siostrę. Podobne wątpliwości dręczyły go zresztą co do młodego półelfa, który jej towarzyszył. Prawdziwy

wygląd Reny nie mógł raczej kojarzyć się nikomu z żadnym zagrożeniem, ale jednak...

Cóż, i tak nie było wyjścia, a im szybciej staną twarzą w twarz, tym lepiej.

Przydzielona im przez Kale część ogromnego namiotu Dirica dalece różniła się od namiociku, który otrzymali po przybyciu. Zawsze był przekonany, że namiot to namiot i trudno cokolwiek zrobić, żeby był luksusowy czy choćby wygodny.

Okazało się, że nie miał racji. Gdyby nie wiedział, że są w namiocie, a nie, powiedzmy, w pawilonie rozkoszy, nie potrafiłby zauważyć różnicy. Drewniana podłoga wozu wymoszczona była dywanami leżącymi na sobie sześcioma czy siedmioma warstwami; wokół zakrzywionej ściany namiotu wznosiła się na wysokość jego kolan ozdobna plecionka wiklinowa, do której przymocowana była pięknie utkana siateczka. Jej przeznaczeniem było chronienie wnętrza przed owadami, kiedy ścianki namiotu były podniesione.

Same ściany zawieszane były draperiami, które spływając od góry aż do plecionki, ukrywały surowy ich wołok i jednocześnie dostarczały dodatkowej izolacji przed żarem czy zimnem. Z sufitu zwisały pięknie wykute lampy, w których płonęło - zgodnie z tym, co powiedziała im Kala - perfumowane masło. Cokolwiek to było, dawało jasne światło i napełniało powietrze przyjemnym, takim piżmowym zapachem. Wszędzie wokół piętrzyły się poduszki. Materace, na których mieli spać, były miękkie, wypełnione suszoną trawą oraz ziołami i nakryte pięknie tkanymi kocami i futrami, których nie potrafił rozpoznać. Sam namiot podzielony był na części wołokowymi przepierzeniami, również pokrytymi draperiami. Kołysały się one łagodnie, poruszane wiatrem wpadającym przez siateczkę w zewnętrznych ścianach.

Kala zaopatrzyła Renę w rzeczy należące przedtem do jej córki, która miała denerwującą tendencję do wyrastania z nich, zanim jeszcze zostały wykończone. Rena z wdzięcznością się w nie przebrała, gdyż odzież przyniesiona przez nią raczej nie była odpowiednia na to upalne lato na równinach. Lorryn uważał, że wygląda w nich czarująco i całkowicie odmiennie od typowej panienki elfów. Pozostawało się przekonać, czy tamci podzielą jego zdanie. Kala wprowadziła dwójkę półelfów i wyszła, kiwnąwszy głową. Lorryn wskazał im dłonią poduszki, a jedną wziął dla siebie.

- Lorrynie, to jest Mero, półkrwi kuzyn Valyna - przedstawiła Shana swojego towarzysza. - Myślę, że o nim słyszałeś.

- Co nieco. - Lorryn przekrzywił głowę i przyglądał się bacznie szczupłemu, ciemnemu młodzieńcowi o uderzająco jasnych, szmaragdowych oczach, tak samo zresztą, jak tamten przyglądał się jemu. - Wśród członków Rady krąży teraz pogłoska, że sam Valyn był półelfem, że nie wystąpiłby przeciw swojej własnej rasie, gdyby naprawdę był z elfiej krwi.



Mero prychnął pogardliwie.

- Dyran jako ojciec to chyba wystarczające, by skłonić każdego, kto posiada choć odrobinę sumienia i współczucia, do buntu.

- Obu tych cech raczej brakuje w Radzie - przypomniał mu Lorryn. - Ale zajmijmy się czym innym. Niewiele dotąd opowiedziałem Shanie o nas dwojgu, więc skoro teraz jesteście tu oboje, powinienem bardziej szczegółowo przedstawić całą historię.

I tak też zrobił, nie pomijając żadnych szczegółów ich ucieczki, poza tym, że Rena nie jest półelfem. Przeoczenie to było celowe - nie chciał, żeby z góry jakoś się do niej nastawiali. Logicznie rzecz biorąc, skoro Mero był kuzynem pełnej krwi er-lorda, który ryzykował i stracił wszystko, by go uratować, nie powinni być do niej uprzedzeni.

Z drugiej strony logika niewiele ma wspólnego z uczuciami. Kiedy skończył swą opowieść, Shana mogła wreszcie nabrać w płuca powietrza, gdyż dotąd wstrzymywała oddech.

- To faktycznie była niezła ucieczka - powiedziała. - Prawdę mówiąc, o wiele bardziej podniecająca od mojej po licytacji.

- Znacznie bardziej też od Valyna i mojej - przyznał Mero - Myśmy ani przez chwilę nie widzieli tak naprawdę naszych prześladowców, wiedzieliśmy tylko, że tam są.

- Ja osobiście byłbym całkiem zadowolony, gdyby udało mim się uciec po cichu - odparł Lorryn, wzruszając ramionami.

Chociaż jeśli wydostaniemy się z tego bez szwanku, to nawet będę zadowolony, że sprawy ułożyły się w ten sposób. Chciałbym tylko wiedzieć, co stało się z pokojówką mojej siostry.

- Z tego, co o niej mówiłeś, nie wydaje mi się, żebyśmy ją znali - stwierdziła Shana, spojrzawszy z ukosa na Mera. - Z drugiej strony niektórzy z nas mają takie sposoby zamaskowania swej prawdziwej postaci, które nie są iluzją, a więc mogła być jedną z nas. Jeśli tak, to uwierz mi, nic jej się nie stanie. Nawet wpadnięcie do rzeki nie wyrządziłoby żadnej krzywdy komuś z nas, obdarzonemu taką mocą.

Cóż, była to pewna ulga.

- Uwalniasz mnie od części poczucia winy - odparł z wdzięcznością. - Teraz uwolnię się od reszty. - Podniósł nieco głos i zawołał: - Reno!

Słyszac sygnał, na który czekała, Rena odsunęła zasłonę oddzielającą jej część namiotu i weszła w zasięg światła. Robiła wrażenie niezwykle udręczonej niepewnością i bezbronnej.

Jej wygląd nie pozostawiał też żadnych wątpliwości, że należy do rasy elfów.

Shana uniosła jedynie brwi, lecz Mero ze zdumienia wciągnął ze świstem powietrze.

- Przez cały czas zastanawiałem się, co na jej temat ukrywasz - powiedział czarodziej z lekkim uśmiechem. - Miło jest się przekonać, że Valyn nie był jedyną przyzwoitą istotą swojej krwi. Shana wstała i bez cienia wahania wyciągnęła dłoń do Reny.

- Miło cię poznać bez osłony iluzji - powiedziała, gdy Rena delikatnie ujęła jej rękę. - Każda trzymana przez całe życie pod kloszem panienka, która potrafiła tak dzielnie jak ty towarzyszyć bratu podczas przedzierania się przez dzikie pustkowia, musi reprezentować sobą znacznie więcej, niż się na pozór wydaje. Chętnie dowiem się, jakie masz pomysły.

- Ja również - odezwał się Mero i wskazał jej poduszkę między sobą a Lorrynem. - Przyłączysz się do nas?

- Tak, dziękuję - odparła Rena uśmiechając się i najwyraźniej odprężając się. - Mam nadzieję, że będę w stanie pomóc wam, przynajmniej trochę.

- Potrafisz bardzo dużo pomóc - stwierdził zdecydowanie Lorryn, gdy jego siostra zajmowała wskazane siedzenie, zerkając przy tym na Mera. Shana również usiadła z powrotem, więc instynktownie zwrócił się do niej. - Rzeczą, o której nie macie pojęcia, ja zresztą również nie, jest rodzaj magii, której uczą się tylko elfie kobiety. Działa ona bardzo delikatnie, na podstawowym poziomie. Na przykład, wy lub ja moglibyśmy, powiedzmy, przewrócić ten namiot bezpośrednio, działając na niego potężną siłą. Rena dokonałaby tego samego zupełnie inną metodą.

- Osłabiłabym wszystkie podtrzymujące go drążki i liny - zaproponowała nieśmiało - a kiedy wiatr powiałby jak co wieczór, namiot by się przewrócił.

- Powiedzmy, że naszym celem byłoby uwięzienie ludzi wewnątrz na kilka decydujących chwil, to jej metoda w oczywisty sposób byłaby lepsza - ciągnął Lorryn.

- Tylko jeśli chciałbyś unieruchomić ich w tym szczególnym momencie, lecz rozumiem, o co ci chodzi - odparła Shana, po czym nagle odwróciła się w stronę Reny i wpatrzyła się w nią.

- Co się stało? - spytał szybko Lorryn.

Lecz Shana jedynie potrząsnęła przecząco głową.

- Nic, naprawdę - zapewniła. - Po prostu coś w twojej siostrze wydało mi się przez mgnienie oka znajome, to wszystko.

Lorryn czuł wyraźnie, że chodziło tu o coś więcej, a upewniły go w tym badawcze spojrzenia, które Shana co jakiś czas rzucała na Renę. Widząc jednak, że nie są one wrogie, a jedynie zamyślane, doszedł w końcu do wniosku, że chodzi zapewne o jakieś tajemnicze, kobiece sprawy, których żaden mężczyzna nigdy nie zrozumie, i przestał się tym martwić.

- Tak czy owak, jeżeli Diric chce, żeby nasze zniknięcie stworzyło pozory, iż mogliśmy to zrobić, kiedy nam się podobało, to Rena będzie w stanie dokonać sztuczek, które wprowadzą wśród nich totalny chaos - zauważył. - Może na przykład tak przetworzyć jedzenie, że wojownicy Jamala zapadną w sen, może przewrócić namiot po tym, jak się ulotnimy...

- Nie składaj zbyt wielu obietnic, Lorrynie - przerwała, czerwieniąc się. Rena. - Zrobię, co będę mogła, lecz nie jestem wielkim czarodziejem jak La... jakim jest Zguba Elfów - dokończyła, najwyraźniej nie mogąc się przemóc, by nazwać Shanę jej imieniem, a nie przydomkiem.

Lecz Shana tylko się roześmiała.

- Uwierz mi, że nie jestem tym wielkim czarodziejem, którym jest Zguba Elfów - powiedziała gorąco z przyjacielskim uśmiechem, który sprawił, że na policzki Reny ponownie wypłynął gorący rumieniec. - Czy tkwilibyśmy tu uwięzieni, gdyby tak było? Nie, najlepsza rzecz, którą możemy zrobić, to ocenić wszystkie nasze umiejętności i wykorzystać je z jak najlepszym pożytkiem. W zdolności posługiwania się delikatną magią drzemie realna siła; można ją wykorzystać na przykład do oswajania jednorogów, tak jak to zrobiłaś. Lub, powiedzmy, do zatrzymania serca.

Rzuciła te ostatnie słowa niedbale, a przynajmniej takie to i obito wrażenie, lecz Lorryn dostrzegł błysk w jej oku, gdy czekała na odpowiedź Reny. Ku jego zdumieniu siostra odrobinę zbladła w tym momencie.

Lecz jej odpowiedź była zupełnie spokojna.

- Mnie też to przyszło na myśl - przyznała cicho. - Nawet raz spróbowałam, z ptakiem, który już umierał. Lecz nigdy więcej.

Ona spróbowała? To zdumiało go bardziej niż cokolwiek innego dzisiejszego dnia!

- Nie jest to moc, której można używać bez potrzeby - odpowiedziała Shana poważnym głosem. W tym momencie Lorryn zdał sobie sprawę, że brzemień wszystkich śmierci z drugiej wojny czarodziejów legło jej ciężarem na sercu i już zawsze tam pozostanie. - Lecz czasem... - Jej oczy wpatrywały się w dal, w jakieś ponure miejsce, gdzie on nie mógł jej towarzyszyć. - ... czasem nie masz wyboru. Czasem dzięki użyciu tej mocy możesz uratować niewinne życie.

Potem wstrząsnęła się i powróciła do terażniejszości.

- W każdym razie ostatnią rzeczą, o jaką bym cię poprosiła, byłoby wykorzystanie czegoś takiego w stosunku, powiedzmy, do Jamala. Tak naprawdę, to on nikogo jeszcze nie skrzywdził i może nawet nie zrobi tego w przyszłości. Nasza ucieczka może nim tak

wstrząsnąć i tak go przerazić, że zawróci swych ludzi i podążą do domu. Albo też późno w nocy odwiedzi go jego bóg i powie mu, jakim jest brzydkim chłopcem. Wszystko może się jeszcze zdarzyć,

Rena skinęła głową, a na jej twarzy pojawiła się ulga spowodowana słowami Shany.

Mero pochylił się i uspokajająco poklepał ją po ręce. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, otrzymując w zamian uśmiech dodający otuchy. Półelf nie cofnął już swojej dłoni.

“Och, doprawdy” - pomyślał poruszony Lorryn. Przez chwilę poczuł, jak budzą się w nim opiekuńcze instynkty brata.

Na szczęście równie szybko opadły. W końcu, dlaczego nie? Czy jakiś pełnej krwi elf okazał jej kiedyś choć część tej kurtuazji, z którą traktował ją Mero, mimo że zaledwie się poznali? Możliwe przecież, że to z jego strony po prostu uprzejmość.

“O, na pewno. A moi przodkowie z obu stron powstaną z grobów i będą ślubować pokój między obydwoma rasami!”

A nawet jeśli zaczęło się między nimi coś więcej, to co? Czy to jego interes? Wprawdzie mało jeszcze wiedział o Merze, lecz to, co wiedział, podobało mu się. Z pewnością nikt, kto przez dłuższy czas żył w otoczeniu Shany, nie mógł pielęgnować w sobie tradycyjnej elfiej pogardy dla kobiet.

Lecz co Shana zamierza z tym zrobić? Czy w ogóle to zauważyła?

Szybkie spojrzenie rzucone w jej kierunku przekonało go, że zauważyła. Oczy miała utkwione w ich połączonych dłoniach i leciutko się uśmiechała.

“No, no, no! Jeśli Shanie to nie przeszkadza, jeśli ona to aprobuje, to czy on ma się wtrącać?”

“Zresztą i tak może nic z tego nie wyjść” - upomniał się, i skierował ponownie myśli i uwagę na najważniejsze w tej chwili zagadnienie. W końcu nic z tego nie wyjdzie, dopóki wszyscy nie znajdą się na wolności, z dala od tego miejsca.

Myre była całkowicie zadowolona z obrotu spraw. W cytadeli stary Caellach Gwain stopniowo podważał autorytet tych, którym Shana powierzyła sprawowanie władzy. Z każdym mijającym dniem, który nie przynosił wiadomości o powrocie Shany, nawet najbardziej lojalni tracili część pewności siebie. Myre poruszała się wśród czarodziejów w postaci byłego ludzkiego niewolnika, powodzeniem starając się nie wpaść w oczy żadnemu ze smoków, i rozsiewała różne aluzje i wątpliwości. Możliwe, że Shana ich opuściła. A może została złapana przez elfich lordów. Możliwe też, że stała się ofiarą jakiegoś potwora z tych dzikich okolic, potwora, z którym nikt dotąd się nie zetknął.

Ostrożnie i przebiegle szerzyła zdradzieckie wątpliwości, że obojętnie z jakiej przyczyny, Shana, Zguba Elfów, nigdy już nie wróci.

Caellach Gwain - chwała jego starczym kręactwom - podchwytował te pogłoski i rozpuszczał je dalej. Denelor i Parth Agon musieli nieźle się natrudzić, by utrzymać swój wpływ na pozostałych. Niech no tylko staną wobec pierwszego prawdziwego niebezpieczeństwa lub niedostatku, a jedność czarodziejów pęknie jak bańka mydlana. Jeśli zaś chodzi o Jamalą...

Czekała na niego w ślepych wąwozie. Podczas ostatniego spotkania nie był jeszcze przygotowany do zawarcia z nią przymierza, lecz czuła, że niebawem to nastąpi. Zapewne zwlekał, pragnąc odkryć, czego ona chce w zamian, co zresztą było naturalną cechą każdej ostrożnej istoty.

Ciche uderzenia kopyt ostrzegły ją o jego przybyciu, więc nastawiła się na miłą, owocną pogawędkę. Podjęła decyzję, że jeśli Jamal zapyta ją, jakiej nagrody oczekuje, powie mu po prostu prawdę. Prawda była tu rzeczą, którą on na pewno zrozumie.

Zza zakrętu wynurzył się Jamal prowadzący za sobą ciężko stąpającego bojowego byka i zatrzymał się w bezpiecznej odległości od niej.

- Jestem - rzekł po prostu.

- Podobnie jak ja - odparła, skinąwszy mu głową. - Tak więc ofiarowałam ci przymierze, wodzu wojenny. Ty odparłeś wtedy, że musisz nad tym pomyśleć. Przemyślałeś to?

- Tak - ściągnął swe nawisie brwi. - Nie powiedziałaś mi tylko, co spodziewasz się zyskać na tym przymierzu. Istnieje powiedzenie: "Sojusznik, który nie żąda niczego, spodziewa się otrzymać wszystko." Nie na takim układzie mi zależy.

Myre zaśmiała się zduszonym chichotem.

- To znaczy, że jesteś mądry. Lecz ty, wódz wojenny, z pewnością zrozumiesz, o co mi chodzi. Wprawdzie niektórym mogłoby się to wydać mało ważne, lecz dla mnie jest to nagroda bezcenna.

Czekał w milczeniu, by sprecyzowała, co to za nagroda.

- Zemsta - wydyszała i stwierdziła, że jego twarz rozjaśnia zrozumienie i uznanie. - Trzymasz w charakterze jeńców mojego wroga i brata. To moja nagroda, dasz mi wolną rękę w stosunku do obojga.

- Zgoda - odparł natychmiast i wbił drzewce włóczni w ziemię. - Przysięgam ci to na czerwoną ziemię i na czarną, na kuźnię i ogień. A teraz pomówmy, jaki zrobimy użytek z tego przymierza.

Przekrzywił pytająco głowę na bok.

- Pokazałam ci już, że mogę przybrać taką postać, jaka mi się spodoba - odparła. - A więc, po pierwsze, wmieszam się między twoich ludzi pod postacią, której nikt nie będzie podejrzewał. Dzięki temu będę mogła przysłuchiwać się ich rozmowom i dowiedzieć się, kto jest twoim przyjacielem, kto wrogiem, a kto pozostaje jeszcze niezdecydowany. Potem, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, ogłosisz, że przejmujesz całkowite i wyłączne przywództwo klanu, a jako dowód swojej mocy zademonstrujesz przejażdżkę na smoku. Wybierzesz kilku, którzy będą najbardziej oponować i... - delikatnie zbadła swe pazury - myślę, że nie muszę już nic więcej dodawać.

Zadowolony kiwnął głową.

- Przypuszczam, że kiedy udzielimy pierwszej lekcji, niewielu będzie chętnych do dalszych sprzeciwów - dodał z sarkastycznym śmiechem, który mógłby równie dobrze się dobyć ze smoczego gardła. - A potem, gdybyś nadal przebywała wśród nich w jakimś niewinnym kształcie, dowiedzielibyśmy się, kto należy do milczącej opozycji. Co?

- Dokładnie tak. - Teraz ona z kolei przekrzywiła pytająco głowę. - Domyślam się, że masz już jakiś konkretny kształt na myśli?

- O tak! - Roześmiał się. - I to jest w tym wszystkim najzabawniejsze! A więc, posłuchaj...

Shana doskonale wiedziała, że gdyby pozwoliła sobie na myślenie o czymkolwiek, prócz najpilniejszych do rozwiązania problemów, to musiałaby się czuć zakłopotana oszołomiona i wytrącona z równowagi. Do niedawna żyła w głębokim przekonaniu, że była i zawsze będzie zakochana w Valynie, który poświęcił życie, by uratować ich wszystkich przed swoim ojcem.

Jej przyjaźń z Merem pozostała wyłącznie przyjaźnią. Podobnie zresztą jak przyjaźń z Zedem czy innymi czarodziejami w jej wieku.

Wmówiła sobie, że miłość przychodzi tylko raz i jej, Shany zadaniem jest wykorzystać jak najlepiej życie podarowane jej przez Valyna. Po upływie roku potrafiła nawet znów się radować. Była najzupełniej pewna, że jej serce już zawsze pozostanie wolne.

A teraz, teraz nie tylko nie była już tego pewna, lecz miała wręcz wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek kochała Valyna! Oczywiście, była zauroczona i pobudzona pod względem emocjonalnym. Lecz czy to była miłość? Raczej nie.

Kiedy po raz pierwszy ujrzała Lorryna bez żadnego złudzenia narzuconego na rysy twarzy, od razu zaczęła porównywać go z Valynem, co nie wypadło dla niego korzystnie. To

porównywanie było nieuniknione, gdyż w wyglądzie Lorryna przeważały cechy elfie, w przeciwieństwie do Mera, który znacznie bardziej wyglądał na człowieka.

“Tak samo zresztą jak i ja” - uświadomiła sobie. Włosy odrosły jej już na tyle, że rozczesywanie ich stało się codzienną koniecznością. Jednocześnie rozplatanie ich zabierało tyle czasu, że mogła go wykorzystać na myślenie o czymś innym, niż codzienne problemy. A te płonące czerwienią włosy wijące się wokół jej palców stanowiły dobitne przypomnienie, że w niej również niewiele jest z elfiej krwi.

Lorryn, w porównaniu z Valynem, wyglądał jak kopia arcydzieła, wykonana przez niezbyt wprawnego ucznia. Ludzka krew płynąca w jego żyłach sprawiła, że jego rysy były grubsze i bardziej pospolite. Tak więc jej pierwsze wrażenie, oparte tylko na jego wyglądzie, nie było zbyt pochlebne.

Tak, lecz potem on otworzył usta.

Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że powierzchowność była w przypadku Lorryna sprawą najmniej istotną i że mógłby być równie grubo ciosany jak kukielka z gliny, a i tak zwróciłaby na niego uwagę.

Słuchał tego, co do niego mówiła, czego nie można było powiedzieć o Valynie. Cenił jej pomysły na równi ze swoimi, a przecież swoich wcale nie musiał się wstydić.

Wzięła do ręki rzemyk i zaczęła splatać włosy, starając się nie zrobić przy okazji więcej kołtunów, niż udało jej się rozczesać.

Był również rozsądny; nawet jeśli jakiś pomysł mu się podobał, to nie upierał się przy nim, gdy ktoś przedstawił powody, dla których nie da się go zrealizować.

Wykazywał chęć uczenia się od nich wszystkich - od Shany, która była kobietą, od Mera, który był młodszy od niego, a nawet od własnej siostry, którą zgodnie z wszelką logiką powinien mieć w uprzejmej pogardzie, gdyż taki właśnie stosunek mają mężczyźni elfów do swych kobiet.

Oczywiście, były pewne zadrażnienia... no, może raczej sprzeczeki, ale wynikały one głównie z tego, że wszyscy żyli w napięciu.

Jednak, kiedy tylko ochłonęli, równie chętnie jak ona dążył do załagodzenia sporu i przeprosin. A przecież ona, po wydarzeniach dwóch ostatnich lat, nauczyła się przeproszać niemal każdego, jeśli tylko zachodziła taka potrzeba. Czyż nie starała się postępować zawsze uprzejmie w stosunku do starych malkontentów? Nie spodziewała się jednak po nim podobnego zachowania.

A teraz, teraz miała odejść od swych przyzwyczajzeń i spędzić z nim czas, który mogłaby w innym wypadku spędzić sama. Zawracała sobie głowę ubraniem i włosami -

rzeczami, które nie obchodziły jej przez ponad rok. Zwierzała mu się ze spraw, o których nie mówiła nikomu innemu. Nie z faktów, lecz z uczuć. Mówiła, jak nienawidzi być Zgubą Elfów, jak jej to ciąży, kiedy ludzie spodziewają się po niej cudów i o jeszcze gorszym rozgoryczeniu, kiedy niczego nie oczekują. Wyznała mu też, że często miała wrażenie, iż brzemień odpowiedzialności przytłacza ją i że jest marnym przywódcą, gdy chodzi o konkretne sprawy.

Sądziła, że ją zrozumiał. W każdym razie przynajmniej słuchał uważnie i nie bagatelizował jej uczuć.

Przechyliła lekko głowę i związała koniec warkocza. Umówiła me z nim dziś na spotkanie, tylko z nim samym, gdyż w ich małej grupce konspiratorów działo się coś, co mogłoby spowodować kłopoty, gdyby Lorryn był temu przeciwny. Nie była pewna, czy sam nie zauważył, co działo się między jego siostrą i Merem, stwierdziła jednak, że lepiej z nim o tej sprawie porozmawiać.

Chociaż jak mógłby nie zauważyć, skoro tych dwoje udawało się na długie przechadzki w świetle księżycy o dokładnie tej samej porze. Z drugiej strony mężczyźni są nieraz bardziej nieświadomi niż kobiety, tak przynajmniej słyszała.

Wyśliznęła się z namiotu, pustego namiotu. Mero udał się już na swój spacer dla “treningu”, Keman i Kalamadea polowali. Dwóch elfów zabawiało swoich panów i w najlepszym razie wrócą dopiero koło północy. Nie było nikogo, kto mógłby zauważyć jej wyjście.

Jednakże Kala zauważyła jej przybycie, kiedy tłumaczyła się przed strażnikami strzegącymi wejścia do namiotu Dirica. Mądra kobieta uśmiechnęła się tylko i zapewniła strażnika, że kapłan spodziewa się przyjscia demona, po czym skinęła na dziewczynę ręką, żeby weszła do środka.

Dirica, rzecz jasna, nie udało się znaleźć, a Kala odeszła do swej części namiotu, uśmiechając się pod nosem. Shana była szczęśliwa, że nie nalegała, by jej towarzyszyć. Cała sprawa i tak była dostatecznie trudna.

Lorryn czekał w wejściu do swego pomieszczenia, przytrzymując dla niej otwartą klapę przepierzenia. Jego włosy w świetle lampy miały połysk prawdziwego metalu.

- Słyszałem cię na zewnątrz - wyjaśnił.

Prześliznęła się obok niego, wchodząc do środka, a on opuścił klapę, wziął swą ulubioną poduszkę i zachęcił ją gestem do wzięcia innej.

- Cóż tak ważnego stało się, że musiałaś ze mną o tym porozmawiać późnym wieczorem? - uniósł przebiegle brew - bez Reny. I bez Mera. Zresztą zdaje się, że oni



obydwoje mają niezwykle pilne sprawy do załatwienia gdzie indziej. A może mam zgadywać?

- Myślę, że już zgadłeś - powiedziała, czując zarówno ulgę, jak i lekki zawód po tym, jak się zbierała na odwagę, by zakomunikować mu tę rewelację...

- Zatem moja wspaniała siostra bliska jest zakochania się w mieszańcu, o ile już się to nie stało. - Potrząsnął ze smutkiem głową. - O przodkowie, do czego ten świat zmierza? To już koniec cywilizacji, którą znamy! Nienaturalne! Zdeprawowane! - Przybrał żalony wyraz twarzy i ciągnął się za wyimaginowaną brodę z udawanym podnieceniem, doskonale parodiując wstrząśniętego staruszka jakiegokolwiek rasy.

Było to tak świetnie odegrane, że nie mogła się powstrzymać od chichotu; Lorryn uśmiechnął się i przestał udawać.

- Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie tym bardziej - odparł. - Mero jest w końcu twoim przyjacielem i nie wiem, kim był dla ciebie przedtem. I nie pytam o to - dodał pospiesznie, zanim zdążyła się odezwać. - Rena jest panią samej siebie i ma prawo decydować o tym, z kim się chce związać. Przodkowie wiedzą, że sporo zapłaciła za to prawo.

Siedział przez chwilę w milczeniu, lecz czuła, że ma coś jeszcze do powiedzenia.

- Tuż przed naszą ucieczką Rena została zaręczona z kompletnym kretynem. To był pomysł lorda Tylara, przymierze przez małżeństwo z rodziną starszą i posiadającą większą władzę od naszej. Gotów był poddać jej umysł przemianie, gdyby to było potrzebne, by doprowadzić do tego małżeństwa. Tak mi powiedziała i patrząc wstecz, wierzę jej. Dlaczego miałbym nie życzyć jej wszystkiego, co najlepsze?

Shana wzruszyła ramionami.

- Mero i ja nigdy nie byliśmy niczym więcej niż parą przyjaciół, chociaż jego kuzyn próbował odegrać rolę swata w stosunku do nas. Nie udało się. A im mniej będzie się o tym mówiło, tym lepiej. Wiem, że Mero naprawdę lubi Renę i nigdy nie będzie traktował jej jak kogoś gorszego od siebie. A co potem? Któż to może wiedzieć? Co ma być, będzie. Nie musisz jednak martwić się o to, jak czarodzieje przyjmą Renę, kiedy wrócimy do cytadeli; nie po tym, co zrobił dla nas Valyn. Westchnął.

- Muszę przyznać, że martwiłem się tym. Jeżeli nie przyjęlibyście jej do siebie, musiałbym odejść wraz z nią. Nie mogę opuścić również jej.

Również?

Palila ją ciekawość, a jednak nie mogła go zapytać. Nie mogła, widząc w jego oczach tyle cierpienia. Lorryn spojrział na nią sponad splecionych dłoni i dał jej odpowiedź na to nie

wypowiedziane pytanie.

- Matka, elfia dama Viridina jest moją prawdziwą matką, to mój ojciec był człowiekiem - wyjaśnił jej cicho. - Matka okrywała mnie złudzeniem, dopóki nie byłem na tyle duży, by to zrozumieć. Wtedy powiedziała mi, kim jestem i nauczyła, jak sam mam się chronić. Mówiłem ci już, dlaczego musieliśmy uciekać: mieli przybyć magowie z Rady, by sprawdzić, czy pod iluzją pełnej krwi elfa nie ukrywa się mieszaniec. Ojciec wie przecież, że sam jest elfem. Nie mogłem zostać i czekać, by mnie zdemaskowano, lecz z drugiej strony, uciekając, praktycznie przyznałem, że jestem półelfem. A więc nasuwa się oczywisty wniosek.

- Że twoja matka wzięła sobie ludzkiego kochanka - szepnęła Shana. - I to musiało być rozmyślne zajście w ciążę, prawda?

- To oznacza dla niej koniec wszystkiego - potwierdził smutno. - Może pozorować niepoczytalność; może na użytek członków Rady stworzyć sobie fałszywe wspomnienia tego, jak to jej prawdziwe dziecko urodziło się martwe i akuszerka podłożyła na jego miejsce półelfa. Jeśli uprą się dążyć dalej ten temat, to trudno jej będzie wyjaśnić, dlaczego od początku wyglądałem jak elf pełnej krwi. W sytuacji jednak, gdy będzie udawała, że popada w obłąd, nakażą tylko, by pozostała w zamknięciu pod pieczę lorda Tylara. Będzie wtedy musiała do końca swych dni pozostawać w trzech małych pokoikach, jako więzień w swym własnym domu, pozbawiona wszystkiego oprócz najpotrzebniejszych rzeczy. Lord Tylar nigdy nie wybaczy jej tego, że go oszukała, a przede wszystkim wypływającego z całej sprawy wniosku, że nie był w stanie spłodzić syna.

Czuł się znacznie bardziej zaniepokojony i miał większe poczucie winy, niż to okazywał; Shana wyraźnie to wyczuwała. Dręczyło go przekonanie, że wszystko, co teraz spotyka matkę, jest w pewnym sensie jego winą. Niestety, nie nasuwały jej się na myśl żadne słowa pociechy, a to co ewentualnie mogłaby powiedzieć, i tak nie złagodziłoby jego wyrzutów sumienia.

Zamiast więc wygłaszać banały, siedziała w milczeniu, zachowując swe myśli dla siebie i licząc na to, że sama jej życzliwa obecność przyniesie mu pewną ulgę. W końcu zerknął na nią znad złożonych rąk z bladym uśmiechem.

- Chciałbym ci zadać pewne pytanie, Shano, lecz obawiam się, iż jest ono zbyt osobiste i zuchwałe, a ja nie mam prawa cię pytać.

- W takim razie spokojnie możesz je zadać. Jestem ekspertem, jeśli chodzi o impertynencję.

- Czy kochałaś Valyna?

Ponieważ sama dopiero co rozważała na wszystkie strony to pytanie, Lorrynowi udało się ją zaskoczyć; odpowiedziała, zanim zdążyła się ugryźć w język:

- Gdybyś spytał mnie o to miesiąc temu, odparłabym, że tak - powiedziała ze szczerością, która zaszokowała ją samą, gdy dotarło do niej znaczenie wypowiedzianych słów.

- Teraz... nie jestem pewna. Zaczynam nawet sądzić, że być może nie.

- Och! - wykrzyknął, a jego uśmiech nie był już taki bezbarwny. - To dobrze.

- Dobrze? - spytała ostro. - Dlaczego dobrze?

- Bo to znaczy, że mam szansę. - Jego otwartość wstrząsnęła nią jeszcze bardziej, on tymczasem wziął jej rękę w swoją.

- Mogę starać się uczynić dla ciebie wszystko, co tylko potrafię, lecz byłoby to z pewnością za mało, gdybyś kochała przedtem Valyna. Nie mogę współzawodniczyć z duchem.

- Och! - Tylko tyle potrafiła wykrztusić, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczami.

- Rozumiem.

- Tak, myślę, że rozumiesz. - Zajrzał jej głęboko w oczy, po czym podniósł się i pociągnął ją łagodnie za sobą. - A tak nawiasem mówiąc, uważam, że Rena i Mero mieli dobry pomysł. Może pójdziemy za ich przykładem?

Sheyrena myślała sobie, że nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Kiedy spacerowała wraz z Merem w świetle księżyca, czuła lekki powiew wiatru przesyconego zapachem traw i słysząc wokół siebie muzykę tworzoną przez owady i ptaki, z łatwością zapominała, że są tu więźniami i po prostu cieszyła się chwilą.

Całe dotychczasowe życie spędziła, chwytając przelotne momenty radości, miała więc w tym dużą wprawę.

Mero zupełnie nie przypominał bohatera czytanych przez nią romansów. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż utwory te były pisane pod bacznym okiem elfich mężczyzn. Ukazywany w nich wizerunek bohatera, atrakcyjnego dla elfich pańienek, musiał jednocześnie odpowiadać gustom innych mężczyzn. Mero nie olśnił jej sobą, nie starał się też otoczyć jej ochronnym kokonem i podejmować za nią wszystkich decyzji. Nie; stanowił dla niej wsparcie, a nie mur obronny. Kiedy ogarniała ją niepewność, która w jej przypadku zawsze czaiła się w zakamarkach myśli. Mero obdarzał ją spojrzeniem lub dotknięciem dłoni, które mówiły bez słów: "Potrafisz to zrobić. Potrafisz wnieść swój udział. Jesteś wystarczająco mądra."

I to było dla niej o wiele ważniejsze od wszelkiej opieki. "Nie poddasz się."

Jego wyciągnięta do niej ręka nie była ręką pana, lecz przyjaciela, podaną w trudnym

momencie, by jej pomóc; ręką kogoś, kto oczekiwał, że ona odwzajemni mu się tym samym.

- Grosik za twoje myśli - odezwał się miękko Mero.

Roześmiała się.

- Och, myślę o tym, jak się cieszę, że jesteś sobą.

- Gdybym nie był sobą, to kim bym był? - odparł żartobliwie.

- W każdym razie nie tym idiotą, z którym byłam zaręczona.

- Opowiedziała mu już przedtem wszystko o tym koszmarnym obiedzie zaręczynowym. Wyraził jej miną współczucie, lecz potem uzmysłowił jej, jak się w tym wszystkim musiała czuć również konkubina. Z pewnością obawiała się utraty swej pozycji, gdyż kiedy to następowało, upadek trwał bardzo długo.

A na końcu czekała na nią złośliwa radość innych niewolników, którzy z przyjemnością przyglądali się strącaniu jej z piedestału.

Wtedy przypomniała sobie byłe konkubiny swego własnego ojca i doszła do wniosku, że ich zgorzkniałość musiała w dużej mierze wynikać właśnie z tego. Jak mogłyby nie czuć goryczy? I jakie miały inne wyjście, by ulżyć nieco swej zdeptanej dumie niż te drobne nieposłuszeństwa, których często była świadkiem?

Jej matka zapewne to rozumiała i dlatego nie zwracała uwagi na niesubordynację, okazując tym samym wrażliwość, z której Rena w owym czasie zupełnie nie zdawała sobie sprawy.

- Cóż, ja również jestem zadowolony, iż jestem sobą. Cieszę się też, że ty coraz bardziej stajesz się sobą. - Delikatnie ścisnął jej rękę, a ona przysunęła się bliżej do niego. Gdzieś z oddali dobiegał ryk bydła. - Wiesz, z każdym dniem stajesz się silniejsza. Coraz częściej pamiętasz o tym, by się nie bać.

- Och, nadal jestem tchórzem - odparła, lecz on potrząsnął przecząco głową.

- Wcale nie. Po prostu od czasu do czasu zapominasz o tym, że tak naprawdę jesteś bardzo odważna, i to wszystko. - Uniósł jej dłoń wnętrzem do góry i złożył na niej pocałunek, zamykając wokół niego wszystkie jej palce. - Zachowaj go, by pomagał ci pamiętać.

Przeszedł ją dreszcz wzruszenia i radości i natychmiast poczuła, że się rumieni.

- Zachowam - szepnęła.

- Wiem - odparł.

I faktycznie wiedział. To było w tym wszystkim takie wspaniałe. On naprawdę wiedział.

Zatrzyma w pamięci tę chwilę, tak jak i pocałunek. Cokolwiek się jeszcze zdarzy, miała przynajmniej to.

Zawsze będzie to miała.

## ROZDZIAŁ 9

Dzisiaj Jamal obserwował ćwiczenia praktyczne swych wojowników, więc konspiratorzy po raz pierwszy spotkali się na wolnym powietrzu zamiast w namiocie. Keman niespokojnie rozglądał się dookoła; nie podobał mu się pomysł tego spotkania na wolnej przestrzeni między dwoma namiotami należącymi do kapłanów, nie potrafił jednak wypowiedzieć głośno swych obiekcji ani podać ich przyczyny.

Odczuwał niepokój już od chwili, kiedy Jamal skapitulował wobec żądania Shany, by rozmawiać tylko z Dirikiem. Coś tu było nie tak i trwało to już od pewnego czasu. Lecz to “nie tak” polegało wyłącznie na tym, że sprawy układały się zbyt dobrze. Przez to tym trudniej było mu uzasadnić swój niepokój. We wszystkich sprawach, które ich dotyczyły, Jamal nie zabierał głosu. Nie zadawał na ich temat żadnych pytań, bez słowa komentarza przyjął mapy oraz spis elfich posiadłości i środków ich obrony, i sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go nic więcej. Coś tu śmierdziało, szczególnie jeśli zważyć fakt, że Jamal najadł się przez Shanę wstydu przed własnymi ludźmi. Nie był on człowiekiem, który coś takiego lekko przyjmuje. Lepiej było nie mieć go po stronie swoich wrogów - nigdy nie zapomnialby nikomu nawet lekceważenia, a cóż dopiero mówić o krzywdzie.

Shana oświadczyła Kemanowi, że wyszukuje problemy tam, gdzie ich nie ma, i spytała go z nutą zgryźliwości, czy jego zdaniem sytuacja nie jest i tak dostatecznie niebezpieczna. Mimo to nie mógł przezwyciężyć uczucia, że dzieje się coś, czego oni wszyscy nie potrafią dostrzec, a wskazówek udzieliłoby im zachowanie Jamala, gdyby tylko potrafili je właściwie odczytać.

Dzisiejszy dzień był gorący już od rana, a wkrótce upał stał się nie do zniesienia. W parnym powietrzu niewyczuwalny był nawet najłżejszy powiew wiatru. Powietrze nad trawami drżało od żaru, a pot nie wysychał, tylko ściekał po ciele, wcale go nie chłodząc. Wnętrza namiotów nagrzały się do tego stopnia, że nawet Żelazni Ludzie nie mogli w nich wytrzymać. Diricowi nie pozostało nic innego, jak zgodzić się na propozycję Shany, by tym razem zebrać się na zewnątrz. W końcu Jamal i wszyscy wojownicy klanu byli dziś zajęci zawodami, które miały wykazać ich sprawność, choć Jamal nie ujawnił jeszcze, do czego jest mu to potrzebne. Wyglądało na to, że spotkanie na wolnym powietrzu niczym nie powinno im zagrażać.

A jednak Keman nie mógł wyzwolić się od przeczucia, że oni wszyscy postępują zgodnie z jakimś planem uknutym przez Jamala.

- Może postaramy się to zainscenizować tak, by pękło sklepienie namiotu, tak jakby wszystkim nam wyrosły pazury, by je rozerwać, a potem skrzydła, by odlecieć - zaproponowała Shana w momencie, gdy Keman ponownie skupił swą uwagę na celu ich spotkania. - Czy też lepiej urządzić to tak, by wyglądało, iż uciekliśmy do wnętrza ziemi?

- Ja wolałbym to drugie - zaczął Kalamadea. - Może dzięki...

- Ach, co za wzruszające zebranko - przerwał mu ktoś donośnym głosem, cedząc słowa.

Kalamadea, Shana i Keman gwałtownie się wyprostowali, jakby mieli głowy na sznurkach poruszanych przez lalkarza, gdyż język, którym do nich przemówiono, nie był językiem Żelaznych Ludzi.

Był to język smoków, a sam głos zabrzmiał aż nadto znajomo w uszach Kemana.

Myre?

Wysoka kobieta z klanu Żelaznych Ludzi, szczupła i muskularna, ubrana jak wojownik, opierała się niedbale o krawędź wozu. Keman widział tę postać pierwszy raz w życiu, jednak jej arogancka postawa doskonale kojarzyła mu się z jego siostrą. A ponadto miała smoczy cień.

- Widzisz, lordzie Jamalu - kobieta przeszła teraz na język klanu i ciągnęła dalej, z chytrym uśmieszkiem na ustach - jest tak, jak ci powiedziałam. Kapłani naradzają się z demonami, by pomóc im w ucieczce, a dwoje rzekomych Kukurydzianych Ludzi to też demony.

Nawet złudzenie Lorryna nie było tak silne, by Żelazni Ludzie nie mogli go przejrzeć - wystarczyło po prostu, że przestali w nie wierzyć. Oczy Jamala zwęziły się, gdy przyjrzał się bliżej Lorrynowi i jego siostrze, po czym powoli kiwnął głową,

Serce Kemana zamarło,

- Właśnie widzę. - Jamal postąpił krok do przodu i stanął z rękoma skrzyżowanymi na piersi, a na ustach błąkał mu się zły uśmieszek. - Widzę sześciu nieprzyjaciół i jednego zdrajcę. Czyż jest inaczej? Diricu, powinienem dać ci szansę wybronienia się. Być może zniedołężniałeś z wiekiem i te demony oszukały cię. A może nastał czas, by władza kapłanów przeszła w ręce wodza wojennego. Gdybyś postanowił się opamiętać i przyznać mi tę władzę, mógłbym zapomnieć o tym spotkaniu.

Cała ta scena robiła wrażenie dokładnie wyreżyserowanej, zupełnie jakby Jamal recytował słowa, których wyuczył się na pamięć. Ale dlaczego?

Diric podniósł się bez pośpiechu, z twarzą tak nieporuszoną, jak żelazo z jego kuźni.

- Zdobędziesz tę władzę tylko wtedy, jeśli ośmielisz się wyzwąć mnie do walki o nią,

młody głupcze - odparł głosem lodowatym jak śnieg pokrywający wierzchołki gór. - I pamiętaj, mam prawo wyznaczyć zawodnika.

Diric zawsze był w dobrych stosunkach z kobietami-o-męskich-sercach, które były wściekle na Jamala o to, że je źle traktuje. A właśnie wśród tych kobiet znajdowali się najlepsi wojownicy klanu. Kapłan mógł wyznaczyć jedną z nich jako swojego zawodnika i było całkiem prawdopodobne, że wygrałaby walkę, gdyż Jamal wyszedł już nieco z wprawy. Ponadto taka porażka byłaby hańbą dla Jamala także w jego własnych oczach.

- Ja też mam to prawo - odparł leniwie wódz - i wybieram... ją.

Tu niespodziewanie wskazał na Myre.

- Sądzę, że nie znajdziesz podobnego jej zawodnika - ciągnął radośnie Jamal, otwarcie upajając się szokiem widocznym na twarzy Dirica. - Gdybym był na twoim miejscu, od niżej oddałbym władzę. Byłoby to lepsze dla was wszystkich.

Myre uśmiechnęła się jak ktoś, kto wie, że kości są fałszowane, że gra jest już rozstrzygnięta.

Z nich wszystkich Keman najszybciej domyślił się, co oznacza chytry uśmiezek na twarzy Myre i triumfowanie Jamala. Powiedziała mu! Albo pokazała! Wie, że ona jest smokiem!

Zanim Diric zdążył popełnić fatalny błąd, na który wódz najwyraźniej czekał, a mianowicie wyznaczyć do walki jedną z ko-biet-o-męskim-sercu, Keman przystąpił do działania.

Otworzył obrożę i rzucił ją na ziemię, po czym powrócił do swego rzeczywistego kształtu tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, zmuszając pozostałych do zerwania się na nogi i ucieczki, gdy jego gwałtownie przybierające na objętości ciało wypełniło przestrzeń pomiędzy namiotami. Tak szybka przemiana sprawiła, że kręciło mu się w głowie, lecz szybko zwalczył to uczucie. Górował teraz nad nimi wszystkimi.

Wyraz twarzy Jamala - zdumienie, lecz bynajmniej nie wstrząs, potwierdził przypuszczenia Keman. Wódz wiedział, że Myre jest smokiem i musiał widzieć już przedtem przemianę z człowieka w smoka.

Możliwe jednak, że Myre nie powiedziała mu, że wśród więźniów są jeszcze dwa inne smoki albo obydwójce zakładali, iż obroże funkcjonują należycie.

- Diric wybiera mnie! - ryknął, gdy Myre z pewnym opóźnieniem poszła za jego przykładem, a na jej twarzy wyraźnie odbijał się szok. - Ja jestem zawodnikiem arcykapłana!

Potem, zanim Myre zdążyła zakończyć przemianę i skoczyć na niego, kończąc tym samym walkę, nim się zaczęła, Keman wzbił się w niebo, a podmuch wywołany ruchem jego



skrzydeł niemal wywrócił najbliższy namiot.

W miejscu, gdzie stał przed chwilą, wzbiła się w górę chmura pyłu i zeschniętych traw, a stojący najbliżej musieli zasłonić przed nią twarze rękami.

Machał gwałtownie skrzydłami, szybko zyskując wysokość, podczas gdy namioty poniżej skurczyły się do wielkości zabawek, a w końcu zmieniły się w maleńkie grzybki na tle zielonozłotej równiny. Wysokość była jego sprzymierzeńcem. Myre pokonała go już raz w bezpośredniej walce; nawet teraz nie dorównywał jej wzrostem ni ciężarem. Nie mógł dopuścić do bezpośredniego zwania; walka nie mogła dojść do momentu, w którym jej waga i wielkość będą grały decydującą rolę.

Musi pokonać ją za pomocą mózgu, nie mięśni.

“Uciekasz, braciszku? - odezwał się w jego myślach szyderczy głos. - Tak od razu uciekasz?”

“Prowadzę w wyścigu, siostrzyczko - odparował. - Masz trudności, by dotrzymać mi tempa? Za dobrze się jadło ostatnio, nieprawdaż? Chyba to, co widziałem, to był brzuch. Może zwał tłuszczu wokół bioder?”

Oczywiście nic takiego nie widział, ale żeby jego plan się powiódł, musiał rozzłościć ją tak, by przestała myśleć.

Jego atutami były zręczność i szybkość; musiał jednak utrzymać Myre w powietrzu, a więc zmusić ją do podążania za nim.

“Lepiej poddaj się, zanim będzie za późno, bachorze - odparła z wściekłością. - A jak nie, to uciekaj dalej i zostaw tu swoje zwierzątka. Mogę pozwolić ci poczołgać się z powrotem do twych dwunogich przyjaciół, dopóki jest tam jeszcze do czego wracać.”

Co ona miała na myśli? Czyżby posiadała jakieś informacje dotyczące czarodziej, o których on nie miał pojęcia? Tak to zabrzmiało. Nie odpowiedział jej; nie było sensu. I tak mu powie, nie będzie umiała się powstrzymać. Jeśli była to zła wiadomość, to z pewnością mu ją przekaże, żeby pozbawić go ducha i uniemożliwić logiczne myślenie.

Starła się, by jej głos dotarł do wszystkich umysłów, które były w stanie go usłyszeć, i Keman wiedział, dlaczego. Chciała, żeby Shana i Kalamadea ją usłyszeli. Nie miała jednak pojęcia, że jest tu jeszcze Dora. Dora była jego tajnym sprzymierzeńcem, nieznanym czynnikiem, który może uniemożliwić Myre osiągnięcie ostatecznego celu, nawet jeśli Keman przegra tę walkę. Jeśli zdarzy się najgorsze i Myre zwycięży, jeśli nawet uda jej się zniszczyć lub uwięzić ich wszystkich, Dora dowie się, jaką to informacją Myre chciała rozdrażnić Keman. Jeśli będzie to coś faktycznie istotnego dla czarodziejów, to Dora z pewnością dopilnuje, by ta wiadomość do nich dotarła, zanim będzie za późno.

Nie próbował porozumieć się z nią myślami, gdyż Myre mogłaby podsłuchać. Musiał też skupić całą uwagę na tym, co w tej chwili robi. Mógł tylko mieć nadzieję oraz czekać, aż złość zmusi jego siostrę do wyrzucenia z siebie interesujących go szczegółów.

“Twoi czarodzieje buntują się jedni przeciw drugim, braciszku - syknęła pod nim, machając wściekle skrzydłami, by jak najszybciej go dogonić. - Starsi chcą, by powróciły dawne zwyczaje; młodszy odmawiają usługiwania im, a wszyscy są tak zaaferowani swoimi drobnymi, wewnętrznymi pretensjami, że nie zwracają sobie głowy obserwowaniem elfów. A naprawdę powinni. Ucieczka Lorryna wprowadziła elfów w panikę. Po raz pierwszy od wieków planują skupić swe magiczne moce, by wytropić was wszystkich i zniszczyć! Rada stara się załagodzić każdą wendetę i krzywdę, które kiedykolwiek się wydarzyły. Działa powoli, ale skutecznie. Już wkrótce, przed upływem kilku miesięcy, a najpóźniej na wiosnę, wybuchnie trzecia wojna czarodziejów - i będzie to wojna ostatnia.”

Poczuł w sercu lodowaty ucisk; nie powiedziała mu niczego, gdyby nie była pewna swych informacji. Jej myśli przepelniało poczucie zażyłości z Radą, które upewniło go, że te przerażające wieści są prawdziwe. Ostatnio czarodziejów uratowało tylko to, że elfi władcy odmawiali współdziałania i załagodzenia dzielących ich różnic. Jeśli ten czynnik zniknął...

Wziął się mocno w garść. To nie była pora na rozterki. Nie ma się czym martwić, jeszcze do tego nie doszło. A on musi wygrać walkę, jeśli chce temu zapobiec.

Nadal nabierał wysokości, machając mocno skrzydłami i wznosząc się ku słońcu, na tle którego stawał się niewidoczny dla Myre. Nie mogła więc kontrolować jego ruchów.

Miał już teraz znaczącą przewagę wysokości, lecz czy to wystarczy? Istniał tylko jeden sposób, by się przekonać.

Gwałtownie wykonał przewrót, zwinął skrzydła i zanurkował prosto w dół, wysuwając przed siebie zakrzywione pazury na wzór sokoła. Nie na darmo obserwował, jak latają i polują jastrzębie i sokoły. Będzie teraz takim małym sokołem wędrownym, który waży znacznie mniej niż kaczka, na którą poluje. Co więcej, będzie musiał się stać sokołem broniącym swych piskląt przed jastrzębiem gołębiarzem.

Opadał na Myre z ogromną szybkością, a pęd rozcinanego ciałem powietrza świstał mu w nozdrzach i szarpał krawędzie skrzydeł. Musiał pokonać ciśnienie powietrza i ból mięśni, by utrzymać tylne nogi przyciśnięte ciasno do brzucha. Myre nadal nie miała pojęcia, co on w tej chwili robi; stawała się coraz większa i większa w polu jego widzenia - oczy zmrużone przed słońcem, machające skrzydła, płuca z trudem łapiące powietrze, gdy starała się go dopaść.

Potem nagle jej oczy się rozszerzyły, gdy dostrzegła, jak nurkuje na nią prosto ze

słońca. Gwałtownie się odwróciła w pierwszym instynktownym odruchu, by zwinąć ogon i uniknąć jego ataku.

Za późno.

Z głuchym odgłosem, który z pewnością był słyszalny aż na ziemi, Keman rąbnął w tył jej głowy zagiętymi pazurami obu przednich łap z taką siłą, że ujrzała gwiazdy, a ciało wykonało nie kontrolowany obrót. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeden cios to za mało, by zniechęcić Myre do walki, szczególnie przy jej nastawieniu. Zanim więc zdążyła zamachnąć się łapami i go schwytać, Keman rozprostował skrzydła i z nurkowania przeszedł ponownie do lotu wznoszącego. Nagłe uderzenie powietrza w skrzydła było tak bolesne jak zderzenie z przeszkodą i na moment pozbawiło go oddechu. Opadł w tej chwili znacznie poniżej Myre, więc musiał ponownie nabrać wysokości. Kiedy znów odnalazł ją wzrokiem, była pod nim, lecz zawzięcie wspinała się, by go dopaść.

Nie odzywała się już teraz, nawet kiedy drażnił się z nią, nazywając “zbyt grubą, by latać”. Chociaż mięśnie klatki piersiowej bolały go z wysiłku, a skrzydła odmawiały posłuszeństwa, uśmiechał się do siebie. Skoro Myre nie gadała, to znaczyło, że gniew odebrał jej mowę.

Nie mógł jednak liczyć na to, że po raz drugi uda mu się wykonać taki sam manewr. Myre mogła być wściekła, lecz potrafiła walczyć, a zapewne udoskonaliła jeszcze swe umiejętności od czasu, gdy ostatnio miał z nią do czynienia.

Więc cóż, przekonać ją, że zamierza zastosować ponownie tę samą taktykę, upozorować taki sam atak, by ją zwieść, a w ostatniej chwili zrobić coś innego? To się może udać.

Ponownie wykonał obrót, by znaleźć się głową w dół i zanurkował, choć tym razem nie miał przewagi, którą dawało mu uprzednio słońce za plecami. Zamiast uderzać w głowę, postanowił przeorać jej grzbiet tylnymi pazurami, rozdzierając, jeśli się uda, delikatną błonę skrzydeł. Lecz Myre nie zamierzała bynajmniej biernie stosować się do jego planów. Kiedy markował atak, a następnie otworzył skrzydła wcześniej niż poprzednio, ona obróciła się grzbietem na dół, ryzykując wszystko w desperackiej próbie zwania się z nim i ściągnięcia go na ziemię!

Uniknął jej szponów tylko dzięki gwałtownemu ślizgowi w bok, lecz w tym niekontrolowanym ruchu stracił całą przewagę szybkości, którą dało mu nurkowanie. Mogła go w tej chwili dopaść, lecz ona z kolei liczyła na zwanie i straciła jeszcze więcej wysokości, opadając bezwładnie po nieudanej próbie.

Raz jeszcze Keman wzbijał się w stronę słońca, lecz tym razem wolniej. Oddech palił

mu gardło i piersi, gdy dysząc łapał powietrze. Skrzydła ciążyły mu, jakby były z kamienia, a ciało wydawało się zbyt wielkim brzemieniem, by mogły je unieść.

“I co teraz - pomyślał. - Co teraz? Nie mogę tego robić w nieskończoność; ona jest o wiele bardziej wytrzymała ode mnie! Muszę to jakoś zakończyć, i to szybko. Poprzednią walkę wygrała właśnie w ten sposób, że kompletnie go wycieńczyła.”

W końcu przyszło mu coś do głowy. Był to rozpaczliwy pomysł, lecz w tej chwili mógł być jego ostatnią szansą.

Raz jeszcze zawrócił i zanurkował. Myre ponownie obróciła się brzuchem do góry, by szczepić się z nim szponami.

Tym razem pozwolił się jej złapać.

Pazury jej przednich łap zamknęły się wokół jego własnych, i a tylne szpony przeorały mu skórę na brzuchu i poczuł, jak po wszystkich nerwach przetacza się fala bólu. Zawył, lecz przyciągnął ją jeszcze bliżej, wciągając jej głowę między swe skrzydła.

A wtedy uderzył biczem najcięższej broni smoków, obezwładniającej błyskawicy, którą wytworzył między czubkami skrzydeł, mając głowę Myre w środku.

Jej usta poruszyły się w bezgłośnym krzyku, głowa na długiej szyi wygięła się tak, że jej tył dotknął barków. Szpony zacisnęły się konwulsyjnie, a kiedy wreszcie zgasił łuk, całe ciało omdlało.

Był przygotowany na tę chwilę, gdyż inaczej siostra osiągnęłaby pyrrusowe zwycięstwo, pociągając ich oboje w bezwładnym upadku głowami naprzód na twardą, bezlitosną ziemię. Zaczął gwałtownie machać skrzydłami, by przewyciężyć ciężar jej ciała, ściągającego go na ziemię, i dać im obojgu możliwość łagodnego, kontrolowanego spadania. Udało mu się to o tyle, że nie spadli bezwładnie z ogromnej wysokości; nie uniknął jednak twardego lądowania z jej ciałem trzymanym nadal w szponach. Na szczęście dla niego Myre złagodziła jego upadek. Nie czuł w sobie aż tyle miłosierdzia, by nie skorzystać z tej możliwości.

Dobrze się nawet stało, gdyż właśnie gdy lądowali, zaczęła już dochodzić do siebie. Jednak siła uderzenia znów pozbawiła ją przytomności.

Nie na długo. Wystarczyło mu jednak czasu, by przygnieść do ziemi, bezradną pod jego ciężarem, a czarodzieje biegli już od strony namiotów w ich kierunku. Za czarodziejami widać było zbliżających się ostrożnie Żelaznych Ludzi.

- Zmień kształt, Myre! - warknął. - Na człowieka. Zrób to natychmiast, bo jak nie, to przysięgam...

- Że co? - kpiła, choć w jej oczach czał się strach, gdy próbowała bezskutecznie

wywinąć się z jego uścisku. - Zabijesz mnie? Jesteś na to zbyt wielkim mięczakiem.

- Połamię ci skrzydła - syknął. - Podrę je na strzępy, połamię każdą kosteczkę, tak że choćbyś nie wiem jak dobrze leczyła swe rany, nigdy już nie będziesz latać! Zrobię to, Myre! Naprawdę!

Widział po przerażeniu malującym się na jej twarzy, że uwierzyła mu. Nie przyszło jej nawet na myśl, że może po prostu zmienić postać, by wyleczyć każdą kontuzję. Ojciec Smok i jego matka znali tę małą sztuczkę, a on sam był - z tego, co wiedział pierwszym smokiem, który ją wypróbował. Myre natomiast najwyraźniej uważała, że uszkodzenia zadane smokowi w prawdziwej postaci są nieuleczalne.

No i bardzo dobrze.

Myre zaczęła kurczyć się pod jego pazurami i po chwili zmieniła się w bezradną kobietę, trzęsącą się ze strachu, lecz patrzącą na niego z nienawiścią w oczach. Nie przyjęła jednak postaci kobiety z klanu Żelaznych Ludzi, lecz białoskórej niewolnicy elfów.

- A teraz co? - spytała wyzywająco. - Masz zamiar mnie zjeść?

Zamknął wokół niej swe szpony, nie starając się robić tego zbyt delikatnie.

- Będziesz jeszcze o tym marzyła, Myre.

“Shano! - zawołał jednocześnie w myślach. - Przynies obrożę, ale nową, i poproś Kale, żeby przysłała ze swoimi narzędziami.”

Siedzieli niemal bez ruchu w suchej, gorącej trawie, otoczeni ze wszystkich stron przez przestraszonych ludzi. Keman przez cały czas czuł ból promieniujący z ran na brzuchu, lecz palące słońce wlewało w niego nowe siły. Natomiast z Myre, w jej ludzkiej postaci, bezlitośnie je wysysało.

Shana nadbiegła, niosąc obrożę w obu rękach. Kala podążała za nią wolnym, ostrożnym krokiem, niosąc swoją sakiewkę z narzędziami. Żona kapłana, całkowicie skupiona na Kemanie, nie zwracała najmniejszej uwagi na Myre. Była przestraszona; poznał to po pocie na jej czole i drzeniu rąk. Mimo to zbliżyła się jednak do niego, co przekonało go o tym, jak bardzo jest dzielna.

- Załóż jej obrożę na szyję, Shano - polecił głośno, wypowiadając te słowa w języku Żelaznych Ludzi, tak żeby każdy mógł je zrozumieć. - Teraz ją zatrzaśnij.

Kiedy wykonała to, o co ją prosił, puścił Myre jak jakiś obrzydliwy przedmiot i odstąpił o krok do tyłu. Zanim ta zdążyła choćby pomyśleć o przebicciu się przez nich, Shana złapała ją i przydusiła do ziemi, siadając na niej, by ją tam przytrzymać.

Keman ponownie się przekształcił, skupiając się nie tylko na swej półelfiej postaci, lecz również na tym, by równocześnie uleczyć rany zadane mu przez siostrę. Przemiana była

tym samym trudniejsza, lecz w tej chwili nie to było ważne. Uwolnienie się od bólu po przyjęciu ostatecznej postaci osłabiło go ponownie.

Oczy Kali rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy ujrzała go w jego półelfiej postaci.

- Potrafiłaś przerobić zamki w naszych obrożach tak, by nie zamykały się na dobre - powiedział do niej tak cicho, by nikt inny go nie usłyszał. - Czy umiesz je również tak zepsuć, żeby już nigdy nie dało się ich otworzyć?

Skinęła powoli głową i podeszła do Myre, która przeklinała głośno i próbowała się wyrwać z uścisku Shany. Poleciwszy Shanie, żeby przytrzymała smoczyce za nogi, Kala usiadła jej na plecach i przytrzymała głowę za włosy. Żona kapłana nie była bynajmniej lekka, na co dobitnie wskazywała poczerwieniała nagle twarz Myre.

- Będziesz leżała spokojnie. - Kala wymawiała te słowa powoli i starannie, potrząsając włosami, za które ją trzymała, tak że Myre aż się skrzywiła. - Demon czy potwór, nic mnie to nie obchodzi, dopóki jesteś w postaci kobiety i masz na sobie obrożę. Dzięki niej pozostaniesz kobietą, a jeszcze się taka nie narodziła, z którą nie potrafiłabym sobie poradzić. Jeżeli nie będziesz leżeć spokojnie, to nie biorę odpowiedzialności za to, co się stanie podczas mej pracy. Niektóre z narzędzi są bardzo ostre.

Myre zamarła, nie ośmielając się nawet drgnąć.

Tego właśnie Kali było trzeba. W chwilę później zapuściła jeden ze swych próbników w zamek obroży, wcisnęła go w mechanizm i odłamała czubeczek równo z powierzchnią obroży. Dopiero wtedy podniosła się i pozwoliła, by Myre niezdarnie wstała.

- Nikt już nie otworzy tej obroży - oświadczyła spokojnie Kala. - Będziesz ją mogła zdjąć tylko w wypadku, gdy znajdziesz kogoś, kto odważy się odciąć ci ją na szyi. To nie będzie łatwe. Nie będziesz też mogła usunąć jej za pomocą magii; jest tak zahartowana, że może oprzeć się najostrzejszemu przecinakowi.

- Nosząc ją, przekonasz się, że nie potrafisz zmienić kształtu i że możesz wykorzystywać jedynie drobne czary. - To był głos Kalamadei, który pojawił się wśród tłumu. - Innych bym na twoim miejscu nie próbował. Mówiono mi, że skutki mogą być katastrofalne.

Nagle tłum rozdzielił się, tworząc przejście. Ukazał się w nim Diric, za którym podążały cztery kobiety-o-męskim-sercu otaczające Jamalę. Nie był on skuty łańcuchem, chociaż zachowywał się tak, jakby był. Zwiesił ramiona i nie patrzył na nikogo, mając wzrok wbity w ziemię.

Lecz Keman dostrzegł w jego oczach furję, furję, którą próbował ukryć. Został pokonany, lecz nigdy nie zapomni tej porażki, a jeśli kiedykolwiek będzie miał szansę

odwet, to będzie on straszny.

“A więc tym bardziej należy zrobić wszystko, by nie dać mu tej szansy” - pomyślał Keman.

- Podczas gdy ty walczyłeś w powietrzu, mój obrońco - odezwał się poważnie Diric do Kemana - ja przeprowadziłem swoją własną walkę na ziemi.

Podniósł głos.

- Ludzie, słuchajcie o głupocie i wybującej dumie swojego wodza wojennego, który chciał narazić na niebezpieczeństwo życie wasze i waszych rodzin, by zyskać dla siebie przemijającą chwałę!

Diric zaczął opowiadać mocno spreparowaną wersję wydarzeń, które miały miejsce od czasu, gdy schwytano czarodziejów. Keman nie przysłuchiwał się temu zbyt dokładnie, gdyż szybko zorientował się, jaki będzie sens tej wypowiedzi. Przyglądał się natomiast bacznie Myre, która nie posłuchała ostrzeżenia i najwyraźniej usiłowała zastosować czary silniejsze od tych, których próbowali Kalamadea i on. Niedługo musiał czekać; Myre wydała okrzyk bólu i zrobiła się kredowo-biała na twarzy, a skóra wokół obroży zaczerwieniła się i pokryła bąblami.

Mógłby jej współczuć, gdyby nie to, że nadal był na nią wściekły.

Po chwili zwrócił uwagę na Lorryna, który przyglądał się jej z ustami otwartymi ze zdumienia.

- O co chodzi? - spytał cicho. - Dlaczego tak się wpatrujesz w moją siostrę?

- To... to pokojówka mojej siostry, ta, która pomogła nam w ucieczce - wykrztusił, nie odrywając od niej wzroku. - Ale przecież ona... Czy jeszcze chwilę temu nie była smokiem?

- Poza tym, że jest smokiem, jest też moją siostrą i próbowała zabić Shanę oraz wszystkich jej przyjaciół jeszcze w czasach poprzedzających drugą wojnę czarodziejów - odparł ponuro Keman. Lecz kiedy Lorryn, w którego oczach czaiły się dziesiątki pytań, odwrócił się ku niemu, potrząsnął tylko głową. Wiele rzeczy wychodziło teraz na jaw, ale na rozmowy będą musieli poczekać. - Wyjaśnię ci później; mamy w tej chwili ważniejsze, sprawy, którymi trzeba się zająć,

Gracja Dirica zbliżała się ku końcowi wraz z oświadczeniem, że Jamal zostanie naznaczony piętnem zdrajcy i wykluczony z klanu.

- W chwili obecnej - ciągnął kapłan - musimy zrobić wszystko, by zapobiec wojnie. O ile jest to jeszcze możliwe!

Zanim zapadł zmrok, Rena nie wiedziała już, co się z nią dzieje; nie potrafiła tego wszystkiego ogarnąć rozumem. Jej pokojówka, jej przyjaciółka - za taką ją przynajmniej

uważała - była w rzeczywistości smokiem? Z tym jeszcze mogła się jakoś pogodzić. Wydawało się to logiczne w świetle tego wszystkiego, co Myre wiedziała o smokach; jej wiedza na ten temat była szersza, niż gdyby była tylko agentką czarodziejów. Lecz odkrycie, że była ona złym smokiem, smokiem, który pomagając w ucieczce, chciał im zaszkodzić, a nie pomóc...

To nią wstrząsnęło i zraniło jej uczucia. Miała tak niewielu przyjaciół, a żyła w przekonaniu, że Myre jest jednym z nich, mimo różnic, które je dzieliły. Czy nie odstępowała od zwyczajów, starając się być miłą dla tej dziewczyny? Czy nie zwierzała się jej ze wszystkich swych sekretów? Romanse i opowieści, które czytała, wiele mówiły o bólu, jaki przynosi zdrada - teraz naprawdę zrozumiała, co oznaczały te słowa! Jak będzie mogła jeszcze komukolwiek zaufać? Zresztą, komu miałyby po tym wszystkim ufać?

Taka była jej pierwsza reakcja, kiedy próbowała zrozumieć wszystkie zmiany, które zaszły, i jakoś je uporządkować. Jednak kiedy minął pierwszy szok i jej umysł zaczął na nowo pracować, musiała przyznać sama przed sobą, że na tle ogólnej sytuacji i tego i wszystkiego, co ujawniła Myre, jej własny ból miał niewielkie znaczenie. Ona wprawdzie nie słyszała "głosu w umyśle", opisanego jej przez brata, lecz Kalamadea, Shana, Mero, Lorryn i - o dziwo - Diric, słyszeli. Niebezpieczeństwo zagrażające czarodziejom w ich nowej siedzibie nie znajdowało się jeszcze wprawdzie blisko, lecz już wkrótce miało nadciągnąć.

- Możecie odejść w każdej chwili, gdy zapagniecie - powiedział Diric.

Znów znajdowali się w jego namiocie, lecz tym razem raczej dla wygody, niż dla zachowania tajemnicy. Jamal udał się już na wygnanie. Diric był zdania, że nie należy pozwalać mu na pozostawanie w obozowisku, gdzie mógłby znaleźć dostęp do Myre. Z pełną aprobatą kapłana mianowano nowego wodza wojennego. Myre więdła w namiocie więźniów, umieszczona z dwoma elfami, gdyż Keman uznał, że lepiej oddać ją pod nadzór Dirica niż pozwalać waleśać się swobodnie po obozie. Może nawet udałoby jej się uciec, lecz gdzie miała pójść? Z obrozą na szyi nie uda jej się zmienić kształtu, a w postaci niewolnicy lorda Tylara będzie żałośnie bezbronna. Nie mogąc bronić się za pomocą magii, byłaby narażona na tych pustkowiach na setki niebezpieczeństw.

Tak więc przynajmniej w tej chwili Myre nie stanowiła już dla nikogo zagrożenia. Później? Cóż, Rena nie była taka pewna. Gdyby to od niej zależało, Myre zostałaby zamknięta do końca życia w jakimś bardzo głębokim, ciemnym miejscu, gdzie jedzenie opuszczano by jej na linie.

- Zgodnie z naszymi odwiecznymi tradycjami zyskaliście sobie w nas sojuszników - ciągnął Diric, zwracając się głównie do Shany i Lorryna. - Pokonaliście zawodnika Jamala na



oczach całego klanu. Nie wiem, co możemy zrobić, by wam pomóc, lecz jeśli widzicie taką możliwość, wystarczy tylko poprosić!

Shana przecząco kręciła głową. Rena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej nastrój niezwykle się pogorszył w ciągu ostatnich kilku godzin. Była napięta, bardzo napięta, i choć na zewnątrz nie okazywała zdenerwowania, Rena zdawała sobie sprawę, że najchętniej tuż po walce wsiadłaby na grzbiet smoka i ruszyła do domu.

- W tej chwili najbardziej potrzebna nam jest armia. Nie będę was prosiła, żebyście wystąpili przeciwko elfom, nie poprosiłabym o to nikogo. Obydwoje wiemy, że byłaby to po prostu rzeź. Lecz...

- Shano, zaczekaj chwilę - przerwał jej Lorryn. - W tej chwili elfowie nie są jeszcze przygotowani do ataku. Nadal starają się załagodzić wszystkie stare urazy. A co by było, gdybyśmy wtrącili się w ten proces?

- Jak? - spytała sceptycznie. - Nie będę prosić smoków, by udały się na ich ziemie w postaci elfów; to zbyt niebezpieczne. Zresztą, każdy elfi lord, który się nagle pojawi, będzie poddany najściślejszej obserwacji i pewnie z tuzin innych będzie musiało za niego poręczyć. A jeśli pójdą jako niewolnicy, nie będą mogli nic zrobić poza obserwacją. Nie mogę też poprosić czarodziejów, by oni się tam udali, nie teraz, kiedy elfowie szukają narzuconych złudzeń. Jak możemy cokolwiek zrobić na odległość?

- Możemy pość z Lorrynem - zaproponowała nieśmiało Rena. - Nie wiem dokładnie, co on ma na myśli, ale możemy to zrobić. On mógłby udawać jakiegokolwiek er-lorda albo nawet trzeciego czy czwartego syna - nikt nie zwraca na nich uwagi, tak samo jak na kobiety. Moglibyśmy obejść wiele miejsc, nie spotykając nikogo, kto by nas rozpoznał.

Mero pochylił się, złapał ją za rękę i ścisnął.

- Jeśli oni tam pójdą, idę z nimi - ofiarował się śmiało, a oczy Shany rozszerzyły się zdumieniem. - Wiem mnóstwo rzeczy o Wysokich Lordach i ich posiadłościach. Wiem również co nieco o miastach. Mogę w końcu uchodzić za niewolnika Lorryna, jestem przecież przyzwyczajony do tej roli.

Shana spojrzała na Lorryna, który z aprobatą skinął głową.

- Najwyraźniej masz jakiś plan - odezwała się do niego. Wiesz coś, czego my nie wiemy?

- Tak, jeden niewielki szczegół - zgodził się. - I jest coś, lordzie Diricu, co twoi ludzie mogliby mi dać, a co ogromnie pomogłoby przeprowadzić mój plan. Mianowicie, biżuteria, którą wykuwają wasze kobiety.

Diric uniósł pytająco brwi.

- To wszystko brzmi coraz bardziej zawile. Mam nadzieję, iż nie jest to aż tak bardzo złożone, by uniemożliwić sukces.

- W rzeczywistości to wszystko wcale nie jest skomplikowane - zaprzeczył Lorryn. - Istnieje wśród elfich lordów odwieczny antagonizm, którego żadne negocjacje nie są w stanie załagodzić. A jest to antagonizm pomiędzy silnymi i słabymi.

Teraz Rena zrozumiała, do czego brat zmierza oraz po co potrzebna mu biżuteria.

- Różnica między silnymi i słabymi jest kwestią raczej magii niż bogactwa czy stanu posiadania - wtrąciła się podniecona, nie czekając, aż Lorryn sam to wyjaśni. - Lordowie posiadający wielką moc magiczną robią sobie praktycznie niewolników z tych, którzy mają jej niewiele. W zasadzie, to nawet kogoś gorszego od niewolników! Istnieje między nimi przepaść tak wielka, że nic nie jest w stanie jej zniwelować. Rany zadawano zbyt długo i zbyt były one głębokie, by cokolwiek mogło je uleczyć!

Mero przytaknął jej.

- Jest to antagonizm, który nigdy się nie ujawni, jak długo silni lordowie będą mogli używać swej mocy przeciw słabym. Tak więc nie przypuszczam, by ktokolwiek ze stojących na szczytach władzy zwracał sobie głowę pojednaniem z tymi, których uważa za niższych od siebie. Wątpię, żeby im to w ogóle przyszło na myśl.

- Do elfów udręczonych przez tych potężnych magów należy większość kobiet - dodał Lorryn. - Wyobraźmy sobie teraz, że nawet cała moc magiczna świata nie zadziała w stosunku do tych, którzy nie mają nic własnego. Wyobraźmy sobie też, że wśród tych, którym niezbyt dobrze się powodzi, wybuchnie nagle moda na ażurową biżuterię. I co się stanie, gdy odkryją oni, że czary nie mają na nich żadnego wpływu, gdy noszą tę biżuterię?

- A co, jeśli oddasz ją także do rąk ludzkich niewolników? - dodała Shana z oczami błyszczącymi podnieceniem. - Och, Lorrynie, czy naprawdę wierzysz, że pomniejsi elfowie powstaną przeciw swoim panom, jeśli będą wiedzieli, że są odporni na ich moc?

- Nie tylko pomniejsi lordowie; pomyślcie też o wszystkich niezadowolonych synach, którzy nie mają nic innego do roboty poza tym, że są dziedzicami swych ojców, bez prawdziwych szans na jakiegokolwiek dziedziczenie - wtrącił Keman. - Są znudzeni, usychają z bezczynności i urazy. Mają dosyć przydzielania im głupich, nieistotnych zadań, jakby byli trochę lepszymi niewolnikami. Przebywałem wśród nich, gdy cię poszukiwałem, Shano. Przypomnij sobie Dyrana. Może on był najgorszy z nich wszystkich, ale i tak istnieje koło setki takich lordów Tylarów, którzy podobnie gnębią swych synów. Ci ostatni chętnie odplaciliby im pięknym za nadobne, gdyby mogli się uodpornić na magię swych ojców.

- A lordowie, robiąc porządek z buntem podwładnych i nieposłuszeństwem swoich

kobiet i dzieci, nie mieliby czasu zajmować się czarodziejami - podsumował Lorryn. - Mój plan wygląda następująco. Rena i ja wracamy do domu. Ja ruszam do miast, gdzie wyszukuję utyskujących podwładnych i niezadowolonych dziedziców. Ona wraca do naszej posiadłości, snuje opowieść, jak to ją zmusiłem do ucieczki wraz ze mną, i rusza dalej w towarzyski objazd posiadłości - ozdobiona ażurową biżuterią. Wpadłem na pomysł, by pokryć tę biżuterię srebrem, co pozwoli ukryć fakt, iż jest wykonana z żelaza. Dzięki temu nikt prócz właścicieli nie domyśli się, jaka kryje się w niej moc. Wzory tej biżuterii są na tyle egzotyczne, że z łatwością zapoczątkują modę. Kobiety szaleją za wszelkimi nowościami.

Rena ponuro skinęła głową, a on kontynuował, zwracając się teraz do niej.

- Problem tylko w tym, że to może być dla ciebie bardzo niebezpieczne, Reno. Nie zaryzykuję tego, o ile nie jesteś w stu procentach przekonana, że chcesz iść. - Kiedy to mówił, jego oczy wyrażały powagę. - Nie będę ukrywał, że jeśli weźmiesz w tym udział, to ułatwi sprawę, lecz nawet sam mogę odnieść częściowy sukces.

- Dopóki cię nie złapią - stwierdził ponuro Mero. - Nie, jeśli ty w to wchodzisz, to ja również.

- I ja! - Rena wyzywająco uniosła brodę. - Sądzę, że masz rację. Bunt ze strony kobiet jest jedyną rzeczą, której lordowie nie będą się spodziewać.

Wróciła przez chwilę myślami do czasów, które zdawały się teraz tak odległe. Przypomniała sobie, jak wpatrywała się w mrok swego pokoju, stojąc u progu beznadziejnej przyszłości w roli bezwolnej żony kompletnego idioty. Co by wtedy zrobiła, gdyby dowiedziała się, że jest jakaś metoda, by się przed tym uchronić? Co by powiedziała, wiedząc, że może nie dopuścić do odebrania sobie własnej świadomości?

Oczywiście, ojciec mógłby i tak użyć siły fizycznej, lecz na to również znalazłby się sposób. A gdyby matce udało się zapiąć mu na szyi żelazną obrozę, może gdy będzie spał...

Matka!

- Muszę wrócić chociażby po to, by pomóc matce - odezwała się nagle. - Muszę, Lorrynie! Zaczekaj chwilę, daj mi pomyśleć.

Zamknęła na moment oczy i skupiła się.

- Szybko uda się nam dowiedzieć, czy rozniosły się wieści o mojej ucieczce wraz z tobą - odezwała się w końcu. - Jeśli nie, to mogę zacząć odwiedzać niektóre z moich "przyjaciółek", im dalej od posiadłości, tym lepiej. Pokażę im swoją biżuterię i powiem, że to prezenty zaręczynowe. Przy okazji przemycę informacje, gdzie mogłyby kupić sobie coś podobnego. Nie zatrzymam się u żadnej dłużej niż dzień. Mężczyźni nie zwracają uwagi na gości w kobiecych komnatach i nie pamiętają kobiecych imion. Powinno to być zupełnie

bezpieczne, o ile nie będę nigdzie zbyt długo.

Lorryn przytaknął jej i Mero także. Spojrzenie Mera, pełne aprobaty i zachęty, dodało jej dość otuchy, by przejść do drugiej części planu.

- Ten objazd zapoczątkuje modę, i potem potoczy się to już samo, bez mojego udziału. Ja natomiast wrócę do domu. - Uniesieniem ręki powstrzymała protesty Lorryna. - Powiem ojcu, że mnie porwał, tak jak proponowałeś przedtem. Wystarczy tylko, że rzuci na mnie zakłęcie rozpraszające złudzenie i przekona się, że jestem pełnej krwi elfem. Wtedy stanę się dla niego ważna, Lorrynie. Będę wtedy jedynym prawdziwym dzieckiem z jego krwi. Mogę im nawet powiedzieć, że porwał mnie, żeby wykorzystać jako kartę przetargową przeciw niemu. Potem postaram się przemycić jakąś część żelaznej biżuterii do matki i będziemy mogły uciec razem.

- Mam tylko jedno pytanie - Lorryn zwrócił się na koniec do Shany. - Czy celem tych wszystkich działań jest wywołanie zorganizowanego powstania?

- Nie ma innego wyjścia - odrzekła mu szczerze. - Jak tylko właściwości żelaznej biżuterii przestaną być tajemnicą, potężniejsi lordowie zaczną szukać sposobów przechwycenia jej. Może im się to udać, jeśli będą każdego właściciela osobno wciągać w pułapkę.

Rena zamknęła oczy, przygryzła język i usilnie starała się nie okazywać strachu. To nie był romans, ani sny na jawie, które snuła w swoim ogródku. To było rzeczywiste, tak rzeczywiste jak ich wędrówka przez pustkowia, jak ten dywanik pod jej ręką. :

Kiedy opuszczą to miejsce i przekroczą granice terenów będących we władaniu elfów, ona znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Może nawet zginąć. Podobnie jak Lorryn.

“I podobnie jak Mero, a on się nie waha.”

Czuła lodowatą obręcz zaciskającą się wokół jej serca, dławienie w gardle i lodowatą bryłę ołowiu w żołądku. Czy to było zaledwie dwa dni temu, gdy spacerowała z Merem w świetle księżyca i myślała o tym, że po raz pierwszy w życiu jest naprawdę szczęśliwa? A teraz...

“A teraz mieli wystawić to szczęście na ryzyko?”

Nie można jednak było zrobić nic innego, gdyż wtedy wszystko, przez co przeszła, stałoby się bezużyteczne.

Przez tę chwilę, kiedy walczyła sama ze sobą, by pokonać strach, musiała zmagać się jeszcze z inną siłą. Mianowicie z pokusą, żeby zachować się jak prawdziwy tchórz, samolubny tchórz. W końcu nie była wojownikiem ani żadnym bohaterem, jak Shana. Mogła

przecież udać się do ojca i opowiedzieć mu o wszystkim, czego się dowiedziała. Nie tylko chętnie by ją przyjął, lecz nawet wynagrodził. Dałby jej wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła. Mogłaby mieć wreszcie wszystkie te rzeczy, o których zawsze marzyła - własny dworek, gdzie tylko ona by rządziła, książki, muzykę, suknie, klejnoty i swobodę robienia tego, na co ma ochotę. Ci mieszkańcy i te smoki - oni nie należeli do jej rasy. Po co miałyby ofiarowywać im swe usługi i lojalność, skoro stanięcie w jednym szeregu ze swym własnym gatunkiem dałoby jej wszelkie swobody, o jakich zawsze marzyła?

Pokusa ta nie trwała jednak dłużej niż czas potrzebny na sformułowanie tych myśli, gdyż nie byłaby to jednak prawdziwa wolność. Nadal byłaby skrępowana - przez obyczaje i prawo. Może by jej nie zmuszono do poślubienia kretyna, ale i tak nie mogłaby pójść za głosem serca.

Najważniejsze jednak, że weszłaby w ten sposób na drogę zła. Wszystkie te zdobycze byłyby okupione krwią.

Gdyby to zrobiła, stałaby się równie zła jak najgorsi z jej rasy. A może nawet gorsza. Oni zbudowali swoje posiadłości na krwi i ciałach swych niewolników i poddanych. W jej przypadku byłaby to krew i ciała tych, którzy nazywają ją swoją "siostrą" i "przyjaciółką".

Może jest słaba i tchórzliwa, ale nie potrafi stać się zdrajcą.

Rozmowa toczyła się dalej bez niej, zdawała sobie jednak sprawę, że w tej chwili nie byłoby z niej żadnego pożytku. Skupiła swoją wolę wokół strachu, który utkwiał jej w gardle, sercu i duszy, i słuchała dyskusji z pozornie spokojną twarzą.

Potrzeba kilku dni podróży, zanim dotrą do granic terenów zajętych przez czarodziejów. Ten czas musi jej wystarczyć, by znaleźć w sobie potrzebną odwagę. Trzeba mieć nadzieję, że wystarczy.

Keman stracił do nich cierpliwość już na długo przedtem, nim wszyscy zdążyli się wypowiedzieć. Może przyczyną było podniecenie? Zauważył, że kiedy ludzie są podekscytowani, muszą przedyskutować wszelkie możliwe aspekty danej sprawy, zanim będą mieli jej dość. Na koniec zaczęli omawiać wszystko od początku, powtarzając w kółko to samo, aż wreszcie Diric oświadczył, że są zbyt zmęczeni, by rozsądnie myśleć. Posłał ich do namiotu Jamala, który im przydzielił, gdyż nowy wódz wojenny był zadowolony ze swego domu i nie miał ochoty go zmieniać. Keman ucieszył się, widząc, że każde z nich ma własne, choć niewielkie pomieszczenie, uprzątnięte już z wszelkich pozostałości po byłym właścicielu i umeblowane wygodnymi materacami i innymi drobiazgami.

Kiedy przyjrzał się swojemu kawałeczkowi wyłożonego dywanami namiotu, doszedł do wniosku, że to zapewne dzieło Kali. Podczas ich rozmowy ona zajęła się wszystkim. "Cóż

to za zdumiewająca kobieta. Ona i Diric świetnie do siebie pasują.”

Jakby to było cudownie, gdyby jemu udało się znaleźć kogoś podobnego do Kali.

Położył się na materacu i czuwał nasłuchując. Każdym włóknem swego ciała wyczekiwał, kiedy ucichną dźwięki wydawane przez innych w tym namiocie. Nie przypuszczał, by Sheyrena i Mero mieli dziś ochotę spacerować rączka w rączkę w świetle księżyca, nie po tym wszystkim. Jeśli byli równie wyczerpani jak on...

Cóż, możliwe, że nie są. Oni nie stoczyli dziś walki, on tak. No, chyba że wszyscy zabrali się za ujarzmianie Jamala, kiedy , on i Myre walczyli w powietrzu,

Stopniowo jednak szmer rozmów i odgłosy wydawane przez i poruszających się ludzi zaczęły zamierać.

Wreszcie!

Musiał wyjść na zewnątrz, Dora pewnie szaleje już z niepokoju. Poza tym umierał z głodu. Nie zdecydował się wcześniej na najłatwiejsze rozwiązanie i nie poprosił o jedną czy dwie krowy. Już i tak dostatecznie przeraził ludzi swoim widokiem; nie chciał straszyć ich jeszcze bardziej, jedząc na ich oczach.

Wyśliznął się z ciemnego namiotu i przemknął przez obóz cicho jak kot, przebiegając z jednego ciemnego miejsca w drugie ze zręcznością cechującą wszystkie drapieżniki. Sprzyjało mu to, że nie było księżyca, a większość ludzi była tak zszokowana i podniecona dzisiejszym obrotem wypadków, że woleli nie wychylać nosa ze swoich namiotów, dopóki sprawy nie zostaną jakoś uporządkowane.

Kemanowi było ich trochę żal. Całe ich życie było tak ściśle związane z tradycją, a przecież dziś zdarzyło się tyle spraw nie przystających do ich obyczajów, że musieli czuć się zagubieni, jakby nagle obudzili się na krze dryfującej przez ocean lub na samym wierzchołku stromej góry.

Z całą pewnością nie co dzień widzi się nad głowami dwa walczące smoki, które na dodatek po walce zmieniają się w ludzi, a co więcej, jedną z tych osób przedtem się znało. Potem przychodzi wiadomość, że wódz wojenny zmawiał się z drugim z tych smoków, by narazić wszystkich na wojnę z demonami, a najwyższy kapłan spiskował z pierwszym, by z nimi handlować. Biedacy. Nic dziwnego, że w każdym namiocie aż huczało od rozmów, a ich brzmienie wskazywało, że mieszkańcy obozu nie wiedzą, co o tym wszystkim sądzić.

“Chyba jednak Diric ich przekonał - pomyślał. Miałby więcej kłopotu, gdyby Shana poprosiła go o bezpośrednią pomoc przeciw elfom, lecz w obecnej sytuacji zapewne uda mu się ich uspokoić.”

W tej chwili szedł jednak do Dory, aby przekonać ją, by zgodziła się na ujawnienie.

Nie chciał tego, nie tak wcześnie, lecz nie było wyboru.

Będzie musiała zdecydować się między powrotem do swego leża, a...

A czym? A nim?

Lecz jaki on miał wybór?

“Przy jej pomocy moglibyśmy wrócić wszyscy do cytadeli w ciągu kilku dni - rozmyślał. - Shana jest taka lekka, że Kalamadea będzie mógł ponieść ją razem z Lorrynem. Jednak bez Dory trzeba będzie pokonać tę trasę dwa razy, bo ja nie dam rady nieść zbyt długo dwóch osób. Zajmie to czas, którego po prostu nie mamy.”

Ponadto jutro rano wszyscy sześcioro opuszczają to miejsce. Dora będzie musiała ujawnić się wcześniej czy później, więc dlaczego nie wcześniej? Nie może wiecznie ukrywać się.

Zatrzymał się na skraju stada i wysunął myślowy “czulek” w poszukiwaniu smoczyicy.

“Tutaj, na skraju stada.”

Nie musiał już ukrywać, kim jest, i nie miał też zamiaru tłumaczyć się przed żadnym z pasterzy, co tu robi. Zaczął więc zmieniać postać - powoli, odczuwając lekki ból, który zawsze towarzyszył przemianie, gdy był zmęczony - po czym wzbił się ciężko w powietrze. Lecąc, czuł ból mięśni i słyszał skrzypienie własnych stawów. “Będę od tej pory utrzymywać się w lepszej formie” - obiecał sobie w duchu.

W chwilę później przyłączyła się do niego Dora. Polecieli dalej razem, bez jednego słowa, a Dora wiodła go pomiędzy niskie wzgórza za obozowiskiem,

Ku jego zdumieniu i radości zaprowadziła go prosto do świeżo upolowanego jelenia i cierpliwie czekała, gdy zaspokajał swój wilczy głód.

- Och - powiedział gorąco, wypełniwszy na tyle pustkę w żołądku, by móc jasno myśleć - bardzo tego potrzebowałem. Dziękuję.

- Wiedziałaś, że będziesz głodny - odparła poważnie. - Kemanie, nie miałam pojęcia, co myśleć, gdy zobaczyłam tę straszną smoczycę. A kiedy się odezwała, i walczyliście, tak się o ciebie bałam!

Słowa te wypowiadała z takim oporem, jakby tak samo jak on bała się nazwać głośno swe uczucia.

- Chciałam ci pomóc - ciągnęła - lecz nie wiedziałam jak.

- Nic nie mogłaś zrobić - powiedział jej otwarcie. - Myre miała mi wszystko za złe od chwili, kiedy się urodziła. Ta niechęć przerodziła się w nienawiść jeszcze na długo przedtem, nim się spotkaliśmy, ty i ja. Cokolwiek byś zrobiła, by mi pomóc, opóźniłoby to tylko ostateczne starcie między Myre a mną.

- Rozumiem. - Zwiesiła głowę. - Jedyne, co przyszło mi na myśl, to to, że na pewno będziesz głodny.

- I byłem. Dziękuję ci. - Usiadł, zastanawiając się, co ma teraz powiedzieć. Cóż, lepiej mieć to już z głowy.

- Jutro wyjeżdżamy.

Podniosła raptownie głowę, oczy jej się rozszerzyły.

- Z powodu tego, co powiedziała twoja siostra? O elfach i waszych przyjaciółach czarodziejach?

- Nie miała żadnego powodu, by kłamać, natomiast sporo, by powiedzieć prawdę. Trzeba więc założyć, że nie kłamała. Musimy wracać. Shana będzie musiała przygotować się wraz z czarodziejami na ewentualny atak elfów, natomiast Lorryn i Rena wymyślili plan, jak wywołać zamieszanie w szeregach elfich władców. Nie pozostało nam jednak wiele czasu.

- A więc wyjeżdżasz. - Wyglądała, jakby spożyła coś gorzkiego. - Obiecałam pomóc ci w ucieczce, lecz w tej sytuacji raczej nie potrzebujesz mojej pomocy.

Czy to był jej jedyny problem?

- Potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek - odparł. - Przy twojej pomocy, gdybyś pozwoliła Shanie usiąść na sobie, moglibyśmy lecieć niemal z normalną szybkością. Bez ciebie Kalamadea i ja będziemy musieli dwukrotnie pokonać tę trasę.

Zajrzała mu w oczy.

- Prosisz mnie, żebym się ujawniła?

Skinął głową.

- Doro, zrozum, że wcześniej czy później będziesz musiała to zrobić, albo po prostu wrócić do domu. I jaki to będzie miało sens? Ja opowiem swojemu rodowi o twoim leżu, a wtedy część naszych smoków na pewno wyruszy na jego poszukiwanie. Ty z kolei opowiesz swoim o innych leżach, które się tu znajdują. W końcu nasze rody i tak się spotkają, niezależnie od tego, czy pokażesz się moim przyjaciołom.

Ona jednak nie wyglądała na przekonaną.

- Nasze prawa zawsze zabraniały pokazywania się dwunogom w naszej prawdziwej postaci. Keman prychnął. - Moje dwunogi już doskonale wiedzą, kim jesteśmy, a Myre całkowicie załatwiła tę sprawę, jeśli chodzi o Żelaznych Ludzi. Jak mówią moi dwunożni przyjaciele: "Konia już ukradziono, więc po cóż zamykać wrota stajni?" Twój widok nie będzie dla nich żadną nowością.

- Powiedziałam, że chcę ci pomóc - westchnęła.

- Ale niekoniecznie moim przyjaciołom? - spytał ostro.



- Nic na to nie poradzę - wyznała. - Trudno mi o nich i myśleć jako o "osobach",

- Będziesz jednak musiała to zmienić w którymś momencie - powiedział miękko. - Inaczej skończysz jak elfowie, którzy nikogo, kto nie jest pełnej elfiej krwi, nie uważają za "osobę". Albo jak Myre, która wszystko, co nie jest smokiem, uważa za zwierzynę. Czy nie potrafisz tego dostrzec?

- Nie chciałabym stać się taka jak oni. - Dreszcz przebiegł jej po skórze i zapatrzyła się gdzieś daleko. - A już szczególnie nie jak twoja siostra.

- W takim razie pomóż nam, Doro - nalegał jeszcze, ale do jego głosu wkradło się znużenie. Nie miał takiej zdolności przekonywania jak Shana. - Nie mnie, pomóż nam.

Nadal nie patrzyła na niego.

- Muszę to przemyśleć - odrzekła powoli. - Nie mam pojęcia, co mogłabym ci jeszcze powiedzieć.

- W porządku! - Westchnął, lecz jakież argumenty mógłby jeszcze wysunąć? Z całą pewnością nie mógł jej do niczego zmusić, a z drugiej strony nie chciał użyć innego rodzaju przymusu, mówiąc jej, jak niezmiernie ją lubi.

Napiął więc zmęczone, bolące mięśnie i zaczął przygotowywać się do odlotu do obozu na dobrze zasłużony odpoczynek.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś, Doro. Naprawdę to doceniam - powiedział, rozkładając skrzydła. - Pamiętaj tylko, że odlatujemy jutro tuż po wschodzie słońca.

- Będę pamiętała - odparła powoli, nie robiąc żadnego ruchu, który wskazywałby, że też zamierza wzbić się w powietrze; skrzydła trzymała złożone przy bokach. - Dobranoc, Kemanie.

- Dobranoc, Doro.

Siłą powstrzymał się, by nie dodać niczego więcej. Sama musiała podjąć decyzję. Wzbił się więc bez słowa w ciemne, usiane gwiazdami niebo i rozpoczął powolny, ciężki lot z powrotem do obozowiska klanu. Z tej wysokości światła latami wyglądały jak gwiazdki, które spadły z nieba i ułożyły się w koncentryczne koła na polu.

Być może widział to wszystko po raz ostatni. Od tej chwili mieli wyruszyć w nieznaną. Nie tylko Lorryn, Mero i Rena udadzą się na ziemie elfów. Ktoś przecież będzie musiał założyć sklepiki "sprzedające" posrebrzaną żelazną biżuterię. Dla czarodziejów taka próba byłaby niezwykle niebezpieczna.

Natomiast przekształcone smoki... Cóż, kryły się tu spore możliwości.

Przyszedł mu do głowy jeszcze inny pomysł, lecz nie wspomniał o nim Shanie, nie chcąc na darmo rozbudzać jej nadziei. Teraz, kiedy Myre nie stała już na drodze, mógł

bez przeszkód wrócić do starego leża i zwerbować więcej smoków z rodu. Prawdę mówiąc, nic nie stało na przeszkodzie, by udał się też do innych leży. Dzięki temu smoki pomagające teraz czarodziejom w budowie nowej cytadeli będą mogły przekształcić się w dwunogi i poprowadzić te sklepy z biżuterią. Ich miejsce u boku czarodziejów zajmą nowi ochotnicy, którzy pomogą bronić cytadeli. Smoki, które udadzą się do miast elfów, przybiorą postać ludzkich niewolników, gdyż tylko oni zajmują się sklepami. Żaden z elfich władców nie będzie się spodziewał kłopotów ze strony tłustych, zadowolonych z życia niewolników-handlarzy.

Postanowił, że załatwienie tej sprawy weźmie na siebie, gdy tylko będzie mógł się tym zająć, a więc, gdy dotrą do cytadeli.

W tej chwili poczuł, że budzi się w nim niecierpliwość. Chciał już rzucić się w wir tej pracy. Miał wrażenie, że czas naciska ich ze wszystkich stron i gnębiło go uczucie, że dopiero teraz startuje do wyścigu, który zaczął się już wcześniej bez niego.

Może faktycznie tak jest. Może dotyczy to ich wszystkich.

Nieważne. Teraz już go rozpoczęli. Nie pozostawało im nic innego jak tylko biec ze wszystkich sił i mieć nadzieję, że uda się im go ukończyć.

Dla Kemana świt nadszedł o wiele za szybko. Mimo, że najadł się aż do przesyty i spał tak mocno, jak tylko opchany smok potrafi, niezależnie od tego, jaką formę przybierze, obudził się z uczuciem, że nie zaszkodziłoby pospać dłużej,

Na początek może dwa, trzy tygodnie.

Uprzejmie odmówił zjedzenia śniadania i wyszedł na plac, opróżniony poprzedniego dnia na polecenie Dirica. Kapłan zadbał o to, by nie przestraszyli bydła tak jak on i Myre podczas swoich wczorajszych przemian. Powiedziano mu, że niewiele brakowało, by wywołali popłoch wśród zwierząt. Udało mu się zapobiec tylko dzięki temu, że wszyscy wojownicy trenowali gry wojenne w pobliżu stada. Z pewnością Jamal tego nie przewidział, a jednak chociaż jedno z jego wczorajszych posunięć przyniosło korzyść.

Keman poniekąd spodziewał się, że otoczy ich wianuszek ciekawskich, jednak nie było nikogo, i to bynajmniej nie dlatego, że Żelazni Ludzie nie są przyzwyczajeni do wstawania o świcie.

“Boją się. I trudno im się dziwić.”

Może to i lepiej. Zamierzał tym razem dokonać przemiany powoli, co w najlepszym razie wstrząsnęłoby dwunogami. W najgorszym... Cóż, widział już, jak niektórzy przyjaciele Shany przybierali raczej zielonkawy odcień twarzy i tracili to, co mieli w żołądkach.

Smoków nie trapiła nigdy taka dolegliwość jak mdłości, chyba że któryś był naprawdę

bardzo chory. Kemanowi nadal było bardzo trudno zrozumieć istoty, które były tak szybkie w pozbywaniu się tego, co zjadły. Była to przecież cecha zupełnie nieprzydatna.

Kiedy zakończył przemianę, zaczął rozciągać mięśnie, jak przed każdym wyczerpującym fizycznie przedsięwzięciem. Nauczyła go tego jeszcze jego matka, Alara. A ten lot z pewnością będzie wymagał ogromnego wysiłku, nie było co do tego wątpliwości. Oprócz Shany i Mera będzie dźwigał pakunki z ciężką żelazną biżuterią, którą poprzedniego wieczora Kala zebrała od wszystkich kobiet, które udało się przekonać. Kalamadea będzie podobnie obciążony, tyle że na jego grzbiecie znajdują się Lorryn i Rena, a on może przecież unieść o wiele więcej od Kemana.

Szkoda, że nikomu nie udało się dotąd opracować sztuczki z przerzucaniem masy czegokolwiek oprócz siebie na zewnątrz, tak jak robią to smoki, kiedy muszą się zmienić w mniejszą postać. Być może tego po prostu nie da się zrobić. Jednak byłoby to bardzo użyteczne.

Wschodzące słońce pozłociło trawy, a od południa nadciągnął lekki wietrzyk. Cień Kemana wyciągnął się aż do namiotów i zmieszał z ich cieniami. Napręzał każdą nogę osobno, po kilka razy, rozgrzewając w ten sposób i uelastyczniając mięśnie. Właśnie zaczął ostatnią serię ćwiczeń, gdy kilku Żelaznych Ludzi zaczęło znosić pakunki z biżuterią i zapasami, które on i Kalamadea mieli nieść na grzbietach. Obserwował ich kątem oka i starał się nie chichotać. Byli doprawdy zabawni. Zbliżali się ostrożnie do skraju wyznaczonego terenu z jednym okiem utkwionym w nim, a drugim w celu swojej wędrówki. Owszem, starali się wyglądać na spokojnych i swobodnych, ale raczej słabo im to wychodziło. Za każdym razem rzucali pakunek tak szybko, jak tylko to było możliwe, i zmykali, jakby dowiedzieli się, że nie chciał śniadania i obawiali się, że teraz to sobie nadrobi jednym z nich.

Reszta grupki pojawiła się mniej więcej równocześnie z bagażami. Kalamadea, który nie musiał wczoraj latać i walczyć, przekształcił się szybko w swą smoczą postać Ojca Smoka. Był ogromny, co najmniej dwa razy większy od Kemana, a już Keman był dostatecznie duży, by z łatwością nieść dwunogiego jeźdźca. Smoki rosły tak długo, jak żyły, a Ojciec Smok był najstarszym znanym Kemanowi smokiem. Nawet Alara nie wiedziała dokładnie, ile ma lat. Żył już w czasach pierwszego otwarcia się Wrót, gdy smoki mieszkaly w świecie, w którym zagrażało im o wiele więcej niebezpieczeństw niż w obecnym.

“Zmiękliśmy i staliśmy się leniwi - myślał Keman, obserwując Kalamadeę wachlującego ogromnymi skrzydłami w porannym powietrzu. - Gdyby nasi przodkowie mogli nas zobaczyć, jak kryjemy się w naszych leżach przed zwykłymi dwunogami, ogarnęłyby ich śmiech. Oni musieli uchronić się przed tak strasznymi niebezpieczeństwami, że

raczej ryliby w innych legowiskach, by upolować i zjeść ich mieszkańców.”

Kalamadea jakby czytał w jego myślach. Odezwał się teraz w jego umyśle, tak cicho, żeby nikt inny nie mógł podsłuchać.

“Jeśli lordowie elfów będą mieli odpowiednią motywację, to mogą stać się dla nas równie śmiertelnym zagrożeniem, jak niebezpieczeństwa, przed którymi niegdyś uciekł nasz gatunek, Kemanie. Nie osądzaj zbyt surowo tych, którzy pragną się jedynie ukryć. W końcu to była właśnie przyczyna, dla której przybyliśmy do tego świata, by się ukryć. Byliśmy uciekinierami, szczerze mówiąc.”

Cóż, być może.

Z uporem starał się skupiać myśli kolejno na wszystkim, prócz Dory. Obudziwszy się tego ranka postanowił, że Dora nie poleci z nimi. Bronił się, jak mógł, by nie czuć rozgoryczenia i żalu.

Niestety, jak się już nieraz przekonał w przeszłości, postanowienia nie na wiele się zdają, gdy w grę wchodzi uczucia. Najsilniejsze nawet postanowienie nie pomoże oprzeć się uczuciu rozczarowania i - tak - straty, gdy oto słońce wzbija się coraz wyżej, a Dora się nie pojawia. Nie był do końca pewien, czy boli go właśnie serce, lecz z całą pewnością głęboko wewnątrz jego ciała tkwiło jakieś źródło tępego bólu.

Stał cierpliwie, gdy pozostali zakładali na niego i Kalamadeę specjalną uprząż, która miała nie tylko ułatwić pasażerom utrzymanie się na ich grzbietach, lecz również przytrzymywać pakunki.

- Nie sądzę, żeby wam się to spodobało. - Shana ostrzegła Lorryna i jego siostrę przy okazji objaśniania, jak będzie działała uprząż.

Keman wyczuwał, jak bardzo jest zdenerwowana i domyślił się, że rozmawia, by jakoś się rozluźnić. Biedna Shana! Denerwowała się nie tylko zagrożeniem ze strony elfich władców, lecz również niebezpieczeństwem buntu w szeregach samych czarodziejów. To właśnie zniszczyło czarodziejów podczas pierwszej wojny. Miał tylko nadzieję, że historia się tym razem nie powtórzy.

- Nie słuchajcie Kemana i Kalamadei; smoki nie cierpią na chorobę lokomocyjną. To chyba logiczne, nie mogłyby latać, gdyby dostawały mdłości za każdym razem, gdy rozwiną skrzydła. W tym jednak tkwi problem. Pierwsze, o czym trzeba pamiętać, to, że smok skacze w powietrze. Jeśli zdarzyło wam się skakać na koniu przez wysoką przeszkodę, to będziecie mieli skromne pojęcie o tym, jak się człowiek wtedy czuje.

- A więc rzemienie uchronią nas przed stoczeniem się z jego grzbietu - zauważył beznamiętnie Lorryn. Obrócił się lekko, by zajrzeć Kemanowi w oczy. - Sądzę, że mi

wybaczysz, przyjacielu, ale jest mi bardzo trudno przyzwycząić się do myśli, że to, co widzę w tej chwili - poklepał Kemana po ramieniu - jest tym młodym czarodziejem, który chrapał przez całą zeszłą noc.

- Ja nie chrapałem! - oburzył się Keman.

- Chrapałeś! - stanowczo stwierdziła Shana. - Prawie całą noc. Bardzo głośno.

Prychnął i zignorował ją, z ostentacyjną uwagą sprawdzając te rzemienie uprzęży, do których mógł dosięgnąć.

- W najwyższym punkcie tego skoku - ciągnęła Shana, zupełnie jakby nikt jej nie przerwał, co też było oznaką jej nerwowego napięcia - gwałtownie rozłoży skrzydła i zacnie nimi bardzo mocno machać, by osiągnąć odpowiednią wysokość. Te uderzenia skrzydłami też przypominają skoki, a raczej serię szarpnięć. Każde takie machnięcie rzuci was do tyłu i jeśli nie będziecie się trzymać i pochylać w ten sposób - przykucnęła, demonstrując im jak to ma wyglądać - to będziecie się czuli, jakby głowa odrywała się wam od kręgosłupa.

Lorryn kiwał głową, a jego siostra westchnęła.

- Wydaje się to gorsze od jeżdżenia na najbardziej narowistym koniu na świecie!

- Bo tak jest - zapewniła ją Shana. - Szczerze mówiąc, jest to gorsze od jazdy na jucznym grelu. No dobra; w pewnej chwili smok osiągnie potrzebną mu wysokość, i tu dopiero zaczną się niewygody. Oni nie latają równo, na jednym poziomie. Wygląda to tak. - Wykonała dłonią falisty ruch. - Uderzenie skrzydłami, spadek, uderzenie skrzydłami, spadek. Wasz biedny żołądek odczuje to zapadanie się i właśnie wtedy możecie dostać choroby lokomocyjnej, jeśli w ogóle macie do niej skłonności. Gdybyście musieli... hmm... po prostu powiedzcie Kalamadei, a on przechyli się na bok, tak abyście mogli... hmm... prosto na dół. A Przodkowie niech się martwią o to, co będzie pod wami.

Keman słuchał tego z prawdziwym zainteresowaniem. Wprawdzie woził już przedtem pasażerów, ale żaden z nich nie mówił mu dotąd, jak się czuje podczas przejażdżki. Oczywiście, dla niego latanie było czymś naturalnym i prawidłowym, ale najwyraźniej ci, którzy lecieli na jego grzbiecie, nie podzielali tego odczucia.

- Dochodzą do tego jeszcze zawirowania powietrzne. Kiedy smok w nie wpadnie, może wykonywać ślizg, podskakiwać jak koń, który chce zrzucić jeźdźca, a nawet przekoziółkować. Ja nie dostaję mdłości i mam nadzieję, że was to również nie spotka, ale nie mogę niczego obiecać. - Wzruszyła ramionami, widząc wyraz przerażenia na ich twarzach. - Najważniejsze, żebyście się upewnili, czy każdy rzemień jest naprężony, i każda klamerka zapięta. Sprawdzajcie je też podczas lotu. To dzięki nim będziecie mogli utrzymać się na grzbiecie smoka podczas lotu, a wiercie mi, każdy detal jest ważny.

Pod koniec jej wypowiedzi podszedł do nich Mero i przytakiwał jej poważnie,

- Gdyby zdarzyło nam się lecieć podczas burzy, będziecie żalowali, że nie ma więcej tych rzemieni - dodał.

- Ale ze wszystkich opowieści, które słyszałam, wynikało, że latanie jest takie łatwe - odezwała się płaczliwie Rena. - Po prostu wsiadasz i lecisz.

Keman wybuchnął śmiechem.

- Tak, tylko pamiętaj, że to Myre opowiadała ci te historyjki. Dla nas latanie jest łatwe. A poza tym, nie chciała zniszczyć twoich romantycznych wyobrażeń o smokach. - Zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: - Mogę ci przynajmniej jedno obiecać, że latanie z Kalamadeą jest łatwiejsze niż ze mną, gdyż on jest większy. Ja muszę częściej niż on machać skrzydłami, by utrzymać się w górze. Czy przyglądałaś się kiedyś ptakom?

Kiedy Rena kiwnęła głową, kontynuował.

- Zapewne widziałaś, w jaki sposób latają małe ptaszki, ich lot jest nierówny i wymaga wielu uderzeń skrzydłami. Natomiast duży sokół może przez jakiś czas szybować w powietrzu, a kiedy porusza skrzydłami, to wolniej, gdyż jego skrzydła są większe. Taka sama różnica występuje między Kalamadeą i mną, a wasza dwójka poleci na nim, gdyż nie macie jeszcze doświadczenia.

Shana sprawdzała w tym czasie każdy rzemień; rymarze przez całą noc pracowali nad uprzężami, a Kalamadeą wysoko je ocenił. Z pewnością pasowały o wiele lepiej niż wszystkie, jakie dotychczas mu zakładano.

- Aha, jest jeszcze coś - odezwała się Shana, wychodząc zza jego boku. - Reno, Lorrynie, widzicie tę podkładkę tutaj, podobną do siodła? Pilnujcie, żeby wasze nogi nie ześliznęły się z niej i nie noście spodni z tkaniny zamiast skórzanych. Łuski smoków są niezwykle ostre i zetrą wam ciało do kości po kilku machnięciach skrzydłami. - Przesunęła ich dłońmi po barku Kemana i kiwnęła głową, kiedy się skrzywili. - Dlatego właśnie poprosiłam rymarzy, żeby zrobili kilka kompletów uprzęży i sporo dodatkowych rzemieni. Kiedy jakiejś części się przetrą, będziemy mogli je wyrzucić, zamiast tracić czas na ich naprawę.

“Czy przypadkiem któraś z tych dodatkowych uprzęży nie będzie pasowała na mnie?”

Jakiś cień prześliznął się po nich. Keman podniósł wzrok, zdumiony tak samo jak pozostali. W chwilę później Dora wylądowała z łopotem skrzydeł, wzbijając ogromne kłęby kurzu.

- Widzę podwójne siodło na Kalamadei, ale Keman jest od niego o wiele mniejszy, więc przypuszczam, że możecie potrzebować dodatkowego wierzchowca - powiedziała Dora

nieśmiało i zwróciła się do Kemana. - Miałeś rację. - Powiedziała tylko tyle, lecz ten poczuł, jak serce mu podskoczyło.

“Chcę ci też podziękować, że nie starałeś się wykorzystać uczuć, by mnie przekonać”  
- dodała tylko na jego użytek.

Kalamadeą pierwszy się opanował i powiedział spokojnie:

- Kemanie? Może byś łaskawie przedstawił nas swojej przyjaciółce?

“Więc to z tego powodu znikalesz po nocach, gdy my sądziliśmy, że polujesz, ty mały łobuzie? A może jednak polowałeś? To lepsza zwierzyna niż jelenie, co?” - dodał głos Kalamadei w jego myślach.

- Yyy, to jest Dora - wykrztusił Keman, czując nagle, że język mu się płącze. - Pochodzi z leża znajdującego się daleko na południu, gdzie mieszkają wszystkie klany Żelaznych Ludzi. Śledziła życie tego klanu w taki sam sposób, jak my robiliśmy to z elfami. Nie miała pojęcia, że istnieją jeszcze inne smoki poza jej leżem, dopóki nie dostrzegła mojego cienia.

- Naprawdę? - To było wszystko, co powiedział Kalamadeą, po czym szarmancko zwrócił się do Dory. - Witamy w naszej grupie, Doro. Bardzo się cieszymy, że chcesz nam pomóc i jesteśmy ci wdzięczni.

Skłoniła głowę, nozdrza jej się zaróżowiły.

- A teraz, jeśli pozwolicie - ciągnął Kalamadea, zerknąwszy przez ramię na słońce - powinniśmy założyć uprzęż na naszą nową przyjaciółkę, Dorę, po czym wyruszyć z jak największą szybkością. Wyjaśnienia mogą poczekać, dopóki nie znajdziemy się w powietrzu. Lorrynie, ponieważ będziesz leciał razem ze swą siostrą, która jako jedyna nie potrafi rozmawiać myślami, będziesz jej po prostu przekazywał to, o czym mówimy. Powinno nam to znacznie urozmaicić podróż.

Trzasnął ponagląco skrzydłami.

- Ruszajmy, przyjaciele! Władcy elfów ostrzą już sobie pazury na nasze szyje! Najwyższy czas, żebyśmy znaleźli się w powietrzu!

## ROZDZIAŁ 10

Lorryn trzymał w ręku czarkę gęstego, zbyt słodkiego wina, siedząc w jednej z wielu tawern, w których często bywał od czasu, gdy rozpoczęli realizację tej części planu. Znajdowała się ona w Białych Wrotach, mieście handlowym zarządzanym przez lorda Ordrevela, czy dokładniej mówiąc, podwładnych lorda Ordrevela. Choć właściwie nie miało to znaczenia, gdzie się ona znajduje, gdyż każde z pięciu miast handlowych wyglądało dokładnie tak samo jak pozostałe, a wszystkie tawerny były podobne.

Lorryn coś o tym wiedział. Był już we wszystkich ośrodkach handlowych na kontynencie i w większości tawern.

Wszystkie gospody były luksusowo urządzone, a przynajmniej miały stwarzać takie wrażenie. Przy bliższym przyjrzeniu okazywało się jednak, że "luksus" ten sięgał tylko tak daleko, jak daleko mógł dotrzeć wzrok. Skórzana tapicerka pokrywała tylko widoczną stronę siedzeń; atlasowe tapety przechodziły w gołą ścianę w miejscach, gdzie zakrywały ją meble, czy coś innego. Aksamitne zasłony przy dotknięciu okazały się miękkim papierem pokrytym puszkami, tanim i łatwym do wymienienia.

Tawerny miały na wyższych piętrach ciemne pokoje, gdzie czekały ludzkie niewolnice, trudniące się dostarczaniem mężczyznom wszelkich przyjemności. W pomieszczeniach tych panował jednak taki mrok, że nie można było się przyjrzeć ani niewolnicom, ani ich otoczeniu. W gospodach serwowano tanie wino, doprawione różnymi przyprawami i miodem, by ukryć, jak jest nędzne.

Tawerny te łączyła jeszcze jedna cecha - gościły one elfów o zbyt niskiej randze i statusie, nie posiadających własnych majątków, dworów i konkubin, a także młodych elfów, którzy nie mieli nic na własność, trzymanych krótko przez swych panów ojców. Do takich miejsc i im podobnych schodzili się nadzorcy, zarządcy dworów i trenerzy, by zapomnieć o drobnych obelgach, których nie szczędzili im ich lordowie. Tutaj także przesiadywali pominięci spadkobiercy oraz dalsi synowie, nie mający szans na dziedziczenie, szukając zapomnienia i odsuwając od siebie myśli o ubóstwie i braku szans na lepszy los.

Było tu również miejsce dla odrzuconych konkubin oraz młodych chłopców i dziewcząt, zbyt delikatnych do pracy w polu, a jednocześnie nie dość urodziwych, by mogli znaleźć się w haremie lub by byli zatrudniani w domu. Życie robotnika polowego należało do ciężkich, ale bezczynność była jeszcze gorsza. Szczególnie dla tych nieszczęsnych, wykorzystywanych istot, oczekujących w pokojach na górze. Lorryn starał się odpędzać



myśli o nich; robił w tej chwili, co mógł, by zmienić ich los.

Lorryn był nie tylko życzliwym słuchaczem, lecz chętnie otwierał sakiewkę, co nie było bez znaczenia dla młodych lordów. Ich skąpi ojcowie wyznaczali im raczej nikłe pensje, przeważnie niższe niż koszt utrzymania dobrego psa lub robotnika polowego. Lorryn ofiarowywał im wino i okazywał zrozumienie. Było to zachowanie normalne - wszyscy, którzy tutaj przebywali, nie kryli się ze swoimi urazami. Niezwykle było to, że on potrafił dostarczyć lekarstwa również na te bolączki.

Wieść o tym lekarstwie szybko się rozszerzała.

Lorryn z poświęceniem przesiadywał w tawernach, gdzie powietrze było przesycone zapachem perfum, które miały przytłumić odór rozlanego wina, a przytłumione światła, miały ukryć plamy na aksamitach i atłasach obić oraz przesłonić usługujące dziewczyny i bywalców. Najbardziej obawiał się tego, że jeden czy drugi z rzekomo wydziedziczonych okaże się informatorem elfów i tym samym gra będzie skończona, zanim się na dobre zaczęła. I z pewnością niejeden z nich był przedtem informatorem.

Stała się jednak rzecz zadziwiająca. Otóż niezależnie od tego, czy trudnili się tym procederem ze strachu, czy z chciwości, to kiedy przedstawił im sposób, jak wyrównać szansę z Wielkimi Lordami, kiedy pokazał im, jak bezskuteczna jest magia w stosunku do jego biżuterii, wszyscy oni się nagle odmienili. Każdy z nich zwrócił się przeciw lordowi, dla którego pracował. Kładli przed Lorrynem złoto i chowali pod tunikami otrzymane w zamian naszyjniki, opaski czy naramienniki, po czym wychodzili bez słowa.

Możliwe jednak, że niejeden z nich "poinformował" o tym kogoś, kto miał pana tak samo okrutnego, obojętnego i sadystycznego jak jego własny.

Lorryn zdawał sobie sprawę, że potężni lordowie byli okrutni w stosunku do swych podwładnych. Nie przypuszczał jednak, że to okrucieństwo było tak wielkie, by wasale odwrócili się od nich przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Miał okazję przyglądać się pozłacanej fasadzie tego świata, gdy poruszał się w nim jako syn i dziedzic lorda Tylara. Pod warstewką mimozowatego zachowania, fascynujących czarów, bezmyślnych gier, kryło się okrucieństwo tym gorsze, że tak kompletnie bezosobowe, okrucieństwo, które wykorzystywało, a potem pozbywało się zarówno ludzi, jak i elfów, traktując ich jak zabawki służące ubarwieniu dłużącego się czasu.

Siedział teraz w najdalszym kącie, sączył swoje wino i czekał, aż go znajdą.

Przy pobliskim stoliku widział młodego lorda - musiał to być młodszy syn, gdyż nie nosił liberii, a jego ubiór był zbyt wysokiej jakości jak na podwładnego - który popijał bez przerwy i obserwował Lorryna już od godziny. Teraz wstał i prześliznął się między stolikami

ze zdumiewającą zręcznością, jeśli zważyć ilość wina, które wypił. Opadł na ławeczkę naprzeciw Lorryna, nadal ściskając w dłoni pustą czarkę. Następnie nie czekając na zaproszenie, nalał sobie spokojnie wina z jego dzbanu, co również wskazywało na jego wysoką pozycję.

Lorryn skinął tylko głową i przesunął dzban bliżej swego nowego towarzysza.

Nieznajomy potraktował to jako zaproszenie. Jednym łykiem opróżnił czarkę i napełnił ją ponownie.

- O ojcowie! - powiedział w końcu szyderczo, tak że słowo to zabrzmiało jak przekleństwo. - Opowiadają ci, jaki to jesteś ważny od chwili, gdy zrobisz sam pierwsze kroki, dają ci wszy-wszystko, czego zapragniesz, dopóki nie doj-dojdziesz do pełnoletności. A wtedy co?

- To ty mi powiedz - odparł uprzejmie Lorryn.

- Wtedy nic, ot co! - nieznajomy ponownie opróżnił czarkę, lecz tym razem to Lorryn ją napełnił. - Stajesz się pełnoletni i nic się nie zmienia! Nadal jesteś "chłopcem", nadal musisz przychodzić i wychodzić, jak ci rozkażą. Ch-chciałbyś mieć trochę rozrywki, zaprosić jakichś przyjaciół, a tu zaraz jesteś wzywany do stawienia się przed nim, jakbyś co najmniej ukradł mu forszę ze skrzyni!

- Ach, rozumiem - odparł Lorryn współczująco. - Chciałbyś mieć własny mały dworek, kilka niewolnic, a kiedy poprosiłeś o to, on zachowywał się, jakbyś pluł na imiona przodków!

- Właśnie tak! A spróbuj zejść z drogi cnoty, choćby odrobinę, choćby dla żartu! Od razu skacze na ciebie, używa przeciw tobie swej mocy, jakbyś był jednym z jego niewolników, jego własnością! Mało, że zmiesza cię z błotem, to jeszcze wychłoszcze się magicznym biczem. Ani się nie obejrzyysz, a już grozi ci Przemianą, żeby pomóc ci podjąć decyzję. - Raczej, żebyś nie mógł podjąć własnej decyzji - uzupełnił Lorryn ponurym głosem. "A więc to dręczy tego młodzieńca. Trudno mieć mu to za złe, szczególnie po tym, co mi mówiła Rena" - pomyślał. - Chce przerobić cię na marionetkę, tańczącą tak, jak on ci zagra!

- On właśnie do-dokładnie tak powiedział! - zawołał zdumiony - Powiedział: "Będziesz tańczył, jak ci zagram, z Przemianą czy bez, więc lepiej wbij to sobie do głowy." A następne, co pamiętam, to to, że zostałem zaręczony z jakąś jękliwą, bladolicą dziewczyną, która nie potrafi przejść przez pokój bez zawrotu głowy, która nie umie powiedzieć z sensem trzech słów po kolei i która - Przodkowie, pomóżcie! - mdleje, ilekroć zobaczy mężczyznę bez koszuli! Ciekawe, co będzie robić, gdy zobaczy coś więcej? A ja mam być do niej uwiązany!

- A gdybyś zdecydował się zostawić ją w buduarze i szukać zabawy gdzie indziej? - podsuwał Lorryn.

- To by oznaczało dla mnie Przemianę, chłopie - odparł opryskliwie młody lord. - Mam wypełnić wobec niej swój obowiązek, jak przyzwoity er-lord, i już! - Nalał kolejną czarkę wina, lecz tym razem jej nie wypił. Zamiast tego pochylił się nad stołem i odezwał zupełnie innym tonem: - Słyszałem jednak, że jest skuteczny środek na te kłopoty,

Lorryn zaczął rysować palcem wzorki na powierzchni stołu, używając odrobiny rozlanego wina. Wzorki ażurowej biżuterii.

- Może i jest, tak przynajmniej słyszałem - odezwał się ostrożnie.

- Podobno jest taka biżuteria, która chroni tego, kto ją nosi, przed działaniem czyichś czarów, jeśli sobie ich nie życzy. - Młody lord spojrzał na niego spod długich, białych rzęs z oczekiwaniem i odrobiną rozpaczy.

- To możliwe. Tak słyszałem. - Lorryn dokończył swój koronkowy wzór. - Słyszałem również, że zapanowało szaleństwo na ażurowe srebrne naszyjniki, naramienniki, opaski. Mówiono mi, że stały się ostatnimi czasy bardzo popularne wśród młodych lordów. Zaczynasz się pewnie zastanawiać, czy lekarstwo na twoje kłopoty nie znajduje się właśnie w takiej biżuterii, co?

Nieznajomy z zapalem kiwał głową.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie mógłbym znaleźć sprzedawcę takich rzeczy? Człowiek musi dotrzymać kroku modzie.

Lorryn udał przez chwilę, że się zastanawia.

- Tak się składa, że mam przypadkiem coś takiego przy sobie - odparł. - Kupiłem to wprawdzie dla przyjaciela, ale mogę ci odstąpić za tę samą cenę, którą zapłaciłem. Ja z łatwością jeszcze raz znajdę tego, kto to wyrabia, ale tobie byłoby trudniej, gdyż kryje się on przed nieznajomymi.

- A ile by to kosztowało? - teraz er-lord tak gorączkowo pochylił się w jego stronę, że niewiele brakowało, by Lorryn zepsuł cały układ, wybuchając śmiechem. Podał cenę, na co nieznajomy wyciągnął zza paska sakiewkę i przesunął ją po stole.

- Tu jest dwa razy tyle, w złocie - powiedział, zaciskając nerwowo palce, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy dotknie tej biżuterii. - Weź to, weź to wszystko! - Rozpacz przegnała z jego oczu mgłę wywołaną winem. Któż zresztą nie byłby zrozpaczony, jeśli grożono by mu Przemianą?

Lorryn nie ruszył sakiewki; ostrożnie wyjął zza paska swoją, zawierającą owinięte w jedwab, posrebrzane dzieło sztuki kowalskiej, wykonane przez ludzi Dirica, i popchnął ją

przez stół. Er-lord porwał ją natychmiast i ukrył pod tuniką, a Lorryn dopiero wtedy wziął należne mu złoto.

- Zechcesz ją na pewno wypróbować, jej jakość i mistrzostwo wykonania - powiedział. - Wieczorem za trzy dni odbędzie się przyjęcie w prywatnych pokojach na piętrze "Srebrnej Róży". Jeśli się tam zjawisz, mając tę biżuterię na sobie, to pewien ekspert obejrzy ją i być może powie ci coś interesującego na jej temat. Tylko nie odwijaj tego, dopóki nie będziesz chciał włożyć, dobrze? Zdajesz sobie sprawę, jak szybko roznoszą się wieści. Jeśli się wygadasz, to skrzywdzisz nie tylko siebie.

Er-lord skinął głową, pałając niecierpliwością, by już odejść. Lorryn skrył uśmiech. Słyszał jego myśli tak wyraźnie, jakby młodzieniec krzyczał, co też w pewnym sensie robił. Dzięki tej umiejętności Lorryn wiedział, kto jest informatorem oraz kiedy udało mu się przeciągnąć go na swoją stronę.

Ten młody elf nie mógł się doczekać, kiedy zanieśe swe skarby do domu. Zamierzał nosić je bez przerwy, ukryte pod jedwabnym ubiorem, podobnie jak to zrobiło wielu jego przyjaciół. I z pewnością pojawi się na przyjęciu, dzięki czemu zyskają jeszcze jedną parę rąk chętnych do pomocy przy organizowaniu powstania, którego ziarna Lorryn właśnie rozsiewał. Sam Lorryn nawet się tam nie wybierał.

Nie było potrzeby, by się tam zjawiał. Przywódcą buntowników, przynajmniej w tym mieście, był zarządca dworu lorda Gweriliatha. Musiał on bezsilnie przyglądać się jak jego cudowną córkę posyłają jako narzeczoną dla innego potężnego lorda, który spokojnie mógłby być jej pradiadkiem, a wszystko po to, by spłacić dług hazardowy lorda Gweriliatha. Zadaniem Lorryna było tylko koordynowanie poczynań spiskowców; przywódcy wyrastali sami, jak grzyby po deszczu, w miarę jak rozchodziły się wieści o mocy tkwiącej w tej nowej biżuterii.

Lorryn z trudem zapanował nad sobą, ujrawszy na wystawie sklepowej kopie ażurowej biżuterii - oczywiście ze złota i dalekie od precyzji wykonania prawdziwych. Kto wie, czy wkrótce er-lordowie nie zaczną pokrywać złotem swoich srebrnych wyrobów i nikt już nie będzie w stanie odróżnić prawdziwych od podróbek.

Jedynie poprzez ich działanie - lub jego brak.

- Życzę ci powodzenia, panie - powiedział poważnie, dając młodemu lordowi sygnał, że rozmowa jest skończona. - I baw się dobrze na przyjęciu,

- Z pewnością będę, uwierz mi, z pewnością. - I z tymi słowy podniósł się z ławy i wymaszerował z sali, bez jakichkolwiek oznak, że wypił dawkę wina mogącą zwalić z nóg konia pociągowego.

Lorryn posiedział jeszcze trochę, lecz pora była już późną i wszystko wskazywało na to, iż był to jego ostatni klient tego wieczoru. Wstał więc i zapłacił hojnie karczmarzowi. Był on człowiekiem, a pod tuniką nosił znacznie uproszczony żelazny naszyjnik. Było to coś pośredniego między kobiecą biżuterią a naszyjnikami noszonymi przez mężczyzn. Wyrabiały je zręczne ręce ludzkich niewolników - rzemieślników zakupionych za złoto, którym lordowie płacili za bardziej precyzyjne wyroby.

Naszyjniki te stały się bardzo popularne wśród niewolników, chociaż Lorryn bardzo uważał, komu sprzedaje lub daje te drobiażdżki. Musieli to być ludzie bardzo skrzywdzeni przez swoich teraźniejszych lub byłych panów, a jednocześnie tacy, którzy nie znajdowali się obecnie w bezpośrednim zasięgu oddziaływania ich mocy magicznej. Dobrymi kandydatami byli tu sklepikarze, szynkarze, niektórzy nadzorcy i konkubiny. Wybranych Lorryn sprawdzał sam, i to dokładnie.

Zostawił na stole niedokończony dzban wina i udał się na drugie piętro. Tu znajdowało się prywatne mieszkanie karczmarza oraz jego biura. Tutaj też szynkarz przygotował mały pokoik, w którym Lorryn zamieszkał z siostrą i Merem.

Zatrzymał się przed drzwiami i delikatnie zapukał. Mero uchylił drzwi, przez które wśliznął się do środka.

- Bardzo wygodnie jest dysponować czarodziejską mocą, gdy zawiązuje się spisek - zauważył, gdy Mero wrócił do przerwanej zajęcia. Owijał on starannie pokryte srebrem żelazo w kawałki jedwabiu i wkładał do sakiewek podobnych do tej, którą Lorryn przed chwilą wręczył młodemu lordowi.

- Właśnie dlatego lordowie elfów od dawna próbują wytrzebić tę moc - odparł Mero, z którego twarzy wyczytać można było zdenerwowanie nieproporcjonalne do tej zwykłej uwagi.

- O co chodzi? - spytał Lorryn, zaniepokojony oznakami gniewu i zdenerwowania, widocznymi na twarzy przyjaciela.

- O Shanę, ma pełne ręce roboty - usłyszał niespieszną odpowiedź. - Zaraz po naszym odejściu Keman i Dora udali się na jakieś własne poszukiwania. Tymczasem Caellach Gwain i połowa innych czarodziejów czym prędzej zwołali radę czarodziejów, na której przeciwstawili się Shanie, przymierzu z Żelaznymi Ludźmi i wszystkiemu, co tylko mogli wymyślić. Oni wcale nie wierzą, że lordowie elfów mają zamiar ich zaatakować. A gdyby nawet, to Caellach przekonał starych malkontentów, że wystarczy, jeśli wydadzą Shanę elfom, a niebezpieczeństwo zostanie zażegnane!

Lorryn zacisnął pięści i poczuł, jak ogarnia go gorąca fala gniewu.

- Mają bardzo elastyczne pojęcie honoru - wycedził. - Niemal tak elastyczne jak władcy elfów.

Mero gapił się na niego przez chwilę, po czym usta wykrzywiły mu się w mimowolnym uśmiechu.

- Czy mogę cię zacytować, gdy będę z nią rozmawiał? - spytał. - To zbyt dobry argument, żeby się zmarnował.

Lorryn nieco się odprężył. Skoro Mero potrafił dostrzec w tym akcent humorystyczny, to sytuacja nie mogła być całkiem katastrofalna, przynajmniej na razie.

“W końcu Shana ma swoich sprzymierzeńców, a sama też włada bardzo dużą mocą - pomyślał. - Pozostałe smoki na pewno ją poprą. Jeśli będzie musiała, to na pewno zdąży uciec, gdyby chcieli ją uwięzić.”

- Oczywiście - odezwał się głośno. - A jeśli o tym mowa, to przypomnij jej, żeby im powiedziała, że skoro elfowie mają tak zdradziecką naturę, że łamią układ pokojowy, to nie przeszkodzi im zgodzić się na przyjęcie Shany, a potem i tak zaatakować czarodziejów.

- Dobry argument - potwierdził Mero. - Och, denerwuję się, ale jak na razie cała sprawa nie wychodzi poza etap gadania. , Zresztą wszystkie smoki poprą Shanę, tak więc w najgorszym wypadku Alara i pozostali będą musieli odlecieć ze Shaną i jej i zwolennikami na grzbietach i zabrać ich do Żelaznych Ludzi.

Pokrywało się to dokładnie z wnioskami, do których Lorryn doszedł przed chwilą, więc jeszcze bardziej się uspokoił. Stwierdził, że po prostu wyobrazenie sobie Shany w jakimkolwiek niebezpieczeństwie powoduje zaciśnięcie żołądka w supeł.

“Mieliśmy tak mało czasu, by się wzajemnie poznać - cóż- . myślał - lecz czy Rena i Mero mieli go więcej? A jednak, tak bym chciał wiedzieć, co ona myśli, co sądzi o mnie. Rena i Mero mieli jednak coś, czego myśmy nie mieli, czas dla siebie samych. Shana i ja musieliśmy nieustannie zajmować się innymi sprawami.”

- Tylko, że jej ucieczka do Żelaznych Ludzi mogłaby spowodować to, że elfowie, podążając jej tropem, odkryliby klan Dirica - zauważył Lorryn. - Obiecaliśmy, że nie doprowadzimy do takiej sytuacji. Czyżby nasze poczucie honoru było nie lepsze niż elfów?

Mero skrzywił się.

- Może, nie wiem. Shana jest zdenerwowana, lecz nie przerażona, więc sądzę, że nie musimy się za bardzo martwić. Jednak w związku z tym wszystkim trzeba sobie uświadomić, że będziemy tu zdani praktycznie na własne siły.

Rozległo się kolejne stukanie do drzwi. Lorryn sięgnął myślą na zewnątrz i uspokoił się, kiedy rozpoznał Renę. Skinął na Mera, który ruszył pospiesznie do drzwi, a otworzywszy

je, objął Renę silnym ramieniem i wciągnął ją do wnętrza. Lorryn delikatnie odwrócił wzrok, gdy obydwoje stopili się w prawdziwym, pełnym uczucia uścisku.

“Cieszę się, że znaleźli się nawzajem - stwierdził w duchu. Chciałbym tylko...”

Nie dokończył myśli. Nie miał zielonego pojęcia, czy jego marzenie może się kiedykolwiek spełnić. W charakterze Shany dostrzegał irytująco przemieszane cechy, które pragnął odnaleźć w kobiecie, oraz takie, które doprowadzały go do szału. Była uparta - to się nazywa “silna wola” przypomniało mu sumienie; przekonana o własnej racji - to cecha przywódcy; zbyt szybka w wypowiedzaniu własnych poglądów - inteligentna; niecierpliwa - szybko myśli; egocentryczna - samowystarczalna...

Cóż, godzinami mógłby recytować tę litanię. Nie potrafił jednak przestać o niej myśleć. Mimo wielu ważnych spraw, oczekujących rozwiązania, często marzył o niej nocami, a i w dzień nieraz łapał się na tym, że zamiast o bieżących problemach, myśli o niej. Wy tłumaczył się przed Merem, że moc jego umysłu jest zbyt słaba, by osiągnąć Shany z krainy elfów. Jednakże prawdziwą przyczyną, dla której nie chciał z nią rozmawiać myślami, było to, że obawiał się odkrycia przed nią swych poplątanych uczuć. Shana nie mogła sobie teraz pozwolić na rozterki duchowe, a on...

A on też nie. Stapał tu po kruchym lodzie. Nie pragnął wiedzieć, co ona czuje, jeszcze nie teraz. Po prostu nie chciał się dowiedzieć, że jest dla niej tylko jeszcze jednym czarodziejem. Wolał na razie wierzyć w złudzenia.

Poza tym, teraz przecież ma ważniejsze sprawy do przemyślenia!

Rena kaszlnęła dyskretnie, więc obrócił się z powrotem do nich. Stali już w przyzwoitej odległości, lecz ich dłonie dyskretnie szukały się. Lorryn starał się patrzeć wyżej.

- Jak ci idzie? - zapytał Renę.

Jej twarz rozjaśniła się dumą z własnych dokonań.

- Doskonale - odparła. - Pokazuję im swoją biżuterię - nawiasem mówiąc, już ją widzieli na różnych przyjęciach - i mówię im, gdzie można ją kupić. Ojcowie Lunalii i Merynis są naprawdę straszni, więc powiedziałam im całą prawdę o tych ozdobach i od razu dałam po jednej sztuce. To miało być przedzarczynowe przyjęcie dla Lunalii. Jej ojciec przyrzekł jej rękę jakiemuś beczelnemu er-lordowi, który spodziewa się, że będzie się zachowywała jak jego konkubina. Ma nie wpadać w histerię, gdy usłyszy coś nieskromnego i nie może nawet udawać omdlenia, gdy on zdejmie przy niej koszulę... - przerwała, gdyż Lorryn zaczął zwijać się przed nią ze śmiechu, krztusząc się i nie mogąc złapać powietrza. - Z czego się tak śmiejesz? - spytała.

Opowiedział jej więc o swym ostatnim kliencie i musiał się przytrzymać stolika, gdy

ona też wybuchnęła śmiechem.

Nie była już tą słabą, wydelikacaną Sheyreną co dawniej, Sheyreną, która na jego śmiech zareagowałaby oburzeniem. Kto wie, czy nawet nie zalałaby się łzami na myśl, że brat jest tak bezduszny, by uważać sytuację Lunalii za zabawną. Udało jej się w końcu nabyć hartu ducha, którego dla niej pragnął, i miał wrażenie, że wyrobiła go w sobie gdzieś tam, na wzgórzach alikornów.

Jednocześnie przestała już być “jego” małą Sheyreną. Uświadomił sobie, że odczuwa z tego powodu pewien smutek. Nie w nim szukała teraz partnera do żartów, czy towarzysza, tę rolę przejął Mero.

Och, było to naturalne i nieuniknione, lecz oznaczało również, że mała Rena dorosła.

Jednocześnie nabrała rozwagi, o czym świadczyły dalsze jej słowa.

- Rzecz w tym, że Lunalia była ostatnia. Uzgodniłyśmy, że nie mogę dalej objeżdżać prywatnych posiadłości, gdyż w razie czego zbyt łatwo mnie w nich złapią. W takim razie na mojej liście pozostaje tylko jedno miejsce, gdzie mogę się udać.

Mero zdrętwiał, a Lorryn kiwnął głową. Ich własne działania były już całkiem niezłe zaawansowane; to miasto było ostatnim z pięciu, w których mieli zasiać ziarna niezadowolenia. W pozostałych powstała już kwitnąca sieć małych sklepików, a wybrani spośród ludzkich niewolników rzemieślnicy pokrywali srebrem wyroby Żelaznych Ludzi i produkowali samodzielnie ich prostsze wersje. Wszystko to nadzorowały przysłane im przez Kemana smoki, które przybrały ludzką postać.

“Ciekawe, czy jest to owoc tajemniczych poszukiwań Kemana? - zastanawiał się Lorryn. - Mero najwyraźniej nic o tym nie wie, lecz to są smoki, nie ma co do tego wątpliwości. Odkąd Shana nauczyła nas, jak wypatrzeć smoczy cień, nikt nas pod tym względem nie zwiedzie. Czyżby Keman starał się gdzieś zwerbować więcej smoków?”

Nie miało to większego znaczenia, chyba że Keman zdąży sprowadzić większość smoków z leży jeszcze przed wybuchem powstania, a szansę na to nie były zbyt wielkie.

W tej chwili najważniejsze było to, że nadszedł moment, w którym Rena powinna udać się do domu.

- Nie musisz tam iść - przypomniał jej Lorryn, chociaż obawa skręcała go zawsze, kiedy pomyślał o matce. W każdym razie żyła - tyle zdołał się dowiedzieć, i to z różnych źródeł. Rada przyjęła za dobrą monetę jej mistyfikację, że prawdziwy syn urodził się martwy, a akuszerka zastąpiła go mieszańcem. Zaakceptowano również jej pozorowane obłąkanie, a to uwolniło ją od dalszych przesłuchań. Cała sprawa była okropnym skandalem, lecz niczym więcej.



Skazano ją na przebywanie samotnie w budynku wzniesionym w ogrodzie, dzięki czemu nie musiała stawiać codziennie czoła gniewowi swego pana i władcy. Uniknęła też kary z tytułu prawa, które pozwalało, a nawet polecało mężowi dokonać na niej egzekucji, gdyby uznano, że świadomie dała życie mieszkańcowi.

Jak do tej pory nie było słyhać plotek, że Rena uciekła razem z nim. Jedyne, co dotarło do jego uszu, to wiadomość, że choroba umysłowa matki i zdrada Lorryna spowodowały ogromne osłabienie i apatię Reny. Mówiono, że nie opuszcza łóżka oraz że odmówiła poślubienia lorda Gildora, dopóki nie zostanie przywrócony honor jej rodziny. Była to całkiem niezła bajeczka, zapewne rozpowszechniana przez samego lorda Tylara.

- Muszę iść - powiedziała z przekonaniem. - Obydwoje zdajemy sobie z tego sprawę. Nie będę udawać, że się nie boję, ale Tylar przynajmniej nie potrafi odczytać moich myśli, a poza tym będę przecież miała swoją biżuterię do ochrony, gdyby w gniewie chciał mi zrobić krzywdę.

- A jeśli będzie udawał, że wszystko jest w porządku, uśpi twoją czujność, a potem każe swoim ludziom zabrać cię do jakiegoś lorda o znacznie potężniejszej mocy, by... - nie mógł tego wypowiedzieć głośno.

Zagryzła wargi i mocniej ścisnęła dłoń Mera, lecz odpowiedziała:

- To jest ryzyko, które muszę podjąć. Lecz jestem teraz o wiele lepszą aktorką niż byłam kiedyś. Myślę, że uda mi się wykonać nasz plan.

Westchnął i objął ją mocno, a po chwili uwolnił jedną rękę, by poklepać uspokajająco Mera, który obróciwszy się od Reny, ukazał pełną przerażenia twarz.

- Skoro mówisz, że potrafisz tego dokonać, to będę w to wierzył, kochanie. Nie jesteś już tą głupiotką dziewczynką, która całymi dniami czytała w ogrodzie romanse, pozwalała ptakom siadać na swym ramieniu, a potem musiała ze strachu przed ojcem ukrywać swe zabrudzone suknie,

- Wbrew pozorom, tym razem będzie podobnie - szepnęła mu zadziornie do ucha. - Tyle, że będę musiała ukrywać brudną przeszłość, a nie suknie. To powinno być łatwiejsze.

Puścił ją, potrząsając głową.

- W porządku - odparł. - Rano zaczniemy realizować swój plan. Teraz muszę wyjść, spotkać się z kilkoma osobami, a po powrocie idę spać, żeby dobrze wypocząć. Zakłęcie transportujące wymaga ogromnego zasobu sił.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz nie oglądając się za siebie, pozostawiając ich samym sobie, by mogli się pożegnać w sposób, jakiego zapragną.

Udało mu się nawet na tyle zdusić rodzącą się w nim zazdrość, by szczerze życzyć im

o boju powodzenia.

Nie wspomniał Mero o tym spotkaniu. Początkowo miał zamiar to zrobić, gdyż przydałby się ktoś do ochrony od tyłu, lecz nie miał serca, by odbierać choć chwilę z tej odrobiny czasu, która pozostała przyjacielowi na przebywanie z Reną.

Tym razem wychodził na ulicę pod postacią ludzkiego niewolnika.

Szedł zgarbiony, ze wzrokiem utkwionym w ziemi pod stopami, lecz czuł ciarki przechodzące mu po plecach za każdym razem, gdy ktoś popatrzył na niego dłużej niż przez chwilę. Nie przypuszczał, by szukano półelfów wśród ludzkich niewolników, lecz nie mógł mieć w tym względzie całkowitej pewności. Żałował, że niewolnikom nie zezwala się na noszenie jakichś kapturów, co pozwoliłoby mu ukryć swe spiczaste uszy. W tej sytuacji mógł polegać wyłącznie na panujących ciemnościach.

Przeżywał huśtawkę nerwów, dopóki nie dotarł w końcu do swego celu - skromnego wejścia do jakiegoś sklepu, ze znakiem zielonego liścia nad drzwiami. Pozornie był on już zamknięty na noc, jednak kiedy Lorryn zapukał, zgodnie z ustalonym wcześniej sygnałem, drzwi uchyliły się przed nim.

Wśliznął się do środka, a ktoś zamknął za nim drzwi, tak że drząc lekko, stał teraz w kompletnej ciemności.

- Wejźmy na zaplecze - dobiegł go cichy szept. - Tam będę mógł zapalić światło, niewidoczne dla przechodzących ulicą.

Lorryn ruszył, kierując się odgłosem kroków przed sobą. Po drodze zawadził o ławkę, zdzierając sobie skórę z kostki; z trudem stłumił przekleństwo. Poczul na ramieniu dłoń niewidocznego przewodnika, popychającą go we właściwym kierunku, i usłyszał odgłos zamykanych za nim drugich drzwi.

Chwilę później zapłonęła latarnia, oświetlając mężczyznę, z którym umówiono go na spotkanie oraz pokój, w którym się znaleźli.

Nawet bez pomocy wzroku odgadłby, co wypełnia ten pokój. W jego nozdrza uderzyła woń ogromnej ilości ziół: mieszanina aromatów słodkich i gorzkich, przyjemnych i ostrych, a także po prostu dziwnych. Ściany pokoju zastawione były półkami, na których stały butelki, słoiki i małe pudełeczka, wszystko starannie opisane. Na środku pokoju znajdował się sięgający pasa stół, pokryty nieskazitelnie białym materiałem.

Nieznajomy był mężczyzną w średnim wieku, łysiejącym, z twarzą okoloną brodą. Resztki włosów miał kręcone, brązowego koloru, podobnie jak brodę. Problem tylko w tym, iż był całkowicie ludzkiej krwi.

- Mówiono mi, że masz coś - odezwał się nagle. - Coś, co blokuje magię elfów.

Lorrynowi znów ciarki przebiegły po plecach.

- Kto ci o tym powiedział? - spytał ostrożnie. - Poza tym, dlaczego pytasz?

Sądził, że ma spotkać się z kolejnym pomniejszym elfim lordem. Tymczasem myśli tego mężczyzny były, podobnie jak w przypadku wielu ludzi, niejasne i opanowane przez strach. Lorryn nie potrafił dokładnie odczytać jego zamiarów poprzez to kłębowisko uczuć.

Lecz ten człowiek zaskoczył go ponownie. Wziął głęboki oddech i uspokoił nerwy do takiego stopnia, by jego myśli stały się czytelne. Lorryn nie mógł opanować zdumienia - gdzie ten człowiek nauczył się takiej samodyscypliny?

- Usłyszałem o tym od twojego miłego gospodarza - powiedział powoli nieznajomy, przy czym Lorryn przekonał się, że nic w jego myślach nie przeczyło temu twierdzeniu. - A jeśli chodzi o to, do czego jest mi to potrzebne... czy wiesz, kto to jest "uzdrawiacz"?

Lorryn w milczeniu pokręcił głową.

- Elfowie na ogół nie chorują, lecz ludzie tak, a oczywiście naszym potężnym panom nie należy zwracać głowy doglądaniem chorych niewolników - powiedział gorzko mężczyzna. - Nie są też oni przygotowani do zajmowania się chorymi czy rannymi w swoich domostwach. Dlatego właśnie wzywają mnie lub, co się częściej zdarza, przysyłają nieszczęsnego cierpiętника do mnie. Co prawda, niewiele mogę im pomóc, ale to zawsze lepsze niż nic. Zajmuję się też młodymi kobietami twojego gospodarza, kiedy lordowie nie zachowują należytej ostrożności przy swej zabawie.

Lorryn aż zamrugał oczami, słysząc jego głos brzmiący stłumionym gniewem i nienawiścią. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że człowiek ten musiał być świadkiem okropności, o których on po prostu nie chciał już słyszeć. Kolejne przerażające opowieści wcale nie pomogą mu szybciej wykonać swych zadań. Co najwyżej zaczną go dręczyć koszmary, na co nie mógł sobie w tej chwili pozwolić.

- Tak więc pragniesz ochrony, gdyż niektórzy z lordów... - zaczął.

Uzdrawiacz przerwał mu prychnięciem.

- Mało, że spotykają mnie kary za to, że nie jestem w stanie zmusić swych pacjentek, by zdrowiały szybciej, niż na to pozwala natura, tak żeby mogli dalej się zabawiać, to jeszcze próbują mnie zmusić do robienia pewnych... rzeczy - zaciął się, a Lorryn uniósł rękę w błagalnym geście i stanowczo zaniknął swój umysł przed dobijającymi się do niego myślami tamtego.

- Przestań - błagał - wolałbym tego nie słyszeć. Widzę, że naprawdę jesteś w wielkiej potrzebie. Proszę! - opróżnił kieszenie, wydając trzy saszetki i podając je mężczyźnie. - Weź je wszystkie, zapewne znasz innych, którym się przydadzą. Jeśli...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż przerwało mu głośne walenie do frontowych drzwi.

Uzdrowiacz skamieniał, podobnie jak Lorryn. Stukanie urwało się na chwilę, po czym zaczęło od nowa.

- Bryce! - dobiegł ich przepełniony złością okrzyk. - Otwieraj!

Mężczyzna błyskawicznie przystąpił do działania. Popchnął Lorryna w kierunku wysokiego do pasa kosza, na którego dnie leżało kilka poplamionych krwią ręczników.

- Wejź tam! - syknął, wyciągając ręczniki, po czym przydusił go tak, by nie wystawał poza krawędź kosza i wrzucił za nim trzy saszetki.

- Nie ruszaj się, jeśli cenisz sobie życie! Nakrył Lorryna ręcznikami, drapując je tak, by całkowicie go przykryły, i pospieszył do drzwi.

- Idę, idę! - krzyknął, po czym światło zniknęło z pokoju;

Lorryn domyślił się, że zabrał latarnię ze sobą.

Drzwi rąbnęły o ścianę, ledwie Bryce zdążył je otworzyć, i ktoś wpadł z impetem do sąsiedniego pomieszczenia.

- Kogo przed chwilą wpuściłeś do środka? - dopytywał się ostry głos. - Może kogoś rannego? Albo z jakimś innym problemem, o którym nasz pan miał się nie dowiedzieć? - Ton mężczyzny stał się chrapliwy i groźny. - Pamiętasz chyba, co się stało ostatnim razem, kiedy próbowałeś tych swoich gierek. Bryce. Tym razem mogą nie pozwolić ci zachować ręki.

- Jeśli musisz wiedzieć - odparł gniewnie uzdrowiacz - to nikogo nie wpuszczałem, tylko wypuszczałem. Jedną z dziewcząt roznoszących wino pod "Srebrną Różą". Miała, mmm, niewielką infekcję delikatnej natury. - Lorryn nie mógł się oprzeć podziwowi dla sposobu, w jaki Bryce pokasływał, jakby był zakłopotany. - Leczenie jej to była, można by powiedzieć, hmm, grzeczność z mojej strony.

Obcy mężczyzna milczał przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

- Ona, co? Delikatny problem? Ty stary cwaniaku, nie myślałem, że tobie to jeszcze w głowie. Czy masz może w tych swoich liściach coś, co ci pomaga?

Bryce kaszlnął ponownie, jakby speszony, a mężczyzna roześmiał się jeszcze donośniej.

- Następnym razem zapytaj najpierw naszego pana, zanim zabierzesz się za leczenie "delikatnych" problemów. W przeciwnym razie mogą tu wpaść, nim zdążysz ją wypuścić, tak żebym też miał z tego trochę przyjemności.

Lorryn ponownie usłyszał głośne trzaśnięcie drzwiami i odgłos oddalających się ciężkich kroków.

Po chwili pokój rozjaśnił się, a Bryce ściągnął z niego ręczniki.

- Będziesz musiał wydostać się stąd przez dach - ostrzegł. W świetle trzymanej drżąca dłonią lampy jego twarz była zupełnie biała. - On będzie obserwował frontowe wejście. Mam nadzieję, że poradzisz sobie ze wspinaczką. Chodź, wyprowadzę cię na zewnątrz, a potem sam będziesz musiał sobie radzić.

Ze strachu plątał mu się język i zbierało na wymioty, a obrazy w jego pamięci wyjaśniły Lorrynowi, dlaczego jest aż tak przerażony. Czarodziej opanował więc uczucie mdłości, które również jego dopadło, i nie odezwał się ani słowem.

O niczym tak nie marzył, jak o tym, by wydostać się stąd jak najprędzej - nawet jeśli oznaczało to męczącą i niebezpieczną wspinaczkę po dachach. Wszystko było lepsze niż przebywanie w tym samym pokoju z człowiekiem, który miał w swym umyśle takie wspomnienia.

Sheyrena ubrała się starannie w celowo pobrudzoną i podartą suknię, którą przygotowała specjalnie do przeprowadzenia swojego planu. Musiała wyglądać tak, jakby przedzierała się w niej przez dzikie okolice, i to bynajmniej nie dobrowolnie. Zamiast pantofelków miała na nogach parę zniszczonych buciorów, które mogły należeć przedtem do Lorryna, z wepchniętymi w czubki kłębami szmat, żeby mogła się w nich poruszać. Żadne z jej własnych butów nie mogłyby przetrwać wędrowki, którą planowała opisać lordowi Tylarowi, zamierzała więc twierdzić, że te buciory ukradła Lorrynowi.

Wraz z Merem opracowali każdy szczegół jej gehenny od momentu, kiedy to Lorryn namówił ją na poranny spacer, do chwili, kiedy od niego uciekła, kradnąc buty, co nie tylko miało ochronić jej nogi, lecz również powstrzymać go od pogoni. Potem następowała opowieść, jak to wracała samotnie, trzymając się trasy, którą Lorryn ją wywiózł. Pod suknią miała schowane w staniku halki dwa zestawy żelaznej biżuterii - jeden dla siebie, drugi dla matki.

W ich historii Myre miała stać się dobrowolnym współnikiem Lorryna i pomocą w jego kontaktach z czarodziejami. Czemu nie? To przynajmniej wyjaśni kwestię jej obecności na łódce, gdyż na pewno dostrzeżono trzecią postać. Jednocześnie jej wypadnięcie za burtę pomoże wytłumaczyć, dlaczego Lorryn nie udał się prosto do czarodziejów, lecz wędrował po całej okolicy; po prostu straciwszy ją, stracił też przewodnika. Jeśli ścigający dosłyszeli z brzegu, że Rena zachęcała Lorryna do wysiłku, można będzie z łatwością przypisać to Myre.

- Jesteś gotowa? - spytał Lorryn.

Skinęła głową, niezdolna zmusić się do wypowiedzenia choćby słowa. Mero leżał na

łóżku z zamkniętymi oczami, ponieważ Lorryn zamierzał wykorzystać całą jego moc magiczną i większość swojej, by przenieść Renę prosto do granic ziem lorda Tylara. Zaklęcie transportujące, udoskonalone przez czarodziejów, którzy nauczyli go Mero, a ten z kolei Lorryna, nie było tak głośne, jak wersja użyta niegdyś przez Shanę. Sztuczka polegała na tym, że osoba rzucająca zaklęcie musiała pozostać poza jego działaniem, a hałas zostawał razem z nią. W mieście tak wielkim jak to, gdzie codziennie rzucono setki, jeśli nie tysiące zaklęć, jeszcze jeden wybuch magicznego hałasu nie powinien zostać zauważony.

Mero był właściwie w tym lepszy niż Lorryn, lecz to właśnie Lorryn wiedział, dokąd Rena ma być przeniesiona, tak więc to on musiał rzucić zaklęcie, któremu kierunek nada jego umysł.

Z kolei Mero miał, jak tylko dojdzie do siebie, wyruszyć bardziej konwencjonalnym sposobem w kierunku posiadłości lorda Tylara i czekać tam z końmi i zapasem żywności na Renę i lady Viridinę. Lorryn nalegał na tę część planu, zdając sobie sprawę, jak Mero będzie się gryzł, jeśli nie pozwoli mu przebywać w pobliżu Reny, gdzie w razie czego mógłby pospieszyć jej z pomocą. Będzie to z pewnością niebezpieczne przedsięwzięcie, lecz jeszcze większe niebezpieczeństwo groziło mu tutaj, jeśli nie będzie w stanie skupić się całkowicie na ukrywaniu przed oddziałami szukającymi mieszańców.

- Weź głęboki oddech i zamknij oczy - zwrócił się Lorryn do Reny, która posłusznie wykonała jego polecenie.

Wyczuwała gromadzącą się moc, wirującą i splatającą się wokół niej w miarę, jak Lorryn przesyłał ją przez bursztynową kulę trzymaną w dłoni, tak jak nauczył go Mero.

Potem pojawił się błysk światła tak jaskrawy, że dojrzała go przez zamknięte powieki.

A potem... nicość.

Żadnego dźwięku, żadnego światła; nie było powietrza, nie było podłogi - spadała, spadała, będzie tak spadać wiecznie! Żołądek ścisnął jej się podobnie jak wtedy, gdy Kalamadea wpadał w to, co nazywał "dziurą powietrzną" i spadał niezliczoną ilość metrów, zanim odzyskał panowanie nad swoim lotem. Zdawało jej się, że krzyczy, lecz nie słyszała samej siebie; zdawało jej się, że wyciąga ręce, lecz nie czuła nawet własnego ciała!

W końcu, bez żadnego uprzedzenia, znalazła się już tam; jej stopy tkwiły twardo w trawie niedaleko wysokiego, złocistożółtego muru. Okazało się, że stoi w miejscu, które знаła tak dobrze jak własny pokój. Setki razy przejeżdżała tu z Lorrynem podczas konnych wycieczek. Tam była jabłonka, pod którą zawsze latem szukali cienia, gdy zatrzymywali się, by spożyć posiłek. Trawa pod nią była gęsta i wybujała, najwyraźniej rzadko ją ścinano. Liście zaczynały już zmieniać kolor, co przypomniało Renie, że uciekali wiosną, a teraz

nastała już jesień.

Zdażyła już zapomnieć, jak daleko jest z tego miejsca do bramy, szczególnie, jeśli nie jedzie się konno, lecz idzie pieszo, i to w o wiele za dużych butach. Nawet szmaty wepchnięte w czubki i owinięte wokół jej stóp niewiele tu pomagały. Zatrzęsła się, gdyż chłodny, jesienny wiatr z łatwością przewiał podartą sukienkę, a żelazna biżuteria bardzo jej ciążyła.

“Cóż, jestem tam, gdzie chciałam być” - skarciła się w duchu.

A stanie tutaj z pewnością niczego nie załatwi.

Z lekkim westchnieniem weszła na ścieżkę do przejazdów konnych i rozpoczęła mozolną wędrówkę. Przy odrobinie szczęścia może natknie się na jakichś strażników i uchroni nogi chociaż przed częścią pęcherzy.

Niestety, nie pojawiały się żadne straże - oczywiście, nigdy ich nie ma, kiedy są naprawdę potrzebni - więc kiedy dotarła w końcu do bramy, jej stopy były w tak żalnym stanie, że śmiało mogły posłużyć za dowód planowanej opowieści. Jeśli uda jej się pomyślnie przebrnąć przez spotkanie z ojcem, to pierwszą rzeczą, którą zrobi, będzie gorąca kąpiel i masaż stóp!

Brama, która wynurzyła się przed nią, była o wiele większa niż pamiętała, lecz być może jej obraz w pamięci został nieco zatarty podczas życia na pustkowiu i w namiotach Żelaznych Ludzi. Wiele budynków wydawało jej się teraz ogromnych w porównaniu z namiotami. Zapukała nieśmiało, a wykonana z brązu brama odpowiedziała jej głuchym odgłosem.

Musiała jeszcze raz zapukać, zanim otworzyła się gwałtownie, ukazując pół tuzina strażników stojących za nią w pełnym uzbrojeniu. Była to straż utworzona z elfów, a nie ludzi, co dobitniej niż słowa świadczyło o tym, jak ucieczka Lorryna wpłynęła na lorda Tylara. Nie potrafił już w sprawach ważnych zaufać ludziom.

Rena złożyła ręce przed sobą, wpatrując się w ziemię, i odezwała się zmęczonym głosem, co nie wymagało od niej żadnego udawania:

- Proszę, czy mogłabym porozmawiać ze swoim ojcem, lordem Tylarem?

- Twoim czym? - spytał jeden ze strażników, a drugi się roześmiał, lecz trzeci zaklął i kazał im się zamknąć.

- Na Przodków! To ona, Sheyrena!

Rena nie oczekiwała specjalnie miłego przyjęcia, przynajmniej dopóki nie przekonają się, że jest pełnej krwi, lecz nie spodziewała się również, że zwiążą jej ręce i nogi, po czym przewieszą przez koński grzbiet twarzą do dołu. Nie przyszło jej na myśl, że będzie w tej pozycji galopować do drzwi dworu, z biżuterią boleśnie wbijającą jej się w ciało, wytrząsając

swój biedny żołądek gorzej niż podczas podróży na smoku.

W połączeniu ze skutkami zaklęcia transportującego było tego wszystkiego już za wiele. Kiedy dojechali do frontowego wejścia i strażnicy ściągnęli ją z wierzchowca, zwymiotowała na buty mężczyzny stojącego najbliżej.

Odczuła leciutką satysfakcję na myśl, że był to właśnie ten, który upierał się, by przewieźć ją w tej poniżającej pozycji. Strażnik zaklął i zamachnął się nogą w jej kierunku. Unikając kopniaka, przewróciła się do tyłu, a on ponownie spróbował ją kopnąć. Zanim jednak jego noga dosięgła celu, rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i gniewny okrzyk przykuł go do miejsca, gdzie stał.

- A to co ma znaczyć?

Lord Tylar stanął w oprawie marmurowego wejścia i wpatrywał się w zebranych przed nim strażników. Pospiesznie odsunęli się na bok, odsłaniając drżącą Sheyrenę skuloną żałośnie u stóp jednego z nich.

Twarz lorda Tylara przybrała kolor purpury, który zupełnie nie pasował do blad złotych włosów i zielonych oczu.

- Ty! - wypluł z siebie. - Jak śmiesz się tu jeszcze pokazywać?

- O-ojczy? - wykrztusiła drżącym głosem, a jej oczy natychmiast napełniły się łzami, gdyż naprawdę czuła się okropnie. - O-ojczy? Ja... Lorryn zasnął i uderzyłam go w głowę i ukradłam jego buty i...

Podniósł rękę i słowa zamarty jej na ustach. Była bardzo zadowolona, że uparła się przy zaszcyciu żelaznej biżuterii w jedwab, dzięki czemu nie będzie jej na razie chroniła. Teraz powodzenie jej podstępów zależało całkowicie od jej podatności na początkowe zaklęcia lorda Tylara.

- Ośmielasz się twierdzić, że jesteś córką z mego ciała? - syknął. - Zaraz się przekonamy! - Z tymi słowami rzucił na nią zaklęcie, które, jak sądziła, musiało rozpraszać złudzenie.

Rzecz jasna nie zmieniło ono niczego w jej wyglądzie i nadal była kupką nieszczęścia w podartej sukni - brudną, zalaną łzami i chora, ale całkowicie i bezdyskusyjnie elfiej krwi.

Lord Tylar, który aż do tej chwili był przekonany, że jego córka jest mieszańcem, podobnie jak jego rzekomy syn, wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami.

Lecz tylko przez chwilę; błyskawicznie otrząsnął się z tego szoku. W końcu nie stałby się tak potężnym władcą, gdyby nie potrafił panować nad sobą.

Kiedy więc uświadomił sobie sytuację, zwrócił swój gniew ku innemu celowi, ku strażnikom.



- Wy... wy kretyni! - wściekał się, choć jego twarz straciła już odcień purpury. - Jak śmieliście potraktować w ten sposób moją córkę! Wyślę was za to do zamykania stajni!

Zanim tamci zdążyli zareagować, znalazł się już u podnóża schodów i schylał, by pomóc Renie podnieść się, po czym własnym sztyletem poprzecinał jej więzy na rękach i nogach.

- Och, ojczy! - zatkała i rzuciła się do jego stóp; przyłgnąwszy do nich, łkała w skórę jego butów: - Ojczy, to było takie straszne! Lorryn był... Lorryn jest...

Zgodnie z jej oczekiwaniem, cofnął się pospiesznie. Znała go na tyle, by wiedzieć, że uzewnętrznianie uczuć przerażało go, a histeria budziła w nim natychmiastową chęć odwrócenia się od sceny tak krępującego wylewu uczuć.

Wskazał dwóch strażników, gdy Rena przyglądała mu się ukradkiem spod pozornie opuszczonych powiek.

- Ty i ty. Zabierzcie moją córkę do jej komnaty. Pouczcie niewolników, żeby zaspokoili każdą jej potrzebę i ubrali ją odpowiednio do jej pozycji. Ruszcie się, głupcy!

Rzuciwszy szybko te słowa, oddalił się z powrotem do holu, zostawiając biednych, zdezorientowanych strażników, by sobie z nią radzili. Pomogli jej się ponownie podnieść, tym razem bardzo ostrożnie, jakby bali się jej dotknąć, i zaprowadzili ją do jej własnych pokoi.

Pokojówki już tam czekały - wszystkie nowe, co specjalnie jej nie zdziwiło - więc strażnicy przekazali ją w ich ręce ze źle skrywaną ulgą. Zanim niewolnice ją rozebrały. Rena znalazła okazję, by wsunąć pakieciki z żelazną biżuterią do swojej dawnej kryjówki w łóżku, gdzie zawsze przechowywała książki. Nie minęło wiele czasu, gdy znalazła się w swojej wymarzonej wannie z gorącą wodą; każdą jej ręką i nogą zajmowała się osobna pokojówka, a jeszcze jedna myła i rozplątywała jej specjalnie splątane i pobrudzone przed drogą włosy.

Było to cudowne uczucie, więc Rena oddała się w ich ręce z westchnieniem rozkoszy. Służące ćwierkały do siebie jak stadko małych ptaszków, wydając okrzyki grozy nad jej szorstkimi dłońmi i poobcieranymi stopami oraz stanem jej włosów.

- O pani! - powtarzała jedna z nich, próbując doprowadzić jej zniszczone paznokcie do jako takiego stanu. - O, pani, jak mogłaś zrobić taką krzywdę swym pięknym, białym dłoniom?

“Tak jakbym nie miała w tej dzicy innych zmartwień niż troska o stan moich paznokci” - musiała przygryźć wargę, by powstrzymać się od śmiechu.

Kiedy wszystkie zabiegi pielęgnacyjne dobiegły końca, niewolnice ubrały ją w suknię w łagodnym, różowym kolorze i wyprawiły do gabinetu ojca. Przedtem jednak przyniosły jej

napój, który, jak podejrzewała, miał podziałać na nią otępiające. Wzięła go jednak i udała, że pije, po czym wylała ukradkiem do wazonu. Wyraz satysfakcji na ich twarzach potwierdził jej podejrzenia, więc starała się udawać, że jest odprężona i nieco kręci jej się w głowie, gdy wyruszyła do gabinetu eskortowana przez dwóch strażników.

Już po chwili pogratulowała sobie, że zostawiła żelazną biżuterię w pokoju, gdyż po otwarciu przed nią drzwi gabinetu stwierdziła, iż ojciec nie jest bynajmniej sam. Nie знаła nazwisk siedzących tam lordów, lecz ich twarze powiedziały jej wszystko, co musiała o nich wiedzieć. Wyraz takiej arogancji mógł towarzyszyć tylko najpotężniejszej mocy magicznej.

Wykonała głęboki, choć nieco chwiejny dyg i nie podniosła się, dopóki ojciec nie udzielił jej zezwolenia głosem, który zdradzał, jaką przyjemność sprawiło mu jej zachowanie.

- To są dwaj Wysocy Lordowie z Rady, Sheyreno - odezwał się, wymawiając słowa powoli, jakby była małym dzieckiem lub osobą niespełna rozumu. Albo jednym i drugim! - Opowiedz nam o wszystkim, co cię spotkało z rąk tego potwora, który cię porwał.

Jeden z Wysokich Lordów przyniósł jej krzesło, na które z wdzięcznością opadła. Trzęsącym, wahającym się głosem opowiedziała swą historię, poczynając od chwili, gdy Lorryn pojawił się w jej pokoju ze służącą, by zabrać ją, jak sądziła, na poranny piknik, a kończąc na ucieczce od tego strasznego mieszańca. Z przejściem opowiadała, jak ukradła mu buty, by nie mógł jej ścigać, i jak wracała trasą, którą udało jej się, mimo przerażenia, zapamiętać.

- On zamierzał mnie sprzedać czarodziejom, ojciec - krzyknęła głosem drżącym nie od powstrzymanego płaczu, jak tamci przypuszczali, lecz od tłumionego śmiechu. - Powiedział, że sprzeda mnie czarodziejom na pokarm dla ich smoków! Powiedział mi, że smoki jadają tylko dziewczęta i...

Nie mogła już dłużej wytrzymać; ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zatrzęsły się od bezgłośnego śmiechu. Podczas gdy starała się jakoś opanować, trzej lordowie wymieniali między sobą uwagi.

W końcu uniosła głowę i dzielnie pociągając nosem ponownie stawiała im czoła.

- Wszystko się zgadza - usłyszała uwagę wypowiedzianą półgłosem przez jednego z lordów; drugi i jej ojciec przytaknęli ruchem głowy.

- Zachowałeś się jak dobre i dzielne dziecko, Sheyreno - odezwał się ten, który przedtem wygłosił tę cichą uwagę, głosem śliskim jak oliwa do masażu i słodkim jak melasa.

- Przynosisz zaszczyt swojemu ojcu oraz swemu domowi.

Sheyrena pokornie skłoniła głowę, a on zwrócił się ponownie do lorda Tylara.

- Za twoim pozwoleniem, panie, wrócimy teraz do Rady z tymi wieściami.

Obaj lordowie odwrócili się i wyszli drzwiami prowadzącymi do portalu transportującego.

Ledwie zniknęli, Tylar zaśmiał się cicho do siebie. Sheyrena podniosła wzrok, udając nieśmiałość.

- Świetnie się spisałaś, Sheyreno - powiedział, przyglądając jej się bacznie. Zamrugał oczyma, jakby czymś zaskoczony.

- Doprawdy, wydaje mi się, że te ciężkie przeżycia poprawiły twój wygląd, dziewczyno! - wykrzyknął głosem pełnym zdumienia. - Na Przodków, ty naprawdę zrobiłaś się atrakcyjna!

- Dziękuję, ojcze - odparła potulnie; zaczerwieniła się z gniewu, lecz oczy miała spuszczone, tak by mógł pomyśleć, że to rumieniec zakłopotania.

- To wszystko zmienia postać rzeczy - mruknął i zabębnił palcami po biurku. - Jesteś pełnej elfiej krwi i jesteś teraz jedyną moją spadkobierczynią, twoja wartość jako partii małżeńskiej jest bez porównania wyższa niż przed porwaniem. Hmm.

Podniósł się zza biurka i przeszedł na jej stronę, po czym uniósł palcem jej podbródek, tak żeby móc przyjrzeć się dokładniej twarzy.

- Hmm - powtórzył, gdy ona zakryła oczy rzęsami, by ukryć gniew. - Jeśli dodać do tego fakt, że nie jesteś już bladolicym dziwadłem, tylko całkiem przystojną osobką, to twoja wartość jest jeszcze większa.

Pozwolił jej ponownie spuścić głowę i stał przez chwilę obok jej krzesła. Nie odpowiedziała mu, lecz najwyraźniej wcale się tego nie spodziewał.

- Możesz odejść - stwierdził niespodziewanie.

Czym prędzej z tego skorzystała; podniosła się niepewnie, dygnęła i uciekła. Kiedy tylko znalazła się w bezpiecznej oazie swej komnaty, wyjęła z ukrycia pakieciki z biżuterią i szybko wsunęła je do najlepszej ze wszystkich możliwych kryjówek, miejsca, gdzie żaden mężczyzna nigdy nie zaglądał.

Gdzież można lepiej ukryć biżuterię, niż wśród innych klejnotów w szkatułce z kosztownościami?

Dopiero wtedy ściągnęła suknię, nie wzywając do pomocy pokojówek, i w halce wsunęła się do łóżka, gdzie natychmiast zapadła w kamienny sen.

Obudził ją ojciec, a raczej pokojówki ćwierkające nad jej głową, podniecone niezmiernie faktem, że on czeka za drzwiami, a ona jest w stanie, który nie pozwala go przyjąć! Pozwoliła im wciągnąć na siebie ponownie suknię i uczesać włosy, przez cały czas mając wrażenie, że otacza ją gęsta mgła. W tej samej chwili, gdy uznały, że wygląda już

“przyzwoicie”, ojciec wszedł majestatycznie do pokoju, wnosząc ze sobą atmosferę wizyty na szczeblu rządowym.

- Każ pokojówkom spakować swoje rzeczy, Sheyreno - polecił. - Przeprowadzasz się do buduaru.

Wpatrzyła się w niego z niemądrym wyrazem twarzy. Ojciec uśmiechnął się uśmiechem kogoś, kto robi, co mu się podoba, uważając jednocześnie, że wyświadcza tym ogromną łaskę.

- Jesteś moim jedynym prawowitym dzieckiem, Sheyreno - odezwał się pompatycznie i wyciągnął do niej dłoń.

Podala mu swoją, nie mając pojęcia, o co mu chodzi, a on włożył jej do ręki pęk kluczy, ten sam pęk, który odkąd tylko Rena sięgała pamięcią, nosiła przy sobie jej matka.

- Ty jesteś panią tego domu - wyjaśnił. - Teraz ty zarządzasz kobiecymi komnatami i służbą. - Widząc konsternację i przerażenie na jej twarzy, roześmiał się. - Och, nie martw się, dziecko, to tylko zaszczyt i tytuł. Tak naprawdę, to wszystkiego pilnują niewolnicy. Ty musisz tylko zadbać, by niewolnicy przychodzili do ciebie po rozkazy, a ja będę ci mówił, co masz im powiedzieć.

- Tak, ojczy - odpowiedziała drżącym głosem.

Jego uśmiech poszerzył się.

- Jesteś zbyt cenna, by cię marnować dla takich jak lord Gildor - stwierdził, bardzo z siebie zadowolony. - Wysłałem lordowi Gildorowi wyrazy ubolewania, że zbyt wiele obecnie dla mnie znaczysz i że nie zniósłbym teraz braku twojego towarzystwa. Zerwałem zaręczyny.

- Zerwałeś? - wpatrzyła się w niego oszołomiona; nigdy by nie uwierzyła, że posunie się aż tak daleko!

Opacznie wziął jej zdumienie za niezadowolenie.

- Och, nie powinnaś czuć się rozczarowana, dziecko! Jesteś teraz warta dziesięciu takich Gildorów. Posłuchaj mnie przez chwilę. Zamknęła usta i nadała twarzy wyraz intensywnej uwagi.

- Zamierzam znaleźć dla ciebie przymierze małżeńskie, które wyniesie nasz dom w szeregi Wysokich Lordów - wyjaśnił jej rozradowany. - Ty też będziesz tu miała do wykonania część zadania, i to bardzo ważną. Mianowicie, musisz zachować obecny atrakcyjny wygląd, i jest to rozkaz! Chcę, żebyś codziennie wstawała wcześnie, oddawała się w ręce swoich służących, które cię odpowiednio ubiorą i ozdobią, po czym starała się wyglądać pięknie przez cały dzień. Koniec tych popołudniowych drzemek, kiedy nie można cię było nigdzie znaleźć. Żadnego znikania na długie przejażdżki. Skończ też z chowaniem

się w ogrodzie, jakbyś była jeszcze dzieckiem. Czy jasno się wyraziłem?

- Tak, ojciec - odparła, znów czerwieniąc się z gniewu. I znów, jak to było do przewidzenia, Tylar wziął gniew za zakłopotanie.

- No, Sheyreno, nie martw się - odezwał się tonem, który zapewne uważał za uspokajający. - Nie jestem na ciebie zły; po prostu nie jesteś już dzieckiem i zbyt wiele obecnie znaczysz dla naszego domu, by bawić się w swoje dziecięce gierki. Rób tylko to, co ci się mówi, a twoje sprawy przyjmą wspaniały obrót. Zaczekaj, a zobaczysz!

- Tak, ojciec - odparła, nadal z rumieńcem na twarzy.

- Ponieważ obecnie praktycznie każdy z lordów w Radzie zna twe imię i historię, więc zdecydowałem, że na najbliższym posiedzeniu ogłoszę, że twoja ręka jest znów wolna. Będzie to dla wszystkich miłe oderwanie się od ostatecznych przygotowań do wojny z czarodziejami. Ustawię potem swe siły obok wojsk tego, który zostanie twoim panem. - Promieniał cały, jakby wymyślił coś niesamowicie sprytnego. - Zamierzam, można by rzec, wystawić cię na przetarg. I spodziewam się, że licytacja będzie bardzo zawzięta!

- Ale lord Gildor - odezwała się, niezdolna wymyślić nic innego.

- Ha-ha! - zaśmiał się. - Wyrzuc go ze swoich myśli. Nie wiem, kto zostanie twoim przyszłym mężem, lecz jedno jest pewne, że będzie stał tak wysoko ponad lordem Gildorem, jak Gildor jest ponad dowódcą moich straży!

Jedynie, o czym Rena mogła w tej chwili myśleć - czy raczej, na co liczyła - było to, że Mero uda się odczytać jej myśli, gdyż nie znalazła innego sposobu, by przekazać mu te niezwykle istotne wiadomości. Elfowie mieli lada moment złamać układ i rozejm, całe miesiące wcześniej, niż się spodziewali!

Shana stała przed zgromadzonymi czarodziejami w pustej jaskini, którą wykorzystywali do swoich spotkań. Przepelniało ją pragnienie, by młotem wbić nieco rozumu do kilkunastu znajdujących się przed nią głów. A przede wszystkim do głowy Caellacha Gwaina. Nie mogła pojąć, dlaczego teraz przyjął taką postawę, skoro zaledwie kilka miesięcy wcześniej to właśnie on krzyczał o niebezpieczeństwie grożącym im ze strony elfich lordów.

“Ciekawe, jak idzie Lorrynowi i co teraz robi. Dlaczego nigdy nie kontaktuje się ze mną osobiście, tylko przez Mera? Chciałabym wiedzieć, czy... do diabła z tym! Muszę się skupić na swoich wrogach! Tak, lecz on jest właśnie w samym środku wrogiego obozu.”

- Mówię wam, mam te wiadomości niemal z samych ust jednego z Wielkich Lordów Rady - warknęła. - Elfowie doskonale wiedzą, gdzie jesteśmy. Co więcej, mają zamiar nas zaatakować, i to już wkrótce. Zjednoczyli się na tyle, żeby postawić portal transportujący,

którym ich wojska przejdą wprost pod nasze drzwi.

- Och, daj spokój - odezwał się Caellach Gwain, machnąwszy ospale dłonią. - To stara opowiadka i już nam się znudziło jej wysłuchiwać. My nie widzieliśmy żadnych oznak tej tak zwanej "mobilizacji" wojsk, o której stale trąbisz.

- Tylko dlatego - burknęła niecierpliwie - że wojska gromadzą się na terenach trzech posiadłości Wysokich Lordów, w których baliście się prowadzić obserwacje!

- A kto jest tym twoim informatorem? - spytał przebiegle Caellach.

Nie odpowiedziała mu, nie było sensu. Nie uwierzyliby jej, chociaż widzieli Renę na własne oczy. Nigdy by nie uwierzyli, że Rena może przeżyć na tyle długo, by stać się użyteczną jako szpieg.

- Myślę, że to wszystko nieprawda. Jest to po prostu podstęp, by odciągnąć naszą uwagę od ważnej sprawy traktatu negocjowanego obecnie z tymi niebezpiecznymi barbarzyńcami. Pozwolę sobie dodać, że negocjowanego bez zgody cytadeli jako całości. - Widać było, że Caellach jest niezmiernie z siebie dumny.

Shana spojrzała ponad nim na Denelora i Partha Agona; pierwszy wzruszył bezradnie ramionami, drugi wznosił oczy do nieba. Caellach Gwain nie miał dosyć głosów poparcia, by przysporzyć jej poważnych kłopotów, lecz jednocześnie miał po swej stronie dostatecznie wielu czarodziejów, by wplątać ich w te nonsensowne dysputy, a w tym czasie armie elfów staną u ich wrót.

Raz jeszcze, patrząc na te nalane, idiotycznie zarozumiałe twarze, usłyszała w myślach głos Mera przekazujący jej złe wiadomości, które otrzymał od Sheyreny. Wpadłszy w panikę, zużyła całą energię, którą dysponowała, na przesłanie tej samej wiadomości Kemanowi, lecz nie miała zielonego pojęcia, czyją usłyszał ani gdzie się w tej chwili znajduje.

Przy jej pechu możliwe, że zaszył się akurat ze swą panią gdzieś daleko poza zasięgiem wszystkich i wszystkiego. Możliwe też, że udali się na południe do jej leża, by uzyskać zgodę rodziców na jego zaloty.

Słuchając po raz kolejny tych samych idiotyzmów, przez które dzień po dniu marnotrawiła czas w tej jaskini i nie mogąc uczynić nic konstruktywnego, poczuła nagle, że za chwilę wybuchnie.

Wstała, nie zważając, że jest to akurat środek kolejnej przemowy Caellacha, i rąbnęła dłonią w stół. Urwał w pół zdania, całą swą postawą dając wyraz oburzeniu na takie grubiaństwo.

- Od tej chwili możecie sobie mieć językami na ten temat, dopóki miecze elfów nie

zetną wam głów - prychnęła. - Ja natomiast zamierzam spróbować coś z tym zrobić.

- Sama? - spytał szyderczo Caellach.

- Z nami - odparł Kalamadea, wstając, a za jego przykładem poszły wszystkie zgromadzone tu pod postacią czarodziejów smoki. - Możemy przynajmniej ułożyć plany ucieczki z tymi, którzy mają dość rozumu i przyłączą się do nas.

Caellach zagapił się na niego, zdumiony perspektywą buntu smoków.

- Ale... - wykrztusił bezsilnie. - Ale...

- Ale nie sądzę, żeby to było konieczne - dobiegł ich od wejścia głos tak ochryply ze zmęczenia, że Shana wcale go nie rozpoznała. Dopiero kiedy się odwróciła, ujrzała, że to Keman.

Keman. A za nim dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu... straciła rachubę, ilu nieznajomych tłoczyło się za Kemanem.

Wszystkim towarzyszył smoczy cień.

- Shano, oto nasi nowi sprzymierzeńcy - oświadczył; tymczasem Alara z okrzykiem radości i zdumienia podbiegła i objęła nie tylko swego syna, lecz również wysokiego, przystojnego mężczyznę o czarnych jak heban włosach, który stał u jego boku.

- Oto smoki z naszego leża, z leża O'ordilai, leża Hali'a, leża Teomenava...

Wymienił jeszcze kilka innych nazw, a Shana stała w tym czasie jak sparalizowana, niezdolna wykrztusić ani słowa.

- My sformujemy siły prawego skrzydła - ciągnął Keman. - Dora poleciała do Żelaznych Ludzi i dowiedziała się, że Diric przyprowadzi jazdę swych wojowników, która utworzy lewe skrzydło, zanim pokażą się armie elfów.

- Możemy stworzyć coś w rodzaju żelaznego klina, który przeszkodzi elfom w doprowadzeniu portalu transportującego wprost pod wasze drzwi - odezwał się z uśmiechem czarnowłosy mężczyzna. - Nasi najlepsi fachowcy wydobywają właśnie rudę i wytapiają z niej kawałki żelaza wielkości pięści, a pozostali przylatują tu i zrzucają je wzdłuż drogi. Myślę, że uda nam się uzyskać dostateczną ilość, by rozsiać je po lasach w promieniu dnia marszu od cytadeli.

- W takim razie waszym siłom pozostawiam utworzenie tylnej ściany pułapki - dodał chrapliwym głosem Keman i obrócił się do Caellacha Gwaina.

Wtedy właśnie Shanę oświeciła nagła myśl, że Keman nie jest już bynajmniej "chłopcem", i to pod żadnym względem. Myślał i działał samodzielnie, biorąc na siebie odpowiedzialność za swe poczynania, i gotów ponieść również ewentualne ich konsekwencje.

Wyraz twarzy Alary powiedział jej, że smoczyca również w tej chwili zdała sobie z

tego sprawę.

Jej mały chłopczyk nie jest już mały ani nie jest chłopczykiem. - Możesz sobie robić, co chcesz, panie czarodzieju - powiedział Keman. - I możesz wierzyć, w co ci się podoba. Lecz Żelazni Ludzie i smoki są zdania, że Shana ma rację, a wy, głupcy, jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie, więc chcemy jej pomóc. Wśród smoków istnieje takie powiedzenie - rzucił Caellachowi spojrzenie ostre jak klinga miecza i stary czarodziej odruchowo cofnął się przed nim: "Prowadź, podążaj za mną lub zejdź mi z drogi" - powiedział z mocą. - Którą z tych możliwości zamierzacie wybrać?

Stary czarodziej opadł na swe krzesło, tłumiąc w sobie dalsze protesty.

Keman skłonił mu się ironicznie, po czym zwrócił się do Shany:

- Myślę, że przekazę teraz wszystko w twoje ręce, przybrana siostró - powiedział z wyrazem znużenia w oczach. - Zostawię to tobie i moim przyjaciółom. Tyle się w ostatnim czasie nalatałem, że marzę tylko o tym, by spać co najmniej przez tydzień.

- Sesja Rady - oznajmił Lorryn w sali pełnej siedzących w milczeniu młodych elfów.

Dzisiejszego wieczoru drzwi gospody zostały zamknięte dla obcych; wpuszczano tylko tych z żelaznymi naszyjnikami. Zajmowali oni wszystkie stołki, ławki, każdy skrawek miejsca, gdzie można było usiąść. Stał tylko Lorryn i w nim utkwione były wszystkie szmaragdowe oczy.

- Wszyscy lordowie posiadający jakieś znaczenie zamierzają udać się na to posiedzenie, a prosto z niego planują wyruszyć na wojnę. Będą siedzieć w Sali Rady, dziesiątki kilometrów od swoich dworów, praktycznie bez możliwości przemieszczania się, z niewielką liczbą popleczników i bez możliwości skomunikowania się ze swymi domami. Daje wam to wolne pole do działania. Nie będzie tam tylko trzech Wysokich Lordów, tych trzech, którzy mają otworzyć portale transportujące i podczas trwania sesji Rady wysłać nimi armie niewolników.

- Wszyscy trzej posyłają swoich dziedziców na zebranie Rady - zaśmiał się cicho jeden z młodych lordów, który od samego początku brał udział w przygotowaniach. - Zostaną odcięci tak samo jak pozostali, kiedy er-lordowie zamkną za nimi portale, jak tylko przez nie przejdą.

- Reszta z was musi wymyślić sobie jakiś pretekst, by móc przebywać na terenie posiadłości swoich ojców lub panów podczas trwania spotkania Rady - powiedział Lorryn. - Każdemu z was damy klin z żelaza do zablokowania portali; kiedy to zrobicie, będą one, praktycznie rzecz biorąc, zapieczętowane. Radzę wam dobrze te kliny ukryć, gdyż wasi



ojcowie i panowie mogą mieć jakichś lojalnych podwładnych, których nie uda się przeciągnąć na naszą stronę. Nie traćcie czasu na ich wykrywanie. Zamiast tego udajcie się do ludzkich wojowników i postarajcie się ich przejąć. Wyrzucicie każdego, kto nie zechce złożyć wam przysięgi. Potem? - Wzruszył ramionami. - Sami musicie przejąć inicjatywę. Zatrzymajcie posiadłości w swoich rękach. Powinno wam się to udać; każdy, kogo zaopatrzyicie w żelazną biżuterię, będzie miał ochronę przed bezpośrednim działaniem magii, a waszym ojcom, wujom czy panom pozostanie jedynie siła. Wy będziecie mieli oddziały ludzi, oni nie. A do tego czasu będzie już za późno, by wezwać z powrotem wojowników wysłanych przez portale.

- Jedyne, czego potrzebujemy, to równe szansę - odezwał się z zapalem jeden z zebranych. Nie był to młody lord; musiał to być jeden z tych, którzy dysponowali niewielką mocą magiczną, w związku z czym dręczące go urazy narastały zapewne przez wieki. - To wszystko, o co kiedykolwiek prosiliśmy.

- Święta racja - poparł go inny.

Lorryn przytaknął ruchem głowy i potarł ze znużeniem skronie. Czy wszystko przebiegnie zgodnie z planem? I co dzieje się teraz z Shaną? Według ostatnich wieści, dostarczonych mu przez rzemieślników, Keman zwerbował więcej smoków, lecz czy Shana wiedziała, że armie elfów nadciągną lada moment? Zresztą, ilu potrzeba by smoków, żeby wziąć górę nad nadciągającymi rzeszami?

Nie miał nawet pojęcia, czy Shana w ogóle tam jeszcze dowodzi.

Nie miało to znaczenia; wydarzenia i tak wyrwały im się już spod kontroli. Musieli działać, albo zostaną przez nie porwani.

- Wszyscy wiecie, co macie zrobić, od was zależy, jak to zrobicie - zakończył, dając im sygnał do rozejścia się. Musiał odbyć jeszcze dalsze takie spotkania, a i tak smoczy przyjaciele prowadzili podobne w pozostałych czterech miastach.

“A do nas należy jak najlepsze wykorzystanie waszych dokonań - pomyślał. - Och, Shano, jakże przydałby mi się teraz twój nieustępliwy zdrowy rozsądek!”

Rena zachowywała się jak niezwykle posłuszna dziewczynka, potulnie wypełniająca wszelkie polecenia lorda Tylara. Miała nadzieję, że uśpi jego podejrzania, jeżeli takowe miała, nie wspominając w jego obecności lady Viridiny i nie wypytyjąc o nią otwarcie służby.

Tylar z pewnością coś podejrzewał - albo po prostu podejrzliwość była tak nieodłącznie związana z jego naturą, że nie mógł się z niej wyzwolić, nawet gdyby chciał - gdyż bacznie pilnował, by nigdy nie pozostawała sama. Miała nieraz ochotę wyć z rozpacz,

że nie może zrealizować swego planu.

W końcu doczekała się jednak okazji, choć co prawda niemal w ostatniej chwili. Ojciec był zbyt zajęty przygotowaniem do sesji Rady, by osobiście jej pilnować, a wydawało jej się również, że nie zlecił tego zadania nikomu innemu. Po raz pierwszy od jej powrotu do domu była sama.

To mogła być jej pierwsza i ostatnia szansa, więc zamierzała z niej skorzystać.

Nie odważyła się założyć na siebie biżuterii, gdyż zamierzała posłużyć się magią, a ponadto magiczne rygle zamykające wieżę w ogrodzie, gdzie więziono jej matkę, mogły być tak ustawione, by wszczać alarm w razie, gdyby ktoś je zepsuł. Wzięła więc oba pakiety, nadal zawinięte w izolujący jedwab, i ukryła je pod suknią, po czym wyśliznęła się z buduaru równie cicho, jak wojownik klanu Żelaznych Ludzi podchodzący nieprzyjaciela.

W każdym razie taką miała nadzieję.

Ostrożnie jak kot przemknęła się korytarzami i bez żadnego problemu minęła magiczne bariery, które lord Tylar rozmieścił wokół jej komnat; bala się przedtem, że mogą ją one zatrzymać. Ojciec twierdził, że znajdują się tam dla jej bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby Lorryn dotarł tu za nią, lecz nie miała zamiaru brać niczego, co mówił lord Tylar, za dobrą monetę.

Posuwała się teraz korytarzami wykonanymi nie na pokaz, lecz do wewnętrznego użytku, kierując się do kuchennego i zielnego ogrodu. Teoretycznie, będąc zarządcą służby, miała prawo, a nawet obowiązek tam chodzić. W praktyce jednak byłoby jej bardzo trudno wytłumaczyć swą obecność, gdyby spotkała kogoś wyższego rangą niż służąca-niewolnica.

W samym środku warzywnika jakiś niezwykle "dowcipny" architekt wystawił wieżę więzienną, by lord Tylar mógł umieszczać w niej tych, których nie życzył sobie w domu. Znajdowała się ona przy tym na tyle blisko, by bez trudu mógł doglądać ich osobiście. Za czasów Reny nie była nigdy używana, lecz opowiadano jej o krnąbrnych służących, którzy doświadczyli krótkich, lecz bardzo nieprzyjemnych w niej pobytów. Podobno była doskonale zabezpieczona przed możliwością ucieczki więźnia, pod warunkiem, że więziona osoba miała mniejszą moc magiczną od lorda Tylara.

Lub też pod warunkiem, że taka osoba nie miała na zewnątrz sprzymierzeńców o zdolnościach magicznych.

Rena spojrzała od drzwi wyjściowych na przestrzeń zajętą przez warzywa i zioła na schludnych, z matematyczną dokładnością wytyczonych grządkach. W centrum tego ogrodu widać było wieżę, tworzącą zresztą całkiem przyjemny dla oka widok. Zbudowana z białego marmuru, sięgająca strzeliście ku słońcu, była okrągła, smukła, a jej piękna nie psuło

najmniejsze nawet okienko.

Wszędzie wokół panowała cisza; ojciec najwyraźniej zabrał z domu wszystkich niewolników, by służyli w jego armii - zapewne ważna była ich liczba, a nie umiejętności i odpowiednie uzbrojenie. Tylko jedna niewolnica ścinała kapustę u stóp wieży, w całym ogrodzie nie było widać nikogo więcej. Rena poczekała, schowana za drzwiami, dopóki służąca nie skończyła swej pracy i nie wróciła do kuchni.

“Teraz już wiem, czemu dom wydawał się tak dziwnie cichy - pomyślała. - Ojciec prawdopodobnie zebrał wszystkich męskich niewolników, których mamy, i wysłał ich, by stworzyli jego część wojsk. Kto wie, czy nie wziął również co odważniejszych kobiet, nieistotne, że nie trzymały nigdy w ręku niczego poza kuchennym nożem. Wątpię, żeby to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Zawsze znajdą się inne, czekające w zagrodach rozrodczych.”

Pomyślała o tych, których poznała w namiotach Żelaznych Ludzi: o Diricu, Kali, nowym wodzu wojennym. Pomyślała również o rzemieślnikach i o tym, jak nieprzygotowani są oni do walki. Pomyślała o wszystkich tych ludziach, pędzonych na śmierć jak bydło, lecz bez opieki i godności, która u Żelaznych Ludzi należna była ich bydłu; pomyślała i zawrzała gniewem.

Nienawidziła ojca już przedtem, lecz teraz ta nienawiść przestała być osobista - była to nienawiść do tego wszystkiego, co ojciec i każdy z lordów Rady sobą reprezentowali.

Postała jeszcze chwilę, chcąc sprawdzić, czy niewolnica nie wyjdzie ponownie do ogrodu, a jednocześnie starając się powściągnąć gniew i ponownie odzyskać panowanie nad sobą. W stanie takiego wzburzenia mogłaby coś przeoczyć, a nie był to najlepszy moment, by pozwolić sobie na roztargnienie.

Wreszcie wściekłość przygasła w niej do lekkiego ćmienia w sercu; wzięła głęboki oddech i wyszła pewnym krokiem do ogrodu, jak osoba, która ma wszelkie prawa, by tu przebywać.

Wejście do wieży znajdowało się po przeciwnej stronie w stosunku do dworu. Przespacerowała się więc z udawaną beztroską po wysypanych żwirem ścieżkach, obeszła podstawę wieży i weszła na taras z białego marmuru, przez cały czas nie widząc nikogo, kto by ją obserwował. Z zamkniętymi oczami, tak jak ją nauczył Mero, zbadała zamknięcie wieży, które okazało się o wiele prostsze, niż się spodziewała. Być może mężczyźnie, nie przyzwyczajonemu do posługiwania się tak subtelną magią, wydałby się on trudny do otwarcia, lecz dla kobiety było to łatwiejsze od rzeźbienia piór na żywych ptakach.

Już po chwili drzwi stały otworem, a ona wśliznęła się do środka i zamknęła je za

sobą.

Na najniższym poziomie panowała zupełna pustka. Była tu tylko rozbrzmiewająca echem sala wyłożona białym marmurem i rozjaśniona tym pozbawionym źródła światłem, które oświetlało większość domostw stworzonych przez elfów. Zaczęła nasłuchiwać, żeby zorientować się, czy jest tu ktoś jeszcze oprócz jej matki. Z podsłuchanych rozmów służby dowiedziała się, że lady Viridinie nie zezwolono na posiadanie osobistej pokojówki i musiała sama się obsługiwać, lecz plotki niewolników nie zawsze były zgodne z prawdą.

Usłyszała słabiutki odgłos kroków gdzieś wysoko ponad sobą, lecz były to kroki tylko jednej osoby. Ktoś spacerował w kółko wzdłuż okrągłych ścian wieży.

Rena zaczęła bezgłośnie wkradać się po schodach, po czym zatrzymała się, by wyrzucić ponad krawędzią następnego piętra i zobaczyć, co się na nim znajduje.

Pokój, który ujrzała, przypominał ten na dole, z tym, że znajdował się w nim marmurowy stół i jedno krzesło. Nie było w nim nikogo, lecz kiedy Rena weszła dalej, ujrzała na stole tacę z niedojedzonym chlebem i dzban z wodą. Chleb nie wyglądał na świeży, a ponadto był to chleb z brązowej fasoli, którym karmiono zazwyczaj niewolników.

Sprytnie.

Skierowała się do następnego ciągu schodów i znów stanęła, nasłuchując. Kroki brzmiały teraz tak, jakby ktoś chodził tuż nad nią.

Zdażyła wejść do połowy schodów, gdy nagle kroki zatrzymały się.

- Kto tam jest? - spytała ostro lady Viridina.

Rena nie mogła się opanować; biegiem przebyła resztę schodów, niepomna możliwości, iż matka nie jest sama.

Lecz lady Viridina była sama. Ubrana w suknię z bielonego barchanu, z włosami splecionymi w prosty warkocz, niczym nie przypominała dawnej wykwintnej damy. Spojrzała na Renę i wykonała nieznaczny ruch ręką - Rena odgadła po lekkim mrowieniu, że matka rzuciła na nią zaklęcie rozprasające złudzenie - po czym podbiegła i chwyciła córkę w objęcia, łkając i mamrocząc coś bez związku, tak jakby naprawdę była niespełna rozumu.

Rena zresztą robiła to samo.

Kiedy wreszcie obydwie się opanowały - i to znacznie szybciej, niż Rena mogłaby przypuszczać - lady Viridina odsunęła córkę na odległość ramion i zaczęła nią potrząsać, jakby ta była znów niegrzecznym dzieckiem.

- Co ty tu robisz? - łajęła ją. - Czy nie wiesz, że nikomu nie wolno...

- Zabieram cię stąd, mamo - przerwała jej Rena, nie odsuwając się jednak poza zasięg

jej rąk. - Posłuchaj mnie; nie mamy zbyt wiele czasu na wyjaśnienia.

Lady Viridina słuchała więc mocno streszczonej opowieści o tym, jak Rena wraz z Lorrynem uciekli, jak spotkali Żelaznych Ludzi i dowiedzieli się o ochronnej mocy ich biżuterii, i jak w końcu połączyli siły z czarodziejami.

- Mam to właśnie tutaj - zakończyła, wyciągając z trudem jeden z pakietów zza sukni. Na tym polegał problem z modnymi sukniemi, że nie było gdzie czego schować. - Proszę, to ta biżuteria. Załóż to na siebie i przejdziemy przez ogród do miejsca, gdzie czeka Mero i...

- Nie tym razem!! - Z podmuchem mocy, który wprawił w drżenie jej nerwy, lord Tylar pojawił się na środku sali, jakby przyniesiony tu za pomocą czarów, bo też tak właśnie było. Rena poznała już na tyle zaklęcie transportujące, by wiedzieć, jakie wywołuje odczucie.

O ile przy pierwszym spotkaniu z córką przy drzwiach frontowych jego twarz była szkarłatna z wściekłości, to teraz przybrała barwę fioletu. Ruszył na Renę z gołymi rękoma, nie sięgając do arsenału swych czarów.

Próbowała się uchylić, lecz Tylar był w młodości zaprawionym wojownikiem, a i obecnie starał się trenować. Jednym silnym ciosem pięści przerzucił ją przez pokój, tak że wylądowała na marmurowej ścianie.

Najpierw uderzyła o nią tułowiem, tracąc oddech, a potem ze ścianą zderzyła się jej głowa i przed oczyma pojawiły się tysiące iskier. Opadła bezwładnie, oszołomiona i niezdolna do ruchu. Leżała obolała, próbując złapać oddech i podeprzeć się na śliskim marmurze rozcapierzonymi dłońmi, gdy dobiegł ją brzęk trzymanej przez matkę biżuterii i po chwili grzechot, gdy rzuciła ją na posadzkę do stóp Tylara.

Rena potrząsnęła głową, próbując przegnać mgłę z oczu i stwierdziła jednocześnie, że znów może oddychać. Wciągnęła potężny, chłodny haust powietrza, zakasłała i jeszcze raz głęboko odetchnęła, po czym spojrzała w górę i spróbowała zmusić swój mózg do pracy.

Ojciec stał tyłem do niej, aż sztywny z gniewu. Matka kulila się pod przeciwległą ścianą z twarzą białą z przerażenia. Pod stopami Tylara widać było błyszczący jedwab i srebro.

- A teraz mam zamiar cię zabić, kobieto - syknął Tylar. - W końcu się ciebie pozbędę i nikt mi nie powie złego słowa.

Wyrzucił ręce do przodu i złapał ją za ramiona jak w kleszcze, zanim Rena zdążyła się zorientować, co ma zamiar zrobić. Po chwili cisnął ją na podłogę, gdzie leżała teraz zupełnie bezwładnie. Kiedy ojciec się odwrócił. Rena ujrzała jego twarz.

Nie była już sina, ani nawet szkarłatna. Była biała, blada jak marmur ścian i tak opanowana, jakby rozmawiał z przyjaciółmi o jakichś błahych sprawach. A kiedy przemówił,

jego głos brzmiał zupełnie spokojnie i tak zimno, że mógłby zmrozić marmur. Rena wstrząsnęła się, a matka wtuliła głowę w ramiona.

- Mam zamiar cię zabić - powtórzył. - Ale to nie wszystko. Zamierzam cię unicestwić. Zniszczę cię tak kompletnie, że nie pozostanie z ciebie nic, co by świadczyło, że kiedykolwiek żyłaś. I bynajmniej nie będę się śpieszył.

Uśmiechnął się.

W tym momencie w świadomości Reny odezwał się echem pewien głos - teraz dopiero zdała sobie sprawę, do kogo on należał i dlaczego wydawał się jej znajomy.

“Skoro potrafisz zmieniać płatki kwiatów, to co jeszcze umiesz zmienić? Czy możesz, na przykład, zatrzymać serce?”

I kolejne wspomnienie z czasów nieco bliższych: “Nie jest to moc, którą można wykorzystywać bez potrzeby, lecz czasem... czasem nie masz wyboru. Czasem dzięki tej mocy możesz uratować niewinne życie.”

Przyjmując pierwsze za omen, a drugie za błogosławieństwo, Rena zrobiła dla swej matki to, czego nigdy nie ośmieliłaby się zrobić dla siebie. Lord Tylar był zabezpieczony przed magicznym atakiem...

Lecz jego stopy dotykały żelaza naszyjnika, gdyż jedwab pakietu odwinął się. Wprawdzie między nim a naszyjnikiem znajdowała się jeszcze skóra butów, ale może się uda.

Rena zamknęła oczy i dosięgła Tylara w momencie, gdy ten podnosił rękę, by wezwać swoją moc. Nigdy się nie dowiedziała, czy to jej zaklęcie, czy jego moc zgromadzona tak blisko żelaza naszyjnika spowodowały ten przerażający efekt.

Zapamiętała tylko, że w połowie gestu Tylar wciągnął nagle ze świstem powietrze, straszliwa energia, po którą sięgał, spłynęła na niego i jego ciało eksplodowało ogromnym filarem ognia.

Jakimś cudem znalazła się przy matce, mijając ten krzyczący i bulgocący filar, przyrośnięty do posadzki, jakby przykuł go tam naszyjnik. Złapała matkę, kompletnie sparaliżowaną strachem, podniosła ją jakoś na nogi i ciągnęła schodami na dół, podczas gdy marmur wieży zaczął płonąć, a schody zajmowały się za nimi ogniem, ledwie zdążyły przebiec. Wydostawszy się na zewnątrz, chwiejnym krokiem, zataczając się, przedzierały się przez ogród, gdy niewolnicy i służący zaczęli z krzykiem zbiegać się ku wieży, zupełnie nie zwracając na nie uwagi.

Do tej pory lady Viridina zdążyła już dojść do siebie na tyle, że poruszała się o własnych siłach, chociaż jej twarz nadal była biała i zszokowana, a oczy przypominały dwie wypalone dziury. Rena prowadziła ją w kierunku otwartej furtki, przez którą wszedł właśnie

patrol strażników wpatrzonych w płonąca wieżę. Minęli oni uciekinierki, nie zerknąwszy na nie po raz drugi. Nie miała pojęcia, jak znaleźć Mera, wychodząc z tej strony, lecz było to jedyne wyjście w zasięgu wzroku.

Nie musiała jednak błąkać się wokół murów posiadłości, by go znaleźć. To Mero je znalazł i podjechał galopem, prowadząc za sobą dwa konie właśnie w momencie, gdy wychodziły na zewnątrz. Bez słowa podsadził lady Viridinę na siodło i przywiązał ją na wypadek, gdyby nagle zemdląca, gdyż jej wygląd na to wskazywał. Rena natomiast sama wdrapała się na swojego konia, walcząc z krępującą jej ruchy dziwną suknią.

- Lorryn spotka się z nami w drodze - oznajmił Mero krótko. - Nie mogłaś lepiej wybrać tego momentu; prawdziwe zamieszanie lada chwila wybuchnie. Zabierajmy się stąd, zanim ktoś się zorientuje, że nie mamy prawa tu przebywać.

Rena spojrzęła za siebie na płonąca wieżę, będąca teraz niewiarygodną kolumną ognia, sięgającą nieba. Zwiastun wydarzeń, które miały nadejść?

Poczuła nagle kompletne otępienie, jej myśli przesuwały się powoli, jakby szukały drogi w gęstym mule.

“Za chwilę wpadnę w histerię - pomyślała resztką świadomości. - Matka również. Lepiej żebyśmy byli daleko stąd, kiedy do tego dojdzie.”

Mero, który odczytał jej myśli, przytaknął. Zebrał wodze swego konia i puścił go w cwał. Wierzchowiec lady Viridiny, nadal uwiązany do tylnej części jego siodła, potrząsnawszy łbem, poszedł za jego przykładem.

Rena obejrzała się raz jeszcze, wzdrygnęła konwulsyjnie i podążyła za nimi.

Lorryn do tej pory stracił już wszelką kontrolę nad swymi uczuciami, a jego serce i umysł były w stanie takiego samego wrzenia, jakie ogarnęło całe jego otoczenie. Wkrótce po tym, jak spotkał się z matką, Merem i Reną, cała okolica dosłownie eksplodowała. Wcześniej teoretycznie zdawał sobie sprawę, co takie powstanie może oznaczać, lecz...

Lecz rzeczywistość przerastała wszelkie jego najgorsze wyobrażenia. Galopował na swym koniu przez istne piekło, widział sceny żywem wyjęte z najgorszych koszmarów Wysokich Lordów. Zauważył, jak całe zastępy ludzi w żelaznych naszyjnikach nacierają na przeciwników, trzymając w rękach różnorakie narzędzia rolnicze oraz jak młodzi elfowie rozstawiają oddziały ludzi wokół murów obleganych posiadłości. Jednocześnie mniejsze grupki starszych elfów zalewały potokiem magii zarówno mury, jak i wszystkich, których nie chroniło żelazo. Widział też niewielkie oddziały ludzkich wojowników, zawzięcie broniących łupów i stłoczone, skulone masy niewolnic. W pewnym momencie dostrzegł samotną starszą

elfkę o zaciętym wyrazie twarzy, która miała na szyi jeden z jego naszyjników. Kobieta rozpoznała, kim są, a co więcej, ujrzawszy Viridinę, zawołała ich, zanim zdążyli ją minąć.

- Chłopcze! - krzyknęła, powstrzymując ruchem dłoni swych wojowników. - Ty musisz być synem Viridiny, jedźcie za nami. Jeśli popędzicie konie, to w mgnieniu oka znajdziemy się w mojej baszcie.

Wszyscy byli już tak znużeni, a Lorryn dodatkowo jeszcze tak chory ze zmartwienia o matkę, która popadła w kompletne odrętwienie, że przyjąłby pomoc nawet od samego Jamala. Zgodził się więc, wbrew obiekcjom Mera, i podążyli za nią do sprytnie ukrytej warowni starodawnego typu, odpornej na wszelkie oblężenia.

Nieznajoma wprowadziła ich do środka i dopilnowała, by Viridinę położono na łóżku i aby podano posiłek. Potem rozstawiwszy swych ludzi na straży, wydobyła z nich opowieść o wszystkim, co przeżyli. Nawet z Mera, gdyż nie mógł się on oprzeć jej urokowi i matczynej życzliwości.

- Hmm - odezwała się na koniec. - Mój mąż był brutalem, syn jest bestią, a córka przyniosła mi jeden z tych waszych drobiazgów - pogładziła palcem naszyjnik - żeby uchronić mnie przed jego knowaniami. Nie wystarczyło mu, że ma większość, on chciał mieć wszystko, nawet ten mały zakątek, który mi jeszcze pozostał. Kiedy zorientowałam się, co daje ta biżuteria, postarałam się o te amulety również dla moich chłopców i zaszyliśmy się tu wszyscy, czekając na to, co, jak wiedziałam, musi nadejść.

- Wiedziałaś? - spytał Mero. - Ale skąd? Byliśmy przecież bardzo ostrożni.

Roześmiała się.

- Chłopcze, urodziłam się jeszcze w Evelonie i dość w życiu widziałam, by z drobnych oznak wiele wywnioskować. Ja nigdy nie trzymałam niewolników, a ludzi, z którymi się przyjaźniłam, traktowałam jak istoty równe sobie, którymi przecież są, prawda, chłopcy?

Jeden z jej wielkich, groźnych strażników uśmiechnął się i położył jej delikatnie dłoń na ramieniu.

- To prawda, mateczko - powiedział powoli. - Gdyby było więcej podobnych tobie...

Westchnęła.

- Cóż, zawsze ostrzegałam, że skończy się to rzezią i zniszczeniem, i tak też się stało. Myślę, że mój syn nie żyje. Według ostatnich wieści moja córka i jej nadzorca bronią dworu z pomocą tych niewolników, którzy nie uciekli.

- Na pewno zostało ich wielu, mateczko - pocieszył ją inny ze strażników. - Dobrze ją wychowałeś.



- Cóż, próbowałam. - Ponownie westchnęła. - Nie mam pojęcia, jak się to wszystko skończy. Słyszałam, że wojska wysłane przeciw czarodziejom w większości wróciły już do domu i wspierają walkę tej strony, która im bardziej odpowiada. Opowiadają na prawo i lewo o smokach i czarnych ludziach, a wy zapewne możecie mi powiedzieć, czy to jakieś nonsensy i szaleństwo, czy prawda.

Mero chrząknął.

- To nie bajki, tyle możemy ci powiedzieć. Jednak my również nie wiemy, co się w tej chwili dzieje z czarodziejami; nie udało nam się przesłać wiadomości...

Urwał, a ona roześmiała się tym swoim szczególnym, drżącym śmiechem.

- Wiem, wiem o ludzkiej magii, chłopcze. Wiem też, dlaczego nie możecie teraz rozmawiać myślami. Im większe zamieszanie i więcej myśli w powietrzu, tym trudniej ci się przez nie przebić, nawet jeśli władasz dużą mocą.

- Ach. - Mero najwyraźniej nie mógł znaleźć słów.

Staruszka spojrzała na nich wszystkich ostro.

- Spijcie dziś w łóżkach, moi drodzy - poleciła i zwróciła się do Lorryna. - Zatrzymajcie się na noc. Jesteście tak zmęczeni, że lada moment padniecie, waszym koniom niewiele brakuje do ochwatu, a ty jesteś smutny i chory ze zmartwienia... Zostaw Viridinę tutaj ze mną, będę się nią opiekować i wyciągnę ją z tego. Znałam jej matkę, a ją znam od dzieciństwa, więc jeśli ktoś jest w stanie ulżyć jej duszy, to myślę, że ja. Jeśli ktoś jest w stanie ją ochronić, to też ja i moi ludzie.

W tej chwili Lorryn w końcu ją rozpoznał - lady Morthena, lady "Moth", jak ją nazywał jako dziecko. Była ona niegdyś jednym z najczęstszych gości matki i zawsze godzinami potrafiła opowiadać skandaliczne historyjki. Nigdy nie dostrzegł w niej tego drugiego oblicza. Być może ukrywała je celowo pod przykrywką starszej damy rozsiewającej plotki.

Matka z kolei nigdy nie pozwoliła mu powiedzieć na nią złego słowa; teraz się chyba domyślał, dlaczego.

Spojrzał pytająco na Renę, która skinęła głową.

- Proszę - powiedział w końcu, wkładając w to jedno słowo wszystkie swe obawy o matkę i stan jej umysłu. Lady Moth skłoniła lekko głowę, jakby to zrozumiała, powiedziała jednak tylko:

- Wszyscy do łóżek, a w dalszą podróż wyruszycie o poranku i wygoniła ich do łóżek, jakby byli dziećmi, które niedawno opuściły żłobek. I jak dzieci, wszyscy jej posłuchali, nawet Mero.

Następnego ranka spotkała się z nimi przy wyjściu, gdy strażnicy przyprowadzili im wypoczęte konie, którym do siodeł przytroczono torby z zapasami żywności.

- Jedźcie bezpiecznie, lecz nie ociągajcie się - powiedziała im na pożegnanie. - Wróćcie do mnie, kiedy ta zawierucha się skończy i opowiedzcie mi o wszystkim, co zaszło. Wasza matka powita was z radością.

Uśmiechnęła się i w przebłysku olśnienia Lonyn dostrzegł, jak musiała wyglądać, gdy była w wieku Reny, a jej ojcowie otwierali wrota Evelonu.

- Przywieźcie też kilku swoich czarodziejów - dodała. - Ja opowiem im o dawnych czasach, a oni mogą pokazać mi czary i opowiedzieć o jakichś skandalikach.

- Skandalikach, lady Moth? - spytał Mero, obecnie tak swobodny w jej obecności jak Rena czy Lorryn.

- Zawsze będą jakieś skandale, chłopcze - zaśmiała się. - Może ty i moja mała Sheyrena też jakiś szykujecie? - Kiedy Rena Oblała się rumieńcem, a Lorryn odpowiedział jej uśmiechem, odprawiła ich ruchem ręki. - Pospieszcie się już. Moi chłopcy donoszą, że na drodze grasuje banda rabusiów i nie chcę, żebyście się z nimi spotkali. Moglibyście ich skrzywdzić.

Odjeżdżając, dostrzegli jeszcze jej rękę machającą do nich ponad szczytem muru okalającego jej niewielką, lecz silną warownię.

Dwa dni później znaleźli się na skraju wysypanego kawałkami żelaza terytorium. Lorryn, napięty jak struna, rozmyślał, jakie ich tu spotka przyjęcie.

Zastanawiał się też, co się działo ze Shaną przez cały ten czas. Nie spodziewał się jednak, że zostaną zatrzymani tak szybko.

- Stać! - wrzasnął jakiś głos i z zarośli wysypało się z czterdziestu ludzkich bieźników w żelaznych naszyjnikach, zastępując im drogę. Na ich czele stał jakiś starszy czarodziej, więc Lorryn zerknął na Mera, lecz ten potrząsnął przecząco głową, na znak, iż on również go nie rozpoznaje.

Wyglądało to niedobrze. Zupełnie, jakby Shana wygrała wojnę, by przegrać następnie z Caellachem Gwainem. Lorryn zacisnął pięści, czując zarówno strach, jak i gniew, a jego koń zatańczył po ściągnięciu cugli.

- Ty i ty - odezwał się zimno czarodziej, wskazując palcem - jesteście mile widziani. Lecz tamto - w jego ustach zabrzmiało to jak przekleństwo, gdy wskazał na Renę - jest z elfiej krwi!

Mero świsnął przez zęby, a Lorryn sięgnął odruchowo po miecz, którego nie miał.

- Pewnie, że jest, ty głupku! - rozległ się ironiczny, zmęczony głos, na dźwięk którego

Lorrynowi podskoczyło serce. - A skąd się biorą półelfy, jak sądzisz, bocian je przynosi?

Shana roztrąciła łuczników na boki i stanęła przed nimi.

- Na deszcz i ogień, już myślałam, że nigdy nie wrócicie! Lecz... - policzyła ich wzrokiem i dostrzegłszy, że jednej osoby brakuje, zbladła. - Och, Lorrynie, twoja matka!

- Z nią wszystko w porządku - zapewnił ją. - No, może nie zupełnie w porządku, lecz zostawiliśmy ją w dobrych rękach, a lady Moth mówi, że wróci do zdrowia i...

Język mu się płątał i doskonale wiedział, dlaczego, ona zresztą też. Podniosła w górę dłoń i przerwała płynący z jego ust potok słów.

- Spokojnie. Wrócimy do tego we właściwym czasie. Teraz zabieramy się stąd, zanim pokaże się jakiś idiotyczny oddział nieprzyjacielski, który znów zechce zabijać czarodziejów.

Odwróciła się, a łucznicy rozstąpili się, żeby ich przepuścić. Lorryn poczuł nagły chłód w sercu.

Przez cały ten czas martwił się, co będzie, jeśli Shana przegra, czy to z elfami, czy też z rozłamem w swych własnych szeregach. Teraz...

“Co mam teraz zrobić - bił się z myślami. - Ona wygrała, nie potrzebuje mnie już, nie potrzebuje nikogo.”

Ogarnęła go rozpacz. Nawet podczas najcięższych dotychczasowych przejść nie zbierało mu się na płacz, a teraz w gardle dławili go łzy, a piersi ścisnął mu taki ból, że niemal nie mógł oddychać. Ściągnął gwałtownie wodze swego biednego konia, chcąc pomknąć w innym kierunku, gdzieś daleko od nich. Przez chwilę włókł się z tyłu za wszystkimi, tak żeby mógł odjechać niezauważony. Za chwilę będą mijać zakręt i będzie mógł uciec. Musi pomyśleć, co ma zrobić ze swym życiem, skoro ona nie potrzebuje go w swoim.

“Lorrynie!”

To jedno słowo, które usłyszał w swych myślach sprawiło, że zamarł w siodle.

“Och, Lorrynie, ja, ja nie potrafię wypowiedzieć...”

Nie potrafiła, lecz on to wyczuł, że była tak samo chora z niepokoju o niego, jak on o nią, mimo wszystkich problemów i zamieszania, którym musiała stawić czoło. Martwiła się o niego i nocami patrzyła w sufit, nie mogąc zasnąć z niepokoju.

Zupełnie tak jak on.

“Dzięki niebiosom za to, że jesteś tu ze mną - powiedziała w końcu, gdy wyczuła, co dzieje się w jego sercu. - Ja... ja tęskniłam za tobą. A deszcz i ogień wiedzą, jak mi jesteś potrzebny.”

Po chwili nad sentymentami wzięła górę praktyczna strona jej natury.

“I do diabła, potrzebuję też twojej pomocy! To ciebie szkolono do dowodzenia ludźmi, nie mnie! Nie potrafię pokierować bez ciebie tymi wszystkimi niewiarygodnymi idiotami. Zobacz, jak narozrabiał Caellach - Bezmózgi - Gwain! Gdybyś był przy mnie, nie narobiłby tych wszystkich kłopotów.”

Jego rozpacz zmieniła się w radość połączoną ze złościwością. Było oczywiste, że Shana będzie go rozwścieczać, dlatego tak go zachwycała.

Z tego samego powodu, jak odczytał z jej rozbawionych myśli, on zachwycał ją.

“No i co? - spytała. - Ruszasz ze mną, by pomóc mi radzić sobie z tą gromadą głupków, zanim wytlukę ich z czystej złości?”

Zebrawszy wodze swego konia, zawrócił jego łeb z powrotem na ścieżkę, by wesprzeć ją w tym, o co prosiła.